

zastres.

119

WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

TOM II

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

dubl. do II. 263.486
II. 427.164

MOJE WSPOMNIENIA

II

BIBLIOTEKA " KULTURY "

Tom XCIX

★ ★

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)**

№ 183.990 zastres.

WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

==
TOM II

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964



© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1964.

1969 D 392/6 b.

C z ę ś ć V I

WYBUCH WOJNY

Wieś wobec nadchodzącej wojny

Kiedy w Myślenicach, będąc na takim powiatowym zebraniu, zapytałem jednego bardzo upartego proroka, na czym on opiera swoje twierdzenie, powiedział mi, że od dwóch tygodni wszystkie psy we wsi wyją, zwracając się bezustannie ku wschodowi, a to jest wyraźny znak wojny. Drugi opowiadał, że od paru dni każdej nocy widać na wschodzie czerwoną smugę, a dawniej tego nigdy nie było. Taką smugę ludzie widzieli tylko na parę tygodni przed wybuchem wojny pruskiej.

W powiecie zaś dąbrowskim stary, bardzo rozsądny chłop, Mleczek, mówił z całym przekonaniem, że już od miesiąca chodzi po cmentarzu każdej nocy ogromna niewiasta w czerwonych szatach, co jest zapowiedzią wielkiej i krwawej wojny.

Chłopi niektórzy słuchali tego ze zgrozą, inni usiłowali trochę żartować z tych „zabobonów”. Widziałem, że wszyscy jednak byli głęboko przejęci. Kiedy Mleczkę zapytałem, czy on sam rzeczywiście widział tę marę, czy może tylko czytał w „Panu Tadeuszu”, odpowiedział mi, że on wprawdzie nie widział nic, ale cała wieś o tym opowiada i święcie wierzy.

Na jarmarku w Łańcucie poważny gospodarz, Józef Hospod z Grodziska, w sposób tajemniczy mówił mi o bliskiej wojnie zaznaczając, że mu o tym powiedział Żyd, który wie dużo i nigdy się prawie nie myli. Biorąc udział w konferencji, jaką tam w ten sam dzień odbyłem, nie wspominałem chłopom o tych rzeczach ani jednym słowem.

Gdy taką rozmowę kończyłem w jednym z miast powiatowych, zatrzymawszy się jeszcze z kilkoma wpływowymi chłopami z powiatu, którzy wylewali żale na dotychczasowego posła, otwo-

rzyły się raptownie drzwi maleńkiego pokoiku, w którym odbywaliśmy zebranie. Wtłoczyło się przez nie kilkunastu zadyszanych chłopów, krzycząc jeden przez drugiego: „Rany boskie, wojna”. Skoczyliśmy na równe nogi. Chłopi jedni pchali się jeszcze do pokoju, inni uciekali do koni i wozów niepewni, czy tej wojny nie ma już gdzieś blisko. Pozbierawszy papiery i notatki, za parę minut wyszedłem na miasto. Tam już wrzało niesłychanie, ludzie latali, zwolowali się, zaprzęgali konie do wozów, uciekali z szynków i sklepów, opowiadali jeden drugiemu, choć nikt nic pewnego nie wiedział.

Poszedłem z kilkoma chłopami do starostwa, ażeby się tam prawdy dowiedzieć. W starostwie był rwetes, niewiele mniejszy niż na rynku. W odpowiedzi na moje pytanie urzędnik starostwa do którego się zwróciłem, pokazał mi pismo cesarza Franciszka Józefa, z datą o ile pamiętam 28 lipca, skierowane do prezydenta ministrów hr. Stürgha, notyfikujące wojnę z Serbią. Między nadeszłymi do starostwa papierami był też manifest cesarza: „Do moich ludów”.

W jednym momencie po powrocie na rynek otoczyła mnie ogromna gromada ludzi, dopytując się natarczywie, co więcej słysząc, jak długo trwać może wojna, gdzie ona się odbędzie, kto na nią pójdzie itp. rzeczy. Nie chciałem się przyznać, że tyle wiem o tym, co i ci co się do mnie z tymi pytaniami zwracają. Najgorzej wyszedłem na tej rozmowie, bo wszyscy odjechali a ja zostałem sam, bo mój furman, w zamieszaniu nie mogąc mnie znaleźć w miejscu, które mu oznaczyłem, pojechał do domu przekonany, że ja z kimś siadłem wcześniej.

Jadąc przygodną furmanką o parę godzin później, widziałem po drodze już rozlepione afisze, zapowiadające ogólną mobilizację. Wojna więc nie tylko wybuchła, ale zaczęła się dość szybko rozszerzać, gdyż Niemcy w dniu 1 sierpnia wypowiedziały ją Rosji, a Austria zrobiła to w parę dni później. Fakt wypowiedzenia wojny i jej rozpoczęcie podziało z początku piorunująco, powoli się jednak pogodzono z tym jako z nieubłaganą koniecznością, toteż za parę dni widziało się już uspokojenie niemal że ogólne. Nikt nie myślał, że to będzie wojna światowa, i to wojna tak wielka, jakiej jeszcze nigdy nie było przedtem, wojna tak krwawa i tak długo trwająca.

Jak wspominałem wyżej, już na kilka lat przed wojną światową, panowało w masach ludowych przekonanie, że ona wybuchnie. Nikt oczywiście nie umiał określić, jakie będą jej rozmiary i następstwa, ani się też o to zupełnie nie starał. Ludzie na wsi wyobrażali sobie, że to zapewne pół świata uzbroi się i wystąpi przeciw Rosji, która także sama pół świata zajmuje,

że ją pobije, albo prędzej zostanie pobity przez nią, bo przecież Rosja jest niezwyciężona.

Takie przekonanie było do czasu wojny z Japonią. Temu, ażeby Japończycy, będąc zwyczajnymi ludźmi, mieli Rosję pobić, nikt we wsi nie dawał wiary. Nawet chłopci światlejsi i czytający gazety kiwali głowami konkludując, że „albo to jest kłamstwo, albo tam było wielkie przekupstwo, albo też Japończycy to prawdziwe diabły a nie ludzie”.

Na wsi wciąż żyła tradycja samych zwycięskich wojen przez Rosję prowadzonych, czy to na Krymie, czy w Turcji. Pamiętano przemarsz wojsk rosyjskich na Węgry, zgniecenie powstania węgierskiego i uratowanie Austrii przez Rosję. Wiedzano, że Moskale zdusili wszystkie polskie powstania. Ludzie nie mogli się doszukać czasu i miejsca, gdzie by Rosja została pobita.

Ostatnie lata przyniosły w tych poglądach bardzo duże zmiany. Zaczęto wierzyć w nową broń, organizację, sprawność, w której Rosja wcale nie przodowała. Ludzie świadomi byli przekonani, że bez wielkiej wojny i wstrząśnień nie może Polska nigdy powstać. Czekali więc na nią. Najwięcej może było takich, którzy chcieli i pragnęli wojny spodziewając się, że ona zapewne ich los materialny poprawi.

Toteż kiedy nastąpiły naprężone stosunki pomiędzy Austrią i Serbią, nie było prawie na wsi domu, w którym by nie rozmawiano o wojnie i nie wyglądano jej. Chłopi w swojej masie pozostali jeszcze w głębi duszy cesarskimi. Państwo austriackie uważali za swoje, do cesarza Franciszka Józefa mieli prawie nieograniczone zaufanie, wierząc bezwzględnie w jego miłość do ludu, przychyłność i sprawiedliwość.

Mimo że lata przedwojenne odznaczały się niezwykle intensywną pracą polityczną i narodową, prowadzoną tak przez stronnictwa jak i polityczne instytucje i poszczególnych ludzi, nie potrafiła ona jednak ani wszędzie dotrzeć, ani też ludzi gruntownie zmienić. Były w tym i inne, bardzo ważne powody. Stronnictwa polityczne, gromadzące w swoich szeregach najświetlejsze jednostki, miały w programach swoich niepodległość jako ostateczny cel, nie mogły jednak mieć wyraźnie ustalonej orientacji na wypadek zawieruchy wojennej.

Bardzo szeroką, uświadamiającą akcję prowadziło Towarzystwo Szkoły Ludowej, tak w mieście jak i na wsi, gdzie z odczytami i wykładami wyjeżdżali prawie w każdą niedzielę i święto urzędnicy, profesorowie, akademicy. Lecz i one kończyły się zwykle przeciwstawieniem konstytucyjnych rządów austriackich absolutyzmowi moskiewskiemu, oczywiście na korzyść rządów austriackich. Wszystko zdawało się być tak nastawione, ażeby

przeciętny obywatel mógł sobie wyrobić przekonanie, że największym wrogiem Polaków jest Rosja, a największym przyjacielem — Austria. To samo dotyczyło innych pokrewnych instytucji.

Rząd austriacki, spodziewając się wojny z Rosją i wiedząc jak wielką rolę mogą w niej odgrywać Polacy, starał się całą siłą hodować i podtrzymywać te nastroje. Nimi też została przepojona szkoła, nimi przesycona literatura, dostały się one też do Kościoła, a nieraz w nim zapanowały, gdyż bardzo wielu księży w lojalności wprost się licytowało.

Na owo lojalne, a nawet cesarskie stanowisko chłopów wpływało też zachowanie się szlachty, która w olbrzymiej swojej większości była arcylojalna wobec państwa austriackiego i dynastii habsburskiej, robiąc sobie z tego ów znany sakrament: „Przy Tobie, Panie, stoimy i stać chcemy”. I, rzeczywiście, dotrzymała tego do samego końca. Wielka część duchowieństwa obchodziła skwapliwie wszystkie uroczystości i rocznice państwowe, imieniny Najjaśniejszego Pana, modląc się i polecając modlitwie wiernych zdrowie i szczęście „Apostolskiego monarchy”. Poza tym Galicja była krajem, w którym od szeregu lat nie tylko że były rządy konstytucyjne, ale rządy te w sposób widomy sprawowali Polacy, co dawało złudzenie i przekonanie u wielu, że w tym kraju dzieje się to, co oni zechcą.

W Galicji rozwijało się też prawie bez przeszkody polskie życie narodowe i to nie tylko samej tej dzielnicy, lecz niemal całej Polski, gdyż kryjąc się przed prześladowaniem w innych dzielnicach, znalazło tu bezpieczne schronienie. W Galicji mogli się schronić różni prześladowani polityczni i narodowi działacze, prowadząc swoją robotę niepodległościową bez przeszkód, a nawet przy pomocy rządu austriackiego. Oczywiście, że rząd tolerował ją, a nawet popierał tylko wtenczas, jeśli mu szła na rękę i była przeciw Rosji skierowana. Do utrwalenia zmiany w tych poglądach, a także rozpalenia nienawiści do Rosji aż do białości posuniętej, przyczynili się też w niektórych okolicach emisariusze z Królestwa, przeważnie socjaliści, którzy w dużej ilości przybywali do Galicji. Wszyscy oni niemal uchodzili za męczenników i ofiary carskich rządów, opowiadali szeroko o swoich strasznych przejściach i męczarniach. Mówili i o prześladowaniu wiary, narodowości, kazamatach, biciu, mordowaniu, wysyłce na Sybir.

Przy każdej sposobności usiłowali przekonać słuchaczy, że Rosja obecna to tylko pozorna potęga i kolos na glinianych nogach, który się może rozbić przy pierwszym uderzeniu. Że wojsko tamtejsze zdemoralizowane i rozbite, poza tym nie posiada prawie wcale karabinów, mundurów ani też żadnych zapasów,

bo to wszystko zostało rozkradzione. Generałowie i większość oficerów pozostają na żołdzie niemieckim, gotowi są każdej chwili do zdrady.

Deklarowali, że cała ludność Królestwa po prostu dyszy nawiścią przeciw Rosji i carowi, że mobilizacja się tam rządowi nie uda, a na dany znak wszystko stanie pod bronią, ale w szeregach powstańczych przeciw Rosji. Opowiadali o masach broni, przemycanej przez lata z Austrii i Niemiec, a pochowanej w piwnicach domów, w kościołach, lasach, lub też zakopanej w ziemi. Wszyscy Polacy czekają tam niecierpliwie, ażeby ją tylko wziąć do rąk. Cała zaś ta olbrzymia akcja przeprowadzona przez nich została tak sprawnie, że Moskale się wściekają, ale nic o niej nie wiedzą. Jeżeli wojska austriackie wkroczą do Królestwa, to się cały naród natychmiast do nich przyłączy. Wojna rozegra się bardzo szybko, bo ludność rosyjska wystąpi także przeciw carowi.

Wskutek tej agitacji wielu ludzi, szczególnie młodych, zapominało o tym, co wojna niesie złego, a widziało tylko jej dobre strony. Galicjanie czuli się też małymi wobec bohaterskich i męczeńskich królewaków i pragnęli im choć w części dorównać. Emisariusze owi umieli w sposób przystępny i umiejętny przedstawić różnicę, jaka dzieli rząd austriacki od rosyjskiego, na korzyść oczywiście tego pierwszego. Przychodziło im to zresztą bez żadnych trudności, gdyż fakty bijące w oczy przemawiały za nimi.

Wprawdzie Austria zatruwała ducha narodowego, ale czyniła to w sposób niewidoczny dla wielu, prowadziła politykę wyniszczającą kraj, starając się wyciągnąć jak najwięcej, a dać mu jak najmniej, jednak musiało się przyznać, że wprowadziła wiele urządzeń, zarówno godnych pochwały, jak i pożytecznych.

Administracja była dość sprawna i prawie zupełnie bezstronna. Sądy spełniały swoje czynności prawie bez zarzutu. Prawa obywatelskie były szanowane, samorządy uznawane. Mimo że wielu urzędników pozwalało sobie na publiczną krytykę rządu, nikt ich nie pociągał za to do odpowiedzialności, nie szykanował, nie niszczył, a nawet nie przenosił. Szlachcie działało się zupełnie dobrze, mieszczaństwo również nie miało powodu narzekać. Chłopi płacili stosunkowo niskie podatki gruntowe, dostawali zapomogi na wypadek szkód i klęsk elementarnych. Dość poważne subwencje na różne cele, udzielane przez rząd nie były wcale rzadkością. Sejm i Wydział Krajowy od szeregu lat pracowały wiele i z dużym pożytkiem dla kraju. Budowało się drogi, prowadziło się melioracje, regulowało rzeki, zakładało szkoły. Jakkolwiek pod tym względem były duże braki, to jednak chłopci nie odczuwali tego w sposób widoczny. Pod względem gospodar-

czym zaś szli szybko naprzód, tym bardziej że dolary amerykańskie płynęły jeszcze dość obficie.

Mimo że z Poznańskiego dochodziły bezustannie prawie wieści o gwałtach, wywłaszczeniach, tępieniu języka polskiego i narodowości przez sojuszników Austrii — Niemców, to było to różnie tłumaczone, łagodzone, przeoczane i zapomniane. Prześladowanie dzieci szkolnych, masakra we Wrześni, wyjątkowe prawa dla Polaków, wóz Drzymały zdołały na pewien czas wstrząsnąć opinią i wywołać oburzenie, lecz wkrótce z bólem godzono się na to, że się nic nie poradzi, bo Niemcy są tak mocni, że mogą robić, co im się podoba. Wydarzenia takie jak obchód grunwaldzki, poruszyły także bardzo silnie opinię, przemówienia płomienne porwały ludzi, ale i to za parę miesięcy zostało prawie zupełnie zapomniane.

Mobilizacja

Wszystko to razem wzięte sprawiło, że z chwilą wybuchu wojny, ogromna większość ludności polskiej w Galicji stała bezwzględnie po stronie państwa austriackiego zupełnie przekonana nie próbując nawet stawiać jakichkolwiek wniosków, dotyczących przyszłości. Wszyscy zresztą byli przekonani, że przy obecnej technice wojna będzie trwała najwyżej parę miesięcy, nie każdy tam zginie, ale wszyscy zarobią, bo zwykle po wojnach tak bywało. Nieco więcej obawiano się cholery i innych chorób, które towarzyszą wojnie, ale i to umiano sobie wytłumaczyć. To też wypowiedzenie i rozpoczęcie wojny było jakby spełnieniem cichych marzeń wielkiej części społeczeństwa polskiego.

Żołnierz nie pytał się wcale, po co ta wojna, jakie ma cele, jakie może mieć skutki i następstwa. Jego czas przyszedł, on przysięgał cesarzowi i on też musi tej przysięgi dotrzymać. Wzywa go nie kto inny zaś, ale sam cesarz, to idzie, ażeby spełnić przysięgę i być wiernym do końca „na lądzie i morzu”. Uważali też, że zamordowanie arcyksięcia jest dostatecznym powodem do wojny. Do szeregów szło wszystko ochotnie jakby na wesele. Wielu zgłaszało się takich, co mobilizacją wcale nie byli objęci.

Ponieważ wójtów wezwano także na dzień mobilizacji, udałem się do Tarnowa. Przez stację Bogumiłowice przechodziły pociągi jeden za drugim, naładowane rezerwistami. Wszystkie były ustrojone zielenią i kwiatami. Rezerwiści śmiali się i powiewali chusteczkami, albo też śpiewali wesołe, żołnierskie piosenki. Kobiety z całej okolicy zeszły się na stacji, przynosząc mleko, masło, sery, chleb i racząc nimi wcale nie głodnych żołnierzy.

Wszedłem w Bogumiłowicach do napchanego po brzegi żołnierzami wagonu, rozglądając się za znajomymi i obserwując z ciekawością, co się w wagonie dzieje. Pewna znaczna część rezerwistów, ludzi już nieco starszych, siedziała spokojnie na walizkach, niektórzy ze smutnie zwieszonymi głowami, inni z dość niefrasobliwym obliczem. Niektórzy palili fajki, reszta papierosy. Większość już widocznie podniecona, stała racząc się wódką, która z flaszkami przechodziła z jednych rąk do drugich. Rozeznac dobrze twarze było bardzo trudno, gdyż dym królował niepodzielnie w wagonie, mimo otwartych drzwi i okien.

Zanim się jeszcze rozpatrzyłem, rzuca mi się na szyję i zaczyna całować Franciszek Kurtyka, sędzia powiatowy, wymieniając głośno moje nazwisko. Wagon natychmiast ożywił się cały, jak na komendę flaszki z wódką podniosły się w górę, rezerwiści podnieśli się wszyscy na nogi i ryknęli jednym głosem: „Niech żyje Witos!”. Sędzia rozpoczął długie przemówienie, z którego wynikało, że z obowiązku patriotycznego wszyscy idą na „Mocha”, a za parę tygodni śladu z niego nie zostanie.

To jeszcze można było znieść, gorzej znacznie było z tym, że silnie podgazowany pogromca Moskali co drugie słowo całował mnie z dubeltówki, a za nim robili to inni, znowu na pożegnanie śliniąc mnie jak się patrzy i oblewając ubranie obficie wódką. Byłem szczęśliwy, kiedyśmy dojechali do Tarnowa i mogłem się z tych serdecznych uścisków nareszcie uwolnić. Trwały one jednak dość długo, bo pociąg stawał kilka razy po drodze, a na przebycie ośmiu kilometrów zużył przeszło godzinę czasu.

Dworzec kolejowy w Tarnowie zavalony był tak wojskiem jak ludnością cywilną i pociągami. Szły one jedne za drugimi, witane i żegnane przyjaznymi okrzykami. Muzyka wojskowa grała bez ustanku „Jeszcze Polska nie zginęła”. Nastrój wśród zgromadzonej publiczności panował żywy i podniosły.

Przechodząc spotkałem Jana Mogielskiego, mojego rówieśnika, pochodzącego z Wierchosławic, wtenczas gospodarza ze wsi Sieradza w powiecie dąbrowskim. Szedł do wojska jak i drudzy, był jednak smutny i zadumany. „Dlaczego tak, Jaśku, zwiesiłeś głowę?” — odezwałem się podchodząc do niego. Zerwał się jak ze snu. „Wiesz co, powiada, żałuję, że byłem taki głupi, powróciłem z Ameryki, a teraz mi tu przyjdzie zginąć jak psu, nie wiedząc po co i za co”. „No przecież wszyscy nie giną na wojnie” — przerwałem mu. „Tak — odpowiedział — ale ja bym przysiągł, że nie wrócę”. I nie wrócił, bo zginął w pierwszych dniach wojny, w pierwszych potyczkach pod Kraśnikiem.

Na ulicy spotkałem Wawrzyńca Boryczkę z Bogumiłowic. Szedł powoli, nie mieszając się zupełnie z tłumem. „O czym

myślicie, panie kapral?” — odzywam się do niego cokolwiek z przekąsem. „Dobrze ci mówić — powiada — jak zostajesz w domu, a człowiek idzie na poniewierkę i więcej ani domu ani dzieci oglądał nie będzie”. Ten się trochę pomylił, bo wrócił jako sierżant armii generała Hallera, przeszedłszy niewolę, Syberię i wszystkie trudy wojenne.

Zaszedłem na podwórze kasarni na Strusinie, zgłaszając się tam do urzędnika starostwa. Oświadczył mi, że na razie nie ma dla mnie żadnego zajęcia, a gdyby coś było, to on mnie przez pośtańca uwiadomi, teraz zaś aż do godziny pierwszej po południu mogę iść, gdzie mi się podoba.

Poszedłem więc między tłumy rezerwistów rozłożonych na obszernym dziedzińcu kasarni, ślęczących na walizkach, kuferkach i tobołach, wyczekujących na swoją kolej. Dowiedziałem się, że niektórzy z nich tkwili już tam drugi dzień, nie ruszając się zupełnie z miejsca. Niedołęstwo władz wojskowych szło jeszcze dalej od cierpliwości tych ludzi.

Śmielsi rezerwiści chodzili po mieście, pili i śpiewali, zaczepiając czasem przechodzących Żydów. Na podwyższonym miejscu w środku koszar muzyka wojskowa grała niezmordowanie pieśni polskie jedną za drugą. Ulicami ciągnęły się gromady kobiet niosąc pożywienie dla swoich i obcych żołnierzy.

Patrząc na to wszystko, co się działo wówczas, miało się mimo woli przekonanie, że całe społeczeństwo przejęte zostało jedną myślą i że Austria posiada jeszcze w nim olbrzymi kapitał zaufania i zaufania.

Wojna

Oczekiwana wojna zaczęła się nareszcie. Ponieważ Rosja oficjalnie przystąpiła do niej, wojska austriackie przeszły jej granicę, idąc szerokim frontem przez dawne Królestwo Polskie i posuwając się prawie bez przeszkody naprzód. Moskale cofali się bez bitwy, widocznie według planu z góry ułożonego. Ludność z niesłychaną niecierpliwością oczekiwała na wiadomości. Radość też zapanowała niezmierna, gdy po paru dniach wojowania ukazał się komunikat generalnego sztabu austriackiego głoszący, że w okolicach Szczucina oddział naszych „dzielnych landszturmistów” wziął do niewoli kilku Kozaków żywych i w pełnym uzbrojeniu. Jeszcze nie przebrzmiały nabożeństwa w kościołach o powodzenie oręża austriackiego, a już się zaczęły nabożeństwa dziękczynne. Ludność wiejska brała w nich czynny i

liczny udział. Nawet najzaciętsi księża nie bronili ludowcom wstępu do kościoła.

Wiadomości ze wszystkich frontów brzmiały nadzwyczaj optymistycznie. Bombastyczne komunikaty donosiły o niepowstrzymanym pochodzie i licznych i wielkich zwycięstwach wojsk austriackich. Wszyscy wiedzieli, ale i wierzyli, że generał Dankl zbliżał się już do Lublina, zaś generałowie Auffenberg i Brudermann prą bezustannie naprzód, zdążając na Kamieniec Podolski, a nawet na Kijów. Serbia miała być za parę dni zupełnie zgnieciona, Belgia leżała już pod stopami brutalnego niemieckiego najeźdźcy, a z Francją Niemcy uporają się najwyżej za parę tygodni. Z innych źródeł wiadomości nie było.

Ten ogólny i gorący zapał został wnet w małej mierze ostudzony, gdy zaczęto zabierać chłopom ostatnie świeżo zakupione konie i bydło, kiedy zarządzone nowe powołania, a pocztą pantoflową nadeszły wiadomości z frontu o formalnych rzeziach jakich w okolicy Kraśnika dokonali Moskale na nieopatrnie prowadzonej armii austriackiej.

Na wsi zaczął się wielki lament, bo akurat pod Kraśnikiem byli żołnierze z naszych okolic. Potwierdzenie tych strasznych wiadomości przyszło też w listach żołnierzy, gęsto przez cenzurę pokreślonych. Z niektórych można się było dowiedzieć, że z pułków i oddziałów pozostało przy życiu po kilku lub kilkunastu żołnierzy. Reszta zaległa na wieki pola, albo też dostała do niewoli rosyjskiej. Listy rannych i zabitych umieszczone w pismach poczęły tworzyć co tygodnia księgi z tysiącami nazwisk. Już wtenczas, choć bardzo powoli, zaczęło się równocześnie przejawiać oziębienie, które wzmagало się coraz więcej w miarę przeciągania się wojny, klęsk ponoszonych i rekwizycji stosowanych w dalszym ciągu.

Naczelny Komitet Narodowy

Jeżeli z wybuchem wojny pogodziło się prawie że bez troski polskie społeczeństwo, to musiała ona przynieść niespodzianki i wiele trudności odpowiedzialnym politykom i kierownikom polskiej opinii publicznej. Ci bowiem ani się nie spodziewali szybkiego zakończenia wojny, ani też ograniczenia jej do państw, które tę wojnę rozpoczęły. Co zaś najważniejsze, mieli obowiązek robić wszystko, ażeby sprawa polska odniosła jak największe korzyści. Trzeba im było z góry spodziewać się tego, że wszelka władza niemal, a co za tym idzie i decyzje, przejdą w ręce wojskowości, wtenczas już niezbyt przychylnie do Polaków usposo-

bionej, albo też ludzi tępych, narzędzi panoszącej się kliki, mającej wielkie wpływy na najwyższe czynniki w państwie.

Na samą wojnę i jej prowadzenie nie mogli mieć żadnego wpływu, tym więcej że Parlament był zupełnie ubezwładniony. Pozostawał więc jedynie poważny czynnik, który mogli byli rzucić na szalę rozgrywających się wypadków, a który nie mógł pozostać tylko ich biernym świadkiem. Tym czynnikiem było społeczeństwo polskie w Galicji, w tym czasie zupełnie jednolicie nastawione.

Trudność co do rozpoczęcia jednolitej akcji sprawiała duża rozbieżność poglądów i rozbicie partyjne u góry, ale też ten stan tym więcej nakazywał szukać drogi, która by umożliwiła konsolidację możliwie całego społeczeństwa polskiego i to we wszystkich zaborach.

Do tego w pierwszym rządzie powołane było Koło polskie i jego prezydium. Prezesem Koła był wówczas dr Juliusz Leo, poseł i prezydent miasta Krakowa. Uchodził on za człowieka mądrego, poważnego i energicznego. W skład Koła wchodził piastowcy, konserwatyści, demokraci polscy, demokraci narodowi, małe grupki katolicko-ludowych i radykałów Lisiewicza i kilku posłów, nie należących do żadnej partii. Socjaliści i drobna grupa Stapińskiego pozostawali jeszcze poza Kołem.

W dniu 15 sierpnia 1914 r. odbyło się w Krakowie w sali rady miejskiej posiedzenie komisji parlamentarnej Koła polskiego, na którym dr Leo złożył sprawozdanie ze swej podróży do Wiednia i rozmów tam przeprowadzonych. Według jego relacji sam cesarz Franciszek Józef miał się bardzo życzliwie wyrazić o polskiej samodzielnej akcji wojskowej, gdy ministrowie potraktowali ją tylko jako pożądaną pomoc, dającą pewną ilość bagnetów. Takie stawianie i traktowanie sprawy polskiej przez rząd i szefa sztabu wywołało bardzo duże zdziwienie i rozgoryczenie, stając się w pewnej mierze podniętą do łączenia się rozbieżnie działających organizacji politycznych i społecznych. Chodziło tu między innymi o Komisje Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych i Centralny Komitet Narodowy.

Po długiej, często gorącej dyskusji komisja parlamentarna uchwaliła następujące wnioski:

1) Dla zespolenia sił narodowych, koniecznego w obecnej chwili, utworzyć jedną jawną organizację narodową.

2) Przez tę organizację przystąpić do utworzenia Legionów jako siły zbrojnej polskiej, na razie dwóch, a to jednego w zachodniej, drugiego we wschodniej części kraju. Mają one według słów uchwały „pod polską komendą w ścisłej łączności z naczelnym dowództwem armii austro-węgierskiej pójść w bój, aże-

by na szalę wojny rzucić także godny narodu polskiego czyn, jako warunek i zadatek lepszej dla niego doli”.

Chwila ta była niezwykle podniosła, poważna i uroczysta. Wieczór cały spędziliśmy na rozmowach, snując różne horoskopy na przyszłość. Panowało ogólne przekonanie, że mimo zachowania się rządu austriackiego, wprost lekceważącego i nie doceniającego wagi sprawy, należy wszystko co można rzucić na szalę, ażeby ją ciężarem siły i wartości przeważać. Na drugi dzień odbyło się plenarne posiedzenie Koła polskiego. Po dłuższej dyskusji zostały na nim zatwierdzone uchwały komisji parlamentarnej i tekst odezwy do narodu wzywający go „do wspólnego największego wysiłku i czynu”.

Manifest ów nie mógł podać nic konkretnego, wskazywał więc tylko „na dobę krwawego przeistaczania się Europy i uwalniania jej od rosyjskiej przemocy”, wzywając do ofiar, gdyż szlachetny monarcha, pod którego rządami mądrymi i sprawiedliwymi część narodu polskiego mogła się rozwijać i siły narodowe mnożyć, jak i jego potężna armia, ruszająca do boju o najwznioślejsze ideały, patrzy na naród polski”.

W ten sam dzień odbyły się też narady, na których doprowadzono do zjednoczenia wszystkich grup politycznych w Galicji, stojących na gruncie narodowym i utworzenia Naczelnego Komitetu Narodowego, w skład którego weszli przedstawiciele wszystkich polskich stronnictw.

Zanim do tego doszło, mieliśmy już wiadomości o utworzeniu się jakiegoś samowładczego tajnego rządu narodowego w Warszawie, co wzbudzało z jednej strony dużą sensację, a z drugiej rodziło obawę zamącenia sprawy i lekkomyślnej, szkodliwej działalności nieznanymi i nieodpowiedzialnymi czynnikami. Jeden z obecnych na zebraniu narodowych demokratów pokazał mi półarkuszowe pismo maszynowe o następującej treści:

„Warszawa dnia 3.8.1914 r.

Polacy! W Warszawie utworzył się Rząd Narodowy. Obowiązkiem wszystkich Polaków jest skupić się solidarnie pod jego władzą. Komendantem wszystkich sił wojskowych polskich został mianowany ob. Józef Piłsudski, którego rozporządzeniem wszyscy ulegać powinni. Rząd Narodowy”.

„Rząd Narodowy

Wybiła godzina rozstrzygająca. Polska przestała być niewolnicą i sama chce stanowić o swoim losie, sama chce budować swoją przyszłość, rzucając na szalę wypadków własną siłę orężną. Kadry armii polskiej wkroczyły na ziemie Królestwa Polskiego, zajmując ją na rzecz jej właściwego, istotnego jedyne gospodarza, Ludu paskiego, który ją swą krwawicą użyźnił i wzbo-

gacił, zajmując ją w imieniu władzy naczelnej Rządu Narodowego. Niesiemy całemu narodowi rozkucie kajdan, poszczególnym zaś jego warstwom warunki normalnego rozwoju. Z dniem dzisiejszym cały Naród skupić się winien w jednym obozie pod kierownictwem Rządu Narodowego. Poza tym obozem zostaną tylko zdrajcy, dla których potrafimy być bezwzględni.

Komendant Główny Wojska Polskiego

(—) *Józef PIŁSUDSKI*".

Tego samego dnia wieczorem i takie same kartki pokazały się w kawiarniach krakowskich. Poseł Skarbek oświadczył mi, że według wiadomości przez niego posiadanych, ów Rząd Narodowy jest zwyczajną mistyfikacją, a cała rzecz wielką intrygą, przygotowaną na wielką skalę przez samego Piłsudskiego. On też właściwie jest tym rządem i sam się zamianował komendantem nie istniejącej polskiej siły zbrojnej, bo za taką nie można uważać kilkudziesięciu ludzi, którzy za przepustką wojskowości austriackiej, wystawioną przez kapitana Rybaka, przeszli granicę rosyjską. Wyraził też obawę, że postępowanie podobne nieodpowiedzialnych jednostek może nam sprowadzić wiele przykrości i przynieść szkody. Od niego też się dowiedziałem, że te i inne wiadomości dostaje od swoich przyjaciół z Królestwa i Warszawy i że są one najzupełniej prawdziwe. Fakty te, podane do wiadomości niektórych członków zebrania, widocznie sprawiły, że ów rzekomy rząd narodowy utworzony dnia 3 sierpnia uznano jednomyślną uchwałą za nie istniejący. Zdaje mi się, że w tym czasie nawet socjaliści, polityczni przyjaciele Piłsudskiego, nie znali prawdziwego stanu rzeczy.

Około północy tego samego dnia odbyło się posiedzenie pełnego Koła polskiego, na którym przyjęto do zatwierdzającej wiadomości uchwały powzięte przez Naczelny Komitet Narodowy. Zebranie to przybrało charakter niezwykle uroczysty z powodu składania oświadczeń i deklaracji poszczególnych klubów i ludzi.

Między innymi poseł Średniawski imieniem naszym złożył następujące oświadczenie:

„Ażeby dać wyraz czynnej radości z powodu zjednoczenia się całego narodu polskiego w tej dziejowej dla Polski chwili, P.S.L. zobowiązuje się uroczyście wyekwipować tj. umundurować własnym kosztem 100 legionistów”.

Oświadczenie to zostało przyjęte hucznymi oklaskami. Za nim przyszły inne. Przy organizowaniu się Naczelnego Komitetu Narodowego z naszego ramienia wszedł Jan Dąbski jako członek, z zastępcą Andrzejem Średniawskim. Ja zostałem wybrany też członkiem, a miał mnie zastępować poseł Władysław Długosz. Następnie Naczelny Komitet Narodowy ukonstytuował się, wy-

bierając przewodniczącym dr. Juliusza Leo, prezesa Koła polskiego. Mnie wybrano jednym z dwóch wiceprezesów sekcji ruchomej.

Na skutek żądania przedstawicieli Narodowej Demokracji i grup do niej zbliżonych Naczelny Komitet Narodowy podzielił się na dwie sekcje: Krakowską i Lwowską, z których każda miała autonomię w działach organizacyjnym, skarbowym i wojskowym. Prezesurę sekcji zachodniej objął prof. Leopold Jaworski, wschodniej poseł Tadeusz Cieński.

Zawody

Mimo że do pracy zabierali się wszyscy z niebywałym zapałem i poświęceniem, spotykały nas zaraz na wstępie przykre i niespodziewane prawie dla nikogo zawody. Prezes dr Leo, poza swoją głęboką wiarą i niesłabnącą nadzieją, nie mógł w dalszym ciągu podać nic konkretnego co do stanowiska rządu austriackiego w sprawie polskiej. Odezwa zarówno Koła polskiego jak i Naczelnego Komitetu Narodowego, obracając się jedynie w ogólnikach, po przeminięciu pierwszych uniesień i nastrojów, zaczęła budzić zastrzeżenia i to nawet u niektórych z tych, co ją podpisali. Uważano, że wzięliśmy na siebie za wielką odpowiedzialność wobec narodu, nie dając mu żadnych gwarancji, czy jego wysiłki i ofiary nie będą zmarnowane.

Rozmowy na ten temat prowadzono i u nas prawie że codziennie zastanawiając się, co dalej robić należy. Najmniej troski okazowali socjaliści, czyniąc stałe usilne zabiegi o mianowanie Piłsudskiego naczelnym wodzem Legionów. Widać było, że ta sprawa górowała u nich ponad wszystkimi.

Zaczęły się też kwasy i podejrzenia. Wielu było przekonanych, że dr Leo i grupa ludzi do niego zbliżona prowadzą jakąś grę nieszczerą, może nawet podwójną, a prawdę z niewiadomych powodów starają się ukryć pod korcem. Stawiano sobie nawet pytanie, czy dr Leo i jego najbliższych ludzi więcej interesują sprawa polska, czy austriacka. Choć to podejrzenie było zupełnie niesłuszne i dla dr. Leo krzywdzące, jednak nie brakło takich, co w nie wierzyli, starając się różnymi przykładami dowieść o czarno-żółtym przekonaniu prezesa Koła polskiego i Nacz. Kom. Narodowego. Wielka wyrozumiałość dr. Leo dla rządu austriackiego i tłumaczenie, a co więcej, usprawiedliwianie jego postępowania zaczęły jeszcze to podejrzenie umacniać. Wiara malała i zapał przygasał, gdy się stawało coraz więcej widoczne,

że rząd austriacki prowadzi jakąś fałszywą, jeżeli nie zupełnie wrogą robotę.

Innego rodzaju podejrzania u ludzi odpowiedzialnych budziło postępowanie Piłsudskiego, garści ludzi jemu oddanych, a także i socjalistów. Wszyscy oni wiedzieli, że ów rząd narodowy był zwyczajną fikcją, że Piłsudski zakpił sobie ze wszystkich, a najwięcej ze swoich przyjaciół, w sposób wprost niedopuszczalny, że krok ten może sprowadzić ciężkie następstwa. A mimo to ta kopnięta i oszukana przez niego Komisja Tymczasowa nie tylko że nie istniejący rząd uznała, jemu się podporządkowała, ale wydała od siebie odezwę do Narodu popierającą go. W ogonie tej komisji znaleźli się także socjaliści. Wiedzano z tamtej strony doskonale, że w Królestwie nikt się nie ruszył za Piłsudskim, bo albo tam wszystko szło za Rosją, albo się trzymało na uboczu, nie chcąc się angażować w żadne zbrojne ruchawki przeciw „Moskalowi”, który mógł każdej chwili powrócić i swoją zemstę na słabych i bezbronnych wyrzucić. Mówił przecież o tym specjalnie do Warszawy wysłany człowiek i to ich człowiek, a sam Daszyński oświadczył publicznie, że „Królestwo jest domem wariatów, chorym na rosyjską niewolę”. I w tym Królestwie wśród takich warunków tworzy się Rząd Narodowy, a Piłsudski, znający te stosunki dokładnie, temu rządowi podporządkowuje się bez zastrzeżeń.

Nie było również tajne, że Piłsudski, nie mogąc uzyskać poparcia ani od rządu austriackiego, ani od wojskowości, przeszedł granicę rosyjską z garstką młodzieży, przeważnie nieuzbrojonej, nawet nie ubranej. W karabiny nowszego systemu zaopatrzona została zaledwie jedna kompania kadrowa, a 500 przestarzałych karabinów jednostrzałowych dostała cała wyprawa od austriackiego kaprała w Krzeszowicach. Skąpe zapasy amunicji nieśli przyszli bohaterzy w kieszeniach, bo im nie dano ładownic. Cała zaś kawaleria Piłsudskiego składała się z 8 ludzi i 3 koni, pięciu tych kawalerzystów niosło siodła na plecach, spodziewając się zdobyć konie w Królestwie.

Wiadomo było, że Piłsudski wyprawiając tę garstkę strzelców do Królestwa i hazardując swoje przedsięwzięcie, nie miał najmniejszej gwarancji ze strony rządu austriackiego, ani też wojska, a jedynym dokumentem, jaki miał w rękę, była przepustka, wystawiona przez szefa oddziału wywiadowczego, kapitana Rybaka, pozwalająca mu na przekroczenie granicy.

Jak zaś socjaliści lekkomyślnie traktowali całe to wielkie zagadnienie, dowodziła rozmowa, przeprowadzona pomiędzy prof. Stanisławem Grabskim, a posłem Daszyńskim. Ten ostatni dziwiąc się, że prof. Grabski domaga się gwarancji ze strony rządu,

powiedział: „Wy chcecie sankcji z Wiednia do rozpoczęcia walki, my zaś tylko manlicherów”. Kiedy im nawet tego odmówiono, wyprawiali ludzi z gołymi rękoma.

Fikcyjne zwycięstwo

W najwyższym stopniu musiały też razić i niepokoić kłamstwa, których się chwycili socjaliści, chcąc nimi zakryć prawdziwy stan rzeczy. Opowiadali szeroko wprost nieprawdopodobne historie, roznosili przeróżne wiadomości. Rywalizując z austriackim sztabem głównym, krakowski ich dziennik „Naprzód” w numerze z dnia 10 sierpnia przyniósł wiadomość o stoczonyj w okolicy Miechowa bitwie pomiędzy wojskiem rosyjskim a Strzelcami Piłsudskiego. Wyliczył nawet, że w tej bitwie, rzecz naturalna zwycięskiej, padło 140 Strzelców i 500 żołnierzy rosyjskich. Kiedy wiadomość ta, podana tłustym drukiem, obiegała cały kraj, dostała się nawet do Wiednia, gdy posypały się pochwały i wyrazy podziwu i uznania dla polskiego męstwa, okazało się że żadnej bitwy pod Miechowem nie było. A przecież nie tylko „Naprzód” puścił w świat tę wiadomość, bo jeden z najwybitniejszych posłów socjalistycznych opowiadał z przejęciem o tej bitwie, podając najdrobniejsze szczegóły, a nawet nazwiska tych, co się w niej najwięcej odznaczyli. Tą wiadomością karmiono naiwną opinię przez parę tygodni, a gdy ona przebrzmiała, chwytano się innych; były one równie niepoważne jak i mało skuteczne, zostały też przekreślone wypadkami, idącymi niepowstrzymanie naprzód i nie dającymi rzeczywistości niczym zakryć.

Już w dniu 22 sierpnia w czasie wielkiej debaty na posiedzeniu sekcji zachodniej N.K.N., dotyczącej stanowiska stronnictw polskich w Królestwie, a także zbrodni niemieckiej, dokonanej na mieszkańcach Kalisza i Częstochowy, prezes tej sekcji, prof. Leopold Jaworski, sytuację dla N.K.N. w Królestwie i w Warszawie uznał za beznadziejną, określając ją jednym słowem, które brzmiało: „Rozpacz”.

Na tym samym posiedzeniu prof. Surzycki, który powrócił do Krakowa po zetknięciu się z różnymi obozami politycznymi w Królestwie, stwierdził, że realisci i Narodowa Demokracja są zwolennikami orientacji integracyjnej pod panowaniem rosyjskim. Żywiły postępowe i bezpartyjne uważają wystąpienie galicyjskie za przedwczesne, a jedynie słabe stronnictwa niepodległościowe opowiadają się za orientacją austriacką, choć i one od czasu proklamacji Mikołaja Mikołajewicza ogromnie przycichły.

Manifest Wielkiego Księcia stronnictwa zachowawcze uznały

bez zastrzeżeń za podstawę swej dalszej polityki. Po kościołach odśpiewano „Te Deum laudamus...”. Wojska rosyjskie, przechodzące przez ulice Warszawy, obsypywała ludność kwiatami. Atmosfera przyjaźni i zapału dla sprawy słowiańskiej rozgrzana do czerwoności. Tysiąc sześćset polskich „dobrowolców” zgłosiło się do broni po stronie rosyjskiej. Austria zaś w tym czasie robi wszystko, by stan ten podtrzymać.

Oslabienie zapału

Powodem wzrastającego bezustannie oziębienia i niewiary były wiadomości, jakie w dalszym ciągu nadchodziły z Królestwa. W końcu sierpnia przywiózł umyślny kurier, który się przedostał przez obozy wojenne, memoriał realistów i Narodowej Demokracji, potępiający proklamację Koła sejmowego z dnia 16 sierpnia i wskazujący, że tylko zwycięstwo koalicji daje Polakom widoki zjednoczenia wszystkich ziem polskich z dostępem do Bałtyku. Rolę Polaków idących z Niemcami określono w nim jako potworną.

Rezolucja Polskiej Partii Postępowej uznawała akcję rozpoczętą w Galicji za zgubną i niezgodną ze stanowiskiem zajęтым wobec Prus przez ogromną większość narodu polskiego. Centralny Komitet Obywatelski w odezwie publicznej pisał między innymi: „Kto mówi, że Austria z Prusami chce odbudować Polskę, jest zaślepionym marzycielem. Jeśli one zwyciężą, to przyjdzie nowy podział Polski i jeszcze większe rozbitcie narodu. Rozumiejąc to — pisze na końcu — nie dacie posłuchu uwodzicielom, ale zostaniecie spokojni i rozważni, nieczuli na wszelkie pokusy”.

Przedostały się też do Krakowa liczne odezwy i adresy, uchwalane przez różne stronnictwa polskie, organizacje i skupienia z podziękowaniem dla Mikołaja Mikołajewicza za jego manifest. Dokumenty te wszystkie były dostatecznym dowodem, że wówczas Królestwo Polskie, a przynajmniej jego świadoma część, wypowiada się przeciw N.K.N. i Legionom, a raczej ciąży do Rosji. Natomiast owe grupy rewolucyjne i opozycyjne, o których tyle mówiono, milczą jak zakłete, nie wydając ani jednej choćby tajnej odezwy. Gdzież one są? — musiał wtenczas zapytać każdy. Gdzież ten „Rząd Narodowy”, na którego rozkazy powoływał się nieraz Piłsudski i powiadał swoim żołnierzom, że on do nich przystąpił?

Pod wpływem różnych nowych wypadków szły też dalsze zmiany w poglądach. Ludzie zaczęli się pytać jedni drugich, czy

to wszystko nie jest wielką i szkodliwą farsą, która się musi katastrofalnie skończyć. Nawet na głębokiej wsi chłopci kiwali głowami, zastanawiając się, czy nie lepiej byłoby wszelkiej roboty zaniechać. Rozumowano, że przecież nie jest możliwa wspólna walka o najwznioślejsze ideały i kulturę z tymi, co wywołali Wrześnię, wprowadzili wywłaszczenia, pozbawiając drogą gwałtu Polaków ich odwiecznej własności, kierując się w stosunku do nich bezprawiem i brutalnymi metodami.

Poznańskie

Nastroje Poznańskiego nie były nam wciąż prawie zupełnie znane, gdyż ono uporczywie milczało. Mogliśmy się więc tylko kierować wiadomościami, które się stamtąd skąpo i rzadko przedostawały. Według nich szlachta tamtejsza stała prawie w całości za rządem niemieckim, popierając go na każdym kroku i reklamując przy tym głośno swoje oddanie i lojalność. Kiedy się o to zapytałem hr. Skarbka, odpowiedział mi krótko: „Niestety, ziemianie — Polacy w Poznańskim, to przeważnie swołocz”.

Chłopi nie zajmowali się tam sprawami politycznymi, spuszczając się na to, co inni za nich postanowią. Dość liczne i zamozne mieszczaństwo polskie zachowywało się też zupełnie biernie. Jedni i drudzy byli jakoby dość zadowoleni, szczególnie ze stosunków materialnych.

Nie zostało także dostatecznie wyjaśnione stanowisko polskiego duchowieństwa tej dzielnicy, które było zawsze patriotycznie nastrojone i miało wielki wpływ na masy ludowe. Znane natomiast było orędownictwo administratorów diecezji poznańskiej i gnieźnieńskiej, ks. biskupa Lipowskiego i prałata Dorszewskiego, wydane wspólnie dnia 9 sierpnia do duchowieństwa i wiernych, w którym powołując się na św. Pawła wzywają oni żołnierzy Polaków, ażeby jak przystało potomkom rycerskiego narodu spełnili mężnie swoją powinność w boju, obiecując, że „jeżeli w tej chwili mężnie stać będziemy przy monarsze naszym i przyczynimy się do zwycięstwa jego walecznej armii, uzna on w szlachetnym sercu swoim nasze sprawiedliwe wymagania i usunie to co nam dolega”. Obydwa dostojnicy duchowni wiedząc, że „nigdy nie wymarło w polskim społeczeństwie poczucie obowiązku wobec władzy z woli Bożej nad nim postawionej”, polecając wiernym swych diecezji „zwracać się w modłach codziennych do Pana Zastępców z błaganem o powrót cesarskiego wojska po wojnie z chwałą zwycięzców”.

Przybyli za parę dni delegaci Poznańskiego do Krakowa, po-

słowie do parlamentu niemieckiego, Władysław Seyda i Felicjan Niegolewski, twierdzili, że cała ludność polska w Poznańskim jak i niższe duchowieństwo jest zupełnie innego zdania, aniżeli ks. biskup Lipowski i prałat Dorszewski. Wszyscy też wiedzą, że obaj prałaci, wydając swoje orędzie, działali do pewnego stopnia pod przymusem, salwując interes dwóch stolic biskupich. Zresztą żaden z nich gorącą polskością nigdy się nie odznaczał. To samo można powiedzieć o znacznej części szlachty. Natomiast całe prawie niższe duchowieństwo, mieszczaństwo i chłopci są przepojeni nienawiścią do Niemców i raczej się skłaniają do orientacji rosyjskiej uważając, że ze strony Rosji nie grozi im tak wielkie niebezpieczeństwo. Nie zapomnieli tam przecież nikt z Polaków o pruskiej polityce eksterminacyjnej, która wzbogacona została przymusowym wywłaszczeniem ziemi polskiej i ustawą o zgromadzeniach, wykluczającą język polski. Nikt też przyrzeczeniom niemieckim nie wierzył.

Jeżeli czasem czy to w N.K.N. czy w społeczeństwie odezwał się jakiś głos, dotyczący Śląska Cieszyńskiego, to o Śląsku Górnym nigdy się nie wspominało, uważając go za stracony dla Polski na zawsze. Niewiele nadziei mieli także i sami Polacy śląscy, gdyż bardzo długo nie dawali prawie znaku życia.

Praca Stronnictwa

Ponieważ Polskie Stronnictwo Ludowe wzięło udział w N. K. N. wysyłając do niego według przyjętego klucza swoich przedstawicieli, zabraliśmy się bardzo energicznie do roboty. Praca na wsi, szczególnie w zachodniej Galicji, spadła przede wszystkim na nas, gdyż „Piaś” rozporządzał największymi wpływami, odpowiednimi ludźmi i potrzebnym aparatem organizacyjnym. W bardzo krótkim czasie urządzaliśmy zebrania we wszystkich niemal powiatach, wzywając ludność do Legionów i do ofiar. Ofiary te płynęły niezwykle obficie, a po każdym takim wiecu składano gotówkę i kosztowności, ochotnicy zgłaszały się dziesiątkami. Bardzo często panie zdejmowały obrączki, pierścionki, kolczyki i różne kosztowności, nawet pamiątkowe i rodzinne i rzucały na stół. Poseł Mikołaj Rey na wyekwipowanie oddziału legionistów ofiarował znaczną część swego majątku, bardzo poważne sumy złożyli też posłowie Angerman, Długosz, Średniawski.

Ofiarność, nawet pomiędzy najuboższymi, była wprost niezwykła. Nieraz się zdarzało, że ludzie oddawali ostatni grosz, odmawiając sobie zakupienia najbardziej potrzebnych rzeczy,

zwyczajni robotnicy, służący i służące przynosili bardzo często oszczędności uzbierane przez większą część życia. Nie pozostały także w tyle gminy, różne ciała zbiorowe i instytucje. Zapał doszedł tak daleko, że niejednokrotnie trzeba było ludziom zwracać uwagę, by trochę pamiętali o sobie. Na jedno zebranie w powiecie pilźnieńskim przysła kobieta wiejska chodząca o kulach, staruszka licząca przeszło 70 lat i wręczyła mi książeczkę kasy Reiffeisena w Łękach na 150 koron, przepraszając, że nie może dać gotówki, bo jej nie posiada. Zgorszona i zdziwiona była niezwykle, gdy od niej książeczkę nie przyjąłem, bo jej będzie wstyd. że się niczym nie przyczyniła do tak wielkiej sprawy, gdy inni to robią. Nie bardzo też była zadowolona, gdy jej hr. Rey powiedział, że za nią te pieniądze złoży. Takich wypadków można było liczyć na tysiące. Dziwić się też należało, skąd się to wszystko wzięło, bo ta ofiarność i zapał były czymś nowym i wprost niepojętym.

Rozkolportowana bardzo szeroko wiadomość, że Piłsudski z bardzo znacznymi siłami przekroczył granicę rosyjską i w zwycięskim pochodzie posuwa się naprzód, poruszyła ogromnie oczekującą niecierpliwie młodzież. Pod wpływem tych wiadomości, a często dla uniknięcia poboru do wojska austriackiego, zaczęła się ona masowo garnać do formacji legionowych. Nie było też prawie najbardziej zapadłej wsi, z której by się nie zgłosiło bodaj kilku czy kilkunastu ochotników.

Trudności z Legionami

Niebywały ten zapał został wnet bardzo silnie zmrożony milczeniem i postępowaniem rządu, stanowiskiem odmiennym Królestwa i Poznańskiego i wiadomościami, które przeciskały się na wieś o zachowaniu się różnych działaczy socjalistycznych i strzeleckich względem chłopów w Królestwie. Wiedzano, że rząd w dalszym ciągu zupełnie wyraźnie ignorował wszystkie postulaty, przez N.K.N. wysuwane. Najistotniejsze z nich były wówczas: Przysięga Legionów na wolność Polski, traktowanie ich jako jednej całości, wpływ N.K.N. na użycie Legionów przeciw Rosji na ziemiach polskich, odpowiednie uzbrojenie jednostek bojowych.

Tymczasem już dnia 27 sierpnia zakomunikowano prezesowi N.K.N. rozkaz naczelnego wodza, w którym odrzucił wszystkie te żądania. O tym dokumencie dowiedzieliśmy się znacznie później. Widocznie prezes, dr Leo, spodziewał się jeszcze coś naprawić, gdyż prawie w tym samym czasie nas zapewniał, że żą-

daną formułę przysięgi da się prawdopodobnie uzyskać. Wbrew jego zapowiedzi to się nie stało, a już dnia 2 września prezes sekcji zachodniej, prof. Jaworski, zakomunikował nam, że wszelkie usiłowania spełzły na niczym; Legiony rozdzielono, a gdy ofensywa rosyjska zbliżała się pod Kraków pułki 2 i 3 wysłano wraz z komendą na Węgry, gdzie wielu legionistów grób znalazło.

W dalszym ciągu przedostały się znowu wiadomości, że w Królestwie utworzono bardzo silną organizację, stojącą na gruncie koalicyjnym. Uznawała ona, że „jedna tylko przed narodem stała sprawa, rozbicie potęgi niemieckiej i zjednoczenie Polski pod berłem rosyjskiego monarchy”. Doniesiono nam też z oburzeniem, że po cofnięciu się Niemców spod Warszawy arcybiskup Kakowski odprawił uroczyste nabożeństwo w Warszawie za „pomyślność oręża rosyjskiego” i przesłał carowi dziękczynny telegram „w imieniu swoim i swojej owczarni”.

Dalej, że po stronie rosyjskiej, za zgodą naczelnego wodza armii rosyjskiej niejaki Gorczyński tworzy także polskie legiony, wprowadzając nowe zamieszanie.

Jeżeli to dziwne postępowanie wysokich dostojników duchownych polskich na górze załatwiano wzruszeniem ramion, to, o ile o nim wiadomości przedostały się na wieś, wywołały ogromne zdziwienie i zgorzzenie jeszcze większe. Dawały one też niektórym żywiłom podstawę do agitacji przeciw duchowieństwu, ułatwiając ją znakomicie.

Okrucieństwa niemieckie w Kaliszu, Częstochowie i wielu innych miejscowościach, przerażały ludzi swoją grozą i potwornością. Oburzały zaś ciągle rekwizycje, w których nie oszczędzano niczego i nikogo. W następstwie tych strasznych praktyk i zupełnej bierności i bezsilności N.K.N. coraz większa ilość nawet gorących jego zwolenników zaczęła wzruszać ramionami i pytać się, co to wszystko znaczy. Kiedy zaś na skutek zbliżania się wojsk rosyjskich N.K.N. przeniósł swoją siedzibę do Wiednia, kontakt pomiędzy nim i społeczeństwem rozluźnił się prawie zupełnie.

Do dalszego oziębienia pomiędzy wielką częścią narodu, a kierownictwem N.K.N. przyczyniło się stanowisko rządu wobec Legionów, które faktycznie stały się częścią armii austriackiej, a wbrew wielokrotnym zapewnieniom wysłano je na Węgry. Jeżeli się więc połączy te fakty i doda jeszcze zachowanie się pewnej części członków N.K.N., to nikt się nie zdziwi, że i u nas zobojeźnienie dla sprawy, którą popieraliśmy tak gorąco, wzmagano się z każdym dniem.

Na dobitkę złego niektóre oddziały legionowe wcale się u ludności dobrze nie zapisały. Dotyczyło to szczególnie żandar-

merii legionowej, która w pewnych powiatach Królestwa nie gorzej od Madziarów chłopów katowała, a nawet wieszała. Odbiło się to silnym echem po kraju, a dotarło także do N.K.N., który się zbyttnio tą sprawą nie przejął. Szczególnym okrucieństwem miał się odznaczać w Kieleckim wielki piśsudczyk, niejaki Kostek Biernacki, komendant żandarmerii legionowej.

W parę dni po posiedzeniu N.K.N., na którym to ta sprawa odbiła się przyciszonym echem, zgłosiło się do redakcji *Piasta* w Krakowie trzech chłopów, zdaje mi się z powiatu miechowskiego, szukających władzy, której mogliby się na postępowanie legionistów poskarżyć. Rozmawiałem dłużej z nimi, byli przybici, przygnębieni i bardzo silnie wzburzeni. Opowiadali wprost potworne rzeczy o „gołębiarzach”, którzy im żyć nie dają.

Poprowadziłem ich do prof. Jaworskiego. Tłumaczył on im długo i łagodnie, że wojna to nie przelewki i że dla ich przyszłej wolności i wolnej ojczyzny trzeba ponosić wszystkie, choćby i ciężkie ofiary. Chłopów jednak wcale nie przekonał. Podrażnieni porównywali te rządy z carskimi, a ponieważ porównanie wypadło na korzyść rządów carskich, zostali przez prof. Jaworskiego mocno za to porównanie zgromieni. Odeszli od niego ogromnie rozgoryczeni w przekonaniu, że nic się nie zmieni.

Niektóre oddziały legionistów zrażały ogromnie ludność rekwizycjami bezwzględnyimi i zachowaniem się przy nich. Najgorzej dawali się we znaki legioniści pochodzący z miasta, którzy sobie używali na „chamach”, opowiadając przy tym o ofiarach krwi i poświęceniach, jakie robią. Ich też najwięcej na wsi nienawidzono i najbardziej lekceważono, nazywając zwykłe „gołębiarzami”. Ani się biedni ludzie nie domyślali, że ci gołębiarze to przyszli udekorowani i uprzywilejowani obywatele, trzęsący nie tylko nimi, ale i Państwem.

Podróż do Lwowa

Na parę dni przed zajęciem Lwowa przez Rosjan byłem w tym mieście wraz z prof. Jaworskim i posłem Daszyńskim z ramienia N.K.N. Mieliliśmy tam z Prezydium sekcji wschodniej załatwić kilka spraw ważniejszych, a między nimi rotę przysięgi, jaką mieli złożyć przebywający we Lwowie legioniści w ilości paru tysięcy ludzi. Sprawa stawała się niezwykle pilna, gdyż Moskale silnie napierali w stronę Lwowa.

Jadąc autem z Krakowa, mieliśmy możność obserwowania po drodze wielu rzeczy, które musiały zwrócić naszą uwagę. Już od Rzeszowa począwszy wlokły się na zachód grupki żołnierzy,

chorych, zbiedzonych, obdartych, z bronią i bez broni. Ponieważ to zaczęło nas niepokoić, stanęliśmy we wsi Białostrzegi koło Łańcuta, gdzie przy studni zgromadziło się takich maruderów kilkudziesięciu, ażeby zasięgnąć od nich wiadomości. Opowiadali, że idą od Brodów, pułki ich zostały rozbite, albo zabrane do niewoli, nikt się nimi nie zajął, musieli sobie radzić sami. Teraz się posuwają na zachód, żywiąc się po drodze jałmużną, którą zresztą ludzie dość niechętnie dają. Poseł Daszyński rozmawiając z nimi stwierdził, że byli to Czesi, Polacy, Rusini i kilku Niemców. Z tego też wnioskowałam, że rozbiciu uległo co najmniej kilka rozmaitych pułków.

Koło Przemyśla zdarzały się grupy znacznie większe, a za nimi jechało sporo wozów zniszczonych i połamanych. Ciągące je konie przedstawiały też okropny widok. We wsi Żurawicy tuż pod Przemyślem, przy samej drodze, wisiało na drzewach paru ludzi. Stanęliśmy znowu. Ciała już były zeszywniałe, twarze wisielców posiniałe i powykrzywiane. „Panie prezesie — odzywam się do prof. Jaworskiego — przecież to niesłychane łajdactwo i barbarzyństwo”. „Ha, ha to wojna” odpowiedział Jaworski. Przechodzący i przerażony jakiś chłopina poinformował mnie, że wisielcy są chłopami ruskimi, a straceni zostali za zdradę, wiszą zaś już od paru dni. „Czy oni byli tymi zdrajcami naprawdę?” — zapytywałam. Chłop się obejrzał, ruszył ramionami i odszedł, nie powiedziawszy nic.

Droga w Przemyślu była tak zawałona wojskiem i wozami posuwającymi się na zachód, że tylko z wielkim trudem zdołaliśmy przejechać i to bocznymi ulicami. Widząc co się dzieje, obawialiśmy się natknąć w drodze na Rosjan, toteż zatrzymaliśmy się chwilę w mieście, starając się zebrać w jakimś urzędzie potrzebne informacje. W starostwie nam powiedziano, że wiadomości dokładnych nie mają, ale są pewni, że znowu od dwóch dni wojska austriackie idą naprzód.

Do Lwowa jechaliśmy bardzo powoli, gdyż droga była wypełniona tak wozami jak i wojskami rozmaitej broni, a szczególniej artylerią i konnicą. Daszyński, jak wiadomo oficer legionowy, uważał to za zły znak.

Jadąc natrafiliśmy znowu w różnych punktach na ludzi powieszonych masowo na drzewach. Przestaliśmy prawie rozmawiać ze sobą, gdyż to barbarzyństwo zamykało nam usta. Już koło Lwowa odezwał się Daszyński: „To jednak niesłychane, rozumieć można okropności wojny, ale nie można już zrozumieć takiego znęcania się nawet nad trupami”.

W takim nastroju dostaliśmy się do miasta. Przez Lwów przelewały się masy żołnierzy, tarasujące nam zupełnie drogę.

Pośród nich widać było ogromne masy uciekinierów, jadących na wozach naładowanych różnymi sprzętami, pościelą, pierzynami i krzyczącymi w niebogłoty dziećmi. Te krzyki, wrzaski, narzekania, przekleństwa i płacze mieszały się z komendą dawaną wojsku, rzadko słyszaną i wykonywaną. Wojsko to wyglądało okropnie, było zmizerowane, obdarte i przygnębione.

Nie mogąc się ruszyć autem, poszliśmy piechotą do wyznaczonego lokalu. Ponieważ spóźniliśmy się znacznie, oczekiwano nas tam z dużym niepokojem i obawą. Zanim przystąpiliśmy do narad panowie Kasznica, Skarbek i Cieński zakomunikowali nam o katastrofalnych klęskach armii austriackiej zaznaczając, że wiele oddziałów wojskowych przestało prawie zupełnie istnieć. Winę przypisywali niedołęstwu tak naczelnej komendy jak i wielu większych i mniejszych dowódców. Byli przekonani, że Lwowa bronić wcale nie będą zdolni. Zamieszanie w wojsku doszło do tego stopnia, że w dniu wczorajszym „Sokoli” postrzelali się z żołnierzami austriackimi, gdyż ci żołnierze wzięli „Sokołów” za kozaków, których ze strachu wszędzie widziano.

Mimo przez dwa dni prowadzonych narad, pomiędzy obydwojema prezydiami nie doszło do porozumienia. Lwowiacy kierowali dyskusję na sprawy zasadnicze, co nie tylko utrudniało porozumienie, ale drażniło także prof. Jaworskiego i Daszyńskiego. Nie załatwiono też i sprawy rotę przysięgi legionistów, nie tylko ze względu na różnice panujące między radzącymi, ale i na stanowisko rządu, który, jak twierdził Jaworski, był pod tym względem zupełnie nieubłagany. Zdaje mi się, że tu zupełnie niesłusznie lwowianie zarzucali Jaworskiemu nieszczerłość i złą wolę.

Prof. Kasznica mówił mi już przed samym odjazdem, że właściwie z naszej strony powinno się działać bardzo ostrożnie, gdyż jego zdaniem sprawy tak się układają, że Austria nic nam nie da, nie tylko że nie chce ale i nie może. Armia jej jest już w połowie zniszczona, ona sama więc zależy od Niemców, na których także spada cały ciężar wojny. Jeżeli one naporu nie wytrzymają, to za parę tygodni będą Rosjanie nie tylko w Przemyśle, w Krakowie, ale na Śląsku i we Wiedniu. Wprawdzie na froncie zachodnim mają Niemcy nawet duże sukcesy, ale to się niezawodnie zmieni, gdy armia angielska będzie w całości gotowa.

W każdym razie tego spodziewać się trzeba, że koalicja Niemcom pobić się nie pozwoli, bo ma więcej znacznie materiału ludzkiego i środków, dotychczasowe zaś jej klęski wynikają z braku odpowiedniego i wczesnego przygotowania, gdy Niemcy wcześniej wszystko rzucili na szalę. Oświadczył mi w końcu, że Legion Wschodni zostanie wywieziony na zachód ze Lwowa, ale

bez przysięgi, gdyż ani przyzium sekcji, ani sami żołnierze legionowi na taką rotę przysięgi nigdy się nie zgodzą.

Wsiadłszy do oczekującego nas auta, postanowiliśmy dojechać tylko na dworzec kolejowy, będąc przekonani, że się przecisnąć do Krakowa gościńcem nie zdołamy. I to nam się jednak nie powiodło. Tuż koło gmachu sejmowego dla uniknięcia zderzenia z innym autem jadącym z góry, nasz szofer skręcił gwałtownie w bok. Zderzenia uniknął, ale skutek był taki, że auto, uderzywszy o wysoką krawędź chodnika, zostało silnie uszkodzone, a my wszyscy przeskakując przez głowę szoferowi wpadliśmy do ogrodu jezuickiego.

Prezes Jaworski dźwigając się z ziemi przy pomocy szofera i naszej patrząc na mnie zupełnie spokojnie powiedział: „Dobrze, że się gorzej nie skończyło”. Pozbierawszy mocno stłuczone kości, z wielkim trudem dostaliśmy się na dworzec kolejowy, skąd na lokomotywie pociągu towarowego przyjechaliśmy nareszcie do Krakowa. Stało się to dzięki protekcji Daszyńskiego, który miał znajomość z kolejarzami.

Przysięga i rozbitcie

Na skutek uchwały N.K.N. zaprzysiężono dnia 4 września 3400 legionistów w Krakowie według formuły austriackiego politego ruszenia. Odczytano im przy tym część płomiennej odezwy prezesa dr. Leo. Dnia 5 września zaś zaprzysiężono ich 1800 w Kielcach. Niezaprzysiężonych pozostało jeszcze ponad 3800 ludzi. Wiadomo było, że Piłsudski na formułę przysięgi także się zgodził, choć się do tego nie chciał przyznać.

Gdy różne przeciwieństwa i rozbieżności czyniły zgodną współpracę wszystkich stronnictw w N.K.N. bardzo ciężką i trudną, to ostatnie wypadki uczyniły ją prawie niemożliwą. Niektórzy członkowie N.K.N. jak Skarbek, Cieński, prof. Surzycki, Rozwadowski, Stroński wystąpili z surową krytyką kierownictwa. Dr Leo się obrażał, odraczał i zamykał posiedzenia, czasem nawet bez powzięcia uchwał.

Wydział wojskowy sekcji wschodniej ze swoim szefem Aleksandrem Skarbkim wskutek postępów armii rosyjskiej musiał opuścić Lwów wraz z 4.000 legionistów. Idąc następnie do Jasła i Mszany Dolnej, legion ów powiększył się do 6.000 ludzi. Z Krakowa Piłsudski i inni naglili na złożenie przysięgi, legionieści takiej przysięgi złożyć nie chcieli. W końcu złożyło ją około 900 ludzi z Józefem Hallerem na czele, reszta się rozeszła. Legion Wschodni przestał istnieć.

Wypadki te wywołały awanturę na posiedzeniu N.K.N. w dniu 20 października 1914. Poseł Daszyński w swoim przemówieniu w sposób niezwykle brutalny zaatakował Skarbka, zarzucając mu, że zniszczył więcej wojska polskiego, aniżeli Paskiewicz. Narzekał, że to możliwe tylko w Austrii, bo w każdym innym, dobrze zorganizowanym państwie Skarbek siedziałby już dawno za kratą.

Poseł Sliwiński po gwałtownym przemówieniu chwycił za kałamarnicę, usiłując nim rzucić w prof. Strońskiego. Ostro im odpowiadali prof. Głabiński, Stroński, Rozwadowski, Skarbek i inni. Przy głosowaniu małą większością przyjęto wnioski, zwracające się przeciw rozwiązaniu Legionu Wschodniego i tym, co się mieli do tego przyczynić.

Wobec powyższych uchwał, ich treści, sposobu i tonu dyskusji złożyli swoje mandaty do N.K.N. Głabiński, Cieński, Skarbek, Vogel, Rozwadowski, Lubomirski, Surzycki, Stroński i Witold Czartoryski.

Oznaczało to w praktyce rozbitcie się N.K.N. Ci, co się usunęli, reprezentowali Narodową Demokrację, Podolaków, autonomistów, centrum i grupę krakowskiej „Rzeczypospolitej”. Ze strony pozostałej większości próbowano ten błąd naprawić, ale bezskutecznie, gdyż zbyt duża przepaść była wykopana. Myśmy się trzymali w pełnej rezerwie nie chcąc dolewać oliwy do ognia. Gorszyć jednak musiało postępowanie pewnej części członków N.K.N., którzy nie zawahali się przed publicznym oskarżeniem innych Polaków do władz zaborczych, wiedząc dobrze, jakie to może spowodować następstwa.

Jeżeli postępowanie Skarbka i jego przyjaciół można było tłumaczyć dobrymi intencjami i chęcią choćby częściowego usamodzielnienia Legionu Wschodniego, a jak się okazało i trzeźwym przewidywaniem, to wystąpienie Daszyńskiego nie mogło mieć żadnego usprawiedliwienia. Ton, treść, wyrazy, oskarżenia i porównywania tak daleko odbiegły od jego kultury i rozsądku, że znacznie wyprzedziły kałamarnicę nie zawsze dostatecznie zrównoważonego Sliwińskiego. On przynajmniej nie denuncjował. Przeciż w czasie, gdy zarzutem zdrady Polaków szermowali w Austrii nawet ludzie wysoko postawieni, było to umacnianiem zarzutów w skutkach swoich wprost nieobliczalnych. Mam dużo podstaw do stwierdzenia, że to postępowanie przyczyniło się do internowania Tadeusza Cieńskiego, Stanisława Strońskiego, prof. Kasznicy, uwięzienia posła Zamorskiego, a następnie wysłania go na front włoski. Poseł Skarbek, obawiając się aresztowania, musiał wyjechać do Szwajcarii i to za poradą i przy pomocy na-

miestnika Korytowskiego, wbrew radzie ówczesnego prezesa Koła Bilińskiego.

Moje postępowanie wobec N.K.N.

Tak w kierowniczych kołach N.K.N. jak i w Komendzie Legionów znano mój stosunek do nich i posądzono mnie, że wpływami swoimi starałem się usposobić Stronnictwo Ludowe dla nich nieprzychylnie. Był to zarzut powierzchowny i mocno nieścisły. Zaraz od rozpoczęcia akcji legionowej pracowałem dla niej nie tylko z obowiązku, ale także z głębokiego przekonania. Dla niej też usposabiałem jak najzyczliwiej chłopów, a często moje słowo i życzenia równało się rozkazowi u nich. Tym się też w pewnej mierze tłumaczy bardzo duży udział synów chłopskich w Legionach.

Kubłem zimnej jak lód wody, wylanej na moją rozpaloną głowę, były wypadki, o których wyżej wspominałem. One też bardzo rychło i silnie zachwiały moimi pierwotnymi poglądami i ostudziły bardzo mocno zapał, z jakim się do samej sprawy N.K.N. i jego polityki odnosiłem. Ale to nie wszystko jeszcze, gdyż były inne, może już mniej zasadnicze, ale dla mnie bardzo ważne powody.

W składzie N.K.N. znalazłem się jako jedyny włościanin pochodzący z tych terenów kraju, przez które przewalała się straszliwy walec wielkiej wojny. Własnymi oczyma musiałem patrzeć na zniszczenie i okrucieństwa na życiu i mieniu chłopów polskich, w sposób dziki i bezmyślny przez wojska austriackie i niemieckie dokonywane. A jeżeli u mnie mroziły krew w żyłach, to na bywalców kawiarni krakowskich, niektórych członków N.K.N. nie robiły wielkiego wrażenia. Gdy okrucieństwa i mordy musiały nami wstrząsnąć i oburzać do głębi, to oni je rejestrowali jako zwyczajne zbrodnie, wynikające z konieczności wojennej.

Widziałem jak ludzie ci, a szczególnie socjaliści krakowscy zachowywali się, gdy przyszły z Królestwa alarmujące wiadomości o masowym wieszaniu chłopów polskich przez Kostków Biernackich i różnych strzelców za ich rzekome moskalofilstwo, którym była zwyczajna obawa i przy tym zupełnie uzasadniona, przed powrotem Rosjan i represjami z ich strony. Ta gehenna chłopska tak mało owych panów interesowała, że w czasie obrad nad nią rozprawiali niektórzy spokojnie, ale zupełnie o czymś innym. Widziałem, że między nami a nimi jest nie tylko różnica, ale głęboka przepaść, która się nie da wyrównać ani zasypać. Dlatego

też miałem wielką obawę przed ich rządami w przyszłym małym z Austrią złączonym państwie polskim.

Mógł na przykład poseł Srokowski, przewidujący autor licznych artykułów w „Nowej Reformie” noszących tytuły: „Dlaczego musimy zwyciężyć?” i w swojej książce o N.K.N. kpić sobie ze mnie, że interesy osobiste i funkcje wójta w Wierchosławicach więcej mnie absorbowały aniżeli N.K.N., albo twierdzić, że szkody w parkanach, zbożu i mieszkaniu poczynione przez honwedów zachwiały moją orientację polityczną, wytykać mi, że ani na 5 minut nie odwiedziłem urzędzonego dla mnie biura. Mógł humorystycznie potraktować zniszczenie owoców wieloletniej pracy milionów chłopów wtenczas, kiedy ono wyciskało im gorzkie łzy, bo nie należał do tej sfery i nie czuł tych ciężkich rozlicznych udręczeń i krzywd, jakie ludność wiejska musiała znosić. Powtarzam, że ludność wiejska a nie ja, gdyż mnie honwedzi żadnej krzywdy nie zrobili, a w interesach nie mogli mi przeszkadzać, bo ich nigdy, a więc i wtenczas nie prowadziłem. Złośliwe uwagi Srokowskiego są równocześnie i bezpodstawne, gdyż się na szkody mnie wyrządzane nie skarżyłem, ale przedstawiałem okrucieństwa i krzywdy na wielu tysiącach chłopów dokonane. Że zaś ci chłopci wszyscy nie znali się na polityce i strategii wojennej Srokowskiego, a przeto nie chcieli mienia i życia dla niej poświęcać, to już nie moja w tym wina. Wiem, że mimo wielu licznych swoich wad i braków, ci prości chłopci zaczęli przewidywać upadek Austrii jeszcze wtenczas, kiedy Srokowski w „Nowej Reformie” walił bez pardonu koalicję i razem z Niemcami prawie codziennie zwyciężał.

Na posiedzenia N.K.N. i do biura dla mnie urzędzonego przestałem uczęszczać, kierując się w tym wskazaniem Stronictwa i własną wolą, gdyż po wielu doświadczeniach nie chciałem się z niektórymi ludźmi stykać. Byłoby zapewne o wiele lepiej, gdybym wtenczas powiedział głośno co myślę, ale się na to nie zdobyłem, wiedząc jakie następstwa miałyby moje wyznanie.

Losy Zamorskiego, Skarbka, Cieńskiego, Strońskiego, Kasznicy i innych mówiły o tym aż nadto wyraźnie. Nie pociągały też nikogo. Stamtąd też wyniosłem niezmienione dotąd przekonanie, że dla tych ludzi chłopci byli i jeszcze są tylko obiektem, którym się ma rozporządzać stosownie do wytworzonej sytuacji i w miarę potrzeby używać. Na to dawałem odpowiedź, na jaką mogłem się w tym czasie zdobyć. Sam wiem, że nie była ona dostateczna.

Nie będąc zwolennikiem Narodowej Demokracji, nie godząc się z jej krzykliwą taktyką ani orientacją niektórych jej ludzi, nie mogłem nie przyznać jej słuszności co do sprawy polskiej

w stosunku nie tylko do Austrii ale i co do Niemców. Prawdą przecież było niezbitą, że pozostawienie przy Niemczech Poznańskiego, Pomorza i Śląska równało się utraceniu tych ziem dla Polski na zawsze. A nie mogło być inaczej przy zwycięstwie mocarstw centralnych i austro-polskim rozwiązaniu i to jeszcze w najlepszym razie.

Można przecież było mieć także bardzo poważne wątpliwości, czy w razie zwycięstwa będą one w ogóle chciały tworzyć Polskę, a gdyby się to stało, na jakim obszarze i czy go nie uzależnią zupełnie od siebie, skazując na marną egzystencję. A przecież dawali swoim postępowaniem aż nadto do tego dowodów.

Nie można było również polegać na obietnicach Rosji, mając na pamięci jej postępowanie z Polakami. Rozdzieranie zabranych ziem, wydzieranie wiary, języka i to środkami najbardziej okrutnymi, nie mogło też budzić i teraz żadnego zaufania. Postępowanie zaś gubernatora rosyjskiego, hr. Bobrińskiego, w zajętej chwilowo przez Rosjan Galicji Wschodniej utwierdzać musiało wszystkich w przekonaniu, że na zmianę korzystną dla Polaków ze strony Rosji zupełnie nie ma co liczyć. Czy Narodowa Demokracja łudziła się jeszcze wtenczas, nie wiem, bo w postępowaniu jej ludzi tego nie zauważyłem, choć o ich moskalofilstwie często wspominali socjaliści, robiąc do endeków rozmaite aluzje. Wyjazd prof. Grabskiego i in. działaczy tego stronnictwa razem z uchodzącymi ze Lwowa wojskami rosyjskimi, mógłby na to wskazywać, choć może być, że inne na to złożyły się przyczyny.

W jednym jak się okazało endecy mieli rację, twierdząc nie-raz, że Rosja w koalicji czynnikiem decydującym nie jest i nie będzie, gdy Niemcy na wypadek zwycięstwa mocarstw centralnych same będą o układzie nowych stosunków decydować. Były to może przepowiednie na żadnych danych w tej chwili nie oparte. Nie stanowiły jednak w tym czasie wyjątku. Wiemy przecież, że mimo późniejszych przechwałek Piłsudskiego i jego zwolenników, nikt nie mógł przewidzieć, jakimi drogami potoczą się losy wojny i jakie będą jej następstwa. Toteż gorzej od tamtych przedstawiają się przechwałki Piłsudskiego, że on wszystko naprzód przewidział, gdy jego postępowanie zadaje temu kłam w zupełności.

Jeżeli kto, to Piłsudski powinien był wiedzieć, że ani Austria, ani Niemcy zwycięskie nie zgodziłyby się nigdy na utworzenie silnego Państwa Polskiego kosztem ziem polskich, które miały w swoim posiadaniu, a jednak wiązał się z nimi. Cóż więc mógł przewidywać na wypadek ich zwycięstwa? Nie mógł się też spo-

dziewać utworzenia Polski przez tych, przeciwko którym walczył, o ile siebie i tę garstkę legionistów traktował na serio.

Toteż to jasnowidzenie tak mocno spóźnione, mówiąc bardzo delikatnie, trzeba postawić pod wielkim znakiem zapytania, gdyż ponadto przyszło ono daleko po faktach dokonanych i bez jego woli.

Przecież to wszystko, co on zrobił, ażeby Niemcom do zwycięstwa dopomóc, jest aż nadto wymowne. On wszakże, mimo niepowodzeń i upokorzeń starając się o współdziałanie z nimi, nie tylko burzył wszelkie kombinacje, zdradzał i oszukiwał wszystkich, nawet najbliższych przyjaciół, ale zgodził się na użycie Legionów do niemieckiej służby szpiegowskiej, mającej za zadanie tropienie, wyłapywanie i oddawanie Niemcom samodzielnie myślących Polaków.

On przyjmował od Niemców pieniądze i stanowiska, robił starania o dalsze, mając przede wszystkim siebie na myśli. Po faktach dokonanych i jego kompromitujących, raptownie stał się zwolennikiem innej orientacji, windowany na proroka przez socjalistów i „Wyzwoleńców”, a z niesłychanym tupetem okrzyczany geniuszem przez garstkę bezczelnych jego służalców i zwolnników, wyzyskujących bierność na pół martwego społeczeństwa. Czy to ma być przewidywanie?

Mimo dużej sympatii i szacunku dla rozumu, zdolności i pracy tak prof. Jaworskiego jak i prezesa dr. Leo, nie miałem nigdy pełnej wiary w ich politykę z tych czasów, uważając ich za zanadto związanych z Austrią, budujących wszystko na niej, przyzwyczajonych do lojalizmu i zaślepionych wiarą w starego i zniedołężniałego cesarza. Obydwaj nie mogli inaczej myśleć ani robić. Z tym się zresztą nie taili sami, gdy rozmawiałem z nimi, wysuwając swoje zastrzeżenia i wątpliwości.

Socjaliści kierowali się prawie wyłącznie nienawiścią do systemu rządu w Rosji, stawiając sprawę raczej na gruncie społecznym. Z Austrią łączyły ich stosunki od dawna. Czuli do niej wdzięczność nie tylko za reformy pozwalające im rósć w siły, ale także za pomoc daną robotniczo prowadzonej przez Piłsudskiego i innych rewolucjonistów w Galicji. Sam zaś wódz socjalistów, Daszyński, wydawał mi się aktorem, który nigdy nie mógł zejść ze sceny, upajając się frazesami, a nawet własnymi słowami. Mimo swej świetnej wymowy był człowiekiem płytkim, łasym na tanie sukcesy, goniącym za popularnością, poświęcającym często sprawę dla niej, a przy tym uważającym się zawsze za nieomylnego. Dał się ponadto kierować Piłsudskiemu, który w tym czasie zrobił z niego marionetkę, pozbawioną zupełnie własnej woli.

Głębińskiemu, Strońskiemu, Skarbkowi, Czartoryskiemu, czy Cieńskiemu można było zarzucić wiele pod względem ich poglądów społecznych, ale pod względem narodowym w moim rozumieniu nie tylko byli bez zarzutu, lecz wyżej stali od tamtych, gdyż nie tylko mieli odwagę wyznawać swój pogląd, ale go także publicznie wypowiadać, wiedząc jakie to może mieć dla nich następstwa. Stąd pochodziła moja rzekoma endeckość, gdyż z opinią swoją wcale się nie tałem. To doprowadziło z czasem do usunięcia się naszego od współpracy z N.K.N., a w końcu do wystąpienia z niego, do czego się w znacznym stopniu przyczyniłem.

Z oficerami austriackimi-Polakami, przydzielonymi do Legionów, a szczególnie tworzącymi ich Naczelną Komendę, nigdy się w tym czasie nie spotkałem. Znałem ich więc jedynie ze sprawozdań N.K.N.owi przysyłanych i dyskusji nad nimi prowadzonej. Byli oni w niej często atakowani przez jednych, brani w obronę przez drugich. Czy słuszność mieli atakujący czy broniący, nie wiedziałem i dlatego też w tych sprawach głosu nie zabierałem.

Na oczy nie widziałem również brygadiera Piłsudskiego, choć wiedziałem, że dość często bywał w Krakowie i z niektórymi członkami N.K.N. prowadził długie, nocne rozmowy. Różne też były o nim opinie. Daszyński, bliski jego podobno osobisty przyjaciel i towarzysz partyjny, zostający pod jego urokiem, opowiadał na posiedzeniu N.K.N. cuda o bohaterskiej odwadze Komendanta, którą nazywał dziką, o niespotykanych zdolnościach i bezwzględnym poświęceniu, uważając go za jedynego człowieka, na którym Polska może polegać i budować.

W N.K.N. był jego widocznym echem, stawiając bardzo często żądania i wnioski, niemożliwe do spełnienia, a czasem nawet wykluczające się wzajemnie. Ponieważ ponadto miały one nieraz tło wybitnie osobiste z pominięciem sprawy ogólnej, wywoływały czasem opór u niektórych członków N.K.N. Używając najsilniejszego wówczas argumentu, oświadczał Daszyński, że to jest żądanie „obywatela Piłsudskiego”. To zwykle pomagało, a N.K.N. stawał się w ten sposób znowu marionetką w ręku Piłsudskiego.

Kiedy raz stanął dęba, nie chcąc się zgodzić na jakieś jego żądanie, Daszyński oświadczył, że jeżeli się to nie stanie, Piłsudski popełni samobójstwo, gdyż mu to osobiście oświadczył, a on zna dobrze Piłsudskiego. Ta okoliczność dała znowu Daszyńskiemu sposobność do wygłoszenia wielkiej mowy na temat tego nieszczęścia i na jego skutki. Nieszczęścia uniknięto, gdyż N.K.N. ustąpił, choć z bardzo kwaśną miną to uczynił.

Po jednym takim posiedzeniu zaprosił mnie do siebie prof.

Jaworski. Bardzo spokojnie przedstawił swoje poglądy na sprawy ogólne, a nie szczędząc krytycznych uwag dla rządów austriackiego i niemieckiego, zaznaczył, że musimy mimo to wytrwać do końca przy nich, bo one na pewno w tej wojnie zwyciężą i od nich, chcemy czy nie chcemy, los nasz będzie zależał.

W zwycięstwo koalicji nie wierzy, gdyż jest ona zbieraniną, która się nigdy nie zdobędzie ani na jednolity plan, ani na komendę. Dla pięknych oczu nikt nam nic nie zrobi., nie zrobią też i mocarstwa centralne. Trzeba nie tylko im stawiać żądania, ale poprzeć je odpowiednią siłą. Wykazać solidarność w pracy i postępowaniu a przy tym zupełną wobec nich lojalność.

On nie chce i nie może swojej woli narzucać żadnemu stronnictwu, ale uważa za obowiązek mi powiedzieć, że postępowanie niektórych z nich podkopało nasz kredyt u rządu, co by należało jak najspieszniej naprawić. Popsuł też wiele Daszyński swoimi nie przemyślanymi i wybuchowymi wystąpieniami. Najgorzej zaś przedstawia się sprawa z Piłsudskim, który nie tylko że sprawia wiele kłopotu N.K.N.-owi swoją osobą, ale paraliżuje jego działalność, a nieraz ją nawet kompromituje.

On osobiście musi tracić wiele czasu i zdobywać się na nadludzką cierpliwość, by łagodzić walki w Legionach, prowadzone i podsycane przez Piłsudskiego. Jest to dla niego tym przykrejsze, że widzi w nich tło zupełnie osobiste. Piłsudski chce, a jednak nie może zostać Komendantem Legionów i nim nie zostanie, bo się rząd na to nigdy nie zgodzi.

Zadzieranie jego z władzami wojskowymi austriackimi, i to zwykle w drobiazgach bez żadnego znaczenia, doprowadziło do zadrażnień, które uniemożliwiają współpracę i przynoszą niepowetowaną stratę polityczną. My z nim będziemy mieli jeszcze bardzo wiele kłopotu, bo to jest człowiek nadzwyczaj chytry z szerokimi łokciami i nie cierpiący nikogo na swej drodze.

Byłem zdziwiony, kiedy w pewnym momencie prof. Jaworski, przeprosiwszy mnie wstał z miejsca, otworzył drzwi od biura, rozejrzał się po korytarzu, a potem je zamknął na klucz. Wróciwszy na swoje miejsce odezwał się do mnie: „Lepiej być ostrożnym, gdyż ja mam panu do powiedzenia o kilku sprawach tak ważnych jak i przykrych, pod warunkiem jednak, że pan nikomu o nich słowa nie powie, dopóki ja się na to nie zgodzę”.

Kiedy mu to przyrzekłem, zaczął:

„Pan wie zapewne, że Piłsudski nie mogąc dowolnie zawsze rozporządzić N.K.N.-ym, stworzył sobie drugą organizację polityczną, która nosi nazwę Polska Organizacja Narodowa. Zadaniem jej ma być prowadzenie działalności na terenie dawnego Królestwa, na co N.K.N. nie chciał, ani nie

mógł się zgodzić. Organizacja ta pozostaje pod rozkazami i zupełnym wpływem Piłsudskiego, który odgrywa wobec nas rolę dwulicową. Jak mu potrzeba, opiera się na powadze N.K.N., a jak mu się coś staje niewygodne, to wysuwa Polską Organizację Narodową, zupełnie mu ulegającą. Organizacja ta zaś prowadzi akcję niebezpieczną, szkodliwą, a nawet kompromitującą. Mianowany z jej ramienia Michał Sokolnicki komisarzem w Kielcach wydaje zarządzenia nie tylko nie zgodne z intencjami N.K.N., ale, co gorsze, z przepisami międzynarodowymi, co może mieć bardzo przykre następstwa. W stosunku do ludności posuwa się do gróźb, a nawet okrucieństwa. Mam wiadomości sprawdzone, że żandarmi legionowi powiesili kilku chłopów. Od czasu, kiedy powodzenie wojenne zaczęło opuszczać Austriaków a dopisało Niemcom, Piłsudski przerzucił się ze swoimi ludźmi na ich stronę.

„Na podstawie osobnego układu zawartego przez jego mężów zaufania, Sokolnickiego i Jodkę, legioniści Piłsudskiego mają się zajmować wyłącznie wywiadami na rzecz armii niemieckiej, aresztowaniem osób podejrzanych i odstawianiem ich do niemieckich sądów wojskowych. Znając tych ludzi, można się spodziewać, co się tam dzieć będzie. Ja jestem tym zmartwiony i przerażony. Nie tylko że służba podobna stała się niesłychanie upokarzająca dla legionistów, ale wywołała ona ogromne oburzenie u ludności, która się jeszcze więcej odwróciła od nich.

„Zachowanie się ludzi Piłsudskiego w stosunku do duchowieństwa i uczuć religijnych ludności pozostawia także bardzo wiele do życzenia. Ilustruje to między innymi zatarg z ks. Łosińskim, biskupem kieleckim.

„Na podstawie umowy z dnia 2 października, zawartej między wojskownością niemiecką a ludźmi Piłsudskiego, mieli Niemcy dostarczyć legionistom paręset karabinów. Tego nawet nie dotrzymani, a udziałem naszym pozostała tylko kompromitacja. O drobnych i bardzo nieprzyjemnych rzeczach nie będę panu mówił, gdyż to są wiadomości przeze mnie nie sprawdzone; spodziewam się, że za kilka dni dostanę dokumenty, które je potwierdzą. Ja o tym wszystkim nie chcę opowiadać nikomu, ale sam jestem niesłychanie przygnębiony i od czasu, jak te wiadomości mi przyniesiono, chodzę jak nieprzytomny”.

Prof. Jaworskiemu odpowiedziałem bardzo krótko, co myślę o sprawie polskiej i mocarstwach centralnych, jakie jest zapatrywanie i postępowanie naszego stronnictwa, a co do Piłsudskiego wstrzymałem się od wypowiedzania swojej opinii, uważając że słowa Jaworskiego są zapewne słuszne, a opinia niezawodnie miarodajna i bezstronna.

Nie był nim też wcale zachwycony dr Leo, uważając Piłsudskiego za zdolnego do każdej intrygi, bez względu na jej następstwa. Widział w nim wiele zalet, ale twierdził, że jego upór, przesadna ambicja i brak wszelkich skrupułów w całości je przekreślają. Na dowód swojego twierdzenia opowiadał mi też parę szczegółów, wcale nie budujących, a między nimi historię z owym Rządem Narodowym w Warszawie i postępowaniem Piłsudskiego z najbliższymi nawet przyjaciółmi. Widzi też wielką niekonsekwencję w jego postępowaniu. Wie, że czerpał i jeszcze czerpie z kas austriackich, a zachowuje się nie tylko nieojalnie, ale i nieprzyzwoicie. Po prostu nie wiemy, co z nim zrobić, bo mając

tyle przeszkód i kłopotów wszędzie się jeszcze napotykały na Piłsudskiego, na jego pretensje i wywoływane przez jego ludzi awantury. Wysłuchawszy tego, nie odpowiedziałem nic, lecz rozmowę powtórzyłem kilku naszym ludziom.

Postępy i cofanie się wojsk austriackich

Wojna światowa toczyła się już od kilku miesięcy. Komunikaty generalnego sztabu austriackiego donosiły o ciągłych zwycięstwach i postępach obydwu cesarskich armii. W kościołach odbywały się w dalszym ciągu uroczyste i dziękczynne nabożeństwa, odprawiane z rozkazu władz, albo z własnej gorliwości, przez wszystkich niemal księży. Radość panowała jeszcze ogólna, nastrój był wciąż podniosły.

Na wsi psuły go znacznie dalsze rekwizycje resztek koni, bydła i wozów, jak również listy nadchodzące od żołnierzy, których treść bardzo odbiegała od oficjalnych komunikatów. Tłumaczono sobie jednak, że zapewne na wojnie nie może być inaczej.

Rzeczywiście, że z początku wojska te robiły postępy, zwyciężały i posuwały się naprzód. I gdyby bombastyczne komunikaty sztabu były w całości prawdziwe, to właściwie armia rosyjska dawno przestałaby istnieć, wojna z nią dla Austriaków jest tylko spacerem, a wojska austriackie dlatego nie zajęły Kijowa i Moskwy, bo tego jeszcze zrobić nie chciały.

Od pewnego czasu coś się jednak na dobre zmieniło. Nawet bardzo lojalni i gorliwi czytelnicy komunikatów musieli zauważyć, że te tak częste i wielkie zwycięstwa armii austriackiej zaczynają się zbliżać do Lwowa, potem do Przemyśla, Rzeszowa, Tarnobrzegu, a nawet innych punktów, bliżej Krakowa położonych. Ale i na to umiano znaleźć odpowiednie tłumaczenie. Gdy 3 września 1914 armia rosyjska zajęła Lwów i posuwała się naprzód, w komunikacie sztabu generalnego podano, że został on dobrowolnie ze względów strategicznych i humanitarnych przez armię austriacką opuszczony. To samo niemal powiedziano o twierdzy przemyskiej, kiedy padła w marcu 1915 r. Nikt jednak temu wykrętnemu tłumaczeniu nie dawał już wiary, bo rzeczywistość mówiła wręcz coś innego.

W Tarnowie i na wsi

Kiedy jednego dnia po jakimś posiedzeniu w Krakowie do-
stałem się wieczorem do domu, zastałem tam list starosty tar-

nowskiego, Reintera, z prośbą o natychmiastowe przybycie do niego. Stosując się do życzenia i będąc ciekawy, co on mi powie, wyjechałem na drugi dzień rano do Tarnowa. Przybywszy do miasta, wstąpiłem najpierw do sekretarza rady powiatowej, Przybyłkiewicza, ażeby zasięgnąć u niego języka, gdyż nie dowierzałem Reinterowi. Od Przybyłkiewicza dowiedziałem się, że wszystkie urzędy w Tarnowie dostały już nakaz przygotowania się do ewakuacji, a nawet niektóre z nich bardzo po cichu wyjechały, zabierając ze sobą ważniejsze akta i papiery. Według jego wiadomości należy się spodziewać wojsk rosyjskich najwyżej za kilka dni w Tarnowie.

Po zebraniu tych informacji poszedłem do starosty, spodziewając się już z góry, co mi powie. Po wstępnej rozmowie radził mi dość stanowczo i urzędowo choć delikatnie, ażebym z Wierzchosławic wyjechał na razie choćby do Krakowa, bo jako zaangażowany w robocie legionowej mogę mieć grube nieprzyjemności od wojska rosyjskiego, a poza tym rząd przywiązuje do mojego zachowania się bardzo dużą wagę. Kiedy się go zapytałem udając, że mi nic nie wiadomo, czy naprawdę Rosjanie zwyciężają i idą naprzód, odpowiedział, że tak źle nie jest, ale lepiej być zawczasu ostrożnym. Mimo jego nalegań, nie dałem mu stanowczej odpowiedzi zaznaczając, że przecież mam jeszcze dosyć czasu do namysłu. Wyszedszy na miasto, udałem się w rozmowę z różnymi znajomymi, w czasie której się przekonałem, że zdradzona mi przez Przybyłkiewicza tajemnica jest wszystkim niemal wiadoma, gdyż ogólnie spodziewano się przyjscia Rosjan lada dzień i głośno opowiadano o tym.

Wiadomość ta na wsi wywołała wprost nieopisany popłoch i przerażenie. O Moskalach zaczęto opowiadać okropne rzeczy. Głównym zajęciem wojsk rosyjskich miał być rabunek, gwałt, mordowanie i gwałcenie kobiet. Toteż ludność cała drżała ze strachu, szczególnie zaś bały się młodsze kobiety, które, o ile mogły, masowo wyjeżdżały na zachód, unosząc zagrożone życie i cnotę. Czekano też z drżeniem na te straszne chwile, żyjąc przekonaniem, że wszystkie okrucieństwa dokonywane przez wojska austriackie i węgierskie są dziecinną igraszka w obliczu tego, co robią Moskale.

Minęły nareszcie straszne i długie dni oczekiwania. Czas jesienny, słotny, zimny, błota wszędzie po kolana. Wszystkimi drogami, miedzami i polami cofają się w nieładzie niedobitki owych „zwycięskich” wojsk spod Lublina i Kraśnika, idąc prosto drogą na Kraków. Drogę tę znaczyły okrucieństwami, rabunkami i zniszczeniem wszystkiego, co jeszcze pozostało.

Zbiedzeni, obdarci, zdemoralizowani żołnierze skarżą się

przede wszystkim na głód. „Rzepą, marchwią i surowymi kartoflami, kradzionymi z pola, żyjemy już przez dwa tygodnie. Uciekamy gdzie kto może. Straciliśmy konie, wozy, zapasy, broń i płaszcze, ażeby ratować życie” — powiadają nie pytani przez nikogo. Moskale mają wszystko, biją nas i bić będą.

Stanęli po wsiach dla dwudniowego odpoczynku. Zabierają resztki bydła, koni, wozów, uprzęży, zboża i siana, bez żadnej zapłaty. Wystawiają często kwity fałszywe i jeszcze drwią z ludzi w żywe oczy. Konie wojskowe wprowadzają do gumien i stodół ze zbożem jeszcze nie młóconym, pszenicy używają na podściółkę. Z ludnością zaczynają się obchodzić w sposób brutalny, a nawet okrutny. Wszędzie wietrzą zdradę i zdrajców, maltretują, biją, nierzadko mordują i wieszają bez winy i sądu. Najgorzej zachowują się honwedzi, natomiast żołnierze, Czesi, szydzą i śmieją się z Austrii, agitując przeciw wojnie pomiędzy przerażonymi cywilami.

Dla okolicy, w której mieszkałem, dni jesienne 1914 r. były momentem nie dającej się opisać grozy. Rosjanie napierali coraz więcej. Uciekające, zniechęcone wojska austriackie nie mogły im stawić prawie żadnego oporu. Sam słyszałem, jak żołnierze Polacy rozmawiali pomiędzy sobą o możliwości dostania się do niewoli, jak to robią Czesi. Gdy po dwóch dniach odpoczynku wojska odeszły, pozostawiły jednak silne patrole i zapowiedź urzędową rychłego powrotu. Nastąpił znowu dalszy ciąg niepewności, choć także względnego spokoju, bo jedni odeszli, drugich jeszcze nie było, a patrole nie dawały żadnego znaku życia. Ludzie chodzili jak na pół obłąkani, nie widząc z której strony i co im grozi.

Aż tu w nocy przerażający huk wstrząsnął całą okolicą. Szyby powypadały z okien, ludzie powychodzili na pole nie wiedząc, co się dzieje. To cofające się patrole austriackie wysadziły żelazny most kolejowy na rzece Dunajec. Potem przyszły mniejsze detonacje, świadczące o wysadzeniu mostów na drogach i różnych innych obiektów. Spalono też most na rzece Białej w Koszycach pod Tarnowem. Most ten drewniany, zbudowany z grubych belek i pokryty dachem miał być podobno jedynym tego rodzaju zabytkiem budownictwa w Polsce, a sięgał początków XVIII wieku.

Moskali tym nie wstrzymano ani na chwilę, gdyż rzekę Białą przeszli bardzo wygodnym brodem, tuż koło mostu, który jeszcze w dolnych częściach płonął. Ta niemądra, niszczycielska robota wywołała ogromny żal i rozgoryczenie u całej okolicznej ludności.

Po tej strasznej nocy, pełnej wprost piekielnej udręki, na-

stał wreszcie tak upragniony dzień. Rano zaczęły się utarczki między patrolami rosyjskimi i austriackimi w okolicy dworu i plebanii w Wierzchosławicach. Po oddaniu strzałów z obu stron, słaby patrol rosyjski cofnął się szybko, uciekając w zarośla Dunajca. Przez dwa dni prawie Rosjanie nie wkraczali, choć mówiono, że zajęli Tarnów i że wojsko rosyjskie w dużej masie ma się znajdować w zaroślach i wiklinach rzeki Dunajca.

Korzystając z tej przerwy, poszedłem rano do kółka rolniczego, tak dla zasięgnięcia wiadomości, jak i wydania poleceń pracownikom młyna i kółka rolniczego na wszelki wypadek. Przed domem kółka spotkałem się z proboszczem ks. Franczakiem. Był niezwykle niespokojny i przerażony. Pytał się, czy by nie należało, byśmy obydwaj, on jako proboszcz, ja jako wójt, na czele ludności wyszli z chlebem i solą przed wojska rosyjskie, kiedy będą wkraczać w granice gminy. On poza tym zabiłby wieprzka, poleciał kupić trunków, ażeby przyjąć starszyznę, a przez to zaskarbić sobie jej względy i uchronić ludność od gwałtów i rabunków. Słuchając tych wywodów i projektów ks. proboszcza, zdziwiłem się niepomiernie. Przecież tak niedawno jeszcze śpiewał w kościele na cały głos hymn austriacki, a teraz z taką łatwością witałby nowych panów. Nie wdając się w dyskusję, krótko mu oświadczyłem, że ja się w żadne ceremonie bawić nie myślę, a jemu także tego nie radzę.

W gospodzie kółka rolniczego spotkałem Wincentego Stawarza, gospodarza ze wsi Gosławice, nad samym Dunajcem położonej. Opowiadał mi, że dziś wczesnym rano widział żołnierzy rosyjskich, przechadzających się po wale po drugiej stronie rzeki. Gdyśmy za jakiś czas wyszli na drogę, zobaczyłem jak trzech kozaków konnych wpadło na podwórze plebanii. W tym momencie słychać było kilka strzałów karabinowych, po czym kozacy odjechali co konie mogły wyskoczyć w kierunku wsi Komorowa.

Okazało się, że na plebanii był duży patrol Kroatów, o których kozacy nie wiedzieli, a który ich także w pierwszej chwili nie spostrzegł, targując się o cenę chleba ze skąpą gospodynią ks. Franczaka. Na widok wjeżdżających w podwórze kozaków, Kroaci rzucili chleb, oddali kilka strzałów i uciekli w drugą stronę.

Widząc, że to nie przelewki, gdyż od strony Wojnicza pokazały się także większe rosyjskie patrole, pożegnaliśmy się ze Stawarzem i każdy ruszył w swoją stronę, ażeby się już przez całą wojnę nie widzieć, gdyż jego na drugi dzień odcięła linia bojowa. Drogę, którą zmuszony byłem powracać do domu, Rosjanie gdzieś ukryci ostrzeliwali rzadkim ogniem karabinowym, jak mi się

zdawało z dużej odległości. Szedłem więc chyłkiem po rowach, a czasem leżąc w rowie czekałem, aż strzały ucichną. Tak idąc dopełzłem do domu już na późny wieczór. Rano wszystko ucichło, żadnego wojska nie było znowu ani śladu.

Ponieważ to była niedziela, ludzie podążyli do kościoła, oglądając się trwożliwie na wszystkie strony. Wnet po obiedzie zebrała się u mnie gromadka bliższych sąsiadów, ażeby się dowiedzieć coś nowego. Wszyscy zwracali wzrok ku wschodowi, spodziewając się w każdej chwili nadejścia wojsk rosyjskich stamtąd.

Wojsko rosyjskie i jego rządy

Jakoś koło godziny drugiej po południu zobaczyliśmy na skrócie drogi od Rudki galopujący w stronę lasów patrol austriacki, a za nim w odległości półtora kilometra duży oddział konnicy, postępujący wolno w stronę mojego domu. Gdy się zbliżył, wszyscy stanęli jak martwi, przekonali się bowiem, że to byli Rosjanie. Chłopi mieli jednak tyle czasu i przytomności, ażeby wyrazić zdumienie, dlaczego uciekających Austriaków nie ścigali. Oddział jadący zbliżył się pod samą bramę i, nie wjeżdżając w podwórze, stanął.

Komenderujący oficer podjechawszy do nas odezwał się: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Odpowiedzieliśmy mu chórem. Zwracając się do mnie zapytał, czy może z oddziałem ulokować się na podwórzu dla chwilowego odpoczynku. Odpowiedziałem twierdząco. Sąsiedzi rozgadali się z żołnierzami, co im nie szło trudno, gdyż pomiędzy nimi byli Polacy, a ja oficera zaprosiłem do izby. W trakcie rozmowy oświadczył mi, że wie dobrze, kim jestem, a umyślnie pojechał tą drogą dla spotkania się ze mną. Sam jest Polakiem, nazywa się Karpiński, służbę zaś w wojsku rosyjskim przyjął dlatego, że jest pewny, iż Rosja chce i może najwięcej dla Polaków zrobić, gdyż co najmniej zjednoczy wszystkie ziemie polskie pod swoim panowaniem. Wymownym tego dowodem odezwa głównodowodzącego armią rosyjską Wielkiego Księcia, Mikołaja Mikołajewicza. Mówił to ze spokojem, ale i z dużym przejęciem. Słuchając go byłem bardzo ostrożny przy wypowiedaniu swojego zdania, tym bardziej, że dowiedziałem się od niego, iż mam należyć do tych, na których polecono ze strony władz wojskowych zwracać pilnie uwagę.

Po godzinnej przeszło rozmowie pożegnał się ze mną, rzu-

cił krótką komendę, oddział ruszył prostą drogą na zachód. Nie omieszkał też zostawić mi kilku egzemplarzy manifestu Wielkiego Księcia Mikołaja. Zdziwiliśmy się niepomiernie, ja z powodu wynurzeń rotmistrza, moi sąsiedzi rozmową z żołnierzami, którzy im mówili prawie to samo.

Nad samym już wieczorem nieprzejrzone masy piechoty rosyjskiej zaległy okoliczne grunta, nie zbliżając się zupełnie do wsi. Szare ich płaszcze i przychodzący mrok nie pozwoliły rozeznaczyć bliżej, widziało się tylko wielką poruszającą się masę. Za chwilę zginęła i ona w wykopanych rowach.

Noc przeszła spokojnie, choć nikt z mieszkańców oka nie zmrużył, oczekując na te straszne rzeczy, które się dziać miały. Szczególnie przerażone były kobiety, opowiadając sobie różne wypadki gwałtów, jakich się dopuszczać mieli żołnierze rosyjscy w innych okolicach.

Sam także nie kładłem się zupełnie spać, rozmawiając całą noc z dwoma sąsiadami, którzy przyszli umyślnie do mnie, ażeby na wszelki wypadek stanowić obronę. Okazało się to zupełnie niepotrzebne.

Wczesnym rankiem część żołnierzy rozlaźła się po wsi. Bardzo zręcznie wyłapywali oni kury, indyki, gęsi u proboszcza zaś i w nadleśnictwie zabrali resztę koni i bydła. Po zjedzeniu obiadu opuścili bezzwłocznie wieś, zmierzając na zachód. Ludzie zaczęli ich nawet chwalić, bo nie tylko nikomu żadnej krzywdy nie zrobili, ale za indyki i gęsi bardzo dobrze zapłacili. Na drugi dzień przyjechał sztab z bardzo liczną starszyzną, popami, a nawet kilku elegancko ubranymi damami. Małe naładowane wózki jednokonne ciągnęły bez końca, był to tabor. Po dwóch dniach i to ustało, nastał zupełny spokój.

Po wsiach pokazały się obwieszczenia komendy rosyjskiej, w których zawiadamiano ludność o objęciu władzy nad powiatem, wzywając do spokoju i pracy, obiecując poszanowanie prawa i własności. Ludność czytała i wierzyła. Toteż każda ukradziona kura, kilka ziemniaków, a czasem jedno małe drewno sprowadzało do mnie całe gromady ludzi, którzy żądali, bym jako wójt temu przeszkodził i o zapłatę się postarał. Nie było to tak łatwo, gdyż o ile przechodząca główna armia zachowała się względnie przyzwoicie, o tyle żołnierze, pozostawieni na etapach, byli notorycznymi złodziejami.

Rabowali wszystko, co im w rękę wpadło, czy im to było potrzebne, czy nie. Bardzo często kradli bydło, konie, świnię, tylko po to, ażeby je za kilka rubli sprzedać w drugiej wsi. Ludność broniła się jak tylko mogła, choć z niewielkim skutkiem,

gdyż żołnierze rosyjscy do gwałtów byli bardzo skorzy. Dużo odwagi wykazały kobiety, które zaczepiających je żołnierzy waliły nieraz po głbie bez pardonu, zamykały w piwnicach i stajniach, słowem broniły siebie i dobytku z niesłychaną wytrwałością i zawziętością.

Przy rekwizycjach żołnierze rosyjscy zabili i poranili w okolicach dosyć dużo ludzi. Między innymi spotkało to wójta z Siedliszowic, Lisa, broniącego dobytku mieszkańców gminy.

Ja sam zaledwie uciekłem z życiem. O mały włos bowiem byłiby mnie żołnierze zarabali szablami z zemsty za to, że nie pozwoliłem sobie zabrać konia, a w czasie szarpaniny o niego, uderzyłem kozaka w twarz tak, że upadł na ziemię. Spodziejając się dalszego odwetu, wyszedłem zaraz z domu w stronę Tarnowa.

Przez Dunajec przewiózł mnie gospodarz z Gosławic, Jędrzej Padło, łódką ukrywaną w gęstych zaroślach rzeki. Przybywszy do Tarnowa, spotkałem zaraz na wstępie masy wojska rosyjskiego, leniwie snujące się po ulicach. Bardzo rzadko gdzie pokazał się jakiś cywil, a jeszcze mniej Żyd. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, oglądałem się za znajomymi, których dosyć miałem w Tarnowie. Będąc bez ubrania i grosza w kieszeni, w tych warunkach nie mogłem sobie dać żadnej rady. Z tych kłopotów wyratował mnie mieszkaniec Tarnowa, Michał Bernas, którego spotkałem już sam wieczorem na ulicy. Był on długoletnim urzędnikiem rady powiatowej, znał się od dłuższego czasu ze mną, dawniej jako mój zacięty wróg polityczny, od dłuższego czasu bardzo wierny przyjaciel. Na Moskali wcale nie narzekał, obawiał się raczej powrotu wojsk austriackich, do których czuł nieukrywaną nienawiść.

Na drugi dzień w jego ubraniu i z nim wyszedłem na miasto, ażeby obserwować ludzi miejscowych i żołnierzy. Chodząc mimo woli byliśmy świadkami niebywałej sceny. Żołnierze rosyjscy widocznie na skutek rozkazu wylewali wódkę i spirytus, z ogromnych beczek do rynsztoka na rynku, tuż koło ratusza. Ponieważ kilka beczek rozbili naraz, z wódki i spirytusu utworzyła się formalna rzeka. W mgnieniu oka setki ludzi rzuciło się na ziemię, łykając chciwie rozlany trunk.

Gęsto rozstawieni żołnierze bili kolbami i gwałtem odrywali pijących. To jednak bardzo niewiele pomagało. Za chwilę musiano ich odnosić, gdyż bardzo wielu straciło przytomność. Było to obrzydliwe widowisko, które wywarło na nas przykre wrażenie, tym bardziej, że żołnierze rosyjscy z tej okazji rzucali pod adresem Polaków rozmaite uwagi.

Generał Radko Dimitriew

Na drugi dzień za poradą Bernasia udałem się do burmistrza miasta Tarnowa, dr. Tertila, przedstawiając mu swoje żale i przykrości. Radził mi się pocieszyć tym, że takie rzeczy przechodzi także i on, każdego dnia i każdej nocy. Od niego dowiedziałem się, że komendantem okręgu jest znany bułgarski generał Radko Dimitriew, pozostający obecnie w służbie rosyjskiej. Dr Tertil twierdził, że ma on być bardzo przyzwoitym człowiekiem, a dla Polaków nawet przychylnie usposobionym. Władzę cywilną sprawuje przy nim oficer, który jest Polakiem z pochodzenia i po polsku mówi zupełnie dobrze.

Kiedy dr. Tertilowi przedstawiłem, jakich rabunków i gwałtów dopuszczają się na ludności Rosjanie, ofiarował się iść ze mną do generała Dimitriewa z przedstawieniem sprawy i prośbą o utworzenie przynajmniej kilku posterunków żandarmerii w powiecie.

Nie zwlekając ani chwili, poszliśmy do niego. Zameldował nas adiutant, mówiący niezłe po polsku. Za parę minut poprosił nas do siebie generał, mając już pod ręką tłumacza. Dr Tertil napomknął mu, że to niepotrzebne, gdyż obydwaj porozumieją się doskonale w języku francuskim. Generał Dimitriew był wówczas człowiekiem w sile wieku. Średniego wzrostu, krępy, marsowo wyglądający. Na nasze skargi oświadczył, że na świecie nie było, nie ma i nie będzie takiego wojska, które by nie kradło i nie dopuszczało się gwałtów. Wojsko rosyjskie pod tym względem także wyjątku nie stanowi, mimo że każde wykroczenie on surowo karze i karać będzie. Prosi o fakty gwałtów i nadużycia, a natychmiast wyda potrzebne zarządzenia i winnych pociągnie do odpowiedzialności. Godzi się na utworzenie nowych posterunków żandarmerii, ale pod warunkiem, że je ludność będzie swoim kosztem utrzymywać. Wyda również zarządzenie co do utworzenia straży obywatelskiej i jej uprawnień jeszcze w dniu dzisiejszym. Dr Tertil prosił, ażebym mu był pomocny przy opracowaniu regulaminu. W końcu pożegnał nas bardzo uprzejmie, jeszcze raz zaznaczając, że możemy na nim zupełnie polegać.

Byłem niesłychanie zdziwiony, gdyż danej obietnicy dotrzymał co do joty. Polecił mi też wydać zaraz legitymację, która mnie miała chronić przed gwałtami żołnierskimi i dawała możliwość wstępu do każdej władzy i poruszania się w powiecie. Na trzeci dzień przybyła do mnie żona przynosząc mi pieniądze, ubranie i wiadomość, że wrogi mi oddział żołnierzy odszedł już ze wsi.

Nie zatrzymując się ani chwili, wróciłem do gminy. Zwo-

ławszy małe zebranie, doprowadziłem do zorganizowania straży obywatelskiej, a następnie zgromadzenia potrzebnych funduszy na utrzymanie posterunków żandarmerii. Wyniosło to po koronie z jednego domu. Ludzie dawali dobrowolnie i chętnie, gdyż mogli żyć i oddychać spokojnie. To samo zrobiłem w niektórych gminach sąsiednich, inne wyprawiłem do generała Dimitriewa, który im dał te same uprawnienia.

Żandarmi owi oddawali nam bardzo duże usługi. Tępiłi złodziei, pędzili maruderów, pilnowali sklepu, młyna, patrolowali całymi nocami. Tylko dzięki nim liczne wsie mogły się zaopatrzyć w sól, naftę, mydło i inne niezbędne towary, jeżdżąc po nie do Bochni i innych miast, gdyż z Tarnowem nie było żadnego połączenia, promy zostały bowiem jeszcze dawniej zabrane, a mosty popalone.

Straż obywatelska spełniała także swoje funkcje z dużym pożytkiem dla mieszkańców. Nawarzyłem sobie z tego powodu kłopotu nie lada, gdyż władze austriackie po swoim powrocie oskarżyły mnie o zdradę stanu i trzy czy cztery podobne zbrodnie.

Żandarmi rosyjscy, z którymi się stykałem, pochodzili prawie wszyscy znad Wołgi. Z zawodu byli przeważnie rolnikami. Wszyscy też doskonale uświadamiali sobie cele wojny, znali Polskę bardzo dobrze i orientowali się w stosunkach politycznych doskonale.

Odwrót

Po trzech tygodniach zapanowało wśród Rosjan jakieś zaniepokojenie. Żandarmi mówili mi po cichu, że armia rosyjska nie tylko nie zdobyła Krakowa, ale poniosła dużą klęskę w okolicy Limanowej. Zmuszona jest zaś cofać się także i z tego powodu, iż Niemcy mają duże sukcesy wojenne w Królestwie, wobec czego najdalej do dwóch dni stąd odejdą. Zwracali mi uwagę, że żołnierze, cofając się, mogą rabować bez opamiętania.

Stało się tak, jak powiedzieli. Po dwóch dniach Rosjanie byli w pełnym odwrocie, a nie rabowali z tej prostej przyczyny, że nie mieli czasu, bo ścigające ich wojska niemieckie siedziały im wprost na karku. Mimo to widać było, że odwrót odbywa się w pełnym porządku, a wszystko przemawiało za tym, że on się zatrzyma gdzieś w naszej okolicy. Wojska rosyjskie cofając się dotarły do linii Dunajca, nie przekraczając go jednak na całej przestrzeni, ale zatrzymując w swoim ręku wysunięte placówki, położone na lewym brzegu rzeki. W nich się też mimo silnych ataków nieprzyjaciela przez szereg miesięcy utrzymali.

Wojsko niemieckie

Scigające ich wojska niemieckie wpadły do naszej wsi z wielkim impetem. Straż przednia konna stanęła na obszernym podwórzu pustej leśniczówki Sanguszków, tuż przy wsi położonej; armia główna wyłaniała się z lasu. Ludność wyszła z ciekawości, a niektórzy, by służyć informacjami. Prusacy odpowiedzieli butnie, że oni wszystko wiedzą, a zresztą armia rosyjska już nie istnieje, teraz zaś muszą się rozprawić ze zdrajcami. Chłopi, usłyszawszy to, zaraz się rozeszli. Oddziały niemieckie ruszyły drogą przez wieś prosto na Dunajec. Pomiędzy Wierzchosławicami a Rudką zatrzymały je strzały rzadkie i odległe. Niemcy rozpoczęli gęsty ogień karabinowy na Rudkę, która była ostatnią wsią przed Dunajcem i z której strzały rosyjskie miały pochodzić.

Strzelanina ta nie trwała długo. Niemcy ruszyli naprzód, obsadzając wieś zupełnie bez oporu. W nocy około godziny jedenastej buchnęła z Rudki olbrzymia łuna, oświetlająca całą okolicę. Jasno było jak w dzień. Wkrótce powietrze rozdarły straszliwie przeraźliwe krzyki ludzkie, ryk bydła, wycie psów, a równocześnie odezwały się gęste strzały karabinowe. Kule padały na moje podwórze, trafiały w ściany domu, rzęgotały po dachu. Rudka cała stanęła w płomieniach. Sąsiedzi z rodzinami pochowali się do mojej murowanej piwnicy. Ja z za węgła domu obserwowałem, co się dzieje, ogień i ludzi jak szaleńców biegających koło niego.

Wnet po północy na drodze wiodącej do mojego domu, powstał straszliwy, niesamowity ruch. Prusacy uciekali na łeb na szyję, jak który mógł. Nawoływania i komenda nie zdołały ich ani na chwilę powstrzymać. Pędzili naprzód, padali, wstawali, aby znowu upaść. Rowy przydrożne pełne były porzuconego rynsztunku i ubrania.

Rano dowiedziałem się od żandarma Polaka, pochodzącego z Żołyni, że wojsko niemieckie wpadło w zasadzkę w Rudce dzięki jakiejś zdradzie. Rosjanie bowiem cofając się, zostali w części Rudki zwanej Partyniem, wysuniętej w stronę Dunajca, ukryci po domach, a gdy Prusacy niczego się nie spodziewając posnęli, Rosjanie wyszli z ukrycia, wieś podpalili z kilku stron naraz, a korzystając z zamieszania, dwa pułki niemieckie wybili prawie do nogi. Wypadek ten wstrzymał impet Niemców. Stali się oni ostrożniejsi, a z drugiej strony zostali doprowadzeni nim do wściekłości.

Gniew swój natychmiast wywarli na chłopach, a w szczególności na mnie. Dobrze widocznie poinformowani oficerowie pruscy zjawili się na drugi dzień w moim mieszkaniu, szukając czegoś w każdym kącie. Następnie zażądali ode mnie jako wójta

dania im kwater na 20.000 ludzi, obiadów dla nich, miejsca i furazu dla paruset koni i wysłania 400 robotników na drogę dozgartywania błota.

Kiedy na to żądanie wcale nie wykonalne uśmiechnąłem się, skoczyło do mnie dwóch żołnierzy. Jeden z nich przystawił mi bagnet do piersi, drugi skierował rewolwer w moją głowę, a żandarmowi kazali oświadczyć, że swoim zachowaniem się obraziłem armię niemiecką. Gdy przez dłuższą chwilę ani się nie ruszyłem ani nie odezwałem jednym słowem, cofnęli się ode mnie.

Żołnierzy rozmieścili sami, to samo zrobili z końmi. Postarali się o obiady i karmę dla koni, na drogę wypchali gwałtem kilkudziesięciu wyrostków i trochę kobiet.

Na drugi dzień przybył do mnie podoficer armii niemieckiej, Polak z poznańskiego, przydzielony do sztabu armii, który stał we wsi Bielcza. Dość niespokojny powiedział mi, iż słyszał jak oficerowie niemieccy wczoraj wieczór rozmawiali ze sobą zaznaczając, że zanoszą się tu na dłuższą walkę pozycyjną na kilka miesięcy co najmniej obliczoną. Wobec tego zapadło postanowienie ewakuowania wszystkiej ludności z wiosek nad Dunajcem położonych i to jeszcze w tym tygodniu.

Mnie zaś uważają za swojego niebezpiecznego wroga, z którym muszą jak najprędzej zrobić porządek. On wie z praktyki co znaczy podobna groźba i dlatego przybył umyślnie, by mi to powiedzieć i radzić, ażebym jak najprędzej mieszkanie i wieś opuścił.

Podziękowałem mu oświadczając, że się nie myślę ruszyć nigdzie.

Na drugi dzień wczesnym rano wpadł znowu do mnie zdenerwowany mówiąc, że los mój jest przesądzony, a jeśli chcę się ratować, to muszę bez zwłoki z tej okolicy się usunąć. Radzi przy tym iść bocznymi drogami, ażeby się na któregoś z moich prześladowców nie natknąć.

Z treści rozmowy z nim widziałem, że ktoś usłużny, dobrze ze stosunkami obeznany, dał Niemcom dokładne informacje o moich poglądach i działalności. Miałem przekonanie, że żołnierz ów mówił zupełnie szczerze i odnosił się do mnie z wielką życzliwością, narażając swoją osobę. Znalazłem się też w niesłychanej wprost rozterce. Noc przesiedziałem całą, namyślając się, co zrobić.

Armaty rosyjskie grały od wczesnego wieczora. Granaty padały na ogród przed domem z ogromnym hukiem. Oficerowie i żołnierze niemieccy biegali gorączkowo, lub kryli się za murami piwnicy. W pewnym momencie straszny huk wstrząsnął całym domem. Granat spadł do izby, zabijając kilku niemieckich ofi-

cerów. Żona siedziała nieruchomo w kuchni, córka dygotała z przerażenia. Wyszędłem do sieni, a następnie na podwórze.

Prusacy zbierali kawałki rozszarpanych przez granat oficerów i pochowali je w wykopanym pośpiesznie dole w ogrodzie, przed samymi oknami mojego mieszkania. Rano na mogile stał już krzyż z dość dużym niemieckim napisem.

Według zdania owego żandarma z Żołyni Niemcy byli przekonani, że atak i celne strzelanie były następstwem znowu jakiejś zdrady. Zaczęli więc nowe poszukiwania, przetrząsając wszystko, co tylko było w gospodarstwie, spoglądając spode łba na mnie. Mieszkanie zajęli całe, pakując do kuchni, którą nam pierwotnie zostawili, dziesięciu żołnierzy.

Rozmyślałem długo, nie mogąc się zdecydować, mimo nalegań Poznańczyka. Usunięcie się ze wsi wydawało mi się tchórzostwem i krokiem nielojalnym wobec chłopów, z którymi tyle lat złej i dobrej doli przebyłem, a dalsze pozostawanie na miejscu niepotrzebne i niemożliwe. Żona i córka nalegały, by się spieszyć, gdyż każdej chwili może być za późno. Gdy się jeszcze zastanawiałem, o kilkadziesiąt kroków ode mnie padł granat, robiąc wstrząsający huk i wyrzucając masę ziemi w powietrze. Córka upadła przerażona na ziemię. To zdecydowało o moim postanowieniu.

Wyjście z domu

Wyszliśmy z córką za bramę domu akuratnie o godzinie 12 w południe. Żona się uparła zostać, oświadczając, że niech się dzieje co chce, ona się ze swoich śmieci nie ruszy. Została więc na miejscu ze służącą, która ze strachu na drugi dzień uciekła. Mając z dawniejszych jeszcze czasów przepustkę przez naczelną komendę armii austriackiej wystawioną, postanowiłem się kierować na zachód w nadziei, że z tym dokumentem zdołam się przez obozy niemieckie i austriackie przedostać.

Idąc przez wieś powoli rozmawiałem z ludźmi, wysłuchując różnych żalów i narzekań, dając im rady i wskazówki. Pociski armatnie padały bezustannie w niedużej od nas odległości, rzadko na drogę, którą mieliśmy przechodzić. Gospodyni Katarzyna Solakowa szła doić krowy. Gdy się wychyliła za drzwi domu, padł granat na podwórze, przedzielające dom od stajni. Mniej się przerażała pociskiem, a więcej zmartwiła tym, że musi czekać i czas niepotrzebnie tracić.

Całe obszerne pastwisko gminne zawałone było wojskiem i bagażami wojskowymi. Ludzie powyrzucani z domów błakali się

bezmąslnie, nie wiedząc co począć. Zobaczywszy mnie zastąpili mi drogę, skarżąc się na straszne postępowanie Prusaków, przy których Rosjanie byli aniołami. Gospodarz Jan Rzymek oburzał się głośno na dzikie postępowanie Niemców i pytał, czy nie ma jakiej władzy, która by temu kres położyła. Musiałem się mimo woli uśmiechnąć, oświadczając mu, że właśnie idę szukać tej sprawiedliwości. Naiwność jego tłumaczyła się niedawnym przybyciem z Ameryki, gdzie przez kilka lat przebywał.

Zaraz za wsią przy tak zwanej „średniej drodze” spostrzegłem człowieka powieszonoego na dworskim dębie. Stał przy nim żandarm austriacki, z pochodzenia Polak. Zapytałem go czy mogę się powieszonemu bliżej przyjrzeć. Odpowiedział, że komenda tego nie zakazała. Powieszony był mieszkańcem wsi Dwudniaki i nazywał się Wojciech Piwko. Obok niego wisiał na dębie wyrok w języku polskim i niemieckim. Głosił on, że Piwko był szpiegiem rosyjskim, a dowód miał leżeć w tym, że u Piwki znaleziono pięć rubli rosyjskich w kieszeni.

Nieszczęśliwy, matołkowaty Piwko, powróciwszy zaledwie przed paru dniami z forszpanu z Królestwa, gdzie został wysłany przez posterunek żandarmerii w Wierzchosławicach, szedł sobie drogą, którą chodził przez całe życie, nie mając pojęcia o żadnym szpiegostwie i nie wiedząc, czy robi co złego, a ruble jakie miał przy sobie, pochodziły z oszczędności tam zrobionej. Mimo to bezmyślność i okrucieństwo władz wojskowych wyprawiły go na drugi świat.

O pół kilometra dalej w stronę lasu wisiało na dębie obok siebie dwóch ludzi. Jakkolwiek nikt ich nie pilnował, nie zdołałem odczytać wyroku, ze względu na córkę, która blada jak ściana zaczęła się trząść z przerażenia. Ruszyliśmy więc dalej w stronę lasu, przechodząc bez przeszkody pomiędzy różnymi oddziałami wojskowymi. Tuż przy samym lesie wpadliśmy w gęsty ogień karabinów myśląc, że tam zostaniemy na zawsze. Na szczęście skończyło się tylko na przestraszu.

W lesie weszliśmy w roje wojska ciągnące się bez końca. Liczne warty porozstawiane nieraz co kilkanaście kroków, puszczały nas bez przeszkody, po okazaniu legitymacji, której czasem przeczytać nie umieli, patrząc tylko na pieczęć. Jeden z żołnierzy przypadł do mnie i usiłował pocałować mnie w rękę po przeczytaniu mojego nazwiska. Oglądając się ze strachem na wszystkie strony pytał, czy nie wiem, co się dzieje z Lichwinem i Siemichowem, gdyż on stamtąd pochodzi, a już od paru miesięcy nie ma żadnej wiadomości. Niestety, nie mogłem mu dużo powiedzieć.

Równo z zachodem słońca, idąc coraz wolniej, gdyż córka

ogromnie osłabła, znaleźliśmy się po drugiej stronie lasu we wsi Biadoliny Radłowskie, poza sferą działania owej nienawistnej armii. Córkę odwieźli życzliwi mi kolejarze do Krakowa, gdzie zamieszkała u państwa Rączkowskich, ja zaś ulokowałem się u Wojciecha Kury gospodarza w Biedolinach Radłowskich, który mnie z wielką ochotą przyjął do swojego domu. Tam też przekonałem się, że informacje owego podoficera Poznańczyka były zupełnie zgodne z prawdą, gdyż na drugi dzień żandarmi szukali mnie w każdym domu po wsi, a moje gospodarstwo przewrócili do góry nogami.

Ewakuacja

W parę dni później zarządził Prusacy ewakuację całej ludności ze wszystkich gmin po lewej stronie Dunajca położonych. Chodziło im nie tylko o usunięcie przeszkody w operacjach wojennych, lecz także o pozbycie się świadków niszczycielskiej roboty, jaką zaczęli tam prowadzić. Kilkakrotne ich wezwania i wyznaczone terminy nie zdały się na nic, gdyż ludność nie chciała się ruszyć z miejsca. Znicierpliwiemi i rozwścieczeni oporem zarządził ewakuację przymusową. Ponieważ ludność i do tego zarządzenia się nie zastosowała, wyciągano ją siłą z mieszkań i jak nierogaciznę ładowano na wozy wojskowe. Wielu pobito i pokaleczono, kilkunastu połamano ręce lub nogi. Ponieważ zabierano ich często bez dostatecznego ubrania, bardzo wielu zaziębiło się ciężko w czasie długiej drogi. Był to już okres dużych mrozów.

Ewakuowanych wyrzucano z wozów na drogę po wioskach na drugiej stronie lasu położonych, w odległości kilkunastu kilometrów od frontu i zagrożono im zastrzeleniem, jeżeliby się wazyli do swoich siedzib zbliżyć. To jednak nikogo nie przeraziło. Śmielsi i znający dobrze drogę przez las, przechodzili niespostrzeżenie nocami do swoich domów, zabierając przyrodziwę, jedzenie, a niektórzy zdołali nawet zabrać wozy, konie i bydło. Oczywiście, że przy tym narażali się na niebezpieczeństwo, a nawet na śmierć. Większą jeszcze odwagę od mężczyzn wykazywały kobiety, które nieraz szarpały się z żołnierzami niemieckimi i postawiły na swoim. Nierzadko także przychodzili im z pomocą sami żołnierze, szczególnie Polacy, choć zdarzali się i Niemcy przychylni i przyzwoi.

Wyrzuconymi ludźmi nikt się początkowo nie zajmował. Władze jakby zupełnie nie istniały. Sami więc szukali pomieszczenia gdzie mogli, pchając się obcesowo do domów, stajen i stodoł niechętnie na nich patrzących miejscowych gospodarzy. Kilka-

set ludzi umieściło się w budynkach leśniczówki, należących do księcia Sanguszki. Poszedłem tam do nich. Wyglądali straszliwie. Stali lub siedzieli dzwoniąc zębami z zimna. Dzieci krzyczały w niebogłosy, kobiety szlochały po cichu, mężczyźni przeklinali i odgrzaali się sami nie wiedząc komu.

Do mnie także mieli żal, gdyż wyrzucający ich oficer niemiecki miał im powiedzieć, że gdybym ja był nie wyszedł, to by i oni zostali. Próbowałem im wytłumaczyć tę niedorzeczność, zdaje się jednak, że z niewielkim skutkiem, gdyż tonący chwytają się i brzytwy. Później mi mówili, że w tym przekonaniu utwierdził ich również hr. Łubieński, właściciel majątku Zasów w powiecie pilzneńskim. Spełniał on jako major austriacki służbę na etapach i wychodźcami specjalnie się interesował, przychodząc im nawet z pomocą ze swoich zapasów. Jako mój dawny antagonist polityczny, nie mógł sobie darować, by na tym stanowisku i w takich okolicznościach nie prowadzić przeciw mnie dość nieprzyzwoitej agitacji. On też miał doradzać chłopom, ażeby sobie wybrali innego wójta, bo mnie rząd nienawidzi skutkiem czego oni muszą niewinnie cierpieć.

Oburzeni tą radą chłopci, przyszli do mnie natychmiast, ażeby mi oświadczyć, że wolą cierpieć a świństwa podobnego nie zrobią. Niezrażony tym p. hrabia zdołał na drugi dzień zorganizować deputację, która miała się udać do starosty tarnowskiego w Brzesku, ażeby zażądać mojego usunięcia. Deputacja ta z trzech chłopów złożona, zamiast do Brzeska przyszła do mnie pytając się, co robić, bo im ten hrabia żyć nie pozwala, a oni go codziennie potrzebują. Zostawiłem im wolną rękę, nazywając rzecz po imieniu. Jak się wytłumaczyli przed tym osobliwym agitatorem, nie wiem, do starosty jednak nie poszli, prosząc mnie, bym pomyślał o ich losie.

Przypominanie było zupełnie zbyteczne, gdyż patrząc na to piekło na ziemi postanowiłem zaraz coś zrobić, nie bardzo jednak wiedziałem co. Wszak Bielcza była tylko drobnym i to nie najgorszym tego piekła odcinkiem, bo gdzie indziej działo się ludziom jeszcze gorzej. Postanowiłem na wszelki wypadek udać się do Brzeska, gdzie się mieściły liczne ewakuowane starostwa i inne urzędy, a miałem tam również trochę znajomych, tak w samym mieście jaki we wsiach podmiejskich.

Przypadek zdarzył, że na ulicy koło starostwa spotkałem znane mi od dawna Tomasza Plutę. Pochodził on z powiatu dąbrowskiego, ze wsi Wielopole, a dzięki zbytniemu zaangażowaniu się w polityce Stapińskiego stał się żelaznym słuchaczem uniwersytetu krakowskiego. Oficjalnie był on wówczas legionowym komendantem placu w Bochni i oficerem werbunkowym. Więcej

jednak zajmował się pisaniem artykułów do gazet, starając się zbierać wiadomości z pobliskiego, choć bardzo trudno dostępnego placu boju. Noszony przez niego mundur legionowy dawał mu podobno pewne ułatwienia, choć mógł także przysporzyć wiele kłopotu, bo żandarmeria wojskowa tępiła wszelkich takich łązków, zbliżających się w okolice frontu. On mi też potwierdził, że rzeczywiście w Brzesku znajduje się cały szereg urzędów i urzędników ewakuowanych z obszaru zajętego przez wojska rosyjskie w Galicji, a ponadto istnieje tam jakaś władza, której prawem i obowiązkiem jest rozmieszczenie ewakuowanych ludzi i wypłacanie przewidzianego ustawą zasiłku na jej utrzymanie. Zaznaczył przy tym, że między tymi urzędnikami jest bardzo dużo przyzwyczajonych i życzliwych nam ludzi.

Radził mi też, ażeby nie zwlekając udać się na wszelki wypadek do prezesa Koła polskiego, dr Leo, który obecnie przebywa w Krakowie i poprosić go o interwencję w tych sprawach. Pluta zaś umieści odpowiedni artykuł w *Nowej Reformie*, zwracając uwagę społeczeństwa na stosunki ewakuacją wytworzone. Zgodziłem się na propozycję Pluty prosząc go, ażeby się udał ze mną do Krakowa. Pojechał chętnie mając sporo materiału nzbieranego dla *Nowej Reformy* i zatrzymaną dość znaczną zapłatę, za dawną robotę mu należną.

Prezes dr Leo przyjął mnie bezzwłocznie, wyrażając radość z powodu tej wizyty i zasypując mnie licznymi pytaniami. Kiedy mu przedstawiłem cel mojego przybycia, malując w odpowiednich barwach straszne położenie ludności, oświadczył, że mu te sprawy nie są zupełnie obce, choć się nie spodziewał podobnego postępowania władz. Na skutek interwencji kilku ludzi, a między innymi posła Długosza, czynił już starania u Namiestnika i władz wojskowych, ale to wszystko było grochem rzucanym o ścianę, gdyż Namiestnik Korytowski jest zniechęcony i lekceważony przez władze wojskowe, a same one są głupie i złośliwe. Ze względu jednak na wagę spraw i moją prośbę, on sam pojedzie do Namiestnika, mnie zaś da odpowiedź jutro popołudniu.

Gdy się na drugi dzień o oznaczonej porze do niego zgłosiłem, wręczył mi odpis telegramu namiestnika Korytowskiego skierowanego do dr. Leo, a będącego odpowiedzią na telegram wysłany do niego. Z treści mogłem wywnioskować, że dr Leo u Namiestnika wcale nie był, ale to rzecz drugorzędna.

Telegram brzmiał:

„Ekscelencja Prezydent dr Leo, Kraków.

„Poruszona depeza ewakuacja ludności z linii bojowej nastąpiła bez

porozumienia się ze mną, ale nie tak niespodziewanie, aby ewakuowani nie mogli zabrać odzieży i butów. Wojsko udzieliło dla nich żywności na trzy dni, nadto osiem wagonów mąki z Budapesztu, dwa osypki z Krakowa, dwa siana z Oświęcimia, w drodze do Brzeska, nadejdą zapewne jutro. Zresztą starostowie mają fundusze na doraźne zapomogi. Przy operujących armiach są wszędzie komisarze cywilni Polacy. Wiadome skargi ludności z linii Dunajca i Białej przedłożyłem prezydentowi ministrów i Naczelnej komendzie armii.

Namiestnik Korytowski”

W Brzesku

Zdobywszy ten dokument, wyjechałem zaraz z Krakowa. Przenocowawszy w Biadolinach, udałem się wczesnym rankiem do Brzeska. Z dużym trudem udało mi się dobić do starosty powiatu, Hellera. Przyjął on mnie z wielką i widocznie zimną wyniosłością, pytając się bardzo szybko o powód mojego przybycia. Opowiedziałem mu szczegółowo, przedstawiając straszne położenie ewakuowanej ludności, znajdujących się w gminach do jego powiatu należących. W końcu zwróciłem się do niego z prośbą o rozlokowanie ich w dalszej części powiatu, przyznanie im zasiłków, jakie się z ustawy należą, a na razie o natychmiastowe dostarczenie żywności, gdyż niektórzy z nich prawie umierają z głodu.

Pan starosta przerwał mi kilkakrotnie twierdząc, że on to wszystko wie, a w końcu zapytał się, jakie mam pełnomocnictwo do wystąpienia w imieniu tej ludności. On zaś nie posiada żadnych funduszy specjalnie dla niej przeznaczonych. Niezbity z tropu odpowiedziałem, Hellerowi, że on zna doskonale moją legitymację i dlatego o żadne pełnomocnictwo się nie starałem. Jestem posłem wybranym przez tych ludzi, a to mnie zupełnie uprawnia i zobowiązuje zarazem do zajęcia się ich losem. Zresztą wiem dokładnie, że on posiada potrzebne fundusze na ten cel, środki żywności, a nawet paszę dla bydła. Nie będzie to więc żadną łaską z jego strony, ale tylko spełnieniem obowiązku. Mówiąc to odczytałem mu odpis telegramu namiestnika Korytowskiego, który trzymałem w ręku, powołując się również na interwencję dr. Leo.

Starosta przechadzał się szerokimi krokami widocznie zniecierpliwiony, a gdy skończył, oświadczył mi, że on sam wie co robić, żadnych prezesów nie uznaje, a moi protegowani mogą sobie spokojnie pozdychać, bo to są sami zdrajcy, służący nieprzyjacielowi i dlatego też zostali przez wojsko wyrzuceni.

Gdy przeciw temu oszczerstwu zaprotestowałem, pytając się czy on jako Polak i urzędnik może coś podobnego mówić i czy zdaje sobie sprawę, jakie to może mieć następstwa dla tych i tak

już nieszczęśliwych ludzi, wyszedł szybko do drugiego pokoju, nie spojrzawszy nawet na mnie. A gdy już był za drzwiami odezwał się silnie podniesionym głosem: „Nietykalności na szczęście już pan nie posiada”.

Wiedząc kim był Heller i znając jego pychę, małostkowość i mściwość, zrozumiałem w lot tę pogrózkę. Ponieważ mimo paru minut czekania pan starosta się nie zjawił, wyszedłem z biura. Dotąd nie mogę sobie uprzytomnić, jaki był powód jego nienawiści do mnie i do tej ludności, gdyż nigdy mu w drogę nie wchodziłem, a poza przeprowadzaniem wyborów do rady powiatowej wbrew jego woli, żadnej działalności w tym powiecie nie prowadziłem. Chłopi zaś z tych okolic należeli do ludzi spełniających skrupulatnie swoje obowiązki obywatelskie.

Los zrządził, że wizytując powiat jarosławski jako premier rządu polskiego spotkałem się w Jarosławiu z Hellerem, który mnie witał jako starosta. Widocznie sobie przypomniał zajście w Brzesku, gdyż mówił głosem urywanym, cichym wyrażając radość imieniem ludności powiatu z mojego przybycia. A gdy podając mu rękę powiedziałem: „Myślę, że mnie dziś pan za drzwi nie wyrzuci” zbladł jak płótno i nie zdołał już wyrzec ani słowa.

Przed drzwiami starostwa brzeskiego czekał Pluta, dowiadując się skwapliwie o wyniku mojej interwencji u starosty, ażeby móc o tym do *Nowej Reformy* napisać. Rozmowę ze starostą powtórzyłem mu dosłownie i nie ujrzała ona światła dziennego, gdyż naczelny redaktor nie zgodził się na umieszczenie.

Parę kroków od budynku starostwa przechodziła droga, którą pędzono gromady ewakuowanych z okolic Łętowic, Wojnicza i Wielkiej Wsi. Odszukałem między nimi proboszcza z Wierzchosławic ks. Franczaka i jego sąsiadów, ponieważ mnie powiadomiono o ich przybyciu. Rozmówiłem się z nimi dłużej. Od nich też dowiedziałem się, że mimo licznych pocisków artyleryjskich, jakie padły na kościół i plebanię, proboszcz się nie chciał ruszyć, chroniąc się w piwnicach kościoła. Dopiero żołnierze Niemcy gdy przyszli luzując innych, sponiewierali go i ze wsi gwałtem bez niczego usunęli.

Wszyscy wyglądali jak trupy, bladzi, zniszczeni, obdarci i głodni. Stać musieli w błocie po kolana, nie wiedząc gdzie i kiedy ich odeślą. Szacunek dla okazanego przezeń poświęcenia, położenie, w jakim się ks. Franczak znalazł, nie pozwoliły mi na przypomnienie mu wielu rzeczy z przeszłości, a nawet tych modłów i kazań na cześć zaborczych państw przez niego odprawianych i głoszonych.

Na mieście panował ruch bardzo ożywiony. Oprócz pędzonych gromad ewakuowanych ludzi, przejeżdżały masy forszpa-

nów, jedne w stronę Bochni, inne Wojnicza, zatrzymując się na rynku na chwilowy odpoczynek. Kilka kompanii wojska przeszło z krzykliwym zdawało się niemieckim śpiewem. W mieście czuć było jakąś nerwowość i podniecenie. Ludzie snuli się koło siebie jak cienie, nie zaczynając nawet rozmowy. Żandarmi bardzo gorliwie rozprzedzali grupki stojące na błotnistych i dziurawych trotuarach.

Szukając znajomych, natrafiłem na Jana Steca z Brzezowca. Był on radcą powiatowym i miał opinię bardzo poważnego i porządnego człowieka. Odciągnąwszy mnie trochę na ustronie, westchnął ciężko, załamał ręce, opowiadając mi o mękach, jakie tu ludzie obecnie przechodzą. Bicie, sądy, szubienice są dziś ich chlebem powszednim. Starostę Hellera uważa za łotra, „jakiego jeszcze święta ziemia nie nosiła”. „Chyba by Boga nie było na niebie — mówił rozżalony — żeby Austria nie zmarniała za te wszystkie zbrodnie”.

Powiedziawszy to podprowadził mnie kilkanaście kroków naprzód, wskazując palcem na rynek. Stały tam dwie szubienice zbudowane w ciągu ubiegłej nocy. Dzisiaj mieli wieszac na nich paru ludzi. Nie powiedział nic więcej, pokazując mi głową na wiszący na rogu kamienicy obszerny żółty plakat.

Przeczytałem go pośpiesznie czując, że mi się robi coraz goręcej. Władze wojskowe ogłaszały swymi plakatami wyroki śmierci, zapowiadały egzekucję i wyznaczały jej termin. Za pół godziny miało się odbyć stracenie kilku „szpiegów rosyjskich”, skazanych przez sąd wojskowy na karę śmierci. Owi rosyjscy szpiedzy to chłopci pochodzący z powiatu limanowskiego i brzeskiego. Wina ich polegała na tym, iż mieli informować wojska rosyjskie przez wskazanie ręką kierunku pochodu wojsk austriackich. Egzekucja odbyła się w przepisany terminie. Myśmy jednak nie chcieli na nią patrzeć, choć ciekawych podobno tam nie brakło. Nie mając nic do roboty i chcąc trochę odpocząć weszliśmy do małej żydowskiej restauracji. Mimo głodu, nie można było nic do ust włożyć poza kieliszkiem ohydnej wódki, którą Pluta zdołał wydusić dzięki swojemu mundurowi.

W restauracji owej spotkałem znajomego mi komisarza ewakuowanego starostwa tarnowskiego, Dobiję-Dziubczyńskiego, który od dłuższego czasu urzędował w Brzesku. W wielkiej tajemnicy, ale bez ogródek powiedział on mi, że miejscowe władze wojskowe zięją wprost nienawiścią do Polaków, a szczególnie do chłopów, uważając ich za przyjaciół Moskali i wyraźnych zdrajców. Co do mnie zaś ma wiadomości, że jestem umieszczony u nich na czarnej liście i to na jednym z pierwszych miejsc. Radził mi też, ażebym się starał tutaj jak najmniej pokazywać. Wła-

dze cywilne nie mają właściwie nic do powiedzenia, słuchać zaś muszą wszystkiego, co im rozmaici wojskowi rozkażą. A te rozkazy wojskowe są najczęściej tak bezsensowne i głupie, że człowieka pusty śmiech ogarnia, mimo tak ciężkich czasów.

Ponieważ w dniu wczorajszym na skutek różnych skarg przybył tu cywilny komisarz przy armii, Polak, niejaki p. G., spodziewa się, że on coś zrobić potrafi. Wiemy, że namiestnik Korytowski wyrażał się o nim z dużym uznaniem. Dowiemy się zresztą wnet co zacz, bo dziś wieczorem mają się udać do niego wszyscy zainteresowani starostowie.

Rozmowa ta nasunęła mi na myśl udanie się do niego. Zwierzyłem się z tym zamiarem Dobiji i Płucie. Nie odradzili mi, choć komisarz Dobija miał duże wątpliwości, czy on mnie przyjmie, ponieważ stara się unikać wszystkich polityków. Mimo tych obiekcji poszedłem. W przedsionku zatrzymało mnie dwóch żołnierzy, stojących tam z najeżonymi karabinami. Obydwaj mówili po polsku i byli bardzo ostro nastawieni. Pokazałem im legitymację poselską, uznali ją jednak za niewystarczającą. Wyciągnęłem legitymację, wystawioną mi przez naczelne dowództwo armii austriackiej, jeszcze w czasie mojej pracy agitacyjnej za werbowaniem ochotników do legionów. Gdy zobaczyli pieczętki zmienili się momentalnie. Z wielką uprzejmością wskazali mi drzwi prowadzące do biura Komisarza. Wszedłem zastawszy go samego, chodzącego szerokimi krokami po obszernym pokoju. Kiedy mu się przedstawiłem jako poseł do Parlamentu, podał mi na przywitanie końce palców, mówiąc niby od niechcenia i z uśmiechem, że w czasie wojny parlament i posłowie właściwie nic nie znaczą.

Dalsza rozmowa odbyła się stojąco, komisarz bowiem nie raczył mnie poprosić żebym usiadł. Cel swojego przybycia przedstawiłem mu bardzo krótko, gdyż mnie z góry uprzedził, że jest bardzo zajęty. Oświadczył, że on tu przybył nie tylko na skutek interwencji politycznej ze strony Koła Polskiego, ale także na żądanie wojskowości, która się skarży, że ludność tych okolic jest niezwykle nieprzyjaźnie usposobiona do rządu, a nawet do państwa, na mnie zaś głos ogólny wskazuje jako na moralnego sprawcę tych nastrojów.

On osobiście nic mi nie może zarzucić, przeciwnie jest dla mnie z wielkim uznaniem, ale uważa za swój obowiązek mnie poinformować, gdyż, o ile mu wiadomo, wytoczono mi dochodzenie, a los mój od ich wyniku będzie zależeć.

Ludności będzie się starał iść na rękę, o ile nowe zarzuty przeciw jej postępowaniu nie zostaną ze strony wojska podniesione. „Niech się pan nie dziwi ostrym zarządzeniom, gdyż w

grę wchodzi tu wielkie interesy państwowe, a może jego byt". Tą nauką zakończył komisarz cywilny rozmowę ze mną, trwającą może całe dwadzieścia minut. Zrobiło mi się ciepło. Odszedłem też zaraz, przypominając sobie odezwanie się starosty Hellera.

Obydwoj panowie czekali na mnie w restauracji ogromnie ciekawi czy się do pana komisarza dostałem, i z czym od niego przychodzę. Nie bardzo też byli zbudowani, gdy im przedstawiłem wynik mojej interwencji. Komisarz Dobija odchodząc radził mi, ażebym się jutro starał spotkać ze starostą tarnowskim, Reinerem, gdyż on to uważa z wielu względów za wskazane.

Skołatani do ostatniego przez cały dzień, udaliśmy się z Plutą na nocleg do Steca, korzystając z jego uprzejmego zaproszenia. Tam nas uraczyli gorącym mlekiem i świeżym chlebem, co w tych czasach stanowiło bardzo rzadki smakołyk. Zdziwieni skąd się wzięło zboże na taki chleb i mleko w tym czasie, dowiedzieliśmy się, że Stec zachował je w ziemi kilka stajenek od domu i że w czasie ciemnej nocy, albo burzy zabiera po trosze. Dwie zaś krowy ukrył w piwnicy zasypanej ziemią. Ostrożność tę zachowuje nie tylko ze względu na wojsko, ale także i na niepewnych sąsiadów.

Na drugi dzień już o godzinie ósmej rano spotkałem na ulicy starostę Reintera, idącego do biura. Zaprosił mnie z sobą zaznaczając, że ma mi coś ważnego do powiedzenia. Po dłuższej rozmowie oznajmił, że Namiestnik przydzielił mu większą ilość mąki i słońiny dla ludności ewakuowanej z tarnowskiego powiatu. Ponieważ nie posiada potrzebnego aparatu, byłby gotów za moim pośrednictwem oddać te produkty ewakuowanym częściowo bezpłatnie, częściowo zaś po niższych cenach, jeżeli potrzebne spisy ode mnie otrzyma. Komisarza Dobiję wydeleguje do przeprowadzenia tej akcji, jako swego zastępcę. Wyraża przy tym nadzieję, że postąpię sobie ze znaną mu bezstronnością.

Zdziwiony tą niezwykle propozycją i przyjaźnym tonem przemówienia, podziękowałem mu i wyszedłem celem natychmiastowego przygotowania żądanych spisów. Komisarz Dobija wyszedłszy za mną wyjaśnił, że te spisy to zwykła formalność, on się też godzi, by je robiono przy rozdziale, gdyż w ten sposób sprawa się przyspieszy i uniknie się kosztów i trudności.

Zaraz też na drugi dzień furmankami, dostarczonymi przez starostwo, rozwoziliśmy prowianty po wszystkich wsiach, gdzie się ewakuowani znajdowali. Pluta stanowił dla nas w tym czasie tak potrzebną osłonę wojskową i sporządzał spisy obdarowanych. Ponieważ powtórzyliśmy to kilka razy, ludzie przez parę tygodni mogli się lepiej odżywić, błogosławiąc starostwo i nas. Mogli to

robić tym łatwiej, że Reiner po cichu upoważnił Dobiję, ażeby dokonał przeważnie bezpłatnego podziału.

Zdawało mi się, że to utrapienie skończyło się nareszcie. Większą część ewakuowanych, mimo ich oporu, przeniesiono do powiatów bocheńskiego, wadowickiego i myślenickiego, gdzie znaleźli nawet dość znośne pomieszczenie. Zasiłki zaczęto wszystkim regularnie wypłacać. Tymczasem się okazało, że akcję tę trzeba prowadzić dalej, gdyż nowi ludzie napływali prawie z dnia na dzień. Zacząłem się też oglądać za innymi źródłami.

Szersza akcja

Dostawszy się nareszcie po wielkich trudach i zachodach do Krakowa przy pomocy kilku kolejarzy i otrzymawszy pozwolenie na stały pobyt w twierdzy wspólnie z redaktorem Rączkowskim zorganizowałem akcję składkową na ewakuowanych przez wysyłanie list składkowych do różnych ludzi i instytucji, ogłaszanie gorących odezwo w *Piaście* i innych pismach krakowskich. Nadspodziewanie ofiary płynęły obficie z wszystkich stron państwa, gdzie się tylko Polacy wtenczas znajdowali. Pieniędźmi tymi, których suma doszła do kilkunastu tysięcy koron, obróciłem kilkakrotnie, dopóki wskutek zniżek dawanych nie zostały zupełnie wyczerpane.

Rozrzewniające nieraz były listy pisane przez ofiarodawców. Wynikało z nich, że posyłali oni niejednokrotnie ostatni grosz, odejmując sobie od ust. Z dużą pomocą przyszły mi też władze wojskowe i cywilne w Bochni, które bez trudu oddawały każdą ilość artykułów żądanych po zniżonych cenach. Niemałą przysługę oddał mi też Tomasz Pluta, gdyż w wielu wypadkach bez niego nie mógłbym nic zrobić w owym czasie. W ostatnich miesiącach 1914 r. i pierwszych 1915 bez wojskowego nie można się było bezpiecznie ruszyć.

Były to czasy zupełnego zastoju na naszym bliższym terenie. Walka pozycyjna prowadzona na linii Dunajca pomiędzy wojskami rosyjskimi z jednej, a niemieckimi i austriackimi z drugiej, od paru miesięcy nie przyniosła prawie żadnych zmian, ale huki armat i dymy pożarów były każdego dnia i nocy widoczne. Roboty politycznej nie dało się prowadzić żadnej, gdyż żandarmeria deptała mi bezustannie po piętach. Musiałem się ograniczyć do rozmów z najbardziej zaufanymi ludźmi i pisania artykułów do *Piasta*, które przeważnie były konfiskowane.

Opieka nad ewakuowanymi, którą trudno było przerwać, stała się często nieznośna, gdyż dużo z nich nie mogło zrozumieć

wielu rzeczy, zarzucając mi w rozgoryczeniu niedbalstwo, albo nawet złą wolę. Jakkolwiek robiły to nieliczne i mniej uświadomione jednostki, to jednak było to dla mnie nad wyraz przykre.

O gospodarstwie przestałem zupełnie myśleć, uważając je za stracone. Miałem do tego podstawę, gdyż przechodzący pod front przynosili mi wiadomość, podawaną przez pruskich żołnierzy, że ono zostało dawno obrócone w perzynę. Życie rodzinne rozbiło się zupełnie, gdyż żona nie chcąc się za żadną cenę ruszyć dalej, zamieszkała w Biadolinach Radłowskich, zajmując się jedyną krową, którą zdołała uratować przed Rosjanami i Prusakami, córka zaś przebywała w dalszym ciągu w Krakowie.

Do Biadolin Radłowskich przyjeżdżałem jednak w każdym tygodniu, ażeby interweniować w licznych sprawach różnych ludzi w komendzie, nie pomnę już jakiego oddziału armii austriackiej. Robiłem to z bardzo dużym skutkiem, gdyż szedł mi bardzo na rękę wyższy oficer z pochodzenia Ślązak, mówiący nawet dość dobrze po polsku. Stanowił on jakiś niezwykle wyjątek pomiędzy tą wielką, niemal zawsze głupią i okrutną gromadą oficerów austriackich, którzy uważali nie tylko za prawo, ale i obowiązek znęcanie się nad nieszczęśliwą ludnością i robili to nieraz z widocznym upodobaniem. Oficer, o którym wspomniałem, mimo że się zaliczał do narodowości niemieckiej, okazywał specjalną przychyłność dla Polaków.

Między urzędnikami, poza tymi których wymieniłem, trudno było znaleźć ludzi odważniejszych, wszystko przejęte jakimś strachem starało się jak najdalej brnąć w gorliwość.

Żandarmeria austriacka, składająca się w większej części z Rusinów, zachowywała się dość możliwie. Żandarm, niejaki Bućko, któremu polecono mnie pilnować, zawiadomił mnie o tym prosząc, bym go nie wydał i zapewniając, że on to robi tylko z przymusu i dla oka.

Z włościan miejscowych, z którymi się stykałem, duże zrozumienie wykazali zarówno dla mnie jak i dla tych, którymi się zajmowałem, udzielając im pomocy, na jaką było ich stać: Filip Hońko z Biadolin Szlacheckich, Wojciech Kura z Biadolin Radłowskich, Wojciech Jakubas wójt z Perły i Józef Jakubas, jego brat. Dużo odwagi znalazłem u wójta z Bielczy Jana Trytka, który się umiał w tym czasie przeciwstawić samowoli zarówno starosty jak i wszechwładnej wojskowości. Bardzo przyzwoicie zachowywał się także gospodarz z Bielczy Jan Wróbel.

Drobne te fakty podnoszę dlatego, iż w tych czasach rzadki wyjątek stanowili ludzie, którzy jeszcze mieli poczucie miłości bliźniego i ludzkie sumienie.

Inwazja Rosjan i ewakuacja

Najprzykrzejszy bywał zawsze podział żywności pomiędzy ewakuowanych. Ci głodni, sponiewierani i nieszczęśliwi ludzie, nie mogli się do żadnego porządku przyzwyczaić. Wszyscy chcieli być pierwsi, każdy chciał dostać jak najwięcej, nie zważając zupełnie na drugich, bardziej od niego potrzebujących. Sam wiedziałem o takich, co zdołali wynieść z domu sporo zboża, mąki i omasty, kilku z nich jeszcze tych zapasów nie ruszyło, a mimo to najgłośniej krzyczeli, najwięcej się domagali i najbardziej na niesprawiedliwy podział narzekali. Jeden z takich skrzywdzonych, Marcin Stawarz, późniejszy wójt z Bogumiłowic, bezdietny i bardzo zamożny, nie mógł mi tego darować nigdy, że go należycie nie obdarzyłem, choć wiem, że swoich zapasów nie tylko nie zużył, ale po zwycięstwie gorlickim sporo ich przywiózł z powrotem do domu.

Przykro było nieraz patrzeć, jak w tym nieszczęściu ludzie potracili poczucie honoru, przyzwoitości, oceny położenia drugich, a myśleli tylko i jedynie o sobie, choć wiedzieli dobrze, że im to nic nie pomoże.

Przeprowadzona przez wojska niemieckie ewakuacja podzieliła bardzo często rodziny tak, że ich członkowie do końca wojny nie wiedzieli nic o sobie. Dzięki zaś niedbalstwu władz ewakuowanych po domach, stajniach, chlewach i stodołach tak stłoczono, że nieraz w jednym lokalu mieszkało tylu ludzi, ile się ich mogło zmieścić, stojąc obok siebie. Brak odzieży i pożywienia, brud, niechlujstwo powstałe ze zbyt dużego nagromadzenia ludzi i niemożności utrzymywania porządku, doprowadziły do tego, że życie ich stało się istotnym piekłem na ziemi. Kiedy jeszcze przyszło robactwo, mnożące się w tych warunkach masami, ludzie nie mogli sobie dać rady, wyjąc nieraz z bólu i upokorzenia.

W ślad za tym wszystkim przyszły jeszcze choroby. Starsi, poważni i zamożniejsi gospodarze i gospodynie, dręczeni ciężkimi dolegliwościami, dogorywali po rozmaitych zaułkach, nieraz w stajniach i chlewach, opuszczeni nawet przez swoich najbliższych. Chorobą czy śmiercią drugich nikt się zbyt nie przejmował. Rzadko też starano się o pociechę duchową dla nich. Umarłych grzebano gdzie bądź, czy to pod płotem, czy pod krzakiem jałowca, czy też nawet w rowie. Przy trumnie znajdowała się zwykle najbliższa rodzina, o ile była na miejscu, najczęściej zaś tylko ci, co ciało grzebali.

Kobiety z dziećmi tkwiły całe dni w mieszkaniach, pilnując resztek odzieży, żywności i sprzętów, starając się dostać do pieca, ażeby choć raz na dzień jałowej, ale ciepłej polewki ugotować.

Nie trzeba przypominać, ile przy tym było kłótni płaczu, narzekania. Mężczyźni płatali się, chodząc ze spuszczoneymi głowami po całych dniach po polach i lasach, osowiali, głodni, przybici spoglądając z niesłychanym niepokojem w stronę wsi i zagrody swojej.

O kilka kilometrów po tamtej stronie księżącego lasu noc w noc biły olbrzymie łuny pożarów, od których płonęły całe wsie. Grzmiały raz po raz armaty, szczerkały karabiny maszynowe. Wszyscy nad słuchiwali pilnie, skąd te odgłosy pochodzą, spoglądając z niepokojem na łuny i ogień, bo serca ich dręczyło przeświadczenie i obawa, że to zapewne niszczyją i palą się ich zagrody.

Jakoś w marcu 1915 r. po rozdzieleniu żywności zaprosili mnie do siebie moi sąsiedzi, ażeby się z bliska ich położeniu przyrzyć. Mieszkali u gospodarza Jana Hynka w Bielczy, a byli w tym szczęśliwym położeniu, że ich przyjął do izby. Wchodzę więc do niej. We drzwiach uderza straszny odór, jakby pochodził ze zgniełego mięsa. Udamę, że tego nie czuję i siadam na ławie. W izbie mającej powierzchnię najwięcej 30 metrów kwadratowych znajduje 47 ludzi, między nimi kilkanaście drobnych dzieci, które głodne i brudne krzyczą w niebogłosy. Gospodarz, mój dawny znajomy i porządny człowiek, opowiada mi, że dzieje się tym jeszcze najlepiej, dużo więcej cierpią tamci, co już kilka tygodni mieszkają w stodole. Tego po prostu opisać się nie da. Niektórzy chodzą prawie nago, jadają raz dziennie, nie zmieniają bielizny, robactwo chodzi po nich aż czarne, a tu jeszcze wojsko ich poniewiera i popycha, miejscowi chłopci ich nienawidzą. Sami też często zatruwają sobie życie do reszty, czy to kłótniami, czy kradzieżą różnych drobiazgów. Nie mogąc wytrzymać w tym strasznym zaduchu, ani patrzeć na to piekło, po godzinnym pobycie pożegnałem się z wszystkimi i wyszedłem trzymany za oba rękawy przez lamentujące kobiety.

Na polu czekali na mnie drudzy, pragnąc abym zobaczył także i ich dolę. Musiałem wstąpić jeszcze do kilkunastu domów, stodoł i stajen i przyrzec wszystkim, że zrobię co tylko będzie możliwe, żeby ich doli ulżyć. Wszedłem rozbity i oszołomiony, błędząc po drodze choć ją dawno i dobrze znałem. Uprzejma gospodyni Kurowa w Biadolinach starała się przez cały wieczór uprzątnąć robactwo z mojej odzieży, gdyż go przez cały dzień sporo nazbierałem. W takim położeniu żyli ci ludzie, wyrzuceni ze swoich siedzib, a żyli długie 6 miesięcy, aby powrócić na zgłiszcza i popioły.

Jak się zachowują władze?

Moje odwiedziny ewakuowanych w Bielczy i innych wsiach tak zaniepokoiły starostę brzeskiego, Hellera, że specjalnie wy-

słany komisarz starostwa wraz z żandarmami chodził po Bielczy przez kilka dni, dopytując się ewakuowanych za czym ja pomiędzy nimi agitowałem. Komisarz ów, Niemiec z pochodzenia, spotkawszy się ze mną, opowiedział mi w tajemnicy o swojej misji, wstydzając się jej i wyrażając oburzenie z powodu postępowania Polaka starosty. Dla ścisłości dodać należy, że wielka część winy spada za te stosunki także na ewakuowanych, gdyż nie dali się oni w żaden sposób ruszyć, ale pozostali w Bielczy, jak i w innych sąsiednich wsiach, choć gdzie indziej mieli znośniejsze warunki.

Blżej Krakowa

Chcąc być bliżej Krakowa, aby tam mieć styczność z władzami wyższymi, dopilnować rozpoczętej akcji składkowej i rozciągnąć szerzej opiekę nad ewakuowanymi, osiedliłem się w Bochni, nocując każdego dnia gdzie indziej. Tam się zetknąłem z dawnym kolegą sejmowym dr. Ferdynandem Maissem, naówczas burmistrzem miasta Bochni, a także z jego zięciem dr. Władysławem Kiernikiem, późniejszym posłem i ministrem w Polsce, wtenczas już mi znanym z niektórych wystąpień. Za jego pośrednictwem poznałem się też z kilkoma wybitniejszymi chłopami z okolic Bochni, a w szczególności z radcami powiatowymi: Michałem Rudnikiem z Buczkowa i Janem Dygą z Chodenic, wsi leżącej tuż koło Bochni.

Ponieważ to cygańskie życie i noclegi już mi się sprzykrzyły poprosiłem Dygę, o wyszukanie mi stałego, choćby nawet bardzo skromnego mieszkania. Uprzejmy Dyla zupełnie bez namysłu ofiarował mi część swojego domu. Zgodziłem się na to skwapliwie, udając się zaraz na nowe mieszkanie z nieodłączną walizką, która stanowiła całe moje urządzenie. Za kilka dni usłużny Pluta udał się do Biadolin i sprowadził żonę z dwiema jej sąsiadkami, co jeszcze więcej obciążało dom i gospodarstwo pocziwego Dygi.

Dom jego stał się też od razu ośrodkiem gromadnych wycieczek ludności, udającej się do mnie z różnych powiatów po obronę, pomoc i ratunek, co się odbiło na Dydze, gdyż musiał nieraz i nocować interesantów.

Asenterunki

Do licznych udręczeń należały także odbywające się stale pobory między ewakuowanymi. Tu już nie było końca ani miary

nadużyciom. Władze, które nie mogły ustalić spisów ludności dla otrzymania zasiłków, trafiły bez wszystkiego do niej, zabierając do wojska ślepych i kulawych, nie patrząc na wiek, prawa, przepisy, ani zdolność do służby wojskowej. Moje zabiegi u wszelkich możliwych władz, a między nimi u Namiestnika i Prezesa Koła polskiego, niewiele mogły wstrzymać te zapędy. Natomiast narażeniem się nie mało.

Ponieważ naczelnicy gmin byli wolni od służby wojskowej z urzędu, poprosiłem starostę tarnowskiego, Reintera o świadectwo zwalniające mnie z poboru jako wójta. Po długich trudach i staraniach i dopiero przy pomocy komisarza Porembalskiego otrzymałem to zwolnienie. Komisarz oświadczył mi jednak, że ów dokument niewiele mi daje, gdyż przeciwko mnie prowadzą dochodzenia o ciężkie przewinienia, bo o zdradę państwa austriackiego. Zaznaczył ponadto, prosząc o poufność, że i starosta Reinter nie odnosi się do mnie z wielką życzliwością, a co najmniej jego rola jest dwulicowa.

Na drugi dzień późnym wieczorem przybył do mojego mieszkania w Chodenicach drugi komisarz starostwa tarnowskiego, Dobija-Dziubczyński. Bez wstępów zupełnie zawiadomił mnie w wielkiej tajemnicy, że akurat tego wieczoru ma się odbyć w Brzesku narada starostów, przy współudziale i pod naciskiem wojskowości, na której ma się zdecydować rzekomo o moim losie. Kiedy się roześmiałem z powodu tych jego rewelacji, oświadczył mi głosem silnie zdenerwowanym, że jest on przekonany, iż rezultatem tej narady będzie wydanie polecenia, aby mnie po cichu sprzątnięto, gdyż przez publiczne uwięzienie mnie, tak dygnitarze wojskowi jak i cywilni, nie chcieliby drażnić i tak już rozgoryczonej ludności. On uważa, że w tych czasach wszystko jest możliwe, dlatego mi radzi, bym się natychmiast usunął z Bochni, wyjeżdżając co najmniej do Krakowa. Podziękowałem komisarzowi, ale się z miejsca nie ruszyłem, nie mogąc dać wiary, aby podobne rzeczy były nawet w tych warunkach w Austrii możliwe.

Za dwa dni przybył znowu do mnie komisarz opowiadając, że na owej naradzie najbardziej wrogo przeciw mnie występował starosta brzeski, Heller, zaś starosta tarnowski Reinter miał mnie brać w obronę. Dobija także twierdził, że po długiej i gorącej naradzie starostowie i oficerowie jakoś się rozmyślili i zamiast kapturowego wyroku śmierci, wydali polecenie rozciągnięcia nade mną bardziej ścisłego, policyjnego nadzoru. O tym się zresztą zaraz przekonałem, widząc niemal wszędzie żandarma, spacerującego w pewnej ode mnie odległości, kiedy się tylko znalazłem w Bochni, Brzesku, a nawet jakiejś wsi, nieco bliżej linii bojowej położonej. Żandarm nigdy się do mnie nie zbliżył, wciąż udając, że

mnie nie widzi. W Krakowie dawali mi zupełny spokój. Wtenczas się na te praktyki oburzałem, nie przypuszczając, że za kilka lat władze polskie stokroć gorzej ze mną się obejdą. Tam przynajmniej nie widziałem sadyzmu.

Wszystkie te przejścia i wiadomości, znoszone mi z różnych stron i przez różnych ludzi, nakazywały większą ostrożność co do mojego postępowania i rozmów. Okazało się bowiem, że ludzie najlepsi i najbliżsi, choć żadnej władzy nic nie powiedzą, ale nie mogą utrzymać języka za zębami, opowiadają wszystko, co wiedzą i każdemu, z kim się spotkają, choćby i nieznanym.

Tak też zrobiłem, zbywając nawet najbardziej ciekawych zdawkowymi zwrotami, z których wiele wyłuskać nie mogli. Natomiast zacząłem robotę zupełnie inną, poszukując ludzi wpływowych i chętnych, na których by się można oprzeć w poszczególnych okolicach i powiatach. Przyznać trzeba, że nie spotkałem się ani w jednym wypadku z odmową, ani zawodem. Wrażliwość na nędzę i nieszczęście drugich, a przy tym poczucie obowiązku wobec nich były bardzo duże.

Większa robota

Widziałem i to coraz bardziej, że mimo wszelkich starań i wysiłków nie mogę sprostać nawałowi pracy, jeśli się nią nie zajmą czynniki powołane i więcej chętnych pracy tej między siebie nie podzieli. Zacząłem też poszukiwać posłów ludowych, zbierając z trudem wiadomości o ich miejscach pobytu. Po paru tygodniach udało mi się odnaleźć Długosza, Lasockiego, Reya i Jedynaka. Ten ostatni całkiem niepotrzebnie uszedł przed Rosjanami; zostawiwszy gospodarstwo na opiece żony i nieletniego syna, zamieszkał u posła Jana Kubika w Janowicach, koło Białej. Podobnie nierozważny krok zrobił i poseł Jachowicz, uciekając przed armią rosyjską jeszcze dalej, bo na Węgry. Przeszedł tam ciężkie koleje, tułając się przez kilka miesięcy, i on zamożny gospodarz, zmuszony był prosić władze austriackie o zasiłek.

Posłów tych zaprosiłem na wspólną naradę, na której postanowiliśmy w miarę możliwości rozpocząć akcję polityczną, mającą w pierwszym rzędzie na celu ochronę życia i mienia nieszczęśliwej ludności. Wiedzieliśmy, że w tych stosunkach nie zrobimy wiele, ale czas był najwyższy coś zacząć, gdyż postępująca naprzód armia austriacka po prostu szalała, niosąc wszędzie śmierć i zniszczenie. Do rozpoczętej pracy zgłosił się również poseł Tetmajer.

Wiadomości dochodzące nas z terenów przyfrontowych były wprost okropne. Wojsko już nie tylko rabowało i niszczyło, ale

zaczęło masowo wieszać zupełnie niewinnych ludzi i to najczęściej bez sądu. Według wiadomości, jakie w tym czasie mieliśmy, ilość powieszonych, przeważnie chłopów polskich i ruskich, wynosiła mnogie tysiące. Liczba ta wciąż się powiększała w sposób zastraszający. Rekwizycje stawały się coraz bardziej bezwzględne, poniewieranie ludźmi nie dające się opisać. Zdawało się, że na ziemię zeszło plemię szatanów.

Patrząc na to dzieło zniszczenia, odnosiło się wrażenie, że niektóre komendy wojskowe zmierzają celowo do zupełnego wytepienia ludności polskiej. Poseł Długosz, który świeżo przyjechał z Wiednia i znał zamierzenia sfer decydujących, oświadczył nam bez ogródek i z oburzeniem, że nie tylko one, ale także społeczeństwo niemieckie w Austrii, przepojone jest duchem wprost nieludzkiej nienawiści do Polaków, domagając się jak najostrzejszych represji i zarządzeń. Stwierdził, że we Wiedniu i różnych innych miejscowościach zaczęto zawiązywać spółki z ogromnymi kapitałami, których zadaniem ma być wykupywanie ziemi polskiej w Galicji i dzielenie jej wyłącznie pomiędzy Niemców.

Sprawa ta, poruszona w sposób należyty przez nas, odbiła się wnet szerokim i bardzo żywym echem pomiędzy chłopami polskimi, którzy w lot zrozumieli grożące im niebezpieczeństwo. Zajął się też nią tygodnik *Piast* w szeregu doskonale napisanych artykułów. Zabrał się do niej klub poselski, który się dla tej sprawy zebrał na osobne posiedzenie. Demaskując haniebne zamiary Niemców, uchwalił on ostrą rezolucję pod adresem rządu austriackiego, zwracając się również do prezydium Koła polskiego z odpowiednimi informacjami. Osobną uchwałą zażądał klub zwołania Parlamentu celem zyskania trybuny, z której można by przemawiać do świata i piętnować straszne zbrodnie, codziennie na polskim narodzie dokonywane. Celem pewniejszego wykonywania tych uchwał postanowił klub porozumieć się ze wszystkimi stronnictwami polskimi.

Zarzuty zdrady i powody

W tym samym czasie, tak we Wiedniu, jak i we wszystkich niemieckich krajach monarchii austriackiej, prowadzono niesłychaną nagonkę przeciw Polakom, zarzucając im, że są jawnymi wrogami państwa, zdradzającymi go na każdym kroku. Zarzut ten nie ominął także urzędników i kolejarzy, którzy jak najsuenniej spełniali swoje obowiązki. Według sfer rządzących i wojskowych zdrady te były powodem, że Rosjanie zajęli prawie całą Galicję. Tak postawiona sprawa musiała się odbić niesłycha-

nie ujemnie na stosunkach ogólnych, traktowaniu polskich spraw przez rząd austriacki, a najgorzej może na uchodźcach z Galicji, szukających schronienia we Wiedniu i innych krajach Austrii. Odbijało się to także boleśnie na ofiarach wojny, ewakuowanych i internowanych, z którymi się obchodzono wprost po barbarzyńsku. Zarzutów zdrady nie szczędzono i polskim żołnierzom, choć dobrze wiadano, że z tej zbieraniny narodów, z jakiej się armia austriacka składała, najbardziej bitnymi i wiernymi okazali się żołnierze polscy. Krwią polskich żołnierzy szafowano też bez opamiętania, wysyłając pułki z Polaków złożone najczęściej na pewną śmierć. Prawdą przecież jest niezbitą, a jednocześnie bardzo smutną, że jeszcze w pierwszych miesiącach wojny wiele pułków polskich zostało prawie doszczętnie wybitych, tak na froncie rosyjskim jak i serbskim.

Trzy były owej nagonki powody. Pierwszy i może najważniejszy, to kompromitacja Naczelnego Dowództwa armii austro-węgierskiej, ujawniona jeszcze w pierwszych miesiącach wojny. Cały sztab generalny, jak się wnet pokazało, składał się z niedołęgów, którzy siedząc w Cieszynie o paręset kilometrów od frontu wojennego, wiedli wesoły żywot, niewiele się troszcząc o wojnę. Przykład dawał naczelnny wódz arcyksiążę Fryderyk. Tymczasem armia na obu frontach ponosiła jedną klęskę za drugą, co było zupełnie naturalne.

Te klęski trzeba było usprawiedliwić, a ponadto dla ratowania i utrzymania autorytetu głównego sztabu znaleźć kozła ofiarnego. O ile więc chodziło o front rosyjski, znaleziono go w Polakach. Nie skądinąd, ale z tego głównego sztabu poszła w świat alarmująca i gwałtowna wiadomość, że Polacy zdradzają.

Zaznaczyć należy, że ten naczelnny wódz armii austriackiej, arcyksiążę Fryderyk, znany był zawsze ze swej nienawiści dla Polaków. Największy może niedołęga, a przy tym, jak się okazało w czasie wojny, zwierzę w ludzkim ciele, wódz jednej z armii, operującej w Galicji, arcyksiążę Józef, nienawidził Polaków do tego stopnia, że jak mi opowiadano, z lubością przypatrywał się egzekucjom, dokonywanym na niewinnej polskiej ludności, posądzonej o zdradę. Często też wieszano jedynie dlatego, że ludność nie umiała rozmówić się z niemieckim, węgierskim, czy innym żołnierzem. Wiek i płeć nie odgrywały żadnej roli.

Drugim powodem była agitacja prowadzona przez Ukraińców, w sposób widoczny kierowana z Berlina, a zapewne także i za niemieckie pieniądze. Nie tajono przecież, że jednym z niemieckich celów wojny było oderwanie Ukrainy od Rosji i utworzenie samodzielnego państwa ukraińskiego, oczywiście pod wpły-

wami niemieckimi. Tej koncepcji chwycili się posłowie Ukraińcy ze wschodniej Galicji, z Petruszewiczem na czele.

Klika ta, podtrzymywana przez rząd niemiecki i oddanych mu niektórych członków dynastii, a także rząd wiedeński, z nienawiści do Polaków robiła wszystko, by Polakom, a tym samym wyłaniającej się z pożogi wojennej i krwi sprawie polskiej jak najbardziej zaszkodzić. Rusini zaś sami mieli ciężkie grzechy wobec Austrii i Niemców. Było przecież rzeczą ponad wszelką wątpliwość stwierdzoną, że ludność ruska w Galicji wschodniej, wśród której od lat szeregu krążyli agitatorzy i ruble rosyjskie, powitała wkraczające wojska rosyjskie jak zbawców i pomagała im na każdym kroku.

Chcąc od siebie odwrócić już nie podejrzenia, ale widoczne skutki rzeczywistej zdrady, politycy ruscy rozgłaszali wieści o zdradzie Polaków, przyjmowane łączywie przez wojsko, prasę i społeczeństwo niemieckie. Zarzuty owe padały na grunt tym podatniejszy, że w ludy niemieckie w Austrii wmawiano, przez szereg lat, iż wojna z Rosją będzie tylko zabawką. Tak przygotowana opinia Niemców austriackich nie mogła zrozumieć, dlaczego Rosjanie coraz bardziej zbliżają się do Wiednia. Zwalenie winy na Polaków i ich zdradę, dawało tej opinii pewne uzasadnienie klęsk, nieustannie ponoszonych na froncie.

Trzecim wreszcie powodem była wcale nie ukrywana chęć przetrzebienia Polaków w Galicji. Pewni zwycięstwa Niemcy z zachodnich krajów państwa austriackiego marzyli o utworzeniu z Galicji wojskowego pasa, odgradzającego żelaznym murem niemieckim resztę krajów austriackich od Rosji. Zamiary te ujawniły się nawet w prasie codziennej, która zachęcała do przymusowego wywłaszczenia tej ziemi celem masowego osadzenia kolonistów Niemców. Rozumowała ona rzeczywiście po germańsku, że jeśli wojsko zacznie wieszać zdrajców, to ziemi za darmo będzie o tyle więcej, o ile ich więcej powiesi.

Koło Polskie

Widząc prawdziwą nadchodzącą grozę niebezpieczeństwa, na posiedzeniu naszego klubu omówiliśmy tę sprawę szczegółowo. Przygotowawszy ją i kilka innych spraw, zażądaliśmy zwołania pełnego Koła polskiego. Prezes Koła, dr Leo, który wykazał dużo odwagi i dokładał starań dla ulżenia doli ludności, a szedł nam zawsze i ochotnie na rękę, zwołał posiedzenie na dzień 15 lutego 1915 r.

Na to posiedzenie przyszlśmy z całą litanią spraw i postula-

tów, także natury gospodarczej. Zażądaliśmy między innymi zaniechania zupełnie rekwizycji pozostałego bydła, koni, paszy i żywności celem uchronienia ludności od grożącego jej głodu, niemożności uprawy roli i dokonywania zasiewów, ulżenia doli ewakuowanym itp. Poseł Długosz, który się zajął specjalnie sprawami gospodarczymi, dał w swoim przemówieniu w dobitnych słowach i cyfrach obraz zniszczenia kraju. Oświadczył on między innymi: „Wypadki i nieszczęścia wojenne cofnęły nas o 50 lat wstecz. My już, dzisiejsza generacja, nie doprowadzimy kraju do dawnego stanu, mimo to rąk nam opuszczać nie wolno. Musimy się starać resztę ludności i dobytku naszego uchronić od zupełnej zagłady”.

Znaczną część obrad Koła poświęcono sprawie ewakuowanych, wywiezionych z Galicji do Czech i Styrii. Dołą tych nieszczęśliwców zajął się bardzo gorliwie poseł Lasocki, nie zważając na żadne przeszkody, a nawet na niebezpieczeństwa. Koło uchwaliło jednomyślnie wszystkie wnioski, zgłoszone przez Lasockiego w tej sprawie. Rząd jednak nie pozwolił ich ogłosić i przeszło trzy czwarte z nich skonfiskował, mimo że pochodziły od największego klubu parlamentarnego i to jeszcze uchodzącego za partię, popierającą rząd. Między innymi skonfiskowano wniosek, wzywający rząd, by zaprzestał używać ewakuowanych, osadzonych w barakach Libnicy, do sypania szańców i kopania rowów dla wojsk austriackich na froncie serbskim, gdzie ludzie ci ginęli masowo tak od serbskich kul, jak od tyfusu i innych grasujących chorób.

Ze względu na niesłychane szkody, jakie nam wyrządzał zarzut zdrady Polaków, rozpowszechniany w dalszym ciągu w prasie niemieckiej i węgierskiej, jako też ze względów zasadniczych, klub uchwalił stanąć energicznie w obronie spotwarzanego narodu i sprawę tę wysunąć przed wszystkimi innymi. Do przedstawienia jej na posiedzeniu Koła wydelegowano mnie. Zaraz też na wstępie jego posiedzenia w dniu 20 lutego przemówiłem tymi słowami:

„Naród polski, który się nigdy nie wyrzekł i nie wyrzeknie dążenia do niepodległości swojej Ojczyzny, zrozumiał, że może to osiągnąć jedynie przy wielkich wstrząśnieniach, a więc przy wybuchu wojny europejskiej. Marzenia jego zaczęły się przeradzać w rzeczywistość z chwilą, gdy ta wojna stała się faktem dokonany. Jakkolwiek wiedzieliśmy, że ta wojna będzie straszna, a przy tym może się toczyć na ziemiach polskich, jakkolwiek wiedzieliśmy, że kraj, mienie i życie setek tysięcy ludzi padnie jej ofiarą, to jednak wiadomość o jej wybuchu niemal radośnie wstrząsnęła całym polskim narodem. Wszystkie jego warstwy bez wyjątku ogarnął zapał wprost nieopisany. W szeregach armii zgłaszano się ochotnie, czego dowodem jest wynik mobilizacji, przechodzący najśmielsze oczekiwania rządu.

„Dowodem dalszym to tworzenie Legionów, do których społeczeństwo

posłało resztę swoich synów, stanowiących kwiat narodu. Nie szczędzono ofiar z krwi i mienia, nie szemrano na nic, karmiąc się nadzieją, że ofiary te dadzą państwu zwycięstwo, a narodowi polskiemu przyniosą wolność. Aczkolwiek powstała tu straszna tragedia, że walczyć we wrogich armiach musi Polak przeciw Polakowi, brat przeciw bratu, że bratnią krew musi przelewać na licznych polach walki, naród nie zaważał się przed tymi ofiarami na chwilę. Pułki polskie okazywały takie zaparcie się, takie męstwo, jakim żaden naród poszczycić się nie może. To samo można powiedzieć, może jeszcze w wyższym stopniu o Legionach polskich, spełniających służbę w armii.

„W tym stanie rzeczy spadło na kraj nieszczęście, którym jest inwazja rosyjska. Ludność pozostawiona sama sobie, bo władze ją bardzo spieszenie opuściły, przechodziła męki wprost nie do opisania. I jakkolwiek tu i ówdzie miały miejsce wypadki słabości, lub też wykroczeń indywidualów, które się trafiają w każdym społeczeństwie, to zachowanie się ogromnej większości tej ludności było co najmniej wzorowe. Czas katuszy, jaką był najazd, nareszcie się skończył. Wróciły wojska i rządy austriackie. Ludność cała powitała je z niezwykłą radością i prawdziwą serdecznością. Tu się jednak stała rzecz niepojęta. Rzucono haniebne podejrzenie, krzywdzące i uwłaczające czci narodu, jakoby ludność polska była zdradziecką. Niezawodnie dużym powodem był tu brak znajomości stosunków i języka, ale zdaje się była także i zła wola, a przy tym celowa robota, której zadaniem było szukanie pretekstu do tępienia zniechęconych przez niektóre sfery rządzące Polaków, przygotowanie terenu dla kogo innego, zabicie przekonani i dążności, dla narodu słusznych i świętych.

„Proszę sobie wyobrazić, co za straszne położenie: Lada pozór, donos jednostki spodłonej lub z uczuć ludzkich wyzutej, nieraz wielu ludzi kosztowały życie, pociągając zwykle za sobą nadzwyczaj przykre następstwa i ofiary. Zarzut zdrady jest tym bardziej nieuzasadniony, że naród polski złożył nie tylko na ołtarzu wojny ogromne ofiary, ale ten naród swoją tysiącletnią historią i czynami wykazał, że w jego krwi ani charakterze nie leży zdrada, gdyż on ją uważa za czyn podły. Naród nasz nie był i nie jest do zdrady zdolny. Przechodzi ciężkie chwile, traci setki tysięcy swoich najlepszych synów, traci mienie i dorobek całych pokoleń, toteż nie może pozwolić, ażeby mu ponadto cześć i godność odbierano. Nie może i nie powinien znaleźć się w historii wzmianka, jakoby Polacy mieli spełnić czynny tak haniebny. Obowiązkiem jest Koła polskiego jako uprawnionej reprezentacji Polaków tej dzielnicy stanąć w obronie ciężko skrzywdzonego Narodu Polskiego. W tym celu pozwalam sobie przedstawić rezolucję, prosząc Wysokie Koło o jej uchwalenie:

„Wojna obecna zastała nasz naród w jednolitym dążeniu uczynienia wszystkiego, aby się przyczynić do zwycięstwa. Jakkolwiek w wojnie tej Polak musi walczyć przeciw bratu, aczkolwiek dla naszego narodu była ona i jest niezwykłą tragedią, naród nasz nie zaważał się ani na chwilę. Kiedy na wschodzie pewne żywioły zdradą ułatwiały wrogowi zalanie kraju, nasi żołnierze wywalczyli świetne zwycięstwa. Ludność, pozostała po wsiach i miastach, złożyła na ołtarzu wojny wszystko, czego od niej żądano i co posiadała. Znosiła bez szemrania najrozleglejsze rekwizycje, skutki kilkakrotnych przemarszów wojsk, bitew staczanych niemal na całej przestrzeni kraju, zalew wielkiej części przez wroga, co wszystko zamieniło ziemię naszą w pustynię, a ludność w nędzarzy.

„Ta ludność obecnie bez dachu nad głową, bo armaty zmiołły całe domy z powierzchni, kryje się po norach, ginie z zimna i głodu, lub też cierpi katusze wygnania. Wszystko to znosi jednak bez szemrania, a znosi w

tym przekonaniu, że ofiary te dadzą zwycięstwo prawu i państwu, a upragnioną wolność narodowi polskiemu. Na naród polski, który w tej wojnie nie tylko złożył chętnie ofiary, do których był zobowiązany, ale dał wszystko, na co go było stać, na ten naród który dziś stoi na pogorzeli swojego dorobku i dobrobytu, zniszczonego wojną, który wysłał na pole walki wielotysięczny zastęp ochotników, na ten naród rzucono haniebne miano zdrajców. Niektóre koła władzy, a następnie ci w krajach zachodnich, co wojny nie znali, zarzucają narodowi polskiemu najohydniejszy czyn, zarzucają zdradę. Naród polski swoją tysiącletnią historią i czynami dowiódł, że nawet z krzywdą dla swoich interesów najżywotniejszych szedł zawsze prostą drogą. Toteż koło polskie, jako reprezentacja narodu polskiego w tym państwie, protestuje uroczysto przeciw haniebnemu i nieuzasadnionemu zarzutowi zdrady, podnoszonemu przez niektóre koła władzy i czynniki niepowołane, wzywając rząd, aby w imię sprawiedliwości, będącej fundamentem państw i obowiązkiem narodów, jak najspieszniej i w sposób najbardziej stanowczy odparł ten zarzut, którym ciężko skrzywdzono naród Polski, polecił swoim organom władzy postępowanie godności naszego narodu odpowiadające”.

Rezolucję Koło przyjęło jednomyślnie. Podziękowała ona też na znekane społeczeństwo krzepiąco. Ludność odczuła, że jej polityczna reprezentacja broni jej w miarę sił i możliwości, na jakie pozwalają wojenne stosunki.

Nie chcieliśmy także pozostawić bez odpowiedzi nikczemnej roboty Ukraińców przeciw Polakom i sprawie polskiej w ogóle. Na posiedzeniu Koła dnia 23 lutego 1915 r. złożył poseł Angerman imieniem naszego klubu następujące oświadczenie i protest:

„Kiedy w krwawej walce naród nasz składa swe życie, kiedy na dwóch frontach, dwa tysiące kilometrów długiej linii bojowej leje się krew polska, kiedy naród wyczerpał wszystkie swe siły, by pokonać naszego odwiecznego wroga, posłał swych najlepszych synów legiony, kiedy lud polski ponosi cały ciężar wojny, ginąc z głodu i zimna, w tym państwie sprzedaje się ohydne broszury, paszkwile najgorszego gatunku, pochodzące z kuźni ruskiej, w których Rusini starając się udowodnić, że Polacy to sami moskalofile, a ich obecne postępowanie jest obłudną maską, którą zedrzyć należy.

Przytoczywszy tytuły całego szeregu broszur z oszczerstwami na Polaków, wydanych przez Rusinów w Berlinie i wystąpiwszy ostro przeciw rozszerzeniu ich w państwie austriackim, postawił poseł Angerman następujący wniosek:

„Wobec ohydnych, kłamliwych i najświętsze polskie uczucia obrażających, perfidnych insynuacji, pochodzących z obozu ruskiego, ogłaszanych w broszurach drukowanych w Berlinie, a znajdujących się na półkach księgarni w Austrii, wzywa się prezydium Koła polskiego, by wpłynęło na rząd celem skuteczniejszego przestrzegania ustaw, zakazujących obrażania narodowości i wydania zakazów sprzedaży takich publikacji. Koło polskie zakłada energiczny protest, odpierający nikczemne insynuacje ukraińskie, głoszone w broszurach i pismach we wielkich ilościach wydawanych w Berlinie”.

Także to jednomyślnie Koło przyjęło.

Dziś, z oddali, wydaje się to wszystko i mnie rzeczą małą i przebrzmiałą, a nawet zupełnie naturalną, wtenczas jednak to męskie postawienie sprawy, obrona czci narodu polskiego, niesłusznie spotwarzanego, równocześnie silne podkreślenie dążenia narodu do niepodległości, odezwały się w przybitym społeczeństwie silnym echem, stanowiąc wypadek polityczny wcale niecodzienny. Szczególnie dodatnio podziało to na inteligencję, dotąd w większości ludowcom nieprzychylną, a nawet często wrogo do nich usposobioną. Zaczęła ona też patrzeć na nas trochę innymi oczyma widząc, że Stronnictwo Ludowe to nie tylko partia broniąca interesów chłopskich, ale chcąca i mogąca ująć w swe ręce ster polityki narodowej. Przychodziła coraz więcej do przekonania, że masy włościańskie, przeważnie dotąd bierne, wkraczają na drogę polityki czynnej, nadając jej właściwy na te czasy kierunek. Nie było to rzeczą drobną, gdyż wielka część ówczesnej inteligencji polskiej nie tylko że myślała szczerze po polsku, ale miała odwagę mówić to publicznie, nie zważając wcale na następstwa.

C z ę ś ć V I I

WALKA O SPRAWĘ POLSKĄ

Wyjazd do Szwajcarii. U Henryka Sienkiewicza

Jedną z najważniejszych przeszkód do wytknięcia sobie zasadniczej linii postępowania i wyraźnego ustosunkowania się do państw walczących, była u nas prawie zupełna nieznanomość ogólnej sytuacji, tak wojennej jak i politycznej. Rząd austriacki, zamknąwszy szczelnie wszystkie granice państwa, strzegł pilnie, ażeby żadna wiadomość dla niego nieprzychylna i niepożądana nie przedostała się przez nie. To mu się też prawie w całości udawało. Jeżeli zaś były jakieś wiadomości z zagranicy, to nie tylko niezwykle skąpe, ale dla nielicznych tylko jednostek dostępne. Do nas parokrotnie przychodził z nimi poseł Tetmajer, zaznaczając, że je posiada od wyższego oficera austriackiego, a swojego, dobrego znajomego. Jakkolwiek zastrzegł sobie ścisłą poufność, były one tak skąpe i niedokładne, że trudno się było nimi kierować.

Ponieważ chodziło tu o rzecz nadzwyczajnej wagi, zaczęliśmy szukać jakiejś drogi wyjścia. Znalazł ją poseł Długosz, który zaproponował wysłanie posła Tetmajera z ramienia klubu do Szwajcarii, ofiarując się pokryć wszelkie koszta z jego wyjazdem połączone. Kiedy Tetmajer zgodził się na wyjazd, przybył do mnie Długosz, by mi to zakomunikować. Uznając postanowienie za dobre i pożyteczne, a wyjazd za konieczny, oświadczyłem, że osobiście uważam za bardzo wskazane, by wyjechała delegacja przynajmniej z trzech członków klubu złożona, tak ze względu na wagę tej sprawy, jak i innych, które tam niezawodnie przyjdzie poruszyć. Był to ponadto zamach na kieszeń Długosza, ale się zgodził.

Nie tracąc czasu, postarałem się o natychmiastowe zwołanie

klubu, który upoważnił Długosza, Tetmajera i mnie do wyjazdu do Szwajcarii dla zasięgnięcia tam autentycznych wiadomości, tak o postępach wojny, jako też i o stanie sprawy polskiej. Wyjazd wówczas był połączony z niesłychanymi trudnościami. Przez granicę nie przepuszczano nikogo bez zgody wojska, to zaś aż do przesady było gorliwe i ostrożne. Uzyskanie więc paszportów w tych warunkach dla nas i pozwolenie na wyjazd do Szwajcarii wydawało się prawie niemożliwe, mimo że członkostwo parlamentu austriackiego dawało jeszcze pewne walory. Nie było się zresztą czemu dziwić. Ja już od dawna figurowałem na czarnej liście, na Tetmajera patrzono mocno podejrzliwym okiem, Długosza znano z wielu dość mocnych i nieprzyjemnych dla rządu wystąpień.

Uznaliśmy, że mimo to wszystko on się najwięcej nadaje do załatwienia sprawy tak z władzami cywilnymi jak i wojskowymi, wiedząc że jeszcze z czasów swego ministerstwa zatrzymał sporo znajomości z różnymi urzędami i urzędnikami. Przejęty samą sprawą podjął się niemieżej funkcji bez wahania, a po dwóch, czy trzech dniach mieliśmy już paszporty w rękę, wraz z pozwoleniem wyjazdu. Nie tylko że je dano, ale ugrzeczniony urzędnik ministerialny przyniósł je Długoszowi do hotelu. Na moje pytanie, jak sobie z tą sprawą poradził, odpowiedział nie nowym zresztą przysłowiem: „Kto smaruje, ten jedzie”.

Bezpośrednio prawie po zamknięciu posiedzenia Koła polskiego, wyjechaliśmy w wieczór dnia 23 lutego 1915 r. z Wiednia do Szwajcarii. W dniu tym po raz pierwszy w życiu, a jak dotąd i ostatni, musiałem dokonać ustępstwa od nienaruszonego zwyczaju i na usilne naleganie moich obydwóch towarzyszy, przywdziać sztywny biały kołnierzyk i czarną krawatkę, zakupioną mi przez Tetmajera. Tej części ubioru, niezbędnego dla wielu, nie nosiłem wprawdzie nigdy, ale kiedy obydwaj panowie z miną uroczystą zawyrokowali, że od niej zależy niemal powodzenie naszej misji, musiałem się ich woli niechcący podporządkować.

Pocziwy Tetmajer przysporzył sobie przez to niemało kłopotu, gdyż musiał mnie codziennie ubierać, nie mogłem bowiem do końca dać sobie rady zarówno z kołnierzykiem jak i z krawatem. Obrozę tę nosiłem przez cały czas pobytu w Szwajcarii, a zdjąłem ją natychmiast, gdy się tylko w drodze powrotnej znalazłem na dworcu we Wiedniu. Czułem, że mi to sprawiło dużą ulgę.

Przejeżdżaliśmy na Salzburg przez niesłychanie piękne okoliczności Tyrolu. Podróż była wygodna, gdyż zapobiegliwy Długosz zdołał uzyskać dla nas duży przedział pierwszej klasy, do którego konduktor nie pozwolił nikomu ani zajrzeć. Na stacji gra-

nicznej odbyła się bardzo delikatna rewizja, która zresztą nie mogła dać dla nas nic nieprzyjemnego, bośmy nie mieli ze sobą ani kawałka bibuły. Oficjalny zaś powód naszego wyjazdu, to cele humanitarne. Władze rządowe we Wiedniu wiedziały tylko o tym, że jedziemy do Szwajcarii, żeby dla polskiej ludności zaboru austriackiego, wojną zniszczonej i głodującej uzyskać pewne fundusze, którymi rozporządzał Komitet z Henrykiem Sienkiewiczem na czele i z mecenasem Osuchowskim.

Granicę szwajcarską przekroczyliśmy około godziny dwiętej rano. Poseł Tetmajer, gnany ciekawością wyszedł na dworzec, zakupiwszy całe naręcze gazet: francuskich, angielskich, włoskich i szwajcarskich, które gorączkowo czytał i głośno nam tłumaczył, zwracając uwagę szerokiego otoczenia. Wiadomości te zaczęły otwierać inny świat przed nami. Szczęście nam dopisywało. W pociągu, którym jechaliśmy do Lucerny, spotkał Długosz przypadkiem swego dawnego znajomego, a bodaj nawet kuzyna, szwajcarskiego Niemca, wdając się z nim w rozmowę polityczną. Przedmiotem jej była przede wszystkim sytuacja wojenna.

Szwajcar opowiadał nam, że owe wielkie zwycięstwa Austrii i Niemiec, opiewane przez ich sztaby generalne i sławione przez gazety, są bardzo mocno wyolbrzymiane, tak samo jak i klęski koalicji, o których tak wiele mówiono i pisano. Informował nas bardzo chętnie i szeroko o przebiegu i rozmiarach wygranej przez Francuzów bitwy nad Marną twierdząc, że chociaż trwała bardzo krótko, przyniosła ogromne zwycięstwo wojskom francuskim i miała być punktem zwrotnym w toczącej się wojnie. Ten znajomy Długosza, obywatel szwajcarski i Niemiec, jak zauważyłem nie był zwolennikiem państw centralnych, wyrażając się o nich z pewną niechęcią.

Wiadomość o naszym przyjeździe rozeszła się bardzo szybko pomiędzy Polakami, zamieszkałymi w Szwajcarii. Za parę godzin zaczęli oni przychodzić do nas w odwiedziny. W rozmowie z kilkoma poważnymi emigrantami doszliśmy do przekonania, że należy urządzić nawet liczniejsze, możliwie trójzaborowe zebranie wybitniejszych polskich działaczy i polityków, przebywających w Szwajcarii dobrowolnie i przymusowo. Zajęli się tym moi towarzysze, pomagał im prof. Kowalski, Skarbek i nieznani mi znajomi Tetmajera.

Zebranie odbyło się we Fryburgu. Wzięli w nim udział między innymi: hr. Aleksander Skarbek, poseł do austriackiego parlamentu, prof. Uniwersytetu fryburskiego i późniejszy poseł polski w Rzymie i Berlinie, Wierusz-Kowalski, prof. uniwersytetu krakowskiego i były rektor, p. Fierich, mecenas Osuchowski z Warszawy, hr. Broel-Plater, Korwin-Milewski, poseł Niegolewski

z Wielkopolski, dwóch przedstawicieli Koła międzypartyjnego z Warszawy, oficer będący w służbie francuskiej o nieznanym mi nazwisku. Henryk Sienkiewicz nie przybył, usprawiedliwiając swoją nieobecność poważną chorobą.

Obrady były długie, poglądy nawet dość rozbieżne. Sytuację ze swego punktu widzenia scharakteryzowali przedstawiciele rosyjskiego i pruskiego zaboru. Poznańscy szczególnie wskazywali na wielkie siły Niemiec, które ich zdaniem długo jeszcze wyczerpane nie będą. Położenie w zaborze i państwie austriackim określili bardzo szczegółowo poseł Skarbek i Długosz. Poseł Tetmajer przedstawił projekt planu pracy dla Polaków we wszystkich zaborach, starał się również o wytknięcie jednolitego kierunku.

Mnie pozostało omówienie nastrojów wśród polskiego chłopstwa i przedstawienie gwałtów i okrucieństw dokonywanych na ludności tak w Galicji jak i w zajętej przez Niemców i Austriaków Kongresówce. To moje przemówienie z wyliczeniem faktów i danych zostało obszernie przez prasę polską szczególnie w Ameryce zużytkowane. Tak mnie przynajmniej informowano.

Na tym zjeździe ostatecznie ustalono, ażeby nie zrywając wyraźnie z państwami centralnymi, utrzymywać jak najściślejszy kontakt z państwami ententy i postarać się im udowodnić, że chociaż część polskiej ludności ma inne zapatrywania, to ołbrzymia jej większość stoi po stronie koalicji, od której jedynie spodziewa się należytego załatwienia sprawy polskiej. W zjeździe fryburskim, jak to już wspomniałem, nie wziął udziału Henryk Sienkiewicz, usprawiedliwiając nieobecność ciężką niemocą. Niektórzy tę jego chorobę uważali za pretekst, posądzając Sienkiewicza, że umyślnie nie przybył, by nie być zmuszony do zajęcia wyraźnego stanowiska, czego jakoby zawsze unikał.

Uważaliśmy za miły i konieczny obowiązek odwiedzenie go i rozmówienie się, gdyż jego nieobecność na zjeździe pomieszała nieco nasze plany. Jego zaś słabość przekreślała je zupełnie. Trudno chorego przecież nachodzić. Mimo wszelkich skrupułów, poseł Tetmajer wziął na odwagę i zwrócił się telefonicznie do Sienkiewicza zapytując, czy i kiedy mógłby nas u siebie przyjąć. Odpowiedział, że gotów to uczynić każdej chwili, gdyż jego przemijająca choroba wcale temu nie stoi na przeszkodzie. Pojechaliśmy też natychmiast.

Wielki pisarz przyjął nas niesłychanie uprzejmie, przepraszając za nieobecność na zebraniu. Mieszkał on, i to już pono od dłuższego czasu, w Vevey, w pałacyku bardzo ładnym, położonym nad samym jeziorem, w okolicy wprost cudownej. Wkrótce po naszym przyjeździe zjawił się u niego Osuchowski, bardzo sym-

patyczny i rzeźki staruszek. Rozmawiając dość długo, naciągaliśmy tak tematy, ażeby wy badać Sienkiewicza co do jego poglądów na sprawę polską i poznać jego politykę orientacyjną. Czynił to nawet dość natarczywie Tetmajer. Sienkiewicz jednak pod tym względem był wciąż bardzo ostrożny i wstrzemięźliwy. Nikogo nie potępiał za jego przekonania, otwarcie swojego zdania nie wypowiedział, natomiast przy końcu rozmowy oświadczył dobitnie: „Moi panowie, przez blisko półtora wieku panowali nad nami tak Niemcy, jak i Moskale. Gdy zaś Moskale odeszli choćby z takiej wsi Oblęgorek, w której mam mały mająteczek, nie pozostał tam po nich żaden ślad pobytu. Proszę mi pokazać choćby jedną miejscowość, w której przez taki czas gospodarowali Niemcy, by po ich odejściu można było to samo powiedzieć”.

To nam wystarczyło. Dłuższy czas omawialiśmy z Sienkiewiczem sprawy, dotyczące nie tylko samej wojny, ale także przyszłego układu stosunków w Europie, a w Polsce w szczególności. Nie dowierzał Anglii, uważając jej politykę za samolubną, obawiał się, że Francja nie będzie zdolna unieść ciężaru wojny do końca, jak również nie będzie mogła sama decydować przy układach pokojowych.

Mimo że wykazywał wielkie zrozumienie dla spraw społecznych, to mi się wydawało, że wypowiediane przez niego poglądy mocno się zbliżyły do kierunku zachowawczego. W państwo polskie wierzył bezwzględnie, ale obawiał się, że żądania niektórych ugrupowań politycznych już teraz idą za daleko, a dusza polska, szczególnie w zaborze rosyjskim, została jadem anarchii dość silnie zatruta.

Niezbity z tropu tym jego rozumowaniem, wskazałem konieczność zmian w posiadaniu ziemi i potrzebę inicjatywy ze strony wielkich własności i to już teraz, gdyż po tę ziemię zaczynają wyciągać ręce obcy. Podzielał moje zdanie i uznawał wagę tej sprawy, ale także lekko tłumaczył i szlachtę, która na dobitkę złego zwykła się zawsze i ze wszystkim spóźniać. Wyrażał pragnienie, by to wielkie dzieło zostało dokonane za wspólną zgodą, bo to jedynie uchroniłoby kraj przed wstrząsami o nie dających się przewidzieć następstwach. Wracając jeszcze do spraw politycznych zaznaczył, że nie można bezwzględnie potępiać żadnej orientacji, choćby i dlatego, że gdy nie wiemy, jaki będzie wynik wojny, może ona być nawet pewną asekuracją. Trzeba się z tym liczyć, że żadne z państw walczących nie prowadzi walki z miłością do nas.

Na naszą prośbę, ażeby funduszów nadsyłanych na jego ręce dla ofiar wojny w Polsce nie oddawał jak dotąd w całości instytu-

cjom klerykalnym, gdyż one postępują stronnico i niewłaściwie rozdzielają, a nawet za środek politycznej walki używają, odrzekł iż tymi funduszami zarządza nie on sam, ale obszerniejszy komitet, którego jest przewodniczącym. Skarg dotąd nie było z powodu rozdziału, a ponieważ my je podnosimy, sprawę rozpatrzy i załatwi.

Za jego poradą z tą samą sprawą udaliśmy się do mecenasa Osuchowskiego, przedstawiając swoje argumenty. Odniośł się do nich ogromnie życzliwie, obiecując załatwić sprawę na pierwszym posiedzeniu komitetu. Tak się też stało.

Z pobytu u Sienkiewicza odnieśliśmy niesłychanie miłe wrażenie. Oceniał on każdą sprawę trafnie i z wielkim spokojem, starając się o jak największą bezstronność przy wypowiadaniu sądów. Jakkolwiek przebywał poza krajem, był o wszystkim doskonale poinformowany. Interesował się też nawet drobnymi przejawami życia społecznego w Polsce. Bardzo wiele budował na chłopach, powracając w rozmowach kilkakrotnie do tego tematu. W rozmowach z nim czuliśmy zupełną szczerłość i brak jakiegokolwiek pretensjonalności.

Z niezwykłą uprzejmością przyjmowała nas i rozmawiała z nami p. Sienkiewiczowa, bardzo poważna i rozumna kobieta. Przed odjazdem uraczyli nas państwo Sienkiewiczowie nadzwyczaj wytwornym obiadem, z jakim się jeszcze w życiu nie spotkałem. Zaproszono także kilku wybitniejszych Polaków, mieszkających w tej okolicy. Przy obiedzie rozmawiano o rzeczach codziennych, nie dotykając prawie spraw politycznych. Myśmy się również do tego dostosowali, gdyż Sienkiewicz ostrzegł nas przed donosicielami, którzy się nawet do niego wkręcają w rozmaitych postaciach. Z prawdziwym żalem musieliśmy już późnym wieczorem pożegnać tego zarówno wielkiej miary pisarza, jak człowieka i obywatela. Widziałem, że i on był ogromnie wzruszony.

Będąc już w Szwajcarii, nie mogliśmy sobie darować, by nie zwiedzić bodaj kilku najważniejszych miejscowości. Byliśmy więc w Bernie, Zurychu, Lucernie. W ślicznej katedrze fryburskiej uderzył mnie zwyczaj rozdawania wiernym po nabożeństwie po kawałeczku białego chleba, za drobną opłatą. Oglądając liczne gmachy i instytucje, zabłądziliśmy i do zboru helweckiego. Trafiliśmy na kazanie. Nie mogłem nabrać wielkiego respektu ani dla kaznodziei, ani dla nielicznych wiernych, bo on mruczał pod nosem, a słuchacze kasłali i rozmawiali pomiędzy sobą jak na jarmarku. Świątynia bardzo schludnie utrzymana.

Na dzień przed odjazdem udaliśmy się do Raperswilu, miejsca cennych pamiątek naszej przeszłości. Dzięki uprzejmości zarządcy muzeum, Zielińskiego, obejrzelśmy nagromadzone zbiory.

Oglądając je, nie przeczuwaliśmy, że niedaleki już czas, a znajdują się one na wolnej ziemi polskiej. Odwiedziliśmy również grób śp. Karola Lewakowskiego, spoczywającego na pięknym cmentarzyku, na wzgórzu przy samym jeziorze, obok wielu innych pochowanych tam polskich emigrantów.

O Szwajcarii, jej piękności, urządzeniu i bogactwach, trzeba by pisać całe tomy, o tym wcale nie myślę, zrobiono to na długi czas przede mną. Byłoby dobrze, aby nasi rolnicy mogli na własne oczy widzieć, jak to chłop szwajcarski wydiera naturze po kawałku ziemi górskiej, i to ziemi bardzo niewdzięcznej. Jak z wielkim nakładem sił i pracy tę ziemię uprawia, tworząc wprost cudowne ogrody i grzędy, dające wspaniałe dochody. Nierzadko te prace wykonywa za konia.

Nie śni się tam nikomu o szkodnikach. Każde państwowe urządzenie ludzie uważają za swoją wspólną własność i strzegą jej jak oka w głowie. Masy różnych przedmiotów znajduje się na ulicy, nie pilnowanych przez nikogo, a nikomu na myśl nie przyjdzie, ażeby coś z nich ruszyć. Mógłby to u nas spróbować!

Zaglądnęliśmy i na wieś. Domy na wsi, czy to drewniane, czy murowane, wyglądają prześlicznie. Są to raczej zgrabne, wzorowe i praktycznie urządzone wille. Wszędzie nadzwyczajny ład, czystość i porządek. Może pokoje mieszkalne zanadto przeładowane meblami i różnymi obrazami. Stajnie dla koni i bydła to prawdziwe pokoje z posadzkami i wielkimi oknami. Porządek i ład widzi się nie tylko w domach i koło domów, ale w polu, na łące, słowem wszędzie, gdzie się człowiek znajdzie i czego się dotknie.

Po wyjściu z gmachu Sejmu związkowego natrafiliśmy na większe oddziały wojska, przechodzące przez miasto z muzyką. Przygodni przechodnie twierdzili, że idą one na granicę francuską, by przeszkodzić przejściu przez nią i przez część ziemi szwajcarskiej wojskom francuskim, które jakoby miały ten zamiar. Inni mówili, że Szwajcaria przyłączyła się do wojny po stronie francuskiej. Mimo że służba wojskowa trwa tam bardzo krótko, wojsko prezentowało się dobrze. Witane też było przez tłumy ludzi bardzo entuzjastycznie.

Aczkolwiek Szwajcaria jest krajem bardzo pięknym, z natury uposażonym, to jednak ta natura odmówiła jej bardzo wiele. Wszystko tam niemal, co się ogląda z takim podziwem, a co sprowadza miliony ludzi, to owoc wielowiekowej usilnej pracy ludzkiej, dowód niebywałej wytrwałości i poświęcenia tych, co zupełnie wolni i przez nikogo nie zmuszani, na tak wielkie rzeczy się zdobyli.

Po odbyciu jeszcze wycieczki po jeziorze Czterech Kantonów, umyślnie dla nas urządzonej, pielgrzymki do pomnika Wil-

helma Tella, wielkiego i sławionego bohatera szwajcarskiego, powróciliśmy tą samą drogą, rzucając przed granicą pliki gazet, jakie mieliśmy przy sobie. Szczególnie trudno to przychodziło zrobić Tetmajerowi, który chciał czarne na białym pokazać jak rzeczy stoją różnym niedowiarkom. Rozanielony Tetmajer przez całą drogę snuł niebotyczne plany, które mieliśmy zacząć wykonywać po zjawieniu się w kraju. Nabrał bowiem przekonania, że państwa centralne zostaną zmiażdżone i to już w najbliższym czasie, koalicja wejdzie do Berlina i tam Niemcom podyktuje pokój jaki zechce. Długosz udowadniał, że w ogóle nie może być inaczej, bo jeżeli Niemcy zostaną pobite, ale nie zniszczone, to za kilka lat mogą być bardzo groźne, żyjąc bezustannym przygotowaniem rewanzu. W każdym razie obydwaj byli pewni, że Polskę wolną wieziemy z sobą i nie mogli się tym nacieszyć.

Na zdrowie tej Polski i jej jeszcze nieznanym twórców wypiliśmy też wino kupione w Szwajcarii i przeznaczone dla p. Tetmajerowej, a ponieważ Tetmajer chciał jej koniecznie zrobić prezent z wina szwajcarskiego, kupił w Wiedniu węgrzyna dwie flaszki i ochrzcił je tym mianem. Sam zaś to przeniewierstwo okupił dwudniowym pobytom w hotelu „Zur Post” w Wiedniu dla uspokojenia skołatanego serca, wytrąconego z równowagi przez użycie, a może nadużycie szwajcarskiego wina. Poseł Długosz wierny Tetmajera przyjaciel, przypominał mu nieraz tę przygodę zaznaczając, że wszystkiemu winien szlachecki animusz, jaki się wtenczas u Tetmajera tak silnie pokazał. Nie był to zresztą jedyny u niego wypadek.

Zaraz po powrocie postarałem się o zwołanie klubu celem złożenia sprawozdania z wyników naszej podróży. Oprócz członków klubu przybyło także na posiedzenie szereg działaczy z kraju, łaknących wiadomości, o które było tak trudno. Kiedy ja starałem się przedstawić sprawę możliwie zimno i spokojnie, Tetmajer zrobił to z wrodzonym temperamentem i zapałem, wywołując gorący entuzjazm u zebranych, którzy oklaskiwali każde jego słowo, dopytując się o wszystkie drobiazgi. Trwało to przez cały dzień. Nie skończyliśmy na tym, zbierając przez dłuższy czas grupki ludzi wpływowych w różnych punktach kraju, by się z nimi wiadomościami podzielić i na duchu pokrzepić.

Ten nasz kilkudniowy pobyt w Szwajcarii, zasięgnięte tam wiadomości, ustalona we Fryburgu zasadnicza linia polityczna, stały się busolą w postępowaniu naszego stronnictwa na dłuższy przeciąg czasu. Przyczynił się on także w dużej mierze do zachwiania, a nawet zmiany w postępowaniu wielu ludzi, z którymi się stykałem, choć wypadki zdawały się iść zupełnie inną drogą. Przyszły sukcesy wojsk centralnych, szczególnie na zachodzie, co

zwolennikom polsko-austriackiego rozwiązania dało znowu podstawę do śmielszych wywodów, a ludzi słabych zachwiało w najuroczystszych postanowieniach. Nieraz te zmiany nastrojów stawały się wprost śmieszne, a bardziej jeszcze śmiesznymi ludziami, gdyż zmiana zapatrywania zależała u nich od różnych nieraz drobnych i przemijających wypadków. Na ogół jednak biorąc, przeważna ilość ludzi, z którymi się stykałem, traktowała te sprawy bardzo poważnie, dzięki czemu nie było tych przykrych niespodzianek, w jakie obfitują czasy obecne.

Dalsza praca

Życie i wypadki zmusiły mnie znowu do wejścia w jarzmo dawnej i codziennej pracy, mimo że ona często przejmowała mnie wstrętem. Stanowiły ją nieustanne zabiegi u władz, dochodzenie krzywd, mnożących się z dnia na dzień coraz więcej, molestowanie starostów, lekarzy, a często i większych dostojników wojskowych o zwalnianie od służby wojskowej, jeżeli już nie utrzymujących rodzinę i samodzielnych gospodarzy, to przynajmniej chorych i fizycznie upośledzonych, zmniejszenie rekwizycji i umożliwienie ludności dokonania zasiewów na tym skrawku Galicji, jaki jeszcze pod panowaniem Austrii pozostał.

W pow. tarnowskim bardzo wiele dobrego wyświadczył ludności fizyk powiatowy dr Dzikowski. Wprawdzie, jak opowiadano, nigdy nie chciał nic za darmo zrobić, dopominając się różnych choćby drobnych prezentów, ale korzystając ze swego urzędu i dużych wpływów, masę chłopów uchronił od wojska, zupełnie zdalnych i zdrowych, gdy nie oszczędzano ślepych i kulawych. Potrafił on zatrzymać we wsi wielu chłopów, których czy to komisarze starostwa, czy urzędnicy rady powiatowej robili na poczekaniu dróżnikami, lub też różnymi „koniecznymi” pracownikami. Usługi oddawane przez dr. Dzikowskiego były tym większe, że w Tarnowie odbywały się asenterunki z kilku okolicznych powiatów, a ponieważ miał on opinię bardzo lojalnego wobec rządu, nikomu na myśl nie przyszło posądzić go o jakieś tendencje. Nie wiem, czy słuszne było posądzenie go o branie pieniędzy, gdyż ode mnie nigdy nic nie wziął, mimo że mu zawracałem głowę grubymi setkami chłopów, a za marne śniadanie w dwójnasób się rewanzował. Jakkolwiek było, to bardzo wielu chłopów zawdzięcza mu swe życie. Sam też nic na tym nie stracił, bo od rządu, któremu odebrał tyłu wojowników, doczekał się wysokiego odznaczenia. Kiedy wypuścił tyłu innych, to mnie uznał za zdolnego do służby wojskowej, mimo że oficer

należący do komisji poborowej temu się sprzeciwiał. Śmiejąc się ze mnie podkreślał, że tym sposobem zakrył całą gromadę ludzi przed podejrzliwymi oczami. Nie mogłem mu odmówić sprytu, także i pod tym względem, choć wolałbym być, by go na kim innym wypróbował.

Wszystkie jednak zabiegi i sztuki niewiele pomogły, wieś została wyludniona, nie było prawie domu, z którego by bodaj jeden człowiek nie poszedł na wojnę. Nierzadkie były wypadki, że do wojska zabrano ojca i syna, a nieraz i kilku synów, tak że nieraz gospodarstwa zostawały na opiece starców i kobiet z dziećmi. Były to czasy wielkiej próby, szczególnie dla kobiet. Obarczone obowiązkami domowymi, nie zajmowały się prawie nigdy koniem, wozem, orką czy zasiewem, bo to wyłącznie należało do mężczyzn. Niektóre nie tylko nie wiedziały, jak konia zaprząć, ale ze strachu daleko uciekały przed nim. Twarda konieczność zrobiła swoje, przynosząc zmiany zarówno prędkie jak i niespodziewane. Pozostawione same sobie na gospodarstwach kobiety z początku lamentowały i rozpaczały, szukając pomocy i opieki gdzie tylko mogły, a kiedy wszystkie zabiegi zawiodły, zaczęły się brać same do każdej roboty, wykazując przy tym silną wolę, upór i wytrwałość. Sam widziałem niejednokrotnie jak pług rzucał kobietą, nie mogącą sobie dać rady ani z nim, ani z twardą ziemią. Sponiewierana, spocona, umorusana nie dała się niczym odstraszyć i w końcu dawała sobie radę niewiele gorzej od mężczyzny. Ich też nadludzkim nieraz wysiłkom zawdzięczać należy uratowanie wielu gospodarstw od zupełnego upadku. A przecież miały one przy tym na głowie kłopoty domowe i dzieci, a bardzo często walczyły z niedostatkiem i głodem. Bardzo wiele z nich przesadną gorliwość przypłaciło zdrowiem, a nawet życiem. Zdarzało się niejednokrotnie, że kobiety te roboty wykonywały dla „honoru”, albo ze skąpstwa.

W niedalekim sąsiedztwie mieszkała gospodyni, Maria Kozłowa, młoda, zdrowa, silna, wyglądająca jak kwiat niewiasta. Mąż na wojnie, ona z kilkorgiem drobnych dzieci na dużym gospodarstwie. Haruje sama, choć ma pieniądze i mogłaby ludzi wynająć. Przechodzę ścieżką obok jej gruntu, ona orze jednym koniem, szamocąc się z nim i z pługiem starym i zużyтым. Żgrzana i zmęczona, siada narzekając na pług i na konia. Biorę od niej i orzę. Przejechałem kilka skib, Okazuje się, że pług nieźle orze i koń jest w porządku, tylko do tej pracy potrzeba więcej wprawy. „Czemu nie najmiesz — pytam — męczysz się sama, stracisz przy tym zdrowie i dobrze nie zrobisz, tyle roboty przecież nie dla siebie?”. Uśmiechnęła się i powiada: „Wiecie wójcie, to prawda, jabym mogła nająć, pieniądze mam, bo biorę za męża

dość wielki zasilek, ale chcę, żeby to zostało dla dzieci i żeby on se rozporządził, jak wróci. A zresztą jak wszystkie baby orzą i sieją, to i ja nie mogę być gorszą, mam ręce i nogi tak jak one”. Zacięła się zaorała sama, a za dwa tygodnie była już w grobie. Pieniądze zostały dla dzieci, mąż nie wrócił, bo umarł w szpitalu w Nowym Sączu z wycieńczenia. Takich i podobnych tragedii można było liczyć na tysiące.

Straszny był los tej ludności, która została przemocą wydalona z terenów, koło twierdz wojskowych położonych. Ludność tę wyrzucano z brutalnością niesłychaną, ładowano do bydłych wagonów i wywożono na zachód pociągami wlokącymi się jak żółwie. Jechali ci nieszczęśliwcy nieraz całymi tygodniami. Eskortujący te pociągi wojskowi, przeważnie Niemcy i Węgrzy, ani się nie umieli z nimi porozumieć, nie znając języka polskiego, ani się nie starali niczym dopomóc, na odwrót dokuczali na wszystkie sposoby. Było to zresztą całkiem zrozumiałe i naturalne. Skoro główna kwatera uznała Polaków za zdrajców, to oni przecież mogą, a nawet powinni te ofiary wojny traktować jak zwyczajnych przestępców, posuwając się w gorliwości jak najdalej. Zdarzały się wypadki, że owe bydłace wagony wypełnione po brzegi mężczyznami, kobietami i dziećmi, żołnierze zamykali nie otwierając ich przez kilka dni z rzędu, a jeśli otwarli to nikomu nie pozwolili ruszyć się z wagonu, gdy się pociąg zatrzymał na jakimś dworcu. Ludzie cierpieli piekielne męki z pragnienia, ale im wody nie dawano. Trzymani jak towar w wagonach, musieli w nich załatwiać naturalne potrzeby. W tych warunkach znaczna część dzieci wyginęła, zanim wagony doszły do miejsca przeznaczenia. Starsi także pozapadali na różne choroby.

Tych miejsc przeznaczenia urządzono kilka. Najstraszniej jednak w naszej pamięci zapisały się obozy dla ewakuowanych w Choceniu, w Czechach, i w Libnicy, w Styrii. One bowiem stały się prawdziwym piekłem dla ludzi. To co się tam działo, potwornością swoją przechodzi najbardziej wybujałe obrazy fantazji. Szeroko o tym informował nas poseł Lasocki, opowiadając z oburzeniem i wstrętem o stosowanych tam praktykach. Nie wiem czy nie zmieniłby zdania, gdyby się zapoznał ze stosunkami Brześcia i Berezy.

Nie kończył on jednak na słowach, lecz losem nieszczęśliwych zajął się z jak największą gorliwością. Jeździł wielokrotnie do Chocenia i Libnicy, zwiedzał baraki, w których umieszczono ewakuowanych, mimo że szerzył się w nich tyfus i inne zaraźliwe choroby. Interweniował natarczywie u władz czeskich i styryjskich, czynił bezustanne zabiegi u rządu centralnego, dotarł nawet do cesarza, przedkładając mu memoriał dotyczący niedoli, jaką prze-

chodzili ci nieszczęśni ludzie. Szukał też drogi do różnych wysokich dostojników państwowych, choć wiedział, że pałają oni do niego nienawiścią i dają mu to odczuć.

Twierdził też, że tak w Choceniu jak i w Libnicy umieszczono mężczyzn, kobiety i dzieci razem, bez względu na wiek, stan, pochodzenie, rozrywając przy tym bardzo często rodziny. Wszystkich odżywiano niesłychanie nędznie, gdyż kuchnie rząd wydzierzawił przedsiębiorcom, którzy się na żołądkach ewakuowanych dorabiali grubych fortun. Niechlujstwo rodziło zaraźliwe choroby, na które ewakuowani wymierali masowo, dzieci w szczególności. Lasocki sprawdził dokładnie, że z tych dzieci, które tam przybyły, ani dziesiąta część nie powróciła do kraju, ogromną większość zabiły choroby.

Dozorcy ewakuowanych, przeważnie młode chłopaki od służby wojskowej wyreklamowani, najczęściej indywidualnie o zbrodniczych instynktach, dopuszczali się na dziewczętach niejednokrotnie gwałtów. Urządzali też sobie zabawy w ten sposób, że rzekomo ze względów higienicznych zmuszali dziewczęta i starsze kobiety, by się do naga rozbierały, nagie przeprowadzali przez baraki, a w końcu na całym ciele dokonywali operacji. Kobiety się broniły, płakały, a nieraz mdlały, ale to na zwyrodniałcach nie robiło żadnego wrażenia.

Z baraków w Libnicy zarząd, złożony z Niemców, wysyłał masowo mężczyzn do robót ziemnych na froncie, zdawało się rozmyślnie, by ich tam wygubić. I rzeczywiście tak się stało, gdyż Lasocki stwierdził, że z kilku tysięcy tysięcy ludzi wysłanych do tych robót na front serbski, nie wróciła ani czwarta część. Reszta już to została serbskim ogniem wymordowana, już to wyginęła od chorób zakaźnych, a nierządkiem z głodu. Usilne zabiegi Lasockiego, poparte przez klub, a potem Koło polskie, zaczęły dawać pewne rezultaty. Ze stu tysięcy ewakuowanych znaczna część powróciła nareszcie do kraju. Z pomocą przy tej ciężkiej i niewdzięcznej pracy przychodzili Lasockiemu posłowie Banaś, Średniawski i Długosz. Ja na miejscu nie byłem nigdy, czyniłem tylko zabiegi u władz we Wiedniu, rzecz oczywista niezawsze skuteczne.

Jeszcze gorszym piekłem stały się obozy internowanych, rozrzucone przeważnie po Dolnej i Górnej Austrii. Obozy te wypełnione ludźmi nie tylko z Galicji, ale także z Kongresówki, przeważnie podejrzanymi o zdradę. Byli oni nie zdrajcami, ale ofiarami stosunków i systemu, nie silącego się przy tym na szukanie jakichkolwiek dowodów. Ktokolwiek byle jakiemu niemieckiemu albo węgierskiemu żołnierzowi wydawał się podejrzanym, czy niewygodnym, kto się ośmielił upomnieć o swoje, na kogo zrobiono donos, tego od razu odsyłano do obozu internowa-

nych, jeśli nie tracono jako zdrajcę, tam trzymano całymi miesiącami, nie prowadząc żadnych dochodzeń. Okrutne praktyki na tych ludziach dokonywane nie dadzą się opisać. W jednym tylko obozie dla internowanych w Drusendorfie wymarło więcej niż połowa i to przeważnie na tyfus plamisty. Ilu stracono i to zupełnie niewinnie, Bóg raczy wiedzieć, bo nawet zapisków nie prowadzono, widocznie celowo, by zbrodnie tam popełniane nie wyszły kiedy na światło dzienne. Jeśli wielu tych nieszczęśliwców wyszło stamtąd z życiem, to mają to wyłącznie do zawdzięczenia pracy i wysiłkom i poświęceniu hr. Zygmunta Lasockiego.

Z żołnierzami Polakami, Niemcami, Węgrami, a nierzadko i czescy oficerowie obchodzili się w sposób barbarzyński. Dziwna rzecz! Niemcy i Węgrzy gnębili ich za brak gorliwości, Czesi zaś za zbytnią gorliwość, choć tego wyraźnie nie mówili. Obciążano ich nadmiernie służbą, posyłano na posterunki najbardziej niebezpieczne, odmawiano urlopów. Poseł Długosz w mowie, wypowiedzianej na posiedzeniu wspólnych delegacji, piętnując bardzo silnie takie postępowanie, cały szereg przytoczył przykładów. Wynikało z nich, że ludzie ci, zupełnie głusi, garbaci, ślepi, byli używani do służby frontowej. Nie uwzględniano prawie zupełnie chorych. Nie tylko że odmawiano urlopów żołnierzom Polakom, ale ich nawet na kilka dni nie puszczano do domu, kiedy tam ich obecność była niezbędna. Natomiast Niemcy i Czesi stale z urlopów korzystali.

Nie uwzględniano reklamacji, mimo wszelkich ustawowych warunków. Do rowów strzeleckich nie dopuszczano pism polskich, listy zaś od rodzin do żołnierzy i od żołnierzy do rodzin zarzucano lub niszczone tak, że żołnierze całymi miesiącami nie wiedzieli nic, co się dzieje z ich najbliższymi. Co się zaś działo w ich duszy, jaka ich pożerać musiała tęsknota i niepewność, mogłem się przekonać z listów, które dość często kierowali do mnie, spodziewając się dostać jakieś wiadomości. Nierzadko nie można było takiego listu spokojnie przeczytać.

Ta straszna martyrologia polskiego żołnierza, pełniącego służbę w armii austriackiej, znalazła pomiędzy innymi dosadne określenie w przemówieniu Długosza, wygłoszonym na wspólnym posiedzeniu delegacji w r. 1917. Nie tylko odmalował te straszne stosunki, ale uczynił to bez ogródek, a jak na te czasy z bardzo wielką odwagą cywilną, ku zgorszeniu wielu dygnitarzy.

Wszystko to przecież nie zdołało zabić żywego narodu. Nie zabiło też życia i ducha wśród żołnierzy. Często zaś rodziło cichy opór, hartowało wolę. Wyczuwałem to z listów codziennie do mnie i do *Piasta* nadsyłanych z różnych frontów. Pisali je chłopci, starsi i młodszy inteligenci. Szczególną gwałtownością i atakami na rząd

i dowództwo odznaczały się listy akademików-żołnierzy, Antoniego Szmigła z Rzeszowa i Tomasza Dąbala z tarnobrzесьkiego powiatu. Dziwiłem się, widząc na nich pieczętę wojskowego cenzora.

Żołnierze-chłopi natomiast pisali listy bardzo ostrożne, narzekając zwracali się do Boga o zmianę i pomoc, ale otwarcie swoich myśli prawie nigdy nie wypowiadali. Cóż było w nich? Nastroje głęboko religijne i coraz większa świadomość narodowa. Wyrazem nastrojów panujących wówczas wśród żołnierzy była pieśń napisana w rowach przez nieznanego autora, którą żołnierze śpiewali, przepisywali i na pamięć się uczyli. Otrzymał ją od jednego z żołnierzy Józef Szarek, gospodarz z Małej Wsi, powiatu wielickiego i przesłał nam do Krakowa, zaznaczając, że obiegła ona już mnóstwo wsi, śpiewana na nutę „Serdeczna Matko”. Przytaczam ją poniżej, jako wyraz panujących nastrojów:

Serdeczna Matko, Opiekunko świata, Dostyc nam długie upłynęły
[lata
Pod Twoją obroną żyliśmy spokojnie, Nikt z nas nie wiedział
[o głodzie i wojnie.

O Matko Boska, czegośmy doczekali, Że każdy człowiek przed
[Tobą się żali.
Wojna okrutna, straszne krwi przelanie, Najśw. Panno, co się
[z nami stanie?

Wejrzyj na lud Twój, Matko Boska z nieba. Niezmierna drogość,
[brak Twym dzieciom chleba
Ratuj nas, ratuj od głodu i moru, Królowo świata, Niebieskiego
[Dworu.

Europejskie mocarstwa powstały, Na całym świecie bitew słychać
[strzały.
Straszna rzeź wojny, krew się z wojska leje, Jezus, Maria,
[co się teraz dzieje,

Ogrody, sady, role poniszczone. Wioski, fabryki, kościoły spalone.
Miasta, fortece w gruzy rozsypane, Wszystko się spełnia,
[co przepowiedziane.

Morskie okręta parowce stłuczone, Tysiące wojska w morzu
[zatopione.
I na dnie morskim z światem się rozstają, Ratuj nas Matko,
[do Ciebie wołają.

Strumieniem z oczu łzy płyną rodzinie, Ojciec i matka
[nie wiedzą o synie,
W oczach im stoi to widzenie smutne, Jak syna ranią szrapnele
[okrutne.

Rzewnie łzy leją siostry o swych bratów, że straszną śmiercią
[giną z tego świata
Szablą zrabany, granatem stargany, Już brata nie ma, Jezus
[mój kochany.

I serce żony ciężko jest zranione, Smutno spogląda w tę i ową
[stronę,
Męża nie widzi, bo już leży w grobie, O Matko Boska,
[co ja pocznę sobie?

Najstarszy syn mój na wojnę zabrany, Ratuń mnie ratuj Jezu mój
[kochany.
Kilkoro drobnych zostało mi dzieci, Matko Najświętsza, miejże
[nas w pamięci

Smutna ja smutna, z dziećmi opuszczona, Wciąż ubolewa za
[swym mężem żona
Starsze sierotki rączki w niebo wznoszą, Ciebie Maryjo o opiekę
[proszą,

Kilka miesięcy już nam chleb nieznan, Na naszych barkach
[stargane łabmany,
Wróć do nas ojczy, abyś nas przyodził, Chleba nam kupić, do ust
[naszych podał,

Na Godne Święta i Niedzielę Wielką, Miały rodziny boleść serca
[wszelką
Zeszłego roku razem się modlili, Z pieśnią na ustach Jezusa
[chwalili,

Ojczy i matko syn wasz teraz w polu, Chodź bracie siostrze,
[chodźcie na plac boju.
Chodźcie rodzice, chodź żono z dziećmi, Ujrzyćie wszystko,
[co się dzieje z nami.

Jezus Maryja straszne widowisko, Tu syn skrwawiony, tu brat
[śmierci blisko.
Tu ojciec dzieci w strasznych bólach jęczy, Już żony, dzieci
[nie zobaczy więcej.

Wierni żołnierze spowiedzi żądają, Krew ich uchodźci, słabi się
I pragną z Bogiem pojednać swą duszę, O, Matko Boska, już
[uznają.
[umierać muszą”.

„*Piast*”

Do zmiany nastrojów i to dość głębokiej, tak wśród ludu na wsi, jak i żołnierzy w polu przyczynił się w znacznej mierze tygodnik *Piast*. Kierunek tego pisma, redagowanego wtenczas bardzo zręcznie przez Józefa Rączkowskiego w duchu niepodległościowym i koalicyjnym, zmierzał do tego, by wśród żołnierzy, do których dochodził w okazałej ilości, jak i do ludności na wsi, wsączać powoli dążności do niepodległości narodu, a równocześnie w sposób jak najmniej widoczny budzić nieufność do państw centralnych. Nieraz się przekonałem, jak się chłopci doskonale orientowali. Doświadczony i przebiegły redaktor, na czoło numeru wysuwał rzeczy, które pochlebiały cenzorowi, by w dalszej części pisma umieścić to, co zechciał. Cenzor zapatrzony w miły sobie artykuł, sławiący rządy lub armię, zwykle do pisma głębiej nie zaglądał. Rączkowski ułatwiał też sobie osobistymi stosunkami, zapraszaniem na czarną kawę, a czasem i lepsze śniadanie. W końcu się jednak zaczęło psuć, dzięki większemu wglądowi w treść artykułów, jak twierdził Rączkowski na skutek denuncjacji jednego z urzędników N.K.N., który nie znosił *Piasta* i Rączkowskiego. Oprócz stałego gnębienia pisma konfiskatami, postanowiono pozbawić je redaktora. Zrobiono to bardzo prostym sposobem. Antymilitarnie usposobionego cherlaka Rączkowskiego zabrano do wojska. Ponieważ jednak w Austrii zawsze, a także i w tym czasie nie wiedziała lewica, co robi prawica, udało się po długich zabiegach Rączkowskiego zwolnić, tak że prochu wcale nie powąchał. Redaktor został, *Piast* dalej wychodził, ale czujny stał się cenzor, czego dowodem były wielkie, białe plamy w każdym niemal numerze *Piasta*, mimo że zdemilitaryzowany Rączkowski po doświadczeniach okazał się grubo ostrożniejszy.

Władze austriackie spóźniły się jednak ze swymi zarządzeniami, bo zmiany nastrojów zaszły za daleko, a gdyby *Piast* nawet chciał odrobić, co zepsuł, nie dałoby już rady. Z czasem zmęczona cenzura trochę pofolgowała, a redakcja *Piasta* stała się potężnym ogniskiem, skupiającym życie chłopca polskiego niemal całej Galicji nie wyłączając i żołnierzy Polaków. Do *Piasta* zwracali się oni o pomoc dla rodzin, wiadomości o ich losie, interwencje u władz w różnych sprawach. Do *Piasta* pisały

matki, żony, siostry, dowiadując się o żołnierzy, prosząc o porady, spowiadając się ze swych bólów i udręczeń. Tam przychodzili i przyjeżdżali ludzie masowo, nawet ze stron kraju bardzo odległych, dopytując się o wiadomości, prosząc o wskazówki. Jak żywy był ten kontakt świadczyć może kilkadziesiąt tysięcy listów, otrzymanych z frontu od żołnierzy, a złożonych na ręce prof. Semkowicza dla Polskiego Archiwum Wojennego w Krakowie. Wymownym świadectwem to stale rosnąca ilość czytelników *Piasta*, który w r. 1917 osiągnął cyfrę 81 tysięcy egzemplarzy. O tym się nigdy nie marzyło. W tym czasie *Piast* dla ogromnej większości chłopów był wyrocznią pod każdym względem. Chłopi nie tylko się godzili na jego polityczny kierunek, ale cenili sobie pomoc i radę im udzielaną. Temu też w bardzo znacznej mierze zawdzięczać należy, że potrafiliśmy przetrwać najcięższe czasy i znieść wszelkie ciosy i to nawet wtenczas, kiedy Moskale zajęli Galicję, podchodząc prawie pod Kraków. Z tego okresu wyszło także sporo ludzi, którzy dotąd pracują pożytecznie, często bezinteresownie, nie ulegając panującej koniunkturze, ani pokusom, na nich zarzucanym. Rozpierzchli się przeważnie inteligenci, wykazując czynem, że ideały przez nich głoszone to szata na święto używana, obowiązki i praca dla drugich, dla nich zaś wygodne życie, a gdy można i obfity żłób. Nie wytrzymał i redaktor Rączkowski. Widocznie trzeba mieć w życiu nie tylko zdolności, ale także — charakter. Tego jednak nie okazał.

Znad Nidy

Jakoś wczesną wiosną 1915 r. wychodząc z redakcji *Piasta* zauważyłem żołnierza, kierującego się do drzwi lokalu. Nie zwracając na niego uwagi, gdyż nie był wyjątkiem, szedłem dalej zwłaszcza, że od komendy miasta otrzymałem przepustkę na przejazd koleją, a w Bochni czekało na mnie kilkunastu chłopów z różnych okolic, ażeby sobie zabrać nieskonfiskowanego *Piasta*, który im zwykle przynosiłem. Kiedy byłem już przy bramie, żołnierz przyszedł do mnie prosząc, bym się zatrzymał. W pierwszej chwili zupełnie go nie poznałem, gdyż się już ściemniało. Trudno zresztą było go poznać i przy świetle. Brudny, zarośnięty, na poły ogłuszony, zmizerowany, robił wrażenie skazańca, który się wyrwał z długiej i ciężkiej katorgi. Był to prof. Dubiel, sekretarz stronnictwa naszego, który jako austriacki porucznik pełnił służbę na froncie od początku wojny. Przyjechał znad Nidy, gdzie toczyła się od listopada walka pozycyjna z Rosjanami, uzyskawszy kilkudniowy urlop. Jakkolwiek było mi bardzo przykro, że

chłopom mnie oczekującym zrobię trochę zawodu, nie mogłem sobie darować, ażeby od człowieka, który dopiero wyszedł z okopów, prawdy się nie dowiedzieć. Wprawdzie musiałem dość długo czekać, nim pan porucznik zdołał się u fryzjera oczyścić z naleciałości wojennych, a przy tym poszukać sobie jakichś znajomości, ale na to nie było rady. Nawet wojna nie zmienia ludzi pod niektórymi względami, a on ideałem przecież nigdy nie był.

Na sprawę wojny miał trzeźwy sąd, szeroko opowiadał o stosunkach. Udowadniał przykładami z życia, że duch i obowiązkowość bardzo w wojsku osłabły. Zapał, jaki był przy mobilizacji, a nawet w pierwszych miesiącach wojny, dawno znikł bez śladu. Kreśląc kilka znamienych epizodów z pola walki, opowiadał, jak tragiczne musiał przechodzić chwile strzelając do koscioła, w którym był chrzczony i do wsi rodzinnej. Zaznaczył z zadowoleniem, że nasi chłopcy nauczyli się już doskonale życia i zdrowia zbytnio dla Austrii nie narażać. Nie omieszkął też dodać uszczypliwie, że najwięcej tam giną te różne arcykatolickie Maćki, którzy zamiast się chować w rowach, biegają z różańcem w rękę, prosząc Matkę Boską o ochronę, a tymczasem kule rosyjskie wysyłają ich na tamten świat. Mówiąc o zaniku zapału wojennego zaznaczył, że gdy w początkach wojny wysyłane patrole starały się za wszelką cenę wypełnić swoje zadanie, to teraz niewiele dbają o rozkazy i nie idą ślepo na śmierć jak dawniej. Znaczna część oficerów i to nawet Niemców bardzo spuściła z tonu. Rozkład zaczyna się wszędzie i, aczkolwiek mocarstwa centralne mogą jeszcze dłuższy czas wytrzymać, to im to nie pomoże, bo wojnę muszą przegrać. On w zwycięstwo koalicji wierzy „jak w ewangelię”.

Zmiana w poglądach i zachowaniu się ludności cywilnej zaczęła też być coraz to więcej widoczną. Nienawiść jej i gniew rosły coraz bardziej podsycane wiadomościami o okrucieństwach, jakich się w dalszym ciągu dopuszczały wojska niemieckie i austriackie, niemniej także powtarzanymi co kilka dni poborami wojskowymi i rekwizycjami, coraz bardziej bezwzględny. Komunikatom donoszącym o nowych zwycięstwach coraz mniej wierzono, a chociaż często odbywały się oficjalne uroczystości i nabożeństwa dla podziękowania Bogu i uczczenia zwycięzców, ludność zaczęła z tego podrwiwać, nie kryjąc się z przeświadczeniem, że to wszystko uważa za kłamstwo. Przekonanie, że Austria z tej wojny wyjdzie zgruchotana, zaczęło ogarniać coraz szersze masy. Wiarę w zwycięstwo państw centralnych, prawie jedynie wyznawał N.K.N. i ludzie bliżej koło niego stojący, do nich należał także redaktor *Nowej Reformy*, Konstanty Srokowski.

W każdym niemal numerze tego dziennika, pisał on długie

doskonale skonstruowane artykuły, starające się udowodnić, dla czego my, tzn. Austria, Niemcy i N.K.N. muszą w tej wojnie zwyciężyć. Miało to duże znaczenie, gdyż Srokowski był w ogóle uważany za bardzo rozumnego człowieka i tego publicystę. Ponieważ te artykuły drażniły mnie nieraz, zwróciłem się do Srokowskiego z zapytaniem, po co to wszystko wypisuje, kiedy zapewne sam ani w zwycięstwa mocarstw centralnych nie wierzy, ani w ich dobrą wolę w stosunku do Polski. W odpowiedzi wysunął mi taką lawinę argumentów, że bardzo ciężko przychodziło mi z nim polemizować. Oczywiście, że miłością Niemców do nas i niedośławstwem ententy nie mógł mnie przekonać. Natomiast red. Rączkowski mi wyjaśnił, że sentyment Srokowskiego pochodzi stąd, że jest on z pochodzenia Ukraińcem. Kiedy już grubo po skończeniu wojny rozmawiałem z Srokowskim na temat jego wojennych poglądów i przewidywań, oświadczył mi: „Po raz pierwszy, jak pamiętam z historii, wynik wojny przewidywała intuicja, a nie realne i rozumne rachuby”.

Po orgiach gwałtu i barbarzyńskich praktykach rząd się widział zmuszony porobić pewne posunięcia, które by pozornie wskazywały na zmianę. W niektórych kołach uważano też za duże ustępstwo ze strony rządu utworzenie Rady przybocznej przy Namiestniku Galicji, Korytowski. Mnie także do tej Rady powołano. Miała ona charakter ciała opiniodawczego, i to w bardzo skąnym zakresie. Cała jej czynność ograniczyła się do jednego posiedzenia w Białej, dokąd się Namiestnictwo przeniósł po opuszczeniu Lwowa. Uchwał żadnych nie powzięto, a wszyscy jej członkowie wystąpili z generalnym oskarżeniem rządu i jego organów. Namiestnik Korytowski, udzielając różnych wyjaśnień i odpowiadając na liczne interpelacje, dawał nam odczuć w sposób zupełnie wyraźny, że my wszyscy razem i on nie mamy nic do powiedzenia, bo wojsko rządzi krajem samodzielnie, nie licząc się nie tylko z Namiestnikiem, ale i z rządem. Galicji zresztą niewiele zostało, bo ją wojska rosyjskie załamy, a sam Namiestnik siedząc w Białej, administrował niewielu powiatami, spodziewając się usunięcia go z tego urzędu w każdej chwili. Jedyne pożytek więc z tej instytucji był ten, że się rząd dowiedział, co o jego gospodarce myśli społeczeństwo. O ile oczywiście został poinformowany.

Dalszym ustępstwem już realnym i mającym działać na ludność, było dość obfite przyznawanie zasiłków dla rodzin żołnierzy i rezerwistów i wypłacanie ich. Nie zapomniano nawet o rodzinach, które miały żywicieli w Ameryce. Chociaż zasiłki owe były niezbędne i potrzebne dla utrzymania rodzin, to często działały demoralizująco, gdyż wiele kobiet pragnęło, by mąż poszedł

na wojnę i na nie zarabiał, a wiele kobiet pobierane zasiłki nie najlepiej zużywało. Pod względem politycznym środek ten był dla rządu niezwykle skuteczny.

Na froncie

Tymczasem w Galicji i w Królestwie toczyły się dalej walki pozycyjne, nie przynosząc żadnych poważniejszych zmian. Po stronie rosyjskiej dawało się jednak odczuć pewne osłabienie, a chłopci zakradając się nocami do swych gospodarstw, opowiadali o bardzo słabej obsadzie z tamtej strony Dunajca, która była zajęta przez Rosjan. Jakoś tylko raz w miesiącu lutym w czasie wielkiej zawieruchy śnieżnej Rosjanie urządzili większy wypad pod wsią Niwką, a nawet przerwali linię, przez Niemców obsadzoną, dostając się na tyły. Trwało to parę godzin zaledwie, gdyż Niemcy dostali pomoc, która Rosjan z wielkimi dla nich stratami odrzuciła.

Moi informatorzy — chłopci, dochodzący często do samej linii bojowej — mówili, że wojujące ze sobą wojska nie robiły tego z wielką zaciętością. W niektórych miejscach tak się zbliżyły do siebie, że przestrzeń pomiędzy nimi wynosiła zaledwie kilka metrów. Żołnierze obu walczących stron chodzili jednocześnie po wodę do tego samego źródła, dzielili się chlebem, częstowali papierosami. Naturalnie, że ta sielanka trwała tak długo dopóki nie przyszła Komenda.

Wojska rosyjskie cofnąwszy się poza Dunajec, utrzymywały się jednak częściowo po jego zachodniej stronie. Gminy Borowniki, Glów, Rudka, Siedlec, Gosławice, Ostrów i cały szereg wsi pod górę Dunajca położonych, mimo wielokrotnych ataków Niemców i Austriaków na te słabe pozycje rosyjskie, pozostały w ich rękach. Chłopci mi opowiadali, że duch w wojsku rosyjskim był dobry do samego końca, tylko żołnierze stale narzekali na brak chleba i amunicji.

Wiosna 1915 r.

Tak było do wiosny 1915 r. Od połowy kwietnia rozpoczęły się nad Dunajcem wzmożone ruchy wojenne. Gwałtowną strzelaninę słychać było codziennie. Noce rozświetlane łunami pożarów i długimi smugami światła reflektorów. Spodziewano się jakichś nowych, wielkich wydarzeń. Będąc w Bochni, poszedłem zasięgnąć języka do pośła Ruebenbauera. Pełnił on jako

austriacki oficer wciąż jeszcze służbę przy moście na rzece Rabie, w gminie Cikowice w powiecie bocheńskim, nie mogąc się doczekać, ani załatwienia reklamacji, ani zwołania parlamentu. Osobiście miałem do niego nie tylko śmiałość, ale i głębokie zaufanie. Nie pierwszy raz się zresztą z nim stykałem. Od czasu bowiem, gdy żona przyjechała do Chodenic z krową i koniem, które jej z całego gospodarstwa pozostały, korzystałem nieraz z jego pomocy. Zrobił mi on też dużą przysługę, jak na owe czasy, bo zakupił ode mnie krowę na mięso dla wojska, płacąc mi bardzo dobrą cenę, bo 170 koron austriackich.

Kiedy wszedłem, Ruebenbauer nie czekając nawet na moje pytanie, powiedział: „Zapewne pan ciekawy nowych wiadomości, mam je. Byłem wczoraj służbowo w komendzie krakowskiej. Tam mi powiedziano w wielkiej tajemnicy, że na pierwsze dni maja szykuje się wielką ofensywę przeciw wojskom rosyjskim. Ma się ona rozpocząć od Gorlic, by przez przełamanie frontu zniszczyć armię rosyjską na linii Dunajca i Nidy i zmusić do opuszczenia Galicji i wielkich połaci Królestwa. Do tej akcji mają być użyte przeważnie wojska niemieckie, gdyż armia austriacka nie jest do tego zdolna. Moi koledzy z komendy opowiadając o tym wścikalili się na Niemców twierdząc, że albo przyjdzie przegrana, albo też w razie wygranej zabiorą Niemcy wszystkie korzyści zwycięstwa”. Żegnając mnie Ruebenbauer powiedział: „Niestety Szwaby w tej chwili górą, ale ja mam w Bogu nadzieję, że mimo wszystko musi ich na końcu szlag trafić”. „No, i ja tak myślę” — odpowiedziałem.

Mimo lamentów i wyrzekań żony musiałem z powodu braku paszy sprzedać ostatniego konia. Pozostałem więc goły jak święty turecki, ale i wolny od wszelkich starań, co mi ułatwiało swobodę ruchów. Uwagi żony były bardzo uzasadnione, gdyż niedługo zmieniło się położenie, a koń i krowa były niezbędne. Kiedy jednego dnia poszedłem na stację kolejową w Bochni, dowiedziałem się od urzędników, że wszelki ruch cywilny i towarowy został na kolejach zamknięty. Należy więc wnosić, że pojadą wielkie transporty wojskowe. Jeśli dostaną pewniejsze wiadomości, nie omieszkają mnie zawiadomić. Uczynili to z całą skrupulatnością, przysyłając do mnie w nocy kolejarza, Karczmarczyka. Zaznaczył on informując mnie, że główne siły pójdą „cesarskim gościńcem”. Zdjęty ciekawością w czasie oznaczonym przez Karczmarczyka, poszedłem do Bochni. Po drodze spotkałem się z Henrykiem Grodzieckim, akademikiem, naonczas gorącym zwolennikiem stronnictwa Piasta i nieprzejednanym przeciwnikiem Austrii i Niemiec. Spacerując po wzgórzach w okolicy, by móc obserwować ruchy Prusaków, dodawaliśmy sobie otuchy, a choć

ziemia zdawała się usuwać spod nóg, pocieszał się nadzieją, że przecież wszystko dobrze się skończy. Bardzo dyskretnie zwrócił mi uwagę Grodziecki na proniemiecką orientację dwóch miejscowych matadorów dr. Maissa i dr. Kiernika.

Dochodziliśmy prawie do budynku urzędu salinarnego w Bochni, gdy na mieście pokazały się pierwsze kolumny wojsk niemieckich. Szły one dwoma drogami od Niepołomic i Gdowa, o ile nie jechały koleją i nie wysiadały na bliżej Dunajca położonych stacjach kolejowych. Wojsko niemieckie, aczkolwiek pokryte pyłem i zmęczone drogą i długimi marszami, wyglądało świetnie. Żołnierze rośli, jakby podobierani, dobrze odżywieni i wyekwipowani. Fala tych wojsk płynęła bez przerwy cały dzień aż do zmroku, skracając sobie drogę na Zakliczyn i zmierzając na Gorlice. Patrzyłem na tę straszną pruską potęgę z żalem i wściekłością, tym większą że bezsilną, do samego wieczora. Znużony do ostateczności i głodny, poszedłem do restauracji Paniewiczza, aby się trochę posilić.

Na drugi dzień ciągnęły znowu przez Bochnię nieprzejrzane i nieprzebrane zastępy prusactwa. Ludność Bochni wyległa na ulice, patrząc na tę potęgę z podziwem, ale i ze zgrozą. Ta potęga wywierała na wszystkich wrażenie, że się jej nic na świecie oprócz nie jest w stanie. Ogłuszający huk ciężkiej i lekkiej artylerii, ciągniętej przez ogromne konie, słychać było na kilka kilometrów w około. Każdy czuł, że gotuje się jakaś rzecz straszna, dotąd niewidziana.

Nie mogąc sobie znaleźć miejsca poszedłem do mieszkania adwokata dr. Władysława Kiernika, żeby choć na chwilę oderwać się od tak ciężkich gniotących mnie myśli. Od niego się dowiedziałem, że na drugi dzień ma przez Bochnię przejeżdżać na front pod Gorlice syn cesarza Wilhelma, który zapowiedział swoją wizytę burmistrzowi dr. Maissowi. Ponieważ dr. Kiernik był zięciem dr. Maissa, miałem prawo sądzić, że wiadomość pochodzi z najlepszego źródła.

Dr. Kiernik był w doskonałym nastroju, cieszył się z potęgi i zwycięstw niemieckich, zapowiadając w niedługim czasie zupełne zdruzgotanie wojsk koalicyjnych. Słuchając jego wywodów, zdębiałem, nie spodziewając się czegoś podobnego. Próbowałem zniecierpliwiony przerwać potop wymowy, lecz mi się to nie udało, gdyż miał nagromadzoną taką masę argumentów, że nie pozwolił mi przyjść do słowa. Uważając, że nasze poglądy i przekonania zupełnie się wykluczają, opuściłem mieszkanie p. mecenasa będąc tym, co tam usłyszałem, rozdrażniony i przygnębiony. Przykrą tą, a dla mnie nową wiadomością podzieliłem się niezwłocznie z Grodzieckim. Machnął on tylko ręką, nie powie-

dziawszy ani jednego słowa. Wciąż niespokojny przyszedłem do Chodenic, gdzie także swojemu gospodarzowi opowiedziałem o tym. Stary i poważny Dyga, pokiwawszy znacząco głową, zakonkludował: „Panie prezesie, wiecie, co ja wam powiem, te nasze inteligenty to jak Żydzi. Zawsze idą z tymi, co są mocniejsi!

Kiedy na drugi dzień przybyłem do Bochni ze wzmożoną ciekawością i to już koło 5 godziny, spotkałem na rynku burmistrza miasta, dr. Maissa, ubranego na czarno, oczekującego na pruskiego księcia i skracającego sobie czas przechadzką po chodnikach. Wygląd świąteczny i nastrój uroczysty widać było nie tylko u Maissa, ale także w mieście. Rynek, ulice i chodniki były skropione i zamiecione, policja wysztyftowana, ludzie gorączkowo biegali po ulicach, albo wystawali po chodnikach, spoglądając uparcie na zachód. Można było poznać nic nie wiedząc, że oczekują na coś niecodziennego. Dr Maiss, zobaczywszy mnie, zbliżył się natychmiast, a informując o zaszczycie, jaki ma spotkać tak jego, jak i miasto Bochnię, mówił o przygotowaniach na przyjęcie tak dostojnego gościa i najniespodziewaniej zaproponował mi wzięcie udziału w uroczystości na jego cześć urządzić się mającej. Choć widziałem u niego szczerść i dobrą wolę, czego nie było u dr. Kiernika, podziękowałem mu i odszedłem szybko, czując, że mnie coś boleśnie ukąsiło.

Nie mając nic lepszego do roboty i nikogo pod ręką, przed kim można by choć trochę zółci wylać, poszedłem do restauracji Pankiewiczza, spodziewając się tam kogo zastać. Rzeczywiście napotkałem kilku starostów i komisarzy ewakuowanych z różnych powiatów Galicji wschodniej, jednego urzędnika salinarnego, sędziego Nowaka i Tomasza Plutę. Wszyscy byli w różowych humorach, prowadzili głośno i niezwykle nieostrożną dysputę polityczną na temat wojny i zwycięstwa, wymyślając „Szwabowi” za zwlekanie z przyjazdem całymi godzinami. Najgłośniejszy był „legionowy komendant placu” Pluta, który nie dającymi się powtórzyć obelgami okładał całe rodziny tak Habsburgów, jak i Hohenzollernów przepowiadając, że ich jasne pioruny wybiją. Ponieważ to poszło już bardzo daleko, a spodziewano się, że książe pruski może nadjechać w każdej chwili, uspokojono Plutę i z wielkim trudem wyprawiono do domu, ażeby sobie bodaj trochę po tych wysiłkach odpoczął, a co gorsza, by jakiego kawału nie zrobił. Nie można było jednak w żaden sposób odnaleźć jego szabli, którą widocznie na znak protestu przeciw niemieckiemu militarystyce ulokował w miejscu, które wcale nie przypominało zbrojowni. Lękałem się mocno, by ktoś usłużny nie doniósł o tym wszystkim austriackim władzom, ale na szczęście moje obawy były płonne. Nienawiść do Niemców, zakorzeniona

już w społeczeństwie, a także wspólna wina biesiadników nie pozwoliła widocznie nikomu uczynić.

Wyszedłszy z restauracji, wdałem się w rozmowę z dr. Maissem. Odbywał on dalej swoją urzędową przechadzkę po mieście, gdyż oczekiwany gość jeszcze nie przybył. Naprowadzając umyślnie rozmowę na temat bieżących wypadków, a szczególnie na stosunek do Austriaków i Niemców, trochę może za nerwowo i zgryźliwie się wyraziłem, że on, Maiss, człowiek tak poważny, a przy tym starszy, z takim nabożeństwem oczekuje jednego z naszych największych wrogów, zaznaczając, że jest bardzo wątpliwe, by Niemcy mogli cały świat zwyciężyć. A gdyby się to stało, to nas potem połkną bez śladu, nie zważając na nic i nikogo. Dr Maiss odpowiedział mi bardzo spokojnie, że i on także przyjacielem Niemców nie jest, bo to są zwyczajni zbóje i złodzieje, ale wie, że oni posiadają siłę i organizację, jakiej nie ma w świecie. Na pewno w tej wojnie zwyciężą. Po niej zaś staną się niezwykłeni, gdyż nikt się nie ośmieli nawet na nich porwać. Dlatego uważa on, że lepiej być z nimi w dobrej komitywie, aniżeli robić minę niezadowoloną. Francuzom zaś nikt nie wierzy, bo to kupczyki, a Anglicy jeszcze od nich gorsi. Jak ma wybierać pomiędzy nimi, to już woli Niemców. O Rosjanach nie ma co mówić, bo to zwyczajne „śmierdzące patałachy”. Wypowiedziawszy to wszystko p. burmistrz się oddalił, gdyż sygnał dany ze wzgórz zapowiadał, że upragniony książe pruski nareszcie nadjeżdża.

Ofensywa

W dwa dni później niesłychane huki trwające we dnie w nocy bez przerwy i wstrząsające powietrzem jak straszliwa burza, oznajmiały, że rozpoczęła się olbrzymia bitwa. Szerokie łuny pożarów stwierdzały, że równocześnie niszczone tam gwałtownie mienie ludzkie. Była to znana wielka ofensywa pod Gorlicami, zakończona zwycięstwem wojsk niemieckich i austriackich, a jednocześnie ogromną klęską armii rosyjskiej.

Wieczorem dnia 3 maja zesła się spora gromadka chłopów w mieszkaniu Dygi. Nie znając sytuacji, byli przekonani, że Moskale zwyciężyli i pędzą Niemców z powrotem w te strony. Radzili też między sobą, jak się należy na ten wypadek zabezpieczyć, by uchronić zboże i inwentarz. Ponieważ się do mnie zwracali, radziłem poczekać, bo pewnie sprawa się prędko wyjaśni.

Jak zwykle na drugi dzień, poszedłem do Bochni. Mimo

bardzo wczesnej jeszcze pory, spotkałem na rynku burmistrza Maissa. Nie omieszkął on mi oznajmić o pełnym pogromie Rosjan pod Gorlicami, przerwaniu im frontu w dolnej części Dunajca i skutkiem tego bezładnym odwróceniu na całej linii. Mówił to wszystko spokojnie, bez wyrażania jakiegokolwiek radości albo tendencji. Dla pana zaś, zaznaczył w końcu, mam wiadomość, że wszystkie wioski od Wietrzychowic aż po Wojnicz wojska rosyjskie jeszcze o dwa dni wcześniej opuściły. Dotyczyło to gmin, które te wojska przez 6 miesięcy na lewym brzegu Dunajca zajmowały.

Radość wprost nieopisana zapanowała w sferach rządowych. Odezwały się dzwony kościelne, o ile gdzie pozostały, rozbite kościoły rozbrzmiewały dziękczynną modlitwą. Cieszyła się też i nieszczęsna ludność widząc że po półrocznej tułaczce i niewygodach będzie mogła nareszcie powrócić do wsi rodzinnej. To też na wiadomość, że Rosjanie pobici i cofnęli się znad Dunajca, a wojska nasze postąpiły naprzód, wszyscy ewakuowani, rozmieszczeni w powiatach brzeskim, bocheńskim, wadowickim, zaczęli bez namysłu ciągnąć do siebie, idąc we dnie i w nocy bez wytchnienia. Każdy chciał jak najprędzej wiedzieć, co się z jego gospodarstwem stało, pragnąc choć nieco zasiać i zasadzić. Wracali z czym kto mógł, a najczęściej z niczym. Ja powróciłem pożyczonym wozem choć własnymi końmi, które kupiłem za bezcen dzięki profesorowi szkoły rolniczej, Ponińskiemu. Pocziwy mój gospodarz, Dyga, swoim wozem i końmi pojechał ze mną, wioząc mi najpotrzebniejsze rzeczy na początek.

Zbiedzeni ludziska ciągnęli całymi drogami. Niektórzy mieli coś inwentarza, a czasem i grosza w kieszeni, zaoszczędzonego z wypłacanych mizernych zasiłków. Ślady walk prowadzonych widać było już od samego Brzeska. Porozdzierane budynki, zabrane ogrodzenia, nagromadzone kupy śmiecia, zdechłe konie leżące po rowach, kości i skóry bydłące, świadczyły o tym, co się tam działo przed kilku dniami. Na polach gminy Łoponia stały jeszcze dwie „wielkie Berty”, z których przez parę miesięcy Tarnów niszczone. W lasach łątowskim i wierzchosławickim widać było olbrzymie okopy, zbudowane z ziemi i betonu, ciągnące się kilometrami. Żołnierze austriaccy ładowali na samochody i wozy amunicję, broń, chleb i różne prowianty, przewożąc je w stronę Tarnowa. Nadpsuty chleb rzucali ludności, która go chwytła z wielką chciwością. Gromady maruderów leżały po rowach, grzęjąc się do słońca. Był to ładny, pogodny dzień.

Co zastałem?

Czym byłem bliżej domu, tym większy ogarniał mnie niepokój. Z daleka już ujrzałem czerwony dach mojego domu. Odetchnąłem widząc, że głoszone wieści jakoby moje budynki zostały rozmyślnie spalone, okazały się nieprawdziwe. Dom potrzaskany pociskami stał prawie cały, powydzierane były drzwi i okna, zniszczone piece, zabrane sprzęty, obrazy wszystkie wyrzucone na kupę gnoju i śmieci. Druki i sprawozdania sejmowe i parlamentarne, które miałem złożone i uporządkowane, książki i różne dokumenty specjalnie podarte i zniszczone tak, żeby z nich nie można było już nic uratować. Oprócz domu pozostała część stodoły, a druga prawie cała, z reszty budynków ani śladu. Ten sam los spotkał niezwykle obfite zbiory. Pozostało mi z nich tylko to, co było dobrze w ziemi zakopane i czego Prusacy nie znaleźli. Wyręczyli ich za to usłudni sąsiedzi, zabierając dla siebie znaczną część żyta i pszenicy.

Nie bardzo się jednak tym zmartwiłem, dowiadując się, że pierwsi do moich zapasów dorwali się mieszkańcy nieszczęśliwej Rudki. Całe podwórze zostało skopane dla stanowisk artylerii, piwnica potłuczona pociskami, drzewa do jednego wyrąbane. Mogła oficerów pruskich przed oknami domu, obficie obwieszona kwiatami. Zakopane w ziemi dokumenty gminne przechowały się z wyjątkiem paczki, w której znajdowało się 1800 koron gotówką, będących własnością kasy Reifeisena. Samą kasę Prusacy wykopali z ziemi, budując dla siebie schrony. Dokumenty i papiery znalezione w niej odesłali mi nietknięte do Biadolin, a z gotówki jaką tam znaleźli zwrócili tylko 120 koron i kilkadziesiąt halerzy. Resztę widocznie zabrali dla siebie. Ile tego było, dobrze nie pamiętam.

Odwrot Rosjan

Wojska rosyjskie z Tarnowa i okolicy, z powodu przerwania frontu jak i nacisku od strony Gorlic, cofały się bez walki zdążając na północny wschód. Mimo poniesionej klęski trzymały się one stosunkowo dobrze. Proszony przez chłopów zza Dunajca już na trzeci dzień po powrocie udałem się do gmin najbliższej położonych. Zwiedziłem Bobrowniki Wielkie, Ilkowice, Niedomice, Rudno, Biskupice Radłowskie. Wszystkie leżały w całości lub częściowo po drugiej stronie Dunajca i były przez 6 miesięcy przez wojska rosyjskie zajęte. Jakież było moje zdzi-

wienie! Tam, gdzie w tym samym czasie stały „nasze i przyjacielskie” wojska, nie pozostawiły nic oprócz popiołu, zgliszcz i kup gnoju, tu natomiast gdzie byli nieprzyjaciele, widziałem już z daleka gromady gęsi, kur, i wszelkiego drobiu, spacerujące koło zagród świnię, konie, bydło, nietknięte płoty i ogrodzenia, nie mówiąc już o budynkach, wozach i innych narzędziach rolniczych. Dziwny to był nieprzyjaciel, doprawdy.

Z lewej strony Dunajca od strzałów i podpaień spłonęły prawie zupełnie wsie Łęka, Rudka, Dobczyce, Głów, Ostrów, Gosławice, częściowo Wierzchosławice, Komorów, Siedlec, Biskupice Radłowskie, Łukanowice, Niwka i cały szereg wsi tak w dół, jak i w górę Dunajca i Białej, na całej linii objętej działaniem austriackiej i niemieckiej artylerii. Gmina Niedomice została przemieniona w jedną kupę gruzów, a mieszkańcy bitwą zaskoczeni pozostali przez cały czas na miejscu. Bardzo znaczna ilość postradała życie, wielu zostało rannych.

W miejscach, gdzie Prusacy i to jak mówiono bez wielkiego wysiłku przerwali linie rosyjskie, nie zdołano jeszcze pogrzebać poległych żołnierzy. Znajomi chłopci pokazywali mi placówki, na których były rozmieszczone wojska rosyjskie. Placówki owe były bardzo rzadkie. Sekretarz gminy Ilkowice, świątły włościanin, z wyraźnym żalem opowiadał, że na tym odcinku wojska rosyjskie składały się ze starych dziadów, albo niedoroślej młodzieży, że siły jego były bardzo małe, a przy tym cierpiały na stały brak amunicji i żywności. Wytrzymały mimo to wielokrotne ataki pruskie, gdyby nie niedbalstwo patroli, które zasnęły, byłiby tam Prusacy Dunajca nie przeszli. Po przerwaniu linii wojsko rosyjskie cofnęło się w zupełnym porządku za wieś, okopało się w polach i choć mocno przetrzebione i silnie atakowane broniło się jeszcze przez cały dzień, osłaniając odwrót armii cofającej się od Tarnowa. Kiedy ona już przeszła, cofnęło się na Lisią Górę, pozostawiając po polach masy zabitych i rannych. Ciała w tych okolicach poległych złożone na dwóch wielkich cmentarzach, założonych na gruntach gminy Biskupice Radłowskie. Według twierdzenia Wojciecha Rzepki, wójta gminy Ilkowice, wielu żołnierzy rosyjskich było bardzo uświadomionych i zajmowało się gorliwie polityką. Oni też mówili z wielkim żalem, że wojsko biło się wszędzie bez zarzutu, a klęski ponosiło tylko dlatego, że nie miało amunicji, której mu umyślnie nie nadsyłano, gdyż partia niemiecka na dworze carskim robiła to rozmyślnie, by armię rosyjską do klęski doprowadzić, a tym samym zmusić do zawarcia odrębnego pokoju. Zapewne była to zwyczajna plotka, ale ludzie nienawidząc Niemców, brali ją za dobrą monetę.

Chłopski zapal

Gdy z tamtej strony Dunajca zostały grunta zasiane do ostatniego kawałka i okryły się zieloną runią, u nas zaczęli ludzie błądzić po stratowanych i zrujnowanych polach, szukając zniszczonych granic, pługów, bron i innych narzędzi, by choć częściowo uprawy dokonać. Nie mając przeważnie żadnych środków, pozbawiona wszystkiego, zmęczona ludność ta, często bez dachu nad głową, zabrała się do roboty z niesłychaną pasją. Za dwa tygodnie grunta w większej części zostały zaorane, zasiane i zasadzone. Niespożyte siły polskiego chłopca okazały się w tym czasie w całej pełni. Cała ludność wróciła przecież na pogorzelska i zgliszcza, mogła więc popaść w apatię i rozpacz. Nie tylko jednak ogrom strat i nieszczęścia jej nie przeraził, nie załamała rąk, ale z takim zapałem zabrała się do roboty, że trudno to próbować opisać. Nikt jej nic nie dał, nic nie pożyczył, a jednak dokonała tak wiele. Z całej mojej wsi, na 400 domów znalazło się zaledwie pięciu którzy chodzili do mnie codziennie, żeby mi udowodnić, że oni nic robić nie powinni, gdyż nic nie zawinili. Rząd im zniszczył, niech rząd obrobi. Przyznawałem im słuszność, ale radziłem raczej na rząd nie czekać.

Po przybyciu do wsi wszyscy stwierdzili ze zdziwieniem, że dwie młode, przemysłne gosposie miały już grunta zaorane, zasiane i zasadzone, jakby nigdy wojny nie widziały. Tajemnicę tę bardzo prędko wyjaśniły zazdrosne kumoszki opowiadając, że owe gosposie już od paru tygodni, jak się tylko zrobiło cieplej, chodziły z „wygnania” z pruskimi żołnierzami do domów i że ci żołnierze wojskowymi końmi grunta zaorali i obsiali, zboża dostarczyli, a nawet z obcych obór nawóz zabrali. Mająca dobry nos żona moja narobiła mi sporo bigosu, gdyż u najbliższych sąsiadów znalazła sporo naszych rzeczy.

Wierzchosławice i ich okolica nie stanowiły wcale jakiegoś chlubnego wyjątku, gdyż zachowanie się chłopów wszędzie było prawdziwym odkryciem.

Oto co pisze korespondent *Piasta* w n-rze 19 pisma z dn. 9 maja 1915 r.: „Przed dwoma tygodniami znalazłem się w okolicach Wieliczki. Na ugorze ujrzałem człowieka, dobrze już okrytego szronem starości. Z zawziętością kopał motyką ziemię. Rzadko kiedy przystawał, choć pot kroplami spływał mu z czoła. Prężyły się w słońcu wędzące już mięśnie starowiny, motyka raz wraz uderzała suchą, spieczoną słońcem ziemię. Widać było, że ten człowiek wykonuje najdroższą, najświętszą pracę. Wykonuje ją z zaparciem się siebie, wykonuje, choć ona przechodzi już jego siły.

Podszedłem do niego. „Pochwalony Jezus Chrystus!”. „Na wieki wieków” — odpowiedział mi, nie przerywając roboty. „A cóż wy z takim zamachem kopiecie?” — zapytałem. Przystanął. „Ano — rzekł — nie mam koni, a tu przecie trzeba obrobić i zasiać”. „I to robicie sami?” — zapytałem. „A kto mi ma to zrobić? Synowie przy wojsku, matka chorowita. Wziąłem motykę i nią zamiast pługiem kopię tę świętą ziemię, żeby choć parę ziarenek wrzucić. Jużem dwa kawałki pola tak obrobił, to Bóg da, że i ten ostatni obrobię. Jakże by to być mogło, żeby moje pole stało ugorem. Urodzić się powinno, bom ziemię skopał tak, że lepiej i pługiem nie poradzi”. Obejrzał się za siebie z ogniem zadowolenia w oczach. „Jakto, czy we wsi nie macie koni?” — zapytałem. „Ano we wsi konie są. Bogatsi to se ta pokupowali, ale mnie nie stać na to, żeby im za orkę zapłacić tyle, ile oni żądają. Ja jestem biedny. Nie było innej rady, tom się zabrał do roboty, no i zrobiłem. Nie będzie moje pole leżało ugorem”. „A ileż wy macie lat?”. „Sześćdziesiąt pięć”, odparł i zaczął kopać dalej.

„Pożegnawszy starego odjechałem” — kończy swój opis korespondent *Piasta*.

Powrót władz austriackich

Po odparciu wojsk rosyjskich powróciły władze austriackie, ażeby objąć z powrotem rządu. Ludność powitała je z zadowoleniem, a nawet z radością, spodziewając się, że nareszcie ustaną gwałty, nadużycia i kradzieże, jakich się żołnierze rosyjscy dopuszczali. W niektórych miejscowościach robiono to nawet z dużą pompą, witając urzędników austriackich jak zbawców. Bardzo szybko nastąpiło gorzkie rozczarowanie. Tak władze cywilne jak i wojskowe, nie zajmując się losem nieszczęśliwych ludzi, rozpoczęły formalne polowanie na „zdrajców”, którzy rzekomo winni byli wszystkich klęsk i niepowodzeń, jakie armię austriacką spotykały. Za rzecz najpilniejszą uważano uruchomienie olbrzymiego aparatu szpiegowskiego, którego zadaniem było tropienie tych, „co współdziałali z wrogiem”. Na podstawie donosów, często najpodlejszą zemstą dyktowanych, zaczęto aresztować każdego, kto miał jakiegokolwiek stosunki z władzami rosyjskimi. Włączono gromady ludzi przed sądy wojskowe, skazywano na ciężkie i długoletnie więzienia, a często i karę śmierci. Nietrudno sobie wyobrazić, jak w tych warunkach kwitło donosicielstwo, nie tylko zemstą podyktowane, ale nierzadko opłacane pieniędzmi rządowymi.

Nie chciano w żaden sposób zrozumieć, że po ucieczce wojsk austriackich nie mogło całe życie stanąć, że ludzie kierujący nim, wbrew nawet swojej woli, musieli się stykać z władzami rosyjskimi z tej prostej przyczyny, że one tylko rządziły. Ale w nastroju już poprzednio wytworzonym władze nie myślały się zastanawiać nad prostymi zasadami, ale fabrykowały gromadnie zdrajców z najniewinniejszych ludzi. Tak np. w Tarnowie powieszono bez pardonu prof. Łazarskiego. Całą jego winę stanowiła rozmowa prowadzona z Rosjanami i to jak mnie informowano, w kwestiach czysto naukowych. Wyrok wykonano z niesłychanym pośpiechem. Tymczasem nieco później te same sądy, które na niego wydały wyrok tak hańbiący, zrehabilitowały go, uznając niewinnym. Rehabilitacja owa była wyraźnym wyrokiem na system, ale nie wróciła zamordowanemu życia, ani rodzinie ojca.

W tym samym Tarnowie powieszono rzeźbiarza Musiała, stracono go za to, że miał ręką wygrażać aeroplanowi austriackiemu, kiedy w czasie okupacji rosyjskiej przelatywał nad Tarnowem, wyrok zaś wydano na podstawie zeznań jakiegoś nikczemnika, który stwierdził, że Musiał dla fantazji wystrzelił do samolotu z karabinu. W ten sam sposób uśmiercono kobietę, że rzekomo obraziła wojska austriackie, które jej wyrządziły krzywdę, a co gorsza prosiła Boga publicznie, ażeby one tu więcej już nie wróciły.

We wsi Janowice nad Dunajcem powieszono wójta gminy, nazwiskiem Krakowski. Zginął biedny człowiek jako „zdrajca państwa, a równocześnie szpieg rosyjski”. A cała jego wina, która sprowadziła na niego hańbę i śmierć, leżała w tym, że znaleziono u niego przepustkę, wystawioną przez władze rosyjskie. Łajdactwo było tym większe, że Bogu ducha winny Krakowski należał do tych, dla których każde życzenie urzędnika austriackiego było świętym przykazaniem.

Ta straszna i smutna litania wcale się na tych przykładach nie kończyła. Nie kończy się też na tej okolicy, bo okrucieństwa, gwałty i głupota zbierały wszędzie jeszcze obfitsze żniwo. Pośród innych pociągnięto do odpowiedzialności burmistrza miasta Tarnowa i posła do parlamentu, dr. Tertila, który swoją działalnością podczas rosyjskiej okupacji, nacechowaną wielką godnością i odwagą, oddał miastu i okolicy ogromne usługi. Przeprowadzono przeciw niemu długie śledztwo, które mimo wyraźnej tendencji nie mogło dać żadnego obciążającego materiału. Musiano go też uwolnić, mimo niesłychanego nacisku sfer wojskowych, tak strasznie go nienawidzących.

Orgia donosów, denuncjacji i szpiegostwa nie skończyła się rychło, gdyż władze austriackie nie tylko do niej zachęcały, ale

często nawet zmuszały. Na czele biura wywiadowczego osławionego „Kundschaftstelle” stał płk Kilian, który swoją wstrętą robotę rozpoczął od rozesłania szpiegów do każdej miejscowości, w której się Rosjanie znajdowali. Starali się oni, rzecz naturalna, wyszukać jak najwięcej zdrajców, posługując się przy tym różnymi szumowinami miejscowymi, które im dawały wskazówki co do owych podejrzeń. Jeżeli się zważy, że okupacja rosyjska trwała przeszło pół roku, a ludność była zmuszona zwracać się do jej władz, a bardzo często pod grozą największych represji spełniać jej rozkazy, to nie było niemal człowieka wolnego od zarzutu. Toteż ów mały austriacki „Murawiew” mógł zamknąć dziesiątki tysięcy ludzi, skazywać na długie tortury strasznych więzień, a nawet wprost na śmierć.

Pomiędzy owymi tak licznymi zdrajcami znalazłem się również i ja. W kilka dni po powrocie dali mi chłopci znać, że jacyś panowie chodzą od domu do domu, dopytując się kobiet szczególnie o moje zachowanie się w czasie pobytu Rosjan, notując każde słowo. Trwało to ze dwa tygodnie. Niezależnie od tego prowadził dochodzenia przeciw mnie komendant posterunku żandarmerii w Wierchosławicach, M. Szczurko, z pochodzenia Ukrainiec. Ponieważ wiedziałem, że on mnie specjalnie nienawidził, spodziewałem się, że zrobi wszystko, by ze mną skończyć, korzystając z nadarzającej się tak dogodnej sposobności. Nareszcie dopiął swego i skonstruował doniesienie, gdyż znalazł czworo ludzi we wsi, gotowych zeznawać przeciw mnie. Na podstawie jego donosu austriackie władze wojskowe wytoczyły mi dochodzenia o zdradę stanu, o czym zostałem powiadomiony. Starosta tarnowski, Reiner, który stale odgrywał rolę dwulicową mając dla mnie i dla ludności wymuszony uśmiech, a z drugiej strony szedł wyraźnie na rękę tępicieleskiej robocie i w znacznej mierze do niej się przyczynił, postanowił mnie zawiesić w moim wójtowskim urzędowaniu. Miał w tym podwójny cel. Pierwszy, to możliwość wysłania mnie do wojska, by przez to okazać władzom swoją gorliwość, drugi może dla niego ważniejszy, to możliwość zdyskredytowania mnie w opinii publicznej i usunięcie moich wpływów na ludność i wójtów, o co mu tak bardzo od dawna chodziło. Spotkał się jednak z przeszkodami.

Sekretarz i marszałek

Na usunięcie mnie z wójtostwa zgodnie z przepisami ustawy, konieczna była zgoda wydziału rady powiatowej. Toteż Reiner nie mógł tak długo usunąć mnie, dopóki marszałek rady powia-

towej, Jaśkiewicz, nie udzielił swej zgody. Mimo że targi o mnie między starostą i marszałkiem trwały dość długo, nic o tym nie wiedziałem. Dopiero jednego dnia wieczorem przybył do mnie sekretarz rady powiatowej, Władysław Przybyłkiewicz, przedstawiając mi całą sprawę i zastrzegając sobie poufność. Z opowiadania jego było widać, że Reiner nalegał niemal codziennie i coraz więcej na marszałka Jaśkiewicza, że się ten z początku trzymał mocno i odpornie, a teraz zaczyna się chwiać pod wpływem terroru, szalejącego w Tarnowie. Staje się coraz bardziej pewne, że się da ugiąć i na żądanie starosty się zgodzi. Dziś w południe skarżył się do niego na nacisk i groźby i powiedział, że choć mu sumienie nie pozwala na ten krok, to będzie zmuszony przed terrorem ustąpić.

Przybyłkiewicz znając marsz. Jaśkiewicza i jego stosunek do mnie radził, bym się natychmiast udał z nim do Tarnowa i z marszałkiem się zetknął, co niezawodnie wpłynie na jego decyzję. Sam o tej sprawie nie muszę mówić, gdyż on go przed tym odpowiednio nastawi. Już późną nocą przybyłem do Tarnowa. Z Jaśkiewiczem spotkałem się na schodach, prowadzących do sali rady powiatowej. Nie zdziwił się, gdyż ja tam często bywałem. Wyrażając zadowolenie z widzenia się ze mną, opowiedział mi z oburzeniem, co wyprawia Reiner, starając się go wszelkimi sposobami zmusić do „skończenia ze mną”. „Daję panu słowo honoru — oświadczył mi Marszałek z mocą — że się nigdy nie zgodzę na podobne świństwo; jak chcą, mogą mnie wyrzucić!”.

Na urzędzie wójta zostałem, plany Reinera się nie powiodły.

Z innej strony

Natomiast z innej strony rozpoczęła się przeciw mnie bardzo intensywna robota. Śledztwo przeciw mnie prowadzono bez przerwy. Do Wierchosławic nadsyłano coraz nowych szpiegów i prowokatorów, którzy wszelkimi sposobami prowokowali ludność, starając się z niej wyciągnąć, co się tylko dało. Komendant policji podwoił swoją działalność, odgrając się wszystkim, co byli za mną. Chłopi zawzięcie milczeli. W końcu sporządzono akt oskarżenia i przysłano mi go przez miejscowy posterunek żandarmerii. Obszerny elaborat roił się od zarzutów, z których jeden był gorszy od drugiego. Zarzucono mi więc współdziałanie z wrogiem, działanie na szkodę państwa i armii austriackiej, przepowiadanie publiczne, że Austria zostanie pobita, rozgłaszanie wiadomości o klęskach przez armie niemiecko-austriackie ponoszonych, przeszkadzania wojskom niemieckim w zaprowiantowaniu,

zbieranie składek od mieszkańców Wierzchosławic na utrzymanie posterunku żandarmerii rosyjskiej, wszczepianie w masy ludowe nienawiści i pogardy dla państw centralnych. Gdy zobaczyłem to wszystko, a znałem panujące stosunki, zrobiło mi się gorąco, choć nie dawałem tego nikomu po sobie poznać.

W tym położeniu przeżyłem znowu kilka tygodni niepewności i męczącego oczekiwania. Szczurko chodził z miną triumfującą i nie było prawie dnia, żeby do mnie jako do wójta nie miał jakiegoś interesu, a odchodząc, by się nie zapytał, czy nie wiem, co się z moją sprawą dzieje. Mówiąc to przypatrywał się mi zawsze ze specjalną uwagą. Chłopi wszyscy byli przekonani, że koniec dla mnie przychodzi, a próbując mi dawać różne rady, dziwili się mojemu spokojowi i obojętności. Nareszcie jednego dnia wczesnym rankiem wybierając się do Krakowa, zobaczyłem idącego w stronę mojego domu wachmistrza Szczurkę. Domyślałem się czegoś ważniejszego, bo nie chodził nigdy do mnie o tej porze. Wszedłszy do izby w pełnym uzbrojeniu, z twarzą po swemu uśmiechniętą, podał mi pismo w języku niemieckim, zawiadamiając przy tym ustnie, że to jest wezwanie do sądu wojskowego. Wziąwszy pismo od niego, powiedziałem: „Dobrze” i wyszedłem z mieszkania, nie chcąc ze Szczurką zostawać. Zrozumiał to i wyszedł także. Powoli zaznajomiłem się z treścią wezwania. Powtórzono w nim skróceniu wszystkie zarzucane mi przestępstwa i wyznaczono termin na dzień następny o godzinie 10 przed południem, w koszarach żandarmerii w Tarnowie.

Zamiast więc jechać do Krakowa udałem się do Tarnowa, by u adwokata Ringelheima zasięgnąć porady. Długo kręcił głową, w końcu oświadczając mi, że choć nie chce mnie straszyć, to musi powiedzieć, że sprawa bardzo ciężka, wszystko zaś będzie zależało od sędziego i świadków. Radzi mi być u siebie jeszcze jutro rano, gdyż w ciągu dnia postara się o potrzebne wiadomości i materiał. Wyszedłszy od niego spotkałem się z dr. Tertilem, który miał takie same jak i ja przyjemności i niewiele sobie z nich robił.

Na drugi dzień wczesnym rankiem poszedłem na dworzec w Bogumiłowicach, by zdążyć do pociągu do Tarnowa. Na dworcu spotkałem cały posterunek z Wierzchosławic w pełnym uzbrojeniu, pilnujący tej czwórki świadków, która miała przeciwko mnie zeznawać. Pomiędzy świadkami moich zbrodni zauważyłem służącą Szczurki, Rusinkę, którą na czas inwazji rosyjskiej przeczornie na wsi ulokował, Marię Ozimkową, żonę leśnego dworskiego i Katarzynę Orszulakową, komornicę z Gosławic. Szczurko zobaczywszy mnie podszedł ostentacyjnie, a mierząc mnie badawczym wzrokiem, ukłonił się z dziwną przesadą. Dwóch innych żandarmów zachowało się jak zawsze.

Przybywszy do Tarnowa, udałem się do adwokata dr. Ringelheima. Nie miał mi nic nowego do powiedzenia, więc tylko zaznaczył, że jego obecność w sądzie wcale wskazana nie jest, a wynik rozprawy będzie zależał od osoby sędziego i panujących w tym czasie nastrojów. Kiedy przyszedłem do gmachu żandarmerii, sędzia audytor już przesłuchiwał świadków, puszczając ich po jednym. Potem przesłuchiwał żandarmów, a po chwili wyszedł do przedsionka, podając mi rękę i zapraszając do pokoju. Uczynił to z wielką uprzejmością. Ja usiadłem na wskazanym miejscu, on zajął się szukaniem czegoś w aktach. W tym czasie weszli żandarmi do pokoju i zajęli miejsca obok mnie. Wyprosił ich bardzo stanowczym głosem, zaznaczając by się zatrzymali w przedsionku. Kiedyśmy zostali sami, odczytał mi zeznania świadków, które nie dały prawie nic obciążającego, przerzucił krótko zeznania żandarmów, pouczył mnie, jak mam zeznawać i rozpoczął przesłuchanie. Czynił to bardzo delikatnie, spodziewając się widocznie, że jego intencję należy zrozumieć. Po skończeniu zeznań ogólnych zadał mi jeszcze kilka pytań, spisał protokół, dał mi go do podpisania i oświadczył z miną poważną i uroczystą, że mogę uważać sprawę za skończoną, gdyż on postawi wniosek o umorzenie. Za kilka dni dostałem odpowiednie pismo.

Prowadzącego tę sprawę sędziego nie chciałem pytać o nazwisko, później się dopiero dowiedziałem, że był nim dr Zygmunt Wusatowski z Krakowa. Kiedy się w swoim czasie do niego zgłosiłem, by mu podziękować, był zdziwiony uważając moje postępowanie za rzecz zupełnie naturalną. Szczurko czekał w przedsionku na moje wyjście, spodziewając się zapewne, że mnie zaprowadzi prosto do kryminału. Kiedy się dowiedział o wyniku, stanął jak wryty, a nie wiedząc co robić, podszedł do mnie i stanął wyprostowany jak struna. Nie omieszkał też wszędzie opowiadać, że on mnie uchronił swoimi zeznaniami, a z wyniku sprawy jest bardzo zadowolony. Stał się też od razu zupełnie inny.

Reiner i order

Zmienił też i Reiner gruntownie swoje postępowanie, wyrażając się o mnie jak najlepiej do wszystkich osób, o których wiedział, że mi to doniosą. W parę tygodni później zawiadomił mnie przy jakiejś okazji komisarz Dobija, że starosta Reiner raptem uznał mnie za jednego z najwięcej zasłużonych dla państwa obywateli i postawił wniosek na odznaczenie mnie złotym krzyżem za cywilne zasługi. Było się z czego śmiać naprawdę. Dobija się nie mylił, gdyż po paru miesiącach został mi ten krzyż z

wielką paradą wręczony w starostwie tarnowskim przez tego samego starostę Reinera, który nie tak dawno uważał mnie za największego wroga państwa i z którym starał się tak gorliwie zrobić porządek. Tłumaczyć to należało do pewnej miary pogłoskami o możliwości zwołania parlamentu, a ja przecież byłem posłem z tego okręgu. Wręczone mi przy tej paradzie pismo brzmiało:

C.K. Starostwo w Tarnowie. Tarnów, dnia 27 kwietnia 1917 r.
Do Jaśnie Wielmożnego Pana Wincentego Witosa,
Posła do Rady Państwa, Sejmu Krajowego,
Naczelnika gminy w Wierzchosłowicach.

Jego Cesarsko-Królewska Apostolska Mość raczył Najwyższym postanowieniem z dnia 22 grudnia 1916 nadać Jaśnie Wielmożnemu Panu Najmiłociwiej Krzyż wojenny za zasługi cywilne drugiej klasy. Zawiadamiając o tym Jaśnie Wielmożnego Pana wskutek reskryptu c.k. Namiestnika z 23 lutego 1917 r. 1.3368/pr. pozwałam sobie zaprosić go do mego biura na dzień 1 maja br. godzina 12-ta w południe, celem wręczenia odznaki i dekretu.

C.K. Rada Dworu (—) REINER”.

Na długie przemówienie starosty nie odpowiedziałem ani słowa. Nie otworzył też ust żaden z wójtów, których na tę uroczystość zaproszono. Wszystko odbyło się sztywno i zimno. Zrozumiał to stary biurokrata, choć nic nie powiedział. Krzyż zasługi razem z dekretem schowałem głęboko do skrzyni. Nie ruszyłem go nawet wtenczas, kiedy po pokoju brzeskim, podobnymi odznaczeniami ich właściciele psy dekorowali. Doczekałem się i innych odznaczeń, niezwykle wysokich i nieskończenie cenniejszych, bo swoich. Wszystkie one przypominały mi nieraz chwile przebyte i mimo woli nasuwały pewne porównanie. Przecież Austriacy to byli wrogowie, czasy były wojenne, a przecież nawet w takim czasie austriaccy urzędnicy starali się zachować chociaż pozory legalności i poszanowania praw istniejących. Nierzadko byli tam europejczycy, tak bardzo do naszych niepodobni. Nie urodzi sowa sokoła!

Następstwa odniesionych zwycięstw

Zwycięstwo odniesiono przez Niemców pod Gorlicami przyniosło im i Austriakom wszechstronne korzyści. Armia rosyjska wyrzucona ze stanowisk, w których się trzymała przez szereg miesięcy, odpierając wszelkie ataki, złamana cofała się niepowstrzymanie na wschód, napierana przez następujące na nią bezustannie wojska niemieckie i austriackie, które starały się wykorzystać jak najbardziej odniesione zwycięstwo. Rosjanie wycofali

się do ostatniej niemal skrawków Galicji wschodniej, w następstwie czego zmuszeni zostali do opuszczenia Warszawy, Kowna, Wilna i szeregu twierdz wołyńskich, Dubna, Łucka i Równego.

Zagarnięcie tak ogromnych przestrzeni miało dla państw centralnych ogromne znaczenie i to nie tylko pod względem wojskowym. Oddawało ono bowiem w ich ręce i urodzajne grunta i zapasy żywności, których Niemcy i Austriacy gwałtownie potrzebowali. Zajętym Królestwem podzielili się pod względem administracyjnym, krając je na dwie części. Jedną, większą część zagarnęli Niemcy, ustanawiając dla niej gubernatora w osobie gen. Beselera, podobno bardzo rozumnego i zaciętego Niemca. Austriacy objęli dawną gubernię lubelską, z częścią gubernii piotrkowskiej, kieleckiej i warszawskiej, ustanawiając dla tych obszarów wielkorządcę z siedzibą w Lublinie. Podział ten był dość wyraźną wskazówką, jak się myśleli urządzać na wypadek zwycięstw.

Spółeczeństwo polskie odczuło to od razu i to we wszystkich dzielnicach jako zapowiedź losu, jaki by spotkał Polaków w razie wygranej przez Niemców wojny. Rzecz oczywista, nie brakło i takich, którzy to usiłowali tłumaczyć koniecznością wojenną, która z przyszłością nie ma nic wspólnego. Pocieszenie to nie mogło nikogo przekonać.

Gospodarka Niemców w Królestwie rozpoczęła się od zwyyczajnego rabunku, na wielką skalę prowadzonego. Zabierali wszystko, co było i czego potrzebowali. Brano więc nie tylko konie i bydło i zboże, ale wszelkie narzędzia i sprzęty, tak rolnicze jak gospodarskie, nawet cebrzyki i wiadra, wywożąc to wszystko do Niemiec jako zdobycz wojenną. Rzecz naturalna, że nie zapomnieli o najcenniejszych maszynach w fabrykach, zabieraniu lub niszczeniu ich dla uzyskania trochę miedzi, wyrwaniu klamek i okuć z okien, o ile się tylko na coś przydać mogły. Pamiętano też o dzwonach kościelnych, jak i różnych kosztownościach, które oficerowie brali sobie na pamiątkę. Z czasem zabrali się do masowego wyrębu lasów, a nawet wywożenia do Niemiec urodzajnego czarnoziemu. W stosunku do ludności zastosowali niezwykle ostry sposób postępowania, wywożąc ją jak bydło na roboty do Niemiec.

To wszystko musiało uprzytomnić społeczeństwu, że polityka pruska mimo różnych zapowiedzi wcale się nie zmieniła, ale prowadzona jest z żelazną konsekwencją, stosując równocześnie grę dla uspienia Polaków, których mieli ograbić, zniszczyć, a ziemię ich dla siebie zagarnąć. Niewiele lepiej postępowali Austriacy, choć to robili z większą ostrożnością i mniejszą brutalnością, umieszczając dla pozoru w różnych działach administracji dużą ilość Polaków. Wielu z nich niczym się od Niemców nie różniło.

Kto patrzył na to wszystko, musiało się w nim coraz głębiej utrwać przekonanie, że zwycięstwo państw centralnych byłoby ostatecznym zwaleniem kamienia grobowego na trumnę sprawy polskiej. Oczy więc i serca Polaków zwracały się coraz bardziej na zachód. Stamtąd oczekiwano wybawienia, chwytając chciwie każdą wiadomość, choćby nawet niepewną, ciesząc się sukcesami koalicji, smucąc kiedy przychodziły wiadomości o jej klęskach. Wojna toczyła się dalej.

Wbrew oczekiwaniu Niemców, że ich zwycięstwo pod Goricami zmusi koalicję do zawarcia pokoju, koalicja wcale o tym nie myślała, lecz bardzo wyraźnie dawała do zrozumienia, że jej się do zakończenia wojny nie śpieszy, bo czas i wypadki na rzecz jej zwycięstwa pracują. I tak było w rzeczywistości. Mimo wielu i to niemałych niemieckich zwycięstw, siły koalicji nie tylko się nie zmniejszyły, ale przeciwnie stale się wzmacniały. Do koalicji przystąpiły Włochy, mimo że były z Austrią sprzymierzone, nieco później uczyniła to samo Rumunia, zaciskając znacznie pierścień, otaczający państwa centralne. Te fakty nie minęły znowu bez silnego wrażenia wśród Polaków, choć z drugiej strony siła i pewność Niemców przerażały i imponowały.

Kontakt z innymi dzielnicami

Podczas licznych rozmów, jakie prowadziłem na temat wojny, jej postępów i ewentualnego wyniku ze swoimi przyjaciółmi, a szczególnie z Długoszem i Tetmajerem, postanowiliśmy poszukać drogi porozumiewania się z Królestwem. Sprawa nie była łatwa, gdyż wszyscy podejrzani mieli utrudniony wstęp do Królestwa, a jeśli się zdołali przedostać, byli tropieni i prześladowani. Mimo tych przeszkód, przy pomocy Tetmajera i prof. Surzyckiego, udało nam się nareszcie wejść w ścisły stosunek tak z przedstawicielami Kongresówki, jak i zaboru pruskiego, którzy się różnymi drogami i sposobami do nas dostawali.

W lecie 1915 r. odbył się nawet większy zjazd przedstawicieli wszystkich trzech zaborów w Krakowie w redakcji *Piasta*. Poprzedzony on został posiedzeniem naszego klubu, na którym przeprowadziliśmy zasadnicze uchwały dotyczące sprawy polskiej i dające kilku z nas upoważnienie do zajęcia stanowiska w obradach z innymi ugrupowaniami. Na tym pierwszym zjeździe ograniczono się przeważnie do szczegółowego omówienia stosunków w każdej dzielnicy, podzielenia się wiadomościami i ustalenia pracy na poszczególnych terenach.

Udział w naradach wzięli: z poznańskiego Władysław Sey-

da, późniejszy minister, Felicjan Niegolewski sekretarz Koła polskiego, Bernard Chrzanowski i Władysław Grabski z Gniezna. Z Królestwa Zygmunt Chrzanowski, Świeżyński i dwóch jeszcze, których nazwiska uleciały mi z pamięci. Z Galicji hr. Aleksander Skarbek, prof. Głębiński, prof. Jentys, prof. Surzycki, dyrektor banku Schmit, dyr. Stefczyk. Z naszej strony prócz mnie brali udział w naradach Tetmajer i Długosz, a w niektórych także redaktor Rączkowski.

W tym samym niemal gronie odbywaliśmy narady później od czasu do czasu w Krakowie. Ażeby ominąć czujność policji, schodziliśmy się coraz to w innym miejscu. Bywaliśmy więc w Towarzystwie Lekarskim, w redakcji *Piasta*, w mieszkaniu prof. Surzyckiego i innych prywatnych mieszkaniach.

Jakkolwiek pomiędzy stronnictwem naszym, a Narodową Demokracją i Zjednoczeniem Narodowym, kierowanym przez Jentysa i Surzyckiego, były znaczne różnice w poglądach pod względem politycznym, a jeszcze większe pod względem społecznym, uważaliśmy za właściwe nimi się nie zajmować, przynajmniej do czasu zmiany stosunków. Natomiast na gruncie sprawy polskiej nasze poglądy uzgodniliśmy całkowicie, wyznaczając każdemu stronnictwu odpowiednią rolę. Każde ją też spełniło według sił i możliwości.

Zmiany

Mimo że znaczna część naszego klubu była stanowczo przeciwna austro-polskiemu rozwiązaniu, reprezentowanemu przez N.K.N., polegającemu na połączeniu Galicji i Królestwa w państwo związkowe w ramach monarchii habsburskiej to jednak nie przypieczętowano tego formalną uchwałą. Wiedziałem, że najbardziej gorącymi i zdecydowanymi przeciwnikami tej kombinacji byli postowie: Tetmajer, Długosz, Bomba, Kędzior, Jachowicz, Jedynek, Myjak, Rusin, dr Banaś, ale również nie było dla mnie tajemnicą, że zapalonym zwolennikiem pozostał jeszcze prezes klubu Średniawski, przez wszystkich lubiany i ceniony. Z nim stale siedł Bojko, nie wypowiadali się Angerman i inni, o niczym, co by go mogło narazić, nie chciał słyszeć poseł Smitowski. Ażeby niepewność przeciąć i sytuację zupełnie wyjaśnić, po długich naradach uprosiliśmy Tetmajera o postawienie odpowiedniego wniosku, który z jednej strony podkreślał nasze stanowisko polityczne, z drugiej upoważniał do nawiązania bliższych stosunków ze stronnictwami mającymi podobne poglądy.

Kiedy po dłuższej dyskusji wnioski owe przeszły niemal jed-

nomyślnie, poseł Średniawski, nie zgadzając się z uchwałą, złożył przewodnictwo klubu. Ponieważ mimo nalegań z naszej strony rezygnacji cofnąć nie chciał twierdząc, że uchwała jest prostym szaleństwem, klub musiał przystąpić do wyboru nowego prezesa. W dniu 26 czerwca 1916 r. na wniosek Średniawskiego wybrano prezesem mnie jednomyślną uchwałą. Wybór przyjąłem, choć mi to przychodziło z przykrością, szczególnie po incydencie, jaki zaszedł z Średniawskim.

Jedną z pierwszych uchwał pod moim przewodnictwem, było postanowienie wejścia w stały kontakt z Kołem Międzypartyjnym w Warszawie. Według naszych wiadomości miała to być najsilniejsza organizacja polityczna w Królestwie, posiadała wielu wybitnych politycznych działaczy, znaczny wpływ na chłopów i duchowieństwo, wykazywała bardzo dużą ruchliwość, a w sprawie polskiej zajmowała takie same jak my stanowisko. Wprawdzie zarzucano jej z niektórych stron jakoby moskalofilskie dążności, ja jednak mimo stałego zwracania uwagi na licznych ludzi tego ugrupowania, tendencji tych nie zauważyłem. Natomiast musiałem się z nimi zgodzić na pogląd, że utworzenie Polski z Galicji i części Królestwa nie jest niczym innym, jak nowym rozbiorem. Na wszystkie sprawy i zagadnienia umieli patrzeć trzeźwo, rozumowali bez uprzedzeń. Że mieli słuszność, wykazywały to dalsze wypadki. Zresztą nie można się dziwić nikomu, kto wówczas popełniał błędy, kierując się przy tym dobrą wolą.

Dużą zagadkę stanowiło bezustannie Poznańskie. Jego przedstawiciele potwierdzali, że tamtejsze stosunki, siła i bezwzględność Niemców nie pozwalają na oficjalne wystąpienie i sformowanie wyraźnego stanowiska, jednak całe społeczeństwo polskie jest zupełnie jednolite i w każdej chwili potrafi zgodnie wystąpić. W prywatnej rozmowie zapytałem posła Niegolewskiego, co jest z chłopami tamtejszymi, gdyż u nas odnosi się wrażenie, jakby zupełnie nie istnieli. „Proszę pana — odpowiedział mi Niegolewski — u nas są zupełnie inne stosunki, chłopci nie tylko że są procentowo znacznie słabsi niż w Galicji lub w Królestwie, lecz nie stanowią żadnej organizacji politycznej nie zabierają prawie głosu w sprawach publicznych, spuszczać się na tych, co mają więcej zdolności i politycznego wyrobienia”. „Z tego, co pan mówi — zauważyłem — można by wnosić, że ich ambicja i świadomość nie są zbyt wysokie?”. „Tak źle nie jest — odrzekł Niegolewski — im raczej brakuje doświadczenia i odwagi do publicznych wystąpień, tym bardziej, że są one połączone u nas z dużymi trudnościami, a zresztą nasi chłopci są zupełnie zadowoleni ze swojego politycznego przedstawicielstwa”. „A jak odnoszą się do Niemców?” — zapytałem jeszcze. „Chłopci nauczyli się milczeć, nie lubią puszczać

farby, są na pozór bardzo spokojni i lojalni, spełniają wszystko, co im rząd każe, ale w duszy głęboko Niemców nienawidzą, jak czas nadejdzie, na pewno swój obowiązek spełnią”. „A robotnicy” — zapytałem w końcu. „Tych u nas jest niewiele, są od chłopów znacznie ruchliwsi, lecz nigdy się nie wyłamują spod ogólnej solidarności narodowej” — zakończył Niegolewski. Wnet się przekonałem, że się nieco w ocenie pomylił.

Królestwo

Podobną rozmowę odbyłem z jednym z przedstawicieli Koła Międzypartyjnego, Z. Chrzanowskim na temat stosunków w Królestwie. „Pan daruje — zacząłem — że się pytam o takie rzeczy, ale panowie byliście tu już kilka razy, dlaczego nigdy nie przysłałście ani jednego chłopca? Czy są tak ciemni, że się na sprawach podobnych nie znają, czy nie macie z nimi kontaktu, czy im nie wierzycie, czy może oni wam?” „Szanowny panie — odpowiedział mi Chrzanowski — pan mnie postawił w trudnym położeniu, prawdę powiedziawszy, to większość naszych chłopów raczej wygląda powrotu Moskali, z którymi im tak źle nie było. Rządy okupacyjne przyczyniły się do tego bardzo wiele. Dopomogło też postępowanie niektórych legionowych działaczy i komisarzy werbunkowych, których chłopci zniechęcili bardziej niż Moskali. Formalnej roboty partyjnej nikt u nas na większą skalę nie prowadził, toteż i chłopcy w nią nie weszli. My w różnych powiatach mamy bardzo dużo chłopów rozsądnych i świadomych politycznie i narodowo. Spełniają oni z wielkim poświęceniem nieraz na miejscu swoje zadanie, ale się jeszcze do takich wystąpień nie nadają. Przy tym nie chcieliby się zdecydować na taką daleką i niebezpieczną podróż. Kiedy zapytałem o nazwiska tych chłopów, wymienił Nakoniecznego, Mateusza Manterysa, Józefa Błyskosza i jeszcze dwóch innych, zaznaczając przy tym, że bardzo wyrobiony Manterys jest niepewny i zmienny. Później się przekonałem, że miał słuszość.

Kilkakrotnie na tych zebraniach, obesłanych przez wszystkie dzielnice, omawialiśmy szczegółowo zasadnicze stanowisko, jakie powinien zająć cały polski naród wobec usiłowań różnych krzykliwych grup aktywistów, którzy nie wiadomo z jakich powodów działając, przyszłość Polski widzieli tylko pod skrzydłami Austrii i Niemiec. Stwierdzono też wielokrotnie, że nie mają oni żadnego wpływu na społeczeństwo polskie, a utrzymują się na powierzchni dzięki wyraźnemu poparciu okupantów. Na tych zebraniach zdecydowano, żeby nie godząc się na żadne koncep-

cje państwowe, czy półpaństwowe, wysuwane przez Niemcy czy przez Austriaków, nie robić im jednak zasadniczych przeszkód i nie przeciwstawiać się im, jeżeli je dają którakolwiek ze stron wojujących; niezależnie od tego stać na gruncie zjednoczenia wszystkich ziem polskich i ścisłego porozumienia się z koalicją. Zgodzono się i na to, że metody działania mogą być odmienne w różnych zaborach, z uwagi na panujące w nich stosunki, muszą jednak mieć jeden i ten sam zasadniczy cel.

Postanowienie to miało duże znaczenie dla Galicji, może tylko moralne, ponieważ pozwalało na różne posunięcia taktyczne, praktycznymi względami podyktowane. A Galicji przypadła też najważniejsza rola w tej sprawie, tak ze względu na możliwość poruszania się, większą spójność i siłę organizacyjną poszczególnych stronnictw, jak i silne przedstawicielstwo parlamentarne, jakim było Koło polskie we Wiedniu. Szła ona także na rękę Poznańskiemu, które ani rusz nie chciało się zdecydować na określenie swego stanowiska, wciąż dowodząc, że mogłoby ono tylko szkodę przynieść. Nie mogliśmy temu uwierzyć.

Bez względu na stanowisko państw centralnych i losy toczącej się z różnym szczęściem wojny, konieczność rozwiązania sprawy polskiej na gruncie międzynarodowym stawała się coraz bardziej pewna. Jeszcze w końcu 1915 r. sprawę wskrzeszenia państwa polskiego postawił dość otwarcie w parlamencie węgierskim hr. Andrassy, przedstawiając ją jako konieczność dla wysuwanej w tym czasie „Europy Środkowej”. Pojęcie owo zrodziło się w Berlinie, gdzie pewność zwycięstwa, szczególnie po przełamaniu frontu rosyjskiego, była tak wielka, że nie tylko rząd ale szeroka opinia niemiecka kreśliła już dokładne i szerokie plany urządzenia Europy według swojej myśli i interesu niemieckiego. Poruszenie więc sprawy polskiej przez hr. Andrassy miało znaczenie duże i dłatego, że na obszarze państw centralnych był to pierwszy zdecydowany głos, który padł z trybuny parlamentarnej i niejako w zasadzie usankcjonował to, co było dążeniem narodu polskiego, a o czym nie chciano oficjalnie powiedzieć ani słowa wiążącego, nawet konfiskowano je, jeżeli padły z innej strony. Wprawdzie ta Polska Andrassego miała być ściśle związana z państwami centralnymi, a przy tym mocno okrojona, sam fakt jednak, że poseł z trybuny parlamentarnej Węgier, które umiały narzucić Austrii swoją wolę, wykazał, że z wojny światowej musi Polska wyjść jako wolne państwo, miał w tym czasie dla naszej sprawy bardzo duże znaczenie. Wychodząc z tego założenia nasz klub na osobnym posiedzeniu powziął uchwałę z podziękowaniem dla hr. Andrassego i przesłał mu odpowiednie depecze. Tonący brzytwy się chwytą!

Momentem wielkiego znaczenia dla sprawy polskiej była też uchwała parlamentu włoskiego, uznająca za jeden z celów wojny światowej wskrzeszenie państwa polskiego, złożonego z wszystkich ziem polskich zagrabionych przez zaborców. Szła ona więc znacznie dalej niż przemówienie węgierskiego polityka i w innym kierunku. Spóźnione wieści o tym dotarły do szerszych warstw ludności, wywołując zrozumiały entuzjazm. Równocześnie prasa państw neutralnych pod wpływem tych i innych wypadków zaczęła zagadnieniu polskiemu poświęcać coraz więcej miejsca, umieszczając poświęcone mu liczne i przychylnie artykuły.

W miarę przedłużania się wojny światowej sprawa polska stawała się coraz bardziej zagadnieniem międzynarodowym, którym się świat musiał zajmować.

Między innymi w pierwszych miesiącach 1916 r. Amerykanin Ford, znany w świecie przemysławiec, zainicjował w Sztokholmie konferencję, mającą za zadanie przyśpieszenie zawarcia pokoju. Na konferencję tę w charakterze nieurzędowym przybyli przedstawiciele kilku państw neutralnych. Ustalono tam, że jednym z podstawowych warunków pokoju jest połączenie ziem polskich i utworzenie z nich samodzielnego państwa polskiego. Uczestnicy tej konferencji poszli więc dalej, niż szły żądania niektórych Polaków. Wypadki podobne przedostając się do nas, budziły szczególnie dół z martwoty i uspienia, w jakie go pogrążyły drakońskie rządy i niechcący przypominały to, w co wierzył Mickiewicz, że tylko wojna ludów może przywrócić Polsce niepodległość. Każda choćby najmniejsza nić nadziei była wten czas złotem.

Praktyczna obawa

Wkrótce po owych wypadkach przybyła do Krakowa duża delegacja chłopów z powiatu brzeskiego w sprawie odbudowy, prowadzona przez jednego z najświetlejszych działaczy, Józefa Mączkę. Wdałem się z nimi w dłuższą rozmowę, wszak to sami znajomi. „No cóż, sprawa polska stoi coraz lepiej, świat sobie przypomina o nas, wyrwiemy się nareszcie z niewoli, będziemy mieć swoje państwo wolne jak i inne narody”. Chłopi milczeli kiwając głowami, a kiedy skończyłem, porwał się Mączka z miejsca i zwrócony do mnie powiedział dosłownie: „Wiesz co ci powiem, prezisie, ja też jestem dobry Polak, pragnę całą duszą, by Polska powstała, cieszę się na ten dzień, w którym się to stanie, nie żałuję naszej krwi i ofiar, ale radość moją wciąż mąci obawa, że my dostaniemy własne państwo, ale niewoli się nie po-

zbędziemy. Tak ja jak i wszyscy chłopci są przekonani, że niewola może być jeszcze większa niż teraz, bo chłopci jeszcze teraz są za głupi, a panów i urzędników będzie za dużo. Byłoby może lepiej, by to nastąpiło później, gdy chłopci zmadrzeją”. Mimo argumentów z mej strony i wymowy, na jaką mogłem się zdobyć, Mączki nie przekonałem. Kiedy spotkałem się z nim po wyjściu z więzienia w Brześciu, ubolewając nad moim losem, nie mógł sobie podarować, by mi tej rozmowy krakowskiej nie przypomnieć. Widziałem, że zawsze wylany, uczciwy, oddany Mączka patrzył na mnie z pewną przekorą. Raz mu się udało, on miał rację, a nie ja!

Kiedy u chłopów pojawiły się podobne obawy, to nowe wiadomości na froncie pomiędzy żołnierzami robiły bardzo dodatnie wrażenie, umacniając ich w przekonaniu, że ich trudy i ofiary nie pójdą na marne. Oczywiście, że pojmwali oni to po swojemu, nie mogąc się często zorientować w nawale zmian i wypadków. Oto jedna z kilku rozmów: Wojciech Surma, żołnierz z powiatu rzeszowskiego, wracając z urlopu wstąpił do *Piasta*, by zapłacić prenumeratę. Wziąłem go na rozmowę. Orłem nie był, ale się niezłe orientował. Narzekał, że musi siedzieć w okopach, przeżywając piekło. Gorszą od kul jest niepewność i tęsknota. Mają kaprała, co jest dobrze z oficerami, od nich przynosi wiadomości. Przed jego odjazdem mówił im, że Polska na pewno powstanie, bo za nią już jest cały świat prawie. Przeciwni tylko są Austria, Niemcy i polscy panowie.

Grzebiąc niemal codziennie w setkach listów, znajdujących się w *Piaście* przesyłanych do rodzin za jego pośrednictwem, trafiłem na list żołnierza Franciszka Błachuta, pochodzącego ze wsi Marcyporęba, powiatu wadowickiego, pisany w okopach do żony. Charakterystyczną część z niego przytaczam:

„A dalej piszę ci, kochana Wikciu, że świat cały tu zielenieje i u nas też na wojnie zmartwychwstaje wszystko z zimowego snu, ino jeszcze nasza Polska nie zmartwychwstała. Ale daj Boże, aby jak najrychlej ta Polska zmartwychwstała i zbliżył się koniec wojny wszystkim i szczęśliwy powrót do domu przy zdrowiu. Proszę cię, Wikciu kochana, teraz podczas mojego nabożeństwa proście tej Matki Boskiej o zmartwychwstanie dla naszej Polski i jak najrychlejszy koniec wojny. Zasłużyliśmy na karę, ale nie upadajmy na duchu i prosimy tej Matki Boskiej, żeby się zmiłowała nad nami wszystkimi i przebłagała Pana Jezusa za nasze przewinienia. Proszę cię, kochana Wikciu, módl się za mną z dziećmi, i z wszystkimi, którzy na wojnie są, żeby nas Pan Jezus uchronił od nieszczęść wszelakich i zdrowo do domu powrócił”.

Niestety był to list ostatni dzielnego Polaka-żołnierza. W parę dni poległ, nie wysławszy jeszcze listu, a jego kolega wysyłając go, dopisał na nim wiadomość o śmierci autora.

Czas i wypadki

Czas, wypadki i przejścia wspólne coraz bardziej nakazywały konieczność solidarności i współdziałania na każdym polu. Wymownym, choć może drobnym dowodem łączności narodowej, jaka się coraz silniej uwydatniała w polskim społeczeństwie, skrupulatnie we wszystkich zaborach dzielonym, był wynik składki zainicjowanej przez nas na wsi na ulżenie nędzy ludności w Warszawie, którą Prusacy po zdobyciu gruntownie ograbili. Mimo tego, że wieś miasta zbytnio nie lubi, a Warszawa była dla niej światem nieznanym, wynik tej składki jak na te czasy i na nędzę chłopów był imponujący. W bardzo bowiem krótkim czasie złożono sumę 12.468 koron, bez żadnej specjalnej „agitacji”, tylko na skutek krótkiej odezwy, zamieszczonej w *Piaście*. Pieniądze te przesłaliśmy komitetowi miasta Warszawy, na ręce Zygmunta Chrzanowskiego i od niego otrzymaliśmy pokwitowanie i podziękowanie.

Już w r. 1916 zdawało się być rzeczą pewną, że jakkolwiek się wojna zakończy, musi ona przynieść niepodległość Polski. Uświadamiali to sobie widocznie i Niemcy, mimo że szczerych zamiarów wtedy nie mieli. Rząd niemiecki postanowił uprzedzić mogące nastąpić kłopoty ze sprawą polską przy układach pokojowych i postanowił sprawę tę rozwiązać sam, czy też ze swoim nie tyle już wtenczas sojusznikiem, ile sługą i wasalem Austro-Węgrami. Czuły one to samo, toteż jesienią r. 1916 ogłosiły w sprawie polskiej zupełny brak zainteresowania. Oszukane tak widocznie polskie społeczeństwo drgnęło z oburzenia, reagując jak mogło na ten cynizm i przენiewierstwo.

W dniach 3 i 4 października odbyło się posiedzenie Koła Polskiego w Krakowie. Wiedzano tam już nieco o niemieckich zamiarach. Przeprowadzona dyskusja, szeroka i mocna, stwierdziła zwyczajne kręactwo, złą wolę i niemoc rządu austriackiego w sprawie polskiej, a szczególnie zwracały się zarzuty przeciw ministrowi spraw zagranicznych, Burianowi. Na końcu dyskusji postawiłem wniosek, wyrażający votum nieufności temu ministrowi. W Kole, szczególnie u konserwatystów i demokratów, nastąpiła konsternacja. Próbowano mnie skłonić do cofnięcia lub zmodyfikowania wniosku, przytaczając różne argumenty, operując postrachami. Kiedy jednak te zabiegi nie odniosły skutku, wniosek został oddany pod głosowanie i uzyskał znaczną większość.

Na tym posiedzeniu przyjęto również mój wniosek następującej treści:

„Idąc za głosem obowiązku i miłości Ojczyzny, posłuszny wezwaniu swoich kierowników, Naród Polski złożył w obecnej wojnie ofiary przechodzące nieraz jego siły. Świadczą o tym różne pobojuwiska, krwią polską skropione, jak bohaterskie wysiłki Legionów i męstwo żołnierzy Polaków, oraz zgrozą przejmujące zniszczenie szerokich ziem polskich. Wszystko to czynił naród w przekonaniu, że z tych ofiar krwi i zniszczenia wyjdzie Polska wolna i niepodległa. Niestety, jednak odpowiedzialne czynniki w państwie nie chciały, czy nie były zdolne do przeprowadzenia tego zadania, podwładne zaś organa zajęły wręcz nieprzychylnie, a nawet wrogie stanowisko wobec polskiej ludności, gwałcąc zagwarantowane Konstytucją prawa obywatelskie. Przyjmując do wiadomości sprawozdanie prezesa, Koło Polskie protestuje jak najuroczyściej przeciw wszelkim zakusom podziału ziem polskich i wyraża przekonanie, że nasza krzywda dziejowa w pełni naprawiona zostanie”.

To posiedzenie Koła odbyło się na ratuszu krakowskim, a wzięło w nim udział 63 członków parlamentu, 6 członków Izby Panów i 16 posłów sejmowych. Na tym posiedzeniu prezes Koła, dr Biliński, wygłosił dłuższe przemówienie dotyczące sprawy polskiej i jej rozwiązania, które stało się podstawą wymienionej dyskusji, a następnie uchwalił, jak na te czasy i zespół Koła dość odważnych. W każdym razie zmusiły one ministra Buriana do ustąpienia.

Dnia 5 listopada 1916 r. generał-gubernatorzy, niemiecki w Warszawie i austriacki w Lublinie, obwieścili uroczyście jako niesłychany akt polityczny obydwóch władców państw centralnych, Wilhelma II i Franciszka Józefa I, nie tyle tworzący, ile zapowiadający utworzenie z ziem polskich, od Rosji oderwanych, państwa polskiego samodzielnego, z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem. W manifeście tym, w którym raczej polowano na polskiego rekruta, znalazło się zastrzeżenie, dotyczące oznaczenia granic i łączności z państwami centralnymi. Pomysł się nie powiódł, celu nie osiągnął.

Sprawa ziemi i zmiany ustroju rolnego

Sprawa utrzymania ziemi w ręku polskim, tak niezwykle ważna, nie schodziła z porządku dziennego i zajęła nasz klub tym bardziej, że Niemcy wiedeńscy wcale nie porzucili myśli kolonizowania Galicji, chociażby drogą wywłaszczenia. Ze strony bardzo miarodajnej informowano Długosza o tworzeniu się w szybkim tempie towarzystw z bardzo dużymi kapitałami, które na rozpoczęcie akcji oczekiwały tylko odpowiedniej chwili. *Piast* w swoich artykułach demaskował ile mógł tę robotę. Ukazał się pomiędzy innymi płomienny artykuł pośła Tetmajera, wywołujący wszystkich Polaków do utrzymania ziemi. Niemal równo-

czesnie zamieścił Tetmajer gorącą odezwę do Braci Chłopów w Ameryce, wzywając ich do ratowania ziemi ojczystej. Odzew tej akcji był bardzo silny. Zarówno ze wsi jak i z rowów strzeleckich otrzymywał *Piast* przez długi czas artykuły poświęcone tej sprawie. Stanowią one cenny dokument umiłowania ziemi przez polskiego chłopca. Były też w nich różne projekty, niektóre nawet szczegółowo opracowane, były narzucane myśli nieraz bardzo oryginalne. W niektórych zaś przejawiały się nowe poglądy na posiadanie ziemi jako pierwsze przebłyki uregulowania stanu posiadania.

Sprowadziłem specjalne posiedzenie klubu poselskiego dla tej sprawy. Wynikiem całodziennych obrad była następująca uchwała:

„Klub posłów P.S.L. stwierdza, że naszemu narodowemu stanowi posiadania grozi poważne niebezpieczeństwo. W myśl hasła: — Tyle Polski, ile polskiej ziemi — Klub P.S.L. uważa za wskazane podjęcie akcji dla uchylecia niebezpieczeństwa i utrzymania ziemi w rękach polskich. Celem porozumienia się wszystkimi myśl tę podzielającymi, zorganizowania akcji i obmyślenia środków potrzebnych, Klub wybiera komisję, w skład której wchodzić powołuje: Długosz, Lasocki, Witos, Rey, Średniawski, Jedynak”.

Komisja ta zabrała się natychmiast do roboty. Na podstawie jej wniosków ustalono program prac wstępnych dla zorganizowania akcji, mającej tak doniosłe znaczenie. Do współpracy zaproszono też wybitnych fachowców, jak prof. Bujak, dyr. Stefczyk, Zardecki, oraz kilku przedstawicieli większej własności. Po długich zabiegach udało się Długoszowi założyć Towarzystwo „Nasza Ziemia”, którego statut dopiero z końcem 1917 został zatwierdzony. Zadaniem towarzystwa było czuwanie nad tym, żeby ziemia nie przechodziła w ręce obce i ułatwianie nabywania gruntów. Jak wielkie było zainteresowanie i zrozumienie ważności tej sprawy, dowodzi cała masa zgłoszeń na skutek wydanej przez posła Średniawskiego odezwy. Zmienione położenie polityczne odsunęło tę sprawę nieco na drugi plan, jednak zabiegi poczynione nie poszły na marne.

Po rewolucji rosyjskiej sprawy ziemi stały się palącą koniecznością i to nie tylko u nas. Rewolucja ta na kształtowanie się stosunków wywarła niezwykle wielki wpływ. Zaczęto rozumieć i u nas, że nie można dalej utrzymać takiego stanu, jaki był przed wojną. Że nie można dziesiątek tysięcy morgów ziemi skupiać w jednym ręku, by obok tysiące głodowały, utrzymując się na skrawkach ziemi, z których wyzycie było niemożliwe. Klub nasz zbierał się dla tej sprawy wielokrotnie, starając się ją przy-

gotować i popularyzować. Wynikiem tych przygotowań była uchwała, powzięta przez Klub dn. 21 stycznia 1918 r. wzywająca wszystkich reprezentantów stronnictw i dzielnic Polski, by przygotowali zawczasu odpowiadającą duchowi czasu reformę rolną.

Z polecenia klubu poruszyłem tę sprawę na posiedzeniu komisji parlamentarnej Koła polskiego. Przedstawiciele wielkiej własności w Kole zainteresowali się nią z początku bardzo żywo. Odbyła się nawet konferencja, w której z naszej strony oprócz mnie wzięli udział pp. Bojko, dr Banaś i Sredniawski, a ze strony klubu konserwatywnego kilku posłów z Andrzejem Lubomirskim na czele. Konferencja ta nie doprowadziła do zamierzonego przez nas celu, wykazując bardzo daleko idące rozbieżności. Gdy nam szło o gruntowne zreformowanie stanu posiadania i drogą ustawy oddanie ziemi w ręce polskich chłopów, to panowie ziemianie byli gotowi sprzedać nawet znaczną część posiadanej ziemi bez żadnej ustawy i po cenach targowych. Z początku gdy niebezpieczeństwo było, zdawało się, bliskie, mówili inaczej. Po ładnych patriotycznych słowach Lubomirskiego, Fudakowskiego i innych nastąpił odwrót na całej linii. Podobno się spostrzegli, że pierwotnie za daleko zaszli. Było to niezwykle przykre rozczarowanie dla wielu, a szczególnie dla posła Sredniawskiego, który wierzył, że nareszcie przyszedł czas na wspólną, rozumną pracę wszystkich.

Nie rezygnując z powziętego zamiaru, a chcąc posiadać odpowiedni materiał, zwróciłem się do jednego z najwybitniejszych znawców stosunków rolnych w kraju, Bolesława Zardeckiego, z prośbą o formalne wypracowanie projektu reformy rolnej. Zardecki podjął się tego zadania, zastrzegając sobie potrzebny czas na zebranie odpowiednich materiałów i opracowanie projektu. Zbierał on je bardzo sumiennie, starając się równocześnie o opinie znanych ekonomistów i fachowców. Nareszcie projekt był gotów i zawiadomił mnie o tym.

W dniach 28 i 29 maja odbyły się w Krakowie narady klubu posłów i komitetu wykonawczego stronnictwa, poświęcone wyłącznie tej sprawie. Poseł Zardecki w głęboko ujętym i szczegółowo opracowanym referacie przedstawił stan posiadania małej i wielkiej własności ziemskiej tak w Galicji, jak i w różnych krajach Europy, przytaczając różne cyfry, dane i przykłady. Na podstawie cyfr i wyjątków z dzieł najwybitniejszych powag europejskich w dziedzinie gospodarki społecznej wykazywał, że jeżeli gdziekolwiek reforma stanu posiadania jest pożądaną, to w Polsce w ogóle a w Galicji w szczególności. Zaznaczył, że prawie wszyscy znawcy spraw rolnych zgodni są w tym, że dla kraju i państwa najlepsze jest takie rozłożenie posiadania ziemi, żeby

90% było w posiadaniu chłopów, a 10% najwyżej pozostało w rękach wielkiej własności. Po jego referacie rozpoczęła się wielka dyskusja, w czasie której ścierały się poglądy, gdyż niektórym zasady postawione przez Żardeckiego wydawały się za radykalne, naruszające prywatną własność. W końcu rozbieżności zostały usunięte i rezolucję referenta ze mną uzgodnioną, jednomyślnie uchwalono. Oto jej brzmienie:

„Wobec faktu, że granice Polski tak daleko sięgają, jak daleko ziemia polska jest w posiadaniu chłopów polskiego, zatem ze względu na obronę istnienia narodu, zagrożonego nawet po wojnie ze wszech stron obcą inwazją, Klub posłów Stronnictwa Ludowego Piast domaga się stanowczo, by reprezentanci polityczni wszystkich stanów i dzielnic Polski przygotowali i uchwalili zawczasu szeroką, duchowi czasu odpowiadającą reformę agrarną, która by bez szkody dla gospodarstwa krajowego i własności prywatnej oznaczyła:

a) Największy obszar ziemi, jaki jeden właściciel posiadać może na własność i tenże obszar do 200 ha z tym, że suma wszystkich obszarów, liczących powyżej 100 ha ziemi uprawnej nie może przenosić 10% ziemi pod uprawę użytej.

b) Likwidację dóbr martwej ręki z tym ograniczeniem, żeby przy parafiach pozostawiono do użytku duchowieństwa obszar do 20 ha gruntu.

c) Wszelkie przywileje dotyczące użytkowania ziemi zostają zniesione”.

To najważniejsze. Innych uchwał nie podaję, gdyż nie mają większego znaczenia, aczkolwiek nie pozostawały one bez głębszych następstw. Zagadnieniem tym zajął się bardzo gorliwie prof. uniwersytetu, dr Franciszek Bujak. Sam chłopski syn ze wsi Maszkienice powiatu brzeskiego, znany szeroko jako powaga w dziedzinie nauk społecznych, zabrał się do zagadnienia reformy rolnej także ze stanowiska naukowego. W wyniku swej pracy i dociekań napisał broszurę, ujmującą ten problem naukowo. Na podstawie cyfr i skrupulatnego rozważenia wszelkich okoliczności doszedł do wniosku, że zmiana w posiadaniu ziemi jest ze stanowiska narodowego i gospodarczego koniecznością niecierpiącą zwłoki. Rozprawa ta wyszła w osobnej broszurze, wydanej nakładem *Piasta* i została w przeciągu bardzo krótkiego czasu rozprzedana.

Te nasze prace przygotowawcze sprawiły, że kiedy Polska po upadku państw centralnych i po skończonej wojnie powstała do nowego życia, Stronnictwo Ludowe miało już pod względem społecznym gotowy, przemyślany i przygotowany program, na czoło którego wysuwała się sprawa posiadania i reforma rolna.

Stała się ona jednym z najważniejszych zagadnień polityki wewnętrznej w pierwszych latach istnienia odrodzonego państwa polskiego. Od zasad ustalonych stronnictwo nasze odsunęła nieco demagogia „Wyzwolenia”, które na gruncie Sejmu i kraju chciało

drogą radykalnej licytacji pozbawić je wszelkiego wpływu, szczególnie na masy ludowe w Królestwie.

W pracy tej brał udział również wybitny poseł Michał Jedynak, włościanin z Paszczyny w powiecie ropczyckim. Przedwczesna śmierć niestety zabrała go z naszego grona. Wracając z obrad klubowych w Krakowie w ostatnich dniach września, przeziębził się silnie. Choroba wzmagająca się gwałtownie tak, że już dnia 4 października przestał żyć. Klub poselski i stronnictwo straciło w nim jednego z najdzielniejszych członków i pracowników. Miał zawsze swoje zdanie wyrobione, choć przy tym nie grzeszył niepotrzebnym uporem. Z zalem wielkim oddaliśmy mu ostatnią przysługę, grzebiąc jego zwłoki na skromnym parafialnym cmentarzu w Lubzinie koło Ropczyc.

Spadek polityczny po nim objął jego najstarszy syn Jan, wybrany w r. 1919 posłem do Sejmu odrodzonej Polski. Nie dorósł on jednak ojcu pod żadnym względem, mimo że miał za sobą Akademię Rolniczą w Dublanach, gdy ojciec tylko szkołę ludową. Na działalność jego w stronnictwie, przewrotną i często bałamutną, wpłynęło zdaje się koleżeństwo z niektórymi piłsudczykami, z którymi odbywał służbę wojskową w Legionach. Zachowanie się jego w czasie wojny z bolszewikami w 1920 r. jako adiutanta gen. Roji było wprost karygodne. Nie okazał też charakteru i w przyszłej działalności.

Propaganda państw centralnych

Po zajęciu Królestwa i podzieleniu go między sobą tak rząd austriacki jak i niemiecki rozpoczęły propagandę na wielką skalę. Ponieważ mieli za sobą pewną ilość inteligencji, prowadzili bardzo usilne zabiegi o pozyskanie mas chłopskich. Nie było to jednak rzeczą łatwą. Powszechne było przekonanie, że masy te są jeszcze ciemne, moskalofilsko nastrojone, nienawidzące zarówno Niemców jak i Austriaków z powodu rabunków i gwałtów na chłopach dokonanych i krzywd prawie codziennych.

Próbując różnych sposobów i środków, użyli jako narzędzia także działacze ludowych. Niektórzy z nich, nie pojmując z jakich pobudek, dali się porwać nastrojowi przez rządy okupantów wytwarzanemu i pracowali pomiędzy chłopami na rzecz połączenia z nimi, przedstawiając płynące stąd niesłychane korzyści. W związku z tą akcją pracował między innymi bardzo intensywnie Jan Dąbski za powołaniem na tron jeszcze nie istniejącego państwa polskiego arcyksięcia Karola Stefana, zamieszkałego od wielu lat w Zywcu, mającego ustaloną opinię bardzo porządnego

człowieka i wielkiego przyjaciela Polaków. Oprócz agitacji prowadzonej ustnie, wydawano też szereg pism subwencionowanych przez opiekuńcze rządy, urządzano większe i mniejsze zgromadzenia i manifestacje. Tej roboty Dąbskiego, chcącego zawsze uchodzić za wielkiego demokratę, nie mogłem zrozumieć. Niektórzy z naszych ludzi kładli to na karb chorobliwej, podrażnionej ambicji, chęci usunięcia się od służby wojskowej, wygodnego życia i możliwości wydawania gazety, do czego ciągnęło go stare przyzwyczajenie. Złośliwi rzucali różne podejrzenia.

Wyjazd do Królestwa

Nie biorąc odpowiedzialności za działalność Dąbskiego, byliśmy nią jednak mocno zaniepokojeni tym bardziej, że do Krakowa dochodziły alarmujące i przesadne wieści, iż Dąbski miał się afiszować jako nasz członek. Postanowiliśmy rzecz na miejscu zbadać. W tym celu Tetmajer bardzo umiejętnie postarał się o wyprawienie mnie wraz z jednym urzędnikiem N.K.N. i jego autem do Królestwa dla wybadania nastrojów. Zwiedziliśmy parę miejscowości w różnych powiatach na terenie okupacji austriackiej, stykając się z chłopami, na których nam jako na najrozumniejszych i wpływowych w rozmaitych komendach wskazano. Niewiele mogliśmy się naprawdę dowiedzieć.

W rozmowie z nami wygadywali głośno na Moskali, chwaili nowe rządy i porządki, nie chcieli jednak ani rusz iść do wojska, do czego ich usilnie i wymownie namawiał mój towarzysz. Czuć było w naszej rozmowie wiele sztucznego i nienaturalnego. Że tak było, wnet się przekonałem. Mój towarzysz machnąwszy ręką, poszedł do dworu na herbatę, ja zostałem z chłopami. Wiedząc, z kim mają do czynienia, zaczęli zupełnie inaczej mówić. Jeden z nich, jak to widać było, światły i obyty, powiedział bez ogródek, że wcale za Niemców ginąć nie myślą, żadnym Dąbskim i innym legionistom nie wierzą, a gdyby Polska miała być taka, jak oni, to lepiej niech będzie przy Rosji. Nie mają też zaufania do N.K.N., ani do różnych demokratów, co jeżdżą niemieckimi autami i „kręcą im gitarę”. Nie próbowałem z nimi wcale polemizować. Rozmowy podobne i z podobnym wynikiem przeprowadziliśmy w Opolu, Kurowie i kilku miejscowościach powiatu puławskiego, kieleckiego i lubelskiego.

W kilka tygodni później przybyła do Krakowa duża grupa chłopów, przysłana przez Dąbskiego, z Sadlakiem na czele. Chodząc po różnych urzędach, przyszli także i do nas. Dowodzili mi bardzo długo, że jedynie celową i rozsądną politykę prowadzi

tam Dąbski i że niemal wszyscy chłopci w Królestwie idą za nim, wprowadzenie zaś na tron polski arcyksięcia Karola Stefana będzie prawdziwym szczęściem dla chłopów i dla Polaków.

Kiedy wysłuchawszy wszystkich i wszystkiego przedstawiłem im bardzo spokojnie swój pogląd na te sprawy i niewłaściwą co najmniej rolę Dąbskiego, oświadczyli mi poufnie i wstydliwie, że i oni nie inaczej patrzą na tę sprawę, a przyjechali, bo dostali pieniądze na drogę i nie chcieli się władzom narażać, gdyż ich często potrzebują. Z tego widać było, że wiadomości o ciemnocie chłopów w Królestwie były co najmniej przesadzone, a że pod wpływem wypadków chłopci bardzo szybko idą naprzód. Okazali to zresztą czynem znacznie wcześniej niż się spodziewano.

Ukoronowaniem działalności Jana Dąbskiego, „Prokopa” Zawadzkiego i różnych innych aktywistów miało być zebranie chłopów, zwołane do Warszawy, na które ściągnięto kilka tysięcy uczestników z wielu powiatów Kongresówki. Dwaj ci panowie mieli ich zaprowadzić do wielkorządcy niemieckiego gen. Beselera celem okazania mu w sposób manifestacyjny wdzięczności ludu polskiego za wydanie manifestu z dnia 5 listopada. Ponieważ nastroje przeciwniemieckie tkwiły u ludu głęboko, a agitacja nie próżnowała, zgromadzenie to wbrew woli inicjatorów przemieniło się w silną demonstrację przeciw niemieckim okupantom. Chłopci z Królestwa okazali bardzo dużo świadomości i odwagi.

Akt z 5 listopada

Bezstronnie rzecz biorąc, akt z 5 listopada miał także swoje dobre strony, gdyż zmusił znaczną część zawsze obojętnego społeczeństwa do głębszego myślenia i decydowania się w jedną lub drugą stronę. Wielu nawet do Niemców przychylnie usposobionych, nie widząc w dalszym ciągu nic poza słowami, przychodziło do przekonania, że Ronikiery, ani Lubomirscy, czy Radziwiłłowie, lub inni więksi, czy mniejsi panowie, płaszczący się przed Beselerami, nie mogą reprezentować woli narodu, a ustępstwa robione przez okupantów są albo taktycznymi posunięciami, lub mało znaczącymi ochłapami. Żywy i szanujący się naród mogą one tylko obrażać. Wymownym zresztą tego dowodem był ów zjazd chłopów, który zwołany w innych zupełnie celach, przemienił się w potężną manifestację narodową. Wypadek ten nie pozostał bez wpływu na kształtowanie się stosunków, mimo że starano się znaczenie jego pomniejszyć.

Ze strony aktywistów działających w Królestwie czyniono wielkie wysiłki, ażeby Koło polskie zyskać dla siebie i dla swojej

polityki, nieraz starając się postawić je przed faktem dokonanym. Kilkakrotnie przyjeżdżali ich najwybitniejsi przedstawiciele do Krakowa i Wiednia, starając się tłumaczyć różnym posłom, że jedynie rozsądną i mądrą polityką, jaką powinni prowadzić Polacy, jest oparcie się na jedynie realnej podstawie, jaką ich zdaniem stanowiłyby państwa centralne, a w szczególności Niemcy.

Myśl o połączeniu wszystkich ziem polskich w jedno państwo uważali za sen chorych marzycieli. Poza rozmowami prowadzonymi osobiście brali też udział w posiedzeniu komisji politycznej Koła polskiego. Nie czuli się oni tam zupełnie obco, bo i w Kole znajdowali się przecież posłowie reprezentujący ten sam kierunek, a różniący się tym, że gdy aktywiści królewiaccy więcej liczyli na Niemców, nasi woleliby zostać przy Austriakach, budując wiele na cesarzu i na dynastii. Zasadniczymi przeciwnikami byli od początku niemal narodowi demokraci, a i u nas dokonała się głęboka zmiana, choć niektórzy posłowie, mimo wszystko co się stało, nie mogli się przywiązania do Austrii pozbyć. Przewodził w tym stale poseł Bojko.

Niezależnie od zachowania się nawet ludzi czołowych, dążenie do odzyskania istotnej niepodległości wzrastało bezustannie wśród najszerszych kół chłopów i robotników także i w Królestwie. Ruch ten prowadzony i wspierany przez różne organizacje, a między innymi przez P.O.W., rósł i potężniał. Do jego zaś rozrostu i zespolenia przyczyniali się sami okupanci, wydając zarządzenia, które oburzały ludność, wywołując u niej nienawiść i pragnienie zemsty. Wieści o okrucieństwach i grabieżach, dokonywanych przez Niemców w Kongresówce i na Litwie, mimo usilnych zabiegów władz, dochodziły różnymi drogami i sposobami także i do Galicji, podniecając już i tak nieukrywaną niechęć do Niemców.

Akt 5 listopada dotyczył tylko części Kongresówki, nie wspominał zaś o losie Galicji. Szukając dogodniejszego dla siebie wyjścia, nasi galicyjscy konserwatyści podnieśli niespodziewanie sprawę wyodrębnienia Galicji przez nadanie jej daleko idącej autonomii. Pogodziwszy się widocznie z tym, że Galicja do tej Polski przez Niemców utworzyć się mającej należeć nie będzie, zamysłali stworzyć z niej coś w rodzaju drugiego państwa polskiego, może nawet z myślą połączenia ich kiedyś w jedno. Przypnać trzeba, że był to stary postulat stronnictw, między nimi i ludowców.

Dawny Namiestnik, ówczesny minister dla Galicji i członek Izby Panów, dr Bobrzyński, przygotował projekt wyodrębnienia Galicji z wszelkimi szczegółami, na podstawie reskryptu cesarskiego z dn. 4 listopada 1916 r. Na projekt ten zgodziły się

zasadniczo z początku prawie wszystkie stronnictwa Koła polskiego. Nasz klub zajmował chwiejne stanowisko, nie wiedząc jak z tej sprawy wybrnąć. Całą siłą uchwycili się go socjaliści, którzy celem stworzenia jednolitego frontu wstąpili do Koła polskiego jeszcze 23 marca 1916 r. Nieco później uczynił to samo Stapiński, wstępując do Koła wraz z posłami, którzy jeszcze przy nim po rozłamach pozostali.

W ocenie aktu z 5 listopada w naszym klubie przez dłuższy czas zdania były podzielone. Większość członków klubu i władz stronnictwa patrzyła na niego jako na dowód nieszczerości niemieckiej i podstępny, przekonani że Niemcy tracą wiarę w zwycięstwo. Rozumowali oni, że gdyby Niemcy posiadali pewność zwycięstwa, to nie tworzyliby nawet fikcji państwa polskiego, bo i to mogłoby się stać dla nich niewygodne. Wskazywano ponadto na fakt, że mimo utworzenia Rady Regencyjnej jako zwierzchniej władzy w tym niby państwie, mimo powołania Rady Stanu, właściwym rządcą był gen. Beseler, gdyż tak Rady Regencyjnej jak i Rady Stanu nie wyposażono w odpowiednie prerogatywy i nie liczone się zupełnie z ich głosem. Był to raczej pewien akt łaski, przez germańskich władców narodowi polskiemu udzielony. Mniejszość nasza, stanowiąca trzech, czy czterech posłów, uważała akt z 5 listopada za pierwszy poważny krok do utworzenia państwa polskiego, którego nie powinno się lekceważyć, gdyż Niemcy mogą go cofnąć, a wtedy nic nie pozostanie. My jako słabsi i rozbici powinniśmy się zgodzić z wolą tych, co są silni i decydują. To, że Galicja pozostawała pod panowaniem austriackim uważali nawet za szczęśliwe rozwiązanie, o Poznańskim zaś Pomorzu i Śląsku nie ma co i marzyć. Rozmowy podobne odbywały się jedynie wewnątrz klubu, gdyż na zewnątrz zajmowaliśmy wszyscy jednolite stanowisko. Widząc, że rozbieżności nie tylko są niepożądane, ale mogą przynieść szkodę, chciałem, by powziąć postanowienie, podporządkowujące w tej sprawie wszystkich woli większości. Tak się też stało. Uchwala przeszła tylko przeciw dwom głosom do końca konsekwentnych posłów.

Aczkolwiek nie mieliśmy dostatecznych danych, byliśmy już wtenczas głęboko przekonani, mimo wojennego powodzenia państw centralnych, że ostatecznie o losach Europy, a więc i Polski decydować będzie koalicja. Dlatego też sprawę wyodrębnienia Galicji traktowaliśmy dość powierzchownie. Jednak ze względów taktycznych postanowiliśmy tak postępować, by do tworzenia jakichkolwiek dokonanych faktów ręki nie przykładać. Staraliśmy się też w tych czasach wykazać możliwie największą ruchliwość, nie omijając żadnej sposobności wobec wypadków przychodzących z dnia na dzień. Dawało to dosyć materiału, gdyż

zmienna jak jesienna pogoda Austria ogłosiła znowu swoją bezinteresowność w sprawie polskiej, oddając ją prawie wyłącznie w ręce Niemców.

Celem poinformowania członków klubu o sprawach bieżących i zajęcia stanowiska w sprawie aktu listopadowego jak i projektu wyodrębnienia Galicji, został zwołany klub poselski na dzień 11 listopada do Krakowa. Na posiedzeniu tym na podstawie sprawozdania posłów Kędziora i Długosza, odsłaniających tajniki polityki konserwatystów a także socjalistów, postanowiono jednomyślnie wobec projektu Bobrzyńskiego zachować się jak najodporniej, nie występując jednak z różnych względów publicznie przeciw niemu, starać się wynajdywać trudności, byle obrady przewlec i projektu do parlamentu nie dopuścić. Wydelegowani do komitetu mającego sprawę przygotować Długosz i Kędzior zostali związani wyraźnymi instrukcjami. Zgodnie z nimi zaczęli na Komisji tą sprawą się zajmującej, jak i na konferencjach prowadzonych z udziałem prezydenta ministrów, prowadzić walkę o zdemokratyzowanie ordynacji wyborczej, znajdującej się w projekcie ministra Bobrzyńskiego. Obrady się niezwykle przedłużały, gdyż był to najczulszy punkt naszych konserwatystów. Kiedy to nie wystarczyło, wysunięta została sprawa wcielenia do Galicji wyodrębnionej Śląska cieszyńskiego, co nie tylko spowodowało nową długą dyskusję, ale wprowadziło niemałe zaognienie, gdyż każde słowo, dotyczące się Śląska w związku ze sprawą polską, wywoływało u rządu i konserwatystów sprzeciwy i zdenerwowanie. Sprawa więc sama mogła się ciągnąć w nieskończoność, gdy tymczasem wypadki nie czekały na nią.

Śmierć cesarza i nowy cesarz

Dnia 21 listopada zmarł cesarz Franciszek Józef I. Jak śmierć jego nie przyniosła wielkich zmian politycznych, tak nie zrobiła wielkiego wrażenia na wsi. Jakże to wiele zmian przyniosła wojna! W chwili jej rozpoczęcia cesarz był istotą niemal niebiańską, czczoną i uwielbianą przez ogromną większość chłopów. Obecnie ci sami ludzie przyjmowali wiadomość o jego śmierci prawie ze obojętnie. Wojna pewnie przyniosła zabicie wrażliwości, ale skuteczniej na pewno postępowanie różnych władz potrafiło nie tylko że osłabić przywiązanie i oziębic miłość, ale także zburzyć szacunek, jaki dla niego miano.

Obserwowałem pilnie te przemiany. Z początku wojny była w niego gorąca wiara i bezwzględne dość zaufanie. Orgie nadużyć, gwałty i barbarzyństwa usiłowano sobie tłumaczyć tym, że

cesarz niezawodnie o nich nie wie, bo gdyby wiedział, to by do nich nie dopuścił. Nieraz też łamano sobie głowę, jakby cesarza można powiadomić. Parokrotnie zwracali się do mnie ludzie bardzo poważni pytając się, dlaczego tej drogi nie użyję, kiedy ona mi jest dostępna. Z czasem jednak przychodziło dręczące pytanie: Cóż wart taki panujący, jeżeli jego poddani robią wszystko co im się podoba, a on albo o tym nie wie, albo nie chce czy nie może przeszkodzić? Zaczęto też sobie opowiadać po cichu, ale coraz szerzej, że zniedołężniały cesarz już dawno się nie orientował, nie wiedząc zupełnie, co się koło niego dzieje. Cesarz niemiecki zawładnął kamaryłą dworską we Wiedniu, na te czasy całkowicie wszechwładną, stary cesarz służy jedynie za parawan, podpisując wszystko, co mu podadzą. Najwięcej tych wiadomości pochodziło od żołnierzy, szły one od domu do domu.

Tak samo według tych opowieści miało się stać z wypowiedzeniem wojny. Stary cesarz miał się zgodzić na nie, nie wiedząc o co chodzi. Wójt z gminy Ostrów, Jędrzej Niedojadło przyniósł od komisarza starostwa wiadomość, że kiedy cesarza podwieszono rzekomo gdzieś pod front, słysząc strzały pytał się, kto tak głośno urządza polowanie. Ludzie tę gadkę powtarzali, rozszerzali i śmiali się po kryjomu.

Obojętność do starego cesarza i rozżalenie udzielały się coraz szerszym kołom ludności, nie wyłączając znacznej części lojalnie usposobionego duchowieństwa. Można to było widzieć w czasie nabożeństwa za jego duszę. Śmierć cesarza jest przecież zdarzeniem niesłychanym, poruszającym wszystko do głębi, a jednak kościoły nie były wcale przepelnione, a niektóre niemal świeciły pustkami. Ludzie poszli na oddanie zmarłemu ostatniej posługi, ale nie w tej masie i z tym przekonaniem, jak to było dawniej. Nie na darmo przelano morze krwi, dziesiątki tysięcy ludzi powieszono, zniszczono dorobek pokoleń, wyciśnięto potoki łez, zadano milionom ludzi nieopisane męki i katusze. Gdyby nie to, byłoby inaczej.

Objęcie rządów przez młodego cesarza Karola, dokonane z ogromnymi uroczystościami i pompą, nie tylko nie wywołało entuzjazmu, ale nawet większego zainteresowania u mas. Inne stworzono stosunki i inne też zaczęły panować przekonania. Dawniej widziano w panującym wcielenie wszystkiego co dobre, teraz zaczęto wyszukiwać jego słabe strony. Opowiadano sobie szeroko i głośno, że nowy władca nie odznacza się wcale rozumem, że jest zwyczajnym lekkomyślnikiem, a co najważniejsza, że rzadko bywa trzeźwy. Natomiast mówiono cuda o niebywałym wprost rozumie jego żony, cesarzowej Zyty. Było to już tylko rejestro-

wanie wypadków, które trudno ominąć, gdyż myśli ludzi szły gdzie indziej ciągnięte wielkimi nowymi zdarzeniami.

Umową zawartą w Pszczynie Austria oddała w lutym 1917 Legiony Niemcom jako niby kadry nowej armii polskiej, zastrzegając się co do legionistów, poddanych austriackich. Rada Stanu wydała w marcu odezwę werbunkową. Legiony się rozbiły z powodu roty przysięgi przez Radę Stanu ustalonej. Przyszedł Beniaminów i Szypiorno jako obozy karne dla niełojalnych legionistów. Wybuchła rewolucja rosyjska. Wszystko to przyniosło niesłychane podniecenie i ciężar, pod którym się dusiło tak Koło jak i społeczeństwo polskie.

Zatarg

Na jednym z posiedzeń Koła w pierwszych miesiącach 1917 r. przyszło do gwałtownej wymiany zdań. Na moje przemówienie, dotyczące postępowania władz z legionistami, a równocześnie zachowania się niektórych oficerów i oddziałów legionistów, które zatraciwszy dawną myśl poszły na obcą służbę, zareagował bardzo ostro konserwatysta prof. Bronisław Dembiński, żądając ode mnie cofnięcia wypowiedzianej opinii. Ponieważ tego nie zrobiłem, wybuchła u konserwatystów niesłychana burza. Przeniosła się następnie na korytarz, gdyż na czas mojej dalszej mowy konserwatyści opuścili posiedzenie. Uważano to za rzecz dużą, a przede wszystkim nową. Była ona rzeczywiście taką. Niepodzielni rządcy Koła przez dziesiątki lat wychodzili z niego za drzwi, ażeby następnie powrócić bez dania im żądanej satysfakcji. Nie omieszkał też tego faktu poseł Daszyński odpowiednio wyzyskać i przypieczętować.

Sprawa dostała się natychmiast do dzienników, przy tym mocno przekrecona i przejaskrawiona. Radzono mi z różnych stron wysłać sprostowanie, by w tych czasach i w tych sprawach nie dopuszczać do zbytniego zaognienia. Nie zgodziłem się na to, wiedząc dobrze, co zrobili i jakimi się kierowali pobudkami niektórzy luminarze legionowi. Staliśmy zresztą na przeciwnych politycznych i ideowych biegunach. Nagonką gazeciarską wcale się nie przejmowałem. Konserwatyści tak się czuli obrażeni, że przez dłuższy czas nie tylko ze mną się nie stykali, ale omijali wszystkich moich partyjnych kolegów. Zawsze mi przychylny poseł hr. Baworowski uprzedził mnie, że pomiędzy nimi i ich przyjaciółmi odbywają się narady, żeby z tej małej awantury zrobić wielką aferę honorową, w której dałoby się mnie nie tylko pogrzyżyć, ale może i utopić. Nie zaniedbując niczego, zwrócono się do Komendy

Legionów z jakąś radą czy propozycją. Kto to uczynił i jakie były propozycje, tego nie wiedziałem, gdyż Baworowski żadnych nazwisk nie wymienił, a ja się go o nic nie pytałem.

Komenda uczuła się tym podobno wysoce dotknięta i jako-by postanowiła ostro zareagować. Wiadomość okazała się zresztą z prawdą zgodna. Za kilka dni specjalny kurier Komendy przyniósł mi do domu pismo, podpisane przez Włodzimierza Zagórskiego i Adama Nieniewskiego z żądaniem dania satysfakcji i wyznaczenia świadków. Przesłałem jej w odpowiedzi wyjaśnienie pisemne, nie cofając nic ze swojego przemówienia. Tym się jednak nie zadowolono, gdyż znowu przez kuriera otrzymałem następujące pismo:

„Przemyśl, dnia 4.X.1917 r.

JWielmożny Panie!

„Otrzymawszy szacowne pismo z dn. 1.X. br. potwierdzające odbiór naszego wyzwania jako zastępców oficerów Polskiego Korpusu Posiłkowego, nie robiąc z powodu odległości kwestii z powodu niejawienia się zastępców JWPana, upraszamy o podanie nazwisk ich, jako też czasu ich przybycia do Przemyśla.

Z głębokim szacunkiem,

(—) Adam NIENTEWSKI

(—) Włodzimierz ZAGÓRSKI”.

Na to pismo posłała moja odpowiedź, a następnie z Przemyśla dnia 8.X.1917 r. nowe pismo Komendy, domagające się wysłania zastępców. Zastępców tych wyznaczyłem, do spotkania jednak nie doszło, gdyż wypadki nie tylko wiele zmieniły i zatarły, ale w wielkiej mierze potwierdziły prawdę przeze mnie wypowiedzianą. Przyznał to sam Zagórski w osobnej rozmowie ze mną, nie chcąc powracać do tej sprawy. Gorętsze żywioły legionowe nie mogły mi tej rzekomej obrazę darować, dokuczając mi różnymi anonimowymi listami i paszkwilami. Jeden zaś z oficerów legionowych strzelił do mnie dwukrotnie, kiedy przechodziłem w nocy przez planty koło drzewa wolności w Krakowie. Widocznie tylko na postrach, gdyż inaczej z odległości kilku kroków byłby mnie trafił. Użytku z tego nie robiłem, gdyż strzelający był znanym awanturnikiem i pijakiem. Zresztą świadków nie miałem, ani ich nie szukałem. Domyślni mi podpovídali, że moje wysłanie do Brześcia stało jakoby w związku z tą sprawą i Kostek-Biernacki miał mi to wynagrodzić. Nie bardzo w to wierzę, bo chętnie mi wypominający przeszłość Biernacki nigdy o tym nie mówił.

W ciężkiej atmosferze zebrał się zwołany przeze mnie klub poselski Piasta na dzień 15 kwietnia 1917 r. Wzięli w nim

udział wszyscy posłowie sejmowi i parlamentarni. Pomiędzy innymi uchwalono rezolucję, domagającą się wprowadzenia jednomandatowych okręgów do ordynacji wyborczej Bobrzyńskiego, przygotowanej dla wyodrębnić się mającej Galicji. Rezolucja brzmiała:

„Wychodząc z założenia, że orędzie cesarskie z dnia 5 listopada 1916 r. zmierzało do uregulowania sprawy polskiej w obrębie granic monarchii Austro-Węgierskiej, z uwagi na ogłoszone przez dyplomację mocarstw hasło oswobodzenia mniejszych narodów i nadania im słusznie się należących praw narodowego i kulturalnego rozwoju, z uwagi na fakt, że ludność polska na Śląsku Cieszyńskim, stanowiąca jedność z całym polskim narodem, znajduje się obecnie w warunkach rozwój jej narodowy wręcz uniemożliwiających, które to warunki po wyodrębnieniu Galicji jeszcze by się musiały pogorszyć — Klub P.S.L. Piast domaga się stanowczo, by Koło polskie z okazji prac nad wyodrębnieniem Galicji zabezpieczyło przyłączenie Śląska Cieszyńskiego do niej. Od uwzględnienia tego żądania Klub Posłów P.S.L. Piast czyni zawisłym dalszy swój współudział w Kole polskim”.

Postulat ten został wyraźnie po raz pierwszy postawiony, a skutek był taki, że po długich konferencjach i naradach projekt Bobrzyńskiego został właściwie pogrzebany, choć się do tego nie przyznawano i trzeba było szukać innych sposobów rozwiązania sprawy, także bezskutecznie.

Zawsze tacy sami

Tymczasem biurokracja austriacka zaczęła szaleć w swoich dalszych i niemądrych zapędach. Jako charakterystyczny dla niej i dla rządu służyć może fakt, że akurat w kwietniu 1917 r. rząd wiedeński wystąpił z projektem wprowadzenia języka niemieckiego jako obowiązującego we wszystkich krajach w skład państwa austriackiego wchodzących. W niektórych dziedzinach, jak w kolejnictwie, zarządzenie to wprowadzono natychmiast w życie. Trzeba wziąć pod uwagę, że stało się to w trzecim roku wojny, gdy z potęgą państw austriackich pozostały szczątki. Armia była pobita, zdemoralizowana i zniszczona, głód i nędza nękały ludność coraz więcej, niezadowolenie rosło, a rząd przesiąknięty duchem germańskim, spóźniwszy się mocno, zaczął marzyć o tego rodzaju zarządzeniach dla narodów zmuszonych żyć jeszcze pod stopą Habsburgów, ale rwących się coraz bardziej do własnego życia. Nadziei na rozwiązanie sprawy polskiej w związku z Austrią było coraz mniej. Nie tracił jej mimo wszystko nawet w tych czasach prezes Koła polskiego, Biliński, starając się stwarzać jeżeli nie fakty to pozory, które by za tym przemawiały.

Opowiadano sobie w Koło polskim i poza nim, że on spowodował przybycie pary cesarskiej do Krakowa na dzień 8 maja 1917 r. w związku ze swymi dalszymi planami.

W tych czasach Koło polskie coraz częściej dyskutowało sprawę horoskopów wojny i związanej z nią sprawy polskiej. Zaczęły się też coraz wyraźniej ścierać ze sobą dwa prądy. Większość członków Koła stała jeszcze formalnie na stanowisku N.K.N., trzymającego się starego konserwatywnego dogmatu: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy”, ale mniejszość domagająca się utworzenia państwa polskiego samodzielnego i ze wszystkich ziem Polski złożonego, była bardzo znaczna. Mniejszość tę stanowili ludowcy z Narodową Demokracją. Stanowisko nasze było jednak bardzo ciężkie. Rosjanie niemal na każdym kroku ponosili klęski, wojska niemieckie we Francji posuwały się naprzód, Austriacy dawali sobie niezłe radę z Włochami. Wszystko niemal zaczynało przemawiać za zwycięstwem niedalekim państw centralnych. Ludzie nie są granitami, toteż świeżo wytworzone położenie zachwiało wiarę i u niektórych naszych posłów, a jeżeli wytrwali do końca na zajęтым stanowisku, to w znacznej mierze zawdzięczać należy i temu, że dodatnie informacje, dotyczące naszej sprawy, jak i przewidywań wojennych, dostawaliśmy coraz częściej z Paryża drogą mi nieznaną. Z chwilą zaś przystąpienia Ameryki do państw koalicyjnych, utrwaliło się u wszystkich już niezachwiane przekonanie, że mimo sukcesów państw centralnych, muszą one wojnę przegrać, jeśli tylko Ameryka na szalę wagi rzuci swoją potęgę. Ogłoszone punkty prezydenta Wilsona, pomiędzy którymi mieściła się zapowiedź odbudowania państwa polskiego, otrzymaliśmy z dużym spóźnieniem i to dzięki prof. Surzyckiemu, który posiadał jakieś źródło zagranicznych wiadomości. Wystąpienie prezydenta Wilsona w sprawie polskiej przypisywano ogólnie zasługom i wpływom Ignacego Paderewskiego.

W tych warunkach zapowiedziany na dzień 8 maja przyjazd cesarza Karola do Krakowa miał być dowodem jego życzliwości dla Polaków i dla sprawy polskiej. Tak przynajmniej go rozumiał i przedstawił prezes Koła polskiego, Biliński. Starał on się też z tych odwiedzin zrobić wielką uroczystość, zapraszając przedstawicieli Koła do Krakowa. W liście do mnie pisanym prosił, ażebym przybył w stroju narodowym. W dniu oznaczonym cesarz przyjechał i to bez minuty spóźnienia. Imieniem Koła przemówił do niego prezes Biliński w języku niemieckim, a po polsku wniósł tylko okrzyk na cześć cesarza. Cesarz odpowiedział mu także po niemiecku. Więcej mów nie było.

Tak treść przemówienia Bilińskiego, jak i język niemiecki do

niego użyty wywołały u wielu obecnych niezadowolenie, a nawet energiczne zastrzeżenia. Nie obeszło się też bez dalszych konsekwencji. Po ceremonii wstępnej cesarz przyjął nas zbiorowo w gmachu delegata rządu. Przyjrzałem mu się dokładnie. Był bladej i jakos jakby boleśnie uśmiechnięty. Miał wygląd człowieka chorego i słabego. Zachowywał się z wyszukaną uprzejmością. Ze wszystkimi członkami delegacji rozmawiał w języku niemieckim, uprzedzony, do mnie się zwrócił w języku czeskim mocno łamanym, wtrącając, jak mi się wydawało, niektóre polskie wyrazy. Widocznie zwrócono mu na mnie specjalną uwagę, gdyż mnie wyróżnił w sposób widoczny, rozmawiając dłużej niż z innymi dopytywał się nawet o różne drobne, mało znaczne szczegóły. Dotyczyły one Sejmu Galicyjskiego, powiatu, gminy, a nawet mojego gospodarstwa, obszaru i kultury. Dotknął też zachowania się urzędników i wojska wobec ludności, a w końcu bardzo ostrożnie zapytał o stosunek ludności wiejskiej do rządu i państwa, żądania tej ludności i jej potrzeby. Łapałem każde słowo, żeby nie zrobić czegoś niewłaściwego.

Odpowiedziałem mu bardzo krótko kładąc szczególny nacisk na gwałty popełniane przez wojsko, bezwzględne rekwizycje, krzywdy na każdym kroku czynione i nędzę ludności. W końcu nie omieszkałem zaznaczyć, że ludność polska spodziewa się, że jego rządy przyniosą zmiany na lepsze, a on narodowi polskiemu pomoże do uzyskania upragnionej wolności. Skinął głową podając mi rękę na pożegnanie, ale nic nie odpowiedział. Panowie Biliński i Leo byli trochę niezadowoleni szczególnie z ostatniego zwrotu mojej odpowiedzi, zaznaczając, że cesarz był gościem, nie należało więc spraw drażliwych przed nim wytaczać. „Jeżeli się to już stało, to nieszczęścia wielkiego nie będzie” — zakończył dr Leo.

W miarę postępu czasu i wypadków zjawiały się w Kołach polskim coraz częściej wnioski, stawiane przeważnie przez posłów narodowo-demokratycznych, domagające się jawnego i ścisłego współdziałania Koła polskiego w Wiedniu z reprezentacjami innych narodów słowiańskich, w szczególności z Czechami i południowymi Słowianami. Myśmy te wnioski popierali, większość Koła zwalczała je znanymi z dawnej polityki argumentami, że zgoda pomiędzy narodami słowiańskimi w Austrii i prowadzenie wspólnej polityki jest rzeczą nieosiągalną, a dla Koła nawet szkodliwą. Koło polskie miało jakoby w tej materii poczynić wielokrotnie bardzo niekorzystne doświadczenia. Sprawa więc została stale niewyjaśniona i niezadowolona, choć wydawało się jak na dłoni jasne, że jeżeli kiedykolwiek to w tym czasie szczególnie

było to zarówno nakazem rozumu politycznego, jak i interesem wszystkich Słowian wolności pragnących.

Po jednym z takich posiedzeń Koła poprosił mnie na rozmowę poseł Abrahamowicz. W długim opowiadaniu przedstawił mi historię polityki Koła polskiego z dziesiątków lat, zatrzymując się nieco dłużej na niektórych wypadkach i osobach. Z jego wywodów wynikało, że przeciwnicy Koła albo nie doceniali jego zasług, albo je umniejszali, a Czesi zawsze, jak on pamięta, podnosili ideę współpracy słowiańskiej wtenczas, jak to było potrzebne dla ich politycznych celów, ale ją też łatwo opuszczali, idąc z Niemcami, jeżeli tylko na tym mogli co zarobić. Niemców specjalnie nie kocha, ale musi ich uważać za kontrahentów bardzo solidnych. Przynajmniej takimi dotąd byli, póki się do parlamentu nie dostały żywioły radykalne, zwykle mało solidne i nieodpowiedzialne. Polityka poważna nie znosi nigdy demagogii, a nie może jej tym bardziej znosić w takim państwie, jak Austria. „Ja, jak pan wie, mało teraz zabieram głos, bo często nie wiem co powiedzieć w miejscu, gdzie zawsze rządził trzeźwy rozum, a teraz zaczyna panować demagogia. Wprowadzili ją narodowi demokraci, socjaliści zrobili ją dogmatem, a i wy ludowcy dajecie się jej coraz częściej porywać. Niech pan mnie, staremu, doświadczonemu człowiekowi zechce uwierzyć, że na tym źle wyjdziecie, a najgorzej wyjdzie sprawa, której służyć pragniecie”.

Kiedy mu zwróciłem uwagę, że owa polityka Koła tak wysoko przez niego stawiana, ma za sobą ciężkie przewinienia wobec narodu, chłopów i przyszłości, nieco podrażniony powiedział, że wydawanie sądów jest przedwczesne, a wydać je może nie terazniejszość ani bliskie wypadki, ale dopiero bezstronny historyk. On inaczej nie chce i nie umie rozumieć i robić, a wierzy święcie, że robi dobrze. Rozeszliśmy się, zostając każdy przy swoim.

Nie mogąc drogą wyraźnej uchwały Koła wprowadzić w czyn naszych zamiarów, po wspólnej naradzie z narodowymi demokratami postanowiliśmy nawiązać kontakt z przedstawicielami narodów słowiańskich na własną rękę. Przygotowania wstępne poczynił poseł Długosz, który miał znajomości wśród posłów słowiańskich, a podobno i dobre imię. Tym sposobem odbyło się szereg wspólnych konferencji, w których i ja uczestniczyłem. Szczególnie zapalonym zwolennikiem tej koncepcji stał się poseł Tetmajer, gorąco przy tym zachęcany przez Długosza. Udział w rozmowach, które otaczano najściślejszą tajemnicą, brali poza mną Tetmajer i Długosz od ludowców, od narodowych demokratów Głębiński, Skarbek, a niekiedy poseł Ptaś. Czechów reprezentowali posłowie Staniek, Kalina, południowych Słowian między innymi ks. Koroszec, dr Krek i inni, często się zmieniający.

Przedmiotem narad była prosta, nieskomplikowana sprawa ściślejszego współdziałania, możliwie wszystkich narodów słowiańskich, tak na gruncie parlamentu austriackiego, jak i na arenie międzynarodowej, w kierunku uzyskania niepodległości państwowej tych narodów mieszkających w państwie austriackim. Gdy z jednej strony szło o stałe porozumiewanie się z koalicją co do sposobu działania, to z drugiej starano się ujednostajnić postępowanie mające na celu osłabienie Austrii tak przez odpowiednią taktykę w parlamencie, jak w wojsku i kraju. Czesi twierdzili, że podobna akcja jest u nich już bardzo daleko posunięta, a żołnierze austriaccy-Czesi prawie od samego początku wojny otrzymali odpowiednie dyrektywy co do zachowania się na froncie. W tych dyrektywach polecono im, by się oszczędzali jak najwięcej, czekając żywi na wypadki, które muszą nadejść. Dawali nam do zrozumienia, że już mają od koalicji zapewnienie co do utworzenia samodzielnego czeskiego państwa, jeżeli tylko jej pomocą do wygrania wojny, pracując nad osłabieniem państw centralnych, zwłaszcza Austrii. Konkretnego, ścisłego planu nie ustalono, mimo dość licznych posiedzeń. Zapadły jednak ogólne postanowienia co do porozumiewania się na gruncie parlamentu, utrzymywania ścisłego kontaktu z koalicją, agitacji wśród wojska, utrudniania uchwalenia budżetu, głosowania przeciw niemu itp. Nie przeczę, że i ja z czasem trochę się rozczarowałem.

Daleko łatwiej było taką politykę prowadzić Czechom i innym Słowianom, których kraje nie zaznały bezpośrednio wojny i zniszczenia, a czasem nawet na wojnie zarabiałały. Dużo trudniej przychodziło to zrobić posłom polskim z Galicji, którzy musieli pamiętać, że reprezentują kraj zrujnowany nie tylko licznymi bitwami i wielokrotnymi przemarszami milionowych armii, ale rabunkami swoich i obcych, kraj, który przedstawiał smutny obraz zniszczenia. Rządowi chodziło niesłychanie o uchwalenie budżetu przez parlament, a nie było też dla niego obojętną rzeczą, jaką większością. Grały tu rolę względy polityczne i rzeczowe. Rząd chciał mieć pieniądze na prowadzenie wojny i aprobatę swojej polityki. Czynił też w tym kierunku usilne zabiegi, używając różnych środków. Dla uchwalenia budżetu w parlamencie konieczne było pozyskanie głosów Koła polskiego. Rząd, wiedząc o tym dobrze, zawarł z prezydium Koła umowę, mocą której zobowiązał się spełnić różne żądania i postulaty Koła stare i nowe, szczególnie natury gospodarczej. Dotyczyły one głównie odbudowy kraju we wszystkich dziedzinach. Koło wypełniło przyjęte zobowiązanie, głosując za budżetem, rząd danej obietnicy w całości nie dotrzymał. Długą litanię swoich postulatów powtarzało Koło jeszcze niejednokrotnie rządowi i swoim członkom

tak, że każdy z nich umiał je na pamięć. Biorąc jednak rzeczy bezstronnie, nie można by twierdzić, by znowu rząd w tym czasie dla Galicji nic nie zrobił. Zgodne było z prawdą, że wyasygnował pieniądze na doraźną pomoc i odbudowę, wstrzymał rekwizycje, uśmierzył grabieże dokonywane przez żołnierzy, wprowadził znacznie łagodniejsze postępowanie organów władz z ludnością. Ale mimo bardzo gorliwych zabiegów rządu i ministrów Polaków stosunek polskiej reprezentacji do rządu nie mógł być życzliwy, nie tylko ze względu na sprawy zasadnicze, ale i inne.

Narodowa Demokracja zupełnie słusznie nie zapomiała rządowi tępiciejskiej roboty, jaką on stosował wobec tego stronnictwa, przypisując mu sprzyjanie Rosji i wrogie stanowisko wobec państwa austriackiego. Przyczynili się do tego niemało polscy dygnitarze, nie lubiący endeków. Myśmy także mieli z rządem ciężkie porachunki. Jakkolwiek od początku wojny rząd się nie odnosił do ludowców tak wrogo, jak do Narodowej Demokracji, to jednakowoż postępowanie tak władz cywilnych jak i wojskowych dawało aż nadto powodów do zajęcia nieprzyjaznego stanowiska wobec rządu. Socjaliści, którzy jak wiadomo bardzo czynną odegrali rolę w N.K.N. i przy tworzeniu Legionów, uważając je za jedyny skuteczny środek walki przeciw Rosji, a wiedząc że bez pomocy rządu byłiby ich nie stworzyli, raczej wrogo przeciw rządowi nie występowali. Choć byli wprawdzie zasadniczymi przeciwnikami podobnego ustroju państwowego, jednakże rozumowali, że jeżeli chce się pobić Rosję, to trzeba się oprzeć o inne silne państwa, a za takie uważali państwo austriackie. Zwalczając więc rządy i biurokrację, nawet przywódca socjalistów Daszyński względem państwa austriackiego i cesarza okazywał bardzo wiele sentymentu, czego się nie wahał ujawnić w publicznych wystąpieniach. Potem się ich postępowanie znacznie zmieniło.

Demokraci polscy, zostający pod kierownictwem dr. Leo, Germana, Loewensteina i innych, szli prawie zawsze za rządem. Czasem wprawdzie wysuwali różne zastrzeżenia przeciw polityce rządu i występowali z krytyką, ale każdy wiedział dobrze, że to czynili ze względów taktycznych. Rząd mógł liczyć na nich zawsze.

Bardzo liczna grupa jaką stanowili w Kole konserwatyści co do polityki rządu i jego postępowania najmniej miała zastrzeżeń, wykazując nawet w tym czasie niezrozumiałe i szkodliwe zaślepienie polityczne. Wprawdzie nie było to nowością, lecz dalszym ciągiem prowadzonej przez nich polityki od szeregu lat, ale przecież teraźniejszość była tak bardzo odmienna.

Stapiński, mimo że w chwili wybuchu wojny pośpieszył z ogłoszeniem, iż porzuca działalność dotychczasową, a wraz z sy-

nami wstępuje do wojska, by pomóc wywalczyć wolność Ojczyźnie, pozostał w Krakowie i siedział spokojnie na ulicy Reformackiej, gdzie wojny nie było. Zaprzestał wydawania nawet *Przyjaciela Ludu*, by się nie znaleźć między młotem i kowadłem, robiąc podobno dobre interesy naftowe. Przynajmniej sam się do tego przyznawał. Dopiero po zwołaniu Parlamentu wyszedł z ukrycia i wraz z grupą posłów stanął na stanowisku bardziej bezpiecznym, bo na gruncie polityki prorządowej.

Posel Matakiewicz, stanowiący wraz z Janem Potoczkim dwugłowy klub katolicko-ludowy, bezustannie żył w śmiertelnym strachu, bojąc się z jednej strony polskiej niezależnej opinii, z drugiej rządu, biurokracji i księży.

Także i nasz klub w zapatrywaniach swoich na sprawę budżetu jednolity nie był. Choć, jak to nadmieniałem, znaczna większość posłów była jak najbardziej wrogo usposobiona do Austrii, to z wielu powodów trudno jej przychodziło zdecydować się na odmówienie rządowi budżetu. Logicznie na rzecz patrząc czuliśmy, że stanowisko nasze staje się co najmniej niezrozumiałe, gdyż pragnąc naprawdę upadku Austrii i zakończenia wojny, dawaliśmy jej budżet, by mogła żyć, wojnę prowadzić, a nawet na nasze zaufanie się powoływać. Trudno się tu obronić słusznemu zarzutowi oportunistów i to oportunistów praktycznego. Dając bowiem rządowi budżet liczyliśmy, że znaczna jego część zostanie przeznaczona na konieczne potrzeby zniszczonego kraju. Mieliliśmy świadomość, że głosując przeciw budżetowi, sprowadzimy na ludność zemstę, do której wykonywania posiadał jeszcze rząd dosyć siły; ludność zaś dręczona i zrozpaczona, gotowa się zwrócić przeciw nam. Niektórzy rozumowali przy tym, że przeciągana tym sposobem wojna sprawie polskiej nie zaszkodzi, a nawet może jej wiele pomóc. Znaleźli się zresztą i tacy, co wierzyli, że mimo wszystko pozostaniemy na przyszłość z tym państwem związani. Że ludziom z wielkim trudem przychodziło się w tej sprawie decydować, stanowiło i to dowód, że mimo uchwały Koła zobowiązującej do głosowania za budżetem wszystkich jego członków, większa część ludowców usunęła się od głosowania. Nie taję, że i ja do tych niezbyt odważnych i statut Koła łamiących należałem.

Stosunki w Kole i przemiany

Układ sił w Kole polskim tak się przedstawiał, że często o jego większości decydowały małe grupki poselskie nie zawsze świadome powagi chwili i odpowiedzialności. Składane chociaż-

by przy każdej sposobności przez posła Matakiewicza deklaracje klubu katolicko-ludowego, tego Matakiewicza, który niedawno opuścił klub konserwatywny, jak i wygłaszane przez niego przemówienia, dotyczące przeważnie tylko małych rzeczy, staranie się dogodzić wszystkim, nie tylko wywoływały ironiczne uśmiechy i budziły niesmak, ale przynosiły rzeczywistą szkodę. Za wielkie zadanie mieliśmy przed sobą. Zabierał on zawsze głos po mnie, gdyż jako poseł mniejszości z tego samego okręgu wyborczego drżał wiecznie przed konkurencją, której mu nigdy nie robiłem.

Jednym z owych języczków u wagi stawał się nieraz poseł Hipolit Śliwiński, który po śmierci posła Lisiewicza pozostał jedynym przedstawicielem swojego stronnictwa. Nastrojony zawsze opozycyjnie, wygłaszał w lwowskim żargonie mowy opozycyjne, niemal że gwałtowne, przeciw rządowi i jego organom zwrócone, ale znawcy uśmiechali się i po cichu mówili, że są one jeno taktycznym posunięciem, mającym na celu wytargowanie lepszych warunków dla przedsięwzięcia, które Śliwiński od rządu brał i nieźle na nich zarabiał. Nic też dziwnego, że kierownicy polityczni Koła, słuchając jego mów i patrząc na gromy na głowę rządu przez niego rzucane, nigdy nie byli nimi przerażeni. Zresztą wnioski przez niego stawiane daleko zwykle odbiegały od tonu i treści wygłaszanych przemówień. W rozmowach prywatnych słyszało się od niego znowu co innego. Cechowały go w nich trzeźwość i rozsądek. Kiedy raz ośmieliłem się mu zwrócić uwagę na sprzeczności, odpowiedział mi uśmiechem i wzruszeniem ramion. Na niektórych naszych ludzi oddziaływał bardzo silnie.

Jak już nadmieniałem poprzednio, społeczeństwo polskie w Galicji przechodziło wprawdzie powolny, ale stały i głęboki proces uczuciowy i polityczny. Odwróciwszy się od Austrii, przychylną swoją do koalicji i wiarę w jej zwycięstwo zaczęło manifestować coraz wyraźniej i głośniej, mimo połączonego z tym niebezpieczeństwa i kręcących się na każdym kroku szpiegów. Działalność N.K.N. zaczęto uważać za szkodliwą zabawę. Wielu pod tym względem wpadało nawet w przesadną gorączkę, posądzając go o tendencje, których nie miał i czyny, których nie popełnił. Ludzie powtarzali jak święte przykazanie, że Niemcy muszą wojnę przegrać, a trzymanie z nimi jest tylko odwlekaniem klęski i przedłużaniem wojny. W rzeczywistości w tym czasie N.K.N. z wyjątkiem małej grupki ludzi, którzy przy nim pozostali, czy to ze względów ideowych, czy praktycznych, stał już niemal zupełnie poza nawiasem społeczeństwa. Coraz też głośniej wypowiadano się za jego rozwiązaniem. Oliwy do ognia dolało owe przemówienie prezesa Koła polskiego a równocześnie i prezesa N.K.N. dr. Bilińskiego w czasie pobytu cesarza Karola w

Krakowie. Zarzucano mu, że nie tylko je wypowiedział w języku niemieckim, ale że z niego zrobił mowę hołdowniczą, nie oddającą w żadnej mierze uczuć narodu. Na dobitkę złego mowa ta miała być wypowiedziana bez zatwierdzenia jej przez prezydium Koła. Stanowiła poza tym wyłom w tradycji, gdyż tak prezes Koła jak i marszałkowie kraju tego rodzaju przemówienia do monarchy wypowiadali w języku krajowym. Wiadomości te rozlały się szeroką strugą po kraju, wywołując oburzenie nawet u tych, co się polityką nie zajmowali nigdy. Miano za złe nie tylko Kołu, lecz także i nam, że znosimy przewodnictwo Bilińskiego, przypominając to przy każdej sposobności.

O rozwiązaniu austro-polskim w bardzo wielu kołach nie tylko przestano mówić, ale nawet myśleć, bo zdrowy rozum i idące wypadki myśli te przekreślały. Armia austriacka przedstawiała się coraz gorzej. Z dawnego zapasu u żołnierzy nie zostało ani śladu. Nędza w całym państwie wzmagała się z każdym dniem, rozkład zaczął się rysować w barwach coraz wyraźniejszych.

Czego nie mogli lub nie chcieli dostrzec politycy, widzieli to zupełnie jasno ludzie prości. Mniej więcej w tym czasie spotkałem się w Tarnowie z Wojciechem Rzepką, gospodarzem i wójtem z Ilkowic, świeżo wypuszczonym z wojska na dłuższy urlop ze względów gospodarczych. Jako starzy i dobrzy znajomi weszliśmy do restauracji na rozmowę przy herbacie. „Dlaczego pana, pytam, starszego już chłopca, a przy tym wójta tak długo przy wojsku trzymali?”. „Trzymali mnie — odpowiada z widocznym gniewem — psie krwie, złodzieje, ino ze zemsty, bo mi to dawali odczuć na każdym kroku. Nie spałem się podczas pobytu Moskali”. „A cóż tam myślą nasi żołnierze, czy jeszcze wiernie jak z początku spełniają tę austriacką służbę?”. „Broń Chryste Panie — odpowiada Rzepka — każdy patrzy, gdzieby się schować, albo dać dęba do nieprzyjaciela, a tylko jeszcze niesłychane kary i terror okrutny bezustannie stosowany, trzymają ludzi jako tako w ryzach, choć coraz częściej wszystko to nie pomaga”. „Cóż tam żołnierze myślą o zwycięstwie Niemców i Austriaków?” — pytam dalej. „Życzą im, żeby ich jak najprędzej szlag trafił”. „To chyba mówią to bardzo skrycie i po cichu — zapytałem. „Gdzież tam — odpowiada — wołają na całą gębę, a oficerowie od nich odchodzą, udając że nic nie słyszeli”. „A cóż mówią nasze chłopcy o Polsce?”. „Ano wszyscy sobie powiadają, że ją Francja z Ameryką zrobią, ale wtenczas, jak Niemcy kark złamią, no i że im trzeba do tego dopomóc”. „No, a co pan myśli o tym?”. „Ja, to samo co i drudzy”.

Piast i N.K.N.

Sprawą N.K.N. stronnictwo nasze zajmowało się bardzo żywo. Szczególnie teraz pragnęło wyjaśnienia zaognionej sytuacji. Na dzień 6 maja 1917 r. zwołałem do Krakowa posiedzenie parlamentarnego i sejmowego klubu posłów, poświęcone bieżącym sprawom politycznym. Do nich należała i sprawa N.K.N. Po całodziennych naradach uchwalono w tej sprawie rezolucję, która w sferach politycznych podziałała wtedy jak bomba. Brzmi ona:

„Postowicie sejmowi i parlamentarni P.S.L. Piast przyjmują do wiadomości uchwałę komisji wykonawczej o postanowieniu rozwiązania N.K.N. Z uwagi, że istnieje zamiar dalszego podtrzymania N.K.N., do czego P.S.L. Piast ręki nie przyłoży i żadnej odpowiedzialności za działalność N.K.N. nie przyjmuje, Klub posłów sejmowych i parlamentarnych P.S.L. odwołuje bezwzględnie swoich zastępców z N.K.N. Opieka nad legionistami i ich rodzinami, która musi przeżyć N.K.N., musi być oddana osobnemu stowarzyszeniu, opartemu na jak najszerzych podstawach, a wszelkie fundusze N.K.N. powinny być temu mającemu powstać towarzystwu opieki w całości oddane”.

Wystąpienie ludowców z N.K.N. uniemożliwiło dalsze przedłużenie życia tej instytucji, ludowcy bowiem nie tylko w tej chwili stanowili najsilniejszy klub w Kole polskim, ale byli naturalną reprezentacją mas ludowych, bez których N.K.N. istnieć nie mógł. Usunięcie się Stronnictwa Ludowego było też wyrazem protestu przeciwko polityce N.K.N., jak również dygnitarzy N.K.N.-owych, którzy dotąd starali się nadawać ton polityce Koła polskiego, coraz sprzeczniejszej z wolą ludności. Krok nasz podzielał więc jak grzmot zwiastujący burzę, która musiała w Kole polskim wybuchnąć. Tej burzy zresztą oczekiwaliśmy, spodziewając się po niej oczyszczenia atmosfery politycznej, wówczas wprost nieznośnej. Bo nie mogło ulegać żadnej wątpliwości, że w owym czasie, na wiosnę 1917 r., orientacja społeczeństwa polskiego w Galicji z małymi wyjątkami była jednolita, podczas gdy orientacja jeszcze podtrzymywana przez część członków Koła nie miała już prawie żadnych zwolenników. Między nią a narodem zaczęła się tworzyć wyraźna, coraz większa i niebezpieczniejsza przepaść. Na szczęście wypadki pomogły ją zasypać.

Historyczne dni Koła. Uchwała o niepodległości Polski

Po naszej uchwale, wycofującej się z N.K.N., prezes Koła Biliński zwołał jego posiedzenie na dzień 14 maja 1917 r. Zapo-

wiadało się ono burzliwie. Stanowisko ludowców w sprawie Śląska Cieszyńskiego, wyodrębnienia Galicji, sprawa N.K.N., a raczej ogólnej, narodowej organizacji, wskazywało bardzo wyraźnie, że przyjdzie żądanie stanowczej zmiany w polityce Koła polskiego, prowadzonej przez Bilińskiego, której oprócz niego twórcami i stróżami byli prof. Leopold Jaworski, właściwy kierownik N.K.N. i widomy przywódca galicyjskich konserwatystów, ówczesny minister dla Galicji, dr. Michał Bobrzyński. I rzeczywiście to posiedzenie klubu stało się punktem zwrotnym w dotychczasowej jego polityce. Nie przyszło to z łatwością.

Klub posłów PSL Piast, opierając się na powziętej 6 maja 1917 r. uchwale posłów sejmowych i parlamentarnych, przez usta posła Kędziora złożył oświadczenie, że sprawę wyodrębnienia Galicji uważa dla siebie za bezprzedmiotową i przechodzi nad nią do porządku dziennego. Widzi bowiem, że nad nią obecnie górują inne sprawy, a między nimi całość i niepodległość Polski. Było to rzuceniem rękawicy wszystkim zwolennikom państw centralnych jak i wyodrębnienia Galicji. W Kole polskim zawrzało gwałtownie. Wystąpili przeciw nam ostro konserwatyści i demokraci polscy, przyłączyli się do nich posłowie socjalistyczni. Wywiązała się dyskusja nad tym, czy prowadzić w ogóle obrady nad wyodrębnieniem Galicji, czy ich też zaniechać. Ja imieniem stronnictwa oświadczyłem, iż uważam za konieczne zwołanie w najbliższym czasie do Krakowa Koła sejmowego, jako najwyższej narodowej reprezentacji w austriackim zaborze. W skład tego Koła, jak wiadomo, wchodzić polscy posłowie do parlamentu, członkowie Izby panów i posłowie na Sejm galicyjski. Ten zespół uważaliśmy za najbardziej powołany do powzięcia wielkich postanowień, odpowiadających pragnieniom całego polskiego narodu i powadze chwili.

Dyskusja przybrała ogromne rozmiary, przeciągając się na kilka posiedzeń. Zgłoszono też w czasie niej cały szereg rezolucji. Najbardziej z nich wyrazistą i woli społeczeństwa polskiego odpowiadającą była rezolucja zgłoszona przez posła Tetmajera. Głosiła ona, że jedynym rozwiązaniem sprawy polskiej jest utworzenie niezależnego państwa polskiego, złożonego ze wszystkich polskich ziem z dostępem do morza. Jakkolwiek do tej rezolucji przyczepiono potem na Kole sejmowym pewien gest w stronę cesarza Karola zwrócony ze względów taktycznych, oddając niby to jemu w ręce przeprowadzenie sprawy polskiej „w myśl gorących życzeń narodu”, to przecież dla każdego było rzeczą aż nadto przejrzystą, do czego rezolucja zmierzała. Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by nie spostrzec, że stanowiła ona silne odezwanie się narodu, nieklamany wyraz jego woli, postawiony przez polityczną repre-

zentację polską w państwie, które dało dowody, że ani myśli o uczciwym rozwiązaniu polskiego zagadnienia. Dla ścisłości należy stwierdzić, że owa rezolucja, domagająca się utworzenia niepodległego państwa polskiego, a przez to odrzucająca wszelkie inne w Wiedniu czy w Berlinie zrodzone pomysły rozwiązania sprawy polskiej, nie była w całości ani własnością naszego klubu, ani posła Tetmajera. Przygotowaliśmy ją wspólnie z niektórymi posłami Narodowej Demokracji i wyszliśmy z nią na Koło polskie za obopólnym porozumieniem.

Nie przeszła ona zbyt łatwo. Do zaciętej walki przeciw niej wystąpili oprócz konserwatystów także i polscy demokraci, kierując się wskazaniem rządu i jakimś dziwnym oportunizmem. Krok nasz starano się w długich mowach przedstawić jako awanturniczy i niebezpieczny, mogący za sobą pociągnąć jak najzgubniejsze następstwa nawet w najbliższej przyszłości. Trzeba lojalnie przyznać, że w tych warunkach i stosunkach, jakie w Austrii jeszcze panowały, postawienie tej rezolucji i przeprowadzenie jej, było nie tylko dowodem zrozumienia wielkiej sprawy, ale i dużej odwagi cywilnej, na którą nie wszyscy mogli się zdobyć. Ostatecznie dopiero dnia 16 maja rezolucja została uchwalona i to niewielką większością, głosami ludowców, narodowych demokratów i socjalistów. Głosowało też za nią kilku posłów, należących do innych grup, wyłamując się spod solidarności partyjnej. Do nich między innymi należał poseł konserwatywny hr. Jerzy Baworowski. Na tym posiedzeniu postanowiono też nadać rezolucji sankcję najwyższej instancji politycznej Koła sejmowego. Postawiony przez nas w tej sprawie wniosek został uchwalony.

Co do dalszych losów rezolucji Tetmajera zachodziła przez pewien czas bardzo poważna obawa. Stwierdzono bowiem ponad wszelką wątpliwość, że rząd używając ministrów Polaków zasiadających w Radzie Korony z ramienia Koła polskiego, czynił wszelkie wysiłki, żeby nie dopuścić do uchwalenia rezolucji przez Koło Sejmowe polskie. Obawa mogła być tym większa, że do Izby Panów należeli przeważnie starzy konserwatyści, przeważnie dawne dworskie ekscelencje, dla których cesarz, jego wola, a nawet życzenie rządu były nie tylko prawem, ale i rozkazem, do którego się zawsze stosowali.

Mając niemałą obawę co do ich zachowania się w większym poselskim gronie, dyskutowaliśmy nawet myśl niedopuszczenia ich do posiedzenia Koła sejmowego, jako że w żadnej formie przez społeczeństwo nie wybieranych, nie mających więc prawa przemawiać i decydować jego imieniem. Zamiaru tego jednak po długiej debacie zaniechano. Okazało się, że słusznie. Był przecież moment, kiedy i u nich odezwało się polskie sumienie. Stało się

to podczas przemówienia ks. arcybiskupa Teodorowicza, wygłoszonego w Izbie Panów. Mimo że miało ono wiele momentów bardzo mocnych, a całość cechowała niezwykła odwaga, owi polscy członkowie Izby Panów z nim się solidaryzowali. Nie trwało to znowu długo, bo kiedy rząd z tej mowy naprawdę polskiej objawił swoje grube niezadowolenie, koledzy ks. arcybiskupa Teodorowicza prędko się wycofali, a nawet się postarali o to, że musiał on część swojego przemówienia sprostować i złagodzić.

Mało tego, niektórzy członkowie klubu konserwatywnego rozpoczęli i prowadzili bardzo usilną agitację, starając się wpłynąć na członków Koła, należących do innych ugrupowań politycznych. Przedstawiali oni w niesłychanie czarnych barwach wprost nieobliczalne skutki tego, jak twierdzili, nie tylko nierozważnego, ale szaleńczego kroku, jakim według ich zdania była uchwała z 16 maja. Szczególnie zabrali się do posłów chłopskich. Miałem też obawę, że mogą słabszymi zachwiać, przedstawiając im nawet niebezpieczeństwo zdrowia i życia. Dwóch z naszych posłów przybyło do mnie, opowiadając z przerażeniem o mających nastąpić represjach, a między nimi masowych aresztowaniach, których rząd jakoby zamierzał dokonać przed zebraniem Koła sejmowego w Krakowie. Uspokoilem ich oświadczeniem, że jest to obecnie całkowicie wykluczone, a przy tym jeśli się robi wielkie rzeczy, to trzeba się na ofiary przygotować. Nie wiem, czy mi na słowo uwierzyli, ale więcej nie mówili o tym.

Z naturalnym więc zaciekawieniem, ale także z wzrastającym niepokojem oczekiwaliśmy zebrania się i obrad Koła sejmowego w Krakowie. Różne pogłoski nie tylko nie ustały, ale rozszerzały się z każdym dniem. Termin zebrania został wyznaczony na dni 27 i 28 maja 1917 r. Odbywało się ono w sali rady miejskiej. Komplet był ogromny. Nie brakło prawie nikogo z członków. Poza nimi w bocznych ławach zasiedli przedstawiciele Królestwa w liczbie kilkudziesięciu osób. Znaczna ich większość należała do aktywniejszych ugrupowań. Niektórzy posłowie pokazywali na nich z niechęcią palcami. Galerie były przepełnione śmietanką obywatelstwa krakowskiego. Plac Wszystkich Świętych przed budynkiem sali, jak i wszystkie przylegające ulice, zaległy nieprzeliczone tłumy ludności. Widać było niesłychane podniecenie.

Obrady Koła miały się rozpocząć o godzinie 10 przed południem. Tak się nie stało, gdyż na przeszkodzie stanęła sprawa zupełnie nieprzewidziana. Poruszono mianowicie kwestię, czy posłowie rozwiązanego tymczasem Sejmu galicyjskiego mogą brać w zgromadzeniu udział z głosem decydującym, czy tylko jako goście. Zgodzono się w końcu przyznać im równe prawa. Drugą przeszkodą było obstawienie gmachu magistratu krakowskiego

kordonami policji pieszej i konnej, która miała za zadanie niedopuszczenie publiczności tak do gmachu jak i na plac przed nim się znajdujący. Był to stary wypróbowany środek, przez konserwatystów zawsze używany i obecnie na ich żądanie zastosowany. Oczywiście, że i rząd starał się od dawna, a więc i teraz dusić wszelkie odruchy i niezadowolenie tymi sposobami. I jak prawie zawsze, tak szczególnie w tym wypadku środek ten okazał się równie niewystarczający, jak i nieskuteczny. Duch czasu, siła odradzającego się narodu okazały się silniejsze, nie tylko ponad wszelkie zabiegi, ale także militarne potęgi. W tym wypadku sprawa owa stawała się tym bardziej przykra, że kordony policji zostały postawione na skutek żądania klubu konserwatywnego, a także niektórych posłów demokratycznych, z konserwatystami i rządem bliżej związanych.

Z okien magistratu krakowskiego obserwowałem zebrane tłumy. Było w nich coś wielkiego, wzniosłego, świątecznego. Spokój i zdecydowanie, radość, rozlewająca się na twarzach i zawziętość, widoczna u wszystkich uczestników. Poruszenie w całym mieście było wprost niebywałe. Tysięczne rzesze ludności wszystkimi ulicami płynęły falą w stronę magistratu, gdzie się miały zacząć te niezwykle obrady. Osobni posłańcy roznosili po ulicach wiadomości o sytuacji. Tymczasem rozpoczęcie obrad wciąż się przewlekało.

Korzystając z tego przedstawiciele stronnictw stojących na gruncie uchwały z dn. 16 maja odbyli krótką naradę dotyczącą sposobu postępowania na wszelki wypadek. Postanowiono między innymi, by tak długo nie rozpoczynać obrad, jak długo policja nie zostanie usunięta sprzed gmachu i dziedzińca, na którym ulokowano bardzo silne oddziały. Ponieważ wiadano, że sprowadzenie policji przed gmach, w którym się miały odbyć obrady najwyższej politycznej instytucji w Galicji, było dziełem konserwatystów i ich przyjaciół, posypały się zewsząd pod ich adresem bardzo nieprzyjemne i głośnie docinki, zarzuty i wykrzykniki.

Sytuacja stawała się niesłychanie napięta i gorąca. Rząd wiedeński telefonicznie powiadomiono o panującym wzburzeniu i naprężeniu wśród ludności Krakowa, żądając usunięcia się policji. Stało się to dopiero po długich rozmowach i przedstawieniach. Wtenczas już bez przeszkód dopłynęła przed magistrat dalsza ogromna fala publiczności, łamiąc jak burza trzymającą się jeszcze w oddali część policyjnych kordonów. Dziesiątki tysięcy ludzi zaległo plac Wszystkich Świętych, korytarze i dziedzińce magistratu, wznosząc bezustannie okrzyki przyjazne pod adresem Koła i jego niektórych członków, domagając się rozpoczęcia obrad. Posłowie konserwatywni, którzy wprowadzenie policji uważali nie

tylko za rzecz naturalną, ale nawet konieczną, złożyli przed rozpoczęciem obrad oświadczenie, w którym stwierdzili, że nie mogą brać odpowiedzialności za obrady ani ich wyniki, gdyż odbywają się one pod terrorem ulicznego motłochu. Na protest jednak nie zważano, lecz przystąpiono do obrad.

Przewodniczącym został wybrany poseł Łazarski, ówczesny prezes Koła polskiego, który przewodnictwo w nim objął po Bilińskim. Po otwarciu posiedzenia rozpoczęły się długie, ożywione, gorące, a czasem nawet gwałtowne obrady. Wypominano sobie stare i nowe grzechy, przeprowadzono wieloletni porachunek, niezawsze może potrzebny. Konserwatyści, jak można było od początku zauważyć, przyszedli na zebranie z planem obalenia uchwały z 16 maja. Kiedy się to okazało niemożliwe, dążyli przynajmniej do jej zmiany. Strona przeciwna, wiedząc o tym atakowała ich sposób nader dotkliwy i silny, przedstawiając jako wyraźnych szkodników narodu, lub też ludzi ślepych i niepoprawnych, którzy tak długo, a i teraz gotowi byli z niesłychaną szkodą dla kraju popierać politykę rządów zaborczych, niepomni odpowiedzialności i następstw, jakie ciążyły na każdym Polaku w tak ważnej dla narodu chwili.

Obrona, jaką konserwatyści prowadzili była bardzo słaba, budząc zdziwienie i odrazę przez użycie w niej niektórych co najmniej niewłaściwych, jeżeli nie śmiesznych i kompromitujących argumentów. Toteż ich opozycja została bardzo szybko zarówno moralnie jak i fizycznie zdruzgotana. Widziało się to nie tylko z tonu przemówień, ale i z tego, że kilku z nich, co poprzednio oświadczyli się przeciw rezolucji Koła, oświadczenie to cofnęli. W miarę postępu obrad zwiększało się u nich zdenerwowanie i zamieszanie.

Z ramienia Stronnictwa Ludowego, oprócz mnie, przemawiali po kolei posłowie Bojko i Tetmajer. Bojko swoim przemówieniem wywołał nawet u nas duże i przyjemne zdziwienie, rozprawiając się między innymi gruntownie z posłem Abrahamowiczem i biorąc przy tym, jak mówił, odwet za krzywdę i obelgę, jakie go spotkały w Sejmie galicyjskim ze strony posła konserwatywnego Jordana, który na Bojkę krzyknął „bydlę”. Tetmajer przemawiał z wielką powagą i przejęciem.

Po ukończeniu dyskusji rezolucja została poddana pod głosowanie. Mimo że nie było żadnych obaw co do jej losu, czekano na wynik z zapartym oddechem. Przyjęto ją wśród niewypowiedzianego entuzjazmu. Głosować przeciw niej odważyli się tylko poseł Dawid Abrahamowicz i ks. Andrzej Lubomirski z Przeworska, będący w tej chwili prezesem stronnictwa konserwatywnego. Jeżeli się można było dziwić Abrahamowiczowi, człowiekowi zrosniętemu

przez lata z Austrią, oddanemu całą duszą cesarzowi i dynastii, zamkniętemu w swoich zasadach i przekonaniach, to już w żaden sposób nie można było zrozumieć księcia Lubomirskiego, który bardzo często i z wielkim patosem deklamował publicznie o konieczności utworzenia zupełnie od nikogo niezależnego państwa polskiego i mianem zdrajcy piętnował tych, co myśleli inaczej. Widocznie więc co innego były u niego słowa, a co innego czyny. Późniejsze jego postępowanie, także nie zawsze chwalebne, musiało przekonać, że owa dwulicowość i rzucane frazesy miały tylko zakryć właściwe oblicze i dążności kalkulującego po kupiecku księcia-pana. To się również okazało przy rozmowach na temat utrzymania w rękach polskich ziemi i związanej z tym reformy rolnej. Jakimś dziwnym trafem znalazł się on w Dojlidach, kupując za bezcen ten olbrzymi majątek rzekomo w interesie narodowym, nie ponosząc żadnej odpowiedzialności, a biorąc korzyści. On też jest i obecnie wzorem sanacyjnego obywatela Polaka, choć nie tak dawno temu jak Polski nie chciał widzieć. Znać, że szczęście chodzi po niektórych ludziach. O tym szczęściu jego można będzie powiedzieć to samo, co dawniej o innych Lubomirskich mówiono. Widocznie poseł Skarbek, wydając bardzo ostry sąd o księciu Andrzeju, nie mylił się. No ale spodziewać się należy, że dzban wodę nosi tylko do czasu.

Poseł Tetmajer

Poseł Włodzimierz Tetmajer swój wielki, a może największy dzień w życiu, przeżywał w wielkim, podniosłym skupieniu. Nie widać było u niego ani śladu zwyczajnej nerwowości ani podrażnienia, nawet w czasie najbardziej zaciętej i często nazbyt ostrej dyskusji. Czuł się kapłanem przy tym wielkim narodowym obrzędzie. Niewiele nawet zwracał uwagi, kiedy często z tłumów padało jego imię i kiedy w niebogłosey krzyczano: „Niech żyje!”. Mówił spokojnie i uroczyście, wstrzymując się od ostrzejszych wyrazów. Tak było do końca obrad. Po nich się zmienił. Wieczorem zaprosił mnie, Bojkę i Długosza, by się przejść po Krakowie dla wybadania, co mówi przeciętny szary obywatel. Obeszliśmy wokoło planty, ulicę Sławkowską, Floriańską i kilka innych. Ludzie wszędzie stali grupkami, prowadząc żywe dyskusje przeważnie na tematy z dniem dzisiejszym związane, stawiając sobie pytanie, co też rząd austriacki zrobi. Nazwisko Tetmajera wymawiano z wielkim szacunkiem, a gdzie go poznano odzywały się głośne i przyjazne okrzyki na jego cześć. Radość i zadowolenie było u wszystkich widoczne. Wiele grup manifestowało też na cześć Narodowej Demokracji, zwłaszcza posłów Głabińskiego i Skarbka. Wiel-

ka gromada zebrana koło Sukiennic wiwatowała na cześć socjalistów i posła Daszyńskiego. Bardzo często słychać było okrzyki przeciw konserwatystom i polskim demokratom.

Po długim spacerze weszliśmy nareszcie do Hawełki, gdzie zmęczony i głodny Tetmajer chciał się trochę posilić i odpocząć. To mu się jednak nie udało, gdyż zaraz od drzwi złapali go jacyś podochoceni panowie, podnosząc w górę i trzęsąc nim bez opamiętania. Z trudnością udało nam się wyrwać go z ich rąk i pójść do innego lokalu, gdzie już nie było takiego entuzjazmu. Tam spokojnie mógł mówić Tetmajer o wielkim i szczęśliwym dniu, snując jak zawsze niedościgłe plany. Tak mi się zdawało, a jednak stało się inaczej. Niewielu dano przyszłość przewidywać!

Na drugi dzień odbyło się już tylko uroczystsze i manifestacyjne posiedzenie Koła sejmowego. Tłumy ludności, gdy się dowiedziały o zapadłych uchwałach, szalały z radości, wznosząc okrzyki na cześć zjednoczonej Polski, Koła polskiego, twórców rezolucji, w pierwszym rządzie posła Tetmajera i różnych innych bardziej znanych posłów. Tłum niewstrzymywany już przez nikogo udał się w pochodzie spod magistratu także pod redakcję *Piasta*, manifestując na cześć Stronnictwa Ludowego i śpiewając: „Nie rzucim ziemi”.

Z okna lokalu redakcyjnego przemówił poseł Bojko, a na żądanie zebranych także i ja. Przemówienia nasze przerywali manifestanci burzliwymi okrzykami i oklaskami. Ludzie zapomnieli sobie wszelkich uraz i przeciwieństw, upojeni szczęściem tak wielkim, jak i niespodziewanym. W redakcji widziałem jak w czasie przemówienia Bojki starzy ludzie z radości i wzruszenia płakali na głos. Była to znowu wielka i dziwna chwila, ale tylko chwila. Pamiętam jednego z uczestników tej manifestacji, którzy gorącymi łzami oblewał moją rękę, ale i tego nie mogę zapomnieć, że ten sam człowiek za jakiś czas zrobił na mnie obrzydliwe i oszczercze doniesienie.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że ten przez dwa dni po ulicy chodzący i konserwatystów napadający tłum był rzeczywiście tłumem niezwykłym. Stanowili go bowiem profesorowie Uniwersytetu krakowskiego, profesorowie i nauczyciele wszystkich szkół, urzędnicy, sędziowie, lekarze, słowem cała inteligencja, mieszczaństwo, robotnicy i duża ilość włościan z okolicy, którzy się o obradach dowiedzieli.

Chłopi krakowscy

Wieczorem, na drugi dzień, chłopi krakowscy podejmowali

posła Tetmajera, zadowoleni z tego, co się stało, dumni ze swego wybrańca. Widziałem pomiędzy nimi Franciszka Ptaka, Jana Jarzynę, „tate” Bogackiego, b. posła Serczyka, Czepca z Bronowic, „radcę” Zberusa i jeszcze kilku innych. Mimo woli przypomnieli mi się galówki i uroczystości, w których wybitniejsi z chłopów zawsze brali udział, występując tak samo świątecznie i z twarzami tak samo uradowanymi. Różnica i to wielka była w tym, że na wszystkich austriackich galówkach przyjmowano ich za cesarskie pieniądze, a teraz sami byli gospodarzami. Krótko mówiąc, chłopci krakowscy nie należeli do najlepszych. Nic jednak dziwnego. Stale ich demoralizowano, używając do ozdoby i dekoracyjnych wystąpień, co sobie za wielki zaszczyt uważali.

Nie grzeszyli też wielką odwagą, a i w ten dzień nie czuli się zbyt pewni. Kiedy ktoś przyniósł nieprawdopodobną wiadomość, że policja będzie aresztować uczestników manifestacji, zaraz sobie przypomnieli różne pilne sprawy i zaczęli chyłkiem po jednym wychodzić. Wnet się okazało, że wiadomość była zmyślona, a przyniósł ją niewczesny figlarz poseł Myjak, chcąc nią przerazić swojego sąsiada i kolegę posła Śmiłowskiego. To mu się udało, gdyż Śmiłowski przypomniał sobie, że ma ostatni pociąg do Limanowej i zaczął się z nami gorączkowo żegnać. Kiedy mu wytłumaczono, że aresztowanie w drodze, lub w Limanowej może mieć jeszcze gorsze następstwa i że już lepiej razem żyć w niedoli, odłożył kapotę i został.

Poseł Franciszek Ptak, który przez cały czas pozostawał czu-purny, zbliżył się do mnie w pewnej chwili z pytaniem: „Co ty, Wicek, myślisz, czy jak ta Polska powstanie, będzie chłopom choć odrobinę lepiej, bo ja myślę tak, że przyjdą z nią szlacheckie rządy i nowa pańszczyzna”. „Skąd ci znowu do głowy takie myśli przychodzą?” — zapytałem. „Ja znam dobrze naszych panów — odrzekł — oni nauczeni żyć cudzą pracą i hulać, a teraz będą jeszcze gorsi, bo mają mniej, a chcieliby używać do końca”.

Próbowałem go przekonać, że w tych czasach to już niemożliwe, gdyż chłopci stanowią ogromną przewagę, a muszą mieć równe prawa, ale to wiele nie pomogło, tak że każdy z nas pozostał przy swoim. Może się to lepiej udało posłowi Tetmajerowi, który na temat tej przyszłości wygłosił płomiennie przemówienie.

Po uchwałach

Wiadomość o uchwale Koła sejmowego z 28 maja rozeszła się naprawdę lotem błyskawicy, już nie tylko w całej Galicji,

docierając do każdego kąta, ale w całej Polsce, mimo wielu przeszkód. Dotarła ona też do Poznańskiego, które nawet przez polskich polityków zostało przeznaczone na zjedzenie. Wiadomości stamtąd, aczkolwiek zawsze jeszcze skąpe, stwierdzały, że rezolucja tetmajerowska nie tylko wywołała tam niesłychane wrażenie, ale zaczęła się stawać drogowskazem i przykazaniem dla całej tamtejszej dzielnicy. Rzecz oczywista, że w Królestwie przyjęto ją z wielkim entuzjazmem.

Bardzo dobrze została ona też przyjęta przez państwa koalicji, gdyż była dla nich wymownym dowodem, po czyjej stronie są sympatie i prawdziwe uczucia ludności polskiej, do czego naród polski dąży i jakimi zamiarł iść drogami. U rządu austriackiego wywołała uchwałę formalne przerażenie. Szeroko opowiadano, że rząd nie tylko czuł się nią bardzo dotknięty, ale także i zaskoczony, spodziewając się do końca, że do niej nie dojdzie. Tak go mieli informować niektórzy politycy konserwatywni, a także jakoby ministrowie Polacy. Tu się jednak rząd nie tylko pomylił, ale miał powód się pogniewać. Dało się to w niedługim czasie odczuć przy zachowaniu się jego tak względem Koła jak i ludności.

Dr Biliński osobiście mi opowiadał, że cesarz Karol, do którego się zwracano w rezolucji, był mocno z tego zwrotu niezadowolony. Miał temu dać wyraz w sposób dość gwałtowny, wylewając to niezadowolenie na jednego z ministrów. Niezadowolenie okazywali też niektórzy starostowie, przypominając Bogu ducha winnym przy odbudowie, zasiłkach, reklamacjach, odsyłając ich do tych, co robią w Krakowie rewolucję przeciw rządowi. Przypuszczać należy, że nie robili oni tego z własnego natchnienia. Na szczęście nie było ich zbyt wielu.

Na skutek natarczywych próśb chłopów tarnowskich, skarżących się na starostwo i kierownictwo odbudowy, poszedłem do starosty Reintera i do kierownika biura odbudowy, Vetulaniego. Starosta Reinter jak zawsze gładki, trochę z przekąsem gratulował mi krakowskiego sukcesu zaznaczając, że to jeszcze różnie będzie, bo losy wojny są zmienne, koalicja ma swoje kłopoty, a i mocarstwa centralne nie są od nich wolne. Najgorzej, bo rząd wstrzymał różne wypłaty nie mając pieniędzy, a tu ludność coraz więcej potrzebuje. Głębszy powód on upatruje jednak w tym, że przez krakowską uchwałę rząd się czuje niepewny, a przy tym widzi jaskrawy dowód niewdzięczności ze strony Koła polskiego, chociaż jego zdaniem ludność chce żyć w spokoju i w zgodzie z rządem, bo on jej jest na każdym kroku potrzebny. Po tym jego niedwuznacznym oświadczeniu powiedziałem p. radcy po co do niego przyszedłem, zaznaczając, że co innego są dążności wielkiego narodu, a co innego stosunek rządu do obywateli, którzy

spełniają dotąd sumiennie swoje obowiązki wobec państwa. To zaś zaostrzone postępowanie jest nie tylko krzywdzące, ale wywołuje coraz większe rozgoryczenie, które na interesach państwa może się bardzo dotkliwie odbić. Wysłuchał, odetchnął i nie odpowiedział mi nic.

Inżynier Vetulani, kierownik biura odbudowy, był z mojej wizyty bardzo uradowany, niepomiernie zaś więcej z krakowskiej uchwały. Stwierdził, że kredyty budowlane zostały rzeczywiście wstrzymane, przy zastosowaniu nowych trudności. Sądzi, że to wszystko potrafi pokonać. Świeżo powrócił z Krakowa i ma dane, że w niedługim czasie będzie mógł swoje przyrzeczenie co do chłopów spełnić. Uważa jednak, że interwencja Koła polskiego u rządu jest pilna i konieczna. Spodziewając się, że będę u niego, przygotował mi nawet potrzebny materiał. O staroście mówił niewiele uważając go za spryciarza, który na dwóch stołkach doskonale siedzi. On sobie jednak z nim dość dobrze daje radę.

Nikt się oczywiście z nas nie łudził, że uchwała Koła z 28 maja będzie mieć od razu realne i widoczne następstwa. Takich też nie miała, ale jednak stała się od razu stosem pacierzowym polskiej polityki i osiłą, koło której zaczęło się prawie wszystko obracać. Zaczęto ją też uważać za ewangelię polityczną narodu, wypływającą z jego najgłębszych uczuć. Ona też jeśli nie zamykała, to bardzo ścieśniała niezawsze pozytywne i pożądane spory, ześrodkowała myśli i nadała kierunek wyraźny, ona wskazywała drogę, o którą się długo i daremnie pytała znaczna część społeczeństwa. Uchwała ta nie była żadnym bohaterskim czynem, lecz rzeczą całkiem naturalną, gdyż naród, który w czasie tak wielkich wydarzeń jak wojna światowa i przewroty przez nią przyniesione, nie zdobyłby się na czyn podobny, musiałby być przez wszystkich potępiony, uznany za martwy albo też nikczemny.

Konieczne też w tym okresie było słowo i czyn, które by z siłą grzmotu dowiodły, że jesteśmy, żyjemy, czuwamy zawsze, a szczególnie w tej chwili, kiedy losy nasze mają się może na długo rozstrzygnąć. I właśnie w tym czasie, gdy wielu milczało, powodując się strachem, albo małymi rachubami, podniósł się silny i miarodajny głos z tej strony, z której się go najmniej spodziewano.

W rocznicę zgonu nieśmiertelnego bohatera spod Raławic — Tadeusza Kościuszki — zwołałem posiedzenie klubu poselskiego, poświęcone jedynie tej sprawie. Na tym posiedzeniu postanowiliśmy przeprowadzić na wsi propagandę między chłopami polskimi, przypominając im wielkie cele Naczelnika w sukmanie i wzywając do odbicia masowych zebrań pod wielkimi hasłami: Całość,

Wolność, Niepodległość! Była to z naszej strony ryzykowna próba, bo nuż chłopci się nie ruszą, a wtenczas nie tylko blamaż polityczny, ale i szkoda olbrzymia. Nie brakło przy tym przeciwnieństw i przeciwników, którzy chłopów straszili i usiłowali odwieść. Nic to wszystko nie pomogło, chłopci nadspodziewanie wszędzie dopisali. Manifestacje owe były tym bardziej potrzebne, że po przebrzmieniu pierwszego entuzjazmu, zaczęto tu i ówdzie wartość i znaczenie uchwały majowej wszelkimi sposobami obniżać, a nawet ośmieszać, przedstawiając ją jako wynik fantazji niedojrzałych ludzi. Robili to szczególnie ci, co się jeszcze grupowali dokoła niedobitków N.K.N., a zbawienie Polski znów dojrzeli w zwycięstwie Niemców, bo w Austrię już oni nawet przestali wierzyć. Robotę podobną prowadzili także niektórzy urzędnicy z dużą zaciętością, szczególnie dotyczyło to starszych, w żadne zmiany nie wierzących.

Osobną gromadkę stanowili ludzie, uważający dla siebie za punkt honoru, a dla Polski za szczęście największe pozostanie na zawsze z Austrią, a nawet w Austrii. Nie można wielu z nich pośądzać o jakieś knowania czy osobiste interesy, oni sądzili, że tak byłoby najlepiej. Oto fakt następujący:

Na jednej z bardzo poważnych konferencji, w której uczestniczyłem, po jakiejś poważniejszej kłęsce przez armię austriacką poniesionej, duchowy przywódca konserwatystów i właściwy kierownik N.K.N., Leopold Jaworski, profesor Uniwersytetu, człowiek bezsprzecznie bardzo mądry, a zapewne i trzeźwo myślący, wyraźnie i bez zająknięcia oświadczył, że on musiałby zwątpić w taką Polskę, która z państwem austriackim nie byłaby w ścisłym związku. Cóż mówić o innych, którzy niczym prof. Jaworskiemu nie dorównywali. Jego oświadczenie słyszało nas kilku. Kiedy nie chcąc wywoływać polemiki, uśmiechnąłem się ironicznie, prof. Jaworski widocznie podrażniony odezwał się do mnie: „Panie Witos, pan się jeszcze o tym za swego życia przekona”.

W Parlamencie

Było to rzeczą naturalną, by rezolucję tetmajerowską obwieścić światu z trybuny parlamentarnej. Z tą sprawą w Kole polskim było nieco kłopotów, bo intryga jeszcze robiła swoje. Jeśli nie można już było uniknąć rzeczy samej, to chciało się ją przynajmniej podać w sposób jak najmniej dla rządu nieprzyjemny. Nareszcie i tu wyjście znalezione. Na mówcę w tej sprawie wyznaczono niedawno wybranego prezesa Łazarskiego. Wiedziano, że on sprawę przedstawi odpowiednio, ale nie wniesie potrzebnego entu-

zjazdu. Toteż wybór ten był wynikiem kompromisu. Kiedy prezydent parlamentu udzielił głosu prezesowi Łazarskiemu, uwaga całej Izby skupiła się na nim. Mówił z całym przejęciem i szczerością, ale mając głos słaby i gubiąc się w nagromadzonych szczegółach, nie zdołał istoty sprawy oddać w sposób, na jaki ona zasługiwała. Mimo tych braków, mowa jego zrobiła wielkie wrażenie, a wszyscy członkowie Koła składali mu manifestacyjne gratulacje. To samo uczynili posłowie innych słowiańskich narodów. Niemieccy posłowie stali bezradnie, zdziwieni i przerażeni.

W tej sprawie przemawiał też w parlamencie poseł Daszyński, używając bardzo silnych akcentów. Mowa jego przyniosła przykrą niespodziankę, bo dostęp do morza dla powstać mającego państwa polskiego ograniczył do skanalizowanej Wisły, wpadającej do Bałtyku pod Gdańskiem. Opowiadano sobie w Kole, jakoby poseł Daszyński owego szkodliwego zwrotu użył na życzenie austriackiego ministra spraw zagranicznych, hr. Czernina. Miała to być koncesja dla Niemców, by ich zbyt nie drażnić. Daszyński uważał to swoje wystąpienie za jeden z największych swoich politycznych błędów.

Moje przemówienie

Wszyscy koledzy posłowie domagali się ode mnie, żebym koniecznie wystąpił z przemówieniem w parlamencie. Opierałem się, nie mogąc sobie dać rady z językiem niemieckim. Bez mojej wyraźnej zgody zapisano mnie do głosu, a ponieważ nie wypadało mi się wycofywać i sam czułem potrzebę wystąpienia, zgodziłem się. Dnia 16 czerwca 1917 r. zabrałem głos w parlamencie austriackim po raz pierwszy, a równocześnie po raz ostatni. Nie władając dostatecznie językiem niemieckim, wygłosiłem całe przemówienie po polsku. W przemówieniu tym starałem się zesumować i przedstawić wszystkie krzywdy wyrządzone ludowi polskiemu tak przez władze cywilne, jak i wojskowe austriackie i niemieckie. Napiętnowałem barbarzyńskie nieraz postępowanie władz wojskowych, które od początku wojny, jak i po ofensywie gorlickiej traciły tysiącami niewinnych ludzi. Podkreśliłem także nasze stanowisko narodowe, powołując się na historię, tradycję i przeszłość polskiego narodu. Pomiędzy innymi zaznaczyłem:

„Żałuję bardzo mocno, że nie władając językiem niemieckim nie będę mógł być zrozumiany przez całą Wysoką Izbę. Krzywdy, które znosi polski naród od początku wojny światowej aż do tej pory wołają o pomstę do nieba. Daliśmy wszystko, czego mogło żądać państwo, a więc zdrowie, mienie, często i życie. Żołnierz polski okazał się najbardziej wierny, najbardziej ofiarny.

Posługiwano się też nim, wysuwając go na najbardziej niebezpieczne i zagrożone posterunki. Wielkie usługi oddała państwu także ludność cywilna. Robiliśmy wszystko bez szemrania, z tą wiarą i przekonaniem, że ofiary nasze zostaną uznane, intencje dobrze zrozumiane. Zawiedliśmy się jednak srodze. Tak władze cywilne jak i wojskowe zachowują się w stosunku do ludności polskiej w sposób wprost okrutny, często gorzej niż w kraju nieprzyjacielskim. Nie tylko że zabrały one niemal wszystkich mężczyzn do służby wojskowej, że zniszczyły kraj wiecznie trwającymi bezwzględnyymi rekwizycjami, ale rzuciły jeszcze zupełnie rozmyślnie na polskie społeczeństwo potwarz, jakoby ono współdziałało z wrogiem. Oszczerstwo to rzucono po to, żeby usprawiedliwić zbrodnie już popełnione i znaleźć pretekst do nowych. Toteż zmuszony, a jednocześnie uprawniony jestem stwierdzić z tej trybuny publicznie, że naród polski dąży do wolności i odzyskania pełnej samodzielności, bo to jest jego przyrodzone prawo, ale równocześnie sumienie spełnia obowiązki wynikające z jego obecnego położenia. Tymczasem, jak się dalej zachowują władze?

„Wielu posiwiatych obywateli państwa, znanych z zasług i nawet przesadnej lojalności, wrzucono do więzień, męcząc ich moralnie i fizycznie po to, by im żadnej winy nie udowodnić. Niejeden z nich należy już do umarłych, bo go drogą niesprawiedliwego wyroku na drugi świat wprawiono. Grozę położenia powiększyło jeszcze przybycie wojsk niemieckich, które z butą opisały się nie dającą wejść do naszego kraju, znacząc niezwykle krwawo swoją długą drogę. Szubienice Brzeska, Tarnowa, Rzeszowa i wielu innych miast i wsi, trupy pomordowanych są tego żywym i strasznym dowodem. Na własne oczy widziałem wyrok śmierci ogłoszony przez sąd wojenny w Brzesku na włościaninie ze Skrzydlnej, którego osądzono i stracono za to, że zapytany przez Moskali, gdzie odeszły wojska austriackie, machnął ręką, jak im się zdawało w stronę tych wojsk. Za ciężkie ofiary, zapał i poświęcenie dano polskiemu narodowi w nagrodę poniżenie i szubienicę. Toteż dzisiaj uczucia poniewieranej ludności zupełnie się zmieniły. Teraz i lud polski cały rozumiał, że tylko we własnym wolnym państwie może żyć i może się rozwijać. Naród polski, który ma za sobą przeszło tysiącletnią chwalebą przeszłość i kulturę, na którym przed półtora wieku dokonano zbrodni rozbioru, nigdy nie tylko nie wyrzekł się dążenia do spełnienia swoich ideałów, ale dowodził tego czynem. Dowodem są liczne powstania, które choć we krwi utopiono, nie zdołano zabić ducha narodu, przez nie budzonego. Krew bohaterów zrodziła bujne owoce, a zwłaszcza uświadomienie narodowe szerokich mas ludności. I gdy dawniej rzucała się do walki o wolność tylko garstka szlachetnej młodzieży, to dziś jak długa i szeroka jest ziemia polska jest jedna myśl, jedno pragnienie, wolnej, niepodległej, zjednoczonej Ojczyzny. Wiekopomna uchwała Koła polskiego z 16 maja i Koła sejmowego z 28 maja nie była wcale wynikiem jakichś wybujałych fantazji, lecz wypłynęła z duszy i serca całego polskiego narodu, który ją podyktował i uważa ją za swoją nienaruszoną własność”.

W kilka dni później przemówił również twórca rezolucji mąjowej, poseł Tetmajer, przedstawiając w sposób niezwykle wyraźny i dosadny dążenie narodu polskiego i wykazując obłudę i złą wolę austriackiego rządu, który nie potrafił zrozumieć nie tylko nas, ale nawet swoich interesów. Zrobiliśmy więc, co było w naszej mocy, żeby publicznie przedstawić światu wolę polskiego narodu, uważając to nie tylko za nakaz chwili, ale i potrzebę serca.

Szczególnie poseł Tetmajer w swoje przemówienie włożył bardzo dużo sentymentu przypominając zbrodnię rozbiorów i hańbiącą naród niewolę. Stąd też jego przemówienie było miejscami silnie oklaskiwane przez większą część Izby. A nawet szowiniści niemieccy, tak skorzy do krzyków i awantur, zachowali się całkiem spokojnie.

Rząd i konserwatyści

Rząd austriacki, doceniając znaczenia i powagi uchwał krakowskich z dn. 28 maja, nie zaprzestawał starań, ażeby je nie tylko osłabić, ale gdyby się dało, zupełnie pogrzebać. Zaczęły się więc naciski, zabiegi, pogrożki. Pod wpływem rządu stchórzyli pierwsi konserwatyści, oświadczając zaraz niemal po dokonanej uchwale sferom miarodajnym w Wiedniu, że na posiedzeniu Koła głosowali za rezolucją Tetmajera jedynie pod presją ulicy i w obawie o swoje życie. Gdy się zebrał parlament, lawirowali i intrygowali w Kole, żeby jego przedstawiciel nie mógł w parlamencie należycie sprawy przedstawić. Kiedy to nie pomogło, nie dając jeszcze za wygraną, akcję swoją przenieśli do Izby Panów, w której zasiadali prawie sami konserwatyści. Tam się też nikt z nich nie zdobył na postawienie jej takie, jakiego wymagał interes narodu i powaga położenia. Nie ustawali w urabianiu opinii w kraju, choć wiedzieli, że ich robota budzi tylko przykry niesmak, nie dając żadnych rezultatów. Miała ona jednak swoje dobre strony. Ludzie bowiem zrozumieli, że sprawa ta wcale nie jest sielanką, że trzeba będzie nią się na serio zająć i jej bronić. Kampania owa przyczyniła się do tego, że już w pierwszych dniach lipca, a więc kilka tygodni po krakowskiej uchwale, zaczęły się konsolidować wszystkie żywioły stojące wyraźnie i uczciwie na gruncie tej uchwały, mając na celu nie tylko jej obronę, ale ujednoczenie postępowania możliwie wszystkich organizacji politycznych, zdążających do tak wielkiego celu, jakim było odzyskanie niepodległości, wiedząc dobrze od kogo można się jej spodziewać.

Idąc tą drogą Polskie Stronictwo Ludowe, Narodowa Demokracja i Zjednoczenie Narodowe porozumiały się, a wzorem Królestwa utworzyły Związek Międzypartyjny na gruncie zaboru austriackiego. Aczkolwiek Zjednoczenie nie było formalną organizacją polityczną, ani nie posiadało poparcia dołów, miało bardzo wielu ludzi wybitnych, profesorów Uniwersytetu, pierwsze powagi w Polsce z rozmaitych dziedzin. Razem więc stanowiliśmy siłę poważną. Związek postawił sobie za pierwsze i niemal wyłączne zadanie dążenie wszelkimi siłami i środkami do utworzenia

wolnej, niepodległej Polski, bez związku z kimkolwiek, złożonej ze wszystkich ziem polskich z dostępem do morza. W tym celu miał działać wspólnie i zgodnie nie tylko na gruncie Koła polskiego i parlamentu, ale także wśród społeczeństwa w mieście i na wsi. Wytknięte zadanie starano się jak najsumienniejszym wypełniać, o ile na to ciężkie ówczesne stosunki mogły pozwolić.

Gwałty

Sprawą, która nie tylko zaalarmowała całe polskie społeczeństwo, ale je bardzo boleśnie dotknęła, było wysłanie przez Niemców legionistów, którzy odmówili złożenia przysięgi według formy im podyktowanej, do obozów koncentracyjnych, a szeregu legionistów nawet do fortec niemieckich. Nie był to może odruch tak potężny, na jaki ta sprawa zasługiwała, gdyż sympatie do legionistów już znacznie zmalały, jednak przyniósł duże wstrząśnienie, które się przejawiało we wszystkich zakątkach kraju, łącząc ze sobą ludzi nawet o skrajnie sprzecznych poglądach. Sprawą tą zajął się klub naszych posłów na posiedzeniu 29 lipca 1917 w Krakowie. W tym samym dniu odbyło się także posiedzenie Związku Międzypartyjnego, na którym uchwalono wydać poniższe oświadczenie:

„W pełnym zrozumieniu pobudek, które skłoniły ogromną większość pełniących w Legionach ochotniczą służbę wojskową do odmówienia złożenia przysięgi, Związek Międzypartyjny protestuje przeciwko stanowisku, jakie w sprawie przysięgi zajęły władze okupacyjne i czynniki polskie, zgromadzone przy Tymczasowej Radzie Stanu, jak również przeciw wszelkim zarządzeniom z tego powodu represjom, internowaniu, zwalnianiu ze służby, wywożeniu do fortec niemieckich itd., jako zupełnie samowolnym i bezprawnym, jak również w ogóle przeciwko nieuprawnionym wpływom miejscowych władz okupacyjnych na życie polityczne polskiego społeczeństwa. Uznając rotę przysięgi za niewłaściwą, zaś chwilę składania przysięgi za źle wybraną, a stojąc bez zastrzeżeń na gruncie uchwały z 28 maja 1917 r. Związek Międzypartyjny nie może zgodnie z politycznym Kołem Międzypartyjnym w Warszawie uznać tymczasowej Rady Stanu za reprezentację Narodu Polskiego, lecz stwierdza, że Tymczasowa Rada Stanu jest przedstawicielką drobnego odłamu opinii polskiej w Królestwie. Związek Międzypartyjny wyraża nadzieję, że Kołu polskiemu uda się uzyskać uwolnienie uwięzionych legionistów i pozostawienie im możliwości wolnej decyzji o swoim losie, stwierdza przy tym, że zaszłe obecnie wydarzenia są nowym ogniwem łańcucha niesprawiedliwości, popełnianych na ludności polskiej w obecnej wojnie”.

Okazało się niezadługo, że uchwały majowej trzeba było naprawdę bronić wszelkimi siłami. Z końcem sierpnia zaczęli konserwatyści krakowscy i idący zwykle za nimi demokraci polscy zno-

wu zaciekle agitować za utrzymaniem N.K.N., który sam rozumiał, że dalej nie może istnieć i przed kilku miesiącami uznał konieczność rozwiązania się. Agitacja za utrzymaniem N.K.N. nie mogła wydać rezultatów i nie wydała ich. Mimo to konserwatyści pragnęli utrzymać tę instytucję nie dlatego, jakoby im o nią specjalnie chodziło, lecz że utrzymanie byłoby dla rządu wiedeńskiego oczywistym dowodem przekreślenia przez naród rezolucji majowej. Rachuba była dość sprytna, bo rzeczywiście gdyby naród utrzymał N.K.N. dalej, to przez to samo byłby osłabił dążenia swoje do państwa samodzielnego i niepodległego.

Sytuacja była tak napięta, że okazała się konieczność zwołania znowu Koła sejmowego dla ostatecznego rozstrzygnięcia. Zwołano je też na 2 września 1917 r. Posiedzenie to dla jego przebiegu, a szczególnie powzięte postanowienie miały dla sprawy, ale i dla demokracji polskiej, znaczenie historyczne. Na nim bowiem dokonał się gruntowny porachunek przedstawiceli mas ludowych z kliką konserwatywną, której działalność wobec narodu w dniu tym w całej nagości się ujawniła i została też w należyty sposób oświetlona i napiętnowana.

Już przed oznaczoną godziną w ratuszu krakowskim zebrał się bardzo licznie posłowie sejmowi i parlamentarni oraz członkowie Izby Panów. Z księży biskupów nie przybył żaden. Konserwatyści zmobilizowali wszystkie swoje siły. O godzinie 12 w południe posiedzenie Koła utworzył sędziwy prezes dr Łazarski krótkim wstępnym przemówieniem, po czym udzielił głosu kierownikowi N.K.N., prof. Leopoldowi Jaworskiemu, celem sprawozdania z działalności tej instytucji. Zanim on mógł zabrać głos, zażądałem głosu w sprawie formalnej. Od razu wybuchła burza, gdyż konserwatyści sprzeciwili się udzieleniu mi w tym miejscu głosu. Trwało to niedługo, gdyż prezes Łazarski głosu mi udzielił. Postawiłem wniosek następującej treści:

„Stwierdzając, że N.K.N., który wedle uchwały z 16 sierpnia 1914 r. miał się składać z przedstawiceli wszystkich stronnictw politycznych, nie może istnieć wobec tego, że szereg stronnictw już do niego nie należy i w przyszłości też należeć nie chce, Koło Sejmowe powierza Prezydium Koła polskiego ustanowienie Komisji likwidacyjnej dla sprawy N.K.N.”.

Następnie przemówiłem w te słowa:

„Połączyło nas wszystkich w tej chwili doniosłej i dziejowej głębokie przekonanie, że zjednoczenie wszystkich stronnictw polskich w czasie toczącej się wojny światowej jest niezbędnie potrzebne i konieczne. Ażeby tę myśl zjednoczenia narodu w czyn wprowadzić, na wezwanie Koła polskiego zjednoczyły się także dotychczasowe odrębne organizacje, a to Centralny Komitet Narodowy i Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, oraz te grupy, które do żadnej z tych organizacji nie należały, tworząc wspól-

nie N.K.N. i uznając ten Komitet jako najwyższą instancję w zakresie wojskowej, skarbowej i politycznej organizacji polskich sił zbrojnych. Wobec tego, N.K.N. dziś tego zespołu już nie reprezentuje, stawiam formalny wniosek: Koło Sejmowe przystępuje bez dyskusji do głosowania”.

Hr. Zamoyski krzyknął: „Wniosek jest nieformalny, p. Witos nie powinien być dostać głosu ani przemawiać”.

Wobec tego co zaszło, będąc jeszcze przy głosie, zwróciłem się w jego stronę i oświadczyłem:

„Przemawiam imieniem tych, co mają więcej głosu od pana hrabiego. Żądam też nieotwierania dyskusji, nie dlatego byśmy się jej obawiali, lub mieli przed nią obawę nasi przyjaciele, lecz dlatego, że jeżeli przystąpimy do dyskusji, do rozdrapywania tej rany, jaka się utworzyła na naszym ciele, to na pewno nie zbliżymy się do celu, jaki nam przyświeca, a dyskusja może mieć następstwa wprost nieobliczalne”.

Powstała znowu burza. Konserwatyści pod przewodnictwem Abrahamowicza i Bobrzyńskiego sprzeciwili się kategorycznie mojemu wnioskowi jako nieformalnemu. Poseł socjalistyczny Daszyński twierdził na odwrót, że wniosek jest zupełnie formalny i że za uznanie go za taki i przyjęcie może kiedyś potomność będzie wdzięczna Kołu sejmowemu.

Następnie zabrał głos członek klubu konserwatywnego, poseł Cezary Haller. Był on człowiekiem uczciwym, nieposzlakowanym patriotą, co udowodnił bohaterską śmiercią na polu walki z Czechami o Śląsk, którzy chcieli Czesi po upadku Austrii zagarnąć dla siebie. Dał się jednak od razu unieść temperamentowi, wpadając w ton napastliwy i gwałtowny, co w podniesionej atmosferze wywołało dużą awanturę. Ponadto posłowie narodowodemokratyczni wystąpili przeciw członkom Izby Panów, starając się wykazać, że oni nie mają prawa głosowania, ponieważ swoim postępowaniem stwierdzili, że nie uznają solidarności Koła, przekreślając uchwałę z 28 maja zupełnie samowolnie. W tym samym duchu przemawiali przedstawiciele innych stronnictw, jak Moraczewski, Stapiński i inni. Oliwy do ognia dolało przemówienie ks. Okonia, który w zwykły sobie sposób namiętny i brutalny wystąpił przeciw konserwatystom i demokratom polskim. Przemówienie to gwałtowne i demagogiczne, a często i prowokacyjne, wyprowadziło z równowagi nawet najspokojniejszych konserwatystów tak, że na sali powstała głośna i długa awantura. Jedynym wyjściem było odroczenie posiedzenia i poruczenie klubom rozpatrzenia zgłoszonych wniosków, czy deklaracji. Tak się też stało, a podczas ich odczytywania panował względny spokój.

Dopiero deklaracja klubu konserwatywnego, przedłożona przez hr. Dzdzisława Tarnowskiego wywołała takie rozdrażnienie,

że w rezultacie doprowadziła do rozbicia Koła sejmowego. Rezolucja ta brzmiała:

„Na posiedzeniu Koła sejmowego 28 maja 1917 r. konserwatyści mieli poważne wątpliwości co do wniosku, który stał się uchwałą. Ostatecznie mieli jednak odstąpić od zapowiedzianej poprawki, wychodząc z założenia, że ów wniosek rozumieć należy jako wyraz zgodnych uczuć i aspiracji społeczeństwa polskiego i że przyjęcie tego wniosku nie będzie użyte do burzenia tego, co obecnymi warunkami jest podyktowane. W przypuszczeniu tym doznali zawodu. Uchwały powziętej 28 maja w Krakowie niektóre stronnictwa użyły zaraz i używają dalej na to, żeby w Królestwie wywrócić Radę Stanu i nie dopuścić do utworzenia rządu polskiego i wojska, w Galicji zaś posługują się nią, żeby zerwać z polityką, której się Polacy od pół wieku z dobrym skutkiem trzymali i na której lepszą przyszłość Ojczyzny starali się budować. Wobec niebezpieczeństwa, jakim to zagroziło sprawie narodowej zarówno w Królestwie jak i w Galicji, konserwatyści nie mogą się zgodzić na to, by uchwały z 28 maja używać na burzenie, względnie tamowanie tego, co w danych warunkach obecnie da się osiągnąć, a uważają za obowiązek patriotyczny powstanie rządu polskiego i wojska, w Austrii utrzymać zaś politykę, która popierając szczerze państwo, jest dziś rękojmnią jedności politycznej w Galicji, polskiego stanu posiadania na jej obszarze i wpływu polskiego w monarchii. Tylko taka polityka, wzmagająca i organizująca żywioł polski w obu dzielnicach, może zapewnić głos przy rozstrzygnięciu dziejowych wypadków i lepsze rozwiązanie sprawy polskiej, jakie by się okazało możliwe, tylko ułatwić”.

Gdy Tarnowski doszedł w czytaniu do ustępu, w którym wystąpił przeciw uchwale Koła sejmowego z 28 maja, posłowie którzy dotąd słuchali go w zupełnym spokoju, zerwali się i zaczęli gwałtownie protestować. Rozległy się okrzyki: „Denuncjanci. Targowiczanie! Zdrajcy narodowi! Wieszacie!” Burza, jakiej jeszcze nie widziano podczas obrad Koła sejmowego nigdy, rozpetała się i trwała długo potem, gdy hr. Tarnowski skończył.

Kiedy się nareszcie uspokoiło, zażądałem głosu i imieniem Koła Międzypartyjnego złożyłem następujące oświadczenie:

„Nie mieliśmy zamiaru godzić się na to, aby jakaś komisja szukała kompromisu w sprawie N.K.N., gdyż kompromis żaden co do tego ciała, prawnie już nie istniejącego, nie jest możliwy. Teraz jednak po oświadczeniu, złożonym przez hr. Tarnowskiego, sprawa naszych dalszych obrad weszła na nowe tory. Hr. Tarnowski usiłuje wbrew ustalonemu porządkowi dziennemu wprowadzić w obrady obalenie uchwały z 28 maja. Wiedzieliśmy dawno, że stronnictwo konserwatywne nieraz nie waha się wejść w rozbrat z narodem, nie sądziliśmy jednak, by mogło się ono posunąć do obecnego odstępstwa, graniczącego z zaprzęstwem. Patrzeliśmy z ubolewaniem, albo raczej ze wzburzeniem na stanowisko tego stronnictwa w czasie uchwalania rezolucji 28 maja, wysnutej z głębi serca i interesu narodowego. Mieliśmy jednak jeszcze wiarę, że panowie ci nie znajdą tyle bezczelnej odwagi, by narodowi rzucić w twarz obelgę, usiłując tu teraz podstępna intrygą obalić tę uchwałę i posuwając się nawet do jawnej denuncjacji. Uchwała z 28 maja jest dziś własnością całego narodu i cały naród przy niej stoi. Ja zaś w ogóle nie wiem, czym imieniem hr. Tarnowski złożył to oświadczenie...”. Hr. Tar-

nowski przerwał mi okrzykiem: "Imieniem wszystkich konserwatystów". „To i tak nie jest dużo — odpowiedziałem — gdyby nawet wszyscy ci konserwatysty z całej Galicji tu przybyli, na tej sali pomieściliby się z pewnością. Nie wiem także, z jakiego natchnienia wypłynęło to oświadczenie...". Hr. Tarnowski odrzekł: „Z interesu narodowego”. „Niestety okazuje się, że interes narodowy dla was to wasz interes. A teraz nie waham się powiedzieć, że to natchnienie to obca robota. I my wiemy, skąd ona pochodzi. Potem co zaszło pomiędzy wami a nami jest rozbrat, którego nie usunąć nie może. W obradach Koła sejmowego razem z wami udziału nie weźmiemy. Nasze drogi już się rozeszły”.

P. Bobrzyński, który stał naprzeciw mnie rzucił ostrym tonem: „Tak jest”. Z kół naszych posłów rozległy się pod adresem konserwatystów okrzyki: „Nie znamy was więcej. Pogadamy z wami kiedy indziej. Kończycie się sromotnie”.

Następnie przedstawiciele wszystkich stronnictw wystąpili z deklaracjami i wszyscy się zwrócili przeciw oświadczeniu konserwatystów. My, posłowie narodowo-demokratyczni, oraz zjednoczenia narodowego opuścili salę obrad. Prezes dr Łazarski przerwał posiedzenie, oznaczając dalszy ciąg na godzinę 4-tą po południu. W czasie tej przerwy Związek Międzypartyjny odbył narady, które się przeciągnęły do godziny 5-ej. Rzeultatem tych obrad było wspólne oświadczenie na Koło sejmowe. Do złożenia tego oświadczenia został delegowany dr Bardel.

Konserwatysty wierzyli, że tak my, jak i narodowi-demokraci wrócimy na salę. Na ich też prośbę dr. Łazarski czekał z otwarciem posiedzenia do godziny 5-tej. Otworzył je dopiero gdy na salę przybył dr. Bardel. Zażądał on zaraz na wstępie głosu i imieniem grup, tworzących Związek Międzypartyjny odczytywał następujące oświadczenie:

„Poselskie Koło Sejmowe, zwołane na dzień 2 września, miało za zadanie załatwienie sprawy tak zwanego N.K.N. Polskie Stronnictwo Ludowe, Narodowa Demokracja, oraz Zjednoczenie Narodowe wypowiedziały się na początku posiedzenia, że N.K.N., który winien się składać z przedstawicieli wszystkich stronnictw przestał istnieć. Tymczasem partia konserwatywna wykorzystawsza dzisiejsze posiedzenie Sejmowego Koła w tym celu, aby w sposób niegodny i tchórzliwy wyprzeć się uchwały z 28 maja, będącej wyrazem całej Polski. Nie możemy pozwolić na to, aby dzisiejsze Koło miało być nadużyte do celów, nie mających nic wspólnego z porządkiem dziennym dzisiejszego posiedzenia i aby jedna partia polityczna mogła bezkarnie urągać opinii całego społeczeństwa polskiego i dlatego w dalszym posiedzeniu Koła Sejmowego udziału nie weźmiemy. Równocześnie prosimy pana prezesa, aby wobec nieobecności znacznej większości członków Koła sejmowego do dalszych obrad nie dopuścił i posiedzenie zamknął. W każdym razie protestujemy przeciwko dalszemu używaniu przez N.K.N. nazwy „narodowy”, gdyż po wystąpieniu z niego przedstawicieli ludu polskiego nie ma Komitetu Naczelnego, ani Narodowego”.

Oświadczenie dr. Bardla wywołało u konserwatystów przy-

gnębiające wrażenie. Miało ono też natychmiastowe następstwa. Poseł Bardel złożywszy oświadczenie, natychmiast opuścił salę obrad. Za naszym przykładem poszli zaraz socjaliści, którzy po złożeniu bardzo krótkiej deklaracji przez Daszyńskiego, również demonstracyjnie posiedzenie opuścili. Konserwatyści, którzy podczas przerwy w obradach wybrali sobie na prezesa ks. Lubomirskiego, widząc swoją zupełną porażkę, postanowili się wycofać z zajmowanego stanowiska. Uczynili to też za pomocą deklaracji, którą złożył ks. Lubomirski wobec już tylko konserwatystów i demokratów polskich, gdyż przed tym wszyscy inni wyszli. Na tym się zakończyły obrady ostatniego posiedzenia Koła Sejmowego w Galicji. Po tych wypadkach już nikt nie miał odwagi jawnie, czy skrycie występować przeciw uchwale z 28 maja. Konserwatyści zaś przez swoje postępowanie zostali usunięci poza nawias decydującej polityki i to w czasie najbardziej w wypadki brzemienne. Ta nauka, tak bardzo dosadna i przykra, niewiele im pomogła.

Nowa era

Przypominając sobie te dziwne czasy i rozważając spokojnie wypadki przeżyte, mam przeświadczenie, że właśnie na tym posiedzeniu, na którym się załamała półwiekowa zasada polityki polskich konserwatystów, rozpoczęła się również nowa era nie tylko w życiu polskiego narodu, ale także i polskiego ludu. Wtenczas nie tylko padło wstecznictwo galicyjskie, tkwiące wciąż niewolniczo przy tronie Habsburgów, ale zostały zadokumentowane rozum polityczny i siła demokracji polskiej, ale demokracji zupełnie nowej.

Słowa, które wtenczas padły pod adresem konserwatystów stwierdzające daleko idące pomiędzy nami rozbieżności, potwierdziło, niestety, prawie w całości przyszłe życie. Rzesze chłopskie przyłgnęły całą duszą do Polski powstającej, nie szcędząc jej ofiar, konserwatyści boczyli się na nią długo, gdy powstała, nie mogąc się pogodzić ani z jej ustrojem, ani z polityką. Następnie usunęli się na bok i czekali też nie na darmo. Dziś się bowiem stosunki zmieniły. Chłopi spadli do dawnej roli pracujących w nędzy i w poniżeniu na kawałek chleba, usunięci po to by zrobić miejsce Tarnowskiemu i Lubomirskiemu, których dyktatura Piłsudskiego i wybory przez nią przeprowadzone usadowiły w sejmie i w rządach. Zmienili państwo i stosunki, ale nie zmienili swojego postępowania. Świadomi zapewne szkód, jakie wyrządzają narodowi i sobie samym, nie mają odwagi zdobycia się na krok samodzielny

wobec dyletantów, nawet na bardziej stanowczą postawę. Zdają się znowu zupełnie nie widzieć odosobnienia Polski w Europie, rozkładu wewnętrznego, który się staje coraz groźniejszy jak i nędzy, potęgującej się z dnia na dzień, przy zupełnej bezradności i bierności rządzących a także nieznanomości spraw najważniejszych.

[W czasie, gdy to piszę, położenie państwa przedstawia się bardzo ciężko. Oziębienie stosunków z Francją jest widoczne. Układ z Niemcami i zbliżenie się do nich musi wszystkich myślących Polaków przerażać. Przemysł zamiera, bezrobocie rośnie, handel martwy, bankructwa idą niepowstrzymaną falą. Rolnictwo w zupełnej ruinie. Zaległości podatkowe według oświadczenia ministra skarbu wynoszą około 1 miliard 200 milionów. Mimo że o spłaceniu ich nie może być mowy, posłuszny sejm uchwalił nowe podatki, wynoszące znowu setki milionów. Egzekucje podatkowe ostre i masowe. Bardzo często sprzedaje się konia lub krowę za 5 albo 10 złotych. To samo dotyczy i innych przedmiotów. Podatku prawie nikt nie płaci z dochodu, lecz z części substancji, zjadając w ten sposób podstawę swego bytu. W tych warunkach istnieje obawa, że płatność może zupełnie ustać, gdyż podatnicy zaczynają sobie kpić z urzędów i egzekutorów, twierdząc, że z takiego nikt odzieży nie zdejmie.

[Głód zaczyna grasować w różnych częściach kraju. Morderstwa, kradzieże i przestępstwa zdarzają się coraz częściej. Ucisk władz administracyjnych i policyjnych jest bardzo silny. Sądy wydają tendencyjne wyroki. Dygnitarze państwowi, począwszy od prezydenta, pobierają mimo wszystko bardzo podwyższone wynagrodzenia. Więcej od nich biorą dyrektorowie i urzędnicy różnych zakładów i przedsiębiorstw państwowych. Rozrzutność w gospodarce państwowej widać na każdym kroku. Dziwne jest, że ludzie ubodzy z pochodzenia, kosztem państwa żyją wystawnie i drogo wtenczas, gdy nędza mas doszła do ostatnich granic. Razi to niesłychanie i wywołuje wszędzie i codziennie gorzkie komentarze dla rządzących. Masy zaczynają przeklinać państwo i rządców. Przy władzy są pułkownicy. Co jutro przyniesie, nikt nie wie, ale nikt się niczego lepszego nie spodziewa, o ile się ludzie i system nie zmienią].

Ostatnie krakowskie wypadki odezwały się znowu głośnym echem w Kole polskim. Prezes, dr Łazarski, zrezygnował ze swego stanowiska. Wyłoniła się więc sprawa nie tylko prezesa, ale i polityka, który by Kołu nadał kierunek i charakter polityki, jakiej pragnęło całe społeczeństwo. Rzecz naturalna, że chodziło tu o postępowanie zgodne z rezolucją majową. Sprawą kandydatury prezesa zajął się gorąco Związek Międzypartyjny. Przez dwa dni

toczyły się obrady w Krakowie. Równocześnie obradowali też polscy demokraci i socjaliści. Związek ze względu na naszą siłę liczebną wyszedł z wnioskiem, by na stanowisko prezesa wysunąć naszego członka. Klub się na propozycję zgodził, wysuwając mnie.

Kandydatury nie przyjąłem, nie chcąc brać na siebie obowiazku przechodzącego moje siły i zdolności. Nie wierzyłem także, by się dało mój wybór przeprowadzić. Mimo mojego oporu, kandydaturę moją podtrzymano, wychodząc z założenia, że poprowadzę Koło według ustalonych zasad rezolucji majowej, a ponadto znajdę poparcie ogromnej większości społeczeństwa. Dowodzono też, że wysunięcie kandydatury chłopca na to stanowisko w tym czasie stałoby się widocznym symbolem demokratyzacji naszego narodu, a równocześnie dowodem, że lud polski dorósł do tego, by przewodzić w polityce narodowej.

Wiadomość o tym postanowieniu wywołała konsternację w niektórych klubach, w skład Koła wchodzących. Kandydaturę moją uważano tam za szkodliwą demonstrację. Postanowiono też za wszelką cenę ratować dawną, dobrą tradycję Koła, która nie znosi podobnego despektu. Nawet socjaliści czuli się zaskoczeni i niezadowoleni. Zaczęły się też zaraz narady, układy, konszachty, mające na celu uniemożliwienie mojego wyboru. Wszystko to było całkiem niepotrzebne, bo wyboru nie przyjąłbym pod żadnym warunkiem, choćby i dlatego, że nie władałem językiem niemieckim, co przy należytych wykonywaniu przeze mnie obowiązków prezesa Koła nie tylko było wielką przeszkodą, ale stawiłoby mnie w niewłaściwym a nieraz nawet w śmiesznym położeniu. O tym aż nadto dobrze wiedziałem.

Zmartwienie moje nie trwało jednak długo, bo już dnia 23 września odbyło się posiedzenie Koła, dla wyboru prezesa zwołane. Nie obeszło się bez walki. W pierwszym głosowaniu otrzymałem 28 głosów, a 26 padło na dr. Łazarskiego, którego kandydaturę w ostatniej chwili wysunięto, kandydat socjalistów, poseł Daszyński, dostał 11 głosów. Drugie głosowanie dało taki sam wynik. Przy trzecim socjaliści porozumieli się z konserwatystami i demokratami polskimi, przeprowadzając drobną większością mojego kontrkandydata. Nie wyciągaliśmy z tego faktu żadnych konsekwencji, choć liczni członkowie klubu tego się domagali, będąc rozgorzyczeni taktyką socjalistów.

Poseł Stapiński szeroko i z wielkim zadowoleniem opowiadał, jakto ze swoją grupą spowodował upadek mojej kandydatury, ciesząc się, że mi dokuczył. Nie pojmuję, jaki miał z tego pożytek, a choćby tylko przyjemność. Bo jeżeli mu szło o zemstę, to nie zrobił mi żadnej przykrości, a może mnie nawet przed nią uchronił. Ta jego zemsta nie była jedyna ani ostatnia. Pan Jan zawsze

się starał podstawić mi nogę, opowiadając przy tym, że swoim podstępnyim postępowaniem miałem mu wyrządzić jakoby wielką krzywdę. Całkiem się tu pomylił, bo ja nie byłem ani chytry, ani podstępny, tylko on, stary wyga, mocno był naiwny.

Dalsze trudności

Polityka nasza przechodziła dalej dosyć ciężkie próby. Bardzo silnie na nią wpływały wypadki wojenne, szczególnie na wschodzie. Mimo widocznych objawów rozstroju w państwie, mimo że wszystkie słowiańskie narody dążyły coraz to otwarciej do uwolnienia się spod austriackiego panowania i wywalczenia sobie państwowego bytu, rząd wiedeński oparty o Niemcy i kierując się coraz więcej ich wolą, robił wszystko, by wojnę prowadzić dalej, nawet mimo propozycji mu czynionych co do odrębnego względnie dla Austrii korzystnego pokoju. Poza tym w niektórych sferach wpływowych polskich wciąż jeszcze wierzono w zwycięstwo militarne państw centralnych. Chwilowe powodzenie wojenne także przemawiało za tym. Na froncie włoskim armia austriacka trzymała się jeszcze niezłe. Na froncie wschodnim wojska rosyjskie ponosiły jedną klęskę za drugą, aż doszło do rewolucji, która zmiotła carskie rządy, przyspieszając równocześnie rozkład armii rosyjskiej. Wprawdzie znowu już za rządów rewolucyjnych Kiereńskiego dowódca armii rosyjskiej operującej w Galicji wschodniej, gen. Brusilow, potrafił silnym uderzeniem zadać wojskom austriackim poważną i dotkliwą klęskę, ale to niewiele pomogło, gdyż żołnierze rosyjscy na całym froncie zaczęli masowo opuszczać szeregi, rzucać i niszczyć broń, albo ją masowo sprzedawać za bezcen.

Działo się to pod wpływem rozkładowej agitacji komunistów, której Niemcy patronowali. Rząd rosyjski z Kiereńskim na czele nie chciał, czy nie umiał rozkładowi zapobiec. Nie przeszkodził też w przewiezieniu do Rosji przez Niemców w wagonach opieczętowanych Lenina, Trockiego i innych komunistów, którzy prowadzili wyteżoną agitację tak przeciw rządowi rewolucyjnemu jak i przeciw wojnie, głosząc hasła przewrotu i domagając się natychmiastowego zawarcia pokoju. Pod wpływem tej propagandy wybuchła w Rosji rewolucja bolszewicka, która zmiotła rządy Kiereńskiego bez wielkiego nawet wysiłku, gdyż grunt przez niego samego był do niej przygotowany. Rządy po nim objęli Lenin i Trocki, którzy rzucili hasło natychmiastowego zaprzestania wszelkiej walki, bez względu na następstwa. Przewrót

ten, rzecz naturalna, musiał wywołać w całym świecie piorunujące wrażenie. U nas także.

Będąc w Krakowie, udałem się do prof. Leopolda Jaworskiego. Rozmawialiśmy na temat rosyjskich wypadków. Był nimi zdumiony i silnie zaniepokojony, obawiając się, aby rosyjska zaraza nie przeniosła się do nas. Usiłował się jednak pocieszać, że to co się stało w Rosji, jest właściwością rosyjskiej duszy. Natomiast nadmieniał, że po zlikwidowaniu rosyjskiego frontu Niemcy mogą w krótkim czasie stać się panami położenia. Miał dużo racji, bo nie dało się zaprzeczyć, że zwycięstwo bolszewików w Rosji było równocześnie największym choć przejściowym triumfem państw centralnych. Wszystko zdawało się przemawiać za tym, że zbliżały się one do upragnionego celu, do zlikwidowania wojny na wschodnim froncie, żeby następnie rzucić wszystkie siły na zachód, wymuszając nimi zwycięstwo. Tak Berlin jak i Wiedeń były też zupełnie pewne ustępliwości bolszewików, którzy dojście do władzy w wielkiej mierze zawdzięczali Niemcom, a z drugiej strony mieli wielkie trudności przed sobą.

Jako też późną jesienią 1917 r. rozpoczęły się układy pokojowe między państwami centralnymi a bolszewikami, prowadzone w Brześciu Litewskim. Sprawę tę niektórzy nawet nasi ludzie zaczęli traktować niemal humorystycznie. Opowiadano sobie, że delegaci niemieccy wobec bolszewików zachowują się niesłychanie lekceważąco, traktując ich jak Murzynów. Jeden z niemieckich delegatów, gen. Hoffman, miał jakoby podczas obrad kłaść nogi na stół. Ponieważ nie był to jedyny wypadek lekceważenia, spodziewano się wciąż, że tylko czekać jak naród rosyjski nie mogąc ścierpieć tej prowokacyjnej zabawy zerwie się i położy jej koniec. Wierzono też prawie powszechnie, że rządy bolszewickie skończą się najwyżej za parę miesięcy. Nie brakło jednak głosów przestrzegających przed tym optymizmem i twierdzących, że w Rosji nie ma żadnej siły, która by mogła rządy bolszewickie obalić. Do tych należał i Jaworski.

Układy, prowadzone w Brześciu, nie mogły też być dla nas obojętne, bo chodziło przecież o pokój z państwem, które w swoim posiadaniu miało największą połać ziemi polskiej. Stąd też mieliśmy prawo się domagać, żeby w układach, które rozstrzygały o jej losie, brali udział przedstawiciele Polski. Nie było to zresztą żadnym urojeniem, gdyż sprawa polska zdobyła sobie w świecie charakter międzynarodowy i nie mogła go stracić, bez względu na sytuację chwilowo wytworzoną. Uważaliśmy to za obowiązek podkreślić i przypomnieć.

W tej sprawie odbyłem dłuższą rozmowę z Długoszem i Tetmajerem. Poseł Długosz, przybywszy do Krakowa prosto z

Wiednia nie tań, że niebezpieczeństwo grozi nam ogromne, gdyż Niemcy austriacy dążą do pokoju za wszelką cenę, władze centralne nie poczuwają się do żadnych obowiązków względem Polaków, a Niemcy zrobią, co zechcą. On już zaalarmował różnych polskich polityków i dziś też przyjechał do Krakowa w tym celu. W związku z tą rozmową zwołałem klub poselski do Krakowa na 29 grudnia 1917 r. Zaprosiłem też wybitniejszych działaczy z kraju, celem zajęcia stanowiska i obmyślenia środków działania.

Obrady nasze niezwykle spokojne i poważne trwały przez cały dzień i zakończyły się uchwaleniem następującej rezolucji:

„Klub posłów PSL stwierdza, że sprawa polska jest międzynarodowa i tylko przez przedstawicielstwo wszystkich państw i narodów, przy współudziale Polaków, ostatecznie rozstrzygnięta być może. Klub posłów PSL stwierdza, że państwo polskie ma pełne prawo do wzięcia udziału przez swych przedstawicieli w układach pokojowych, jakie się rozpoczęły z Rosją. Klub PSL stoi na stanowisku, że przedstawiciele Polski przemawiać i działać muszą imieniem wszystkich dzielnic Polski jako upetnomocnieni zastępcy całego narodu. Klub posłów PSL wzywa Koło Polskie, aby jednomyślną uchwałą przyjęło powyższe rezolucje i zsolidaryzowało się ze stanowiskiem Klubu Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast”.

Uchwały te celowe i na czasie powzięte, nie tylko były spełnieniem obowiązku, ale zwróciły uwagę społeczeństwa na groźne niebezpieczeństwo, jakie nad nami zawisło.

Dowodem, jak Niemcy lekceważyli stworzone przez siebie aktem z 5 listopada 1916 r. owe państwo polskie, było, że aczkolwiek w Brześciu Litewskim miało się decydować o losie terytoriów tego państwa, nie dopuszczono jego przedstawiciela do prowadzonych układów. Układy postępowały, a w pierwszej połowie stycznia 1918 r. zaczęły przeciekać różnymi drogami coraz to bardziej niepokojące wiadomości z Brześcia. Pokazało się niebawem, że Niemcy dążą tam wyraźnie do rozkawałkowania ziemi polskiej, pozorując to potrzebą uregulowania granic. Z tej części układu wynikało już wówczas, że z ziem polskich i litewskich chcą oni stworzyć sobie w Europie zwyczajną kolonię niemiecką. Nawet najbardziej zaślepieni widząc to, przekonywali się coraz bardziej, że deklamacje Niemców o pokoju bez zaborów były pustym frazesem, mającym za zadanie odwrócenie uwagi od właściwych celów, jakie sobie postawili. Zrozumieli już wszyscy, że w Brześciu państwa centralne przygotowują nam jakąś bardzo dotkliwą niespodziankę, starając się poza tym usunąć raz na zawsze sprawę polską z dziedziny zagadnień międzynarodowych.

Nie chcąc niczego zaniedbać zwołałem 22 stycznia 1918 r.

posiedzenie klubu poselskiego do Krakowa. Rozmawiano, dyskutowano, deliberowano bardzo długo. Nikt prawie nie chciał uwierzyć, by rządy obydwu państw centralnych były zdolne do podobnego kroku. Oburzenie i rozgoryczenie ogarniało też wszystkich. W końcu uchwalono przedłożone przeze mnie wnioski i upoważniono do przesłania ich Kołu polskiemu, które miało na drugi dzień posiedzenie we Wiedniu. Osobną uchwałą zwrócił się klub do niego, żeby w Parlamencie złożyło nasze wnioski w formie uroczystego oświadczenia. Brzmiały one:

„Klub posłów PSL stwierdza, że prawo stanowienia narodów o sobie rozciąga się na wszystkie inne tak i na naród polski, a zatem na jego całość bez względu na polityczne granice, nie tylko zaś na jedną jego część. Wobec tego klub posłów PSL wyraża przekonanie, że tylko oświadczenie się całego narodu polskiego w sprawie jego przyszłych losów za ważne może być uznane. Klub posłów PSL stwierdzając jak najuroczyściej, że połączenie wszystkich ziemi polskich z naturalnym dostępem do morza w jedno niepodległe państwo polskie jest jedynym załatwieniem sprawy polskiej, protestuje przeciwko wszelkiemu innemu załatwieniu tej sprawy jako krzywdzącemu naród polski i dla pokoju światowego niebezpiecznemu. Klub posłów PSL wyraża stanowcze żądanie, ażeby zastępcy narodu polskiego brali pełny udział w rokowaniach pokojowych”.

Nie łudziliśmy się naturalnie, ażeby uchwały nasze miały wywrzeć wielki wpływ na państwa centralne i wstrzymać ich zapędy. Powzięcie ich mimo to uważaliśmy za obowiązek, jak również za potrzebny krok polityczny. Zebrane Koło polskie uchwaliło je, dodając jeszcze inne wniesione przez socjalistów i demokratów. Konsternacja i oburzenie między posłami było ogromne. Nadziei nie stracili tylko konserwatyści, liczący stale na dobre serce cesarza Karola, obietnice ministrów, a szczególnie ministra spraw zagranicznych, hr. Czernina. No i jak zwykle przeliczyli się, gdyż państwa centralne widząc zbliżający się zmierzch potęgi, którą jeszcze imponowały, chcąc postawić świat przed faktem dokonanym, mając na oku tylko swój interes, zgotowały nam w dniach najbliższych rzecz straszną, jakiej się nawet najwięksi pesymiści nie spodziewali.

Traktat Brzeski i wzburzenie

Mimo oficjalnych przyrzeczeń, dawanych przez rząd austriacki, ostatecznie jeszcze przez hr. Czernina, w miesiącu styczniu, mimo obietnic i zapewnień cesarza Karola, dawanych różnym polskim politykom, nie tylko że pokój zawarto z bolszewikami bez przedstawicieli Polaków, ale pokojem tym, podpisanym w Brze-

ściu Litewskim 9 lutego 1918 r. rozdarto Królestwo polskie, oddając ziemię chełmską i podlaską utworzonemu tym traktatem Państwu Ukraińskiemu. Było to już po prostu niezrozumiałe bezprawie, jak i gwałt niesłychany, gdyż tak Chełmszczyzna jak i Podlasie wchodziły zawsze w skład Królestwa, stanowiąc jego integralną część, zamieszkałe przy tym prawie wyłącznie przez ludność polską. Niemcom tak się spieszyło do zawarcia pokoju, że się zgodzili na przedstawiciela Ukraińców, którym był dwudziestokilkuletni podoficer, nazwiskiem Sewriuk. Osobnika tego oglądaliśmy ciekawie, kiedy się zjawił w parlamencie wiedeńskim w czasie rozpraw, dotyczących pokoju brzeskiego i usadowił się na galerii. Rząd oczywiście nim się pieczołowicie opiekował.

Wiadomość o tej zbrodni, dokonanej przy tym w sposób najbardziej perfidny przez oba rządy na polskim narodzie, wywołała olbrzymie, nigdy zapewne nie widziane rozgoryczenie i wzburzenie we wszystkich warstwach. Jak dawniej każdy zadany cios, jaki na naród spadał ze strony Niemców czy Austriaków, zwykle działał przynębiająco, tak ten stał się pobudką do wspaniałego porywu obrażonego i skrzywdzonego narodu, którego gniew zerwał się jak burza we wszystkich niemal zakątkach Polski.

Najsilniej oburzenie swoje manifestowała ludność polska w Galicji. Dzień 18 lutego 1918 r. został wyznaczony jako termin ogólnego, narodowego protestu. I rzeczywiście w tym dniu stanęło zupełnie wszelkie życie na całym obszarze Galicji, a częściowo i na Śląsku cieszyńskim. Mimo że kraj był pod władzą wojskową, koleje zmilitaryzowane stanęły wszystkie, stanęła też praca w urzędach, fabrykach i wszelkich zakładach. W bardzo wielu kościołach odbywały się nabożeństwa z kazaniami wygłaszanymi z bardzo dużą odwagą, szczególnie przez młodych księży. W każdym mieście, miasteczku, wsi odbywały się masowe wiece demonstracyjne, na których przemawiali liczni mówcy, przedstawiając stan sprawy i piętnując otwarcie w słowach najostrzejszych postępowanie rządu austriackiego i niemieckiego. Odruch ten, skierowany wyraźnie przeciw Austrii i Niemcom przybrał takie rozmiary, jakich ani władze ani inicjatorzy się nie spodziewali. Nie ominął on żadnej klasy ludności, gdyż do niego przyłączyli się także niemal wszyscy urzędnicy, mimo swej zależności służbowej. Szczególnie dużą odwagę pod tym względem wykazali kolejarze i to zarówno urzędnicy, jak zwyczajni pracownicy kolejowi.

Liczni dygnitarze państwowi Polacy odsyłali wprost pod adresem kancelarii cesarskiej we Wiedniu orderzy i odznaczenia, zrzekali się nadanych im tytułów, a w dołączonych pismach śmiało motywowali swoje postępowanie, wywołane tą zbrodnią, jakiej dokonano na polskim narodzie przez oderwanie od Króle-

stwa ziem, których polskość ludność tamtejsza opłacała tak drogo, bo potokami przelanej męczeńsko krwi. Było też bardzo pocieszające, że tak chłopci jak i robotnicy nie tylko że brali udział masowy w demonstracjach, wiecach i nabożeństwach urządzanych, ale sami wiele zebrań urządzili i bardzo odważnie na nich przemawiali. Władze rządowe zachowywały się na ogół spokojnie, jakby obojętnie, nie chcąc czy nie mogąc przeszkodzić żywiołowemu i przez nie wywołanemu wybuchowi. W kilku miejscowościach wystąpiła policja, a najbardziej brutalnie zachowała się we Lwowie, gdzie zmasakrowała manifestujących studentów.

Zebrań po wsiach rzadko były przez nią obsadzone, natomiast robiono energiczne i gorące poszukiwania za występującymi na nich mówcami. Niewiele się jednak dowiedziano, gdyż ludzie milczeli jak kamienie. Dla polskiego społeczeństwa, szczególnie na jego dołach, był to moment wielki i zwrotny. Nie tylko zostało ono dotknięte do głębi w swoich najświętszych uczuciach, musiało patrzeć własnymi oczyma na oczywisty gwałt i grabież jego odwiecznych ziem, ale wyniosło udokumentowane przekonanie, że ziszczenia swoich nadziei nie może oczekiwać od kłamców ani gwałcicieli. Musiało się też przekonać, jakimi złudzeniami karmił je N.K.N., a jakie byłyby skutki jego polityki, gdyby jej wcześniej nie przekreśliło społeczeństwo i wypadki.

Gwałt brzeski ruszył też mocno sumieniem narodu i zmusił leniwe społeczeństwo polskie do odnalezienia siebie i głośnego wypowiedzenia swej woli, na szczęście w tym wypadku zupełnie jednolitej. Nie zostało w tyle i Koło polskie, ale poza kierownictwem akcji, którą ujęło w swe ręce, wydało do społeczeństwa polskiego także odezwę bardzo zdecydowaną:

„Rodacy! W ciężkiej i groźnej chwili odzywamy się do was, my Wasi posłowie i przedstawiciele w parlamencie austriackim. Pierwszy układ pokojowy w czwartym roku wojny światowej zawarty został kosztem naszych ziem, naszego ludu, męczeńskiej ziemi chełmskiej i podlaskiej, którą Niemcy i Austria wydały bezprawnie nowotworzącej się republice ukraińskiej.

W ciągu strasznej wojny światowej naród polski postawił jako swój jedyny cel niepodległość i zjednoczenie Ojczyzny. Przez rzeki krwi milionów polskich żołnierzy, przez straszliwe spustoszenie kraju, przez głód i śmierć masową, przez bezmiar poświęcenia się i ofiar wszystkich — oparci o nieprzedawnione narodu polskiego prawo i wierząc w urzeczywistnienie praw narodu, głoszone jako cel wojny, byliśmy gotowi i gotowi jesteśmy wytrwać i nieustraszenie do tego celu dążyć.

Pierwszy traktat pokojowy zawarty 9 lutego 1918 r. w Brześciu uderzył w naród polski jak grom, jak zapowiedź złowroga, że militarizm niemiecki wraz z chytrą i nieszcześliwą dyplomacją staro-austriacką, zamierzają ziemię polskie okaleczyć i naród polski we własnym jego kraju uczynić niewolnikiem i nędzarzem. Przyjaźń niemiecko-ukraińska, mająca się uregulować na trupie Polski i Litwy, chce zasiać nienawiść pomiędzy polskim i ukraiń-

skim narodem, chce Polsce odebrać wszelkie znaczenie narodowe, państwowe, gospodarcze i uczynić z niej niewolnika państwa, przemysłu i handlu niemieckiego, niewolnika strzeżonego od wschodu wspólnie przez Niemcy i ukraińskie państwo.

Zamiast wolności nowa ma nas oczekiwać niewola, zamiast sprawiedliwego pokoju, opartego na wolnych, niepodległych i zjednoczonych narodach, zapowiedź nowych walk bratobójczych, nowych ofiar i nowej nędzy narodu polskiego. W obliczu ludzkości cywilizowanej, oświadczamy, że nie chcemy sięgać po cudze dobro i cudze ziemie, lecz chcemy Ziemi Chełmskiej i Podlaskiej, które od wieków do Polski należą i są tej Polski najdroższymi, bo męczeńskimi dziećmi.

Tam lud siermięzny polski ginął od kul moskiewskich za Ojczyznę i za wiarę ojców, tam bohatercko opierał się przemocy, chytrości i gwałtom prawosławnych, rządowych rusyfikatorów. Tam krocie świadczyły krwią i łzami, że należą do Polski. Przed tym męczeństwem ugiąć się musiała nawet triumfująca przemoc carskiej czarnej sotni. Teraz ten kraj ma stać się pomostem dla niemieckich żołnierzy i niemieckiego towaru w pochodzie na wschód Europy, nad Czarne Morze, do stóp Kaukazu. A Polacy pozbawieni łączności ze wschodem, celowo poróżnieni śmiertelną walką z Ukrainą, oddani na pastwę wyzysku i ucisku niemieckiego, mają się stać podłożem potęgi pruskiej.

Rodacy! Nie ma Polaka, który by nie podjął walki celem unicestwienia tej haniebnej zbrodni, na nas zamierzonej. Podnosimy w imieniu polskiego zaboru austriackiego uroczysty protest przeciwko traktatowi w Brześciu i podejmujemy walkę, celem jego obalenia. Pragnąc dać wyraz najpotężniejszy temu polskiemu protestowi odwołujemy się do całego polskiego narodu i wszystkich narodów świata. W kraju zaś wzywamy wszystkie stronnictwa i wszystkie klasy do potężnego zjednoczenia wszystkich sił narodu. Zwolujemy na dzień 3 marca 1918 r. do Krakowa Koło Sejmowe. Żadna przemoc wroga, ani podstęp żaden nie złamie potężnego narodu, gotowego do wszelkich ofiar i walki za zjednoczoną niepodległą Polskę”.

Oświadczenie powyższe poparli członkowie polscy Izby Panów. Oto ich deklaracja:

Oświadczenie polskich członków Izby Panów — luty 1918 r.

„Solidaryzując się w całej pełni z uczuciami wszystkich warstw narodu polskiego, zakładamy łącznie z Kołem Polskim stanowczy i uroczysty protest przeciw oznaczeniu granic Królestwa Polskiego i Ukrainy, które zawiera układ brzeski. Granice te są pogwałceniem uznanej nawet przez Kongres wiedeński traktatem międzynarodowym jednolitości Królestwa Polskiego. Są one oburzającą wyrządzoną nam krzywdą, gdyż na obszarze, który ma być oderwany od Polski, nie tylko ludność polska liczbą stanowczo przeważa, lecz włączone są tutaj całe przestrzenie rdzennie polskie, gdzie nawet według stronnicej oficjalnej statystyki rosyjskiej, nigdy nawet 10% ukraińskiej, albo rosyjskiej ludności nie było i nie ma. Ludność, która przez długie lat szereg zraszała swą kochaną ziemię męczeńską krwią, przelaną za wiarę i Ojczyznę — ma być obecnie wydana na łup schizmie, lub bezreligijności i wynarodowieniu. Na ten los oplakany skazali ją właśnie ci, co głosili hasło jej oswobodzenia. Hr. Czernin, godząc się na granice określone traktatem brzeskim, złamał uroczyste przyrzeczenie dane nam kilkakrotnie przez rząd

austro-węgierski co do nietykalności Królestwa i przynależenia doń w szczególności także całej ziemi chełmskiej. Popętnił on przez to zarazem niesłychany błąd polityczny ze stanowiska polityki monarchii austro-węgierskiej, idąc za podszeptem wspólnych naszych wrogów, dążących do stworzenia przyjaźni między monarchią, a tworzącym się państwem polskim. Pragniemy wszyscy z głębi serca zaprzestania wojny i osiągnięcia jak najrychlejszego, trwałego pokoju, tak na froncie północnym jak na innych. Jesteśmy wszakże silnie przekonani że wynik pokojowy układem brzeskim byłby tak samo i równie łatwo osiągnięty bez krzywdy naszego narodu i bez popełnienia wobec nas podstępnego złamania słowa, wszak delegaci ukraińscy nie byli zwycięzcami Austro-Węgier, aby im mogli dyktować upokarzające warunki i ustępstwa.

Polscy członkowie Izby Panów zapowiadają przeto stanowczo odpowiadającą powadze chwili opozycję przeciwko rządowi. Mamy przekonanie, że Korona nie była poinformowana przez rząd zgodnie z prawdą o doniosłości szczegółów układów brzeskich. Uważamy więc za swój obowiązek wyjaśnić rzecz ponad wszelką wątpliwość i dać szczerzy wyraz uczuciu wzburzenia, którym dziś do głębi przejęte są serca każdego Polaka”.

Jeszcze i teraz nie przestali się łudzić!

Rada Regencyjna w dn. 17 lutego wydała do wojska następujące wezwanie:

„W ciężkiej godzinie, jaką nasz naród przeżywa, zwracamy się do was, oficerowie i żołnierze wojsk polskich z patriotycznym nakazem, byście w tak poważnej chwili w służbie dla Ojczyzny z hartem i spokojem wytrwali. Gdziekolwiek jesteście, czy tutaj w sercu Polski, czy na Bukowinie i w Galicji, czy wreszcie na rubieżach Rzeczypospolitej, pomnijcie na to, że wszyscy tworzyście dla Państwa Polskiego kadry przyszłej, jednolitej i dzielnej Armii Polskiej”.

Na znak protestu przeciw haniebnemu traktatowi brzeskiemu kilka pułków legionowych pod dowództwem płk. Józefa Hallera przeszło front austriacki pod Rarańczę w dn. 15 lutego, udając się do armii gen. Dowbor-Muśnickiego.

Gen. Haller wydał z tego powodu odezwę do narodu polskiego. Oto ona:

„Cios, który uderzył w nowo powstające państwo polskie, odczuwamy głęboko wraz z całym narodem. Broniliśmy wschodnich granic Ojczyzny Zmartwychwstającej. Pozostały nad Styrem gęsto rozsiane mogiły naszych towarzyszy broni jako kopce graniczne, które mają znaczyć wschodnią granicę Polski. Do obrony tej granicy porwać chcieliśmy cały naród. Z radosnym biciem serca wkraczaliśmy do Warszawy, by armię budować do walki o święte nasze, dziś zdeptane prawa. Inaczej zrzędziły losy. Na tułaczce oczekując rozkazów od naszej państwowej władzy, doczekaliśmy się gromu, co padł z ręki chcących o nas stanąć bez nas. Granice zdobywają silni, siły wykrzesać z narodu dotąd się nam nie udało. Serca ból ścisnął, rozwiązał te bliskie — zdawało się — nadzieje. Lecz rozpacz nie znosi żołnierza, co tylekroć śmierci patrzył w oczy, co tyle doznał zawodów. Ciężka dola nas har-

towała, a dziś w chwili klęski nie uchyliłiśmy czoła przed mozną przemocą. Tym wyżej wznosimy nasz sztandar walki w myśl hasła Kościuszkowskiego: O wolną, całą, niepodległą Ojczyznę.

Tym karniej przy nim staniemy. W tej chwili ciężkiej, która naród cały w jedno skupiła, ślubujemy, że sztandaru walki nie opuścimy, że broni nie złożymy, a naród cały krzywdą haniebną zjednoczony i wzbudzony własnymi siłami, dźwignie gmach swojego wolnego, narodowego państwa w takiej granicy, która żyć i rozwijać się pozwoli. Żołnierski obowiązek kazał nam iść tam, gdzie powstaje polska siła zbrojna, skoro w kraju możność budowania armii polskiej ustała. Rozmieszczone na Bukowinie oddziały Legionów polskich z dowództwem korpusu posiłkowego na czele przeszły granicę, aby dążyć do połączenia z polskimi siłami wojskowymi po tamtej stronie.

(—) *Józef HALLER*

Kwatera Sztabu, dnia 15 lutego 1918 r.

Oddziały legionistów, którym się przejście nie powiodło, zostały rozbrojone i uwięzione na Węgrzech. Legionistów znajdujących się w kraju internowano po różnych miejscowościach. To im nie przeszkodziło, że gdzie tylko mogli zgłaszali swoją solidarność z płk. Hallerem. Gdy rząd wobec legionistów zastosował jak najostrzejsze środki, wobec społeczeństwa zachował się prawie obojętnie, nie chcąc widocznie stawać w poprzek wielkiej, długo wzburzonej fali goryczy i gniewu skrzywdzonego narodu. Stan umysłów ze względu na traktat brzeski, jak i wiadomości o kroku Hallera i losie legionistów, był podniecony, że wystarczyłoby jedno wezwanie, by cały naród rzucił się na wszystko co austriackie, ażeby wyrwać z korzeniami. Do wybuchu nie doszło dzięki wyraźnemu nakazowi ze strony kierowczych czynników politycznych i karności społeczeństwa, jaką się ono wtenczas odznaczało.

Koło polskie, poza odezwą, na specjalnie zwołanym posiedzeniu uchwaliło jednomyślny protest przeciw haniebnemu układowi brzeskiemu, który 20 lutego został odczytany w parlamencie austriackim. Szedł on po linii odezwy Koła i zawierał bardzo silne akcenty. Jakkolwiek ówczesny prezes Koła, Goetz, może nie oddał rzeczy samej z należytą siłą, dzięki niezbyt mocnemu głosowi, to powaga z jaką on to uczynił i argumenty jakie przytoczył, odbiły się należytym echem tak w parlamencie jak i w kraju. Sam widziałem, że do tej sprawy zabierał się z wielkim przejęciem wyrażając obawę, że może nie potrafi jej przedstawić w sposób, na jaki ona zasługuje.

Po nim przemówił poseł Daszyński, piętnując pokój zawarty dla zdobycia zboża i chleba dla Niemców na Ukrainie, oszczędzając nieco rząd austriacki.

Następstwa

Tradycyjna, długa polityka Koła polskiego musiała też wskutek tych wypadków ulec zasadniczej zmianie, tak w stosunku do rządu austriackiego jaki tych, co z nim współdziałali, ośmielając go zapewne do różnych występów. Widać było, jak niektórym posłom przychodziło to jeszcze i wówczas z wielką trudnością choć wiedzieli, że nie może być inaczej. Już po uchwale Koła poseł Abrahamowicz przechodząc koło mnie w okolicy parlamentu zatrzymał mnie i rozpoczął rozmowę. „No, pan musi być z uchwały Koła bardzo zadowolony?” — zapytał. „Naturalnie” — odpowiedziałem. „Ja także za nią głosowałem, ale się z niej wcale nie raduję, bo jeszcze nie wiem, co z niej będzie, a mogła ona powstać tylko dlatego, że obecny rząd austriacki jest tak głupi, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem, a pamiętam ich bardzo wiele. On swoim postępowaniem nie tylko że nam narobił szkody, ale może pogrzebać państwo i cesarza!” — „Tym lepiej dla nas Ekszellencko” — wtrąciłem. „O, proszę pana, wcale nie. Moim zdaniem zawsze lepiej trzymać się starych przyjaciół i pan się przekona o tym” — odpowiedział mi jeszcze widocznie nieprzekonany i niezrezygnowany poseł Abrahamowicz.

Jakkolwiek po traktacie brzeskim wśród posłów Koła polskiego znacznie się wzmożło dążenie do otwartego z Czechami i innymi narodami słowiańskimi współdziałania, to jednak stare uprzedzenia i jakaś niechęć stały bezustannie na przeszkodzie. Szczególnie dotyczyło to Czechów, wysuwających się na pierwsze miejsce. Zarzucano im samolubstwo w polityce, kierowanie się rosyjskimi wpływami, niechęć do Polaków od dawna żywioną i nieszczerość w postępowaniu, powołując się na liczne przykłady z dalszej i bliższej przeszłości. Wskazywano także na postępowanie czeskich urzędników i oficerów, jakoby niczym się nie różniące od postępowania Niemców. Choć te argumenty, nie pozbawione pewnej podstawy, zachwiały nieco nawet niektórych naszych posłów, to jednak postępowanie Koła uległo zasadniczej zmianie. Nowy prezes, dr Tertil, był zwolennikiem współdziałania, ale postępował z dużą ostrożnością, nie chcąc się narażać na walkę i zarzuty ze strony upartych przeciwników. Jego przemówienie, wygłoszone w parlamencie uwydatniło tę zmianę, oddając przy tym wiernie nastroje i dążenia społeczeństwa polskiego. Znacznie mocniej od niego przemówił poseł Tetmajer. Powiedział on między innymi:

„Dnia 5 listopada 1916 r. zdawać się nam mogło, że sprawa polska została rozwiązana na wieczne czasy. Dziś po upływie kilku lat jest ona znowu

zupełnie otwarta. Pomysł stworzenia niemieckiej Europy Środkowej jest wygodną formą rozwiązania jej, ale to rozwiązanie jest dla Polski niezwykle niebezpieczne. Pomysłowi niemieckiemu feudalnej Europy należy przeciwstawić wzniosłą dziejową misję narodów słowiańskich, które mieszkają pomiędzy Bałtykiem i Adriatykiem. Mają one rozwiązać wielkie zadanie zorganizowania związku niezawisłych państw, pomagania uciemżonym narodom i łączenia ich rozkawałkowanych obszarów. Do tego potrzeba jednakże wzajemnego zaufania tych narodów. Niestety dotychczasowe systemy rządowe przyczyniały się do zniszczenia tego zaufania i tej idei. Teraźniejsze, tak często ubolewania godne stosunki między bratnimi narodami słowiańskimi są niczym innym jak następstwem systemu rządzenia: Dziel i rządź! Ale w dniu zmartwychwstania wstąpimy znowu w szereg państw europejskich, uzbrojeni w dawną zasadę tolerancji i jak najszerzej pojmovaną zasadę prawa samostanowienia narodów, wierni hasłu: Za naszą i waszą wolność”.

Przemówienie posła Tetmajera było wyraźnym oświadczeniem tak pod adresem rządów austriackiego i niemieckiego i zakusów przez nie robionych, jak i uciemżonych narodów słowiańskich. Tak je też w parlamencie zrozumiano.

Tymczasem rząd austriacki powrócił znowu do starej taktyki. Zaczęły się w kraju na wielką skalę szykany i prześladowania, które miały złamać wielki ruch, idący wciąż naprzód z coraz to większą siłą. Namiestnik galicyjski, gen. Huyn, trzeci z rzędu wojskowy dyktator na tym stanowisku wydał w lipcu 1918 r. tajny okólnik do podwładnych sobie władz i urzędów „przeciw wszechpolskiej propagandzie” i szerzeniu zgubnych rewolucyjnych idei „skierowanych przeciwko monarchii, dynastii i sprzymierzeńcom, nawoływaniu do utworzenia polskiej demokratycznej republiki, stworzonej na gruncie zjednoczenia całego narodu i połączenia w jedno wszystkich polskich krajów”.

Ze p. generał nie czuł się już wtenczas bardzo mocno w siodle, świadczą liczne ustępy tego okólnika, zarówno lękliwe jak i perfidne. Bierze w nich w obronę nie tylko dynastię i państwa centralne, ale także regencję warszawską i rząd polski przez Niemców utworzony. Poleca zwrócenie baczonej uwagi na osoby zajmujące się tym ruchem, zarządzenie dyskretnego nadzoru i wystąpienie z całą energią i wszystkimi środkami prawnymi przeciw objawom tego ruchu, „o ile agitujący w tym kierunku podlegają obowiązkowi służby wojskowej i są czasowo zwolnieni, spowodować cofnięcie ich zwolnienia”. Wszystko to zastosowano i wszystko nie zdało się na nic. Wypadki szły mimo kamieni rzuconych na drogę.

Zmiany

Radość niemiecka z powodu pokoju zawartego w Brześciu

nie była na szczęście zbyt długa, gdyż wiele zaczęło się zmieniać. Koalicja, zgromadziwszy wielkie siły, uderzyła na wszystkich frontach na wojska państw centralnych i to z dużym powodzeniem. Na zachodzie armia francuska i angielska odrzucały systematycznie Niemców z ziemi francuskiej, a wojska amerykańskie przybywały bezustannie. Już w oczach Niemców we Wiedniu, tak w parlamencie jak i poza nim, można było wyczytać coraz większe przerażenie i niepokój. Rozkład armii i maszyny państwowej zdawał się postępować coraz szerszymi krokami. Opowiadano wówczas dość szeroko i głośno w parlamencie, że Francja znając położenie Austrii i chcąc jej ułatwić wyjście z ciężkiej i niebezpiecznej sytuacji, miała znowu zaproponować zawarcie odrębnego pokoju, dość korzystnego, stawiając za warunek opuszczenie Niemiec. Pogłoska ta szła jeszcze dalej, bo twierdziła, że cesarzowa Zyta miała zwymyślać, a nawet spoliczkować cesarza Wilhelma za to, że udaremnił dojście do skutku pokoju, dla Austrii równie koniecznego jak i korzystnego. Ile w tym mieściło się prawdy nikt, zdaje się, nie wiedział, ale natomiast wszyscy wiedzieli, że polityką austriacką Niemcy już od dłuższego czasu kręcili, jak im się podobało.

Wszystko to działało nie tylko podniecająco, ale i deprymująco tak na parlament jak i na społeczeństwo, do którego wieści o zakulisowych intrygach i zabiegach dostawały się rozmaitymi drogami najczęściej przekrecone i wyolbrzymione. Wiadomo znowu, że ludność niemieckiej Austrii, a szczególnie wiedeńscy nie byli zbyt wielkimi patriotami, ani nadto przenikliwymi ludźmi.

Rząd austriacki niedawno jeszcze butny i niedostępny, obecnie przerażony klęskami na froncie, jak i stosunkami wewnętrznymi, wszedł znowu na drogę robienia ustępstw, szczególnie pod względem politycznym. Przyszedł więc z projektem zupełnej nowego ustroju politycznego, opartego na szerokiej autonomii poszczególnych krajów, w skład państwa austriackiego wchodzących. Rok temu projekt podobny uważano by za koncesję niesłychaną, a niektóre kraje byłyby ją przyjęły z zadowoleniem. Teraz zaś w r. 1918 nikt nie chciał o tym już mówić. Przedstawiciele poszczególnych narodów słowiańskich stawali coraz wyraźniej na stanowisku zupełnej niepodległości, bez jakiegokolwiek związku z państwem austriackim i dynastią. Proces posuwał się gwałtownie.

Żołnierze

Obraz godny politowania przedstawiali wtenczas nie tylko

żołnierze na froncie, ale jeszcze więcej może rozmaici tułacze na tyłach i etapach. Całe ich masy snuły się w każdym większym mieście. Nikomu nie byli potrzebni i nikt się też prawie nimi nie zajmował. Wynędzniali, wychudli, okryci marnymi łachmanami, ledwie się trzymający na nogach z głodu i wyczerpania, chodzili po domach zebrząc o kawałek chleba, lub parę kartofli, których często tygodniami nie widzieli. Kiedy odwiedziłem brata, spełniającego podobną służbę w Bochni, widziałem nie tylko to straszne zbiorowisko kościotrupów, ale całą ich gromadę, rozkopującą wielką kupę śmiecia tuż koło dworca kolejowego, żeby z niej wydobyć resztki zepsutego chleba, albo też łupiny z kartofli, którymi starali się zaspokoić głód, targający wewnętrżności. Stałem przy nich, pytając co robią. Przeważnie milczeli, nie zwracając na mnie uwagi, byli to zresztą w znacznej części Ukraińcy i Węgrzy, którzy pytania nie rozumieli. Nie brakło też i naszych, którzy mnie poznali, ale nie mieli odwagi nawet popatrzeć. Pamiętam do dziś dnia dwóch z pomiędzy nich, jakby to było wczoraj. Byli to: Jan Mirek z Kępy bogumiłowskiej i Mączka z Biskupic. Łzy w oczach, wstyd i wściekłość bezsilna mieściły się w nich razem. Bali się rozmawiać, mimo zachęty z mojej strony.

Te liczne gromady nie miały przeważnie żadnego przydziału służbowego, nic im też nie dawano do roboty, odmawiano umieszczenia w lazaretach i szpitalach, trzymano ich tylko poza domem i wsią. Było to skutkiem specjalnej polityki rządu austriackiego, który starał się skupić możliwie jak najwięcej mężczyzn w środowiskach strzeżonych, aby się oni nie stali materiałem palnym, który wśród rosnącego fermentu mogłyby być bardzo niebezpieczne. Głodząc tych ludzi, zasiłki ich rodzinom wypłacono prawie zawsze regularnie.

Czeskie uroczystości

W chwiejący się coraz bardziej gmach państwa austriackiego z największą zaciętością uderzali Czesi. Mieli oni, jak się później okazało, z góry obmyślony plan aż do ostatnich szczegółów. Nie zaniedbali też żadnej sposobności, by się starać wprowadzić go w życie. Między innymi wykorzystując obchód 50-lecia założenia kamienia węgielnego pod teatr narodowy w Pradze, urządzili od 13 do 17 maja 1918 r. nakładem ogromnych wysiłków i zabiegów wielki zjazd przedstawicieli wszystkich narodów słowiańskich pod panowaniem austriackim, a także i spoza granic państwa, między nimi Rosjan. Na zjazd ten zaprosili i nas Polaków.

Na dzień wyznaczony oprócz mnie przybyli: poseł Tetmajer, prof. Głabiński, Aleksander Skarbak, poseł Adam Moraczewski i Hipolit Sliwiński. Oprócz posłów przybyło do Pragi około 60 Polaków z różnych części kraju, przeważnie ze Lwowa i Krakowa, a pomiędzy nimi Limanowski, Kasprowicz i malarz Stasiak. Polacy z Królestwa nie przybyli wskutek zakazu.

Nie przybyli też Serbowie Łużyccy, gdyż rząd niemiecki odmówił im zezwolenia. Nieobecni również byli Ukraińcy. Bardzo licznie natomiast stawili się przedstawiciele wszystkich innych narodów słowiańskich. Słoweńców reprezentowali: poseł dr Rybarz, dr Pogacznik, dr Rawnihar, dr Iwan Tawczar i kilkudziesięciu innych. Z Chorwatów byli: Poseł Stefan Radicz, Walerian Pribicevicz, dr Budislavievic, z Dalmacji dr Tresic-Pavicic, poseł Vukotic, z Istrii dr Laginia i Spincic. Włochów przyjechało ośmiu z posłem Concim na czele. Przybyło oczywiście sporo Słowaków ze znanym poetą Hwiedzosławem.

Zaraz po przybyciu do Pragi politycy czescy poinformowali nas lojalnie, że urządzana uroczystość jest tylko parawanem dla zmylenia czujności policji, oni zaś pragną ją jak najbardziej wyzszykać dla spraw wspólnych. Opowiadał mi jeden z posłów znajomych, że Czesi urządzili się w ten sposób, iż bardzo często wysuwają do pracy politycznej ludzi w polityce mniej zaangażowanych. Ci zaś z jednej strony mają kontakt z czeską Radą Narodową w Paryżu, z drugiej z politykami czynnymi na miejscu, z Kramarzem, Svehłą, Stankiem, Zahradnikiem, Soukupem, Raszinem, Klofaczem itd. Ten niby niepolityczny komitet stanowią: pisarz Jarosław Kvapil, dr Pospisil, dr Heller i kilku innych. Mimo tak sprytnie urządzonej sprawy, rząd widocznie był zaniepokojony, choć go ze strony policji praskiej uspakajano, że to całkiem niewinna uroczystość. Czesi zauważyli, że w ostatnich dniach rząd zwiększył czujność, gdyż przysłał specjalnego delegata z Wiednia, wojsku zakazał wychodzić na ulicę, wydał zarządzenia, uniemożliwiające gromadzenie się tłumów.

Uroczystość samą podzielono na dwie części. Jedna z nich miała nosić charakter wyłącznie kulturalny i odbywać się publicznie, drugą miały stanowić poufne narady. Już jednak w pierwszym dniu zebrały się na ulicach Pragi tak olbrzymie tłumy, jakich podobno nigdy przed tym nie widziano. Z tłumów tych dość gęsto słychać było nieprzyjazne okrzyki przeciw rządowi i Austrii, a równocześnie wołania: „Niech żyje prezydent Masaryk!”.

Z Polaków przemawiali wszyscy posłowie, a oprócz nich Limanowski i Kasprowicz. Czesi wcale nie taili, że to zebranie uważają za dalszy ciąg Kongresu Narodów Słowiańskich, który się odbył w Rzymie w pierwszej połowie kwietnia 1918 r. Widząc, że

zjazd może mieć bardzo poważne następstwa i że Czesi będą go chcieli zdyskontować wyłącznie dla siebie wobec koalicji, zachowałem w przemówieniu dużą ostrożność, zwracając uwagę na tę stronę Tetmajerowi.

Ponieważ po zjeździe rozgłaszano rozmaite plotki, jakobyśmy mieli z Czechami robić jakieś układy, dotyczące Śląska Cieszyńskiego, a nawet rzekomo mieli je podpisać, zaznaczam, że o tych sprawach nie było żadnej mowy, gdyż Czesi się do nas nie zwracali, ani my do nich. Czy rozmawiali na ten temat z przedstawicielami innych stronnictw polskich, nie wiem, choć sądzę że raczej nie, gdyż nie zauważyłem tendencji do podobnych rozmów u nikogo.

C z ę ś ć V I I I

UPADEK AUSTRII I POLSKA KOMISJA LIKWIDACYJNA

Położenie

Chociaż na pozór monarchia austriacka trzymała się jeszcze jako całość, to jednak jej budowa zaczęła się coraz wyraźniej rozluźniać. Wiadomości o stosunkach wewnętrznych, często jeszcze grubo przejęskrawione, przedostawały się do wojska, na front. Ponieważ brzmiały one beznadziejnie, było rzeczą naturalną, że żołnierz w tych warunkach nie widział już celu wojowania, pragnąc jak najprędzej odpocząć. Na zbliżającą się katastrofę nie trzeba było długo czekać. Wiadomość o oderwaniu się Bułgarii od państw centralnych podziałała jak piorun z jasnego nieba. Wśród Niemców austriackich zaczęło się przejawiać wyraźnie coraz większe zniechęcenie i zwątpienie, spotęgowane jeszcze różnymi brakami, dającymi się coraz bardziej we znaki. U narodów słowiańskich widać było otuchę i wzrastającą pewność siebie. Parlament austriacki wprawdzie jeszcze obradował, budżet przy wielkim nacisku rządu i różnych zabiegach i obietnicach został uchwalony, maszyna państwowa na pozór funkcjonowała normalnie. Jednak mimo tego wszystkiego wiązania państwowe zaczęły się łamać. Przeprowadzane zmiany rządu nie zdały się na nic. Poprawy nie przyniosły rozpaczliwe wysiłki, robione przez rozmaitych austriackich mężów stanu. Klęski na froncie przypieczętowała bitwa nad Piawą, gdzie armia austriacka została przez wojska koalicyjne prawie w puch rozbita. Niemcom na zachodzie po wielkich wysiłkach, a nawet sukcesach, powodziło się coraz gorzej. W parlamencie przepowiadano ich kapitulację, oczekując jej z dnia na dzień.

Posłowie niemieccy w parlamencie chodzili jak nieprzytomni. Widać u nich było żal, gorycz, a u niektórych rozpacz i

gniew tłumiony. Nierzadko prowadzili, szczególnie z Czechami ostre i gwałtowne spory. Nie pomyłono się w przepowiedniach, gdyż wypadki postępowały z niesłychaną szybkością. Prezydent ministrów, Husarek, ustąpił ze swego stanowiska. Nominacja nowego rządu mówiła bardzo wiele, gdyż cesarz Karol powierzył kierownictwo w nim prof. Lammaschowi, znanemu z bardzo pacyfistycznych poglądów. Nowy prezydent ministrów starał się usilnie wciągnąć do swojego rządu przedstawicieli narodów słowiańskich, a pomiędzy nimi i Polaków, tłumacząc się jak najlepszą wolą i objawiając gotowość do ustępstw jak najdalej posuniętych. Jego usiłowania nie przyniosły jednak żadnego rezultatu. Wielkie państwo austriackie ginęło w oczach wszystkich, ale nikt nie chciał podjąć się ratunku. Prof. Lammaschowi pozostała jedynie misja celebranta przy pogrzebie potężnego cesarstwa, które padało pod surowym wyrokiem dziejowej konieczności. Każdy z powładnych mu dotąd krajów zaczął się organizować państwowo, starając się zabrać jak najwięcej z dawnych, starych skarbów. Największa część ruchomego spadku przypadła Czechom i południowym Słowianom, którzy byli bliżej południowego frontu, składów i taborów. Dla nas niewiele zostało, a jeszcze mniej doszło.

Narady Klubu

W parlamencie nastąpiło nie dające się opisać zamieszanie. Przeniosło się ono, choć w niewielkiej mierze i na Koło polskie. Nic zresztą dziwnego. Ogrom wrażeń, gwałtowne zmiany, niepewne jutro. Po wspólnej naradzie postanowiliśmy natychmiast wyjechać z Wiednia, żeby się zająć organizacją początków życia państwowego w Galicji. W czasie tej narady widziałem u niektórych posłów jakiś żal, niepokój, a nawet łzy. Nie umiałem sobie wytłumaczyć, czy to pochodziło z radości, czy obawy i smutku.

W Galicji panował jeszcze stosunkowo może największy spokój. Tłumaczyło się to tym, że katastrofa armii austriackiej nastąpiła daleko od naszego kraju i że wojsko, którego w Galicji stało bardzo wiele, trzymało zrywające się społeczeństwo w ryzach, a wszystkie ruchliwsze żywioły znajdowały się w służbie wojskowej lub były internowane. Administracja galicyjska jak dawniej odbierała rozkazy z Wiednia spełniając je sumiennie. Z początku października nie odczuwało się jeszcze tych wstrząsów, po których w gwałtownym tempie miały nastąpić przewroty, w historii prawie niewidziane.

Dla powzięcia koniecznych postanowień i zajęcia stanowi-

ska zwołałem posiedzenie klubu poselskiego i zarządu głównego PSL do Krakowa. Wynikiem długich, często gorących narad, było postanowienie wystąpienia zbrojnego w razie potrzeby i przejęcia władzy w kraju w swoje ręce w porozumieniu z innymi stronnictwami, aż do czasu formalnego rozstrzygnięcia przynależności państwowej Galicji. Zorganizowanie potrzebnych sił zbrojnych z ramienia stronnictwa powierzono jednemu z wybitniejszych oficerów, który też przedstawił zaraz plan działania poprzednio przygotowany. Prawdę powiedziawszy, ani planu tego nie wprowadziliśmy w życie, ani oficer ów więcej się nim nie zajmował, gdyż wypadki poszły drogą, której nie przewidzieliśmy.

Bojko

Na tym posiedzeniu klubu zdarzył się równie znamieny jak i nieprzewidziany przykry incydent. Przeciwno uchwale powziętej przez klub poselski i Zarząd Główny PSL, polecającej członkom stronnictwa wziąć czynny udział przy rozbrajaniu austriackich żołnierzy i tworzeniu polskiej siły zbrojnej jak i zorganizowania nowych władz, oświadczył się ówczesny prezes Stronnictwa, poseł Bojko. A kiedy mimo to uchwała przeszła prawie jednomyślnie, zerwał się gwałtownie z miejsca, zaprotestował słowami: „Gdzie bunt, tam mnie nie ma” i wyszedł za drzwi niezwykle wzburzony, aby już na posiedzenie w dalszym ciągu trwające, mimo zachęcania go, nie powrócić.

Ośłupieliśmy wszyscy, gdyż postępowania Bojki nikt nie mógł zrozumieć, tym bardziej, że już było wiadome wszystkim, a więc i Bojce, że Rada Regencyjna w Warszawie w osobach arcybiskupa Kakowskiego, ks. Zdzisława Lubomirskiego, Józefa Ostrowskiego w dniu 7 października proklamowała utworzenie niepodległego państwa polskiego, obejmującego wszystkie ziemie polskie z dostępem do morza, jako też terytorialną nienaruszalnością, „co przez traktaty międzynarodowe zagwarantowane być miało”. Równocześnie postanowiła ona powołać rząd złożony z przedstawicieli najszerzych warstw narodu i kierunków politycznych. Spodziewać się przecież należało, iż Bojko wiedział, że Galicja do ziem wymienionych należała.

Narady stronnictw

Niebawem odbyło się posiedzenie przedstawicieli wszystkich parlamentarnych stronnictw polskich. Na tym posiedzeniu upo-

ważniono mnie jako przewodniczącego najliczniejszego klubu parlamentarnego do zwołania wszystkich posłów polskich z Galicji, celem powzięcia postanowień wobec wypadków, jakie zaszły i jakich należało się spodziewać. Posiedzenie to zostało zwołane na 28 października 1918 r. w Krakowie, do sali magistratu, w której jeszcze żyły echa obrad i rozbitcia Koła sejmowego w r. 1917.

Obrazy były bardzo gorące, niekiedy nawet burzliwe. Główny powód stanowiła różnica poglądów na utworzony przez Radę Regencyjną rząd Świerzyńskiego w Warszawie. Socjaliści dowodzili, że był to rząd jednostronny, złożony z samych zwolenników Narodowej Demokracji. Myśmy się zbytnio tym nie przejmowali. Nie było również jednomyślności co do wyboru siedziby utworzyć się mającego ciała o charakterze tymczasowego rządu dla Galicji. Po długich sporach, już bardzo późną nocą, uchwalono rezolucję stwierdzającą, że ziemie polskie znajdujące się dotąd w obrębie monarchii austro-węgierskiej należą do państwa polskiego. Dla tych ziem postanowiono utworzyć Polską Komisję Likwidacyjną, złożoną z 22 posłów, wybranych według klucza partyjnego i jednego przedstawiciela Śląska Cieszyńskiego.

Polska Komisja Likwidacyjna

Utworzona w ten sposób P.K.L. miała objąć cały zarząd administracji państwowej w zaborze austriackim. Wobec wyłaniających się trudności upoważniono prezydium, składające się z posłów: dr Tertila, Aleksandra Skarbka, Wincentego Witosa i ks. Józefa Londzina ze Śląska do wykonywania najpilniejszych czynności. Spory w łonie samym polskich stronnictw, niezdecydowanie socjalistów, zbytnie oglądanie się na Warszawę narodowych demokratów i konserwatystów ogromnie opóźniły i utrudniały pracę. Tymczasem zaraz po manifeście cesarza Karola z 16 października, zapowiadającym przebudowę Austrii na państwo związkowe, zebraли się politycy ukraińscy 18 października we Lwowie i utworzyli tam Radę Narodową pod przewodnictwem adwokata Petruszewicza jako władzę naczelną. Miała ona ponadto stanowić konstituantę dla Ukraińców, zamieszkałych w dawnych granicach państwa austro-węgierskiego. Następnego dnia zjazd Ukraińców powziął uchwałę, domagającą się utworzenia państwa ukraińskiego ze wschodniej Galicji, Łemkowszczyzny, Bukowiny i północnych Węgier. Wezwał także Polaków i Żydów do obesłania tej rady swoimi delegatami. Uznał przy tej sposobności Żydów za osobny naród.

Śląsk Cieszyński zorganizował się wcześniej, bo jeszcze 17 października została tam utworzona Rada Narodowa, na czele której stanęli: ks. Józef Londzin, dr Jan Michejda, Tadeusz Regier i Paweł Bobek.

Te wypadki, w pierwszym rzędzie niebezpieczeństwo ukraińskie przyczyniło się do zgodniejszego i natychmiastowego działania. Przejęto formalnie władzę cywilną i wojskową, wezwano ludność do zachowania porządku i spokoju, a wojsko do poddania się rozkazom brygadiera Roji, który został zamianowany komendantem polskiej siły zbrojnej na tym terenie. Przejęcie władzy w całym kraju odbyło się spokojnie i bezkrwawo. Niebezpieczeństwo miał stanowić Kraków, mający liczną załogę wojskową, składającą się w znacznej części z żołnierzy narodowości niepolskiej. Zaczęto działać według przygotowanego planu.

Poseł Skarbek zaprosił przedstawicieli austriackich władz wojskowych do ratusza celem zażądania od nich dobrowolnej kapitulacji. Poseł Tetmajer równocześnie zawiadomił i uprzedził gen. Roję, aby był gotowy na wszelki wypadek. W czasie gdy na ratuszu załatwiano gorączkowo różne sprawy, wszedł do pokoju gen. austriacki Benigni z szefem sztabu płk. Grimmem, ppłk. Morawskim oraz kilku innymi oficerami, towarzyszącymi komendantowi twierdzy krakowskiej, gen. Benigniemu. Równocześnie przybyło kilku członków P.K.L. i oficerów-Polaków.

Rozpoczęły się pertraktacje. Poseł Skarbek zażądał bezwzględnego poddania się władzom polskim i oddania wszystkich obiektów wojskowych w ich ręce. Gen. Benigni wyglądał na mocno przygnębionego i zachowywał się niemal biernie. Inni oficerowie dość głośno i ostro protestowali. Między nimi ppłk. Morawski wyciągnąwszy rewolwer oświadczył, że chociaż jest Polakiem, jednak jako oficer nie może składać broni, nie będąc zwolniony od przysięgi wojskowej. Każdego, kto by mu broń chciał odebrać, położy trupem, a potem siebie zastrzeli. Trochę się zreflektował, gdy podszedł do niego poseł Lasocki, podając mu do przeczytania pismo ministra wojny, skierowane do b. prezesa Koła, dr. Tadeusza Tertila.

W międzyczasie zebrała się w korytarzu spora ilość oficerów Polaków, oczekujących na wynik rozmowy. Byli oni silnie wzburzeni i podnieceni, chcąc siłą rozbroić opornych oficerów austriackich. Na prośbę Lasockiego zamiaru tego zaniechali. Jednak widok, a może liczba oficerów polskich podziały na austriackich sztabowców, gdyż zaraz zaczęli omawiać warunki kapitulacji, które spisał poseł Grzędzielski. Za parę chwil zjawił się bryg. Roja w mundurze legionowym, przedstawiając się oficerom austriackim jako dowódca polskiej siły zbrojnej. Poseł Skarbek

oznajmił im w końcu, że muszą pozostać na ratuszu tak długo, dopóki bryg. Roja nie odbierze w posiadanie polskich władz wszystkich obiektów wojskowych i nie przeprowadzi rozbrowienia, gdzie ono będzie potrzebne. Silny garnizon, złożony przeważnie z Niemców, Węgrów i Rusinów rozbrojono bez żadnego oporu. Żołnierze Czesi zajęli stanowisko bardzo przychylne dla nas.

W Krakowie pozbywano się gwałtownie wszystkiego, co niemieckie i co przypominało austriackie panowanie. Przybywszy dopiero popołudniu tego dnia do Krakowa, skutkiem późnego doręczenia mi telegramu, razem z Daszyńskim, Skarbkiem i Tertilem objęliśmy imieniem P.K.L. władzę, wydając zaraz odezwę do wojska, by się poddało rozkazom bryg. Roji, a do ludności wezwanie do zachowania spokoju, godnego tej wielkiej chwili, jaką przeżywamy.

W Krakowie panował nastrój podniosły i świąteczny, nie zamącony w tym dniu żadnym wykroczeniem. W tym samym dniu ogłoszono usunięcie Habsburgów z tronu i proklamowano utworzenie Republiki Austriackiej, składającej się przeważnie z ziem niemieckich, w skład państwa austriackiego onegdaj wchodzących.

W tych wielkich, decydujących momentach, wymagających wiele odwagi, siły woli, poświęcenia i taktu, odznaczyli się szczególnie posłowie Lasocki, Skarbek i Tetmajer. Pisząc to, nie chcę obniżać zasług bezsprzecznych innych polityków. Wyznaję bez wstydu, że ja do tych najczynniejszych nie należałem.

Po różnych przeszkodach i trudnościach bezustannie się wyłaniających, nareszcie 4 listopada 1918 r. doszło do ukonstytuowania się formalnego P.K.L. i wybrania prezydium złożonego z posłów Moraczewskiego, dr. Tertila i Ptasia. Mnie wybrano przewodniczącym.

Naczelnikami dwunastu działów administracji zostali:

Wydziału administracyjnego szefem	pos.	zast.	pos.
wojskowego	pos. Lasocki,	pos. Rymar	pos. Rymar
rolnictwa	pos. Tetmajer,	dr. Rowiński	dr. Rowiński
robót publicznych	pos. Długosz,	dr. Skalski	dr. Skalski
sprawiedliwości	inż. Kędzior,	pos. Tabaczyński	pos. Tabaczyński
skarbowego	dr. Ptaś,	pos. St. Biały	pos. St. Biały
komunikacji	dyr. Schmidt,	dr. Bardel	dr. Bardel
aprowizacji	M. Starzewski,	pos. Ig. Wróbel	pos. Ig. Wróbel
opieki społ.	pos. Moraczewski,	Wł. Kucharski	Wł. Kucharski
górnictwa	dr. Bobrowski,	dr. Nowicki	dr. Nowicki
przem. i handlu	dr. Diamand,	pos. Stapiński	pos. Stapiński
oświaty	pos. Zieleniawski,	Doerman	Doerman
	pos. Ig. Rychlik,	Krajewski	Krajewski

Ponieważ jako przewodniczący nie dostałem żadnego przydziału, a posiedzenia plenarne P.K.L. odbywały się niezbyt często, mając sporo czasu, używałem go na liczne wyjazdy w różne okolice kraju, co wobec rozgardiaszu i wzmagającej się w niektórych powiatach anarchii, okazało się niezwykle potrzebne. Szczególny niepokój dawał się odczuwać w powiatach, w których działali ks. Okoń i późniejszy bolszewik kpt. Dąbał. Teren przez nich zawojowany ograniczał się do powiatów tarnobrzeskiego, kolbuszowskiego i częściowo mieleckiego. Niepojęte się wydawało, że jeszcze tak niedawno stojący na wysokim poziomie kultury powiat tarnobrzeski dał się pociągnąć do gwałtów i anarchii, a jeszcze dziwniejsze, że b. poseł Wiącek, znany działacz narodowo-demokratyczny, prowadził tę robotę razem z Dąbałem i Okoniem. Ekscesy antyżydowskie wybuchły w wielu częściach kraju, na większą skalę zaś w Zakliczynie, Mszanie Dolnej, Brzesku, Trzebini, Jaworznie i kilku innych miejscowościach. Nie wszędzie jednak miały one ten charakter, bo w różnych miastach rabowano także sklepy kupców katolickich. Nie pominięto też bogatszych gospodarzy wiejskich.

Utrzymanie zupełnego spokoju i porządku było rzeczą niezmiernie trudną, niemal że niewykonalną. Za dużo było krzywd i nagromadzonej wskutek tego palącej nienawiści. Chłopi i robotnicy mieli głębokie żale do do urzędów, dworów, żandarmerii. Bardzo wielu ludziom było trudno nagiąć się do nowych form życia i zmienionych warunków. Dzika demobilizacja dostarczyła masę rozhukanego i zdemoralizowanego elementu, który się nie liczył z niczym, chciał sobie pohulać, nie rozumiejąc powagi chwili i nie chcąc uznać obowiązków na wszystkich spadających. Podniecany przez agitatorów stawał się niesłychanie niebezpieczny.

W niektórych powiatach, szczególnie lesistych, grasowały silne „zielone brygady”, które się potworzyły jeszcze za rządów austriackich ze zbiegłych z wojska żołnierzy. Ukrywali się oni też całymi miesiącami po domach, stodołach, lasach, urządzając rabunkowe wyprawy. Najczęściej ich ofiarą padali wioskowi Żydzi.

Żydzi

Zagadnienie żydowskie wystąpiło z całą gwałtownością. Nie było ono niespodzianką. Jeżeli jeszcze przed wojną miała ludność wiele powodów do niechęci do Żydów, to w czasie wojny nagromadziło się tych powodów więcej. Nastrój niechętny dla Żydów potęgował się jeszcze w miarę przeciągającej się wojny światowej, dochodząc do punktu kulminacyjnego w ciągu ostatnich miesięcy.

Przyznać trzeba, że Żydzi sami dostarczyli do tego wiele i istotnych powodów. Na nich zrzuciła ludność odpowiedzialność za nędzę i cierpienia przebyte, oni ją bowiem szpiegowali i donosili, prowadząc nieraz pod szubienicę. Stąd utarło się przekonanie, że Żydzi pozostają w ścisłym porozumieniu z władzami niemieckimi i austriackimi, występując razem wrogo przeciw Polakom. Widziano też, że ciesząc się specjalnymi względami tych władz, zarabiają grube pieniądze na dostawach wojskowych. Zarzucano im stale, że się uchylają od służby wojskowej, co się odbija na ludności polskiej, że w bezpiecznych miejscach zajmują liczne stanowiska tak w wojsku, jak i w urzędach, działając nieraz na szkodę ludności. Jeżeli już w wojsku się znaleźli, to się lokowali na tyłach i etapach, prowadząc przeważnie różne interesy.

Żołnierze nieraz się skarżyli, że pełniący służbę sanitarną Żydzi Polaków traktowali gorzej od żołnierzy innych narodowości. Nic też dziwnego, że pragnienie zemsty w dołach było podsycane, a kiedy przyszła sposobność, chciano tej zemsty dokonać. Rzecz naturalna, że nie myślała o tym świadoma i odpowiedzialna część społeczeństwa.

Żydzi sami wiedzieli, że nie są bez winy, obawiali się też, że wzburzona ludność nie będzie ich zbyt oszczędzać. Alarmowali władze krajowe, choć się jeszcze nic nie działo, a oczywiście krzyczeli donośnie, gdy szumowiny zaczęły się do nich dobierać. Wysyłali ustawiczne oskarżenia za granicę. Nie liczyli się z tym, że Polska Komisja Likwidacyjna ma bardzo ciężkie zadanie. Z jednej strony bowiem musiała ona liczyć się z nastrojem i odruchami ludności, z drugiej miała obowiązek utrzymania bezwzględnej spokoju. Nie cofnęła się przed niczym, a nawet wprowadzeniem sądów doraźnych i wysyłaniem ekspedycji karnych do wielu miejscowości. Zarządzenia te, jakkolwiek były konieczne, wywołały wśród ciemnej, a przy tym podburzanej przez agitatorów ludności przekonanie, że P.K.L. trzyma z Żydami, gnębiąc dręczonych chłopów razem z nimi. Sam osobiście zauważyłem to np. w powiecie kolbuszowskim, że chłopci niemniej wrogo byli usposobieni do P.K.L. jak i do Żydów. Był to niezawodnie w dużej mierze plon niesumiennej agitacji różnych wicherzycieli, ale nie da się zaprzeczyć, że grunt swoim postępowaniem przygotowali Żydzi. Zresztą robili oni to nie tylko w Galicji.

Do Lwowa

W czasie gorączkowej pracy nadeszła ze Lwowa niepokojąca wiadomość, że Ukraińcy przygotowują się do zbrojnego napadu,

mającego za cel zajęcie Lwowa, Małopolski wschodniej i nawet środkowej. Jakkolwiek nikt temu nie dawał wiary, to jednak na wszelki wypadek Prezydium Koła postanowiło wysłać jednego z członków do Lwowa. Wybór padł na mnie. Wyjechałem tam 31 października z Krakowa wieczornym pociągami.

Przybywszy do Lwowa na drugi dzień rano, odbyłem liczne konferencje z różnymi osobistościami ze świata politycznego i urzędniczego o stosunkach tamtejszych. Rozmawiałem pomiędzy innymi z prezydentem miasta Lwowa, Neumanem, dyrektorem policji Reinlaenderem, redaktorem Voglem, dr. Aleksandrem Raczyńskim, późniejszym ministrem, posłem i sekretarzem Izby przemysłowo-handlowej, Władysławem Stesłowiczem, prof. Julianem Nowakiem, a ponadto z kilku bliższymi przyjaciółmi politycznymi.

Kiedy oznajmiłem, co jest rzeczywistym powodem mojego przybycia do Lwowa i zwróciłem uwagę na krążące, niepokojące wieści, wszyscy stwierdzili jednomyślnie, że nie mają one żadnej podstawy, a miastu i tej części kraju nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Ukraińcy do wystąpienia zbrojnego nie są zdolni i nie przygotowują się. Upewnili mnie całkowicie zaznaczając, że nie ma najmniejszej potrzeby podejmowania jakichkolwiek kroków zapobiegawczych, ani wzmacniania czujności ze strony polskiej.

Namiestnik Huyn

W czasie, kiedy w biurze Nowaka rozmawiałem z nim, zgłosił się do mnie urzędnik Namiestnictwa z listem od ówczesnego Namiestnika Galicji, gen. Huyna. List przeczytałem dość gorączkowo, zdziwiony jego treścią. Gen. Huyn prosił mnie do siebie na rozmowę. W pierwszej chwili zaproszenie owo wydawało mi się trochę podejrzanę. Co chce ode mnie ten generał? Obawiając się, czy się coś w tym nie kryje, nie miałem ochoty pójść do Namiestnika, ale po krótkim namyśle zdecydowałem się jednak iść, zachęcony jeszcze opinią prof. Nowaka, który uważał Namiestnika Huyna za przyzwoitego człowieka. Spodziewałem się zresztą od niego wiadomości, dotyczących Lwowa.

W poczekalni spotkałem kilku znanych mi wschodnio-galicjskich szlachciców, oczekujących na przyjęcie. Mimo że ja przyszedłem znacznie później od nich, a w Namiestnictwie przestrzegano bardzo ściśle kolejności, Namiestnik poprosił mnie natychmiast do siebie, nie patrząc prawie na zdziwionych szlachciców, między którymi znajdowało się dwóch posłów sejmowych. Uderzyło mnie też zaraz na wstępie jego niezwykle zachowanie się, gdyż wbrew

przyjętemu zwyczajowi wyszedł do mnie do poczekalni i z wyszukaną grzecznością wprowadził mnie do swojego gabinetu, znajdującego się aż w trzecim pokoju. Zauważyłem, że czekający interesanci nabrali nadzwyczajnego wyobrażenia o mnie i o mojej misji, bo gdy powracałem od Namiestnika odnosili się do mnie z bardzo wielkim szacunkiem. W innych warunkach byliby zapewne nie spojrzeli w moją stronę.

W samym Namiestnictwie widać było daleko idące zmiany. Tak urzędnicy, jak i służba, wyglądali dziwnie niepewnie i lękliwie, jakby w oczekiwaniu jakiegoś nieszczęścia. Z dawnej pewności siebie i buty, a często wyrachowanej grzeczności nie zostało ani śladu. Gruntowną zmianę dało się widzieć w usposobieniu samego Namiestnika. Wchodząc do jego gabinetu, miałem wciąż jeszcze obawę, czy nie ma wobec mnie jakichś ukrytych zamiarów. Kiedy zaczął mówić poznałem, że rzecz ma się zupełnie inaczej.

„Ekscelencja życzył sobie mojego przybycia, czym więc mogę służyć?” — rozpocząłem rozmowę. „Bardzo pana przepraszam, że sobie na to pozwoliłem, ale pragnąłem się z panem zobaczyć od chwili, gdy się tylko pan dostał do Lwowa — odrzekł Namiestnik — nie chciałem zaś pana poszukiwać w mieście”.

„Skąd Ekscelencja wiedział o moim przybyciu, kiedy ja przyjechałem zupełnie incognito nie meldując się nigdzie?” — zaznaczyłem. „Od czegoś byłbym Namiestnikiem, bym nie wiedział, co się koło mnie dzieje? Wiadomość o pańskim przyjeździe miałem wcześniej niż pan wyjechał do Lwowa” — odpowiedział mi z dość swobodnym uśmiechem. „Czy można by wiedzieć jaką drogą — zapytałem. „Bardzo prostą i wypróbowaną, od policji”.

Ponieważ ja nie stawiałem dalszych pytań zamilkł na chwilę, siedząc oparty o biurko. Następnie zaczął mówić o rzeczach obojętnych, zdążając widocznie drogą okrężną do właściwego przedmiotu rozmowy. Widziałem, że był zdenerwowany i niespokojny, choć usiłował panować nad sobą. Głos mu drżał dość silnie, często coś powiedział prawie bez związku, przepraszając mnie i usprawiedliwiając się zmęczeniem, przepracowaniem i ciężkimi, osobistymi przejściami. Wyglądał na człowieka, który niespodziewanie znalazł się w ciężkiej sytuacji, jakiej nie przewidywał. Mogłem to spostrzec od razu, gdyż widziałem go zawsze bardzo pewnego siebie. Po pewnym czasie opanował się zupełnie, odzywając się do mnie: „Pan zapewne jest lepiej ode mnie poinformowany o wypadkach, jakie nastąpiły w ostatnich tygodniach i o sytuacji wytworzonej w świecie. Ja widzę, niestety, że państwo austriackie rozpada się zupełnie i nie ma najmniejszej nadziei, żeby je utrzymać. Nie chcę mówić z czyjej winy się to dzieje, ponieważ wszystko spóźnione. Pan wie o tym dobrze, że dla Polaków nie

byłem nigdy wrogiem. Natomiast starałem się być ich przyjacielem i mam głębokie przekonanie, że chyba nigdy na mnie narzekać nie będą. Do Stronnictwa Ludowego odnosiłem się zawsze z wielką życzliwością, robiąc dla niego wszystko, co się dało w tak ciężkich warunkach zrobić. Z pochodzenia ja wcale nie jestem Niemcem, byłem tylko w służbie austriackiej. Przyznam się panu, że obecnie nie wiem, co z sobą mam zrobić? Podejrzewają mnie Polacy. To samo robią Rusini. Dotąd władze i wojsko stosowały się do moich rozkazów, obawiam się jednak, że się to może w każdej chwili skończyć. Do pana mam tylko jedną prośbę, mianowicie pragnąłbym szczerze, żeby Polacy nie zapomnieli, co robiłem dla nich i jak się do nich odnosiłem. Może zajdzie potrzeba, że ja się do panów będę zmuszony zwrócić. Wiem, że pan ma wiele do powiedzenia i że od pańskiej woli dużo zależy teraz, proszę więc pamiętać, jeśli się kiedyś przypomnę. Chociaż nie wiem, czy się tu długo da utrzymać spokój, radziłbym, aby się pan do dnia jutrzejszego zatrzymał we Lwowie, bo może zajdzie potrzeba porozumienia i rozmowy”.

Muszę przyznać, że ta jego spowiedź wywarła na mnie dość przynębiające wrażenie. Był to bądź co bądź dygnitarz, który przed paru tygodniami trząśł niepodzielnie największym w monarchii austriackiej krajem, jakim była Galicja i któremu zapewne nigdy nie przyszło na myśl, że będzie zmuszony szukać u kogoś rady i pomocy. Odpowiedziałem mu bardzo krótko, że z przyjemnością uznaję jego stanowisko i przychylność Polakom okazaną osobiście, zapewniając, że i Polacy czynami udowodnili, że umieją ocenić jego pracę i przychylność, z jaką się podczas swego urzędowania do ludności odnosił. Wiem, że nie wszystko mógł zrobić, co uważał za dobre. Mogłem to powiedzieć mu tym łatwiej, że mimo wszystko postępowanie jego pod wielu względami było bez zarzutu.

Dalsza rozmowa się nie kleiła, gdyż gen. Huyn był coraz bardziej zdenerwowany, ja nie miałem mu nic więcej do powiedzenia, pożegnałem go i poszedłem nie chcąc korzystać z auta, które mi ofiarowywał. Ponieważ mnie jego pytanie o czas wyjazdu trochę intrygowało, skłamałem twierdząc, że się prawdopodobnie wybiorę ze Lwowa w dniu jutrzejszym. Rzecz naturalna, że o tym nie myślałem. Do mnie się gen. Huyn nie zwracał nigdy później, ale mi wiadomo, że zwracał się do Gałęckiego, który mu posyłał prowianty do Styrii, gdzie Namiestnik galicyjski zamieszkał, nie mając środków żywności.

Wychodząc z Namiestnictwa spotkałem w bramie znanego mi działacza społecznego i politycznego dr. J.G. idącego do Na-

miestnika z jakąś interwencją. Spojrzawszy na zegarek oświadczył, że swoją sprawę załatwi wieczorem, a teraz może mi towarzyszyć, jeżeli na to pozwolę. Oczywiście, że bardzo chętnie się zgodziłem. Po chwili rozmowy przypomniał sobie, że nie jadł obiadu i zaproponował, byśmy weszli do restauracji Lasockiego, gdyż nam nie wypada w czasie rozmowy wędrować po ulicach, tam zaś znajdziemy spokojny kąt. Za małą chwilkę przybył do nas Rozwadowski z młodszym od siebie towarzyszem, którego nazwiska nie zapamiętałem. Wiem tylko, że był posiadaczem dwóch mocno zniszczonych folwarków, położonych w powiecie złoczowskim, czy zborowskim i zabiegał bardzo gorliwie o ich odbudowę. Wszyscy trzej należeli do sfery ziemiańskiej i wszyscy byli zwolennikami Narodowej Demokracji.

Zorientowawszy się, kim są powiedziałem im o celu mej podróży do Lwowa, nie wspominając o bytności w Namiestnictwie i rozmowie z gen. Huynem. Była to duża niezręczność z mej strony, gdyż p. dr G., który mnie widział wychodzącego z Namiestnictwa nie wytrzymał, aby mnie nie zapytać po co tam chodziłem. Wtenczas im powiedziałem, co uważałem za potrzebne, zwracając się także o wiadomości do nich. Nie wiedzieli i oni nic konkretnego, a operując domysłami twierdzili, że się dzieje coś tajemniczego tak w Namiestnictwie jak i w policji, władze zaś odmawiają wszelkich wyjaśnień, lub oświadczają, że nic nie wiedzą. Według danych, jakie mają od swoich ludzi, kilku przywódców ukraińskich ma się od paru dni znajdować we Lwowie, gdzie odbywają poufne narady, nikt jednak nie wie, jakie mają zamiary. Pomiędzy chłopami ruskimi na wsi panuje pewne podniecenie, spowodowane prowadzoną już od dłuższego czasu agitacją, ale nie przedstawia się ona groźnie, a za jakiś czas jak zwykle przeminie.

Na moje pytanie czy nie mają obawy, iż na skutek głośzonych hasel i agitacji za samodzielnością państwową ukraińską, łączoną z korzyściami materialnymi, chłopci ukraińscy nie ruszą masowo, odpowiedzieli, że tego nie przypuszczają, chociaż nie brak wsi, które mogą się dać porwać. Sądzą, że autorytet władz dotychczasowych całkowicie wystarczy, aby ludność od podobnych wystąpień powstrzymać. Kiedy im zwróciłem uwagę, że władze są zniechęcone, a często także zupełnie niepewne, rozłożyli bezradnie ręce, zaznaczając, że dziś jeszcze wieczorem odbędą posiedzenie dla naradzenia się w tych sprawach. Udadzą się także do Namiestnika i zażądają od niego oświadczenia się i ścisłych informacji. Wierzą, że jest on człowiekiem przyzwoitym, a Polakom na pewno żadnego kawału nie zrobi. Widziałem, że się przy mnie pocieszali, ale byli bardzo zaniepokojeni, dopytując się o niektóre

szczegóły, na które nie mogłem odpowiedzieć. Rozeszliśmy się jednak niespokojni.

W drodze powrotnej

Po rozmowie z tymi panami udałem się jeszcze do prof. Nowaka, ażeby mu zakomunikować poczynione spostrzeżenia. Wbrew zaś radzie gen. Huyna, odprowadzony przez kilku znajomych na dworzec, wyjechałem około godziny 8-ej wieczór ze Lwowa nie pałając wielką wdzięcznością do tych, co mi niepotrzebną procesję urządzili. W przedziale, do którego wszedłem znajdowało się trzech jakichś panów prowadzących przyciszoną rozmowę. W Przemyślu wysiadło dwóch z nich, skinąwszy ręką na trzeciego, będącego na peronie. Rozmawiali z sobą aż do chwili odejścia pociągu, do którego wsiadł ów pasażer wraz z jednym z posłów ukraińskich, którego znałem z Parlamentu austriackiego. Do przedziału już wcale nie weszli, lecz rozmawiali cały czas na korytarzu, dopóki nie wysiedli razem w Jarosławiu. Z rozmowy ich tyle tylko wymiarkowałem, że osobnik jadący ze Lwowa dawał jakieś instrukcje, które tamci bardzo pilnie notowali.

Kiedy na drugi dzień rano 1-go listopada wychodziłem z wagonu w Krakowie, na peronie spotkałem się z wiadomością, że w nocy Ukraińcy opanowali Namiestnictwo, ratusz i szereg różnych urzędów, a następnie cały niemal Lwów. Generał Huyn miał się stać ich zakładnikiem. Podobno nie uczynili mu żadnej krzywdy, a nawet przykrości, lecz po kilku dniach drogą na Czerniowce wyprawili go do Wiednia. Za kilka miesięcy oznajmił mi jego przyjaciel, Gałeczki, że się znajduje w Solnogradzie. O jego roli we Lwowie jednak nie wiedział nic.

Miałem dość ugruntowane przekonanie, że mimo wszystko gen. Huyn był poinformowany o zamiarach ukraińskich i kto wie, czy nie współdziałał z nimi. Nie mogłem bowiem w żaden sposób zrozumieć, żeby urzędnik tej miary co on, mający w ręku pełnię władzy, rozporządzający doskonałym aparatem informacyjnym i szpiegowskim, tak cywilnym jak wojskowym, mógł nie mieć żadnych wiadomości o ruchu zakrojonym na tak wielką skalę, a niezawodnie dość długo i starannie przygotowywanym. Mniej oczywiście dziwić się można obywatelstwu, które istotnie nie przeczuwało niczego, a na parę godzin przed zajęciem Lwowa najwybitniejsi z nich twierdzili ze świętym przekonaniem, że się na nic nie zanosi. Co myśleć przy tym chociażby o lwowskiej policji?

Siedząc w więzieniu brzeskim w jednej celi z Ukraińcem,

b. posłem Aleksandrem Wiśłockim, dowiedziałem się od niego, jakoby tuż po moim wyjściu z pałacu Namiestnictwa 31 października 1918 r. zjawili się u hr. Huyna posłowie ukraińscy Petruszewicz i Konstanty Lewicki, wręczając mu odręczne pismo cesarza Karola, ze stanowczym nakazem oddania całej władzy cywilnej i wojskowej na terenie Galicji wschodniej w ręce Ukraińców. Nie wiem, o ile ta wiadomość odpowiadała prawdzie, natomiast na korzyść Namiestnika przemawia jego okólnik z 30 października 1918 r., wydany do władz jemu podległych, a także internowanie go przez Ukraińców, jakoby za niezbyt dobre obchodzenie się z nimi, wreszcie natychmiastowe usunięcie go ze Lwowa.

Niezbłążną znowu jest prawdą, czego i Wiśłocki nie taił, że władze wojskowe austriackie pomagały całą siłą Ukraińcom przeciw nam, oddając im do dyspozycji tak żołnierzy jak i sprzęt wojenny, amunicję i wszystko, co posiadali. Stwierdzono też, że przygotowywały one to znacznie wcześniej i celowo, a przy tym tak ostrożnie, że Polacy ich roboty nie tylko nie widzieli, ale jej się nawet nie domyślali.

Walka o Lwów i Małopolskę Wschodnią

Cały ciężar walki o Lwów i Małopolskę wschodnią w pierwszym jej okresie spadł na barki Polskiej Komisji Likwidacyjnej. Z wielkim wysiłkiem zorganizowała ona i wyprawiła niewielkie oddziały na obronę Lwowa. Następnie zarządziła pobór kilku młodszych roczników, który mimo że był to piąty rok wojny, odbył się w zupełnym porządku. Nim przysła odpowiednia pomoc, mieszkańcy Lwowa bronili się sami przez kilka tygodni i to wśród najcięższych warunków, jakie sobie można wyobrazić.

Młodzież polska na wieść o zamachu ukraińskim szła masowo na ochotnika bronić Lwowa i Małopolski wschodniej. Ofiary jej ciężkie nie poszły na marne. Lwów został oswobodzony, a w parę miesięcy później także cała wschodnia część tego kraju, przez Ukraińców zajęta. Nie stało się to jednak prędko, ani nie poszło gładko. W samej Komisji Likwidacyjnej nie było jednomyślności co do poboru, a nawet obrony Małopolski wschodniej. Pewna część socjalistów zachowywała w tej sprawie się tak, iż miało się wrażenie, że gotowi oni byli Małopolskę wschodnią oddać Ukraińcom, by uniknąć walki. Takie same stanowisko zajmował Stapiński, natomiast socjaliści pochodzący ze wschodniej części kraju opowiadali się za bezwzględną walką. Do nich się przylączył także dr Bobrowski z Krakowa.

Widząc, że wyniszczona przez wojnę Galicja, ogołocona z

majątku i ludzi, nie da sobie sama rady z inwazją ukraińską, popieraną przez Niemców, P.K.L. postanowił wysłać mnie i Kędziora do Piłsudskiego po jego powrocie z Magdeburga z przedstawieniem mu sprawy i żądaniem pomocy wojskowej. Pojechaliśmy i powróciliśmy z niczym. Okazało się, że dla Piłsudskiego Małopolska wschodnia była wtenczas krajem ruskim, którym nie powinniśmy się zajmować. Przyjął nas lekceważąco i dość niechętnie rozmawiał, wysuwając przeszkody zupełnie nieuzasadnione i nawet niepoważne. Później zmienił ten pogląd.

Głównym zadaniem było wystawienie odpowiedniej siły zbrojnej, by skończyć z rebelią, która w mniejszych i większych walkach pochłaniała mnóstwo ofiar i utrzymywała wielką połać kraju w anarchii i ogniu. Nie da się zaprzeczyć, że można to było uczynić wcześniej i mniejszymi ofiarami osiągnąć. Akcja zbrojna Ukraińców, jak to nadmieniałem, wspierana przez Niemców, miała dość duże powodzenie. W niedługim stosunkowo czasie zdołali oni zagarnąć całą niemal wschodnią Małopolskę, nie dotrzymując przy tym zawieranych umów.

Tak się stało w Przemyślu, gdzie zaprzestano walki i zawarto umowę, która jednak trwała tak długo, dopóki Ukraińcy nie poczuli się na siłach, uzyskawszy posiłki. Obronę Przemyśla prowadził gen. Puchalski. W naszych kołach panowało ogólne przekonanie, że on się tam bardzo niewyraźnie zachował. Rozmawiałem z nim przez telefon w chwili, gdy Ukraińcy już układ zerwali, a walki się toczyły na ulicach miasta. Donosił, że Ukraińcy mogą w każdej chwili miastem zawładnąć, pytał o instrukcje, dyrektywy, a przede wszystkim żądał wojskowej pomocy. Mówił głosem niepewnym i złamanym. Rozmowy nie dokończyliśmy, bo ją nam przerwali Ukraińcy, którzy się stali panami miasta. Jak się okazało oportunizm Puchalskiego i brak decyzji był powodem, że Ukraińcy układy zerwali, a w rezultacie tego Przemyśl zajęli. Dr Lieberman mówił mi w Brześciu, że na gen. Puchalskim, który formalnie był reprezentantem władz austriackich, Ukraińcy wymogli oświadczenie na piśmie, w którym on im odstąpił nie tylko całą Małopolskę wschodnią ze Lwowem, ale także i środkową, aż po Rzeszów i raczej był on austriackim oficerem, aniżeli Polakiem.

Przez pewien czas stanowił Lwów małą wolną oazę w morzu ukraińskiego zaboru. Kontakt z nim utrzymywano za pomocą linii kolejowej idącej z Krakowa, którą wielkimi wysiłkami potrafiono obronić. Ludność polska w Małopolsce wschodniej przechodziła piekło katuszy, znacznie gorsze niż w wojnie światowej. Barbarzyństwo ukraińskie przeszło tam wszelkie granice.

Dopiero po ciężkich zmaganiach, trwających przez kilka mie-

sięcy oswobodzono ten nieszczęsny kraj. Wielka rola w tych walkach i zwycięstwie przypadła armii gen. Hallera i pułkom poznańskim. Zreflektowany Piłsudski przysłał także znaczniejsze oddziały wojska, a nawet sam udał się na front. Ile mniej byłoby przelanej krwi polskiej, gdyby to uczynił był wcześniej. Dr Lieberman opowiadał, że to także była specjalna gra Piłsudskiego, szukającego popularności.

Jakkolwiek różnymi drogami chodziła ta sprawa, nikt nie może zaprzeczyć, że wcale niepoślednią rolę odegrała w niej Polska Komisja Likwidacyjna, która musiała nieść cały ciężar walki, dopóki pomocy nie zorganizowano, a nie było to łatwe, ani małe.

Polska Komisja Likwidacyjna i Komisja Rządząca we Lwowie

Zadania i praca P.K.L. były niesłychanie niewdzięczne i ciężkie. Nie należy bowiem zapominać, że był to okres, w którym wiązania starego porządku zaczęły gwałtownie pękać. Długoletnia wojna i jej wyniki, pogrom Austrii, przegrana Niemiec, rosyjski przewrót wywołały prądy, od których nie były wolne i państwa zwycięskie. Dezorganizacja życia gospodarczego, nędza i braki wytwarzały atmosferę, w której bardzo łatwo dochodziło do wybuchu najniższych instynktów. Niemało trudności robili także niektórzy politycy, zasiadający w Komisji, choć znali dobrze jej położenie i jeśli od kogo, to od nich należało wymagać nie tylko lojalności, ale i zrozumienia sytuacji i odpowiedzialności za przyjęte na siebie obowiązki, szczególnie w takich momentach. Tymczasem...

W czasie walki o Lwów wyłoniła się sprawa zasiłków dla rodzin żołnierzy, powołanych do wojska i wysłanych na obronę Lwowa. P.K.L. niewiele odziedziczyła gotówki, dochody jej były nikłe, a wydatki wielkie. Wobec tych braków postanowiono wstrzymać chwilowo wypłatę zasiłków, a kwotę stąd otrzymaną, wynoszącą około 40 milionów koron, oddać na obronę Lwowa, częściowo zaś na administrację. Rzecz naturalna, że i ja się na to zgodziłem, stawiając za warunek, że pieniądze te zostaną w najbliższym czasie zwrócone z dochodów, których się forsownie szukało, i wypłacone, komu należy. Tak się też stało.

Ponieważ w tym czasie zaczęły się już przygotowania do wyborów na Sejm Ustawodawczy, poseł Stapiński, który znowu ze stronnictwa wystąpił, uderzył na mnie w sposób niesłychanie oszczerczy i gwałtowny. Na wiecach przedwyborczych ośmielił się publicznie głosić, że rodziny powołanych nie otrzymują zasiłków dlatego, bo Witos ukraść 40 milionów na te cele przezna-

czonych. On się stał bogaczem, a chłopci cierpią nędzę. Powtarzał to za nim pojętny jego uczeń, Putek.

Ten przykład może chyba stwierdzić dostatecznie, jak ciężko było w tym okresie prowadzić pracę, gdy nawet tacy ludzie zdolni byli do podobnych rzeczy. Ich podkomendni poszli jeszcze dalej, występując już wyraźnie przeciw wojsku i poborowi. Ponieważ trzeba było dość długo nie tylko trzymać pod bronią starszych żołnierzy, ale powoływać nowych, dawało to różnym Stapińskim stały i skuteczny temat do agitacji, mimo tak trudnych warunków, jednak znakomita większość społeczeństwa zachowała się jak najprzykładnie.

Wskutek warunków, wytworzonych przez walkę z Ukraincami, okazała się konieczność połączenia P.K.L. z Komitetem rządzącym, jaki powstał we Lwowie, dla wschodniej części kraju jeszcze w listopadzie 1918 r. Trudność pewną przedstawiała sprawa siedziby tego połączonego ciała. Wszystkie niemal względy przemawiały za Lwowem, ale sprzeciwiali się temu socjaliści z obawy, że narodowi demokraci tam wszystkim zawładną. Po długich pertraktacjach i swarach załatwiono w ten sposób, że część agend pozostawiono w Krakowie.

Komisja Rządząca ukonstytuowała się 28 stycznia 1919 r., na podstawie rozporządzenia rządu z 10 stycznia t.r. Obowiązki swoje spełniała niezbyt długo, gdyż jej na to nie pozwolono. Demagogiczna, nie przebiegająca w środkach, a często bezmyślna walka, jaką prowadzono przeciw P.K.L., jak i Komitetowi Rządzącemu we Lwowie, spotęgowała się jeszcze przeciw Komisji Rządzącej. Wysuwane hasło zjednoczenia państwa było tylko wygodnym parawanem, zakrywającym właściwe cele. Główny jej przeciwnik, Stapiński, dążył do jej zniesienia, by w ten sposób podciąć wpływy Piasta, usunąć znenawidzonego Lasockiego i mniej jak najbardziej skompromitować. Sekundował mu Putek, dla którego burzenie było zawsze ulubionym i jedynym niemal zajęciem. Okoń, człowiek bez żadnych zasad, pragnął jedynie zemścić się na Lasockim, nie mogąc mu zapomnieć więzienia w Rzeszowie. Popierające ich „Wyzwolenie” karmiło się nadzieją, że po zniesieniu Komisji Rządzącej i usunięciu z przewodnictwa Lasockiego, znajdzie w Małopolsce grunt dla swojej roboty.

Socjaliści trzymali się w dużej rezerwie, u nas zdania były podzielone. Wszyscy stali na stanowisku unifikacji państwa, ale wielu przerażały warszawskie praktyki rządzenia, gotowe zniszczyć dla teorii niejedną wartość i dorobek. Ci byli gotowi przeciwstawić się zawsze agitacyjnej fali, inni uważali że walka jest niewskazana, ani celowa, raczej więc należy jej unikać. Ostatecznie więc zdecydowaliśmy się na pogrzebanie tej instytucji pod wa-

runkiem, że ją zastąpi inna, mająca za zadanie przygotowanie unifikacji, bez szkody dla kraju. Demokraci narodowi zajęli podobne stanowisko. Rząd nalegał.

W dniu 7 marca 1919 r. na zebraniu posłów małopolskich znaczną większością uchwalono zniesienie Komisji Rządzącej. W jej miejsce rząd ustanowił generalną delegaturę z Gałęckim na czele, dodając mu radę przyboczną z 15 członków złożoną. W niej się już znalazło miejsce dla przedstawicieli Okonia i Stapińskiego. Dogmatystę Lasockiego zastąpił lawirant Gałęcki.

Ludzie niektórzy

Pomimo mnogości stronnictw zasiadających w P.K.L. i rozbieżności poglądów, praca na ogół była dosyć zgodna. Zawdzięczać to należy niektórym osobom, które umiały się wzniesić ponad małostkowość i różnice partyjne, a kierowały się jedynie i wyłącznie dobrem ogólnym, mimo że im to nieraz przychodziło trudno.

Pierwsze miejsce bezspornie powinno przypaść Lasockiemu. Jako szef wydziału administracyjnego oddał on ogromne usługi na polu organizowania administracji i uspokojenia kraju. Jego znajomości przedmiotu, nieustrudzonej pracy, wytrwałości i taktowi zawdzięczać należy, że prawie nigdzie do większych wykroczeń nie doszło, mimo nagromadzonego palnego materiału. Jedyńie ks. Okoniowi i Dąbalowi w okręgu tarnobrzeskim udało się zaszczerpić zarazę, której nie można było wyplenić nawet wtenczas, gdy ks. Okoń odbywał posłusznie nałożoną mu przez biskupa pokutę, a Dąbal zajmował jakieś wysokie stanowisko w Rosji, przesyłając od czasu do czasu swoim upartym zwolennikom polityczną strawę. To jednak nie było winą Lasockiego. Winę ponosi ówczesny rząd w Warszawie, a w pierwszym rządzie minister spraw wewn. Wojciechowski, który nie znając stosunków, a kierując się niezrozumiałym liberalizmem, pozwolił wyrósć anarchii, którą Lasocki odpowiednim postępowaniem mógł w zarodku zdusić.

Drugie miejsce co do zasług należy się Aleksandrowi Skarbkowi, szefowi wydziału wojskowego. Odznaczył on się nie tylko wielką odwagą, wysokim poczuciem honoru i obowiązku, gorącym patriotyzmem, ofiarnością, ale bardzo rzadko u nas spotykaną punktualnością, lojalnością i pewnością siebie. Jemu w wielkiej mierze zawdzięczać należy, że zajęcie Krakowa odbyło się tak szybko i gładko. Jego odwaga i poświęcenie zaważyły bardzo

wiele na obronie Lwowa i wyniku walk o Małopolskę wschodnią, nie mówiąc już o innych bardzo ważnych sprawach.

Zupełnie dobrze wywiązał się ze swojego tak bardzo na te czasy trudnego zadania dr Ptaś, szef departamentu sprawiedliwości. Cechowała go nie tylko znajomość rzeczy, ale wielki takt i zdolność decyzji tam, gdzie się niejednokrotnie inni nie mogli na nią zdobyć.

Posel Kędzior, szef departamentu robót publicznych, z wielką znajomością i znaną u niego obowiązkowością zabrał się do naprawienia szkód, jakie poczyniła wojna, a mimo skromnych funduszy i trudnych warunków potrafił łamać trudności i zrobić bardzo wiele w tym zakresie.

Posel dr Diamand, pierwszorzędnym znawcą działu górnictwa, jaki mu przydzielono, popełniał stale przeciw niemu ciężki grzech, wysuwając różne daleko idące postulaty robotnicze, których zrealizowanie było w tym czasie niemożliwe, przynosząc tylko niepotrzebne rozgoryczenie robotników, uważających przedstawicieli innych stronnictw za wrogów.

Nie mało trudności sprawiał, prowadzony przez socjalistę, dr. Bobrowskiego, dział Opieki społecznej. Miało się wrażenie, iż więcej w nim było teatralnego patosu niż przekonania, bo przecież doskonale wiedział, że różne żądania tak kategorycznie przez niego stawiane, nie mogły być w żaden sposób zrealizowane, gdyż brak środków na to nie pozwalał.

Mniej już od niego wymagającym był Moraczewski, kierujący departamentem aprowizacyjnym, na te czasy niesłuchanie ważnym, a także niezwykle trudnym do prowadzenia. Zbiegały się w nim przeciwieństwa, ponieważ konsumenci chcieli jeść i to jeszcze tanio, a producenci często dla siebie nie mieli. Sam szef niewiele się tymi sprawami zajmował, wyręczając się zastępcą, inż. Kuchar-skim. Ten zaś przez dużą energię i zapobiegliwość zwrócił na siebie uwagę i zdobył uznanie, szczególnie przyjaciół politycznych. Ono go zaprowadziło na fotel ministra b. dzielnicy pruskiej, a następnie na stanowisko ministra skarbu w rządzie polskim. Niestety zalet krakowskich nie tylko w Warszawie nie rozwinął, ale nawet ich nie okazał, stając się przy tym powodem wielu przykrości i niepowodzeń rządu, w którym zasiadał. Dziwnie się też złożyło, że najzawzięciej atakował go Moraczewski, darzący go w Krakowie bezwzględny zaufaniem.

Bardzo spokojnie, bez chęci zwracania na siebie uwagi, prowadził dział oświaty poseł Ignacy Rychlik, powierzając często zastępstwo impulsywnemu prof. Krajewskiemu. Marian Starzewski, razem z zastępcą Ignacym Wróblem bardzo dobrze, jak na te czasy, prowadzili dział komunikacji, mimo niesforności personelu

kolejowego, zostającego pod wpływem socjalistów, kierujących się często jedynie demagogią. Kierujący wydziałem przemysłu i handlu poseł Edmund Zieleniewski, poważny człowiek, wielki przemysłowiec, wspólnie z posłem Germanem mieli ciężkie zadanie wobec różnych żądań i postulatów robotniczych. Umieli jednakże pogodzić sprzeczne nieraz sprawy.

Były minister Długosz z wielką energią i rozmachem zabrał się do spraw rolnictwa, jego działem objętych, szukając odpowiednich ludzi i przygotowując daleko idące plany. Niewiele jednak mógł zrobić ze względu na brak środków, a jeszcze więcej na zbyt krótkotrwały żywot instytucji, którą kierował. Dyrektor Schmidt z wielką energią przystąpił do uporządkowania naszego mizernego skarbu. Jemu też w wielkiej mierze należy zawdzięczać, że potrafiliśmy jakoś ciągnąć, mimo rozpaczliwego nad wyraz położenia.

Poseł Włodzimierz Tetmajer całą duszę wkładał w swój dział wojskowy. Mimo to jego nieprzeparty, wrodzony optymizm, jak i przekonanie, że wszyscy ludzie są tak samo dobrzy jak on, mogły w tej ważnej dziedzinie wyrządzić niepowetowane szkody, gdyby jego zastępca dr Rowiński, traktujący te sprawy bardzo poważnie, entuzjasty Tetmajera nie hamował i nie uzupełniał.

Bardzo wydatnie i ofiarnie pracowało wielu urzędników, czy to do komisji przydzielonych, czy też dobrowolnie do pracy przychodzących.

Rzadko się zdarza, ażeby działający publicznie człowiek czy instytucja mogli całkowicie zadowolić kogokolwiek, a cóż dopiero ludzi, czy zespoły, które dzielą wykluczające się idee i przeciwieństwa. W podobnym położeniu znalazła się Polska Komisja Likwidacyjna. Przeciwnikami jej zasadniczymi byli konserwatyści, których ze względu na stanowisko, zajęte w sprawie polskiej, ominięto pozostawiając zupełnie poza nawiasem pracy i wpływów. Mieli też pretensję do P.K.L., że nie zajęła się dostatecznie ich bezpieczeństwem i majątkami zagrożonymi jakoby przez grasujące szumowiny. Pretensje te były niesłuszne.

Wysoce niezadowoleni byli i pozostali Żydzi, że ich nie broniono od większych i mniejszych przykrości, jakie ich spotykały, a nawet że nie pozwolono im na tworzenie straży własnych. Na odwrót, chłopci narzekali, że P.K.L. jest właściwie urzędem dla obrony Żydów, gdy oni muszą spełniać ciężką służbę o chłodzie i głodzie, aby się Żydom i Komisji nic złego nie stało.

Niezadowoleni byli żołnierze, którzy musieli pozostać w służbie, mimo że czas obowiązkowy minął, jako i ci których świeżo do służby powołano. Tłumaczono im przecież co dnia ze strony nie-

których politycznych partii, że cała wojna z Ukraińcami jest prowadzona w obronie szlacheckich dworów.

Dużo szemrania było na ściąganie podatków i innych należytości, choć z drugiej strony sypały się skargi na nieregularne i niedostateczne zasiłki wojskowe. Skarzyli się robotnicy na braki aprowizacyjne, ale równocześnie i wieś broniła się całą siłą przed zabieraniem jej szczupłych zapasów.

To wszystko dałoby się jeszcze wytłumaczyć i usprawiedliwić. Samych idealnych ludzi nie było nigdy. U jednych działała tu nieznanomość rzeczy, konkurencja partyjna, u drugich agitacja niesumienna, nienawiść, zaślaniająca oczy ludziom małym, ale co powiedzieć o człowieku tej miary, co Michał Bobrzyński?

Prof. Michał Bobrzyński był nie byle kim, to nie agitator ani prostak, to nie pusty pyskacz w rodzaju Putka, lub demagog na wzór Okonia. To profesor, uczony, historyk niepośledniej miary, to apostoł i twórca myśli konserwatywnej, przywódca długo rządzącego stronnictwa, to b. Namiestnik cesarski i były minister. On powinien był znać prawdę i tylko prawdę mówić. A jednak i on, krytykując w swoim dziele działalność P.K.L., nie tylko obszedł się z nią bardzo ostro, ale i popisał rzeczy nieprawdziwe, czego nie powinien był robić.

Nie przypuszczam, żeby człowiek stojący na tej wyżynie, chciał przy takiej sposobności załatwić stare porachunki z tymi, co mu przeszkadzali w przeprowadzeniu niezbyt chwalebnych, a dla Polski na pewno szkodliwych, jego austriackich pomysłów. Czy kierował się maleńką zemstą przeciw tym, których nienawidził? Czy insynuacje, w jego dziele zawarte, były podyktowane nieznanomością niektórych przedmiotów? Na to nie umiałem odpowiedzieć, a byłbym nawet nic nie wiedział, gdyby ktoś usłużny nie nadesłał mi jego książki z odpowiednimi podkreśleniami. Byłem zdumiony, bo patrząc przez szereg lat na jego postępowanie w życiu politycznym, choć się nie zgadzałem z jego metodami, to musiałem być z podziwem dla jego odwagi, z jaką mówił prawdę, nawet i tu, gdzie ona mogła mu szkodę przynieść. Myślałem, że człowiek tak bardzo politycznie eksponowany jak on, a przy tym tak odpowiedzialny za nieszczęsną politykę konserwatystów, prowadzoną podczas wojny światowej i zachowanie się niemal do ostatniej chwili, będzie bardziej obiektywny, a przede wszystkim bardziej wstrzemięźliwy. Wszak on nawet nie może zaprzeczyć temu, żeśmy jako partia ponieśli wiele trudu i wysiłków, by wstrzymać fale niemałe i groźne, które mogły zalać nie tylko obszarnicze podwórko, ale nie pozostawić śladu z przeszłości, co prawda nie zawsze sławnej. Myślę, że nieco inaczej byłaby się

wówczas zachowała ówczesna rządząca Warszawa, gdyby jej przypadła ta rola.

Najmniej mam tu do powiedzenia o sobie. Patrzyłem na załamanie się potężnego państwa austriackiego. Widziałem jak trzaśkały i rwały się jego władzła. Znalazłem się w radosnej możliwości tworzenia własnego organizmu państwowego. Nie uważałem tego za rzecz codzienną, do której się każdy może nadawać, ale miałem najlepszą wolę, choć wiedziałem, że oprócz niej potrzebne są wiadomości, których nie posiadałem. Dlatego też zadań związanych z koniecznością wiedzy fachowej się nie podejmowałem, wychodząc z założenia, że to należy oddać tym, co się do tego nadają i z nimi współpracować. Spełniając swe zadania, nie uchylałem się i nie uchylałem od odpowiedzialności za całość, ani nie cofam przed atakami, które tak gęsto padały na moją głowę. Jak wówczas robiłem to z całą świadomością, tak dziś nie widzę potrzeby ani chowania głowy w piasek, ani robienia sobie jakichkolwiek wyrzutów.

C z ę ś ć I X

RZĄD LUBELSKI I CHAOS

W Królestwie

Stosunki w Królestwie kongresowym zaraz po wybuchu wojny kształtowały się zupełnie odmiennie. Wyjątek stanowiły powiaty bliżej Krakowa położone, które swoimi wpływami potrafił częściowo ogarnąć czy to Naczelny Komitet Narodowy, czy też zwolennicy Piłsudskiego. Nie mógłbym też powiedzieć, żeby wiadomości przychodzące były obfite, a co ważniejsze oddające wiernie nastroje szerokich kół społeczeństwa. Galicyjscy narodowi demokraci, którzy się znajdowali w bliskim ideowym pokrewieństwie z tamtejszym Kołem Międzypartyjnym dowodzili nie-raz, że z Niemcami i Austrią trzyma tam bardzo nieliczna garstka ludzi, nie mających żadnego oparcia w społeczeństwie, często o bardzo wątpliwej wartości moralnej, goniących za karierą, a nawet zarobkiem. Twierdzili oni również, że lewica niepodległościowa inteligencji nie posiada. Chłopi zaś są jeszcze zupełnie nie zapisaną kartą.

Jakkolwiek nie było dla nas rzeczą małej wagi, co się działo w największej dzielnicy, nie mogliśmy zrobić więcej poza rejestrowaniem wiadomości, jakie stamtąd dochodziły i rzadkimi rozmowami z przedstawicielami różnych orientacji i poglądów, którzy tu przyjeżdżali i po swojemu przedstawiali położenie. Na nasz teren najczęściej przyjeżdżali aktywiści, zatrzymywali się dłużej, a nawet docierali do Wiednia.

Powód zdaje się leżał w tym, że Naczelny Komitet Narodowy uważali za swój odpowiednik w polityce, a następnie że przejazdy mieli ułatwione ze względu na dobre stosunki z państwami okupacyjnymi. Widziałem ich w Krakowie na parę dni przed wydaniem manifestu listopadowego, byli także po jego ogłoszeniu,

mówiąc wiele i z zapamiętaniem o znaczeniu jego dla przyszłości Polski i wskazując na niego jako na fakt, a nie słowa. Przepowiedzieli także utworzenie Rady Regencyjnej dekretem cesarzy Niemiec i Austrii, a nawet dokładnie podali datę, choć do tego było jeszcze parę tygodni. Samą rzecz uważali za fakt bardzo wielkiej wagi, a w rozmowach dawali dość wyraźnie do zrozumienia, że się to nie stało bez ich woli i wiedzy. Kiedy o to zapytałem Zygmunta Chrzanowskiego, zaśmiał się głośno twierdząc, że panowie owi mogą się zaledwie do przedsiönka Beselera czasem dostać. Ja osobiście z nimi nie rozmawiałem.

Nie wiadomo czy sąd Chrzanowskiego był trafny, bo jednak w terminie przez aktywistów wymienionym dekret wyszedł, a na jego podstawie powstała trzygłowa Rada Regencyjna, składająca się z arcybiskupa warszawskiego ks. Aleksandra Kakowskiego, księcia Zdzisława Lubomirskiego i hr. Józefa Ostrowskiego. Dekret z 12 września przewidywał też powołanie władzy wykonawczej w postaci Rady Ministrów i niby to władzy ustawodawczej, którą miała być Rada Stanu, złożona w połowie z wirylistów i osób mianowanych, a w połowie z członków wybranych przez rady miejskie i sejmiki powiatowe. Do Rady Stanu wszedł także Piłsudski, co wywołało dość duże zdziwienie.

W październiku 1917 r. Regenci wydali orędyzie, w którym oświadczyli, że opierać się będą na patencie obu cesarzy i powołali rząd z przedstawicieli obozu aktywistów. Z tej Rady Regencyjnej u nas mocno podrywano ze względu na jej stanowisko jak i skład osobowy. Arcybiskup Kakowski był uważany za człowieka słabego, zmiennego, pozbawionego woli i zdania, o Ostrowskim mówiono, że często zasypia nawet na parę dni, a jedynie ks. Lubomirski był uważany za zupełnie odpowiedniego na to stanowisko.

Zakres działania tak Rady Regencyjnej i Rady Stanu jak i rządu był niesłychanie ograniczony, a i w tym zakresie nie mogły one działać, gdyż im władze okupacyjne robiły bardzo częste przeszkody. Lojalna wobec okupantów do ostateczności Rada Regencyjna nie mogła się jednak długo utrzymać na wytkniętej drodze, bo wkrótce została zepchnięta przez wielkie wypadki. Traktat brzeski, który tak głęboko wstrząsnął całą Polską, poruszył także Radę Regencyjnę. W parę dni po tym gwałcie wydała ona orędyzie, w którym zaprotestowała przeciwko pokojowi brzeskiemu zaznaczając, że nadal prawo sprawowania zwierzchniej władzy państwowej będzie czerpać tylko z woli narodu. Że się to stało pod wpływem chwilowego nastroju, dowodzi powolne wycofywanie się Rady Regencyjnej i powrót na dawną drogę.

Niezawodnie bowiem zgodnie z jej wolą premier rządu Jan

Kanty Steczkowski, odwiedzwszy w kwietniu 1918 r. Berlin i Wiedeń, zapowiedział, że przyszła Polska oprze swoją przyszłość na przymierzu z państwami centralnymi. Gdy zaś w jakiś czas potem państwa koalicyjne oświadczyły się za całkowitą niepodległością Polski, rząd Steczkowskiego odpowiedział na to protestem, w którym oświadczył, że sprawa polska zostanie rozwiązana we współpracy z sąsiednimi mocarstwami centralnymi. Kiedy zaś sytuacja wojenna zmieniła się na niekorzyść państw centralnych, a wynik wojny nie budził już żadnej wątpliwości, Rada Regencyjna 7 października 1918 r. wydała manifest, którym rozwiązała Radę Stanu, zapowiadając równocześnie powołanie rządu, złożonego z przedstawicieli najszerzych warstw ludności i rozpisania wyborów do Sejmu. Władzę zaś swoją miała oddać ciału wyłonionemu przez Sejm.

Było to wyraźne zerwanie z władzami okupacyjnymi. Rozpęd Rady Regencyjnej poszedł jeszcze dalej: wkrótce usunęła ona rząd Swierzyńskiego, który ją zlekceważył, oświadczając, że władze pochodzące od okupantów nie powinny sprawować nawet tymczasowych czynności, i stwierdzając, że nie uważa za rząd przedstawicieli najszerzych warstw, zapowiedziany przez Radę Regencyjną. Rząd więc ustąpił zupełnie bez oporu. Ale Rada Regencyjna nie sięgnęła wcale po władzę samodzielną, lecz rozpoczęła targi z okupantami i czekała aż na oddanie jej władzy zgodzą się sami. Władzę tę w okupacji niemieckiej oddał jej generał Beseler dnia 15 listopada, a generał Liposzczak w okupacji austriackiej już 1 grudnia 1918 r. Dn. 30 października Rada Regencyjna mianowała Zdanowskiego komisarzem na okupację austriacką.

Droga do Warszawy

Gdy sytuacja wojenna zaczęła się gruntownie wyjaśniać, a pogrom Niemców był już zupełnie widoczny, powstała myśl, nie wiem u kogo, ażeby się zająć utworzeniem rządu ogólnopolskiego w Warszawie, który nie tylko byłby odbiciem nastrojów panujących w kraju, ale odpowiednikiem istniejących sił politycznych i mógłby sprostać wielkim zadaniom, jakie miał przed sobą.

Na zaproszenie działaczy politycznych z Warszawy zarząd stronnictwa wydelegował mnie, Długosza, dr. Bardla, Tetmajera i red. Rączkowskiego na konferencję, wyznaczoną w stolicy w drugiej połowie października 1918 r. Jechałem tam ze zrozumiałą ciekawością, ale i z wielkim skupieniem. Rządy okupacyjne

wprawdzie jeszcze nie ustąpiły, ale wszystko przemawiało za tym, że tu są już ich ostatnie, jeśli nie godziny, to dni na pewno.

Przejeżdżając pierwszy raz przez Królestwo, starałem się nie ominąć okiem żadnego spostrzegalnego przedmiotu. Przypominała mi się nie tylko brzemenna terażniejszość, ale wiekowa historia narodu, jego wielkie i jasne chwile, a potem klęski, niewola, męczeństwo i straszny walec wojny światowej, który specjalnym okrucieństwem zaznaczył się w Kaliszu i Częstochowie i bijące w oczy ślady na całych szerokich połaciach kraju.

Jechaliśmy od Krakowa przez Ząbkowice, Częstochowę, Piotrków, Skierniewice. Ziemia przeważnie uboga, bagnista lub piaszczysta, lasy liche, małe, rzadkie, karłowate. Często jak okiem sięgnąć pniaki i pniaki, świadczące o istnieniu lasu, przez który przeszła niszczycielska wojna. Z domów, chat i zabudowań sterczały kominy, leżały resztki niedopalonego drzewa, rumowiska, popioły. Ludzie wychodzili z małych, na prędcie zbudowanych szałasów, kręcąc się jak cienie. Rozglądałam się po okolicy. Domy jakie pozostały, prawie wszystkie zbudowane z czerwonej cegły, nie bielone, robiły na mnie nieprzyjemne wrażenie. Wody w rzekach i potokach czarne, leniwo się wlokące. Rzeki nie uregulowane, zalewające szerokie przestrzenie i płynące, gdzie im się podobało.

Jakież tu porównanie z naszą Galicją, z jej rzekami, lasami gruntami, no i z jej ubóstwem, tak okrzyczanym i rozniesionym po świecie. Dziwić się przecież musiało, skąd się wziął zachwyty dla tego smętnego, błotnistego, z natury ubogiego kraju u Wincentego Pola. Nie wytrzymałem, by nie zwrócić na to uwagi Tetmajera. „To pan nie wie, każdy polityk, a także i poeta kocha, a przecież miłość musi być ślepa” — odpowiedział mi.

Poza jedną dość powierzchowną rewizją nie mieliśmy żadnych przeszkód. Władze okupacyjne ograniczyły się do ustawienia żandarmów i żołnierzy pełniących służbę na dworcach, patrzących zupełnie obojętnie na to, co się koło nich dzieje. Niezawodnie, że inaczej zachowywali się dawniej. Rozmawiając do samej Warszawy o wielkich wypadkach i zadaniach, jakie nas czekają, dojechaliśmy w ogromnym skupieniu na miejsce.

Komendę nad nami objął Tetmajer, ze względu na znajomość Warszawy. Ulokował nas w Hotelu Europejskim zaznaczając, że jest to własność jednego z magnatów polskich. Po krótkim śniadaniu rozpoczęła się długa poważna narada. Szczególnie uroczysty ton nadał jej Tetmajer zaznaczając, że robimy pierwsze kroki na przełomie dziejów, jakich nie notowała historia świata. Dla nas zaś, przedstawicieli włościństwa, ma to tym większe znaczenie, że wolność narodu polskiego opuściła

nas z królem i szlachcicem, a wraca teraz na czele z ludem. W tej uroczystej chwili dziejowej, ale równocześnie i chwili wielkiej próby rozumu politycznego i dojrzałości narodu, jednak nie powinny istnieć dla nas żadne klasy i różnice, ale wspólny, dobrze zrozumiany interes odradzającego się państwa.

Mimo radości, jaka mu rozpiera serce, nie może zapomnieć, że wszystkie nieszczęścia Polski przedrozbiorowej rozpoczęły się od czasu, jak jej stolicę przeniesiono do Warszawy i ze stolicą Warszawą doczekała się ona upadku i hańby rozbioru; ponieważ ta Warszawa wcale się nie zmieniła, ma on jakieś smutne przeczucia, choć sądzi, że to jest zbytnie z jego strony przeczuczenie.

Ten podniosły nastrój zepsuł nam Dąbski, który oświadczył, że nasz przyjazd i narady nie zdadzą się na nic, gdyż wszystkie, bardzo liczne stronnictwa, jakie się na terenie Królestwa potworzyły, są skłócone, prowadzą z sobą zacięte walki, nie mając wcale ludzi ogarniających cokolwiek szersze horyzonty, a przy tym ze społeczeństwem prawie niczym nie są związane. Na samym terenie Warszawy naliczył nam tych stronnictw szesnaście, czy siedemnaście zaznaczając, że na dobitkę złego między nimi panują daleko idące rozbieżności. Najwięcej jeszcze wyrobienia i ludzi posiada, jego zdaniem, Koło Międzypartyjne, ale w nim znowu pokutuje jeszcze moskalofilstwo i wszystkie starszylacheckie nawyki i wady. Posiadające duże wpływy między chłopami Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie” pozostaje całkowicie pod wpływem socjalistów.

Tak uświadomieni bez żadnej uchwały poszliśmy na zebranie. Miało się ono odbyć w sali Towarzystwa Higienicznego przy ul. Karowej. Stawiliśmy się przykładnie na czas w zaproszeniu wyznaczony. Oprócz woźnego, otwierającego nam drzwi z wyszukaną grzecznością, nie było jeszcze nikogo na sali. Mieliśmy też obawę, czy nie zaszło jakieś nieporozumienie, ale nasze obawy uspokoił Dąbski, zaznaczając z uśmiechem, że w Warszawie spóźnienie należy do dobrego tonu. Nie mylił się, bo minęło przeszło pół godziny i sala była wciąż pusta, a za drugie pół przyszło ostatnie ze stronnictw. Niecierpliwym Długosz, siedząc przy mnie i patrząc wciąż na zegarek, zaczął głośno burczeć na „warszawskie porządki”.

Jeszcze przed rozpoczęciem zebrania poinformował nas Dąbski, że na sali znajdują się przedstawiciele aż 29 stronnictw politycznych. Nie wiem czy nie przesadził, gdyż sam nie znałem stosunków w Królestwie zupełnie, byłem jednak pewny, że w takich warunkach trudno będzie coś zrobić. Oprócz stronnictw ludowych i bardzo licznych stronnictw demokratycznych, udział w

zebraniu wzięli także przedstawiciele Koła Międzypartyjnego. Co do niego poinformowano mnie na prędce, że i ono nie jest jednolite, lecz składa się z kilku grup, luźno ze sobą związanych, zaś przekonania politycznymi bardzo zbliżone do naszych endeków.

Obrady owe, bardzo długie i jeszcze bardziej chaotyczne, robiły niepoważne wrażenie, a często wzbudzały niesmak swoim poziomem, wystąpieniami poszczególnych osób i wprost niezrozumieniem powagi sytuacji. Dziwnie niepoważnie zachowały się owe stronnictwa demokratyczne warszawskie, które okazały aspiracje tak daleko sięgające, że gdyby się je chciało uwzględnić, można by było ich kandydatami rządu wszystkich państw europejskich obsadzić. Siedzący przy mnie Królewiaczy śmiali się twierdząc, że większość tych stronnictw, mających tak wielkie wymagania i tak krzykliwych, poza tymi, co się znajdują na sali, nie posiada nikogo. Że się nie mylili pod tym względem, wykazały najbliższe wybory do Sejmu, przy których owe stronnictwa znikły bez śladu.

Najwięcej jeszcze zrozumienia okazywali przedstawiciele Koła Międzypartyjnego, które ze względu na swoje stanowisko wobec okupantów, dawniejszą działalność, jasno określoną orientację w sprawie polskiej, miało dobrą opinię w szerokich kołach ludności i czuło też swoją nad innymi stronnictwami przewagę. Poza tym posiadało sporo ludzi na dużą miarę, mających pod każdym względem przewagę nad owymi demokratycznymi kandydatami do tek ministerialnych.

Z upoważnienia wszystkich grup ludowych złożyłem krótkie oświadczenie, nie zabierając głosu w dyskusji. W oświadczeniu swym zaznaczyłem, że stronnictwa ludowe są gotowe wziąć udział w utworzyć się mającym rządzie, jeżeli zostanie uchwalony jego charakter i zapewniony należny wpływ na zasadnicze sprawy państwowe. Było to jedynie taktyczne posunięcie, bo nikt z nas ani na moment nie przypuszczał, żeby to zgromadzenie było zdolne do czegokolwiek, a cóż dopiero do rozwiązania tak wielkich zadań. Gdyby nawet pominąć zasadnicze różnice, jakie dzieliły poszczególne stronnictwa w poglądach na różne zagadnienia, to nawet częściowe zaspokojenie ujawnionych apetytów stawało się wprost niemożliwe. Później się dowiedziałem, że niektóre z tych warszawskich stronnictw przysły z góry już z ułożonym planem rozbicia każdej ogólnej kombinacji rządowej spodziewając się, że im niepodzielna władza w ręce się dostanie.

Przebieg tego zebrania, przemówienia większości mówców, treść składanych deklaracji musiały zrobić na nas przygnębiające wrażenie. Szczególnie przybitymi czuli się Tetmajer i Długosz,

który dość głośno wyrażał swoje spostrzeżenia, przytakując Tetmajerowi. Ten nastrój ciężki, niemal pogrzebowy udzielił się nam wszystkim.

Ażeby nie odjechać z niczym, już w czasie obrad próbowaliśmy nawiązać kontakt z niektórymi członkami Koła Międzypartyjnego, któremu jak mówiono miała przypaść misja utworzenia rządu. Zygmunt Chrzanowski w czasie tych dorywczych rozmów wystąpił z wyraźną propozycją utworzenia rządu wspólnie, ofiarując ludowcom kilka tek do obsadzenia. Przy tym zaznaczył, że jest on zwolennikiem współdziałania z wszystkimi możliwymi stronnictwami ludowymi. Z propozycją tą zwrócono się też do mnie. Nie dałem żadnej odpowiedzi, nie chcąc się angażować bez woli i wiedzy innych. Natomiast poprosiłem Tetmajera, ażeby dalszą rozmowę z Chrzanowskim poprowadził i nam z niej złożył sprawozdanie, o ile zajdzie coś konkretnego.

Jaki przebieg miała ich rozmowa tego dokładnie nie wiedziałem, gdyż Tetmajer mniej tej rozmowy dotykał, natomiast twierdził, że Chrzanowski bardzo usilnie starał się go przekonać o konieczności współdziałania z ludowcami w ogóle, a w szczególności przy tworzeniu rządu. Rozmowę skończyli dość prędko, a Tetmajer wrócił z twarzą rozradowaną, oświadczając że została ona uwieczniona pomyslnym skutkiem, gdyż z Chrzanowskim można się łatwo porozumieć, bo on stoi całkowicie na gruncie postulatów ludowych. Nie okazał też żadnej zachłanności, proponując jemu utworzenie rządu i przewodnictwo w nim.

Wiadomością tą byłem niezmiernie zdziwiony, ale też mocno zaniepokojony. Mimo bowiem wielkiej sympatii, jaką miałem zawsze do Tetmajera i uznania dla jego rzetelnej pracy, nie wierzyłem w jego zdolności do tego urzędu w ogóle, a zwłaszcza w tych czasach. Nie mogłem też przypuszczać, ażeby Koło Międzypartyjne tak łatwo na to się zgodziło, rezygnując przy tym ze swoich dopiero co podnoszonych postulatów. Toteż od razu powiadziałem Tetmajerowi, że moim zdaniem w całej tej sprawie kryje się jakieś wielkie nieporozumienie. Widziałem, że Tetmajer czuł się tą moją uwagą trochę urażony twierdząc, że on wszystko doskonale pamięta.

Celem zupełnego wyjaśnienia tej sprawy i powzięcia ewentualnej decyzji zwołałem natychmiast wszystkich naszych członków będących w Warszawie. Narada odbyła się w Hotelu Europejskim, w mieszkaniu Długosza. Wzięli w niej udział, oprócz mnie, Długosz, dr Bardel, Dąbski, Wyrzykowski i Rączkowski. Tetmajer z głęboką powagą oświadczył nam, że Koło Międzypartyjne i galicyjska Narodowa Demokracja, po dłuższej rozmowie z Chrzanowskim i innymi ich przedstawicielami, solidaryzując się

z nim zupełnie na gruncie programu i taktyki, zaproponowali mu utworzenie mu gabinetu, w skład którego weszliby przedstawiciele tych trzech ugrupowań, pod jego prezydenturą. Kończąc oświadczył, że jakkolwiek mu osobiście na tym nie zależy, to jednak jest zdania, że objęcie prezydentury rządu przez niego leży tak w interesie państwa jak i stronnictwa. Po jego oświadczeniu rozpoczęła się bardzo szeroka debata, w której zarysowały się dwa odmienne poglądy. Większość była zdania, że Tetmajer powinien się zgodzić na tak zaszczytną dla niego propozycję, utworzyć rząd i stanąć na jego czele, stawiając za warunek zagwarantowanie odpowiednich wpływów. Ja zająłem wręcz odmienne stanowisko zaznaczając, że sprawy tej nie można wcale traktować poważnie, gdyż naprzód trudno mi uwierzyć, ażeby stronnictwa tamte rezygnowały z wpływów im należnych, a następnie jako przyjaciel Tetmajera musiałbym mu gorąco odmawiać przyjęcia tego obowiązku, w czasie, gdy trzeba zacząć ciężką i odpowiedzialną pracę montowania państwa, wśród najcięższych warunków i hydry warcholstwa, podnoszącej zuchwale głowę, jak się to zresztą na świeżo odbytym zebraniu okazało. Wierząc w jego najlepszą wolę i uznając polityczne walory, uważam jednak, że zadanie to przerasta jego siły, dlatego też nie chciałbym taką odpowiedzialnością ani jego, ani stronnictwa obarczać. Stanowisko moje poparł poseł dr Bardel podobnymi argumentami. Ponieważ nie osiągnięto zgody, sprawę rozstrzygnęliśmy głosowaniem, przy którym większość oświadczyła się za upoważnieniem Tetmajera do dalszych pertraktacji i podjęcia się misji utworzenia rządu.

Decyzję przyjęto oklaskami, których nie skąpili i ci, co się na ten eksperyment nie zgadzali. Widziałem że Tetmajer promieniał radością. Nie dziwiłem się wcale temu, znając jego gorący patriotyzm i mając na uwadze tę wielkiej miary historyczną chwilę. Nie trwało to długo. W trakcie dalszych rozpraw, dotyczących osób mających wejść do gabinetu, Długosz zaznaczył, że przychodzą mu wątpliwości co do samej sprawy, uważa że narady mogą być nie tylko zbędne ale i śmieszne, gdyż nie jest wykluczone, że Tetmajer źle zrozumiał robione mu propozycje, dlatego radzi przerwać posiedzenie i zażądać informacji od Świerzyńskiego, którego jeszcze wczoraj uważano za przyszłego premiera.

Zgodzono się na propozycję i jako wydelegowani Długosz i Bardel udali się natychmiast do Świerzyńskiego przy ul. Żurawiej. Po upływie około pół godziny obaj delegaci wrócili, a Długosz już od progu z miną dość radosną głośno wykrzyknął: „To wszystko nieprawda!”.

Nastąpiła zrozumiała konsternacja. Po otwarciu obrad dowiedzieliśmy się, że w całej sprawie wydarzyło się grube niepo-

rozumienie, gdyż Chrzanowski, który prowadził rozmowę z Tetmajerem, zwracając się do niego ze słowami: „Niech pan akuszeruje”, miał na myśli tylko pomoc, jakiej by Tetmajer mógł udzielić, a nie oddawanie mu trudów tworzenia rządu, ani też przewodnictwa w nim. Wezwany do Świerzyńskiego, Chrzanowski słowo w słowo to powtórzył.

Twarze uczestników zebrania wyglądały jak po wypiciu podwójnej porcji octu, kiedy usłyszeli te wiadomości. Tetmajer niesłychanie rozdrażniony twierdził, że to jest obrzydliwy endecki kawał zrobiony na poczekaniu, gdyż on doskonale pamięta propozycję zrobioną przez Chrzanowskiego. Radzi, by z tego wyciągnąć jak najdalej idące konsekwencje, nie wstępując wcale do tego rządu, natomiast starać się o utworzenie rządu z socjalistami i innymi partiami lewicowymi. Rozumiejąc słuszne rozgoryczenie Tetmajera, nie uważaliśmy za możliwe zająć się na serio jego propozycją. Po tym nieprzyjemnym i trochę kompromitującym nieporozumieniu wyjechaliśmy z Warszawy natychmiast z uczuciem dużego niesmaku, starając się utrzymać w tajemnicy nasze gorące i poważne narady nad sprawą, której nie było.

Rząd Świerzyńskiego

Tymczasem bez naszej pomocy 26 października rząd został utworzony pod prezydenturą Świerzyńskiego. Z Galicji wszedł do niego tylko prof. Stanisław Głabiński jako minister skarbu. Rząd ten wybitnie prawicowy, zbyt jednostronnie skonstruowany, nie mógłby się być utrzymać dłużej nawet w czasach normalnych, tym mniej wówczas, gdy nad jego głową huczała demagogia lewicowa, chaos nieopanowany, a wypadki szły jedne za drugimi z błyskawiczną szybkością.

Wśród stronnictw galicyjskich panowało też ogólne przekonanie, że rząd ten ani się dłużej nie utrzyma, ani zadań stojących przed nim nie rozwiąże. Zaczęło się też snuć kombinacje co do nowego rządu. W niektórych kołach zupełnie publicznie wysmiewano pojedynczych członków rządu, Słabą jego stroną było i to, że niektórzy jego członkowie, a między nimi i minister Zygmunt Chrzanowski, robili na własną rękę próby pogodzenia się z lewicą i utworzenia rządu złożonego z przedstawicieli wszystkich większych stronnictw. Chwiejność i te kombinacje miały rządowi uniemożliwić wszelką poważniejszą pracę.

W naszych kołach zaczęto się znów zastanawiać nad utworzeniem nowego rządu, spodziewając się że obecny każdej chwili może ustąpić. Nie spieszo się jednak zbyt, zdając sobie sprawę z trudności, jakie by się musiały nasunąć przy tworzeniu nowego

rządu, opartego na stronnictwach ludowych i demokratycznych, jeżeli tych stronnictw w samej Warszawie było aż siedemnaście!

Stronnictwo socjalistyczne, niektóre stronnictwa ludowe i demokratyczne widziały jedyne zbawienie w powrocie Piłsudskiego z Magdeburga, skąd go Niemcy mieli w najbliższym czasie wypuścić. Do Krakowa nadeszły wiadomości, że niecierpliwie żywiły lewicowe, a między nimi „Wyzwolenie” i socjaliści przygotowują się do obalenia rządu Świerzyńskiego siłą i utworzenia rządu chłopów i robotników, a więc znowu jednostronnego. Opowiadano też, że Rada Regencyjna nie czuje się na siłach do rozwiązania piętrzących się trudności i zadań, że gotowa w każdej chwili oddać władzę w inne ręce, a rząd Świerzyńskiego poświęcić.

Wszystkie te fakty i pogłoski wprowadzały w życie publiczne coraz większą niepewność i zamieszanie, rodzące anarchię i rozprężenie, które w sposób widoczny z dnia na dzień wzrastały. Myśmy odbyli kilka narad, ale bez większego rezultatu.

Do Lublina

W poszukiwaniu sposobów rozwiązania tego ciężkiego zagadnienia odbyła się pomiędzy innymi dwukrotna konferencja w redakcji *Przyjaciela Ludu*, zwołana z inicjatywy posła Daszyńskiego. Wzięli w niej udział delegaci Piasta, Polskiej Partii Socjalistycznej i Postępowej Demokracji, a ponadto dwóch delegatów ludowców z Królestwa. Rezultatem tych dwudniowych narad było postanowienie wyjazdu do Lublina, względnie do Warszawy, dla odbycia tam rozmów z przedstawicielami stronnictw ludowych w sprawie utworzenia rządu będącego przedstawicielem jeżeli nie całości społeczeństwa, to przynajmniej znacznej jego części. Plan ten spodziewano się przeprowadzić nawet bez większych trudności, gdyż panowało ogólne przekonanie, że znaczna część ministrów gabinetu Świerzyńskiego na niego się zgodzi. Celem wykonania tego postanowienia wydelegowano mnie, posła Daszyńskiego i Stapińskiego z odpowiednimi pełnomocnictwami. Termin naszego wyjazdu został naznaczony na dzień 6 listopada godzina 3-cia po południu, z Krakowa spod Hotelu Krakowskiego.

Dzięki zabiegom posła Daszyńskiego dostaliśmy auto wojskowe i to z oficerem, który miał pilnować naszego bezpieczeństwa. Z wyjazdem z Krakowa spóźniliśmy się o godzinę dzięki socjalistom, którzy się wybierali jak na drugi świat. W Słomnikach stanęliśmy wczesnym jeszcze wieczorem. Tam dowiedzieliśmy

się od stojącej na rynku grupki ludzi, że w tym dniu odbywa się rozbrajanie resztek wojsk austriackich. Okolica, przez którą przejeżdżaliśmy, miała ich jeszcze znaczną ilość. Kryli się oni przede wszystkim po sąsiednich lasach. Z tego powodu w Słomnikach cukierniczym było ruchawkę i bardzo duże podniecenie. Straż w różnych punktach miejsciny trzymali członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej, których tam z Kielc na ten dzień przysłano. Wszyscy posiadali broń, jak twierdzili zdobytą na Austriakach. Mimo obecności oficera, musieliśmy się poddać kontroli, z wielką powagą przez Peowiaków przeprowadzonej. Przez omyłkę zapewne niektórzy z nich tytułowali mnie towarzyszem, a inni obywatelem.

Kiedy zbliżyliśmy się do lasów świętokrzyskich, patrolujący oddział P.O.W., złożony z kilku młodych chłopców, rośliwych i tęgich, „zameldował” nam, że bardzo znaczne i uzbrojone oddziały austriackie znajdują się w lesie i że przejazd tamtędy może być bardzo niebezpieczny. Oni sami obawiają się do lasu zbliżyć, nam więc radzą nocą tamtędy nie jechać. Trochę nas wiadomość ta zaniepokoiła, lecz oficer jadący z nami z gęstą miną zawyrokował, że mimo niebezpieczeństwa nie radzi się zatrzymać, a tylko dla ostrożności światło w aucie zgasić.

Po bardzo krótkiej naradzie postanowiliśmy jechać, jednak światła nie gasić, obawiając się wypadku z autem, gdyż nikt z jadących nie znał dobrze drogi. Tak więc zostało. Szofer ruszył pełną parą, a myśmy z niepokojem patrzyli w ciemny las, wąską smugą reflektora wzdłuż drogi oświetlony. Wnet się przekonaliśmy, że ostrzegający nas Peowiaci mieli rację. Z lasu przywitano nas strzałami, na szczęście zupełnie nieszkodliwymi. Jadący wszyscy udawali odważnych, trzymając przez cały czas w rękę rewolwery, gotowe do strzału, z wyjątkiem mnie, bo nie miałem żadnej broni, i pomocnika szofera Czecha, który skrył się jak mógł najgłębiej i nie chciał głowy podnieść dopóki nie wyjechalibyśmy zupełnie na otwarte pole.

W Miechowie zwolennicy P.P.S. urządzili Daszyńskiemu owację, zatrzymali go i odbyli z nim przydługą konferencję. Ta sama ceremonia miała miejsce w Jędrzejowie, wobec czego do Kielc zajechaliśmy już bardzo późną nocą. Po przenocowaniu mieliśmy wyjechać według wspólnego postanowienia o godzinie czwartej rano. Odjazd się jednak opóźnił o całe dwie godziny, bo „przedstawiciela ludu pracującego” nie można się było dobrać. Ja spacerowałem te dwie godziny po korytarzu hotelowym, żywiąc obawę, czy my w ogóle zdołamy z Kielc wyjechać, ponieważ do Daszyńskiego zaczęły ściągać różne delegacje.

W czasie tej przymusowej spacerki opowiadał mi jakiś przygodny jegomość, jakoby w dniu wczorajszym wybuchła wielka

rewolucja, nie umiał jednak powiedzieć, jaka i gdzie. Plotka ta stała się niespokojnym tematem w czasie naszej dalszej podróży. Niepokój nasz zwiększył się jeszcze w czasie krótkiego odpoczynku w Radomiu, gdyż witający Daszyńskiego twierdzili z całą pewnością, że rewolucja szaleje, nie wiedzą tylko w Warszawie, czy Lublinie.

Rozejrzałem się po mieście, gdyż po raz pierwszy byłem w Radomiu. Miasto wywarło na mnie dość nieprzyjemne wrażenie błotem i w oczy bijącym niechlujstwem. Kipiało od czerwonych, socjalistycznych i bundowskich sztandarów, powywieszanych prawie na każdym domu. Rzecz naturalna, że Daszyński był z tego niezmiernie zadowolony, darząc towarzyszy radomskich bardzo długą rozmową.

Te rozmowy i kilkakrotne przymusowe postoje, spowodowane defektami wcale nieszczególnego auta opóźniały coraz bardziej naszą podróż. Jednak najwięcej czasu zabrał nam wypadek, jaki się zdarzył Stapińskiemu w Kurowie.

W miasteczku tym koło restauracji znajdował się szlaban mytniczy, którego długi drąg był używany do zastawiania przejazdu na drodze, mierzącej w tym miejscu z dziesięć metrów szerokości. Pod dolną jego częścią para chłopskich koni zaprzęzonych przy wozie, jadła siano, a spłoszona hukiem nadjeżdżającego auta zerwała się gwałtownie, przy czym dyszel podniósł spód drąga do góry, co spowodowało opuszczenie drugiego, dłuższego końca na dół, a w momencie kiedy auto nadeszło drąg ten spadł na dół uderzając w głowę posła Stapińskiego.

Było to wprost niepojęte, jak to się stać mogło, gdyż wszyscy siedzieliśmy w aucie na tym samym poziomie, a Daszyński razem z nim na siedzeniu. Stapiński omdlał, krew puściła mu się nosem i ustami, a nawet uszami, a gdy auto na krzyk Daszyńskiego stanęło, rzuciliśmy się wszyscy tamować krew, która dużymi kroplami spływała mu na ubranie. Za chwilę dostaliśmy zimnej wody, a okłady przywróciły Stapińskiemu dość szybko przytomność. Tłum jaki się koło nas zebrał nie bardzo był tym przykrym wypadkiem wzruszony, gdyż podczas ratowania zabrano Stapińskiemu nową, ładną, a jak mówił, bardzo drogą, czapkę krymską. Wszelkie poszukiwania przy pomocy bardzo usłużnej policji nie zdały się na nic. Poseł Daszyński nie bardzo się także tym wypadkiem zmartwił, bo wzięwszy mnie na bok powiedział: „A jednak szkoda, że nie lepiej!”.

W dalszym ciągu musieliśmy jechać bardzo powoli, gdyż każde choćby najmniejsze wstrząśnienie wywoływało u Stapińskiego bóle i jęki, a często głośne narzekania. W odległości jakichś dziesięciu kilometrów od Lublina automobil zepsuł się grun-

townie tak, że o dalszej jeździe nie mogło być mowy. Ponieważ stało się to w polu daleko od wsi, zmuszeni byliśmy iść piechotą, oglądając się za jakąś furmanką, ażeby można było podwieźć Stapińskiego, któremu robiło się coraz gorzej. Szedłem podtrzymując go, gdyż krok jego stawał się coraz bardziej chwiejny, a mnie się zdawało, że w każdej chwili upadnie. Nareszcie towarzyszącemu nam oficerowi udało się złapać jakiegoś włościanina, który wozem oprawionym w deski do wożenia nawozu zdecydował się po wielkim oporze odwieźć nas do Lublina.

Ledwie ruszyliśmy z miejsca, natknęliśmy się na całe masy furmanek chłopskich, które uciekały z miasta co tylko konie mogły wyskoczyć. Widząc to domyślaliśmy się, że coś już się tam stało. Zatrzymany przez oficera prawie gwałtem jeden z uciekających chłopów poinformował nas, że „Polacy przyszli do miasta i wybrali króla, wywiesili czerwone chorągwie, ludzi łapią do wojska, bo jakasi wojna ma się zaczynać”. Daszyński słysząc to był przekonany, że rząd został już utworzony, a myśmy się grubo spóźnili. Nareszcie dotarliśmy do Lublina około godziny czwartej po południu. W mieście panował ogromny ruch i czuć było niezwykle podniecenie. Domy udekorowano sztandarami o barwach narodowych i socjalistycznych. Przeważały te ostatnie. Ludzie prowadzili gorączkowe rozmowy, stojąc gromadnie, lub też czytając gęsto rozklejone na murach plakaty. Oddziały P.O.W. z najeżonymi bagnietami krążyły po ulicach.

Z pierwszego plakatu dowiedziałem się, że rząd został już utworzony, a nawet zdążył wywiesić odpowiedni komunikat. Ze zdziwieniem znalazłem pod nim umieszczone i moje nazwisko.

Komunikat ten brzmiał:

Nr 91

7 listopad 1918

cena 30 hal.

„Dziś we czwartek, dnia 7 listopada 1918 r. utworzył się i ogłosił objęcie władzy tymczasowy rząd Republiki ludowej. Skład następujący:

Prezydium i sprawy zagraniczne — poseł Daszyński, sprawy wewnętrzne — Stanisław Thugutt, Poczta i Komunikacja — poseł Andrzej Moraczewski, Oświata — Gabriel Dubiel, Przemysł — Bronisław Ziemięcki, Praca i Opieka Społeczna — Tomasz Arciszewski, Rolnictwo — Jul. Poniątkowski, Apropizacja — poseł Witos, roboty publiczne — Marian Malinowski, Kooperatywy — M. Downarowicz, Propaganda i agitacja — Wacław Sieroszewski. Bez teki — Tomasz Nocznicki i Błażej Stolarski. Skład jest jeszcze niezupełny”.

„W ostatniej chwili dowiadujemy się z bardzo poważnego źródła, że generał Rozwadowski w porozumieniu z Radą Regencyjną miał objąć dyktaturę wojskową, aresztować płk. Śmigłego i przeprowadzić rozbrojenie P.O.W. Zwlekał z powodu zimnego przyjęcia w Lublinie i widocznych objawów siły ludowej. Tymczasem do pilnowania wezwał oddziały obcokrajowe.

Wobec płk. Śmiłłego postąpił gen. Rozwadowski w sposób następujący: Najprzód zakwestionował prawo jego władzy wojskowej nad byłą okupacją, potem zaproponował mu tworzenie brygady, wreszcie, aby go usunąć z widowni, dał mu rozkaz wyruszenia na front (ukraiński).

Dzisiaj rano polecił Tymczasowy Rząd Ludowy aresztować gen. Rozwadowskiego. Rząd polecił aresztować ppłk. Paślawskiego, naczelnika straży bezpieczeństwa, Nieciegiewicza, oraz internować b. Komisarza Rządu Warsz. Zdanowskiego i gen. Olszewskiego.

Dekret Rządowy

„Do obywatela
Brygadiera Edwarda Rydza Śmiłłego.

Niniejszym mianujemy Was w zastępstwie Józefa Piłsudskiego ministrem wojny w Tymczasowym Rządzie Ludowym Republiki Polskiej, oraz Naczelnym Komendantem wszystkich wojsk polskich. Jednocześnie nadajemy Wam rangę Generała.

Lublin dn. 7 listopada 1918 r.

St. Thugutt m. p., Jul. Poniatowski m.p., W. Sieroszewski m.p., M. Downarowicz m.p., M. Malinowski m.p., T. Arciszewski m.p.”.

Odezwa

„Stał się dziś w oczach naszych fakt historycznej wagi, który zamyka jedną epokę i otwiera bramę nowym czasom.

„Pierwszy raz od czasu trwania wojny światowej powstał Rząd Narodowy, wyłoniony z woli społeczeństwa, a nie narzucony przez obcą władzę, lub z niej pochodzące czynniki. Kiedy podnoszą się wszystkie uciskane narody, kiedy samo społeczeństwo, sam lud wszędzie bierze w swe ręce i organizuje władzę, Polska jedna dotąd nie była w stanie stworzyć Rządu z łona społeczeństwa, cierpiała obcą władzę, lub przez obcych stworzoną, bezsilną, pomiataną, niezdolną do czynu, nie opartą na społeczeństwie, lecz na obcych siłach. Wszak jeszcze w ostatnich godzinach Rada Regencyjna, widząc że usuwa jej się grunt pod nogami, że wsparcie niemieckie runąć może, szuka oparcia nie w ludzie polskim, przed którym drży, a znowu u obcych potęg, u koalicji. Ta karta haniebna naszych dziejów, pałacy wstyd, który ogarnia każdego prawego Polaka na widok ludzi, którzy dotąd reprezentowali i rządili bez woli narodu — skończył się w dniu dzisiejszym.

„Powstał Rząd Narodowy.

„Powstał on z trzech partii ludowych: robotniczej, chłopskiej i partii radykalnej inteligencji. Pierwszy Rząd Narodowy tej wojny jest zarazem Rządem Ludowym. Ziściło się to, co w długiej nocy niewoli przewidywali najlepsi synowie Polski: Polska potężna, od obcych niezawisła, tylko od ludu i na nim wsparta może powstać i żyć. Któż jest ludem? Chłopi, robotnicy, mieszczenie, pracownicy ręką i duchem, wszyscy ludzie pracy. Któż jest poza nimi? Garść kapitalistów i obszarników. Lud, który olbrzymią większość narodu stanowi, wszystkie siły jego tworzy, nie może wielkiej swej pracy wiekowej, nowej budowy wznoszonej dla dobra wszystkich synów narodu, powstrzymywać dla garści dotychczasowych władców, działających tylko dla swego dobra. Lud wymaga posłuchu dla siebie, zastosowania się do jego woli, do nowych form organizacji, wymaga poszanowania dla majestatu

swej pracy i ofiar, wymaga od wszystkich synów narodu solidarności w wysiłkach przy tworzeniu nowego gmachu Polski Ludowej.

„Rząd Ludowy polski w przeciwieństwie do stosunków rosyjskich nie na jednym stanie, nie na jednej partii, nie na mniejszości się opiera, narzucającej większości społeczeństwa swą wolę. Opiera się na złączonych chłopach, robotnikach i inteligencji, opiera się na przymierzu partii ludowych, opiera się na ogromnej większości narodu. Zorganizowany Lud polski pójdzie własną swoją drogą. Nie będzie naśladował ani Zachodu ani Wschodu. Nie będzie naśladował ani metod pruskich, padających dziś w gruzy, ani metod rosyjskich, które zapędziły Rosję w anarchię bez wyjścia. Lud polski podejmie przez swych przedstawicieli w Sejmie konstytucyjnym w ładzie i porządku budowę Polski dla dobra mas pracujących. Drogę ku temu, ku nowej owocnej pracy dla szczęścia Ludu i Narodu utworuje i przystosuje Rząd Ludowy, który dziś powstał z woli zorganizowanego Ludu. On też jedynie może mocną dłoń ochronić nas przed niebezpieczeństwami wciąż groźącymi, on walczyć będzie o spełnienie nieprzedawnionych praw naszych narodowych, o zjednoczenie wszystkich ziem Niepodległej Republiki Polskiej. Rząd Ludowy jest ośrodkiem, około którego skupi się i objawi niespożyta siła Narodu. Każdy prawy syn narodu winien dziś wszelkimi siłami dopomagać w pracy organizacyjnej podjętej i prowadzonej przez Tymczasowy Rząd Narodowy.

„W Radomiu 600 robotników stanęło pod bronią do dyspozycji Rządu Ludowego. Utworzył się komisariat złożony z trzech socjalistów, jednego przedstawiciela chłopów, 1 demokraty. Porządek wzorowy. Entuzjazm wśród robotników niesłychany. Fabryki wczoraj stanęły, gdyż robotnicy tłumnie zgłaszali się pod broń do Rady Związków Zawodowych. Komendę nad ziemią radomską objął Komendant P.O.W.

Olbrzymie zapasy austriackie i paskarskie skonfiskowano. To samo donoszą ze Skarżyska, Ostrowca, Wierzbnika, Szydłowca, Iży i Koźnic. W Kielcach robotnicy stanęli pod bronią. W Dąbrowie robotnicy masowo tworzą milicję ludową, w Lublinie mobilizacja P.O.W. rażno postępuje. Szczególnie licznie stawiają się oddziały chłopskie. Robotnicy tworzą milicję ludową. Z Lubelskiego, Miechowskiego, Piotrkowskiego, otrzymujemy wiadomość, że organizacja władzy tworzona przez Pol. Str. Ludowe i P.P.S. szybko posuwa się naprzód i całe powiaty są już zorganizowane. Komendant batalionu polskiej siły zbrojnej, major Zarzycki, przysiągł gen. Śmi-głemu na rzecz Republiki Polskiej. O godz. 11-ej zaprzysiągł cały oddział”.

W hotelu i w mieście

Hotel, w którym zamieszkaliśmy, był obsadzony żołnierzami P.O.W. tak gęsto, że ich stało po dwóch na każdym stopniu schodów wiodących na piętra. Gdy ułożyłem Stapińskiego do łóżka, postarałem się o lekarza i lekarstwa potrzebne choremu, wyszedłem na miasto, aby się poinformować o sytuacji. Na ulicy spotkałem się z Aleksandrem Olkiewiczem, znanym mi dawniej z Warszawy. Ułatwił on mi zetknięcie się z różnymi ludźmi, a między innymi z przedstawicielami Towarzystwa Rolniczego lubelskiego, którzy akuratnie w ten dzień odbywali swoje narady. Następnie Olkiewicz zaprowadził mnie do mieszkania Zdanow-

skiego, sprawującego władzę naczelną z ramienia Rady Regencyjnej w byłej okupacji austriackiej. Dowiedziałem się od niego, że przez nowy rząd został zawieszony w swoich czynnościach i internowany w mieszkaniu.

Przedsięwzięciu nowemu nie wyrokował ani długiego życia, ani powodzenia. Składał znaczną część odpowiedzialności za to, co się stało, na Radę Regencyjną, która jego samego postawiła w bardzo trudnym położeniu i swoim postępowaniem przyczyniła się do powstania rządu lubelskiego. Twierdził, że Rada Regencyjna poleciła mu zakomunikować oficjalnie płk. Smiślemu, że zostanie mianowany dowódcą nad całym tym okręgiem, tego jednak nie dotrzymano. Podrażniony tym Smiśle, który przed tym nie myślał o współdziałaniu w tworzeniu tego rządu, pod wpływem tego faktu zmienił postępowanie, a jest rzeczą niezaprzeczoną, że bez jego udziału do utworzenia rządu byłoby nie doszło.

Stanisław Sliwiński, przyszły minister Apropowizacji w moim gabinecie był tego samego zdania. Panowie ci mówili, że siły wojskowe owego rządu w Lublinie składają się z około 1200 ludzi, wprawdzie mu oddanych, ale jeszcze bardzo młodych, nieledwie w wieku dziecięcym. Przybyły z Warszawy oddział tzw. Wehrmachtu liczący podobno 600 ludzi, doskonale wyekwipowanych, przysłany przez Radę Regencyjną, dla przeszkodzenia w tworzeniu rządu, poddał się pod rozkazy Rydza Smiślego. Było to dużą niespodzianką, gdyż wielu było przekonanych, że rozpocznie się walka między tym oddziałem i wojskiem, wiernym rządowi lubelskiemu.

Zdanowski z dużą goryczą twierdził, że gdyby Wehrmacht był chciał, to mógł bez trudności w przeciągu jednej godziny opanować położenie.

Po bliższym rozpatrzeniu sprawy i zorientowaniu się przyszedłem do przekonania, że utworzenie tego rządu jest niesłychaną lekkomyślnością i błędem politycznym, graniczącym wprost z bardzo niepoważną awanturą, która powinna być jak najprędzej zlikwidowana. Ton zaś i treść proklamacji, rozlepionych, jak się okazało, jeszcze przed naszym przybyciem do Lublina, noszących podpisy wszystkich owych rzekomych ministrów, przypominały żywcem jakieś manifesty studentów, nie zaś przedstawiciele wielkiego Narodu w chwilach tak poważnych.

Panom Downarowiczowi, Poniatowskiemu, Malinowskiemu i innym tak się spieszyło, że nadużyli tak mojego podpisu jak i prof. Dubiela, gdyż żaden z nas przy tworzeniu tego rządu nie był, treści proklamacji i odezwo nie znał i nie podpisywał. Postanowiłem też z tego rządu natychmiast się wycofać, nie wiedziałem jednak jak się do tego zabrać, gdyż nikogo z jego twórców nie mogłem

znaleźć, a znajomych w Lublinie nie miałem. Tu znowu przyszedł mi z pomocą Olkiewicz, który powiedział, gdzie się znajduje Daszyński, zaznaczając przy tym, że odbywa on ze swoimi ludźmi jakąś ważną i poufną naradę.

Nie tracąc czasu poszedłem do Stapińskiego, ażeby go poinformować o tym, co zaszło i usłyszeć jego opinie. Leżał na łóżku, trzymając się za głowę. Kiedy mu wymieniłem ministrów tego rządu, podniósł się szybko z pościeli, roześmiał się boleśnie i oświadczył, że to wszystko, co się stało, uważa za niegodną komedię, a Daszyńskiego za niepoważnego człowieka, mnie zaś radzi natychmiast się wycofać i jechać do Krakowa, aby jak najspieszniej naszych ludzi poinformować i odpowiednio nastawić, gdyż rząd lubelski zapewne rozpocznie swoją agitację. Oprócz tego upoważnia mnie do złożenia wspólnego oświadczenia na odbyć się mającym posiedzeniu Rady Ministrów. Mówiąc to wskazał mi ręką na leżące na stole zapieczętowane pismo. Okazało się, że jest to zaproszenie, podpisane przez Daszyńskiego, a wzywające mnie na pierwsze posiedzenie „Tymczasowego Rządu Ludowego” w Lublinie.

Nie chcąc męczyć silnie osłabionego Stapińskiego, wyszedłem na miasto, a nie mając już konieczności wyszukania Daszyńskiego błąkałem się, znajdując na ulicach nadspodziewanie coraz więcej znajomych, albo też z tą znajomością się narzucających, nie wyłączając nawet niektórych młodziutkich Peowiaków, jakoś nie sztywnie się trzymających. Jeden z tych przygodnych znajomych zaprosił mnie do lokalu obok dużej cukierni, w której się znajdowało trochę ludzi. Gdyśmy tam weszli, przedstawił mnie kilku nieznanym panom siedzącym przy herbacie. Zaczęła się między nami mocno przyciszona rozmowa, gdyż za każdym głośniejszym wyrażeniem wskazywano na sąsiednie drzwi. Wszyscy byli ogromnie przybici i zgodnie obwiniali Radę Regencyjną o chwiejność i niezaradność twierdząc, że ona właściwie wywołała wypadki lubelskie. Byli też przeświadczeni, że owo nasze spóźnianie, defekty motoru, konferencje Daszyńskiego z towarzyszymi po drodze, to była rzecz z góry ułożona, a nam chciano tym zamydląć oczy i postawić przed faktem dokonanym, by nam zamknąć odwrót i uniemożliwić wszelkie inne kombinacje. Choć twierdzenie to wydawało mi się nieco fantastyczne, gotów byłem w nie uwierzyć, widząc zupełnie zadowoloną minę Daszyńskiego, mimo że przecież bez jego woli i obecności utworzono ten rząd, a on był jego premierem, a przy tym na formalności ogromnie wrażliwym.

Ogólnie rzecz biorąc postępowanie Daszyńskiego wydawało mi się co najmniej dziwne i bardzo często daleko odbiegające od

dróg, którymi chodzili jego towarzysze partyjni, przynajmniej niektórzy. Za jeden z nielicznych zapewne dowodów może służyć choćby „odezwa do ludności” z 18 listopada 1918 r., podpisana przez posła Moraczewskiego. Mieszczą się w niej między innymi następujące wyrazy: „Niezgoda, właśnie, zaburzenia spokoju i ładu byłyby w tej chwili ciężką zbrodnią wobec społeczeństwa i Ojczyzny. A więc karność wobec zarządzeń władz, posłuch dla prawa. A więc poszanowanie dla cudzej własności”.

Zasady bez zarzutu. Nabierają one tym większego znaczenia, że zostały wypowiedziane w czasach, gdy socjaliści stali z daleka od rządu, a przecież najgorliwszy państwowiec nie mógłby się ich powstydić. O ileż inaczej brzmi proklamacja rządu lubelskiego, któremu przewodniczył Daszyński, jakże wyglądają jego odezwy, przez pana premiera akceptowane i podpisywane. Ileż tam w nich chociażby naiwnych zwrotów, lub frazesów śmiesznych, a co gorsza zaprzeczających rzeczywistości. Prawda, że i Moraczewskiemu zdarzało się nieraz stanąć w sprzeczności ze swoim zdaniem, nigdy jednak pod tym względem nie dorównał prezesowi rządu lubelskiego. Zbyt widoczne dowody sprzeczności znajdzie już ten, co sobie zada trud przeczytania jego książki o „Wielkim Człowieku w Polsce”, a po niej „Listu do Waletów”. A przecież to nie wszystko.

Manifest rządu lubelskiego wydany dn. 7 listopada 1918 r. brzmiał dosłownie:

„Polska Rzeczypospolita Ludowa. — Tymczasowy Rząd Ludowy.

„Manifest do Ludu Polskiego

„Robotnicy, włościanie i żołnierze Polscy!

„Nad skrawioną i umęczoną ludzkością wschodzi zorza pokoju i wolności. W gruzy wać się rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników-rzeczy militarnej ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących. Wszędzie lud dochodzi do władzy. I nie zaświta lepsza dola nad Narodem Polskim, jeżeli rdzeń i olbrzymia jego większość — lud pracujący — nie ujmie w swe ręce budowy podwalin życia społecznego i państwowego.

„Nie może losem Narodu Polskiego kierować nadal Rada Regencyjna, przez obce, wrogie czynniki nam narzucona, która swoją ugodową i reakcyjną polityką, oddającą jednocześnie niemal dyktatorską władzę w ręce austriackiego żołdaka Rozwadowskiego, pcha lud polski ku przepaści.

„Jeśli chcesz zająć należne ci miejsce w rodzinie wolnych narodów, jeśli chcesz sam być gospodarzem na swojej własnej ziemi, to musisz sam budować gmach Niepodległej i Zjednoczonej Ludowej Rzeczypospolitej Polskiej.

„W przekonaniu, że sprostasz temu wielkiemu a świętemu zadaniu, z polecenia ludowych i socjalistycznych stronnictw Królestwa i Galicji, ogłaszamy się za Tymczasowy Rząd Ludowy Polski i do chwili zwołania Sejmu Ustawodawczego, władzę całkowitą i niepodzielnie obejmujemy, ślubując sprawować ją ku dobru i pożytkowi ludu i państwa polskiego, nie cofając się jednak przed surową i bezwzględną karą wobec tych, którzy nie zechcą uznać w Polsce władzy Demokracji Polskiej.

„Jako Tymczasowy Rząd Ludowy Polski postanawiamy i ogłaszamy poniższe prawo obowiązujące cały naród polski od chwili wydania dekretu:

1) Państwo polskie, obejmujące sobą wszystkie ziemie zamieszkałe przez lud polski, z własnym wybrzeżem morskim, stanowić ma po wsze czasy Polską Republikę Ludową, której pierwszego prezydenta obierze Sejm Ustawodawczy.

2) Rada Regencyjna, działająca na szkodę narodu polskiego z dniem dzisiejszym z woli ludu polskiego przestaje istnieć.

3) W razie gdyby Rada Regencyjna, oraz rząd przez nią stworzony tej woli ludu polskiego nie chciały się poddać, ogłoszone będą za wyjęte spod prawa. Ściganie, ujęcie i oddanie ich w ręce naszych władz wykonawczych będzie obowiązkiem każdego obywatela państwa polskiego.

„Istniejącemu obecnie w Warszawie prowizorycznemu rządowi urzędniczemu rozkazujemy niniejszym natychmiast podporządkować się nam i sprawować swe funkcje aż do chwili otrzymania od nas bliższych instrukcji. W przeciwnym razie będą postawieni w stan oskarżenia przed Trybunałem Ludowym, którego skład i kompetencje będą niebawem ogłoszone.

4) Sejm Ustawodawczy zwołany będzie przez nas jeszcze w roku bieżącym na podstawie powszechnego, bez różnicy płci, równego, bezpośredniego, tajnego i proporcjonalnego głosowania. Ordynacja wyborcza będzie ogłoszona w przeciągu najbliższych kilku dni. Czynne i bierne prawo wyborcze będzie przysługiwało każdemu obywatelowi i obywatelce, mającym 21 lat skończonych.

5) Z dniem dzisiejszym ogłaszamy w Polsce całkowite polityczne i obywatelskie równouprawnienie wszystkich obywateli bez różnicy pochodzenia, wiary i narodowości, wolność sumienia, druku, słowa, zgromadzenia, pochodów, zrzeseń, związków zawodowych i strajków.

6) Wszystkie w Polsce donacje i majoraty ogłaszamy za własność państwową. Dla przeciwdziałania spekulacji ziemią będą wydane osobne przepisy.

7) Wszystkie lasy zarówno prywatne jak i dawne rządowe ogłaszamy za własność państwową. Sprzedaż, wyrąbywanie lasów bez specjalnego dekretu jest wzbronione.

8) W przemyśle, rzemiosłach i handlu wprowadzamy niniejszym 8 godzinny dzień roboczy.

9) Po ukonstytuowaniu się ostatecznym przystąpimy natychmiast do reorganizacji na zasadach szczerze demokratycznych: Rad gminnych, Sejmików powiatowych i Samorządów miejskich, jak również do organizowania po miastach i wsiach milicji ludowych, które by zapewniły ludności ład i bezpieczeństwo, a posłuch i wykonanie zarządzeń naszych organów wykonawczych. Należyte postawienie sprawy aprowizacji ludności, zapewnienie jej po taniej cenie artykułów spożywczych uważamy za jeden z pierwszych naszych obowiązków. W tępieniu zbrodniczej spekulacji, ukrywaniu zapasów i w ułatwianiu dostarczania żywności oprzemy się na organizacjach samorządowych i społecznych.

„Na Sejm Ustawodawczy wniesiemy projekt następujących reform społecznych:

a) przymusowe wywłaszczenie i zniesienie wielkiej i średniej własności ziemskiej i oddanie jej w ręce ludu pracującego pod kontrolą państwa.

b) upaństwowienie kopalń, salin, przemysłu naftowego i dróg komunikacyjnych, oraz innych działów przemysłu, gdzie się to da uczynić.

c) udział robotników w administracji tych zakładów przemysłowych, które nie zostaną od razu upaństwowione.

d) prawo o ochronie pracy, ubezpieczenie od bezrobocia, chorób i na starość.

e) konfiskaty kapitałów, powstałych w czasie wojny ze zbrodniczej spekulacji artykułami pierwszej potrzeby i dostaw do wojska.

f) wprowadzenie powszechnego, obowiązkowego i bezpłatnego świeckiego nauczania szkolnego.

„Polaków zamieszkałych na ziemiach byłego Księstwa Litewskiego wzywamy, aby w braterskiej zgodzie z narodem litewskim i białoruskim dążyli do odbudowania państwa litewskiego w dawnych jego historycznych granicach. Polaków zaś ze wschodniej Galicji i z Ukrainy do pokojowego załatwienia kwestii spornych z narodem ukraińskim, aż do ostatecznego ich uregulowania przez miarodajne czynniki obu narodów.

„Ludu polski! Te reformy polityczne i społeczne, które pragniemy w życie wprowadzić, są najniezbędniejsze. Bez urzeczywistnienia ich Polska nigdy nie dźwignie się z dzisiejszej nędzy, bezładu i upokorzenia.

„Urzeczywistnieniu ich na obszarze całej Polski stoi na przeszkodzie to, iż część jej jeszcze znajduje się w posiadaniu rabujących ją i niszczących wojsk niemieckich. Dlatego też nie mamy w swym składzie przedstawicieli ludu poznańskiego, dlatego też chwilowo nie urządzamy w Warszawie, stolicy Polski.

„Wierzmy, że lud niemiecki rozkaże swoim wojskom bezzwłocznie opuścić wszystkie ziemie polskie, odda nam najlepszych obywateli z Piłsudskim na czele, jak również jeńców wojennych i robotników, więzionych w Niemczech.

„Ale gdyby wojska niemieckie nie ustąpiły dobrowolnie z całej ziemi polskiej, to wezwiemy Cię, Ludu Polski, abys z bronią w ręku szedł ją uwolnić od niemieckiego najazdu i jednoczyć w całość państwową. Dlatego też organizowanie regularnej armii ludowej uważamy za jedno z najważniejszych i najpilniejszych naszych zadań. Wierzmy, że młodzież wiejska i robotnicza z radością stanie w szeregach armii polskiej, z ludu wyszłej i społecznych praw ludu pracującego broniącej, Rządowi Ludowemu wiernie i całkowicie oddanej, jedynie jego rozkazom podległej. Tworzenie tej armii wobec nieobecności Józefa Piłsudskiego powierzamy jego zastępcy pułkownikowi I brygady b. Legionów Polskich, Rydzowi-Smigłemu.

„Ludu Polski! Wybiła godzina twego czynu. Weź wielkie dzieło wyzwolenia Twej ziemi, przesiąkniętej potem i krwią Twych ojców, praojców w swe spracowane, mocne dłonie i przekaz następnym pokoleniom Wielką i Wolną, Zjednoczoną Ojczyznę. Stań jak jeden mąż do czynu, nie skąp wielkiemu dziełu wyzwolenia Polski i pracującego w niej człowieka ani mienia, ani ofiar, ani życia.

„Was, bratnie narody litewski, białoruski, ukraiński, czeski i słowacki wzywamy do zgodnego z nami współżycia i wzajemnego wspierania się w wielkim dziele tworzenia związków wolnych i równych narodów.

„Tymczasowy Rząd Ludowej Republiki Polskiej.

„Tomasz Arciszewski, Ignacy Daszyński, Medard Downarowicz, Marian Malinowski, Gabriel Dubiel, Jędrzej Moraczewski, Tomasz Nocznicki, Juliusz Poniatowski, Edward Rydz-Smigły, Wacław Sieroszewski, Błażej Stolarzki, Stanisław Thugutt, Wincenty Witos, Bronisław Ziemięcki.

Lublin-Kraków, 7 listopada 1918 r.”

Przepustka

Będąc zdecydowany wyjechać z Lublina jak najprędzej, a nie znając stosunków zupełnie, oglądałem się znowu za informacjami

co do czasu i sposobu wyjazdu koleją. Olkiewicz mi doradził, aże-
bym się wcześniej udał do Rydza-Smigłego po przepustkę, ponie-
waż później może mi jej nie wydać, „bo nie wiadomo, co zaj-
dzie”. Poszedłszy natychmiast pod wskazanym mi adresem, spot-
kałem p. pułkownika siedzącego samotnie w biurze za wielkim
stołem.

Kiedy mu powiedziałem, po co przyszedłem, zastanowił się
chwilę, a następnie napisał mi pozwolenie przejazdu koleją do
Krakowa. Owo pozwolenie przez p. pułkownika i ministra wy-
stawione był to maleńki świstek kratkowanego papieru zapisa-
nego ołówkiem, bez żadnej pieczęci. Z uprzejmości p. pułkownika
nie skorzystałem jednak, gdyż mnie uprzedzono, że Smigły wyda-
jąc mi pozwolenie na jazdę, równocześnie wydał polecenie aresz-
towania mnie, gdy się zgłoszę po kupno biletu na dworcu kole-
jowym. Aczkolwiek temu twierdzeniu nie dawałem wiary, wola-
łem nie robić próby i zacząłem szukać innego wyjścia. Idąc za
radą Zdanowskiego, porozumiałem się z bawiącym w Lublinie
Hemplem, b. posłem do Dumy rosyjskiej i dzierżawcą majątku
Gościeradów, położonego, jak mi mówiono, tuż koło dawnej
granicy galicyjskiej. Ponieważ miał on konie w Lublinie, umó-
wiliśmy się, że wyjedziemy nazajutrz bardzo wczesnym rankiem,
ażeby nas nie spostrzeżono w mieście.

Posiedzenie Rządu Lubelskiego

Tymczasem poszedłem na zapowiedziane posiedzenie lubel-
skiej rady ministrów. Rozpoczęło się ono z bardzo dużym opóź-
nieniem. Ministrowie prawdziwie po ludowemu zasiedli w sali
zarzuconej po kolana papierami, gdyż nie dawno wyprowadzili
się z niej urzędnicy okupacji austriackiej, a nikt się jakoś nie
kwapił do sprzątnięcia. Może być, że śmiecie owe pozostawiono
dla specjalnego efektu.

Oprócz prof. Dubiela obecni byli na posiedzeniu wszyscy
członkowie rządu. Posiedzenie otworzył Daszyński wstępny,
dłuższym, wyszukany przemówieniem. Nie omieszkał zaznaczyć
w nim, że przeżywamy wielką chwilę dla Polski, Ludu i Demokra-
cji, a jakkolwiek wypadki mogły, a nawet powinny potoczyć się
inną drogą, to się należy pogodzić z tym, co zaszło. Osobiście nie
ubiegał się on nigdy o władzę, ani żadne zaszczyty, ale w tej
chwili przyjmuje obowiązek, jaki na niego nałożyły wypadki i
lud, nie chcąc być przeszkodą do osiągnięcia tak wielkich celów.
To wspaniałe słońce radości zaćmiewa mu jednak cień smutku,
gdyż między nami nie ma największego z Polaków, Józefa Pił-

sudskiego. Wyrażeniem nadziei, że go wnet zobaczymy, zakończył Daszyński swoje dość długie przemówienie.

Po nim zabrał głos Sieroszewski, który ogromnie uradowany tym zdarzeniem niezwykłym, wzywał do wytrwałości, wyrażając przekonanie, że cała Polska zgodzi się z wdzięcznością na ten rząd i że on opierając się na Piłsudskim i na ludzie, będzie mógł spokój i szczęście zapewnić Zmartwychwstałej Ojczyźnie.

Po tych przemówieniach zażądałem głosu i na podstawie porozumienia ze Stapińskim złożyłem oświadczenie, zaznaczając między innymi, że zaszłymi wypadkami zostałem mocno zaskoczony, gdyż od stronnictwa dostałem mandat do współdziałania przy tworzeniu rządu ogólnopolskiego w Warszawie, nie zaś dzielnicowego w Lublinie. Osobiście zaś nie mógłbym się zgodzić na przyjęcie w nim udziału, gdyż tworzenie rządów innych, kiedy w stolicy istnieje rząd prawny, uważam nie tylko za zbędne, ale również za szkodliwe jak i niebezpieczne, ponieważ to może dać zachętę do tworzenia rządów podobnych w różnych częściach kraju, co doprowadziłoby do zupełnego rozkawałkowania jego słabego jeszcze organizmu.

Podobne postępowanie musi też wzmóc anarchię i zamieszanie, a co gorsza, może nawet i walki bratobójcze. To są powody, które mnie zniewalają, aby w tym rządzie odmówić udziału. Przewodniczący Daszyński moje oświadczenie przyjął, uważając je za stanowiska formalnego zupełnie za słuszne.

Po moim odejściu rząd radził dalej i to specjalnie nad utworzeniem nowych resortów ministerialnych, poza istniejącymi już ministerstwami kooperatyw i agitacji, do których przywiązywano tak wielką wagę. Przygotowano też odezwę, w której rząd doradzał Polakom współdziałanie przy tworzeniu państwa litewskiego i to w granicach historycznych, a więc prawie że po Lublin, proklamował miłość wszystkich narodów, gdy akuratnie w tym czasie Ukraińcy mordowali Polaków w Galicji wschodniej, w sposób barbarzyński przelewając krew polską strumieniami. Nie zastanowił się nad wysłaniem tam choćby jednego żołnierza. Odzrekając się od wzorów zachodu i wschodu, zamierzał budować Polskę przez skrócenie dnia pracy, przez strajki urzędowo robione i z góry przez prawo uświęcone, no i przez wprowadzenie na wieś socjalistycznej ewangelii.

Droga do Krakowa

Noc zupełnie bezsenną spędziłem w jakimś mieszkaniu prywatnym, wyszukany mi przez Olkiewicza, którego zbyt tro-

skliwa opieka zaczęła mi się wydawać trochę podejrzana, szczególnie od czasu, gdy Zdanowski wypowiedział o nim swoją i to nie najlepszą opinię. Ledwie zaczęło się rozwidniać, gdyśmy z Hempel wyjechali z Lublina drogą na Kraśnik. Miasto było we śnie pogrążone tak, że jednego człowieka na ulicy nie widziałem. Posterunki wojskowe przepuściły nas bez żadnego trudu, pytając się tylko, czy nie wieziemy broni. Konie były wypoczęte i dobre, jechaliśmy więc niesłuchanie szybko.

Przejścia dni ostatnich, noce nieprzespane, mroźny, chmurny dzień, a przy tym niedostateczne na tę porę ubranie powodowały, że miałem błady, chorobliwy wygląd. Spozrzegł to Hempel i po przejechaniu kilku mil zaproponował, żebyśmy w karczmie przydrożnej napili się ciepłej herbaty. Zapytany o nią gospodarz oświadczył dość niegrzecznie, że on takich rarytasów nie ma, może nas natomiast poczęstować wódką i to nie najlepszą, bo innej teraz dostać nie można. Wypiłem kieliszek, nie mogąc przez dobry kwadrans gęby wyprostować.

Wdaliśmy się z nim w rozmowę, którą gospodarz natarczywie rozpoczął, dowiedziawszy się, że jedziemy z Lublina. Wypytywał się też bardzo ciekawie, co się tam wczoraj stało, bo ludzie różnie opowiadają. Hempel streścił mu w krótkości, nie wypowiadając żadnej opinii. Gospodarz słuchał z niesłuchanym zajęciem, coraz bardziej rozpromieniony. Zaczął też sam dużo i szybko mówić. Z jego wynurzeń dowiedziałem się, że należy on do „Wyzwolenia”, a nawet zajmuje w nim wybitniejsze stanowisko. Jest zwolennikiem społecznego przewrotu i rewolucji, bo panowie nic dobrowolnie nie dadzą. Rząd lubelski uważa tylko za mały etap na tej drodze. Słuchając przez chwilę jego wywodów Hempel spojrział na mnie znacząco, dając mi znak, abyśmy wyszli. Uczyniłem to, nie próbując ani jednym słowem hamować zapędów rozgorączkowanego rewolucjonisty.

Wyszedł i on na pole, zatrzymując mnie skinieniem ręki. Stałem dość niechętnie, obawiając się, że Hempel już za dużo powiedział, a szczególnie, że się przyznał, skąd jedziemy. „Czy obywatel nie jest tutejszy?” — zagadnął, zaczynając rozmowę. „Tak, ja jestem z Galicji” — odpowiedziałem. „A czy tam chłopci zabierają już lasy i grunta dworskie, bo tu u mnie był wczoraj jakiś ciarach od Tarnobrzegu i o tym opowiadał” — zapytał mnie tak cicho, żeby stojąc od nas o kilka kroków Hempel tego nie usłyszał. „Nie panie — odpowiedziałem mu ostro — nasi chłopci poszli bronić Lwowa i Galicji wschodniej, bo to ich, jak i wszystkich Polaków obowiązek, a jak go spełnią i państwo umocnią, to dopiero pomyślą, co zrobić z lasami i gruntami”. Pomyślał chwilę i powiedział mi powoli: „No, to my

nie tacy głupi, żebyśmy szli bronić pańskich dworów na Ruś, to już trzeba Rusinom zostawić, bo to są przecież nasi bracia, którym się ziemia tak jak i nam tu należy". Tego już nie mogłem wytrzymać, powiedziałem więc, co należało wyzwoleniowemu Samarytaninowi i przerwałem rozmowę, gdyż Hempel siedział już na wozie, czekając na mnie. Kiedy mu powtórzyłem rozmowę z karczmarzem, pokiwał tylko głową i powiedział: „Trudno, ktoś tych ludzi miał nauczyć i wychować”.

Po półgodzinnej jeździe ukazał się przed nami rozłożony na bardzo szerokiej przestrzeni las. Hempel objaśnił mnie, że to są wielkie stare, dobrze zachowane lasy, a należą do hr. Maurycego Zamoyskiego. Kiedyśmy się do lasu zbliżyli, spostrzegłem, że dzieje się tam coś niesamowitego, gdyż ziemia dudniła od padających kłód drzewa. Przybliżywszy się zobaczyłem gromadę chłopów po lesie rozproszonych, zrzynających zacięcie co najpiękniejsze drzewo i ładujących na wozy.

Ponieważ droga, którą mieliśmy przejeżdżać była zawałona drzewem i zaśłana gałęziami, musieliśmy się zatrzymać, bo przejechać było niepodobna. Hempel, przerażony, został na wózku, ja poszedłem do „pracujących chłopów”. Rozejrzawszy się, stwierdziłem, że było tam z półtorej setki ludzi, że wybierali co najpiękniejsze drzewa i nie odrywali oczu od roboty. Podeszedłszy do najbliższej grupy pracujących, zapytałem, co to ma znaczyć, że ich tylu naraz pracuje w lesie, czy to drzewo kupili, ile za niego zapłacili itd. Spojrzeli na mnie, jak widziałem, ogromnie zdziwieni, a jeden z nich wysoki chłop, z dużymi ładnymi wąsami, odpowiedział ze złością w głosie, że kupować wcale nie potrzebują, bo to dawniej był las Zamoyskiego, ale teraz został przeznaczony „dla biednego narodu”, a wczoraj z Lublina wyszło zarządzenie, iż przez trzy dni biedni ludzie mogą sobie brać drzewa, ile potrafią. Ponieważ czas wyznaczony jest bardzo krótki, muszą się spieszyć, dlatego we dnie i w nocy pracują.

Na moją uwagę, że to chyba nieprawda, bo takiego zarządzenia nie wydałby żaden rząd, a gdyby lasy nawet zostały odebrane panom, to się ich nie powinno niszczyć, gdyż będą potrzebne w przyszłości, odpowiedzieli chórem: „Tyle się człowiek nacierpiął, to niech sobie choć raz pozwoli, a zresztą, kto wie, co to jeszcze będzie”.

Widząc, że drzewo na wozy ładują zamożni gospodarze, bo dobrze odziani, posiadający konie i wozy, gdy prawdziwie ubodzy kręcili się między nimi, zbierając gałęzie i pomagając kloce ładować na wozy, zapytałem bardzo grzecznie gospodarza mającego już trzy 6-metrowe kloce na wozie, dlaczego tym ubogim drzewa nie wożą. Odpowiedział mi widocznie rozdrażniony: „Jeszcze

czego, może będę na dziadów robił!”. Nie oddzywałem się już więcej widząc, że pracujący patrzą na mnie coraz podejrzliwiej.

Poszedłem więc dalej, szukając możliwości przejazdu i obserwując dalsze partie chłopów. Obawiałem się też, żeby Hempłowi nie wyrządzili jakiejś krzywdy, gdyż zaczęli patrzeć spode łba i pytali się: „Co to za deputat w tej karcie siedzi?”. Ażeby to niemiłe położenie przerwać, poszedłem do jednej partii chłopów z prośbą o oczyszczenie drogi. Ponieważ ładowanie im nie szło, dałem wskazówki, a nawet pomogłem im kłoce drzewa na wóz włożyć. To ich widać przekonało, bo drogę natychmiast uprzątnęli tak, że mogliśmy bez wielkich przeszkód przejechać. Chłopi zaś zajęci pracą nie zwrócili na nas prawie uwagi.

Wypadek ten zrobił na mnie bardzo przykre wrażenie, także i dlatego, że Hempel do mnie głosem rozżalonym i jakby od niechcenia powiedział: „No i od tego mają się zaczynać rządy ludowe”. Połknąłem tę pigułkę. Jadąc dalej, staraliśmy się rozmawiać o sprawach obojętnych, ażeby nie poruszać drażliwych tematów.

Po drodze do Kraśnika przejeżdżaliśmy przez pola, na których w sierpniu 1914 r. odbyła się nieszczęśliwa dla Austriaków bitwa. Hempel opowiadając o niej i wskazując rowy, w których się chowali żołnierze rosyjscy, twierdził, że głupota austriackich dowódców przeszła tam wszelkie granice. Ofiarą jej padło także bardzo wielu Polaków. Ogromne cmentarze wojskowe świadczyły wymownie o dokonanej tam rzezi.

Nie mogąc w Kraśniku nic dostać do jedzenia, za radą Hempła udaliśmy się do proboszcza, który był jego bliskim znajomym. Ucieszył się nami bardzo, ale oświadczył, że na obiad musimy przynajmniej godzinę poczekać. Nie było innej rady, a choć głód nam dokuczał, musieliśmy się na to zgodzić. Czas upłynął nam bardzo szybko, bo za radą ks. proboszcza zwiedziliśmy stary, bardzo dobrze utrzymany kościół. W podziemiach tego kościoła pokazał nam uprzejmy ks. proboszcz dobrze jeszcze zachowane trumny kolatorów hr. Tęczyńskich, opowiadając szeroko o dziejach tej świątyni i jej fundatorach. O wypadkach lubelskich dowiedział się dopiero od nas i był nimi niezmiernie zmartwiony.

Po obiedzie i odpoczynku koniom ruszyliśmy w dalszą drogę, stając w Gościeradowie nad samym wieczorem. Majątek ten liczył kilkanaście tysięcy morgów obszaru, a należał wówczas do jakiegoś warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Hempel dzierżawił go od lat bardzo wielu. Ziemia widać urodzajna, oziminy wyglądały wspaniale, budynki przedstawiały się dobrze, całe gospodarstwo w wysokiej kulturze utrzymane.

Hempel skarżył się trochę, że włościanie tamtejsi, jakkol-

wiek dobrze z nimi żyje i stara się dla nich robić, co tylko może, ciągle są nieufni i często stają w poprzek jego najlepszym zamiarom. Jadąc z nim przez wieś, zauważyłem wcale ładną remizę straży ogniowej, stowarzyszenie spożywcze, spółkę katolicką, kółko rolnicze. Na moje pytanie, kto to wszystko pozakładał, Hempel skromnie odpowiedział, że on.

Zdziwiłem się trochę, że po cichej, krótkiej rozmowie z rządcą nie zaprosił mnie do siebie, lecz do jego mieszkania. Był przy tym podniecony i, jak mi się wydawało, silił się na spokój. Kiedy już miałem siadać na wóz, poprosił mnie na bok i odezwał się tymi słowami: „Dzień dzisiejszy jest dla mnie najprzykrzejszy w życiu. Mieszkam tu od lat bardzo wielu. Pracowałem zawsze dla ludu, znosząc od Moskali prześladowania i przykrości. Założyłem różne instytucje, grosza nie żałowałem nigdy. Zdawało mi się, że mam tu samych przyjaciół, bo przecież się starałem pomagać każdemu. Tymczasem powiedział mi rządcą, że w czasie mojej parudniowej nieobecności, zrabowano mi gospodarstwo, a nawet mieszkanie, nie oszczędzono także i biednych instytucji, w które tyle pracy włożyłem. Najprzykrzejsza ze wszystkiego okoliczność, że dopuścił się tego człowiek, na którym najwięcej budowałem. Zrozumie też pan moje przygnębienie i boleść, której się obronić jest niepodobieństwem”.

Nie mylił się, bo nie tylko że zrozumiałem, ale z jego miny i oczu wyczytałem wyraźny zarzut, który mówił: „Oto patrz czym chłopci jeszcze jesteście, jakie świadectwo sobie wydajecie!”.

Nie mając nic do powiedzenia, a chcąc to miejsce opuścić jak najprędzej, pożegnałem go wsiadając na furmankę, która mnie miała zawieźć aż do Radomyśla.

Wieczór był już na ramieniu. Powożący chłopina pędził co konie mogły wyskoczyć. Mimo tego przynaglałem go jeszcze, obawiając się nocą podróży przez lasy, które musieliśmy przebyć, kierując się wskazówkami rządcy Hempla. Dawną granicę austriacką przejechałem nie wiedząc nawet kiedy. Spozstrzegłem się dopiero, kiedy mały furman zwrócił mi uwagę na słupy graniczne, będące już daleko na nami. Nie znając drogi, zaczęliśmy błądzić po lesie, szukając śladów kół od wozów i stóp ludzkich. Byłem zaniepokojony, bo zmrok zapadał, a myśmy błądzili dalej. Z tych kłopotów wybawił mnie napatkany w lesie wieśniak, który objaśnił, gdzie się znajdujemy i zaznaczył, że i on idzie w stronę Radomyśla.

Zabrałem go na wóz. Rozgadał się o stosunkach w powiecie tarnobrzeskim twierdząc, że już po niedzieli przystąpią do podziału gruntów dworskich. Byliby to uczynili wcześniej, ale Witos z hr. Lasockim przeszkodzili temu. „No, a co zrobicie

z plebańskimi gruntami?” — zapytałem go. Nie namyślając się odrzekł: „Jeszcze nie wiem, bo nam ks. Okoń o tym nie powiedział, myślę, że się to zrobi później”. Wymienił mi swoje nazwisko, powiedział, że jest zwoleńnikiem ks. Okonia i Dąbala, pomaga im w robocie, a teraz powraca z wycieczki agitacyjnej do kilku wsi. Próbowałem go trochę mitygować w jego zapale, ale zupełnie bezskutecznie.

Z wielkim już zmrokiem dotarliśmy do Radomyśla nad Sanem, siedziby głośnego wówczas ks. Okonia. Konie były zgrzane i zmęczone, musieliśmy więc odpocząć. Przy pomocy owego wieśniaka zacząłem szukać miejsca, gdzie by można było dostać bodaj szklanekę herbaty. Trud jednak był daremny, bośmy nie znaleźli jej nigdzie. Nie wiem już, dlaczego wieśniak ten nie chciał mi też wskazać mieszkania ks. Okonia. Nie było rady, musieliśmy jechać dalej, starając się kierować na najbliższą stację kolejową. Idąc śladami kół na piasku, dojechaliśmy do przewozu na rzece Sanie.

Przewoźnicy byli po drugiej stronie rzeki, nie dając znaku życia. Dopiero na kilkakrotne wołanie gromadki ludzi, zebranej na brzegu, i kilku im posłanych przekleństw przyjechali i z wielkim mozołem przepawili nas na drugą stronę. Przygodni ludzie wskazali mi drogę na Rozwadów. Chciałem się tam bowiem dostać, żeby z jakiegoś urzędu posłać telefoniczną wiadomość do Krakowa. Na nieszczęście drogę wskazano nam fałszywie, po przebyciu paru kilometrów błota po kolana musieliśmy wracać z powrotem do przewozu. Przyparty do muru zacząłem się natarczywie pytać przewodników o kierunek drogi już nie do Rozwadowa, ale do jakiejś bliskiej miejscowości. Patrzeni na mnie mocno podejrzliwie, ale w końcu wskazali właściwą drogę, którą wkrótce dojechaliśmy do Zbydniowa. Postanowiłem znaleźć nocleg dla mojego małego, straszliwie zmęczonego furmana, a sam piechotą udać się na stację kolejową, bo konie nie mogły już się ruszać.

Nie poszło mi jednak to łatwo. Przeszedłem szereg domów, prosząc o nocleg, wszędzie mnie jednak odprawiono z niczym. Gospodarz ostatniego domu, do którego wstąpiłem na ostatku, bardzo zresztą dużego i porządnie wyglądającego, oświadczył mi opryskliwie: „My tu żadnych dziadów nigdy nie nocujemy”.

Po tym tak zachęcającym komplementem, nie wiedząc co robić, stanąłem na drodze zupełnie bezradny. Po chwili wpadłem jak mi się zdawało na dobry koncept.

Mianowicie, nie zdradzając się, kim jestem, poszedłem ponownie do jednego z gospodarzy, powołując się na znajomość z Adamem Zielińskim, wójtem ze sąsiedniej wsi Majdan Zbydniowski. Pomyliłem się jednak gruntownie, bo i to nie pomogło. Go-

spodarz domu, spojrzawszy na mnie lekceważąco, mruknął: „To pański wójt” i zamknął mi drzwi przed nosem.

Z tej ciężkiej opresji wybawił mnie dopiero naczelnik stacji, przechodzący przypadkowo drogą. Kiedy mu opowiedziałem swoje przygody, roześmiał się mówiąc: „A to się pan wybrał, tu może pan chodźć do sądnego dnia i nikt pana nie przyjmie”. Po tej danej mi nauce poszedł do dworu Horodyńskiego, a powróciwszy za chwilę, konie i furmana ulokował we dworze, a mnie zaprosił na nocleg u siebie. Kontent z takiego rozwiązania sprawy, powołującemu chłopakowi dałem kilkadziesiąt koron na wydatki, Horodyńskiemu podziękowałem za gościnę i udałem się z naczelnikiem na odpoczynek i posiłek. Roztropnego malca nie zobaczyłem nigdy więcej, natomiast z Horodyńskim spotkałem się w r. 1920 na froncie bolszewickim, gdzie pełnił służbę jako ochotnik wojsk polskich.

Z posiłku u naczelnika skorzystałem, ale noclegu nie przyjąłem, chcąc się koniecznie dostać do Rozwadowa. Udało mu się nareszcie umieścić mnie w pociągu towarowym, którym dojechałem do Rozwadowa. Kiedy przybyłem tam już dobrze po północy, spotkałem na peronie naczelnika i dwóch innych urzędników, witających mnie z przesadną grzecznością. Po chwili urzędnicy odeszli do służby, a naczelnik zaprosił mnie do mieszkania, próbując gościć, czym było można.

Zaczęliśmy rozmowę, z której było widać, że to człowiek bardzo inteligentny, ocyztany, obrotny i doskonale się orientujący. Nie omieszkał mi powiedzieć, że z przekonania jest postępowym demokratą. Słyszając to wytrzeszczyłem znowu oczy ze zdziwienia, gdy mi znowu powiedział, że stoi przekonaniami blisko Dąbala i Okonia, a nawet utrzymuje z nimi przyjacielskie stosunki. Chcąc się widocznie salwować, oświadczył mi, że zaproszeni przez niego dr Jaroszyński i naczelnik urzędu pocztowego są także zwolennikami Okonia i Dąbala. Widocznie wytworzona tam atmosfera zatruwała wszystko. Za chwilę weszli obaj zaproszeni. Mówili jak obłąkani. Po półgodzinnej rozmowie miałem wrażenie, że ich przekonałem, bo się zaczęli cofać i wymawiać. Dr Jaroszyński miał ze sobą projekt rezolucji, którą zamierzał postawić jutro na zgromadzeniu Okonia i Dąbala. Zapamiętałem niektóre jej punkty. W jednym z nich miał lud zamianować obywatela Dąbala majorem, w drugim powierzał mu rządy nad powiatem.

Zgromiłem ich słowami, które już bardzo daleko wybiegały poza prawo gościa, wyrażając zdziwienie, jak ludzie inteligentni mogą coś podobnego robić. To samo powiedziałem kilku chłopom, którzy tam tymczasem przybyli. Argumenty moje uznali

w zupełności, deklarując, że się natychmiast od tej roboty usuną. Niewiele to wszystko pomogło, bo na drugi dzień rezolucje owe na ogromnym zgromadzeniu zostały uchwalone.

Pan Dąbał wolą ludu i adwokata Jaroszyńskiego został majorem i rozpoczął destrukcyjną robotę przeciw wojsku i porządkowi.

Dzięki usilnym zabiegom naczelnika poczty mogłem się nareszcie połączyć z Krakowem i porozumieć się z dr. Tertilem, który mnie na czas nieobecności miał zastępować. Powiadomiłem tylko ogólnikowo o tym, co zaszło, a szczególnie o wypadkach w Lublinie. Był bardzo zadowolony, bo to rozwiało różne niepokojące wieści, jakie nadeszły do Krakowa, a przez socjalistów były rozszerzane i wyolbrzymione. Po długich i mozolnych staraniach udało się nareszcie naczelnikowi stacji wydostać jakieś stare auto, które mnie odwiozło do Dębicy. Wlokło się ono tak strasznie powoli, że w Dębicy stanąłem dopiero późnym wieczorem. Czekać tam godzinami na jakiś pociąg, mogłem przynajmniej stamtąd się skomunikować z coraz bardziej zaniepokojonymi członkami Komisji w Krakowie.

Po całonocnej podróży i różnych nowych trudnościach stanąłem nareszcie w Krakowie, składając Polskiej Komisji Likwidacyjnej obszernie, szczegółowe sprawozdanie. Sprawilo ono nie tylko uczucie ulgi, ale i wyjaśniło sytuację, gdyż socjaliści twierdzili, że w rządzie lubelskim przyjąłem udział.

Nastroje

Nastroj ogromnej większości małopolskiego społeczeństwa był bezwzględnie przeciwny rządowi lubelskiemu, uważając go za awanturniczą imprezę. Nie był on również za istniejącym rządem w Warszawie, chociaż dla niego miał znacznie więcej sympatii. Na ogół jednak prawie wszyscy oczekiwali czego innego. Żeby i moja sprawa stanęła zupełnie jasno, po porozumieniu się z kilkoma członkami Zarządu Głównego Stronnictwa ogłosiłem publicznie usunięcie się z rządu lubelskiego i podałem motywy, które mnie do tego skłoniły.

Spotkało się to z aprobatą ogólną, z wyjątkiem socjalistów i Stapińskiego, który przybywszy do Krakowa raptem się zmienił, zajmując wobec rządu lubelskiego stanowisko przychylnie i opowiadając, że ja go usiłowałem rozbić. Niewiele na to zwracałem uwagi, gdyż panowało ogólne przekonanie, że podobne postępowanie dyktowała urażona osobista ambicja. Stapiński pragnął zostać ministrem w jakimkolwiek rządzie, sądził więc, że

w rządzie lubelskim znajdzie się miejsce dla niego, o ile on się ostoi. Postępowaniem swoim podrażnił też socjalistów krakowskich, którzy się zaczęli odgrażać mnie i stronnictwu. Poseł Tetmajer przyniósł nawet wiadomość, że postanowili oni kilku z nas, a podobno i narodowych demokratów zaaresztować, czekając tylko na zezwolenie rządu lubelskiego.

Nowe kombinacje i narady

Istnienie naraz dwóch rządów w państwie, i to dopiero się tworzącym, musiało u wszystkich ludzi myślących wywoływać jak największy niepokój. Spodziewano się też najgorszych następstw, gdyż stosunki zaostrzały się coraz więcej. W Krakowie socjaliści zaczęli mącić zupełnie otwarcie, z Tarnobrzega przysłyły wiadomości o tworzeniu przez Dąbala i Okonia osobnej republiki. Przykład lubelski działał jak zaraźliwa choroba.

Zaczęły się w różnych grupach gorączkowe narady. W gronie ludzi bardzo poważnych, a należących do różnych stronnictw politycznych, powstała myśl utworzenia rządu, opartego naprawdę na większości społeczeństwa, składającego się z ludzi dorastających powagi chwili, mogących rozwiązać zadania, jakie tworzące się państwo miało przed sobą. Jednym zaś z najpierwszych jego zadań miało być zlikwidowanie obu istniejących rządów i unormowanie stosunków z Radą Regencyjną, która swoim chwiejnym postępowaniem dawała wiele powodu do zamętu i anarchii.

Członkowie Narodowej Demokracji, „Piasta”, a nawet socjalistów zwrócili się do mnie z żądaniem zwołania przedstawicieli kilku grup politycznych celem porozumienia się i powzięcia postanowień. Dla wyjaśnienia sytuacji upoważniono hr. Skarbka do odbycia rozmowy z posłem Moraczewskim, który, jak mówiono, miał być zdecydowanym przeciwnikiem rządu lubelskiego. Żądaną konferencję zwołałem zastrzegając się, że to nie oznacza, jakoby z góry na planowaną robotę się godził.

Wstępna mniejsza konferencja odbyła się w Krzysztoforach. Na niej złożył pos. Skarbek sprawozdanie ze swej rozmowy z Moraczewskim twierdząc, że na plan przedstawiony zgodził on się w zupełności. Następne już obszerniejsze zebranie odbyło się wieczorem w redakcji *Piasta*.

Oprócz ludowców, narodowych demokratów i paru mniejszych grup politycznych przybyli na nie także przedstawiciele Koła Międzypartyjnego z Warszawy. Obrady toczyły się przez kilka godzin bez przerwy, a wynikiem ich było postanowienie

utworzenia rządu koalicyjnego w Krakowie, w skład którego weszliby przedstawiciele wszystkich dzielnic państwa. Ze względu na rozwijające się wypadki, a szczególnie na wschodnią Galicję i oblegany przez Ukraińców Lwów, postanowiono działać jak najspieszniej. Zgodnie z tym założeniem załatwiono też sprawy personalne, obsadzając wszystkie miejsca w nowym rządzie ludźmi możliwie najbardziej odpowiednimi.

Spodziewano się, że rząd warszawski ustąpi dobrowolnie, a z rządem lubelskim można sobie było łatwo dać radę, ewentualnie nawet w razie jego oporu przy pomocy garnizonu krakowskiego. Tu jednak zaczęły wychodzić większe trudności, gdyż dość liczny garnizon krakowski składał się z żołnierzy przeważnie nie-Polaków, którzy mogli nie dopisać zupełnie. Zapytany o opinię w tej sprawie szef departamentu wojskowego Tetmajer zaręczał, że na wojsku tym można bezwzględnie polegać.

Przy podziale urzędów i funkcji mnie zaofiarowano przyzwykłą niedoszłej rady ministrów. Odmówiłem kategorycznie, proponując przy tym odłożenie ostatecznych decyzji do dnia jutrzejszego, żeby sobie wiele rzeczy wyjaśnić i spraw zbyt gorączkowo potraktowanych i należyście nie przemyślanych.

Zgodzono się na tę propozycję wbrew opinii Tetmajera i dwóch jego towarzyszy, postanawiając całą tę sprawę zatrzymać w najściślejszej tajemnicy, a zejść się na drugi dzień przed południem dla powzięcia ostatecznych decyzji.

Tetmajer i Roja

Dopiero koło godziny trzeciej po północy udałem się na spoczynek do mieszkania Rączkowskiego. Nie mogąc zasnąć, przetrawiałem w sobie wypadki ostatnich dni, próbując z nich wybrnąć i stworzyć jakiś plan działania na przyszłość. Może za pół godziny odezwał się gwałtownie dzwonek i za chwilę po nim raptowne otwarcie drzwi wchodowych i głośny brzęk szabli. Byłem przekonany, że socjaliści dokonali w mieście zapowiadanego zamachu, a teraz przyszli mnie aresztować. Omyliłem się jednak, bo zanim mogłem myśli pozbierać, stanął przede mną Roja wyprostowany jak struna i wyglądający niezwykle poważnie. Przyszedł w towarzystwie dwóch oficerów, stojących jak słupy i podał mi w milczeniu do podpisu jakiś pół arkuszowy papier.

Czytając go, dowiedziałem się ze zdumieniem, że był to przygotowany akt, mocą którego miałem zamianować Roję komendantem obwodu, nie pomnę już jakiego, gdyż się zbyt szybko tym dokumentem nie zajmowałem. Z parominutowej rozmowy

z Roją wywnioskowałem, że mimo wszystkich zaklęć i przyrzeczeń co do utrzymania poufności, Tetmajer poinformował Roję o wszystkim w przeciągu jednej godziny. Mieli też czas na postanowienie jego nominacji, mnie zaś uważali za urzędującego prezydenta ministrów, który jej miał dokonać.

Niezupełnie trzeźwy Roją popierając swoją nominację twierdził, że on się najlepiej nadaje do zrobienia porządku z socjalistami, którzy przygotowują zamach, jak mu się zdaje na drugą noc, a nawet się zwrócili poufnie do niego, żeby im przyszedł z pomocą. Ponieważ mu powiedziałem, że tylko pomieszane klepki, albo nadmiar trunków mogły mu podobny zamiar podyktować, obraził się ogromnie, wziął papier z moich rąk, zasalutował zamasyście i wyszedł, trzaskając drzwiami z całej siły. Zawierając drzwi za nim słyszałem, jak mówił do swoich towarzyszy: „Jeszcze on tego pożałuje”. Nie dając jednak za wygraną, udał się Roja do Tetmajera, który uważając się widocznie za uprawnionego nominację ową podpisał mu bez żadnych trudności. Była to farsa, dająca powód do żartów i wesołości, ale rzucająca także niezbyt pochlebne światło na postępowanie niektórych odpowiedzialnych ludzi.

Rano spotkałem się z dr. Ptasiem, Skarbkiem i Długoszem. Wiedzieli oni już o nocnej wyprawie Roji, lekkomyślności Tetmajera i nalegali, żeby jak najprędzej te niezdrowe stosunki uporządkować. Domagali się ode mnie, ażebym się zgodził na przyjęcie wyznaczonego mi posterunku. Oświadczyłem im ponownie, że współdziałając lojalnie z nimi, urzędu mi ofiarowanego pod żadnym warunkiem nie przyjmę.

Stamtąd udaliśmy się prosto na zebranie, żeby na nim dokonać ostatecznych postanowień, w dniu wczorajszym odroczone. W czasie gorących narad nadeszła wiadomość o powrocie Piłsudskiego z Magdeburga. Położyła ona kres dalszym kombinacjom wobec tego, że do jego powrotu znaczna część społeczeństwa przywiązywała bardzo wielką wagę. Niechętnie mu stronnictwa prawicowe objęcie przez niego władzy uważały za konieczną klępkę bezpieczeństwa, lewicowe znowuż za ugruntowanie swoich wpływów.

Po powrocie Piłsudskiego

Równocześnie niemal nadeszła do Krakowa wiadomość, że premier rządu lubelskiego Daszyński 10 listopada oddał się wraz ze swoimi towarzyszami do dyspozycji Piłsudskiego, a chwijąca się wciąż Rada Regencyjna zrzekła się swej władzy przelewając

ją w całości na niego. Miał on więc w ręku pełnię władzy w państwie i wszelkie możliwości z niej wynikające. Tym sposobem zlikwidowała się też Rada Regencyjna, będąca tworem okupantów.

Piłsudski objął władzę wśród wielkiego entuzjazmu lewicy i przyciszzonego niezadowolenia stronnictw prawicowych, które się obawiały jego różnych eksperymentów. Jednym z pierwszych jego kroków była rozmowa ze stronnictwami politycznymi, którą przeprowadził w Warszawie.

Stronnictwo nasze do tych rozmów z nim wydelegowało mnie, dr. Bardla i posła Kędziora. Piłsudski przyjął nas leżąc w łóżku, stawiając kilka krótkich mało znaczących pytań. Oświadczyłem mu, iż my uważamy za rzecz konieczną utworzenie takiego rządu, który by skupił wszystkie siły narodu i w którym zasiedliby przedstawiciele wszystkich byłych zaborów, gdyż tego domaga się nie tylko polskie społeczeństwo, ale dobrze zrozumiany interes państwowy.

Piłsudski wysłuchał spokojnie moich argumentów, nie odpowiedział nam nic, pożegnał nas zaś bardzo pośpiesznie, usprawiedliwiając się chorobą i zmęczeniem. Wygląd jego w rzeczywistości to potwierdzał. Po wysłuchaniu wszystkich stronnictw i zebraniu ich opinii, powierzył mijsę utworzenia rządu Daszyńskiemu wbrew ogromnej większości. Mówiło to bardzo wyraźnie i wiele o zamiarach Piłsudskiego. Daszyński nie mając żadnych przeszkód, utworzył rząd dość szybko, przedstawiając na stanowisko premiera posła Moraczewskiego. Gabinet Moraczewskiego objął rządy 18 listopada 1918 r. Znaczną większość jego członków stanowili przyjaciele polityczni premiera. Mieliśmy co do tego rządu pewne nadzieje, pamiętając niedawną przeszłość Moraczewskiego. Toteż Zarząd Główny Stronnictwa postanowił wziąć w nim udział, o ile zabór pruski dostanie odpowiednie przedstawicielstwo, desygnując równocześnie mnie, posła Kędziora i włościanina z Królewca, Wojdę, jako członków tego gabinetu.

Ze strony miarodajnej zapewniano nas, że dla Poznańczyków zostały zarezerwowane odpowiednie miejsca w rządzie.

W parę dni później przybył do Warszawy poseł do Parlamentu niemieckiego, Wojciech Korfanty, znany u nas szeroko jako zasłużony działacz narodowy na Górnym Śląsku. Warszawa przyjęła go z ogromnym entuzjazmem, słuchając z przejęciem jego przemówień i syjąc kwiaty pod nogi, gdziekolwiek się pokazał. Na jego liczne wiece chodziły dziesiątki tysięcy ludzi.

Tak z Korfantym jak i z Władysławem Seydą, który z nim przybył, odbyłem kilka rozmów, starając się ich przekonać o konieczności wejścia poznańczyków do rządu Moraczewskiego. Nie

odniosło to jednak żadnego skutku, poznańscy do rządu nie weszli. Mniejsza wina leżała po ich stronie, większa po stronie Moraczewskiego, który pozornie robił zabiegi o rozszerzenie podstaw rządu, a równocześnie starał się to unicestwić, nie wahając się użyć nawet bardzo małosłownych sposobów i środków.

Jako przykład jego małosłowności, a zarazem złośliwości może służyć fakt następujący: Kiedyśmy na polecenie Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie jechali w tej i innych sprawach do Warszawy z Kędziorem i ks. Londzinem ze Śląska, Moraczewski, sprawujący także urząd ministra kolei, rozkazał nasz wagon w Ząbkowicach odłączyć od pociągu i zatrzymać. Nie pomogły żadne tłumaczenia, powoływanie się na osobę Naczelnika Państwa, od którego mieliśmy zaproszenie na konferencję, ani głośne wymyślania Kędziora, urzędnik wypełnił polecenie ministra, wagon został w Ząbkowicach i my z nim.

Rezultat tej dziwnej złośliwości był taki, że myśmy się o dzień spóźnili, poseł Kędzior się mocno przeziębził, a ks. Londzin ciężko zachorował, nie mogąc już jechać do Warszawy. Odpis telegramu Moraczewskiego, wysłanego do Ząbkowic w tej sprawie, miał długo Kędzior w swoim posiadaniu, pokazując go jako osobliwość.

Po przybyciu do Warszawy byłem na jednym posiedzeniu Rady Ministrów. Odbywało się ono w pałacu Kronenberga, a zajmowało się przeważnie sprawami natury formalnej. Na nim przedstawiłem też stanowisko Stronnictwa i oświadczyłem, że udziału nie będziemy brać w rządzie tak długo, dopóki przedstawiciele Poznańskiego do niego nie wejdą.

U Piłsudskiego

Po wyjściu z owego posiedzenia udałem się wraz z oczekującym na mnie posłem Kędziorem do Naczelnika Państwa, Piłsudskiego. Prawie równocześnie z nami przybyli tam Władysław Seyda i Wojciech Korfanty. Piłsudski przyjął nas wszystkich czterech razem. Podnieśliśmy u niego zgodnie konieczność zmian w rządzie Moraczewskiego, w myśl wniosków dawniej przez nas przedstawionych. Po wyczerpaniu wszystkich argumentów Seyda starał się do Piłsudskiego gorąco apelować w interesie dobra całego narodu. Nie dał mu żadnej odpowiedzi, jakby tego nie słyszał. Nie poruszyło go także bardzo ostre i niezbyt grzeczne przemówienie Korfantego. W odpowiedzi na skargę Kędziora o potraktowanie nas przez Moraczewskiego wybuchnął głośnym śmiechem.

Po wyjściu Korfantego i Seydy, Kędzior zwrócił się do Piłsudskiego w sprawie obrony Lwowa i Małopolski wschodniej, domagając się od niego jako Naczelnika Państwa wydania dekretu, powołującego pod broń kilka roczników młodych ludzi w Królestwie. Z kolei ja postawiłem żądanie rozwiązania Polskiej Organizacji Wojskowej i innych mających charakter partyjny, a utworzenia jednolitej armii polskiej. Odpowiedział nam, że nie może nic uczynić z braku umundurowania. Kiedy mu na to oświadczyliśmy, że w samym Krakowie znajduje się przeszło sto tysięcy kompletnych mundurów, odrzekł, że ich nie ma czym przewieźć, a gdy mu poseł Kędzior śmiejąc się przedstawił, że nie ma w tym żadnej trudności, odpowiedział rozdrażniony, że on jest w okresie tworzenia armii, dla której P.O.W. musi stanowić kadry.

Kiedy na końcu Kędzior w tonie bardzo kategoriycznym zwrócił mu uwagę, że jest to wprost niezrozumiałe, ażeby Galicja, ogołocona z ludzi przez wojnę światową i liczne pobory mogła wystawić armię z kilkunastu tysięcy ludzi i dźwigać na sobie ciężar walki z Ukraińcami, a dzięki jakiemuś kunktatorstwu inne dzielnice patrzyły na to jak na obcą sprawę, Piłsudski się chwilę zastanowił i odrzekł, że swojego stanowiska nie zmieni. Na tym się skończyła nasza misja i rozmowa z Piłsudskim.

Poseł Kędzior, wychodząc od Piłsudskiego, najbardziej był zgorszony tym, że Galicję wschodnią nazwał on „ziemią ruską” i kwestionował polskie prawa do niej. Oburzenie swoje wyładował też zaraz za drzwiami odzywając się głośno do mnie:

„Panie, przecież ten uwielbiany Piłsudski, to zaślepiony socjalista i jakiś dziki człowiek”. To samo powtórzył oczekującym na nas Korfantemu i Seydzie.

Nic nie wskórawszy, zaraz wieczorem odjechaliśmy do Krakowa. Na drugi dzień odbyło się tam posiedzenie Zarządu Głównego Stronnictwa, który po wysłuchaniu naszego sprawozdania, odwołał nas z gabinetu Moraczewskiego. Wobec tej decyzji Kędzior nie zdążył być ani na jednym posiedzeniu, Wojda był na dwóch a ja na jednym.

C z ę ś ć X

PIERWSZE RZĄDY

Rząd Moraczewskiego

Nasze ustąpienie z gabinetu Moraczewskiego wykorzystał od razu Stapiński, wprowadzając na nasze miejsce swoich ludzi. Inż. Próchnik z Tarnowa został ministrem robót publicznych, włościanin Franciszek Wójcik z powiatu krakowskiego ministrem bez teki, a Stanisław Stączek, urzędnik kolejowy ze Skawiny, ministrem kolei. O mały włos nie dostał się do rządu p. Budzyn, karany sądownie za czyny kryminalne.

W tym pochodzie do rządu była u Stapińskiego rachuba, obliczona na wieś, gdyż rekomendując swoich kandydatów, zapewniał Stapiński Moraczewskiego o wzroście swoich wpływów, upadku piastowców i grożącym rozbiściu niedawno zjednoczonego Polskiego Stronnictwa Ludowego. Przeprowadzone za parę tygodni wybory do Sejmu wykazały, jak się obaj słabo orientowali.

Było rzeczą zupełnie naturalną, że rząd Moraczewskiego chciał ale też i musiał objąć spadek po rządzie lubelskim. Idąc po tej samej, co i on drodze, za pomocą dekretów wprowadził różne zarządzenia dotyczące spraw niezwykle ważnych, jako to władania ziemią, ośmiogodzinnego dnia pracy, zaopatrzenia bezrobotnych, prawa strajkowania itp., które z jednej strony budziły coraz to większą pożądlivość mas robotniczych, a z drugiej potęgowały opór klas posiadających. Śmieszne pomiędzy innymi musiało się wydawać zabezpieczenie prawa strajkowania, gdy minister Próchnik kopał nikomu niepotrzebne kanały, żeby tylko robotników zająć.

Najważniejszą czynnością rządu Moraczewskiego było wydanie w drodze dekretu ordynacji wyborczej do Sejmu. Ordynacja ta przyznawała powszechne, równe, bezpośrednie i tajne prawo

wyborcze wszystkim obywatelom bez różnicy płci, którzy ukończyli 21 rok życia. Rozciągała się ona i na te części państwa, w których z powodu różnych przeszkód nie można było przeprowadzić równocześnie wyborów. Stąd na razie w nowym Sejmie polskim, Poznańskie mieli reprezentować polscy posłowie do parlamentu niemieckiego, a Galicję wschodnią polscy posłowie do parlamentu austriackiego, z tej części kraju wybrani.

Na rząd ten w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 r. dokonali ks. Eustachy Sapieha, generał Januszajtis, Zdziechowski, Dymowski i inni niefortunnego i niekrwawego zamachu. Spiskowcy zostali aresztowani, a rząd się utrzymał. Rosnące jednak z dnia na dzień trudności i pustki w kasie zmusiły go w krótkim czasie do ustąpienia.

Po cichu, choć bardzo szeroko mówiono, że to nie był wcale właściwy powód ustąpienia, a miał nim być rozkaz Piłsudskiego, nakazujący Moraczewskiemu odejść, by zrobić miejsce dla kogo innego. Ze strony zaś miarodajnej mówiono mi bez żadnej poufności, że właściwymi grabarzami rządu Moraczewskiego byli minister spraw wewnętrznych, Thugutt, i kierownik ministerstwa skarbu, Byrka. Ten ostatni odmawiając drukowania pieniędzy bez pokrycia, najsilniej podważył podwaliny rządu. W parę miesięcy później Byrka publicznie się tym chwalił. Czego nie mógł dokonać zamachowiec Sapieha, zrobił to osobisty przyjaciel Moraczewskiego, Thugutt.

Według ogólnego zdania był on najwybitniejszą jednostką w tym gabinecie, a mimo że sprawował formalnie tylko obowiązki ministra spraw wewnętrznych, powszechnie mówiono, że on rządził wszystkim, wywierając decydujący wpływ tak na premiera, jak i na innych członków rządu. Posunięcia jego nie należały wcale do szczęśliwych. Niektórymi zarządzeniami nie tylko że ośmieszał siebie i rząd, ale prowokował wielką część społeczeństwa, usuwaniem zaś uznanych świętości i godeł narodowych doprowadził do powszechnego oburzenia. Jego dziełem było także obsadzenie różnych stanowisk i urzędów ludźmi nie mającymi odpowiednich kwalifikacji, forytowanie milicji ludowej, która oddała państwu jak najgorsze usługi. Jego postępowanie zaczęło się też ujemnie odbijać na różnych dziedzinach życia.

Rządził stosunkowo niedługo, a jednak jego rządy tak sobie zapamiętało społeczeństwo, że chociaż w wyborach sejmowych kandydował w kilku okręgach wyborczych, wszędzie przepadł, zdobywając nieznaczną ilość głosów.

Było też rzeczą niezwykle znamiennej, że ten rząd zgodził się na przysłanie posła niemieckiego do Warszawy, kiedy swego przedstawiciela żadne państwo koalicyjne nie posiadało. Wy-

wołało też to takie oburzenie w społeczeństwie, że poseł ten był zmuszony Warszawę opuścić.

Rząd Paderewskiego

Po ustąpieniu rządu Moraczewskiego, zamianował Naczelnik Państwa rząd nowy z Ignacym Paderewskim na czele. Poprzedziły go dłuższe konferencje, o których dochodziły różne, fantastyczne wiadomości do Krakowa. Opowiadano, że ustąpienia Moraczewskiego i zamianowania rządu nowego zażądała katerycznie koalicja, a przede wszystkim Francia, Piłsudski się przeciw temu bronił, a miał ustąpić dopiero pod silnym jej naciskiem.

Nomiñacja Paderewskiego przyniosła wielkie odprężenie w społeczeństwie, wzniesając równocześnie jak najdalej idące nadzieje. Niezadowoleni z niej socjaliści i Wyzwoleńcy musieli też zamilknąć, tak ze względu na wielką popularność szefa rządu jak i stanowisko Piłsudskiego, który się jakoby miał z Paderewskim zupełnie pogodzić. Paderewski bowiem poza ogromnymi usługami, jakie oddał sprawie polskiej w Ameryce, przybył do Warszawy po triumfalnym pochodzie z Poznańskiego, oddając formalnie Polsce tę dzielnicę w posiadanie, przy poparciu koalicji.

Wybory do pierwszego Sejmu

Na dzień 28 stycznia 1919 r. rozpisane zostały wybory do Sejmu. Stronnictwo nasze postanowiło wziąć w nich żywy udział, ograniczając się do Galicji zachodniej, tam bowiem mieliśmy ludzi i dość dobrą, starą organizację. W gronie najbliższych radziliśmy często nad tą sprawą, szukając sposobu, by te wybory mogły przejść w atmosferze spokoju i dostojeństwa, na jakie zasługiwały.

Tetmajer radził zawarcie umowy możliwie z wszystkimi stronnictwami i podzielenie się wpływami, ażeby tym sposobem uniknąć gorszej walki, która się już zresztą zaczęła. Daliśmy mu pełnomocnictwo. Chodził, zabiegał, pertraktował i nic nie zrobił. Wszyscy zapaśnicy byli przekonani, że oni odniosą decydujące zwycięstwo.

Szczególnie ostrą i nieprzebierającą w środkach walkę prowadził przeciw nam Stapiński razem ze swoimi jeszcze dość licznymi zwolennikami. Oszczerstwa przez niego rzucane nie znały miary, ani nie miały końca. Nie poprzestając na nich, wystąpił przeciw mnie specjalnie z kilku zarzutami najcięższego kalibru,

licząc na nieświadomość ludzką, często go niezawodząca. Zarzucał mi więc między innymi, że

1) przez współdziałanie z Kołem Międzypartyjnym dopomogłem do ujarznienia chłopów.

2) spowodowałem mianowanie Lasockiego naczelnikiem Wydziału Administracyjnego Polskiej Komisji Likwidacyjnej.

3) zgodziłem się na mobilizację rezerwistów do 35 r. życia, a zawiniłem prowadzeniu wojny z Ukraińcami.

4) podtrzymywałem istnienie Pol. Komisji Lik. gdy on, Stapiński, chciał ją dawno rozbić.

5) uznawałem Polski Komitet Narodowy w Paryżu.

6) że 40 milionów koron dałem na obronę Lwowa, zamiast je wypłacić na zasiłki dla rodzin żołnierzy.

Zarzuty owe, świadczące tak wymownie o poziomie walki prowadzonej przez Stapińskiego nie uczyniły jednak większej szkody.

Akcję przedwyborczą rozpoczęliśmy w bardzo trudnych warunkach. Nie mając ludzi, ani żadnych funduszy, musieliśmy pracę prowadzić z pomocą zaledwie kilku osób. Cały sztab stanowiłem ja z inżynierem J. Brylem i redaktorem *Piasta*, Józefem Rączkowskim. Sztab ten kierował akcją wyborczą, zwoływał zgromadzenia, układał listy kandydatów, pisał odezwy, odpierał zarzuty i oszczerstwa, prostował mylne wiadomości, pilnował różnych ludzi i powiatów.

O rozmiarach i intensywności tej pracy może świadczyć choćby to, że w przeciągu tak krótkiego czasu inż. Bryl odbył przeszło 80 zgromadzeń a ja ponad setkę. Kandydaci na posłów pracowali przeważnie w swoich okręgach wyborczych żądając jeszcze nieraz ode mnie pomocy.

Program przedwyborczy, na którym oparliśmy i przeprowadzili całą kampanię, napisałem w ciągu jednego wieczora. Odezwa nasza do chłopów w sprawie poparcia pieniężnego akcji wyborczej przyniosła wszystkiego 20 koron. Złożył je Adam Zaucha, stary działacz ze wsi Jodłówki koło Wałek, pow. tarnowskiego. Nie było to wcale zachęcające.

Jak na takie wątłe środki i niedostateczny aparat, wybory przyniosły wcale niespodziewany rezultat. Wygraliśmy prawie wszędzie z wyjątkiem okręgu tarnobrzeskiego, gdzie Okoń z Dąbalem zdobyli pięć mandatów, utracając kandydaturę Lasockiego. Niektóre okręgi dały nam przygniatającą ilość głosów i wszystkie mandaty.

Stanowiliśmy nie tylko klub silny liczebnie, ale także jakościowo dobrze postawiony. Już w Sejmie przyłączyło się do nas kilku posłów z Królestwa z Janem Dąbskim na czele. Przyjeliś-

my ich zapominając Dąbskiemu niedawne jego przewinienia. Zemściło się to w przyszłości na stronnictwie ciężko. Tak skonstruowany klub mnie wybrał jednomyślnie prezesem.

Nabożeństwo w katedrze św. Jana

Na otwarciu Sejmu oczekiwałem z niesłychaną wprost niecierpliwością. Czułem, że zbliża się dzień jeszcze w życiu moim nie widziany. Przed naszymi oczyma ma się dokonać cud, bo z jednej strony staje do życia państwowego na nowo owa rozebrana, podeptana, skaleczona i przez wrogie potęgi na zagładę skazana Ojczyzna, z drugiej my, synowie ludu, my potomkowie niedawnych jeszcze niewolników szlacheckich stajemy do pracy nad jej budową, odrodzeniem. Jako wybrańcy wolnego już ludu mamy decydować o jej losie na podstawie pełnomocnictw szerokich warstw ludowych. Dawnych zaś możnowładców prawie że nie widać wcale.

Uroczystości sejmowe rozpoczęły się w niedzielę, 9 lutego 1919 r. Warszawa cała przybrana flagami o barwach narodowych tu i ówdzie powiewają chorągwie francuskie i amerykańskie. W całym mieście ruch ogromny, ale uroczysty. Ulice, prowadzące do katedry i zamku królewskiego wypełnione tłumami ludzi wprost nieprzejrzanymi. Na twarzach widać radość i zadowolenie. Przez całą drogę, jaką przechodziliśmy, odbywały się gorące manifestacje na cześć Odrodzonej Polski, Sejmu, posłów, Paderewskiego, Piłsudskiego. Bardzo często wywoływano też nazwisko posła Korfantego.

W kościele św. Jana główną nawę zajęli posłowie, boczną wybrana publiczność, resztę wypełniły delegacje z całej Polski. O godzinie 11 przed południem przybył do kościoła Naczelnik Państwa, Piłsudski, i Prezydent Rządu Paderewski wraz z członkami swego gabinetu. Zaraz za nimi zdążył delegat papieski, nuncjusz ks. Ratti i zajął miejsce koło wielkiego ołtarza. Za nim weszli arcybiskupi i biskupi w szatach pontyfikalnych. Na końcu poprzedzony formalną procesją duchowieństwa ukazał się arcybiskup ks. Kakowski i rozpoczął uroczyste nabożeństwo.

Po ewangelii pojawił się na ambonie poseł z Podlasia, ks. arcybiskup lwowski Teodorowicz, celem wygłoszenia kazania. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w jego stronę. Nie zaczął jednak zaraz, wywołując tym wrażenie jakby się wahał. Mówił powoli i z wielką powagą i głosem donośnym. Wskazywał na wielką chwilę, jaką przeżywa Polska i polski naród, wiązał przeszłość z teraźniejszością, dotykając zarówno wielkich dni jak

i czasów upadku. Dłużej się zajął określeniem wielkich zadań, jakie Naród i Sejm mają przed sobą. Wzywał i zaklinał o zaniechanie wszelkich walk partyjnych i stanowych, przestrzegał przed zabiegami o teki, urzędy, a nie daj Boże osobiste korzyści. Głosem silnym a w tonie bardzo uroczystym zaznaczył, że jedyną wytyczną dla wszystkich stronnictw i posłów powinna być troska o dobro i przyszłość zmartwychwstałej, wielkiej, niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej.

Stojący koło mnie poseł Kędzior szepnął mi do ucha: „No, ks. Teodorowicz usiłuje naśladować Skargę, oby mu się to zechciało udać z lepszym jak tamtemu skutkiem!”. „Myślę, że ma on lepszych słuchaczy niż ks. Skarga” — odpowiedziałem szeptem. Kędzior pokiwał głową.

Kiedy po nabożeństwie wyszliśmy z kościoła, Kędzior wrócił znowu do swojego tematu, snując ogromnie czarne horoskopy i przypuszczenia. „Wolności pragnęliśmy wszyscy i pracowaliśmy dla niej — mówił jakby z żalem w głosie — wszyscy też pracowaliśmy dla niej, ale trzeba pamiętać, że co innego jest robienie rewolucji, a co innego rządy państwem. Ci ludzie, którzy się w Polsce wysunęli na czoło, nie tylko że nas nie uszczęśliwią, ale wiele narobią kłopotów i przykrości, a mogą nawet do zguby doprowadzić”.

„Wy niektórzy patrzycie na Piłsudskiego jak Żydzi na Mojżesza, kiedy ich z Egiptu przeprowadził przez morze Czerwone, a ja się go niesłuchanie boję. Kto jest nauczony tak długo nie szanować niczyjego zdrowia, życia, mienia, ten innym być nie potrafi nigdy. U nas panuje dziwne pomieszanie pojęć, w którym zwyczajną zbrodnię i przestępstwo oznacza się mianem bohaterstwa. Ja znam dobrze historię i wiem, że dopóty w Polsce było dobrze, dopóki Kraków był stolicą, a krajem rządzili Małopolanie.

„Kiedy zaś stolicę przeniesiono do Warszawy, a rządy dostały się w ręce magnatów i szlachty kresowej, zaczął się od razu upadek państwa. Tam też była zawsze siedziba anarchii, rozpusty, pijaństwa, bezmyślności, nieokiełzanej pychy i zupełnej obojętności na losy kraju. Stamtąd pochodzili Ponińscy, Masalscy, Branicy, Kossakowscy, i wszyscy niemal zdrajcy, co biorąc dukaty rosyjskie nie tylko nie pozwalali na naprawę stosunków w Polsce, ale zachęcali cesarżową Katarzynę do zabrania ziem polskich. Po rozbiórce Polski, który sami zalegalizowali w Grodnie, upadali się i służyli zaborcom jak psy, choć ci ich poniewierali, a nieraz bili wprost po gębie. I teraz nie może być inaczej, bo oni się na jotę nie zmienili”.

„Panie dyrektorze — przerwałem mu — co do przeszłości to pan ma rację, ale przecież Piłsudski nie jest owym zubrem, któ-

re słusznie tępić należało, byłby to więc niesprawiedliwy sąd, gdyby go stawiać na równi z tamtymi”.

„Rodzina Piłsudskich nie była lepsza od innych — odrzekł spiesznie Kędzior, po rozbiórce Polski niektórzy z nich służyli Moskałom, obchodząc się z Polakami wprost okrutnie, a ten naczelnik od tamtych nie lepszy. Wojuje z Moskałami, bo ma na nich osobistą złość, a przy tym jest germanofilem i międzynarodowym zaciętym socjalistą, ale nie Polakiem. Dla Niemców pracował przed wojną, z nimi się kumał w Legionach, siedział w Radzie Stanu, w Magdeburgu otaczali go Niemcy specjalnymi względami, nie chciał bronić Małopolski wschodniej, zamianował rząd socjalistyczny Moraczewskiego nie chciał tworzyć armii narodowej, przyjął do Warszawy posła niemieckiego, mimo że był rzekomym męczennikiem w Magdeburgu.

„Thugutt taki sam jak i Piłsudski. Jako minister zabrał się do walki z orłem polskim, jakby nic innego nie miał do czynienia. To także chodząca anarchia. Niewiele też lepszy od niego Wojciechowski, bo to także socjalista i towarzysz Piłsudskiego. Kiedy byłem u niego w sprawie bolszewickiej roboty Dąbala i Okonia, to zamiast zrobić porządek jeszcze mi nagadał. I to ma być minister spraw wewnętrznych odrodzonego państwa, który zamiast tępić anarchię, sam jej patronuje. Ja się nie chcę bawić w przepowiadanie, ale się obawiam, że oni nam wnet tę Polskę obrzydzą”.

„Niewiele też są od nich lepsi różni mędrzy z Królestwa, którzy wszystko umieją, choć się niczego nie uczyli, i wszystko też źle i po partacku robią. Każdy z nich to urodzony geniusz, nadający się do wszelkich czynności, choć nie ma pojęcia, jak je zacząć. Chcę przy tej sposobności zwrócić panu uwagę, gdyż widzę, że pan zaczyna ulegać różnym warchołom, a to się może źle dla nas i dla stronnictwa skończyć”.

Zwykle małowówny p. Kędzior trzymał ten wykład do mnie od katedry św. Jana aż do Sejmu, którą to drogę przebyliśmy wolnym krokiem. Po przewrocie majowym nie omieszkał mi swoich nauk przypomnieć.

Przed zakończeniem kazania ks. Teodorowicz wygłosił rotę ślubowania, przez wszystkich powtórzoną. Po nabożeństwie zaintonowano „Boże coś Polskę”, którą to pieśń podjęła cała publiczność, ostatni wiersz śpiewając w zmienionym układzie: „Ojczyźnie naszej pobłogosław Panie”.

Wychodzących z kościoła posłów publiczność witała entuzjastycznymi okrzykami. W tym samym dniu poświęcenia gmachu sejmowego dokonał ks. prymas Dalbor, w obecności Naczelnika

Piłsudskiego, posłów i licznych dygnitarzy wojskowych i cywilnych.

Otwarcie Sejmu

Pierwsze posiedzenie Sejmu wyznaczone zostało na poniedziałek 10 lutego 1919 r. Gmach sejmowy już od wczesnego rana otoczyła wielotysięczna rzesza publiczności. Przed gmachem ustawiono kompanię honorową wojska, na gmachu powiewała chorągiew państwowa. Zaraz po godzinie dziewiątej zaczęli napływać posłowie, za nimi goście, którym się udało zdobyć bilety wstępu do sali lub na galerię. Sala sejmowa została wypełniona do ostatniego miejsca. Z napięciem oczekiwano pojawienia się Naczelnika Państwa, który miał dokonać historycznego aktu otwarcia pierwszego Sejmu Niepodległej Polski. Ponieważ powszechnie wiedziano, że tak Piłsudski jak i Paderewski zwykle się spóźniają, zadawano sobie pytania, co dziś zrobią.

O godzinie 11 min. 15 otwarto nareszcie Sejm. Naczelnik Państwa wygłosił następujące przemówienie:

„Panowie Posłowie!

„Półtora wieku walk, krwawych nieraz i ofiarnych, znalazło swój triumf w dniu dzisiejszym. Półtora wieku marzeń o wolnej Polsce czekało swego ziszczenia w obecnej chwili. Dzisiaj mamy wielkie święto Narodu, święto radości po długiej i ciężkiej nocy cierpień.

„W tej godzinie wielkiego serc polskich bicia czuję się szczęśliwym, że przypadł mi zaszczyt otwierać Sejm polski, który znowu będzie domu swego ojczystego jedynym panem i gospodarzem.

„Radość dnia dzisiejszego byłaby stokroć większa, gdyby nie troska, że zbieracie się w chwili niezwykle ciężkiej. Po długiej i niszczącej wojnie świat cały, a z nim i Polska, oczekują z tęsknotą upragnionego pokoju. Tęsknota ta w Polsce dziś ziszczyć się nie może. Synowie ojczyzny muszą bronić granic i zabezpieczyć Polsce swobodny rozwój.

„Sąsiedzi nasi, z którymi pragnęliśmy żyć w pokoju i zgodzie, nie chcą zapomnieć o wiekowej słabości Polski, która tak długo stała otworem dla najazdów i była ofiarą narzucania jej obcej woli przemocą i siłą.

„Nie chcemy mieszać się do życia wewnętrznego któregośkolwiek z naszych sąsiadów, lecz pozwolić nie możemy, by pod jakimkolwiek pozorem, chociażby pod pozorem rzekomego dobrodziejstwa, naruszano nasze prawo do samodzielnego życia. Nie oddamy ani piędy ziemi polskiej i nie pozwolimy, by uszczuplano nasze granice, do których mamy prawo.

„Dążności naszych sąsiadów sprawiły, że ze wszystkimi nimi znajdujemy się obecnie w otwartej wojnie, lub co najmniej w stosunkach mocno napiętych. Jasną stroną w naszych stosunkach zewnętrznych są zacieśniające się węzły przyjaźni z państwami Ententy. Głęboka sympatia łączyła już dawniej Polskę ze światem demokratycznym Europy i Ameryki, nie szukającym sławy w podbojach i ucisku innych narodowości, a pragnącym ułożenia stosunków w myśl zasad sprawiedliwości i słuszności.

„Sympatia ta spotęgowała się, gdy sławne armie państw sprzymie-

rzonych, druzgocąc ostatnią potęgę naszych ciemiężycieli, wyzwoliły Polskę z niewoli. Jestem przekonany, że serdeczne uczucie i niezaprzeczona wspólność interesów z tymi państwami uczyni niezbędną dla nas z ich strony pomoc wydatną i skuteczną.

„Naród polski przez półtora wieku zmuszony był stosować się do praw narzuconych przez obcą przemoc. Nie mogąc urządzić swego życia według własnej woli, zatracił przez ten długi okres poczucie prawa i wiary we własne siły. Obdarzeni zaufaniem Narodu, dać mu macie podstawy dla jego niepodległego życia w postaci prawa konstytucyjnego Rzeczypospolitej Polskiej. Na tej podstawie utworzycie rząd, oparty o prawa przez wybrańców narodu ustanowione. Prawa przez Was uchwalone będą początkiem nowego życia wolnej, zjednoczonej Ojczyzny.

„Polska otoczona zewsząd przez wrogów musi posiadać armię, która by mogła sprostać swoim ciężkim zadaniom. Macie poprzec i rozwinąć rozpoczętą budowę wojska tak, by ojczyzna zasłonięta piersiami żołnierza mogła czuć się bezpieczna i przeświadczona, że honoru jej i prawa broni silna i dobrze wyposażona armia.

„Wreszcie zwróćcie Panowie niechybnie uwagę baczną na niedomagania naszego życia gospodarczego, upośledzonego przez gospodarkę obcych i zrzuconego przez wojnę i okupację. W tej dziedzinie należyte uregulowanie spraw znajdującego się w upadku przemysłu i niezbędnych reform agrarnych w duchu wielkich demokracji Zachodu stworzy zdrowe podstawy dla siły duchowej narodu i da trwałe podłoże dla budowy jego przyszłości.

Życząc Panom powodzenia w ich trudnej i odpowiedzialnej pracy, ogłaszam pierwszy Sejm w Wolnej, Zjednoczonej Rzeczypospolitej za otwarty i powołuję najstarszego z Panów, pośła Ferdynanda Radziwiłła, do objęcia tymczasowego przewodnictwa”.

Oreǳie Naczelnika Państwa Izba przerywała wielokrotnymi grzmiącymi oklaskami, przy wszystkich mocniejszych ustępach. Szczególnie, gdy mówił o armii i sojuszu z koalicją, a przede wszystkim z Francją. Osobiście odniosłem wrażenie, że przemówieniu Piłsudskiego brakowało zupełnego przekonania, że raczej silił się na ton i niektóre zwroty, a przy tym zostało ono wypowiedziane głosem urywanym, bez widocznego zapału.

Tymczasowy przewodniczący Sejmu, poseł do parlamentu niemieckiego, ks. Ferdynand Radziwiłł był starcem blisko 80 lat mającym. W parlamencie niemieckim należał do grupy posłów zasiadających w Kole Polskim, ale ulegających rządowi niemieckiemu. Mimo swojego podeszłego wieku wyglądał jeszcze krzepko i zdrowo.

Objąwszy przewodnictwo, głosem nieco drżącym wygłosił przemówienie, w którym nawiązał do chlubnej tradycji Sejmu Czteroletniego, jego zamierzeń i pracy, wyrażając nadzieję, że Sejm obecny rozpoczęte wielkie dzieło doprowadzi do końca jako naturalny jego spadkobierca.

Po ukończeniu swojego niedługiego przemówienia ks. Radziwiłł zarządził wybór Marszałka Sejmu. Wiadomo było z góry, że stronnictwa prawicowe postawią kandydaturę Wojciecha

Trąpczyńskiego, długoletniego i zasłużonego działacza wielkopolskiego, a przy tym jednego z najdzielniejszych parlamentarzystów w berlińskim parlamencie. Lewica nie mając odpowiedniego kandydata rozpoczęła poszukiwanie za nim, spodziewając się nawet zwycięstwa. Zwrócono się do mnie. Oświadczyłem, że się nie czuję wcale na siłach do spełnienia takiego obowiązku, wyboru więc nie mógłbym przyjąć, a jeśli moja kandydatura ma służyć do policzenia głosów, to się mogę ostatecznie zgodzić. Lewica nie robiła tego z miłości do mnie, lecz z wyrachowania wiedząc, że się za mną jako za chłopem oświadczały niektórzy włościanie z odłamu Skulskiego, a nawet jak twierdzono z narodowych demokratów. Dawano też podobne zapewnienia agitującym za mną kolegom partyjnym. Wyboru Trąpczyńskiego lewica bała się jak ognia, uważając go za wielkiego wstecznika i klerykała, a przy tym bardzo upartego człowieka.

Pierwsze głosowanie nie dało wyniku, gdyż żaden z kandydatów nie otrzymał absolutnej większości. Ja miałem o kilka głosów więcej niż Trąpczyński, co lewicę podnieciło do dalszej agitacji. Przy drugim ja otrzymałem 149 głosów, Trąpczyński 155 głosów, stanowiących absolutną większość i on też został wybrany pierwszym Marszałkiem pierwszego Sejmu Odrodzonej Polski.

Wbrew rachubom i przyrzeczeniom cała prawica głosowała ławą za Trąpczyńskim, a poza tym na moją prośbę dwóch moich bliskich przyjaciół oddało głosy Trąpczyńskiemu, kilku białe kartki. Prawica przyjęła wybór spokojnymi oklaskami, lewica wrzaskiem i obelgami, które się pojawiły po raz pierwszy w Izbie aby jej nigdy nie opuścić.

Przemówienie Marsz. Trąpczyńskiego

Po ogłoszeniu wyboru przejął Trąpczyński przewodnictwo z rąk ks. Radziwiłła i wygłosił dłuższe przemówienie. Przyrzekając bezstronność w traktowaniu wszystkich spraw stronnictw i ludzi, przestrzegał przed popełnianiem błędów, jakimi grzeszyły polskie Sejmy w przeszłości. Wzywał do zgodnej współpracy, która może i musi spełnić nadzieje narodu.

„Ślubuję — zaznaczył z naciskiem, że będę spełniał ten urząd wedle swoich najlepszych sił tak, jak sprawiedliwość nakazuje. Zawsze o to starać się będę, ażeby każdy z członków Sejmu bez żadnego wyjątku wyniósł przekonanie, że decyzje moje nie są kierowane ani sympatiami, ani też antypatiami stronnictwymi czy osobistymi.

„Będę stać na straży porządku sejmowego, ale bezsilny będę, jeżeli wy

nie udzielicie mi waszej życzliwości, którą przynajmniej powoli pragnę od całego Sejmu osiągnąć. W murach tych panować ma wolność słowa — ale winniśmy nie zapominać, że wolność winna nie wyradzać się w samowolę i każdy poseł powinien szanować cześć swoich kolegów. Niech nikt nie upatruje w przeciwniku wroga, niech każdy przemawia i postępuje z tą wiarą, że przeciwnik tak samo jak on pragnie tylko dobra całego kraju.

„Może być, że Opatrzność stawiając nas w tej chwili narodzin wolnej Polski w tragicznym położeniu wojny na czterech frontach, umyślnie chciała nam ułatwić zgodę wewnętrzną, chciała nas zmusić do wspólnych i trudnych wysiłków dla wielkich celów przyszłości. Jeśli ongiś upadek naszej Ojczyzny i długoletnia niewola narodu była rzeczywiście karą za grzechy Polaków, to jednym z tych grzechów była niewątpliwie niekarność dawnych sejmów Rzeczypospolitej Polskiej.

„Dziś gdy Opatrzność nareszcie zmiłowała się nad narodem polskim, kiedy pęta niewoli z nas zrywa, winniśmy wynieść z historii naszej naukę, że wolny jest nie tylko naród, który robi, co mu się podoba, ale ten, który sam sobie prawa stanowi i prawom tym jest posłuszny. W ręce wasze złożył naród obowiązek stanowienia praw, obowiązek wydawania ustaw, które, da Bóg, przetrwać mają wiele pokoleń. Nie zapominajmy przy naszych obradach ani na chwilę, że na nas zwrócone są oczy całego świata. Ale jeszcze więcej pamiętajmy o tym, że owe miliony rodaków, które nas tu wysłały w ciężkiej trosce, z zapartym oddechem oczekują tego, co się tu dzieć będzie. Zakończę pytaniem, czego się naród po nas spodziewa? Otóż naród spodziewa się po nas nie słów, ale czynów”.

Przemówienia Marszałka wysłuchała prawica z powagą i w skupieniu, przerywając je często oklaskami, centrum Izby zachowało zupełny spokój, natomiast znaczna część lewicy przyjęła je kpinami i wykrzyknikami, czasem nawet bardzo prostackimi. Stojący przy mnie 21-letni poseł z Wyzwolenia p. K.*) krzyknął na cały głos w stronę Trąpczyńskiego: „Idź z tym kazaniem do kościoła, endecki misjonarz!”. Przy tej sposobności dowiedział się od jednego z posłów, że jest głupi i smarkaty i dopiero zamilkł. Marszałek zachował zupełny spokój, nie reagując na te wybryki.

Następnie już przez aklamację dokonano wyborów wicemarszałków. Zostali nimi: Jakub Bojko z Piasta, Stanisław Osiecki z Wyzwolenia, Andrzej Moraczewski socjalista, Józef Ostachowski z grupy ks. Blizińskiego, Andrzej Maj z grup prawicowych. Bojko, Ostachowski i Maj byli włościanami. Ogłoszony wybór wicemarszałków przyjęto bardzo słabymi oklaskami jako rzecz prawie obojętną.

Naprężony stosunek lewicy do marszałka Trąpczyńskiego utrzymał się do końca jego urzędowania, przemieniając się często w gwałtowne wybuchy i niemal karczemne awantury. Urządzali je zwykle Wyzwoleńcy i socjaliści, najczęściej bez żadnego powodu. Wiem, że Trąpczyński był człowiekiem najlepszej woli, spełniał sumiennie swoje obowiązki, a tylko może czasem nie

*) Karlikowski.

wykazał dostatecznej giętkości i zręczności, ale i to prawda, że tym ludziom nikt by nie dogodził. Uczynił to dopiero ich przyjaciel Piłsudski.

Mała konstytucja

Z dniem zebrania się Sejmu tracił moc swoją dekret o ustroju państwa, wydany 22 listopada 1918 r. W tym też dniu kończyło się urzędowanie naczelnych władz, gdyż władzę obejmował suwerenny Sejm.

Zgodnie z tym postanowieniem Piłsudski przekazał swoją władzę Sejmowi na posiedzeniu 20 lutego 1919 r. w formie następującego oświadczenia: „Rola moja jest skończona. Jestem szczęśliwy, że posłuszny swej żołnierskiej przysiędze i swemu przekonaniu, postawić mogę Sejmowi do dyspozycji swą władzę, którą dotąd w narodzie sprawowałem. Oświadczam niniejszym, że składam swój urząd Naczelnika Państwa w ręce Pana Marszałka Sejmu”. Po tym oświadczeniu skłonił się i zaraz opuścił salę sejmową, żegnany żywymi oklaskami i okrzykami.

Stronnictwa sejmowe zebrały się na naradę. Trwała ona bardzo krótko, a jej wynikiem było zgodne postanowienie ponownego wyboru Piłsudskiego na stanowisko Naczelnika Państwa. Zanim się to stało, postanowiono dać podstawę prawną całemu systemowi rządów i na niej także oprzeć wolę Sejmu, ujawnić się mającą przy wyborze Naczelnika Państwa. Ponieważ uchwalenie ustawy konstytucyjnej wymagało bardzo wiele czasu, a państwo nie mogło na nią czekać, postanowiono ją zastąpić tymczasową ustawą, która by obowiązywała do czasu wejścia w życie pełnej konstytucji. Stało się to na posiedzeniu Sejmu 20 lutego 1919 r. W dniu tym na podstawie referatu posła dr. Franciszka Bardla Sejm uchwalił tak zwaną „małą konstytucję”, która ustaliła następujące zasady:

1) Władzą suwerenną i ustawodawczą jest Sejm ustawodawczy. Emisja biletów, zaciąganie pożyczek, przyjmowanie gwarancji finansowej przez Państwo wymaga zezwolenia Sejmu. Ustawy ogłasza Marszałek Sejmu.

2) Naczelnik Państwa jest przedstawicielem Państwa i najwyższym wykonawcą Sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych, każdy jego akt państwowy wymaga podpisu ministra.

3) Naczelnik Państwa powołuje rząd w pełnym składzie na podstawie porozumienia z Sejmem.

4) Naczelnik Państwa i rząd są odpowiedzialni przed Sejmem za sprawowanie swego urzędu.

Tę małą konstytucję Sejm uchwalił jednomyślnie, oddając jednocześnie urząd Naczelnika Państwa Piłsudskiemu. Na wniosek jednej z grup poselskich uchwalono mu też podziękowanie za „pełne trudów sprawowanie urzędu w służbie Ojczyzny”. Piłsudski zawiadomiony przybył na salę sejmową, a Marszałek ogłosił mu publicznie jego wybór i uchwale Sejmu. Odezwały się znowu huczne oklaski całego Sejmu.

Po tych uchwałach i postanowieniach potoczyły się obrady Sejmu już zupełnie naturalną drogą.

Nasza deklaracja

Na posiedzeniu Sejmu 22 lutego 1919 r. imieniem klubu „Piasta” złożyłem następującą deklarację:

„Wchodząc do pierwszego Sejmu polskiego jako przedstawiciele warstwy ludowej, wyrażamy przede wszystkim naszą niewypowiedzianą radość, że nam Opatrzność dała doczekać tej wielkiej chwili jaką dziś przeżywamy, kiedy rozdarte przez mocarstwa zaborcze Państwo polskie zrasta się w jedną nierozdzieloną, organiczną całość, a Sejm obecny jest wyrazem tego zjednoczenia. Brutalni i butni rozbiorycy Państwa polskiego leżą dziś pokonani lub rozbici, a na gruzach ich potęgi powstała wolna Polska.

„Zbrodni rozbioru Państwa polskiego Naród polski nigdy nie uznał, a pierwszy Sejm polski wskrzeszonej Rzeczypospolitej stwierdza uroczyście, że wszystkie rozbiory Polski były gwałtem dokonany przez cheiwich i podstępnych wrogów na osłabionym chwilowo Państwie polskim, gwałtem, który zemścił się krwawo na całej Europie i na nich samych.

„Składamy głęboki hołd ceniom i duchom naszych bohaterów, którzy od dnia rozdarcia naszego Państwa aż po dzisiejszą chwilę o państwową niepodległość Polski walczyli. Ta niezmierna radość, jaka przepełnia serca i dusze całego Narodu, jest uczuciem górującym ponad wszystko, nawet ponad troski i gorzyc z powodu męczarni i krwi, z jakiej wyłania się zjednoczona Rzeczypospolita Polska.

„Jesteśmy gotowi poświęcić wszystkie nasze siły, krew, pracę i trudy, aby powstająca Rzeczpospolita Polska, której podwaliny będziemy zakładać, była mocna, trwała, potężna i niezniszczalna. Rękojmią jej mocy będzie to, że będzie ona republiką ludową i państwem pracy, bo innym nasze państwo być nie może.

„Wytężymy wszystkie nasze siły przede wszystkim w tym kierunku, aby złączyć wszystkie dzielnice i ziemie polskie w jedną nierozdzieloną całość państwową z własnym wybrzeżem morskim. Państwo polskie musi mieć granice, jakie mu nakreślił trud walki i kulturalnej pracy naszych przodków. Z ludami bratnimi chcemy postawić i utrzymać nasz stosunek, jak równi z równymi i wolni z wolnymi. Nie damy sobie wydrzeć ani Lwowa z wschodnią Galicją, ani Śląska z Cieszynem, ani ziem polskich dawnego

zaboru z Poznaniem i Gdańskiem, ani naszych ziem wschodnich z Wilnem, jako nieoddzielnych części naszego państwowego organizmu. Żadnych krzywdzących układów nie uznamy. Swojej ziemi i swego ludu bronić będziemy do ostatniej kropli krwi. W tym celu dążyć będziemy do stworzenia silnej armii, opartej na powszechnym poborze i zasobnym skarbie.

„Wiemy, że Polskę Zjednoczoną zawdzięczamy w głównej mierze Entencie. Z państwami Ententy i demokracjami Zachodu chcemy żyć w przyjaźni i sojuszu politycznym. Dążyć będziemy do tego, aby ten sojusz, który znajduje głębokie odczucie w duszy naszego narodu, stał się w najkrótszym czasie faktem politycznym. Żywimy też niezłomną nadzieję, że Ententa, ku której naród polski zwraca się z pełnym zaufaniem, pomoże nam szybkim czynem do ostatecznego zjednoczenia i obrony naszych szarpanych granic, do unicestwienia zaborczości naszych wrogów na wschodzie i zachodzie i że udzieli nam bezzwłocznie dostatecznej pomocy przez dostarczenie wszystkich środków, abyśmy mogli natychmiast uruchomić nasze tak potężne pod względem liczby i zapasu siły narodowe dla obrony granic naszej Ojczyzny.

„Polska będzie potężna, gdy się oprze na masach ludowych. Dlatego w naszych pracach konstytucyjnych budować będziemy Państwo polskie jako Rzeczpospolitą ludową, z wybieralnym prezydentem na czele, z Sejmem jednoizbowym jako dzierżycielem suwerenności i ludowładztwa, wybranym na podstawie powszechnego, równego, bezpośredniego, tajnego i proporcjonalnego prawa głosowania.

„W Państwie polskim zniknąć muszą wszystkie przywileje, a masy ludowe, wśród których jest jeszcze wiele nieufności, muszą odczuć, że mają swoją Ojczyznę.

„Sprawią to gruntowne reformy społeczne na wszystkich polach, które uczynią z każdego Polaka bez względu na stan, pochodzenie i zajęcie, wolnego i zadowolonego obywatela Ojczyzny.

„Na czele reform społecznych stawiamy konieczność szybkiego i gruntownego przeprowadzenia reformy rolnej, która musi dać ziemię tym, którzy na niej pracują. Reformę pojmujemy nie tylko jako wielkie zagadnienie gospodarczo-społeczne, ale jako wielki problem państwowy i narodowy, którego rozwiązanie rozszerzy granice naszej Ojczyzny. Utrwali po wieczne czasy pewność naszego narodowego posiadania i spotęguje opór w walce o ziemię, jako podstawę narodowego terytorium. Z tych względów reforma rolna musi być przeprowadzona szybko i gruntownie i na tym polu gotowi jesteśmy do walki nieugiętej z każdym, kto by się ośmielił stawiać jakiegokolwiek przeszkodę. Dążyć będziemy w obecnym Sejmie nie tylko do rozparcelowania dóbr państwowych, majoratów, dóbr martwej ręki i ordynacji, ale nie zawahamy się poświęcić wielkiej własności ziemskiej, przy równoczesnym upaństwowieniu lasów większej własności, aby milionom bezrolnych i służbie folwarcznej dać własny warsztat samodzielnej pracy.

„Domagać się będziemy, aby ciężary podatkowe, którymi były dotąd niesprawiedliwie obciążone masy ludowe, zostały rozłożone na klasy bogate i posiadające.

„Stojąc na gruncie katolickim, szanujemy wolność wszystkich wyznań. Wielką wagę położymy na sprawę szkolnictwa, zwłaszcza ludowego, ponieważ szkoła musi nam wykształcić nowe pokolenia polskie, mądre, pracowite, wytrwałe, obywatelskie i ofiarne. Starać się będziemy o zapewnienie niezależnego bytu nauczycielstwu ludowemu, ponieważ od niego zależy wychowanie naszego ludu. Dążyć będziemy do tego, aby w państwie naszym powstało jak najwięcej szkół zawodowych, rolniczych, przemysłowych i handlowych, celem wytworzenia w Polsce nowoczesnego, rodzimego przemysłu i handlu

związanego ze światowymi rynkami i zapewnienia Polsce, równoległe z niezależnością polityczną, także niezależności gospodarczej.

„Dołożymy wszelkich starań, aby jak najszybciej odbudować nasz kraj zrujnowany wojną, i aby ludności naszej zapłacone zostały wszystkie należności za świadczenia i szkody wojenne. Dążyć będziemy do zabezpieczenia losu inwalidów wojennych i ich rodzin, oraz zabezpieczenia przyszłości wdów i sierot po poległych. Wielką naszą troską będzie stworzenie sprawnej i nowoczesnej administracji krajowej. Urzędnicy państwa muszą zrozumieć, że powinni być obywatelami, spełniającymi najważniejsze funkcje życia narodowego, nie zaś kastą, oderwaną od społeczeństwa i w sobie zamkniętą.

„W ogóle dążeniem naszym będzie w ten sposób ukształtować i zreformować życie Polski i całe ustawodawstwo państwowe, aby się ono stało fundamentem rozwoju siły materialnej, kulturalnej i moralnej mas ludowych, które dziś jedynie mogą wydzwignąć Polskę do tej potęgi, jaką się ona stać powinna.

„Chwila obecna jest dla naszego narodu niezmiernie ważna i niesłychanie groźna. Wojna pali się na czterech rogach naszego państwowego gmachu. Przeżywamy całą groźbę powojennego kataklizmu z jego wszystkimi skutkami. Świadomi jesteśmy wielkiej odpowiedzialności, jaka ciąży dziś na naszych barkach wobec przyszłości. W obliczu całego świata zdajemy egzamin ze swej dojrzałości i zdolności do państwowego życia. Mimo tych niebezpieczeństw wchodzimy do pierwszego Sejmu polskiego z niezachwianą wiarą, że uda się nam we wspólnej i zgodnej pracy odbudować silny gmach naszej państwowości i stworzyć dla naszych przyszłych pokoleń państwo silne i dobrze rządzone. Idziemy do pracy sejmowej z niezłomną wiarą w tego chłopca polskiego, który wśród gradu kul i pocisków orał i siał swój zagon, aby się doczekać obfitego plonu”.

Podobne oświadczenia złożyły i inne stronnictwa ludowe.

Rzady premiera Paderewskiego

Kiedy Marszałek Sejmu w swoim przemówieniu nazwał położenie państwa tragicznym, nie odbiegł wcale od prawdy. Położenie bowiem było niezmiernie ciężkie. Polska zmuszona była się bronić na czterech frontach naraz i dziwić się należało, że w tych warunkach można się było jako tako utrzymać. Działo się to jednak przy użyciu niemal ostatnich sił. Siły te jednak mogły się skończyć.

Trudno też było zrozumieć politykę Naczelnego Wodza, Piłsudskiego. Skierował on niemal całą rozporządzalną siłą przeciwko bolszewikom, stawiał rozmyślnie różne trudności, przeszkadzając wyraźnie w zawarciu z nimi pokoju, mimo że ofiarowali bardzo korzystne warunki, a między nimi granice państwa niemal z r. 1772. Kiedy już nie mógł targować się z nimi o rzecz samą, zaczął spór o miejsce układów, ażeby w końcu doprowadzić prawie do katastrofy, która kosztowała wiele krwi, trudów, nawet upokorzeń.

Rząd mu w całości ulegał, stronnictwa lewicowe wierzyły mu ślepo, myśmy nie byli należycie zorientowani, prawica pragnęła zaborów. Prowadzona w tych warunkach wojna nie tylko się przewlekła i przynosiła klęski, ale umożliwiła Czechom zajęcie Śląska, mimo bohaterkiej obrony śląskiej ludności i drobnych polskich oddziałów wojskowych.

W tej walce o posiadanie Śląska rząd czeski posługiwał się nie tylko przemocą, ale także zdradą, połamawszy wszystkie dobrowolnie zawarte umowy. Zajęcie tej krainy przez wojska czeskie nastąpiło 23 stycznia 1919 r.

Opierając się na fakcie dokonanym, przemożna koalicja, nie przeprowadzając wcale zapowiadanego plebiscytu, podzieliła ziemię śląską pomiędzy Polskę i Czechy, pozostawiając poza granicami naszego państwa przeszło 150 tysięcy ludności polskiej, zwartą masą mieszkającej. Oprócz tego zabrali Czesi liczne kopalnie i fabryki o niesłychanej wprost wartości.

Zagadnieniem, nad którym często sobie łamano głowę, był stosunek Piłsudskiego do premiera Paderewskiego. Utrzymywały się stale pogłoski, że Piłsudski nie mógł mu darować konieczności usunięcia rządu Moraczewskiego, znosi go zaś jedynie ze względu na koalicję i jego wielką, nie słabnącą popularność w kraju, podkłada mu jednak nogę przy każdej sposobności i rad by się go w każdej chwili pozbyć. Sposobności tych nie brakło, a przy tym, mimo powierzchownie sprzyjających warunków, położenie rządu wcale nie było łatwe. Skarb państwa świecił pustkami, wojna pochłaniała coraz to więcej ofiar, organizacja ministerstwa i urzędów prawie nie istniała, każde prowadziło politykę na własną rękę, urzędnicy robili, co im się podobało.

Sam premier, człowiek najgodniejszy, pełen najlepszych chęci i zamiarów, bezinteresowny, całą duszą krajowi oddany, nie posiadał jednak potrzebnego doświadczenia do zorganizowania i kierowania maszyną państwową. Nie rozumiał też albo nie doceniał wielu spraw i zagadnień. Ufał ludziom niepowołanym, kierując się nieraz radami narzucających się natarczywie pochlebców.

W stosunku do państw koalicyjnych kierował się bezwzględnie wiarą i zaufaniem, nie pozwalając sobie zwrócić uwagi nawet wtedy, gdy niektóre z nich odnosiły się do Polski z wyraźną niechęcią, albo też załatwiały jakieś sprawy na jej szkodę.

Posiedzenia Rady Ministrów odbywały się niesłychanie rzadko. Ministrowie przychodzili nieraz do Sejmu skarżąc się, że premier na wyznaczone przez siebie posiedzenia spóźniał się całymi godzinami, albo nawet nie przychodził wcale. Narzekano zewsząd na ogólny beład, zaleganie miesiącami lub niezłatwianie w ogóle różnych spraw pilnych, nawet o charakterze państwowym.

Ówczesny wiceminister, Władysław Wróblewski, człowiek wcale nieuprzedzony, mówił kilkakrotnie do mnie z ogromnym rozżaleniem, że prywatni sekretarze Paderewskiego nosili po kieszeniach pisma urzędowe, a nieraz je gubili. Po jego ustąpieniu znaleziono pomiędzy papierami wiele spraw terminowych wcale nie załatwionych. Potwierdził to zresztą jego następca i przyjaciel, Leopold Skulski. Bardzo szeroko skarżono się też na panią Paderewską, która miała się mieszać do wszystkiego i premierem kierować. O tym miałem się sposobność sam przekonać.

Nasza domorośla demagogia nie mogła mu też darować zamieszkania na zamku królewskim, roznosząc wiadomości o tym po każdym zakątku Polski i przedstawiając niebezpieczeństwa i szkody, jakie z tego mogą wypłynąć dla państwa i ludu.

Nierzadko też opowiadano chłopom, że Paderewski ma zamiar ogłosić się królem i dlatego usadowił się na zamku zawczasu.

Po wyborach do Sejmu i ustaleniu jego tak daleko sięgających prerogatyw, premier Paderewski zmuszony został liczyć się ze stronnictwami i dość często z nimi prowadzić rozmowy. Jako prezes klubu Piasta odbywałem z nim kilka konferencji i przy tej sposobności dopiero go poznałem.

Korząc się nawet wobec jego wielkich zalet i gorącego umiłowania kraju, musiałem stwierdzić, że on go nie zna, polegając w całości na różnych ludziach, dość dorywczo dobranych, którzy prowadząc swoją robotę utrudniali mu położenie, narażając go na przykre następstwa a nawet śmieszność.

W ciągu lata 1919 r. zaprosił Paderewski do siebie do zamku przedstawicielstwo naszego klubu w sprawie reformy rolnej i Głównego Urzędu Ziemskiego. Udałem się do niego wraz z posłem dr. Bardlem na dzień i godzinę oznaczoną. Po godzinnym przeszło oczekiwaniu przyjął nas, przedstawiając cel zaproszenia. Za parę zaledwie minut, gdyśmy byli w trakcie rozmowy, otwarły się drzwi sąsiedniego pokoju, wyszła z nich pani Paderewska i, nie zważając zupełnie na naszą obecność, odezwała się głośno do Premiera: „Iгнаś, proszę cię, chodź tu zaraz”. Premier wyszedł, polecając nam małą chwilkę zaczekać. Czekaliśmy dobrą godzinę, nareszcie nie mogąc się doczekać, postanowiliśmy z pokoju wyjść pewni, że Paderewski do nas nie przyjdzie. Kiedy byliśmy już za drzwiami premier wrócił, a przepaszając za spóźnienie zaznaczył, że żona miała do niego pilny interes. Rozmowa potoczyła się naturalnym biegiem, a przed jej zakończeniem zaproponował dr. Bardlowi objęcie prezesury Głównego Urzędu Ziemskiego. Bardel uzależnił swoją decyzję od zgody klubu. Za dwie godziny ta zgoda była już gotowa i Paderewskiemu zakomunikowana, a na drugi dzień rano z wielkim zdziwieniem dowiedzieliśmy się

z gazet, że prezesem Głównego Urzędu Ziemskiego został zamianowany dr Stefczyk.

W klubie rozpętała się burza, której nie mogłem przez kilka dni uspokoić. Ponieważ premier nie uważał za stosowne ani jednym słowem usprawiedliwić swojego bądź co bądź dziwnego kroku, klub nie zapomniał mu tego lekceważenia nigdy. Takie traktowanie stronnictw i ludzi, niedotrzymywanie terminów i zobowiązań nie mogło do niego dobrze usposabiać nawet mu oddanych ludzi.

W Sejmie występował Paderewski kilkakrotnie, porywając zawsze większość swoją wprost wspaniałą wymową. Krytyczniejsi posłowie uważali jego przemówienia raczej za wylew wielkiego i czystego nastroju, który mógł porwać, ale nie wystarczał mężowi stanu, kierującemu wielkim państwem.

Kiedy stosunki zaczęły się gmatwać coraz bardziej i ostrzać tak w Sejmie jak w kraju, a równocześnie powychodziły na jaw różne transakcje niezbyt korzystne, przez premiera akceptowane i państwo obowiązujące, a bez zgody Sejmu i rządu pozawierane, zaczęto myśleć i mówić o delikatnym usunięciu Paderewskiego. Po kilku długich naradach poszła do niego delegacja z kilku posłów złożona, radząc mu bardzo ostrożnie ustąpienie ze stanowiska. Paderewski był tym ogromnie zdziwiony i z delegacją obszedł się dość niegrzecznie.

Nie mogąc załatwić sprawy tą drogą, postanowiono wytoczyć ją przed Sejmem. Obowiązek przemówienia i złożenia odpowiedniej deklaracji imieniem Piasta i Wyzwolenia włożono na mnie. Przychodziło mi to niezwykle ciężko, ale się zdecydowałem, w przekonaniu, że spełniam obywatelski obowiązek. Po moim oświadczeniu rząd się podał do dymisji. Niepomierne wprost zdziwienie wywołało dalsze postępowanie premiera, gdyż wszystkim członkom swojego rządu dał dymisję, sam zaś na stanowisku premiera pozostał. Nikt tego nie mógł zrozumieć, choć niektóre stronnictwa gotowe były popierać go w dalszym ciągu.

Narodowi demokraci siedzieli wciąż na dwóch stołkach. Z jednej strony przyznawali się do Paderewskiego, z drugiej zaś bardzo wyraźnie odżegnywali się od jego błędów. Klucz sytuacji został w ręku ludowców. Wiedział o tym Paderewski i dlatego zaczął czynić w tym kierunku zabiegi. Między innymi zaprosił mnie na rozmowę. Zaznaczył w niej, że na stanowisku zajmowanym zupełnie mu nie zależy, jeśli zaś chciałby jeszcze na urządzie pozostać, to jedynie z względu na interes państwa. Nie może pojąć dlaczego stronnictwo ludowe występuje przeciwko niemu, kiedy on lud wiejski najwięcej ukochał, dla niego pracował, pracuje i wśród niego pragnąłby pozostać. Może dać zresztą widomy

tego przykład i formalnie do Piasta wstąpić. Kiedy opuści urząd premiera, to jako poseł tylko na ławach ludowych zasiądzie.

Ja znalazłem się w niezwykle trudnej sytuacji. Poza względami zasadniczymi zostawała sprawa naszego współdziałania z Wyzwoleniem, które nienawidziło Paderewskiego z jakichś nieznanych mi powodów. Oświadczyłem mu spokojnie i z największą grzecznością, że my w całej pełni uznajemy jego wielkie zasługi, jesteśmy mu nieskończenie wdzięczni za wszystko co dla Polski zrobił, prosimy go o dalszą pracę, o pomoc, uważamy jednak, że jego dalsze pozostawanie na tym urzędzie może tej Polsce tylko szkodę przynieść. Kiedy zażądał ode mnie sformułowania zarzutów odpowiedziałem, że uczyniłem to już w Sejmie w swoim przemówieniu, a jeśli to ma być konieczne to mogę je, choć z przykrością uczynić. Ponieważ zażądał tego kategorycznie oświadczyłem:

„Mamy za złe p. Prezydentowi, że nie prowadzi polityki możliwie samodzielnej lecz prawie bez zastrzeżeń ulega zawsze i wszędzie państwu koalicyjnym, co niejednokrotnie przynosi szkodę i obniża powagę naszego państwa. Jakkolwiek jest, nie możemy pozwolić na to, ażeby nawet ci co Polsce dopomogli do powstania, uważali ją za swoją kolonię. Nie możemy spokojnie patrzeć na rozprzeżenie, jakie zapanowało w administracji państwa, na szerzącą się anarchię i rosnące bezprawie, bo w nich mogłaby Polska łatwo utonąć. Nie możemy też zgodzić się na samowolę, gdyż chcemy, ażeby w Polsce istniał ustalony i wszystkich obowiązujący porządek. Pan Prezydent się nie obrazi, gdy mu powiem, że sam daje zły przykład, dokonując różnych zakupów, przyjmując zobowiązania i robiąc transakcje idące w miliardy, nie zawsze przy tym korzystnie i bez upoważnienia powołanych czynników, a nawet właściwych członków swojego rządu.

Minister skarbu Biliński skarżył się do mnie i do innych posłów, że dzięki temu postępowaniu nie jest w stanie żadnego porządku w skarbie zaprowadzić i utrzymać. Innych rzeczy mniejszej wagi nie chcę poruszać”.

Paderewski wysłuchał mojej argumentacji z dużym zniecierpliwieniem, a kiedy skończyłem, mocno zdziwiony odpowiedział:

Z koalicją musi się liczyć każdy rząd polski, nie w mniejszej od niego mierze, a gdyby z tego powodu miało się nawet ponieść szkodę, to nie możemy się jej narażać. Dokonane przez niego zakupy mąki, zboża, tytoniu, mundurów, broni, amunicji itp. były pilne i konieczne, a powołani ministrowie czy inne osoby kupując, nie uzyskałyby lepszych warunków na pewno. Minister Biliński jest znanym krętaczem, który chce austriackie metody wprowadzić w nasze zupełnie inne życie. Zresztą on jest bez wpływów i obecnie się na stanowisko ministra skarbu nie nadaje. Jeśliby z transakcji, które on poczynił, wynikły dla państwa jakiejkolwiek straty, to on je do gorsza z własnej kieszeni pokryje.

Dla uporządkowania stosunków w administracji, skarbie, kolejnictwie i wszelkich innych dziedzinach życia państwowego sprowadzi sobie ludzi fachowych z zagranicy, którzy to na jego koszt wykonają. Jeżeliby zaś lu-

dowcy chcieli mieć wpływ na tok i kierunek gospodarki państwowej, to on się godzi, żeby weszli do rządu.

W końcu z wielką goryczą i zupełnie niespodziewanie powiedział mi, podnosząc się z ławy:

„Muszę Panu oświadczyć: ja jestem także człowiekiem, który odczuwa, jeżeli wy nie zmienicie swojego postępowania, jeżeli się okaże, że w Polsce, dla której, jak Pan sam przyznaje, wiele pracowałem spotkam się tylko z niewdzięcznością, to ona zobaczy, że jeden funt mąki do niej nie przyjdzie, a panowie politykujący ujrzą, jak to będzie wyglądać, gdy wskutek ich postępowania ludzie zaczną mrzeć z głodu”.

W tym miejscu rozmowa się skończyła, gdyż Paderewskiego pożegnałem widząc, że jest bardzo zdenerwowany.

W parę dni później za pośrednictwem Skulskiego odbyła się jeszcze jedna konferencja, w czasie której mogłem spotkać tylko Paderewskiego zakomunikować, że zajętego poprzednio stanowiska nie mogę zmienić. Ostatecznie jednak większość Sejmu oświadczyła się za nim, a na tej podstawie Naczelnik Państwa powierzył mu utworzenie nowego rządu.

W zastępstwie Paderewskiego pertraktacje ze stronnictwami prowadził poseł Leopold Skulski, prezes Zjednoczenia Ludowego, jednego z najliczniejszych klubów sejmowych. W czasie rozmowy radziłem mu, żeby zamiast bezskutecznych zabiegów około tworzenia cudzego rządu, podjął się własny rząd utworzyć, jako najbardziej powołany i dorastający do wytworzonej sytuacji politycznej i wyrażałem przekonanie, że sobie da radę i większość w Sejmie znajdzie. Nie godził się na to, chcąc być wobec Paderewskiego do końca lojalnym. Na nic to jednak nie przydało. Paderewski, mimo usilnych zabiegów Skulskiego i innych polityków, rządu nie mógł utworzyć, gdyż wszyscy wybitniejsi politycy odmówili mu współpracy. Wobec takiego stanu rzeczy 9 grudnia 1919 r. formalnie ustąpił.

Powszechnie mówiono, że Paderewski tymi przejściami czuł się ogromnie przybity i rozgoryczony. Myśmy to przykro odczuwali, ale nie mogło być inaczej. Szukano sposobu dania mu satysfakcji i dowodu wyraźnej wdzięczności. Większość klubów sejmowych wysłała do niego specjalną delegację, która mu złożyła podziękowanie i wyraziła uznanie za jego pracę, prosząc go o przyjęcie obowiązków posła polskiego w Paryżu lub objęcia stanowiska przedstawiciela Polski przy Lidze Narodów.

Paderewski delegację składającą się z najpoważniejszych ludzi prawicy i środka przyjął niegrzecznie, a pod adresem ludowców rzucił nawet zupełnie niezastudzoną obelgę. Widząc bardzo ciężkie

i wciąż się pogarszające wewnętrzne położenie państwa, wydał klub nasz w różnych odstępach czasu dwie odezwy do ludności, zredagowane przeze mnie.

Rząd Skulskiego

Po tych wypadkach i ustąpieniu Paderewskiego Skulski, nie czując się już skrępowany, misję utworzenia rządu przyjął i rozpoczął pertraktacje ze stronnictwami. Dotyczyły one w pierwszym rzędzie sprawy konstytucji i reformy rolnej. Gabinet Skulskiego został dość szybko utworzony, a z naszej strony jako gwaranci wykonania przezeń przyjętych zobowiązań weszli do niego inż. Andrzej Kędzior i dr Franciszek Bardel. Nowy rząd rozpoczął swe czynności 13 grudnia 1919 r. Dzień ten uważali niektórzy za feralny i nie wróżyli rządowi ani długiego ani też szczęśliwego żywota.

Szef rządu Skulski był bezsprzecznie człowiekiem bardzo zdolnym, przygotowanym praktycznie jak mało kto w Polsce, mającym jak najlepsze chęci, panowało też ogólne przekonanie, że wkrótce potrafi naprawić błędy swojego poprzednika, usunie rozprężenie, wprowadzi porządek, rozpocznie wszechstronną, celową pracę. Z dużą przychylnością traktowała ten rząd i lewica, zadowolona, że Skulski wyłamał się spod wpływów Narodowej Demokracji.

Tymczasem niezadługo przyszła przez nikogo nieprzewidziana niespodzianka. Premier bardzo rychło uległ Piłsudskiemu, stając się jego prawie bezwolnym narzędziem. Była to sprawa bardzo wielkiej wagi, która musiała zaniepokoić wszystkich poważnych polityków ze względu na zamierzenia Naczelnika Państwa.

Ówczesna polityka Piłsudskiego polegała jakoby na zamiarze utworzenia osobnych państw ukraińskiego i białoruskiego, które by oddzielały Polskę od Rosji i weszły z Polską w stałą unię państwową.

Mogło się to oczywiście stać dopiero wtenczas, gdyby Rosja bolszewicka została pokonana i zmuszona do ustąpienia z obszarów, mających stanowić te nowe państwa.

Stronnictwa prawicowe tej kombinacji były stanowczo przeciwnie, nie chcąc narażać Polski na uciążliwą, kosztowną i niepewną wojnę, jak również na możliwą stratę własnych, znacznych terenów, do nowych tworów państwowych przydzielić się mających. Wyrażały przy tym obawę, że państwa utworzone kosztem Polski mogą się stać dla niej samej w przyszłości niebezpieczne.

W naszym klubie co do tych spraw panowała dość duża

rozbieżność. Wnosili ją przeważnie posłowie Królewiaczy, oświadczając się za Piłsudskim i jego koncepcją. Sprawa ta wniosła w stosunki wewnętrzne klubu duże napięcie, ja zaś nie chcąc doprowadzać do większych rozterek, starałem się ją powoli regulować.

Wyzwolenie popierało Piłsudskiego bez zastrzeżeń i bez względu na to, co on robił. Socjaliści czynili to samo, choć bez tak gorącego entuzjazmu jak Wyzwolenie. Piłsudski był więc w tej sprawie panem położenia. Miał za sobą rząd, większość Sejmu, spokój zapewniony na innych frontach, prowadził więc walkę z bolszewikami, starając się wywołać pomoc i współdziałanie zainteresowanych narodów. Ponieważ bolszewicy byli zajęci na innych frontach, miał Piłsudski duże i łatwe sukcesy, nie chciał się więc zgodzić na propozycję bolszewicką co do rozpoczęcia rokowań, oświadczając wielokrotnie z buńczucznością, że „bolszewików może bić kiedy zechce, ile zechce i gdzie zechce”.

Propozycje

Nie wszystkim było wiadomo, że jeszcze 22 grudnia 1919 r. rząd sowiecki zwrócił się do rządu polskiego osobną notą, prosząc o wyznaczenie miejsca i terminu do rokowań pokojowych. Gdy rząd polski na tę propozycję nie dał żadnej odpowiedzi, rada komisarzy ludowych wystąpiła z publiczną deklaracją do rządu i narodu polskiego, w której poręczała niepodległość Polski i zapowiedziała, że wojska sowieckie nie przekroczą linii: Drysy, Połocka, Borysowa, Cudnowa, Baru i zadeklarowała, że „nie ma żadnej kwestii, której by się nie dało załatwić drogą porozumienia”.

Komisja zagraniczna Sejmu polskiego stwierdziła gotowość rozpoczęcia rokowań w porozumieniu z mocarstwami sprzymierzonymi i zainteresowanymi. Ludność ziem leżących poza granicami obecnej Polski miała się oświadczyć w plebiscycie co do swojej państwowej przynależności. Rząd mimo to wciąż zwlekał, a Piłsudski odnosił tanie zwycięstwa nad cofającymi się rozmyślnie bolszewikami.

Dopiero 27 marca 1920 r. minister Patek zaproponował rządowi sowieckiemu rozpoczęcie rokowań pokojowych 10 kwietnia 1920 r. w Borysowie i to pod warunkiem, że jedynie na tym odcinku zostaną wstrzymane działania wojenne. Rząd sowiecki na to się nie zgodził, domagając się całkowitego rozejmu i wyznaczenia jakiegokolwiek innej miejscowości dla rokowań pokojowych, jednak dalej od frontu bojowego położonej. Wymienił też Londyn,

Paryż, Moskwę, a nawet Warszawę. Piłsudski wiedząc, że bolszewicy znajdują się w ciężkim położeniu z powodu walki na kilku frontach równocześnie, zwłóczył bezustannie, upierając się tak przy lokalnym zawieszeniu broni, jak i przy Borysowie. O ten Borysów rozbiły się ostatecznie w połowie kwietnia rokowania pokojowe. Piłsudski postawił na swoim.

Było w tym bardzo wiele winy premiera Skulskiego, który nie tylko że się na postępowanie Naczelnego Wodza zgadzał i plany jego gorliwie popierał, ale się starał do żadnej krytyki nie dopuścić. Komisję Spraw Zagranicznych terroryzował, a przewodniczącemu prof. Grabskiemu groził, traktując go jako zdrajcę owej nowej, powiększyć się mającej Ojczyzny.

Ten zaś przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych prof. Stanisław Grabski, będący także zwolennikiem jak największej Polski, opowiadał mi kilka razy z przerażeniem o postępowaniu Piłsudskiego, które nazywał szaleństwem, i Skulskiego, który jego zdaniem wówczas nie tylko że się wyzyił wszelkiej woli, ale także i rozsądku. Przepowiadał z goryczą, że obaj ci ludzie będą Polskę kosztować wiele krwi i ofiar.

Ciężki krzyż do zniesienia z tego powodu mieli też stale ministrowie-ludowcy, inż. Kędzior i dr Bardel. Przychodząc bardzo często wzywani na posiedzenia klubu, stawali się ofiarą Dąbskiego, który sam nie wiedział, czego od nich wymagać.

Optymizm prem. Skulskiego

Ażeby nareszcie coś wiedzieć, udałem się sam do Skulskiego, domagając się wyjaśnień i podania powodów jego postępowania. Wyraziłem też swoje obawy i zastrzeżenia. Skulski wysłuchał i zupełnie pewny siebie powiedział: „Proszę pana, endecy robią, jak zawsze i wszędzie, zupełnie niepotrzebnie i bezpodstawnie wielki krzyk i wnoszą zamieszanie. Rząd posiada jak najpewniejsze informacje, że bolszewicy nie mają prawie żadnej siły ani broni, są przy tym zupełnie zdemoralizowani i rozbici, niezdolni do żadnej poważniejszej akcji. Wszędzie tylko uciekają i będą uciekać. Wojska nasze zaś idą bezustannie naprzód. Jestem przekonany, że za kilka tygodni możemy podyktować bolszewikom pokój, jaki nam się będzie podobało. Wtenczas będziemy też myśleć, czy zdobyte na nich obszary ziemi mamy wcielić do Polski, czy tworzyć z nich odrębne państwa”.

Kiedy wyraziłem wątpliwość co do jego optymizmu, zareagował bardzo energicznie, zaznaczając, że za to, co mówi i robi, bie-

rze na siebie pełną odpowiedzialność, a chyba nie wątpię, że on jest poważnym człowiekiem.

W tych warunkach nie podobna było zahamować tej polityki.

Dalsza wojna

Walki więc toczyły się dalej, stając się prawie rzeczą naturalną. Mimo nieznacznej pomocy ze strony atamana ukraińskiego Petlury, wojska polskie posuwały się wciąż naprzód, tak na północy jak i na południu, odnosząc większe i mniejsze zwycięstwa. Doprowadziły one między innymi do zajęcia wielkiej części Ukrainy i stolicy jej Kijowa, wywołując niesłychany entuzjazm u części polskiego społeczeństwa. Podnosiły się jednak zastrzeżenia i protesty przeciw szafowaniu krwią polską dla obcego interesu. Zaczęło dość szybko zwyciężać przekonanie, że główną rolę w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu grała przede wszystkim niepohamowana osobista ambicja Piłsudskiego, za którą naród płaci niezwykle wysoką cenę, a nie wiadomo, jaki będzie jej koniec.

Jakby na potwierdzenie tych obaw z frontu północnego przychodziły coraz to gorsze wiadomości. Zaczęto też szeptać o cofaniu się wojsk polskich spod Kijowa wśród strat niebywałych. Dowództwo zaprzeczyło temu kategorycznie, ogłaszając komunikaty o nowych zwycięstwach. Tymczasem rzeczywistość zaczęła mówić zupełnie co innego. Rząd wbrew wszystkiemu pokazywał, że się czuje panem położenia. Potwierdzeniem tego był powrót Piłsudskiego z frontu do Warszawy i witanie go jako triumfatora. Poza tym rząd urządził dziękczynne nabożeństwo w kościele św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży, w którym oprócz rządu, Sejmu i dużych tłumów publiczności wziął także udział Naczelny Wódz, Piłsudski.

Obecny na tym nabożeństwie minister Kędzior w czasie największych kadzideł powiedział do mnie półgłosem: „Nie mogę zrozumieć, po co ta komedia. Armia nasza już trzeci dzień ucieka spod Kijowa, na północy same kłęski, o czym tak Piłsudski jak i Skulski wiedzą doskonale”.

Tak, Kędzior mówił szczerą prawdę, a mimo to Piłsudski wahał kadzidła, odbierał gratulacje i podziękowania, a Skulski krył wszystko swoją osobą. Mimo twierdzenia Kędziora panowało jednak dość powszechne przekonanie, że naczelne dowództwo trzymało Skulskiego w zupełnej nieświadomości, dzięki specjalnej taktyce Piłsudskiego.

Tymczasem stosunki w Sejmie zaczęły się z dnia na dzień

pogarszać. Napięcie pomiędzy rządem a Sejmem wzrastało coraz bardziej, niezadowolenie rosło. Dotyczyło to szczególnie naszego klubu, który ponadto zarzucał rządowi niedotrzymanie zobowiązań co do reformy rolnej. Agitację za wycofaniem z rządu Skulskiego ministrów Kędziora i Bardla prowadził w klubie Dąbski, będący wiceministrem w tym gabinecie. Wreszcie po jakimś czasie cel swój osiągnął. Klub znaczną większością głosów zgodził się na wycofanie obu ministrów z gabinetu, mimo ich odmiennego stanowiska i bardzo rzeczowej obrony. Demagogia i krótkowidztwo zwyciężyły. Ja się do tej sprawy zupełnie nie mieszałem, pozostawiając wolną rękę klubowi, który był zaszłymi wypadkami coraz bardziej przerażony. Wiceminister Dąbski również opuścił swoje stanowisko urzędowe, mimo że minister Patek był w kraju nieobecny, a ministerstwo spraw zagranicznych zostało zupełnie bez kierownictwa. Nie od rzeczy będzie nadmienić, że Dąbski niedawno pchał się na ten urząd „rękami i nogami”. Premier Skulski, zniechęcony niepowodzeniami i rozgoryczony postępowaniem dalszych i bliższych przyjaciół, po przeprowadzeniu rozprawy w Sejmie zgłosił dymisję 9 czerwca 1920 r.

W Sejmie

Na wiadomość o dymisji rządu w kuluarach sejmowych zarządziło jak w ulu. Stronnictwa lewicowe były przekonane, że nareszcie nadszedł czas na objęcie rządów przez nie, gdyż rządy prawicowe zostały dostatecznie skompromitowane. Zaczęły się też zaraz gorączkowe narady i konferencje, z których wyłaniały się kombinacje jedna po drugiej. Rozumowano sobie w sposób dość uproszczony: był prawicowy rząd Paderewskiego, przyszedł po nim centrowy rząd Skulskiego, obecnie zaś jedna ani druga kombinacja nie może się powtórzyć, pozostaje więc jako naturalna i możliwa: utworzenie rządów lewicowych.

Szczególnie uparcie myśli tej chwycili się Wyzwoleńcy dowodząc szeroko, że taki rząd musi być pewnym lekarstwem na wszystko. Zaczęło to działać zaraźliwie na innych. W klubie naszym powiększonym znowu o kilku posłów z Królestwa, prowadzono też długie i namiętne narady w tej sprawie. Poseł Dąbski miał doskonałą sposobność do wygłoszenia długich lewicowych przemówień. Swoją naiwnością, krótkowidztwem i zaślepieniem zadziwiły one wielu ludzi, którym się długo wydawało, że najważniejszym, jeśli nie jedynym zadaniem rządu w Polsce jest gnębienie swoich przeciwników. Nie chciano też ani słyszeć o

tym, gdy do rozsądku i trzeźwego sądu nawoływali ludzie tej miary co Bojko, Bardel, Grzędzielski, Jachowicz.

Wprowadziło to do klubu nie tylko zamieszanie, ale także atmosferę nieufności i wiecznych podejrzeń. Zaczęło się podglądanie i szpiegowanie. Szukano gorliwie zdrajców tej wielkiej sprawy pomiędzy sobą. Położenie stało się tak dalece nieznośne, że poważniejsi posłowie przestali na posiedzenia klubu przychodzić, ażeby nie być zmuszeni słuchać denerwującej dyskusji a bardzo często i niemądrych zarzutów. A były ich całe tuziny. Kto na przykład odważył się podać rękę jakiemuś „endekowi”, uważany był za najgorszego wroga ludu i zbawczej dla niego lewicowej koncepcji rządowej.

Na tych klubowych „endeków” ludzie starszych, wyrobionych i poważnych, wskazywali szczególnie palcami różni młodzieńcy z Królestwa. Wyraźnie już na czarnej liście znaleźli się: dr Bardel, Kędzior, inż. Kędzior, adw. Cwikowski, red. Rączkowski, a nawet i stary Jakub Bojko. Mnie jeszcze jakoś oszczędzano. Upragniony rząd lewicowy tak ludziom zawrócił w głowie, że tak umiarkowany politycznie człowiek jak dr Kiernik widział w nim generalne rozwiązanie rozmaitych problemów. Jego „przyjaciele” nawet i w tych ciężkich czasach zdobywali się na humor twierdząc, że tym sposobem zdążał on do objęcia teki ministerialnej, co jakoby miało być dawnym jego marzeniem.

Po długich pertraktacjach wyłącznie pomiędzy stronnictwami lewicowymi prowadzonych, zgodzono się na zasadę samą. Zaczęto liczyć posłów tej koncepcji przychylnych i nie doliczono się w żaden sposób większości. Killkakrotne dokładne liczenia nie chciały ani rusz przynieść zmiany. Ten stan rzeczy powodował rozbieżności. Jedni radzili utworzyć rząd mniejszości, inni doradzali postarać się o pozyskanie Klubu Pracy Konstytucyjnej, mimo iż on był najbardziej prawicową formacją polityczną.

Ciągłe wielodniowe pertraktacje doprowadziły nareszcie do uzgodnienia różnych rozbieżności, a nawet do porozumienia się z Klubem Pracy Konstytucyjnej, czego niektórzy talmudyści lewicowi nie mogli w żaden sposób przelknąć. Dokonawszy tej pracy, zaczęto się oglądać za premierem, który byłby dostatecznie godny to stanowisko piastować.

Na wniosek Daszyńskiego zaproponowano tę godność mnie. Odmówiłem. Na wiadomość o tym w klubie zagotowało się jak w kotle. Zaczęło się namawianie, molestowanie i zachodzenie w głowę, co to ma znaczyć. Kiedy nie uległem żadnym prośbom, ani się nie dałem przekonać perswazjom, zaczęto szemrać ciszej i głośniejsze, że staram się zupełnie rozmyślnie i celowo unicestwić tak wielkie dzieło. Niektórzy wnet nawet przyszli do przekonania, że

na pewno robię to w porozumieniu z endekami. Znaleźli nawet potwierdzenie tego podejrzenia, gdyż młodzieutki poseł Karlikowski widział mnie rozmawiającego ze Skarbkiem, co było uważane za grzech śmiertelny popełniony przeze mnie. Tego mi już było za wiele, toteż oświadczyłem w klubie publicznie, że niewolnikiem dzikich stosunków być nie myślę, a rozmawiać będę zawsze i wszędzie z każdym, z kim mi się będzie podobało, nie pytając się nikogo o pozwolenie. To pomogło.

Kandydatura posła Brejskiego

Po mojej odmowie, poszukując lewicowego premiera, zgodzono się nareszcie na kandydaturę posła Jana Brejskiego. Był on członkiem Narodowej Partii Robotniczej i znanym, wielce zasłużonym działaczem narodowym na wychodźstwie w Niemczech. Jako człowiek prosto myślący i nie znający stosunków bliżej, zgodził się na przyjęcie misji tworzenia rządu bez żadnych trudności. Ostrożne natomiast jego stronnictwo ogłosiło natychmiast, że za postępowanie swojego członka nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Mając już z góry zapewnioną większość w Sejmie, rozpoczął Brejski obowiązkową rozmowę ze stronnictwami, nie omijając żadnego z nich. Kiedy się rozeszła po Sejmie wiadomość, że Brejski odbył rozmowę z Klubem Związku Ludowo-Narodowego, Wyzwoleńcy zrobili gwałtowny alarm, zaczynając wietrzyć jakąś zdradę.

Zaraz też zwołano posiedzenie Centrolewu, na którym kandydata na premiera skrupowano różnymi warunkami, mającymi się stać wytyczną dla rządu, który nigdy nie powstał. Brejski zgodził się na wszystko, ale równocześnie nie omieszkiał niebacznie powiedzieć o tym stronnictwom prawicowym. Patrzano na niego ze zdumieniem i zdziwieniem, gdy tłumaczył, że nic złego nie popełnił, bo rozmawianie z przyzwoitymi ludźmi nie może być przestępstwem.

Gorliwcy lewicowi patrzeli na te sprawy jednak zupełnie inaczej. Zaczęli szpiegować każdy jego krok, komentować jego mniej ostrożne albo niebacznie wypowiedziane słowa, w sposób coraz bardziej niegrzeczny okazywać mu swoje niezadowolenie. Zaczęto także i sobie robić zarzuty obawiając się, że Brejski rządu w ogóle nie utworzy, ale co jeszcze gorsze, że utworzony przez niego rząd nie będzie wcale rządem lewicowym.

Postępowanie to Brejski nareszcie zrozumiał i bardzo przykro odczuł, a w rozmowie ze mną skarżył się gorzko zaznaczając,

że takich ludzi i stosunków nie spotkał w swoim życiu. Nosi się też z myślą, żeby odejść od tego przedsięwzięcia. Jakoż po dwóch dniach mozolnych zabiegów, skrępowany jeszcze dalszymi uchwałami i natrafiając na nowe i coraz większe przeszkody ze strony swoich mocodawców, rozgoryczony do ostatnich granic misję mu powierzoną złożył z powrotem w ręce Naczelnika Państwa.

Nowe zabiegi i narady

Na wiadomość o tym stronnictwa lewicowe opanowała gorączka, nie mniejsza od poprzedniej. Posypały się konwentykle i narady, z większą jeszcze pilnością prowadzone. Łamano sobie głowy nad wyszukaniem w Sejmie lub poza Sejmem osoby, która by się najbardziej nadawała i podjęła obowiązku utworzenia centrowo-lewicowego rządu i dogodziła im pod każdym względem.

Nerwowość ową podniecała sytuacja militarna, z dnia na dzień cięższa. Armia polska po rzekomo triumfalnym pochodzie na wschód i licznych zwycięstwach zmuszona została do opuszczenia Kijowa i cofania się w nieładzie na zachód, ponosząc wprost niesłychane klęski i straty. Niepowodzenie zaczęło się także na froncie północnym. W kraju szerzyła się widoczna i coraz większa anarchia. Opinia publiczna głośno wyrzekała na Sejm, a najwięcej na ludowców, którzy się przyczynili do obalenia poprzedniego rządu. Nie wiedząc co robić, szukano też między sobą winowajców, a zwykle trafiano na tych, co najmniej byli winni.

Znowu moja kandydatura

Na jednym z posiedzeń Centrolewu doszukano się znowu większości i uchwalono mnie powierzyć tworzenie rządu. Gdy do naszego klubu dotarła ta tak oczekiwana a radosna wiadomość, wszystkim skoczyło na równe nogi. Radość i szczęście mąciło tylko moje postępowanie. Zaczęły się znowu gorączkowe narady, po dwóch, po trzech, po pięciu.

Łamano sobie głowy i ręce, jakim sposobem zmusić mnie można do zmiany stanowiska. Posypały się znowu te same tylekrotnie już powtarzane argumenty, dowody, oskarżenia, szczególnie sobie i swoich. Samobiczowanie doszło tak daleko, że wbrew oczywistej prawdzie, za winnych nieudania się eksperymentu z Brejskim uznano członków naszego klubu, którzy jakoby go należycie nie poparli, a nawet mieli wysuwać wątpliwości co do celowo-

ści jego kandydatury. Kilku najbardziej „oburzonych i rozgoryczonych” przygotowało nawet wnioski na usunięcie z klubu „najgorszych”. Mając już tego za wiele, obszedłem się z wnioskodawcami bez zachowania nawet pozorów grzeczności. To raptownie pomogło, ale rzecz naturalna nie poprawiło mojej marki u niektórych.

Najwięcej fermentu do klubu wnosił Henryk Wyrzykowski, z Łodzi czy z Łaska pochodzący, były buchalter jakiejś instytucji, były członek Rady Stanu z okupantami pracujący i wszelkich wpływów politycznych z tego względu pozbawiony, a nie mogący się z tym pogodzić. Nie mając nic do roboty, a posiadając jako członek Zarządu Głównego Stronnictwa prawo uczestnictwa w posiedzeniach klubu, z tego prawa w całej rozciągłości korzystał. W swojej wicherzycielskiej robocie był on narzędziem Dąbskiego, który opuściwszy beztrosko swoje obowiązki w ministerstwie, chodził zadowolony z siebie z elegancką laseczką, nie mieszając się pozornie do niczego, zapominając prędko, że był on jednym z głównych winowajców zamętu.

Molestowany i napierany już przez cały klub, zabrałem w końcu głos i oświadczyłem, że jako karny członek klubu poddam się jego uchwale, ale ani na chwilę nie wierzę w powodzenie swojej misji ani takiego rządu, gdyby się go nawet udało utworzyć.

„Politykowi nigdy nie wolno być zaślepionym, a cóż dopiero w tych warunkach. Sama zaciekiłość i nienawiść partyjna nie wystarczą do rządzenia państwem, gdyż do tego trzeba mieć inne i to poważniejsze kwalifikacje.

„Rząd parlamentarny musi posiadać podstawy swojego istnienia. Musi też mieć nie tylko większość w Sejmie i społeczeństwie, a jeśli ma swoje ciężkie zadanie spełnić, musi posiadać odpowiednio przygotowanych ludzi, którzy poza szeroką gębą posiadają naukę i doświadczenie. Ciężkie i co dzień bardziej niebezpieczne położenie państwa nakazuje skupienie sił wszystkich, jakimi naród rozporządza, nie walki z endekami, której ja wcale prowadzić nie myślę. Jeżeli się zaś podejmę obowiązku tworzenia rządu, to uczynię to jedynie dla spełnienia nałożonego na mnie obowiązku i przekonania was, że wszelki trud będzie daremny bez zmiany postępowania.

„Spodziewam się też, że wnet zostałem potraktowany tak jak ministrowie Kędzior i Bardel, których nie tylko klub odwołał wbrew ich woli, ale nie dał im nawet możliwości odejścia od rządu w sposób w świecie cywilizowanym praktykowany”.

Oświadczenie moje otrzeźwiło nieco zapały i spotkało się z gęstymi oklaskami. Natychmiast zostałem zaproszony do Naczelnika Państwa. Poszedłem tam piechotą, a zapytany przez dziennikarza, dlaczego nie jadę samochodem, odpowiedziałem, że mi się wcale do tej władzy nie spieszy. Znowu to w klubie uważano za lekceważenie.

U Piłsudskiego

Z Piłsudskim odbyłem długą rozmowę. Zupełnie się też co do wielu spraw z nim godziłem. Wyraził pomiędzy innymi pogląd, że Wyzwolenie jest jeszcze bardzo młodym, prawie dziecięcym stronnictwem, natomiast Piast posiada najwięcej danych do odegrania roli stronnictwa rządzącego. Wątpi jednak, czy to już jest obecnie możliwe, gdyż warunki są bardzo ciężkie. Powracając do sprawy rządu zaznaczył, że widzi wiele trudności w przeprowadzeniu tego przedsięwzięcia, zna się przeciwników i nie radzi jej lekceważyć. Choć są oni jego zaciętymi wrogami, to musi przyznać, że posiadają zmysł orientacyjny, mają dobrą organizację, wiedzą do czego dążą, są bezwzględni, mają cierpliwość i wytrzymalność. Stronnictwa lewicowe tych walorów wcale nie posiadają, a Wyzwolenie zachowuje się często jak smarkacz, socjaliści znowu upajają się nieżywotnymi doktrynami. Poddawał też myśl pozyskania klubu Narodowego Zjednoczenia Ludowego i Skulskiego, o którym się jak najlepiej wyrażał. W końcu mi oświadczył, że choćby się mi nawet udało utworzyć ten rząd, to on się długo nie utrzyma, gdyż niezadługo zaczną go zwalczać ci sami, co teraz koło jego utworzenia tak gorliwie zabiegają. Żegnając mnie życzył powodzenia, w które sam nie wierzył.

Po powrocie z Belwederu odbyłem rozmowę z zarządem własnego klubu. Omówiono i ustalono tam główne wytyczne dla rządu, według naszych poglądów, próbowano szukać kandydatów na ministrów. Była to zresztą może sprawa najtrudniejsza, gdyż zewsząd wychodziły apetyty i to wcale niemałe. Następnie rozpocząłem pertraktacje z poszczególnymi stronnictwami. Tu dopiero miałem sposobność poznać różnych „beziinteresownych ideowców”.

Każde ze stronnictw rozpoczynało rozmowę od nowa, jakby mnie nie tylko nie znało, ale nawet nie widziało nigdy. Każde też okazywało ogromne apetyty oświadczając równocześnie, że nie żąda nic dla siebie, a za kandydatami w niemożliwie wielkiej liczbie wysuwanymi przemawiają albo względy ogólne, albo też specjalne zdolności, jakie oni posiadają. Patrzyłem się na to jakby obojętnie, nie nalegając zbyt na decyzje klubów, wiedząc o tym dobrze, że one wcale nie zapadną.

Równocześnie wrzała cicha i zacięta walka pomiędzy stronnictwami jak też w stronnictwach. Kłócono się zawzięcie o podział łupów, nie myśląc o tym, jak one są odległe. Walka owa przybrała charakter podjazdowy, okrężny, brzydki, odrażający. Sam widziałem ludzi, którzy głośno po Piłatowemu umywali ręce od wszystkiego, ogłaszając publicznie swoją beziinteresowność, a

po cichu i ostrożnie starali się przekonywać kogo mogli, że oni się najwięcej nadają na różne resorty i gdyby ich pominięto, przyniosłoby to niepowetowane szkody dla ludu i państwa. Różne kandydatury ministerialne zjawiały się i padały z błyskawiczną szybkością.

To samo się działo i w naszym klubie. Wysunięto kandydaturę i cofnięto ją prędzej niż kandydat mógł się zorientować i co do swojej osoby się oświadczyć. Kandydaturę dr. Kiernika, uchwaloną w pośpiechu, zastąpiono jeszcze prędzej urzędnikiem ministerialnym, Brzezińskim. Wywołało to ostry protest porzuconego kandydata i rezygnację z członkostwa Zarządu Głównego. Mocno forsowaną kandydaturę inż. Bryła cofnięto na skutek protestu Wyzwolenia. W jego miejsce uchwalił klub jednomyślnie kandydaturę inż. Kędziora, tego samego, którego przed niewielu dniami odwołał z rządu jako mało odpowiedniego. Tak mało wybrednym sposobem przesiano bardzo znaczną część klubu. Specjalistą w tej robocie okazał się zupełnie niespodziewanie działający w ukryciu wcale nieładnie poseł Erdman.

Nauczony doświadczeniem, dalsze narady ze stronnictwami odbywałem na wspólnych posiedzeniach. Wyglądało to na paradoks, ale mnie się to wydawało praktyczniejsze ze względu na wspólną kontrolę, hamowanie apetytów i łagodzenie przeciwności. Chciałem przy tym poddać niektórych działaczy publicznej próbie. Niewiele zyskałem, bo to wszystko nie uchroniło od zaciętej walki o teki, szczególnie mających większe polityczne znaczenie. Najsrożej kłóciło się Wyzwolenie z Narodową Partią Robotniczą, pomiędzy którymi nie wiadomo skąd zaczął Stapiński odgrywać rolę mediatora. Wiedziałem, że robi to z ukrytą tendencją, będąc gotów w każdej chwili rzucić się tak na jednych, jak i na drugich. Zupełnie niespodziewanie zaczęła się walka między socjalistami a Narodową Partią Robotniczą. Jedni i drudzy chcieli zdobyć ministerstwa, przy pomocy których mogliby rozszerzać swoje wpływy. Najmniej wymagającym okazało się moje stronnictwo, żyjące stale obawą, że do utworzenia rządu nie dojdzie.

Z naturalnej politycznej przyzwoitości odbyłem też krótkie rozmowy z przedstawicielami stronnictw, które nie wchodziły w kombinację rządową, nie omijając Ukraińców i Żydów. Złożyłem także wizytę Marszałkowi Sejmu Trąmpczyńskiemu. Z rozmowy z nim wywnioskowałem, że aczkolwiek zachował się grzecznie, z kombinacji rządowej nie tylko nie był zadowolony, ale nią przerażony, zwracając mi nieznacznie uwagę na trudności i następstwa.

Rozmowa ze Stapińskim była krótka i nie przynosząca żad-

nych poważniejszych momentów, chociaż na drugi dzień goniąca za sensacją prasa ogłosiła krzykliwe, jakobym mu ofiarował połączenie się walczących ze sobą stronnictw i klubów. Nie było w tym ani słowa prawdy. Natomiast wchodzącemu w skład większości jego klubowi proponowałem miejsce w gabinecie, z pominięciem jednak samego prezesa.

Poczyniwszy wszystko, co uważałem za potrzebne i możliwe, nie mając najmniejszego przekonania, by gabinet mógł dojść do skutku, a cóż dopiero swoje zadanie spełnić, nie chcąc też brać w dalszym ciągu odpowiedzialności za przesilenie, oznaczyłem wojującym stronnictwom ostateczny i nieprzekraczalny termin, do którego miały usunąć wszelkie przeszkody.

Cały dzień trwały narady i uzgadniania. Najustępliwsze okazało się znowu moje stronnictwo, co mu nawet wytknąłem, uważając to za naruszenie powagi klubu.

Późnym wieczorem w gabinecie wicemarszałków wysłuchałem ostatnich oświadczeń klubów i stwierdziłem, że nie doszło pomiędzy nimi do uzgodnienia. Na dobitkę zupełnie niespodziewanie Thugutt imieniem Wyzwolenia złożył deklarację, unieczyniającą wszelkie zabiegi i torującą drogę każdemu innemu rządowi, tylko nie rządowi centrowo-lewicowemu.

Nasz klub nie ruszając się krokiem nie tylko z Warszawy, ale nawet z posiedzenia, czekał niecierpliwie na ostateczne decyzje. Kiedy zakomunikowałem o wyniku, członkowie klubu mieli miny pogrzebowe, dziwiąc się, że ja szat nie rozdzierałem razem z nimi nad tym nieszcześciami. Słyszałem sam szemrających po kątach posłów, że to właściwie moja wina w tym, że ten tak upragniony przez nich rząd do skutku nie doszedł. O tyle się nie omylili, że nie robiłem tego wszystkiego ani z wielkim zapałem, ani też z wiarą, która powinna towarzyszyć zawsze podobnemu przedsięwzięciu.

Wśród podobnego nastroju i okoliczności zawiadomiłem Naczelnika Państwa o zakończeniu mojej nieudanej misji. Widziałem, że był trochę zmartwiony, choć wcale wynikiem nie zaskoczony, gdyż o rozumie politycznym grup lewicowych miał wyrobione zdanie i wcale się z nim nie taił. Na moje zapytanie o sytuację wojenną dał wymijającą odpowiedź.

Trudna sytuacja

Sytuacja w państwie stawała się prawie beznadziejna, gdyż zaczynało się okazywać, że ani prawica ani lewica nie tylko nie są zdolne do opanowania trudności, ale nie mogą się zdobyć na

utworzenie jakiegolwiek rządu i wzięcia za niego odpowiedzialności. Niebezpieczeństwo klęski stawało się z każdą niemal chwilą większe i bliższe. Aczkolwiek Naczelne Dowództwo starało się ukryć przed narodem faktyczny stan rzeczy, to jednak wiadomości, i to bardzo często przesadne, rozchodziły się po całym kraju.

Roznosili je przeważnie dezernerzy i rozbitki z różnych pułków, którzy nie zatrzymywani przez nikogo szli i szeroko powiadali o zniszczeniu armii, szerząc niesłychany popłoch wśród ludności. Wieści owe nie były pozbawione podstaw, gdyż dzięki niedołęstwu naczelnego dowództwa zostało wiele pułków prawie że zupełnie zniszczonych. Chętni mogą się o tym dowiedzieć bardzo wiele ciekawych rzeczy z broszurek noszących tytuł „Historia 156 pułków polskich”, dla innych wprowadzie celów wydanych.

Po lasach zaczęły się, jak przy końcu wojny austriackiej, tworzyć zielone brygady, które napadały i rabowały bezbronną ludność. Niewidziane dotąd rozprzeżenie zaczęło się nie tylko wkraść ale już panować we wszystkich dziedzinach życia. Towarzyszyła mu zupełna bezradność władz od góry do dołu. Nie umiano znaleźć wyjścia z sytuacji, choć było ono zupełnie jasne i proste. Należało przecież mieć na tyle rozumu, ażeby zaprzestać pomiędzy sobą walki i porozumieć się, jeżeli nie we wszystkim, to przynajmniej w sprawie zagrożonego naprawdę bytu państwa. Mimo usilnych zabiegów, jakie z kilkoma osobami z różnych stronnictw robiłem, do tego nie można było doprowadzić, gdyż wciąż ponad wszystkim górowała niedojrzałość, krótkowidztwo, ponadto brak odpowiedzialności przywódców, którzy bali się najmniejszego odruchu ze strony niedojrzałych i zaślepionych elementów, jakich nie brakło w żadnym klubie.

Przyznać trzeba, że zaślepienie to zaszło niesłychanie daleko. Jeden z młodzieńskich posłów, M.S., oświadczył mi w rozdrażnieniu, że on woli, aby Polskę wzięli bolszewicy, niżby się miała dostać pod rządy endeckie. Kiedy mu powiedziałem co należało odrzekł, że nie tylko on tak myśli, ale cała paczka innych. Wiedziałem, że były to owoce nierozumnej roboty Dąbskiego, który codziennie siał ziarno nienawiści, ale ludzie to zupełnie na serio brali, od czego on mógł w każdej chwili zawrócić.

Rząd Władysława Grabskiego

W takich warunkach i w tej atmosferze zaczął się na widowni ukazywać rząd Władysława Grabskiego. Polityka tego dotąd nie znałem zupełnie, choć trochę wiedziałem o jego zdolnościach i przekonaniach, które się miały ujawnić przy sposobności

jakiegoś zjazdu. Pomimo że był wielkim właścicielem ziemskim i należał oficjalnie do Związku Ludowo-Narodowego, uchodził za lewicowca, nie był więc czerwoną płachtą dla żadnej z wojujących ze sobą stron.

Około utworzenia jego rządu, poza samym premierem, krzątali się bardzo pilnie prof. Bartel, Stanisław Śliwiński, były minister aprowizacji. Stronictwa sejmowe niewiele się nim zajmowały. Lewica czuła się zniechęcona i zawstydzona po nieudalym przedsięwzięciu, prawica nie zdradzała wielkiej ochoty do obejmowania władzy, a tym mniej do brania za nią odpowiedzialności w tak trudnych warunkach. Kombinację tworzącego się rządu uważano za pozaparlamentarną, chociaż Grabski odbył szereg konferencji z przedstawicielami różnych stronnictw, raczej może z kurtuazji i dla wybadania nastrojów.

Rozmawiając ze mną między innymi zaznaczył, że pragnie, aby jego bezpartyjny rząd przetrwał jak najlepiej te ciężkie czasy. Jako gwarancję stara się wprowadzić ludzi możliwie najlepszych, ale stojących poza partiami i nie drażniących żadnej z nich. W końcu prosił o podanie mu kilku nazwisk. Uczyniłem to, jednak on z tej usługi nie skorzystał.

Rząd ten, niezupełnie jednak kompletny, objął swoje obowiązki 23 czerwca 1920. Gabinet Wł. Grabskiego, nie zwalczany ani nie popierany przez żadne stronnictwo, przetrwał dni 30.

Jakaś dziwna, wprost niezrozumiała obojętność zapanowała tak w Sejmie jak w społeczeństwie. Dopiero umowa zawarta przez Grabskiego w Spa, szkodliwa i upokarzająca, spychająca Polskę poza nawias polityki europejskiej i mająca ją okroić do granic etnograficznych, coraz to nowe klęski na froncie bolszewickim, bezustanne cofanie się armii polskiej wśród zamieszania i strat niesłychanych, zbudziły Sejm i społeczeństwo. Pokłócone stronnictwa mogły już nie tylko ze sobą się schodzić i radzić, ale się też zdobyć na wspólne i zgodne działanie. Na strapioną głowę Grabskiego posypał się grad zarzutów z powodu jego postępowania. Zaczęto na gwałt myśleć o czym innym. Ja stosunków wewnętrznych w jego rządzie nie znałem, to jednak wiem że ulegał bardzo łatwo nie tylko ogólnemu nastrojowi beznadziejności, panującemu wówczas w Polsce, ale kierował się bezwzględnie wytworzoną chwilowo sytuacją wojenną. Piłsudski zaś rozpętawszy wojnę, nie chciał w chwili odpowiedniej zawrzeć pokoju, a zapowiedziawszy, że może bolszewików bić, gdzie zechce i ile zechce, wcale tego nie dotrzymał, dając się natomiast bić bolszewikom na każdym kroku.

Dość oryginalną rolę w tym czasie odegrał Bartel, prof. Politechniki we Lwowie i mocno reklamowany przyjaciel ludow-

ców. Na parę dni przed utworzeniem rządu Grabskiego przyszedł do mnie w towarzystwie posła Bryła i niepytany przez nikogo oświadczył, że nigdy w żadnym rządzie nie wzięłby udziału, w którym nie byłoby ludowców. W kilka dni po tym siarczystym oświadczeniu ten sam prof. Bartel zabiegał bardzo gorąco o utworzenie rządu Grabskiego i sam wszedł do niego.

Smutna rzeczywistość, wytworzona przez Piłsudskiego, nie dała się długo ukryć. Armia polska, stawiająca słaby opór i to w niektórych tylko punktach, cofała się bezustannie wśród ogromnych strat i niezliczonych trudności. W Sejmie głośno opowiadano o potwornych wprost stratach, tak w ludziach jak i w materiale, spowodowanych niedołęstwem Nacz. Dowództwa, które straciwszy zupełnie głowę, gubiło całe pułki, nie dając im na czas, albo nawet wcale rozkazu do odwrotu, mimo że się on już dawno rozpoczął.

Nie pomnę już z czyjej inicjatywy, w pierwszych dniach lipca 1920 w gabinecie Marszałka Sejmu Trąmpczyńskiego odbyła się poufna konferencja przewodniczących polskich stronnictw sejmowych celem obmyślenia środków ratunku w tym rozpaczliwym położeniu.

W konferencji wziął udział Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz, Józef Piłsudski, oraz szef sztabu generalnego, gen. Stanisław Haller. Złożył on długie sprawozdanie, dotyczące sytuacji wojskowej, wytworzonej na froncie. Było ono nie tylko zupełnym potwierdzeniem głoszonych wiadomości, ale tchnęło kompletną beznadziejnością, gdyż nie postawił nawet żadnego wniosku.

Ze sprawozdania jego wynikało, że armia polska odnosiła łatwe zwycięstwa dopóki bolszewicy byli zaangażowani w walce z białymi armiami. Po zwycięstwie nad nimi przerzucili ogromne siły na nasze fronty przeciw słabej liczebnie armii polskiej. Nasza ofensywa kwietniowa doprowadziła do wzięcia Kijowa. Nie mając jednak potrzebnych rezerw do odparcia silnego przeciwnika i utrzymania zdobytego kraju, musieliśmy się cofać. Rachuby na powstanie ludności ukraińskiej przeciw Sowiecom prawie zupełnie zawiodły.

Front nasz na północy został przełamany przeważającymi siłami bolszewickimi, nasza kontrofensywa zdołała wprawdzie przywrócić stan pierwotny, ale przy użyciu całej armii rezerwowej gen. Sosnkowskiego, co się odbiło bardzo ujemnie na innych odcinkach frontu. Znaczna część naszych wojsk została uwięziona na południu i rozrzucona na zbyt szerokich obszarach. Bolszewicy zebrali nowe siły i wysłali także armię konną Budiennego, liczącą około 20.000 ludzi doborowych. Po kilkudniowych ciężkich walkach zdołał Budienny przerwać nasz front i kierując

się na nasze tyły ruszył w stronę Żytomierza i Berdyczowa. Wskutek tego manewru zmuszeni byliśmy opuścić Kijów. Stało się to 10 czerwca. Trudno zaprzeczyć, że opuszczenie Kijowa jest wielką naszą klęską, szczególnie o znaczeniu moralnym i wojskowym.

Obecnie odbywa się wielkie skoordynowane uderzenie armii bolszewickiej na nasz front nad Autą i Berezyną, którego on nie może wytrzymać. Wydaliśmy rozkazy wycofania się na linię dawnych okopów niemieckich, ale i ona nie jest do utrzymania, gdyż bolszewicy napierają coraz większymi siłami i starają się nas oskrzydlić.

W odwróceniu spod Kijowa straciliśmy bardzo wiele tak żołnierza jak i sprzętu wojennego. Jest to dla nas ogromnie dotkliwe, gdyż zaopatrywać się musimy tylko zagranicą, a proletariat wszystkich państw Zachodu, mający obecnie bardzo poważny głód, jest do nas wrogo usposobiony, starając się czynić wszelkie przeszkody, przy załadowaniu i przesyłce broni.

Duch w wojsku upadł prawie zupełnie. Żołnierz pędzony tysiące kilometrów, bity, głodny i obdarty, stracił wiarę i uległ demoralizacji. Zdarzały się wypadki kompromitującej ucieczki całych wielkich oddziałów bez żadnego powodu. Grodno zostało zajęte przez zwyczajny mały podjazd bolszewicki, a cała nasza dywizja w popłochu uciekła.

Sprawozdanie swoje skończył gen. Haller głosem przyciszonym, a nuta jego brzmiała złowrogo: dla nas nie ma już ratunku. Uczestnicy konferencji siedzieli jak przykuci do stołków, wydając czasami ciężkie przytłumione oddechy. Nastrój był bardziej niż grobowy. Po krótkiej chwili oczy wszystkich zwróciły się w stronę Piłsudskiego. Siedział on milcząco z głową spuszczoną i oczyma utkwionymi w ziemię, nie widząc może nawet zachowania się uczestników. Każdy zaś z nich pamiętał dobrze niedawne jeszcze przechwałki Piłsudskiego, jego upór, niechęć do zawarcia pokoju i lekceważenie przeciwnika i uważał go słusznie za sprawcę klęsk i nieszczęścia. Spodziewałem się, że spokój zwiastuje burzę, bo postępowanie Piłsudskiego znajdzie należytą ocenę.

Nie przyszło jednak do żadnych dramatycznych momentów, gdyż ani przemówienia uczestników, ani zachowanie się Piłsudskiego nie dały do tego powodu. Po bardzo ubocznym stwierdzeniu winy, zaczęto szukać drogi i sposobów wyjścia. Nie szło to łatwo. Wszyscy zdawali sobie sprawę z niezwykle ciężkiego położenia i wiedzieli, że wobec układu stosunków w Europie nie można liczyć na niczyją pomoc, bo wszystko raczej zwraca się

przeciw nam anizeli za nami. Może jedynie Francja mogłaby nam udzielić pewnej i to nieznacznej pomocy.

Mimo tego ogólnego przekonania zapadło jednomyślne postanowienie, by się rząd zwrócił do mocarstw sprzymierzonych z prośbą o interwencję i pośrednictwo pokojowe, dążyć do uzyskania rozejmu i ewentualnie oddać Wilno Litwinom, ażeby bolszewicy nie mogli go zająć. O ile mogą sobie przypomnieć, tam też powstała myśl wyjazdu Grabskiego do Spa, gdzie zmuszony był przyjąć upokarzające warunki.

Konferencja uznała zgodnie, że ciężkie położenie jeszcze nie jest beznadziejne. Spodziewano się, że naród polski, któremu przyłożono nóż do gardła i któremu grozi haniebnе bolszewickie jarzmo, musi się zdobyć na potrzebny wysiłek, jeżeli nie zechce w upodleniu zginąć. Obliczono, że mimo wojen, chorób i zniszczenia pozostało jeszcze dosyć sił w narodzie, aby się obronił, jeżeli tylko da się z niego wykrzesać potrzebny zapał, chęć do walki i wiarę w zwycięstwo. A gdyby losy tego zwycięstwa nie pozwoliły nawet osiągnąć, to nie można w tchórzostwie i upodleniu ginąć. Nie mając przy tym żadnej pewności co do powodzenia misji Grabskiego, postanowiono organizować obronę.

Ponieważ te wielkie zamierzenia i w obliczu tak bliskiego niebezpieczeństwa mogły być osiągnięte tylko wspólnym zgodnym wysiłkiem wszystkich, postanowiono uroczyście zaniechać wszelkich walk pomiędzy stronnictwami, a przygotować się do walki o byt państwa, tak ciężko zagrożony. Zaznaczyć należy, że tak na tej konferencji jak i na posiedzeniach Rady Obrony Państwa decydujących w tych sprawach, Piłsudski wcale innego zdania nie ujawnił, toteż musi się wydawać dość dziwne, gdy w książce swojej pt. „Rok 1920” mówi z dużą nawet pogardą i lekceważeniem o zabiegach pokojowych i rozejmowych. Przecież jest i pozo stanie prawdą niezbitą, że brał w nich udział, na wszystko się zgodził, a co najważniejsze, że swoim postępowaniem do takiego stanu rzeczy doprowadził, a uchwały powyższe zostały powzięte na podstawie sprawozdania jego szefa sztabu.

Rada Obrony Państwa

Na tej konferencji powstała myśl utworzenia Rady Obrony Państwa, instytucji o wyjątkowych prawach i kompetencjach. Do jej składu mieli należeć przedstawiciele wszystkich sejmowych stronnictw polskich, rządu i wojskowości, a miała ona skupić wszystkie siły i środki obrony. Myśl tę prawie natychmiast wprowadzono w czyn. Marszałek zwołał Sejm na posiedzenie wyłącznie

tej sprawie poświęcone. Na tymże posiedzeniu 30 czerwca 1920 r. jednomyślną uchwałą utworzono Radę Obrony Państwa, określając jej skład i uprawnienia w sposób następujący:

Art. 1: — Tworzy się Radę Obrony Państwa.

Art. 2: — Skład Rady stanowią:

- a) Naczelnik Państwa jako przewodniczący.
- b) Marszałek Sejmu Ustawodawczego.
- c) Prezydent Ministrów.
- d) Ministrowie: Spraw Wewnętrznych, Spraw Zagranicznych, Spraw Wojskowych, Skarbu, Kolei Żelaznych, Apropowizacji i b. Dzielnicy Pruskiej.
- e) Pięciu przedstawicieli wojskowości, wyznaczonych przez Naczelnego Wodza Wojsk Polskich.
- f) Dziesięciu posłów do Sejmu ustawodawczego, wyznaczonych przez Sejm. W zastępstwie Naczelnika Państwa przewodniczy Radzie Prezydent Ministrów.

Art. 3: — Do zakresu działania Rady należy:

- a) decydowanie wszystkich spraw związanych z prowadzeniem i zakończeniem wojny, oraz zawarciem pokoju.
- b) wydawanie w tych sprawach rozporządzeń i zarządzeń.

Art. 4: — Wszystkie rozporządzenia i zarządzenia Rady podlegają natychmiastowemu wykonaniu. Te rozporządzenia i zarządzenia, które w myśl ustaw wymagają uchwały Sejmu, winny być następnie na najbliższym posiedzeniu Sejmu składane za pośrednictwem Prezydenta Ministrów Sejmowi do zatwierdzenia.

Art. 5: — Rada rozpatruje sprawy na wniosek Naczelnika Państwa, Marszałka Sejmu, Prezydenta Ministrów, lub pięciu członków Rady.

Art. 6: — Decyzje Rady zapadają zwykłą większością głosów, w razie równego podziału głosów rozstrzyga głos przewodniczącego.

Art. 7: — Biurowością Rady kieruje Prezydent Ministrów.

Art. 8: — Rada zostaje rozwiązana na mocy uchwały sejmowej.

Art. 9: — Uchwała wchodzi w życie z dniem jej ogłoszenia.

W skład Rady weszli z ramienia Sejmu posłowie: Z Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast”: Maciej Rataj, zastępca dr Władysław Kiernik; ze Związku Ludowo-Narodowego: Roman Dmowski, zast. prof. Stanisław Głąbiński; z Polskiego Zjednoczenia Ludowego: Leopold Skulski, zast. prof. Edward Dubanowicz; z Polskiej Partii Socjalistycznej: Norbert Barlicki, zast. Bronisław Ziemięcki; z Narodowej Partii Robotniczej: Adam Chądzyński, zast. Bolesław Fichna; z Narodowo-Chrześcijańskiego Stronnictwa Robotniczego (późniejsza Chrześcijańska Demokracja): Ludomił Czerniewski, zast. Michał Wichliński; z Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”: Jan Woźnicki, zast. Jan Tabor; z klubu Pracy Konstytucyjnej: Jan Kanty Fedorowicz, zast. Jerzy Baworowski; z klubu Zjednoczenia Mieszczańskiego: Aleksander Rosset, zast. Wacław Tomaszewski; z Polskiego Stronnictwa Ludowego „Lewica”: Jan Stapiński, zast. Józef Bochenek.

Sprawą niezwykle wielkiego znaczenia było przywrócenie zaufania w wojsku i społeczeństwie tak do Naczelnego Dowództwa jak i do dowództw poszczególnych części armii, gdyż i tam nie było wcale dobrze. Gen. Rydz. Śmigły zawiódł zupełnie na południu, mimo użycia znacznych sił i doskonałej sposobności. Szef sztabu gen. Stanisław Haller, sumienny, prawy i dobry człowiek, nie miał żadnej własnej koncepcji, będąc tylko lojalnym, a często ślepym wykonawcą rozkazów Naczelnego Wodza. Nie dopisał także dowódcą północnego frontu, gen. Szeptycki, złamany niepowodzeniami, które przewidywał, ale którym nie mógł zapobiec.

Należało przeprowadzić zmiany, by z nowymi ludźmi przyszło zaufanie. Tak się też i stało. Szefem sztabu w miejsce gen. St. Hallera został mianowany 22 lipca 1920 gen. Tadeusz Rozwadowski, który nie tylko że odznaczał się wielką odwagą i niewyczerpanym bogactwem pomysłów operacyjnych, ale pewnością siebie i wprost bezgranicznym optymizmem. Dowództwo zaś po Szeptyckim objął gen. Józef Haller, który przyniósł z sobą, pomiędzy innymi zaletami, entuzjazm, religijną wiarę w zwycięstwo, osobiste męstwo i zdolność porwania żołnierzy.

Na skutek bardzo poważnych zarzutów, podnoszonych przeciw Piłsudskiemu, odbyło się kilka poufnych konferencji, ale znaczna większość przedstawicieli stronnictw oświadczyła się za utrzymaniem go na dotychczasowym stanowisku, żeby nie drażnić jego dość licznych i zaciętych zwolenników, a przy tym uniknąć walki kandydatów na stanowisko po nim.

Rada Obrony Państwa rozpoczęła natychmiast swoją działalność z wielką pilnością i wytrwałością. Na kilku posiedzeniach powzięła cały szereg uchwał i postanowień, starając się je jak najspieszniej wprowadzać w życie. Niektóre z jej posiedzeń przynosiły trochę burzy, gdyż posłowie z Poznańskiego przypominali czasem winy i winowajców.

Posłowie wszystkich stronnictw rzucili się do roboty, a jeżdżąc po całym kraju urządzali bardzo liczne zgromadzenia, na których przemawiali, podnosząc ducha i budząc zapał, wzywając do wytrwania i ofiar. Znaczna ilość zgłosiła się do szeregów wojskowych.

Niemniej energicznie ruszyli do pracy członkowie naszego klubu, działając w ramach ułożonego ogólnego planu. Ja również po posiedzeniu klubu w Warszawie wyjechałem na wyznaczony mi posterunek. Rano 18 lipca ok. godz. 10 wysiadłem z pociągu w Bogumiłowicach, idąc do domu piechotą. Po drodze spotkałem trzech żołnierzy, wracających rzekomo spod Kijowa. Zbiedzeni i zmizerowani, bez obuwia i bielizny, z trudem wlekli bosa, pokaleczone nogi. Wdałem się zaraz z nimi w rozmowę. Po-

chodzili wszyscy z okolic Pińczowa. Opowiadali, że pułk ich po odwróceniu spod Kijowa, został w lasach na Wołyniu otoczony przez bolszewików, rozbity i zniszczony. Oficerowie zostali poważnie wymordowani, kilku tylko mogło dostać się do niewoli. Potem komendy nie było już żadnej, każdy robił, co mógł. Czy z tego straszego piekła wyszło ich kilku, czy kilkunastu, tego zupełnie nie wiedzą. Chłopi ukraińscy podpalali lasy i wielu żołnierzy upiekli żywcem. Przerażeni i oszołomieni szli przed siebie na oślep, aż nareszcie na jakiejś stacji wsiedli na pociąg i jechali przez trzy dni, gdyż pociąg szedł niesłuchanie powoli, a nieraz stał całymi godzinami. Nikt się ich nigdzie o nic nie pytał, ani ich nie zatrzymywał. Myśleli, że armia polska przestała już zupełnie istnieć, bo nikt od nich nie chciał nawet broni odebrać.

Rozpocząłem natychmiast swoją robotę po wsiach. Ludzi po prostu nie mogłem poznać, wszędzie panika i niedowierzanie. Chłopi spodziewali się wtargnięcia bolszewików na pewno, byli zmęczeni i zniechęceni do wszystkiego. W niektórych, na szczęście nielicznych miejscowościach, ludzie na bolszewików wprost oczekiwali, spodziewając się od nich poprawy, bo im to dość szeroko głoszone.

Dezerterzy z wojska pojawiający się na wsi coraz to częściej przynosili wiadomości wprost okropne. Jacyś nieznani młodzi ludzie kręcili się gęsto po wsiach, szerząc popłoch i niewiarę. Oni też przedstawiali chłopom, że bolszewicy znowu tak straszni wcale nie są. Chłopi z początku nie chcieli o tym słyszeć, ale po trosze zaczęli dawać wiarę.

Zdarzało się nawet i na moich zgromadzeniach, że chłopcy występowali przeciw służbie wojskowej i płaceniu podatków. Narzekali głośno na nędzę, zdzierstwo panów, księży i Żydów. Nie raz na zgromadzeniach słyszałem okrzyki: „Niech do wojska idą panowie i Żydzi, my nie mamy czego bronić!”. Czasem miałem wrażenie, że te hasła były wyuczone, choć nierzadko dyktowała je gorzyc. Skąd one pochodziły, nie wiedziałem, ale widziałem, że robiły bardzo duże i nieprzyjemne wrażenie. W niektórych okolicach wytwarzały atmosferę wprost nie do wytrzymania.

Jednego dnia, który nie był ani świątecznym ani jarmarczonym, a przez to na zgromadzenie nieodpowiednim, zostałem w domu celem orki pod łubin i wywiezienia trochę nawozu w pole. Około godziny trzeciej po południu zwrócił mi uwagę parobek zaznaczając, że jakieś auto zajechało na podwórze domu, zapewne więc do mnie. Roboty nie przerwałem wiedząc, że jak kto ma do mnie interes, to mnie na pewno znajdzie. Nie omyliłem się, gdyż za parę minut przybył na pole oficer, z miną ogromnie poważną, a upewniwszy się, że ma ze mną do czynienia, oświadczył

bardzo uroczyście, że przyjeżdża od Naczelnika Państwa, Piłsudskiego, i ma jego rozkaz, żeby mnie natychmiast przywiózł do Warszawy. Nie będzie mi opowiadał o co chodzi, bo mi to list Naczelnika wyjaśni. Ponieważ w liście tym było bardzo kateryczne wezwanie do natychmiastowego przyjazdu, zaniechałem roboty, umyłem się trochę i za pół godziny siedziałem już w samochodzie.

Podróż autem i to dość rozklekotanym po drodze zniszczonej i pełnej wybojów wcale nie była przyjemna. Trwała przy tym dość długo, gdyż dopiero na drugi dzień ok. 8 rano stanęliśmy w Warszawie. Oficer wiozący mnie dość małowówny i niesłuchanie służbisty, nie wytrzymał jednak, aby mi nie wtrącić, że mnie wiezie w sprawie utworzenia rządu, bo na froncie jest bardzo źle, a ten rząd nie może sobie dać rady. Zauważyłem też, że o wojnie mówił bardzo mało i z widoczną niechęcią. O Piłsudskim wyrażał się także bardzo wymijająco.

W Warszawie zająłem do swojego mieszkania na ul. Wilczej. Ledwie się trochę z kurzu oczyściłem, gdy przybyli do mnie przedstawiciele kilku klubów sejmowych donosząc mi że postanowiono powierzyć mi utworzenie rządu i że mam stanąć na jego czele. Zaznaczyli, że w skład tego rządu wejdą przedstawiciele wszystkich polskich stronnictw z wyjątkiem Stapińskiego, który się od czynnego współdziałania uchyla, obiecując rządowi swoje poparcie. Zresztą go zbytnio nie namawiano.

Jakkolwiek wiadomość ta nie była dla mnie całkiem niespodziewaną, bo jeszcze przed wyjazdem z Warszawy mówił mi o tym Piłsudski, zahałem się bardzo głęboko, zdając sobie sprawę zarówno z ogromu odpowiedzialności, jak i trudności, jakie widziałem przed sobą. Wszak prawie przed miesiącem patrzyłem na stronnictwa i ich postępowanie, wiedząc na pewno, że one się na włos nie zmieniły. Może na jakiś czas przysiądą, ale wrócą do swoich praktyk, gdy tylko niebezpieczeństwo minie. Nie dałem więc żadnej odpowiedzi, zastrzegając sobie kilka godzin do namysłu.

Postanowiłem się bronić do ostateczności. Powiadomiony o moim przyjeździe klub poselski odbył zaraz posiedzenie, na którym jednomyślną uchwałą, wśród burzliwych oklasków wezwał mnie do objęcia tego obowiązku, przyrzekając swoją rzetelną pomoc. W czasie bardzo krótkiej dyskusji tylko poseł Bojko odradzał mi przyjęcia premierostwa w tym czasie, przepowiadając zawody i przykrości.

C z ę ś ć X I

WOJNA Z ROSJĄ

Rząd Obrony Narodowej

Po zapadłej decyzji klubu i moim oświadczeniu wezwał mnie do siebie Naczelnik Państwa. Nalegał na pośpiech i informował mnie, jak daleko rozmowy między stronnictwami zostały już posunięte. Po dłuższej rozmowie z nim zgodziłem się formalnie na przyjęcie misji i zacząłem rząd tworzyć, mając trochę doświadczenia z niedalekiej, choć wcale nie zachęcającej przeszłości. Poszło mi to teraz stosunkowo łatwo, gdyż kluby już poprzednio załatwiły wiele spraw między sobą, a co do rozdziału tek były nadspodziewanie zgodne. Widziałem, że wielka odpowiedzialność i niepewność położenia nie zachęcały wielu, nawet bardzo upartych kandydatów. Trudności wynikły tylko przy obsadzeniu teki ministerstwa skarbu. Pochodziło to stąd, że przeciw kandydaturze prof. Głębińskiego wystąpili bardzo ostro socjaliści, nie mając do tego żadnych poważniejszych powodów. To wpłynęło na opóźnienie utworzenia rządu o jeden dzień i skończyło się kandydaturą Władysława Grabskiego. Klub Związku Ludowo-Narodowego, który desygnować miał kandydata, czuł się postępowaniem socjalistów silnie dotknięty, nie wyciągał jednak zapowiadanych konsekwencji. Stało się to na skutek mojego listu, jaki wy stosowałem do prof. Głębińskiego, dając mu pełną satysfakcję.

Po usunięciu nareszcie tej ostatniej trudności rząd został skompletowany i przez Naczelnika Państwa zaprzysiężony 24 lipca 1920 r. Skład jego był następujący: Prezydent ministrów — Wincenty Witos, wiceprezydent — Ignacy Daszyński, minister Spraw Zagranicznych — Eustachy Sapieha, minister Spraw Wewnętrznych — Leopold Skulski, minister Skarbu — Władysław Grabski, minister Kolei — Kazimierz Bartel, minister Aproprowiacji — Stan. Śliwiński, minister Pracy — Edward Pełowski,

minister Oświaty — Maciej Rataj, minister Poczt i Telegr. — Wł. Stesłowicz, minister Rolnictwa — Juliusz Poniatowski, minister Sprawiedliwości — St. Nowodworski, minister Robót Publicznych — Gabriel Narutowicz, minister Przemysłu i Handlu — W. Chrzanowski, minister Kultury i Sztuki — dr Jan Heurich, minister dla byłego zaboru pruskiego — Władysław Kucharski, kierownik ministerstwa Ochrony Zdrowia dr. Witold Chodźko, minister Spraw Wojskowych — gen. Józef Leśniewski.

Wobec niemal katastrofalnego i wciąż jeszcze się pogarszającego położenia państwa za główne zadanie postawił sobie rząd skonsolidowanie wszystkich sił narodu dla przeprowadzenia obrony i zawarcia pokoju.

W tym duchu złożyłem oświadczenie w Sejmie w dniu 30 lipca, będące programem rządu. Brzmiało ono dosłownie:

Wysoki Sejmie!

Zgodny wysiłek wszystkich stronnictw, reprezentowanych w tej Wysokiej Izbie, konieczność współpracy i konsolidacji całego narodu w chwili dla państwa tak poważnej, doprowadziły do utworzenia rządu, który mam zaszczyt Wysokiej Izbie przedstawić. Z natury rzeczy rząd ten nie przychodzi dziś ze szczegółowym programem pracy, wychodząc z założenia, że program ten wytworzyły i podyktowały wypadki, a da się on streścić w słowach niewielu: obrona państwa, zakończenie wojny i zawarcie sprawiedliwego i trwałego pokoju. W myśl wyrażonych przeze mnie zasad w imieniu tego rządu mam zaszczyt Wysokiej Izbie przedłożyć następującą deklarację:

Stajemy przed Wysokim Sejmem jako rząd, powołany przez całe przedstawicielstwo narodu: Rząd Obrony Narodowej. Obejmując władzę w groźnej dla ojczyzny chwili, ślubujemy skupić wszystkie siły dla obrony granic państwa, całości i niepodległości Rzeczypospolitej, gotowi zawsze do zawarcia trwałego, sprawiedliwego i demokratycznego pokoju. Wypisując taki pokój na swoim sztandarze, nie ustąpimy przed żadną groźbą zgwałcenia praw narodu polskiego do wolności i zjednoczenia.

Powołując lud do broni, uznajemy święty obowiązek państwa zabezpieczenia żołnierzowi poparcia, inwalidzie opieki, a rodzinom zarówno zmobilizowanych jak i ochotników czynnej, natychmiastowej i wydatnej pomocy. Rząd wezwie naród do ofiar, koniecznych dla ratowania i ocalenia ojczyzny i nie zadowoli się jedynie ofiarnością nielicznych jednostek. Od społeczeństwa zaś żąda męskiej karności, spokoju i posłuchu jako gwarancji bezpieczeństwa i warunku zwycięstwa.

Odrzucając hasła partyjne, rząd nie zapomni, że masa ludu pracującego wsi, miast i osad fabrycznych dać musi dzisiaj Polsce krew i trud, aby w niej znaleźć ukochaną ojczyznę, matkę wdzięczną dla wielkiej rzeszy swoich obrońców. Naród nasz stać na to, ażeby się skutecznie bronić i oprzeć wrogom, skoro istnieje silna wola i zjednoczenie wszystkich sił.

Nie uchylając się pod żadnym względem od ścisłej, demokratycznej kontroli ze strony społeczeństwa, żądać będziemy od każdego obywatela spełniania obowiązków, podyktowanych koniecznością obrony kraju. Zastrzegając sobie wniesienie ustaw w Sejmie, lub w czasie odroczenia jego obrad

w Radzie Obrony Państwa szczegółowych projektów ustaw związanych z wojną i pokojem, rząd uważać się będzie odpowiedzialnym za obronę ojczyzny i zabezpieczenie jej pokoju.

Poprzednicy nasi wysłali dnia 22 bm. do rządu rosyjskiego sowieckiej republiki bezpośrednią propozycję zawieszenia broni i rozpoczęcia rokowań pokojowych. Rząd rosyjskiej republiki sowieckiej propozycję w zasadzie przyjął, oświadczając gotowość do rokowań o warunki zawieszenia broni i rozpoczęcia pertraktacji pokojowych. Nastąpić musi okres ostatecznej gotowości narodu do wywalczenia sobie korzystnego pokoju. Rozejm jest tylko pierwszym krokiem w tym kierunku i nie przesądza jeszcze o losie pokoju. Polska złożyła przez to wobec całego świata dowód, że pragnie wojnie kres położyć i rozpocząć erę twórczej, pokojowej pracy. Europa pragnąca pokoju, Europa ludzi skrwawionych przez wojnę światową, Europa wolnych państw narodowych stanie po naszej stronie, by zrozumieć, że walczymy o naszą ziemię, o naszą całość i niepodległość. W chwili obecnej nie wolno ani dnia stracić, by dopiąć tego, ażeby każdy Polak zdolny do noszenia broni stał się żołnierzem. Wszyscy inni mieniem swoim i pracą, ożywioną świętym zapałem, popierać będą walczących.

Nie osłabiając niczym wiary we własną siłę narodu, rząd wierny sojuszom uczyni wszystko, co należy, aby uzyskać pomoc od sprzymierzeńców i sojuszników naszych. Demokratyczna Polska przełamać musi uprzedzenia, które w znacznej mierze, bez winy narodu polskiego, osłabiły sympatię, jaką posiadała w świecie Polska walcząca przez wiek cały z górą o swoje smartwychwstanie. Związani każdym uderzeniem serca z naszą bohaterską armią, do której zwracamy się z nakazem i wezwaniem do wytrwania, skupieni z zaufaniem głębokim koło Naczelnego Wodza, zjednoczeni w wielkiej pracy dla Polski i pokoju, zwyciężymy. Idąc po tej drodze, rząd oczekuje od Sejmu ustawodawczego i od narodu pełnego poparcia.

Przemówienia tego wysłuchał Sejm z głęboką uwagą, przerywając je kilkakrotnie hucznymi oklaskami.

Odezwa do chłopów

Natychmiast też przygotowałem i wydałem odezwę do włościaństwa, rozrzuconą w kilku milionach egzemplarzy, o następującej treści:

„Bracia Włościanie na wszystkich ziemiach polskich!

W chwili przełomowej dla Państwa i dla Was, Bracia, wola stronnictw sejmowych powołała mnie do objęcia steru rządów w Polsce. Oddając władzę Prezydenta Ministrów w moje ręce, stronnictwa zadokumentowały, że Polska jest i pozostanie państwem ludowym. Oddając ją w moje ręce w czasie dla państwa najcięższym, stwierdziły, że ratunek może i powinien dać państwu lud, prawowity tego państwa gospodarz. Pragnęliśmy wszyscy Polski Ludowej. O nią walczyły całe pokolenia. Pod taką Polskę kładliśmy podwaliny w Sejmie Ustawodawczym. Polska Ludowa, którą w trwałych podwalinach już zaczęliśmy urządzać, znalazła się przed katastrofą. Bolszewicy runęli na nasze ziemie i wdarli się do naszych wsi i miast, niosąc

zniszczenie i zagładę dla państwa, a niewolę dla ludu. Oni, którzy głosili, że uznają prawo każdego narodu do niepodległości, wdzierają się coraz dalej do naszego kraju, aby nas ujarzmić, zwalić pod swoje stopy, narzucić nam swoje rządy, które z potężnej Rosji zrobiły pustynię.

Od Was, Bracia włościanie zależy, czy Polska będzie wolnym państwem ludowym, w którym lud będzie rządził i żył szczęśliwie, czy też stanie się niewolnikiem Moskwy, czy będzie się rozwijać w wolności i dobrobycie, czy też będzie zmuszona pod batem władców Rosji pracować dla najeźdźców i żywić ich swoją krwią i znojem. Za to, czy państwo nasze obronimy od zagłady, siebie od jarzma niewoli, rodziny nasze od nędzy, a całe pokolenia nasze od hańby, za to my, Bracia włościanie, odpowiedzialność poniesiemy i ponieść musimy. Od nas, Bracia włościanie, Polska Ludowa może wymagać ratunku, w pierwszym rzędzie od nas, bo my jesteśmy najliczniejsi, bo nam ona najwięcej dać może w przyszłości. Państwo to Naród, Państwo to Wy!

Powiecie może: mamy wojny dosyć, chcemy pokoju — słusznie. Rząd, na którego czele stoję, szczerze pragnie pokoju. Już rząd poprzedni zaproponował bolszewikom rozejm, ale bolszewicy zamiast pokoju naślali na nas olbrzymią armię i wdarli się w nasze ziemie. Z tego, co robią, można by wnosić, że chcieliby zalać Polskę, przewalić się przez nią jak burza niszcząca i rozpalic w całej Europie nową wojnę.

W tej chwili delegaci nasi przeszli przez front rosyjski, aby się z bolszewikami umówić o rozejm. Gdyby się okazało, że bolszewicy nie zrezygnowali z zamiaru zniszczenia naszego niepodległego bytu, to rząd takich warunków nie będzie mógł przyjąć, nie będzie mógł uznać i nie przyjmie. Rozejm zresztą nie jest jeszcze pokojem. Musimy być przygotowani nawet na dalszą wojnę z bolszewikami, wojnę, której szczerze pragniemy uniknąć. Chcemy pokoju, ale nie hańbiącego, nie pokoju za wszelką cenę. Nie wolno nam się ani hańbić, ani naszej niepodległości zatracić, ani przyszłych pokoleń zaprząć do niewolniczej pracy dla obcych.

Gdyby zaszła potrzeba, musimy podjąć walkę na śmierć i życie, bo lepsza nawet śmierć niż życie w kajdanach, lepsza śmierć niż podła niewola. Dlatego w tej przełomowej dla państwa, a więc dla ludu polskiego chwili, odzywam się do Was, Bracia, na wszystkich ziemiach polskich, odzywam się nie z prośbą, ale z wezwaniem:

Niech każdy z Was spełni swój obowiązek! Kto z Was zdolny do noszenia broni, na front! Dzisiaj największy obowiązek każdego Polaka, to służba w obronie Ojczyzny. Na polu walki, na froncie, jest dzisiaj miejsce dla każdego, kto broń dźwigać potrafi. Inni dać muszą ofiarę z pracy i mienia. Precz z małodusznością, precz ze zwątpieniem. Ludowi, który jest potęgą, wątpić nie wolno, ani rezygnować nie wolno. Trzeba ratować Ojczyznę, trzeba jej oddać wszystko, majątek, krew i życie, bo ta ofiara stokrotnie się opłaci, gdy uratujemy państwo od niewoli i hańby!

Siostry Włościanki! I na Was spada dzisiaj wielki i zaszczytny obowiązek obywatelski. Oddajcie mężów, synów i braci na służbę ciężką, ale pełną chwały. Pędźcie precz ze wsi i zagród swoich tych, co z wojska uciekli, bo oni honor narodu i ludu splamili, pogardę okażcie tym, co w chwili, gdy Ojczyzna w niebezpieczeństwie, gdy Wam grozi shańbienie i zniszczenie, siedzą w domu i od służby wojskowej się uchylają.

W ten sposób uratujecie Ojczyznę, uratujecie przyszłość swoją i swoich dzieci. Wierzę, że ten obowiązek spełnicie. Każdy wójt, każdy sołtys ma pilnować, aby z jego wsi wszyscy wezwani do wojska znaleźli się w szeregach, aby w żadnej wsi nie było ani jednego dezertera, aby z każdej wsi zdolni do

noszenia broni poszli do armii, by każdy, kto może, kupić pożyczkę Odrodzenia Państwa, by spieszył z wszelką dla państwa pomocą.

To Wam nakazuje Ojczyzna, to Wam nakazuje Rząd!

(—) *Wincenty WITOS*, Prezydent Ministrów
Warszawa, dnia 30 lipca 1920 roku.

W dniu 5 sierpnia wydał cały rząd następującą odezwę:

„Ojczyzna w niebezpieczeństwie!

Polacy! Rozejm, proponowany przez Polskę rządowi Sowiecie został odrzucony. W niegodny sposób używając wybiegów, zmieniając dowolnie depesze, nie pozwalając delegacji polskiej porozumiewać się swobodnie z rządem polskim, rząd Sowiecie rokowania przewlekał, ażeby je w końcu uniemożliwić.

Wróg zaborecy, wróg — najeźdźca, wróg, niosący ze sobą niewolę narodu ufa, że zdobędzie Warszawę, naszą stolicę i że w Warszawie podyktuje Polsce pokój zwycięski. Pragnie powtórzyć rzeź Pragi. Polacy! Rząd polski, Rząd Obrony Narodowej, Rząd Demokracji polskiej, Rząd Chłopów i Robotników wzywa cały naród polski do walki w obronie ogniska domowego, w obronie chaty chłopskiej, w obronie pracy i wolności obywatelskiej, wzywa do walki świętej w obronie wolności, niepodległej Ojczyzny! Naród zjednoczy się ze swoim żołnierzem, wojna narodowa zaczyna się u progu Warszawy.

Wzywając naród cały do broni, Rząd polski ogłasza całemu światu cywilizowanemu, że chce pokoju i zgody z sąsiadami, że gotów był dać wszelkie z honorem narodu i z jego zdolnością do życia niepodległego złożone gwarancje, że cudzej ziemi nie pragnie, że dąży do sprawiedliwego i trwałego pokoju. Dzisiaj niech wie Europa, niech wie cały świat, że najazd bolszewicki w odpowiedzi na to gotuje się dokonać na Polsce zbrodni gwałtu, równej zbrodni tyranów osiemnastego wieku, którzy rozebrali Polskę.

Pod płaszczykiem rewolucji socjalnej wróg morduje socjalistów polskich, gotowych do pokoju demokratycznego, pod maską robotniczych i komunistycznych hasel idą generałowie carscy na Polskę, aby ją przede wszystkim obrabować i złupić, a potem rzucić na pastwę rządów mniejszości znikomej, opartej o rosyjskie bagnety. Czerwona armia chce zrobić z Polski pustynię, podobną do Rosji dzisiejszej.

Rząd postanowił bronić Polski do ostatniego kawałka ziemi ojczystej. Rozkazujemy armii naszej, rozkazujemy każdemu żołnierzowi, aby walczył nieustraszenie, aby przy pomocy chłopa, robotnika i wszystkich żywiołów patriotycznych, przy pomocy braci, nie ustępował, chyba na wyraźny rozkaz rządu i wodza.

Stolica nasza, patriotyczna Warszawa musi dać próby męstwa i wytrzymałości wobec wroga. Warszawa musi się bronić! Nie damy się najazdowi wroga, broniąc świętego prawa narodu polskiego do niepodległości, prawa, bez którego nie ma cywilizacji europejskiej, nie ma wolności ludzkiej. Krew nasza, siły nasze, walka nasza dla Ojczyzny drogiej!

Do broni, Polacy!”.

Data i podpisy wszystkich ministrów.

W dniu zaś 6 sierpnia wydałem odezwę do armii tej treści:

Nadszedł czas najwyższego dla narodu i państwa wysiłku. Armie bolszewickie walą się na naszą ziemię, siejąc zniszczenie, śmierć i rzeź, pożogę i rabunek, zabierając żywność i wszystko, co się da zabrać. Bolszewicy chcą zniszczyć nasze państwo, a naród skuć w kajdany i zrobić niewolnikami. Odrzucili rozejm, przewlekają sprawę pokoju, bo im nie o pokój chodzi, lecz o zniszczenie naszej niepodległości, największego skarbu narodu.

Żołnierze! Na Was dziś opiera się Polska, ona wam powierzyła swoją obronę. Od Was zależy, czy naród będzie mógł żyć w swobodzie i szczęściu, czy się też stanie parobkiem najeźdźców. Broniąc Polski, bronicie siebie i swoich rodzin. Walcząc o utrzymanie państwa, walczycie o spokój i szczęście waszych matek, ojców, braci, sióstr i dzieci.

Nie myślcie, że bolszewicy są niezwycczeni. To nieprawda! Jeśli idą jeszcze na Polskę, to są pędzeni przemocą. Chodzi tylko o to, byście wy walkę podjęli, a walka ta musi się skończyć zwycięstwem. Niech was nie zniechęcają chwilowe braki. Sami wiecie, że bolszewicy żołnierze walczą bez butów, w łachmanach, bez bielizny. Wam nie braknie amunicji, ani też broni. Odzież i butów rząd wam dostarczy.

Nie wolno być lekliwym ani małodusznym. Przekleństwo narodu ścigać będzie pamięć tych, co z pola walki haniebnie uciekli przed wrogiem. Ich własne rodziny, cierpiąc ucisk bolszewicki, przeklną ich. Tchórze niech pamiętają, że po opanowaniu Polski bolszewicy nie zakończą wojny. Oni marzą o zawojowaniu świata, oni przemocą zabraliby wszystkich zdolnych do noszenia broni i wystali na rzeź w dalekie kraje obce. Trzeba strząsnąć z dusz słabość. Trzeba chcieć i zwyciężyć.

Do walki więc, żołnierze! Kto z was odznaczy się szczególnie na polu walki dzielnością, może zostać oficerem. Ojczyzna po skończonej wojnie hojnie was wynagrodzi. Żołnierze, którzy dłuższy czas byli na froncie lub dobrowolnie do służby się zgłosili, po nastaniu pokoju otrzymają od państwa ziemię przed wszystkimi innymi, bo tak wyraźnie nakazuje ustawa o reformie rolnej.

Szczególnie zasłużeni żołnierze dostaną ziemię za darmo, bo to również nakazuje ustawa o reformie rolnej. Gdyby który z was zginął, rodzina jego otrzyma od państwa zabezpieczenie spokojnego bytu. Męstwo, krew wasza znajdzie nagrodę w szczęściu waszych rodzin i całego narodu.

Żołnierze! Na was patrzy i wam ufa cała Polska, patrzy świat cały. Od was czeka ratunku, ocalenia od niewoli i hańby naród i państwo, ochrony od rzezi i grabieży wasze rodziny!

Do walki więc!

Idźcie i walczcie, wróćcie zwycięzcami!

W imieniu Rządu — Prezydent Ministrów

(—) *Wincenty WITOS*

Położenie

Rząd Obrony Narodowej swoje obowiązki objął w czasie toczącej się bitwy pod Brodami i nad Bugiem. Plany polskie zmierzały do zatrzymania ofensywy nieprzyjacielskiej i rozbitcia Budiennego w okolicy Brodów. W bitwach owych uczestniczyły już zastępy ochotnicze i nowoutworzona operacyjna grupa jazdy.

Wiadomości z pola bitwy wcale nie były pomyślne, toteż je przed rządem dość skwapliwie ukrywano.

Rząd, zmuszony koniecznością, z wielkim pośpiechem przygotował szereg różnych ustaw i rozporządzeń o charakterze wyjątkowym, przedstawiając niektóre Radzie Obrony Państwa do zatwierdzenia. Dotyczyły one, pomiędzy innymi, powołania kilku innych roczników do służby wojskowej, wprowadzenia sądownictwa na usuwających się od niej, jak też na zbiegów i przestępców. Ponieważ rozprężenie w bardzo wielu oddziałach wojska było znaczne i postępowało wciąż naprzód, a dezertrzy, których ilość wynosiła kilkadziesiąt tysięcy, tworzyli bandy wypadające z lasów i dokonywujące mordów i rabunków, ponieważ ponadto duże gromady rozbiegły się po kraju i szerzyły nieprawdopodobne wieści o klęskach i niepowodzeniach na froncie, zarządzenia te okazały się nie tylko potrzebne ale także i skuteczne. Stosowanie ich w bardzo nawet skromnych rozmiarach wywoływało trochę krzyku ze strony Wyzwolenia i socjalistów, gdyż w licznych wypadkach dotknęło ich nawet wybitniejszych ludzi, którym się wydawało, że przynależność do tych stronnictw na wszystko pozwala. Musieli się przekonać, że tak nie jest.

Dziwnym stronnictwem było to Wyzwolenie. Bardzo wiele mówiło o swoich zasługach dla wyzwolenia Polski, a równocześnie broniło każdego niemal osobnika, który przeciw tej Polsce występował.

Plany gen. Rozwadowskiego

Po kilku dniach po objęciu swego urzędu gen. Rozwadowski przedstawił Radzie Ministrów plan obrony, mający na celu co najmniej zatrzymanie pochodu wojsk bolszewickich. Plan ów nazywał on swoim. Nie przyszło mi nawet na myśl zapytać, czy on wyłącznie od niego pochodzi, czy też był wynikiem pracy wspólnej.

Nowy szef sztabu, zupełnie pewny siebie, zapewniał kategorycznie wpatrzoną w niego Radę Ministrów, że jest w możliwości wstrzymania bolszewików, przynajmniej nad brzegami Bugu, gdyż wojska polskie zajęły tam bardzo silne, świeżo jeszcze umocnione pozycje. Dostały też rozkaz nieopuszczania ich za żadną cenę.

Rada Ministrów zarówno plan jak i oświadczenie gen. Rozwadowskiego przyjęła do wiadomości zadowolona, że znalazł się przecież ktoś, co ma głowę na karku i wiarę w zwycięstwo. Osobno i poufnie informował mnie gen. Rozwadowski, iż polecił,

żeby linię tę specjalnie umocniono i jest w stu procentach pewny, że sobie tam bolszewicy karki na dobre połamią. Wierzyłem mu zupełnie.

Minęły dwa dni na dość niespokojnym wyczekiwaniu, gdyż różne wieści dostawały się do Rady Ministrów. Przekonałiśmy się wkrótce, że nie były one w zupełności pozbawione podstawy. Na posiedzenie Rady Ministrów, które odbywało się prawie w permanencji, przyszedł zaproszony przeze mnie gen. Rozwadowski. Obserwowałem go bardzo pilnie i zauważyłem, że ma minę nieco strapioną. Niestety, nie pomyliłem się wcale.

Zabrawszy głos, zakomunikował zdziwionej i przerażonej Radzie Ministrów, że bolszewicy linię Bugu przekroczyli i to bez większych trudności, bo woda w rzece niemal że wyschła, a zresztą z punktu widzenia wojskowego obrona tej linii byłaby zupełnie bezcelowa.

Po jego całkiem spokojnym oświadczeniu nam się zrobiło zupełnie gorąco. Pierwotny optymizm ustąpił miejsca głębokiej trosce i niedowierzaniu. Nastąpiło też dłuższe przykre milczenie. Ministrowie pytającym wzrokiem spoglądali to na siebie, to na szefa sztabu. Wcale tym niezrażony gen. Rozwadowski, zabrawszy powtórnie głos, dowodził z widocznym przekonaniem i przejęciem, że się nic złego nie stało, bo walkę z bolszewikami należy przenieść na nowe skrócone linie, a już najlepszym ze wszystkiego byłoby ściągnąć ich w okolice Warszawy i tu do jednego wystrzelać. Tego planu musi jednak na razie zaniechać, mimo że go uważa za wykonalny.

W czasie jego przemówienia obserwowałem poszczególnych ministrów widząc, jak jego argumenty, nie opuszczająca go pewność siebie, wiara i szczerość zaczęły ich znowu przekonywać, a kiedy zaręczył, że obecnie jest zdolny wojska bolszewickie zatrzymać na szereg tygodni, wiara u wszystkich odżyła prawie zupełnie na nowo. Nie przekonany został tylko minister Skulski, który nachyliwszy się do mnie westchnął ciężko i powiedział: „Jak mi się zdaje, to my z tym Rozwadowskim i jego optymizmem zajedziemy wnet do Petersburga”.

Za dalsze dwa dni Rada Ministrów dowiedziała się znowu od tego samego szefa sztabu, że wojska bolszewickie postępują naprzód, przeszły już pomiędzy innymi linię Osowiec-Grajewo i zagrożają Łomży, zaś gen. Sikorski, który się długo trzymał w Brześciu, zmuszony będzie przez wojska bolszewickie się przebijać, gdyż mu przecięły odwrót. Na południu bolszewicy przekroczyli rzekę Zbrucz.

Atakowany pytaniami, czasem nawet bardzo nieprzyjemnymi, odpowiedział spokojnie i niemal dobrodusznie, że to są

drobne uchybienia, które się wnet odrobi. Bolszewicy zaś wcale nie zwyciężyli w bitwie, ale tylko tak sobie „podstępem podleżli”. On już zresztą wydał rozkazy, aby ich z powrotem wyrzucić. Kiedy to powiedział wśród ministrów odezwały się przyciszone śmiechy. Dalszym naradom towarzyszył bardzo ponury nastrój.

Gen. Rozwadowski opuścił posiedzenie wcześniej, wywołany do sztabu dla jakiejś ważnej sprawy, a późnym wieczorem przyszedł znowu do mnie. Zauważyłem, że był nieco zmieniony. Okazywał znacznie mniej optymizmu, choć nie tracił wiary w zwycięstwo, a ostatnie niepowodzenia przypisywał rozkazom Piłsudskiego, które niweczyły jego zamierzenia, a którym się musiał podporządkować. „Nie mogę taić przed panem — mówił — że wojska bolszewickie postępują wciąż jeszcze bardzo szybko naprzód, nie trafiając przy tym na poważniejszy opór, gdyż nieraz uciekają przed nimi całe nasze nawet silne oddziały, rzucając broń z takim trudem nabytą, nie chcąc stawić czoła nieprzyjacielowi”.

Wielu nawet wyższych oficerów całkowicie zawiodło. Na Radzie Ministrów wszystkiego nie mówił, gdyż miał obawę, aby niepotrzebne wiadomości nie rozszerzały się zbyt i nie dawały powodu do popłochu i depresji. Ministrom raczej należy zakomunikować pojedynczo, co będzie potrzebne.

Skarżył się znowu szeroko, że Piłsudski, nie mając ani nauki ani potrzebnego doświadczenia, a uważając się za wszystko wiedzącego, przeskadza celowej akcji. Bolszewicy nauczyli się bardzo wiele i stali się groźnymi przeciwnikami. Twierdził, że z winy Piłsudskiego bitwa pod Brodami z Budiennym nie przyniosła pełnego zwycięstwa, gdyż na wiadomość o upadku Brześcia kazał ją przerwać zupełnie niepotrzebnie. Siły wycofane stamtąd nie mogą już zdążyć, żeby wziąć udział w walce nad Bugiem, a Budienny pozostaje w dalszym ciągu dla nas groźną potęgą, mając możliwość odpoczynku i przegrupowania. W końcu zaznaczył, że jakkolwiek się dzieje, to on jest pewny zwycięstwa. Nazajutrz w godzinach południowych zaprosiłem do siebie kilku ministrów, żeby im treść mojej rozmowy z gen. Rozwadowskim zakomunikować. Wieczorem odbyliśmy wspólną naradę.

W rezultacie konferencji postanowiliśmy spotęgować i przyspieszyć działalność rządu. W tym celu odbyłem też zaraz rozmowę z ministrem wojny, który na posiedzenie Rady Ministrów przygotował potrzebne materiały i wnioski. Wiedząc, że jednym z głównych powodów ponoszonych klęsk był brak rezerw, postanowiono je utworzyć, choćby się to miało stać z uszczerbkiem armii frontowych. Wydana też została bezzwłocznie odezwa Rady Obrony Państwa, wzywająca obywateli zdolnych do noszenia broni, żeby się natychmiast do służby stawili. Rzeczą znamionną,

że znaczna część członków tej Rady nie chciała odezwy podpisać. Wysłała więc ona tylko z podpisem Naczelnika Państwa i przewodniczącego tej Rady, Piłsudskiego.

Wobec tego że rząd sowiecki odrzucił pośrednictwo angielskie, a godził się na bezpośrednie rokowania z Polską o rozejm, rządowi pozostała jedynie ta droga.

Przygotowania do rokowań i do walki

Przed wysłaniem delegacji odbyło się długie, nużące i denerwujące posiedzenie Rady Ministrów. Widzieliśmy zwiększającą się z godziny na godzinę niemal grozę niebezpieczeństwa i byliśmy święcie przekonani, że bolszewicy udając przed światem pokojowość, dążą do zupełnego powalenia i zniszczenia Polski.

W tej niezmiernie ciężkiej sytuacji głowili się ministrowie, co zrobić należy, toteż dyskusja była długa i zdania podzielone. Świadomość klęsk i słabości, niezupełna ufność do Naczelnego Dowództwa i mocno zdemoralizowanego wojska, prawie zupełne odosobnienie na świecie, nieprzyjazne stanowisko proletariatu, zbliżanie się do stolicy groźnego, a przy tym dzikiego wroga, perspektywa upadku, hańby i ponizenia, podeptanie honoru narodu i jego najświętszych uczuć, to wszystko staowało przed naszymi oczyma nam, którzy mieliśmy na sobie odpowiedzialność za losy państwa i przyszłość narodu. Nic więc dziwnego, że choć wszyscy kierowali się jednym uczuciem, zdania były podzielone. Minister Grabski radził, ażeby godząc się z losem i czekając na lepsze czasy, ratować co można, a więc przyjąć linię Curzona jako granicę i zgodzić się na rozejm wojskowy w tym miejscu, gdzie się znajduje linia bojowa. W tym rozumowaniu był jednak odosobniony.

Rada Ministrów uznała ostatecznie, że dawne okopy niemieckie z wojny światowej w najgorszym razie mogłyby stanowić przyszłą granicę pomiędzy Polską a Sowietami, a delegacji wyjeżdżającej do Mińska pod przewodnictwem wiceministra Wróblewskiego dała polecenie, żeby w razie stawiania przez bolszewików upokarzających warunków, nawet nad nimi nie dyskutowała, choćby rząd polski zmuszony był stolicę opuścić. Rząd poprowadzi walkę do końca, a naród musi udowodnić, czy chce i potrafi swoją samodzielność obronić. Próba ta zbliżała się szybkim krokiem.

Wezwanych kilka roczników do służby wojskowej dało kilkaset tysięcy nowego żołnierza, choć nie zawsze dobrego, nieraz bowiem trzeba było używać środków przymusowych, aby go

sprowadzić do szeregów. Na szczęście było to tylko z początku. Ponieważ armia konna Budiennego robiła wciąż wielkie spustoszenia, a istniejące polskie oddziały konne nie mogły jej sprostać, na żądanie Naczelnego Wodza utworzono nowe formacje, które miały przynieść około 20.000 ludzi. Nie mając zaś czasu na wyćwiczenie nowego materiału żołnierskiego, powołano pod broń kawalerzystów z dawnych armii zaborczych, należących już do znacznie starszych roczników. Wywołało to na wsi bardzo dużą niechęć, a czasem nawet niebezpieczne wrzenie. Wojsko to zostało w dużej części zmarnowane i zadania mu postawionego nie spełniło.

Generał Haller i ochotnicy

Gen. Haller rozpoczął i prowadził wielką akcję ochotniczą. Nie tylko że potrafił on zorganizować doskonały aparat, składający się z ludzi oddanych i ofiarnych, z poświęceniem pracujących, ale sam świecił najlepszym przykładem. Skutkiem jego niezmiernie owocnej pracy, płomiennych przemówień, gorących odezwo i nawoływań, ochotnicy z całej Polski garnęli się do szeregów masowo. Nie brakło pomiędzy nimi żadnej miejscowości, ani też żadnego stanu. Najwięcej jednak szło młodzieży szkolnej i rzemieślników. Zgłosili się też bardzo licznie i ochotnie synowie chłopscy, inteligencja, urzędnicy, właściciele ziemscy, a nawet znaczna ilość księży. Liczba tych ochotników wedle obliczeń ministra spraw wojskowych wynosiła przeszło 100.000 ludzi. Nie tylko więc że stanowili oni bardzo poważną gromadę, ale wnieśli do armii nowy zapał i podniecie, wzbudzili wiarę, podnieśli upadającego ducha. Bardzo często, ci ludzie, młodzi, niewykszoleni i niezaopatrzeni dokazywali cudów poświęcenia, odwagi i waleczności. Bardzo wielu ich zginęło i to często niepotrzebnie jako ofiary niedołęstwa, lekkomyślności, jeśli nie złej woli różnych wojskowych dygnitarzy, lekceważących życie drugih.

Jeszcze wciąż ciężko

Jakkolwiek było już widoczne, że cały naród silnie się poruszył, a duch w wojsku w znacznej mierze się obudził, ilość wojska rosła z dnia na dzień, to jednak położenie wojenne było niesłychanie ciężkie. Broń dostawało się z największym tylko wysiłkiem, a kiedy ona nadeszła, to nawet w Gdańsku można ją było dopiero przy pomocy wojska wyładowywać. Wojska bolszewickie

parły bezustannie naprzód, starając się żelaznym pierścieniem opasać Warszawę ze wszystkich stron. Front bojowy tak gwałtownie zbliżał się do stolicy, że delegacja pokojowa wyjeżdżająca do Mińska przez Siedlce przekroczyła go pod Wielkimi Dębami, miejscowością położoną zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy.

Obce państwa przez swoich posłów doradzały rządowi ustępliwość względem bolszewików, oceniając sytuację Polski jako niemal beznadziejną. Dla Anglii linia Bugu wydawała się jako granica dla Polski nie tylko naturalna ale nawet korzystna. Nawet przedstawiciel Stolicy Apostolskiej, ks. nuncjusz Ratti, uważając widocznie wojnę dla Polski za przegraną, doradzał zdać się na łaskę Bożą i dowiadywał się bardzo pilnie o terminie ewakuacji Warszawy i zapewnienia bezpieczeństwa dla ciała dyplomatycznego. Straszna rzeczywistość rzucała się przed oczy sama.

Dalsze narady i plany

W tym stanie rzeczy odbyła się narada z Naczelnym Wodzem. Udział w niej oprócz mnie wzięli: wicepremier Daszyński, ministrowie Skulski, Śapieha i szef sztabu gen. Rozwadowski. Na tej konferencji omówiono obszernie plan obrony i ofensywy, także ze stanowiska politycznego. Zasadniczo miał on polegać na obronie Warszawy i ofensywnym uderzeniu na wojska bolszewickie od strony Dębina. Ponieważ powodzenie miało zależeć od utrzymania tych zamierzeń w tajemnicy, nikt z nas nie dopytywał się o bliższe szczegóły, choć wiem, że prawie wszyscy o nich wiedzieli.

Rada Ministrów zastrzegła się tylko przeciw zupełnemu opróżnieniu Małopolski Wschodniej i oddaniu bolszewikom Lwowa, choćby to miało nastąpić na krótko i tylko ze względów strategicznych.

W rządzie panowało ogólne przekonanie, że cały plan operacyjny, mający się przeciw bolszewikom przeprowadzić, zostanie opracowany wspólnie przez Piłsudskiego, gen. Rozwadowskiego i gen. Weyganda. Czy był on dziełem ich wspólnej pracy, czy jednego z nich, nie wiedział nikt z nas dokładnie. Wiem, że tak Piłsudski jak i Rozwadowski przypisywali sobie jego autorstwo i nieraz o tym mówili, natomiast gen. Weygand uparcie milczał. Kiedy raz zapytałem ministra spraw wojskowych, gen. Sosnkowskiego, jak jest naprawdę z tymi planami, odpowiedział mi wzruszeniem ramion i słowami: „Weygand się niczym nie chwali, choć się dość napracował”. Niewiele znowu z tego wiedziałem.

Istota planu polegała początkowo na wycofaniu wojsk frontu północnego nad Wisłę i utworzeniu nowej armii manewrowej pod nazwą „frontu północnego”. Zadaniem frontu północnego gen. Hallera było nie dopuścić do oskrzydlenia wzdłuż granicy niemieckiej i osłabić rozmach uderzenia ewentualnego na przyczółek warszawski. Zadaniem zaś frontu środkowego miało być uderzenie na bok i tyły nieprzyjaciela atakującego Warszawę i rozbicie go przy współdziałaniu wojsk frontu północnego. Ażeby te plany i prowadzoną stosownie do nich koncentrację wojska utrzymać w tajemnicy, nawet na posiedzeniu Rady Obrony Państwa Piłsudski był bardzo wstrzemięźliwy, dając informacje nie zdradzające w szczegółach zamierzonych planów. Zgodnie z jego życzeniem nie wstrzymano też wysłania delegacji pokojowej do bolszewików, co było pierwotnie zamierzone.

Rząd

Na kilku posiedzeniach z rządu zajmował się rząd sprawą ewentualnego ewakuowania stolicy i wyjazdu rządu z niej. Gdy prawie jednomyślnie zgodzono się nie opuszczać stolicy do ostatniej chwili, a w razie koniecznego wycofania się organizować dalej obronę i prowadzić walkę aż do zwycięskiego końca, to co do wyboru tymczasowej siedziby rządu zdania były podzielone. Piłsudski doradzał wybrać Częstochowę ze względu na uczucia religijne ludności, wielki dla niej sentyment i pamięć odniesionego tam nad Szwedami zwycięstwa. Ministrowie Rataj, Daszyński i Poniatowski byli za Krakowem, niektórzy oświadczyli się za Poznaniem jako najpewniejszym.

Choć formalnej decyzji nie powzięto ani co do ewakuacji, ani co do miejsca, przygotowane zostało wszystko do ewakuacji dobra państwowego, złota, srebra i w ogóle tych przedmiotów, które stanowiły większą wartość, albo też były ważniejszymi dokumentami. Znaczną część wywieziono dość wcześnie do Poznania i innych miejscowości.

Przy sposobności dyskusji nad tymi sprawami kilku ministrów podniosło skargi na postępowanie niektórych członków Związku Ludowo-Narodowego. Nie tylko że prowadzili oni intrygi, szkalowali rząd w kraju i za granicą, przynosząc tym bardzo duże szkody, ale równocześnie agitowali za przeniesieniem się do Poznania, jak twierdzono, jedynie w tym celu, żeby rząd skompromitować i w Poznaniu nowy utworzyć. Poza oskarżeniem owych ministrów zarzuty stawiane ogólnie zdawały się potwierdzać dość dziwne posunięcia tego stronnictwa.

Należało do nich w pierwszym rządzie bezustanne wołanie o utworzenie armii specjalnie zachodniej, która zdaniem tych Poznańczyków była konieczna do obrony granic państwa od strony Niemiec i odparcia najazdu bolszewickiego, gdyby on po zajęciu Warszawy posuwał się dalej na zachód, usunięcie Piłsudskiego z Naczelnego Dowództwa a nawet z armii. Czy to ostatnie brali na serio, czy było tylko objawem zwykłej krzykliwości, tego nie stwierdziłem, natomiast widziałem, że taka robota i w tym czasie prowadzona była nie tylko bardzo nieprzyjemna, ale także w wysokim stopniu szkodliwa, gdyż podważała stanowisko rządu, budziła niepokój i osłabiała odporność społeczeństwa.

Za niemniej szkodliwą uważałem nagonkę przeciw Naczelnemu Wodzowi, nie przebieającą zupełnie w środkach. Prowadzono ją z wielką zaciętością, nie wyłączając nawet publicznych zgromadzeń. Agitacja owa musiała też robić niesłychane wrażenie, jeżeli Naczelnikowi Państwa i Naczelnemu Wodzowi zarzucano publicznie zdradę kraju i rozmyślne niszczenie armii. Zarzut ostatni może i miał duże podstawy, gdyż Piłsudski rzeczywiście bardzo nieogłędnie szafował materiałem ludzkim, nie robiąc sobie z tego prawie żadnych skrpułów. Ten zarzut, ale później, stawiał mu człowiek tak blisko niego stojący i jemu oddany jak poseł dr Lieberman, to mówił gen. Sikorski, na to zwracali uwagę różni oficerowie.

Dymisja Piłsudskiego

W dniu 10 lub 11 sierpnia 1920 r. na kilka dni przed rozpoczęciem ofensywy przeciw bolszewikom Piłsudski zaprosił mnie, wicepremiera Daszyńskiego i ministra Skulskiego na osobną, a jak mówił, bardzo ważną i poufną konferencję. Odybła się ona w prezydium Rady Ministrów. Naczelnny Wódz był mocno skupiony i poważny, a jak mi się wydawało, przybity, niepewny, wahający się i mocno zdenerwowany.

W rozmowie, którą sam rozpoczął, był niesłychanie ostrożny, a dotykając spraw bieżących stawiał raczej bardzo smutne horoskopy. Twierdził, że stawia na ostatnią kartę, nie mając żadnej pewności wygranej. Poza sprawami ogólnymi mówił także dość dużo o swojej osobie. W ciągu rozmowy wyjął z kieszeni niezapieczętowany list i odczytał go głosem ogromnie niewyraźnym i zmienionym. Na czterech kartkach małego formatu mieściła się dość obszernie umotywowana jego dymisja ze stanowiska Naczelnika Państwa. W piśmie tym zaznaczał między innymi, że nie wiedząc, czy i kiedy będzie mu dane wrócić z placu boju, którego

losy uważa za niepewne, mnie prosi i upoważnia do zastępowania go na jego urzędzie. Co zaś do samej rzeczy i pisma, prosi o zachowanie bezwzględnej tajemnicy tak długo, jak tego będą wymagały stosunki, i ja sam uznaję za potrzebne. Treść więc tego pisma była znana ministrom Daszyńskiemu i Skulskiemu, a wydaje mi się, że także i Sapieże, choć dobrze tego szczegółu nie pamiętam.

Nigdy nie miałem zupełnego zaufania do Piłsudskiego, czułem jakieś niezrozumiałe może nawet uprzedzenie, byłem zadowolony jak nie musiałem się z nim stykać. Poza tym uprzedzeniem nie mogłem się pogodzić z jego posunięciami politycznymi, szczególnie z okresu rządów Moraczewskiego, musiało mnie razić jego stanowisko w sprawie obrony Małopolski Wschodniej, upór przy swoim sposobie tworzenia armii, stare, częste bardzo niesympatyczne praktyki z Legionów, błędy szczególnie w czasach ostatnich popełnione, tak wyraźne i tak bardzo kosztowne — to jednak wtenczas widząc u niego wielką troskę odbijającą się wprost na twarzy, szczerze w rozmowie, głęboką obawę o wolność i całość Ojczyzny, miałem wrażenie, że się grubo mylą ci wszyscy, którzy mu robią zarzuty lekkomyślności, a nawet zdrady i że ja sam byłem także czasem w błędzie, posądzając go o osobiste ambicje i brak dobrej woli. Prawda, że pod ciężarem tych wielkich wypadków trudno było nieraz należycie zebrać biegające myśli.

Jeszcze w obecności Piłsudskiego pismo jego zamknąłem do kasy ogniotrwałej w prezydium Rady Ministrów, zaglądając codziennie, czy go kto przypadkiem nie ukradł albo nie naruszył. Kiedy zaś minęły ciężkie dni wojenne, pojechałem do Belwederu i oddałem pismo jego autorowi, będącemu wówczas w innym zupełnie nastroju. Biorąc je ode mnie i dziękując za solidne, jak mówił, postępowanie, twierdził, że o tym zupełnie zapominał*.

Opiekując się troskliwie tym dokumentem przez parę tygod-

*) Tekst listu marsz. J. Piłsudskiego do prem. W. Witosy, zawierającego dymisję ze stanowiska Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, ogłoszony w „Niepodległości”, tom VII (Londyn 1962), brzmi, jak następuje (przyp. wyd.):

Belweder, 12. VIII. 1920 r.

Wielce Szanowny Panie Prezydencie!

Przed swym wyjazdem na front, rozważywszy wszystkie okoliczności nasze wewnętrzne i zewnętrzne, przyszedłem do przekonania, że obowiązkiem moim wobec Ojczyzny jest zostawić w ręku Pana, Panie Prezydencie, moją dymisję ze stanowiska Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza Wojsk Polskich.

Powody i przyczyny, które mnie do tego kroku skłoniły, są następujące:

ni, miałem pewne skrupuły co do zrobienia sobie z niego odpisu. Ciekawość jednak zwyciężyła, odpisu dokonałem. Niewiele mi jednak z niego przyszło, gdyż w czasie wypadków majowych w r. 1926 nieznani sprawcy ukradli mi go, zabierając przy tym i inne dokumenty. Moje zachowanie się wobec Piłsudskiego było chyba zupełnie bez zarzutu, niestety, pan Naczelnik wcale się wobec mnie dżentelmenem nie okazał. Mimo wszystko swojego postępowania nie żałuję, choć nieraz gorycz przychodzi.

Poza środkami, które rząd miał w ręku na podstawie ustaw i rozporządzeń dawnych i nowych, podjęta została na wielką ska-

1) Już na jednym z posiedzeń R.O.P.¹ miałem zaszczyt wypowiedzieć jeden z najbardziej zasadniczych powodów. Sytuacja, w której Polska się znalazła, wymaga wzmocnienia poczucia odpowiedzialności, a przeciętna opinia słusznie żądać musi i coraz natarczywiej żądać będzie, aby ta odpowiedzialność nie była czczym frazesem tylko, lecz zupełnie realną rzeczą. Sądzę, że jestem odpowiedzialny zarówno za sławę i siłę Polski w dobie poprzedniej, jak i za beziłę oraz upokorzenie teraźniejsze. Przynajmniej do tej odpowiedzialności się poczuwam zawsze i dlatego naturalną konsekwencją dla mnie jest podanie się do dymisji. I chociaż R.O.P., gdy tę sprawę podniosłem, wyraziła mi pełne zaufanie i upoważniła w ten sposób do pozostania przy władzy, nie mogę ukryć, że pozostają we mnie i działają z wielką siłą te moralne motywy, które wyłuszczyłem przed R.O.P. parę tygodni temu.

2. Byłem i jestem stronnikiem wojny „à outrance” z bolszewikami dlatego, że nie widzę najzupełniej gwarancji, aby te czy inne umowy czy traktaty były przez nich dotrzymane. Stają więc z sobą teraz w ciągłej sprzeczności, gdy zmuszony jestem do stałych ustępstw w tej dziedzinie, prowadzących w niniejszej sytuacji, zdaniem moim, do częstych upokorzeń zarówno dla Polski, a specjalnie dla mnie osobiście.

3) Po prawdopodobnym zerwaniu rokowań pokojowych w Mińsku pozostaje nam atut w rezerwie — atut Ententy. Warunki postawione przez nią są skierowane przeciwko funkcji państwowej, którą od prawie dwu lat wypełniam. Ja i R.O.P., rząd czy sejm, wszyscy mieliby do wyboru albo zostawić mnie przy jednej z funkcji, albo usunąć mnie zupełnie. Co do mnie wybieram drugą ewentualność. Jest ona bardziej zgodna z godnością osobistą i jest praktyczniejsza. Pozostawienie mnie na jednym z urzędów zmniejsza mój autorytet i tak silnie poderwany i doprowadza z konieczności do powolnego zniszczenia tej siły moralnej, którą dotąd jeszcze reprezentuję dla walki i dla kraju. Biorę następnie pod uwagę mój charakter bardzo niezależny i przyzwyczajenie do postępowania według własnego zdania, co z warunkami postawionymi przez Ententę nie zgadza się. Wreszcie przeczy to systemowi, któremu służyłem w Polsce od początku swojej pracy politycznej i społecznej, której podstawą zawsze była możliwie samodzielna praca nad odbudowaniem Ojczyzny, na bawiem wydawała mi się jedynie wartością i trwałą. Obawiam się więc, że przy pozostawieniu przy funkcjach przodujących oraz przy moim charakterze i przyzwyczajeniach wyniknąć mogą ze szkodą dla kraju tarcia mniejsze i większe, które nie będąc przyjemne dla żadnej ze stron, wszystko jedno skończyć by się musiały moim usunięciem się.

Wreszcie ostatnie. Rozumię dobrze, że ta wartość, którą w Polsce repre-

1. R.O.P. — Rada Obrony Państwa (przyp. wyd.).

lę akcja wieców i propagandowa. Znaczna część tej pracy, z początku nawet bardzo niewdzięcznej, dokonali posłowie należący do wszystkich niemal stronnictw politycznych. Nie brakło też i innych działaczy prowadzących ją z niesłychanym poświęceniem się i ofiarnością. Pod wpływem tej gorącej, solidarnej roboty po kraju zaczął wiać zupełnie inny duch, toteż i rząd, mimo ciągłych jeszcze niepowodzeń, był zupełnie pewny zwycięstwa nad bolszewikami, wyciągając z tego odpowiednie wnioski.

General Roja

Wiary tej nie mieli jednak niektórzy wojskowi, nawet wyżej postawieni i mający dobrą przeszłość poza sobą. Do tych nie tylko nie wierzących, ale szerzących popłoch i zamieszanie należał gen. Bolesław Roja, znany ze swoich odważnych występów w Krakowie i z obrony Lwowa. Sam długo i gorliwie zabiegał o powierzenie mu jakiegoś poważniejszego zadania, a gdy po gen. Raszewskim został zamianowany dowódcą drugiej armii, mającej za zadanie obronę części północnego frontu, przyjechał wraz ze swoim licznym sztabem do Warszawy i siedział beczynnym przez kilka dni, oczekując rzekomo na przyjęcie go przez Naczelnego Wodza. Wobec niezmięszzonego niebezpieczeństwa i obowiązków, jakie wziął na siebie, pobyt jego w stolicy zaczął budzić zdziwienie i podejrzenie. Zwrócił mi też na to uwagę wiceminister Studziński, przed którego oczyma nic się ukryć długo nie mogło.

Mocno się zdziwiłem, kiedy jednego dnia zamiast do Naczelnego Wodza zgłosił się gen. Roja u mnie. Zameldował go u se-

zentuję nie należy do mnie, lecz do Ojczyzny całej. Dotąd rozporządzałem nią jak umiałem samodzielnie.

Z chwilą napisania tego listu uważam, że ustać to musi i rozporządzałość moją osobą przejść musi do rządu, który szczęśliwie skleciłem z reprezentantów całej Polski.

Dlatego też pozostawiam Panu, Panie Prezydencie, rozstrzygnięcie co do czasu opublikowania aktu mojej dymisji. Również Panu wraz z Jego kolegami z Rządu pozostawiam sposób wprowadzenia w życie mojej dymisji i wreszcie oczekiwać wówczas będę rozkazu Rządu co do użytkowania moich sił w tej czy innej pracy. Co do ostatniego proszę tylko nie krępować się ani wysoką szarżą, którą piastuję, ani wysokim stanowiskiem, które posiadamy. Nie chciałbym bowiem mnożyć swoją osobą licznej rzeszy ludzi nie układających się w żaden system, czy to z powodu kaprysów i ambicji osobistych, czy to z powodu słabości charakteru polskiego, skłonnego do wytwarzania najniepotrzebniejszych funkcji dla względów osobistych.

Proszę Pana Prezydenta przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku i poważania z jakim pozostaję

(—) Józef PIŁSUDSKI

kreterza kapitan Jedynek zaznaczając, że się p. generał bardzo spieszy. Na moje zapytanie, co ma oznaczać wizyta p. Roji i to szczególnie w tym czasie, kapitan Jedynek odpowiedział, że to tak po starej znajomości. Wiedziałem, że będący u mnie Studziński pienieł się z oburzenia radząc, żeby Roji nie przyjmować.

Mimo to poleciłem sekretarzowi natychmiast go poprosić. Gen. Roja rozpoczął długie przemówienie na temat wojny z bolszewikami i niedołęstwa Piłsudskiego. W końcu mi z wielkim gestem oświadczył, że uważa wojnę z bolszewikami za przegraną. Jego zdaniem bolszewicy złamali wojsko polskie moralnie i fizycznie wszędzie idą naprzód, a za kilka dni zajmą także i Warszawę.

Jedyny dla Polski ratunek widzi on w usunięciu tego rządu i Nacz. Dowódcy Piłsudskiego, z winy którego polska krew się leje, utworzenie rządu chłopsko-robotniczego, na którego czele ja powinienem stanąć, jemu zaś oddać komendę nad całą armią i porozumienie się z bolszewikami, którzy na to czekają. Sprawę tę da się bez trudności załatwić za pośrednictwem i przy pomocy polskich komunistów, przebywających obecnie w więzieniach warszawskich, a których się powinno wypuścić natychmiast. On się zna dobrze z nimi i mógłby nawet w tej sprawie podjąć się pośrednictwa. Po starej znajomości radzi mi, abym się pospieszył i dziś jeszcze do rzeczy się zabrał, bo jutro może być za późno, dalsza zaś walka jest tylko zbrodniczym marnowaniem krwi chłopskiej i mienia, bo inni umieją się chować i szanować.

Oslupiałem, słuchając wywodów tego polskiego generała, któremu powierzono obronę znacznej połaci kraju, a który nie tylko nie miał najmniejszej wiary we własne siły, w wojsko ani w sprawę, ale zamiast pełnić wzięte na siebie obowiązki, gotów był do wyraźnej zdrady kraju.

Wysłuchawszy jego wywodów do końca i siląc się na spokój, powiedziałem mu, że te wszystkie jego brednie muszę położyć na karb zniszczonych nerwów, a tylko dawna znajomość i jego zasługi wstrzymują mnie od zastosowania do niego przepisów, które mu są niezawodnie dobrze znane. P. Roja wysłuchał mnie spokojnie, kiwając od czasu do czasu głową i nie próbując się bronić wyszedł, mówiąc już we drzwiach: „Panie Prezydencie, niech się Pan jeszcze namyśli”.

Widocznie jednak nie dał za wygraną, bo około godziny trzeciej po południu przysłał do mnie dwóch kapitanów z życzliwą radą, bym się zechciał namyśleć i do przyjacielskich rad ich generała zastosować. Jednym z tych wysłanników p. Roji był kapitan legionowy Jan Jedynek, późniejszy poseł do Sejmu polskiego z powiatu ropczyckiego i urzędnik ministerstwa rolnictwa.

Posłannictwo swoje brał on tak na serio, że powoływał się na pamięć i zasługi swojego ojca. Wiedząc, że młodzieńcy owi spełniają rozkaz gen. Roji, potraktowałem ich pobłażliwie, zaznaczając jednak, że ta dziecinnada pachnie nierozumem, ale równocześnie także i przestępstwem.

Za kilka dni po tych wizytach przybył do Warszawy wojewoda pomorski Jan Brejski, opowiadając mi z przerażeniem, że gen. Roja będąc jeszcze dowódcą D.O.G.*) na Pomorzu, a zmuszony odjechać na front, przeciw czemu usilnie się bronił, przygotowywał oderwanie Pomorza od Polski i utworzenia z niego samodzielnej republiki, na wypadek, gdyby Polsce zagrażało zagarnięcie jej przez bolszewików. Ta dziwna jego robota została dopiero przerwana wyjazdem na wyznaczony mu posterunek. Odjeżdżając na front, zapowiedział woj. Brejskiemu i swemu zastępcy płk. Hauserowi, ażeby z chwilą gdy ich telegraficznie zawiadomi, natychmiast proklamowali nowe państwo pomorskie, odnosząc się równocześnie do wszystkich rządów państw europejskich. Oczywiście, że p. Roja polecił i siebie o tym powiadomić. Wszystko zaś miało się stać na wypadek większych klęsk armii polskiej na froncie.

Gen. Roja może nierozmyślnie jednak klęski te przygotował, gdyż jako komendant odcinka wyznaczonego mu, mając dobrze zaopatrzonego żołnierza, cofał się zupełnie bez powodu i szerzył koło siebie niesłychaną panikę. Kilkakrotnie zwracał się też do Naczelnego Dowództwa, żądając od niego zezwolenia na cofnięcie się z posterunku, gdyż, jak twierdził, został przez bolszewików otoczony i zamknięty i tylko z trudem mógłby się przebić i choć część wojska uratować.

Że gen. Roja zamiast walki z bolszewikami prowadził tam jakąś swoją dyplomację, dowodziły pomiędzy innymi i ulotki, wydane przez niego do żołnierzy bolszewickich, w których oskarżał rządy bolszewickie o zdradę zasad komunistycznych, o które on, gen. Roja, walczy.

Mając to wszystko w rękę i obawiając się najgorszych następstw, wbrew swojej zasadzie niemieszania się do spraw wojskowych, powiadomiłem Naczelnika Państwa o planach, zamiarach i postępowaniu gen. Roji, żądając usunięcia go z dowództwa i umieszczenia w jakimś spokojnym miejscu. Stało się to w przeciągu kilku dni.

Odebraniem dowództwa uczuł się gen. Roja ogromnie dotknięty, piorunował na Piłsudskiego i starał się różnymi drogami

*) D.O.G. — Dowództwo Okręgu Generalnego, po wojnie przemienione na D.O.K. — Dowództwo Okręgu Korpusu (przyj. wyd.).

o naprawienie mu i „armii polskiej krzywdy”. Nie wskórawszy nic u polityków rozmaitych stronnictw, do których się udawał, dokazał tyle, że zażądali ode mnie, bym go przyjął i wysłuchał, gdyż nosi się z jakimiś nowymi wielkimi planami. Zgodziłem się na to.

Gen. Roja przybył do mnie ogromnie sztywny, zachmurzony, poważny. „Pan generał wygląda, jakby miał w swoim ręku losy całego świata” — zagadnąłem go, gdy wszedł do mnie. „Nie czas na żarty, Panie Prezydencie” — pouczył mnie i nieproszony usiadł na stołku, wyjmując z kieszeni spory plik papierów. Poprosiwszy mnie o małą chwilkę na uporządkowanie, zaczął mówić, jak widziałem, z dość dużym wysiłkiem. Przedstawiając mi najpierw swoją krzywdę i określając położenie na froncie jako wprost tragiczne, ofiarował się do utworzenia osobnych oddziałów wojskowych, które by pod jego dowództwem poszły daleko na tyły wojsk bolszewickich, wywołały tam powstanie ludności i nie tylko zmusiły bolszewików do odwrotu, ale im ten odwrót odcięły. On gwarantuje, że się tym sposobem zniszczy armię bolszewicką na pewno i zmusi do zawarcia dla nas korzystnego pokoju. Za jakie pół godziny skończył, wyprostowany stanął i zawołał: „Panie Prezydencie, jestem do usług”.

Nie mogąc tak p. Roji jak i jego planów brać na serio, odpowiedziałem mu grzecznie, że ja się na tych sprawach nie znam, powinien więc z nimi udać się do fachowców. Odszedł nie omieszkając zaznaczyć, że swoim postępowaniem przygotowuję sobie zgubę, lekceważąc rady szczerych przyjaciół, nie wiedząc, kim jest zdradliwy Litwin — Piłsudski. Dziś przyznać muszę, że co do tego p. Roja wcale się nie mylił.

Przyjaciele Roji broniąc go mówili, że jego złym duchem, podpowiadającym mu różne awanturnicze pomysły był prof. Dubiel który ubrawszy się w mundur wojskowy kręcił się koło niego, rzadko podobno przytomny, szukający pretekstu do pozostania w Warszawie.

Pomysły ministra Poniatowskiego

Na oryginalny pomysł i nieco do pomysłów p. Roji zbliżony wpadł minister rolnictwa, Juliusz Poniatowski. W czasie zbliżania się wojsk bolszewickich do Warszawy, zawiadomił mnie, że opracował projekt ustawy o reformie rolnej na terenach państwa, przez wojska bolszewickie zajętych i pragnie go przedstawić Radzie Ministrów. Kiedy mu zwróciłem uwagę, że to przecież jest rzecz niewykonalna, przekonywał mnie długo, że tak nie jest, a zresztą on musi uzależnić swój dalszy udział w rządzie od zgody

mojej i Rady Ministrów na tę ustawę. Musiałem się zgodzić, ażeby w tym czasie nie wprowadzać do rządu rozdźwięków.

Za kilka dni sprawa ta znalazła się na porządku dziennym Rady Ministrów. Dowiedzieliśmy się z dwugodzinnego przemówienia ministra Poniatowskiego, że po ogłoszeniu proponowanej przez niego ustawy, wyłącznie na terenach przez wojska bolszewickie zajętych, chłopci w obronie ziemi im przydzielonej zerwą się do broni i bolszewików z tej ziemi wyrzucą. Uprzedzeni przeze mnie ministrowie wysłuchali z wielką uwagą i nie mniejszą pobłażliwością wywodów i argumentów p. Poniatowskiego, proponując mu jeszcze wprowadzenie różnych poprawek. Siedzący obok mnie minister Skuński odezwał się w pewnym momencie cicho i nie bez złośliwości: „Całe szczęście, że bolszewicy odejdą zanim on skończy swoje przygotowania, bo inaczej można by oszaleć”.

Przed wielką rozprawą

Wśród ciągłej niepewności i rosnącego napięcia gen. Rozwadowski przyszedłszy do mnie powiedział poufnie, że rozpoczęcie naszej wielkiej ofensywy zostało wyznaczone na dzień 12 sierpnia, o ile nie zajdą jakieś wielkie i nieprzewidziane przeszkody. Kiedy dzień ten przeszedł, a ofensywy nie rozpoczęto, przybył znowu nazajutrz do mnie, usprawiedliwiając niedotrzymanie terminu spóźnieniem przy załadunku ciężkich dział na jakiejś małej stacji kolejowej niedoszkoloną jeszcze dostatecznie obsługą i postanowieniami Nacz. Wodza, którego on nie może często zrozumieć, ale musi się podporządkować. Wyraził też obawę, że ofensywa Piłsudskiego może być spóźniona, gdyż ciężar walki przenosi się na północ od Warszawy. Akcja Piłsudskiego znad Wieprza może będzie bardzo efektowna, ale dla wojny ma jego zdaniem znaczenie drugorzędne.

Powodem odłożenia terminu rozpoczęcia ofensywy miały być także nieukończone prace fortyfikacyjne w okolicy Warszawy. Prace te rozpoczęto dość późno i prowadzono je niezwykle powoli, na różnych punktach z powodu rozmaitych przeszkód i braków. Mimo że wojskowy gubernator stolicy gen. Latinik, na podstawie uprawnień nadanych mu przez Radę Obrony Państwa i rząd, wydał zarządzenie zobowiązujące ludność do robót, znaczna jej część opierała się temu, wielu zaś pracowało niechętnie i niedbale i tylko pod przymusem. Nie było też bez winy i kierownictwo.

Pomiędzy innymi okazywał się zupełny brak drutu kolczastego, który musiano w dużych ilościach sprowadzać spoza kraju

mając do pokonania bardzo wiele trudności. Później się okazało, że drutu tego było w kraju dosyć, tylko władze wojskowe nie wiedziały, gdzie on się znajduje.

Zniecierpliwienie i obawy jeszcze się wzmogły, gdy nadeszły sprawdzone wiadomości, że dowództwo bolszewickie przygotowuje wielkie uderzenie w okolicy Modlina, mające na celu złamanie polskiego oporu i przejście Wisły w tych okolicach. Gen. Rozwadowski miał duże obawy, czy słabe polskie oddziały mogą uderzenie zwycięsko odeprzeć, o ile Piłsudski nie ruszy się prędzej od południa. Dla sprawdzenia postępów i trwałości prowadzonych robót fortyfikacyjnych Rada Ministrów wydelegowała ministra kolei Bartla i wiceministra robót publicznych Dudka. Komisja ta przy współudziale fachowców stwierdziła, że tak postęp jak i jakość wykonanych robót uważa za niedostateczne, przedkładając sprawozdanie rządowi. Zgodnie z jej wnioskiem zostały też wydane zarządzenia, które gen. Latinik starał się wprowadzić w życie, pokonując przeszkody i pracując z wielką pilnością i gorliwością.

Modły w Warszawie

Celem podniesienia na duchu ludności stolicy, wydały władze duchowne zarządzenie publicznych modłów we wszystkich kościołach. Olbrzymie tłumy ludności chodziły z procesją i chorągwiami przez dwa dni po ulicach Warszawy, śpiewając pieśni i prosząc Boga o zwycięstwo. Wyszedłem umyślnie do miasta, żeby się przyjrzeć tym dziesiątkom tysięcy ludzi różnego stanu, wieku i zawodów, które niezmordowanie spacerowały całymi dniami po mieście, ale ani rusz nie dały się użyć do prac koniecznych dla obrony tak ciężko zagrożonej stolicy.

Ciekaw, co te mieszcuchy myślą, wdałem się w rozmowę z idącym nieco bokiem starszym już mężczyzną, wyglądającym jak mi się zdawało na rzemieślnika. Byłem pewny, że mnie nie poznał. Z rozmowy z nim widziałem, że był człowiekiem świadomym i z sytuacją polityczną dosyć dobrze obeznanym. Zesłaliśmy na obronę państwa i modlitwę. Na moją uwagę, że modlić się należy i prosić Boga, ale nie można się nim wyręczać wszędzie, gdyż Bóg zostawił ludziom także wolną wolę, oburzył się odrzekł — że to takie bezbożnicze gadanie, bo bez Bożej woli nic się na świecie stać nie może. Gdy niezbity z tropu zapytałem go, czy także zgodnie z wolą Bożą bolszewicy bezczeszczą i niszczą wszystko co święte, powiedział, że to moje wykręty, a jego zdaniem najazd bolszewicki jest karą Bożą za grzechy i próbą zesłaną przez Boga na

naród, gdyż on się często i takimi narzędziami posługuje. A w samej Warszawie zawarła się od dawna Sodoma i Gomora. Nie spierałem się z nim więcej.

Po powrocie do Prezydium zaprosiłem do siebie ministra spraw wewnętrznych Skulskiego, zwracając mu uwagę na swoje spostrzeżenie i prosząc, by nie dopuścił, żeby tyle ludzi zdrowych w obliczu największego niebezpieczeństwa państwa łąziło po mieście bezmyślnie, zamiast z innymi nad obroną stolicy pracować.

Minister Skulski dał mi do zrozumienia, że wcale prochu nie wynalazłem, bo on to już dawno spostrzegł i aczkolwiek pogład mój podziela w całości, jednak musi się liczyć z nastrojami ludności jak i znacznej części duchowieństwa, a zarządzenia w tym względzie mogłyby wywołać wcale niepożądane obecnie następstwa. Do arcybiskupa Kakowskiego nie chce się udawać, spodziewając się zmian w najbliższych dniach.

Dzień ten ciągnący się w nieskończoność i duszący jak zmoza przeszedł wśród największej obawy i niepewności dla nas. Okazał on też dziwną lekkomyślność nawet wysoko postawionych, świadomych i odpowiedzialnych ludzi, którzy zwalali na Boga to, co oni zrobić byli powinni.

Ciężkie chwile

Na drugi dzień gen. Rozwadowski oznajmił Radzie Ministrów, że bolszewicy napierając coraz mocniej na stolicę, zajęli już Radzymin i zbliżają się do miejscowości Marki, położonej zaledwie 12 kilometrów od Warszawy, przeszli też bez dużego oporu naszych wojsk przez dwie linie obronne, świeżo zbudowane i niesłuchanie słabe. Dalej przyznał, że i na innych frontach nie jest dobrze, gdyż doszli oni prawie pod Toruń, zajęli Płock i kilka innych miejscowości, bardzo ważnych pod względem wojskowym. Na froncie południowym posunęli się pod Zamość i Lwów. Trzymający się najmocniej odcinek frontu pod dowództwem gen. Sikorskiego zmuszony był się cofnąć i przejść na inne pozycje.

Niespodziewane przez nikogo te wiadomości wywołały w Radzie Ministrów chwilowo przygnębiające wrażenie, gdyż szef sztabu przed paru godzinami mówił zupełnie co innego, a teraz zapowiada tak wielkie i niebezpieczne zmiany w sytuacji. Zaczęto go obsypywać pytaniami. Generał Rozwadowski, jakby zupełnie zapomniał o tym, co dopiero mówił, z zupełną pewnością siebie odpowiadał, że on wykonywa swój plan sprowadzenia bolszewików pod Warszawę i rozprawienia się z nimi przy bramach stolicy.

Gdy to jego oświadczenie w przerażoną Radą Ministrów ude-

rzyło jak piorun, on śmiejąc się dodał, że wszystkich bolszewików wystrzela „na sztrece”. Ten jego optymizm trudno już było zrozumieć.

Wyjazdy na front członków rządu

Po wyjściu gen. Rozwadowskiego nastąpiły dłuższe nerwowe narady. W końcu zapadło postanowienie, żeby bezzwłocznie poszczególni ministrowie wyjechali na różne odcinki frontu celem dokładnego zapoznania się z sytuacją, rozmówienia się z dowódcami, poznania ducha żołnierzy i stwierdzenia choćby najbardziej rażących braków. Nie przedstawiało to wielkiej trudności, gdyż front zbliżał się bezustannie ku Warszawie.

Nie tracąc ani chwili, wybrałem się w ten sam dzień po południu na front w okolicę Radzymina. Droga na Marki i Radzymin już prawie od samej Warszawy formalnie zawalona transportami wojska, przechodzącymi w jedną i drugą stronę. Auto, którym jechaliśmy, mogło się tylko powoli i z wielką trudnością posuwać. Przed Markami w odległości może 8 kilometrów od Warszawy napotkaliśmy obóz w polu, kilkaset ludzi mieszczący, otoczony silnym kordonem wojska i żandarmerii, a ponadto zabezpieczony wysokim płotem z kolczastego drutu. Zdziwiony widokiem tego obozowiska, zapytałem oficera, co ono ma znaczyć. Odpowiedział mi, że w tym obozie umieszczono mieszkańców okolicznych osad, mocno podejrzanych o sprzyjanie a nawet współdziałanie z bolszewikami. Stałem chwilę patrząc na to niepojęte w tym czasie zjawisko. Byli tam ludzie różnego wieku, mężczyźni i kobiety. Niektórzy dostatnio odziani, większość prawie w łachmanach. Zachowywali się zuchwale i wyzywająco, rzucając rozmaite obelgi i przekleństwa na pilnujących żołnierzy, burżuazję i rządy. Najbardziej wymyślały i najgłośniej krzyczały kobiety. Wszystko to razem robiło niesłychanie przykre wrażenie.

Nieco dalej napotkaliśmy luźne i dość liczne oddziały wojskowe, uciekające co siły w kierunku Warszawy. Pędziły one na oślep przez pola, łąki, rowy, gubiąc i rzucając po drodze mundury i broń. Gen. Haller, jadący autem w stronę Warszawy, starał się ich zatrzymać gorącym przemówieniem. Niewiele to jednak pomogło. Pędzili przed siebie dalej, dopóki silny oddział innych żołnierzy nie stanął im na drodze i nie zatrzymał przemocą. Gen. Haller tak był przejęty, że jadąc koło nas nie zobaczył nas wcale, mimo dawanych mu znaków. Skulski spojrział na mnie z bolesnym uśmiechem. Czuliśmy obydwa jakąś straszną zmołę,

wiszącą w powietrzu i odbierającą ludziom rozsądek i poczucie rzeczywistości.

Niebezpieczeństwo stanęło nam przed oczyma w całej swojej grozie, gdyśmy musieli patrzeć na coraz to nowe zastępy żołnierzy, ubranych i uzbrojonych, ale przerażonych, nie mogących wymówić nawet jednego słowa, a widzących tylko w ucieczce ratunek. Zapytani, dokąd uciekają, nic nie odpowiedzieli, oglądając się tylko trwożliwie poza siebie.

Na froncie

Z wielkim trudem dotarliśmy do komendanta najbliższego odcinka. Był nim młody oficer w stopniu kapitana. Stał w małym pokoiku przy telefonie, bardzo mocno zdenerwowany. Kiedy go zapytałem, jak się przedstawia położenie, uśmiechnął się gorzko i odpowiedział: „Nie wiem”. Na moją trochę szorstką uwagę, co ma oznaczać jego odpowiedź, oświadczył, że rzeczywiście nic nie wie, gdyż dwa patrole wysłane jeden za drugim w okolice Wisły pod Jabłonnę, nie dają znaku życia, mimo że upłynęło parę godzin od czasu, jak poszedł ostatni. On ma wielką obawę, że je bolszewicy zabrali, a nie jest też wykluczone, że teraz forsują przejście przez Wisłę, ażeby się z tej strony dostać do Warszawy.

Nie pytając go już więcej, w największej niepewności pojechaliśmy dalej na linię bojową, przebijając się wciąż przez gromady przechodzących żołnierzy, nie wiedząc, czy nie natrafimy na bolszewików, którzy mieli się szybko posuwać. Dotarliśmy wreszcie.

Linia bojowa znajdowała się na skraju rzadkiego lasu w dawnych okopach niemieckich z wojny światowej, nieco odnowionych. Za nimi rozciągała się bardzo obszerna polana, a za nią widać było znowu duży las sosnowy. Żołnierze siedzieli w rowach, dość dobrze zakryci. Zabezpieczenie tych rowów stanowiło kilka rzędów drutów kolczastych, na bardzo słabych palikach sosnowych rozciągniętych. Żołnierzy zastaliśmy przy obiedzie. Składał się on z zupy grochowej, chleba i mięsa. Podeszedłem do jedzących żołnierzy, zagadując do nich. Byli onieśmieleni, zmieszani, niektórzy wprost przerażeni. Oglądali się na wszystkie strony z jakimś dziwnym drżeniem. Gen. Rządkowski prosił mnie, bym do nich przemówił. Nie uważałem tego w tej chwili za wskazane. Wdałem się natomiast z nimi w rozmowę. Mimo że pomiędzy nimi było dosyć takich, co mnie osobiście znali, gdyż pochodzili z powiatów brzeskiego lub tarnowskiego, nie ośmielił się żaden ani słowa wymówić, przytakując mi tylko głowami.

Dowodzący tą częścią frontu gen. Rządkowski poinformował nas, że żołnierze tych pułków, na które natrafiliśmy, należą do najsłabszych. Powód zaś ma leżeć w tym, że wielokrotnie znalazły się one w bardzo ciężkiej sytuacji, ponosząc wielkie straty, a nie mając za sobą żadnego prawie poważniejszego sukcesu. To wytworzyło u nich psychologię słabości i strachu, których się nie mogą w żaden sposób pozbyć. Jego zdaniem powinno się ich odeśłać na dłuższy odpoczynek.

Zostawiwszy szofera i auto w trochę gęściejszym zaroślu, wyszliśmy ze Skulskim kilkadziesiąt kroków poza druty na polanę. Za maleńką chwilę posypały się strzały karabinowe od strony Radzimina. Napędziły one nam sporo strachu, ale nie chcieliśmy się zaraz wycofywać, żeby nie dawać gorszącego przykładu owym przerażonym wojakom. Ponieważ jednak ogień stawał się coraz gwałtowniejszy, zawróciliśmy w stronę okopów. Nie zastaliśmy już w nich nikogo, gdyż obydwie pułki trzymające ten odcinek opuściły go i to niezwykle pospiesznie. Powód tej ucieczki miał być błahy i śmieszny zarazem: Wychodzące z podwórza było na pole było wzięte za rosyjską kawalerię.

Może po dwóch kilometrach drogi uciekające pułki zostały zatrzymane i rozstawione na kawałku frontu, z którego się już nigdzie ruszyć nie mogły. Przejechaliśmy pomiędzy nimi. Stali prawie nieruchomi, ścigając nas nieznacznie oczyma. Zatrzymaliśmy się na małą chwilę tylko, gdyż jeden z oficerów prosił, byśmy się usunęli, gdyż za parę minut może się rozpocząć bitwa. Nie mylił się wcale, gdyż z południowego zachodu wysypało się wojsko bolszewickie z lasu gęstymi masami. Artyleria polska przywitała je gwałtownym ogniem. Piechota, do której należały i owe dopiero co uciekające pułki, przeszła do ataku. Myśmy się ukryli za grubą ścianą murowanego domu, ażeby bezpiecznie przeczekać potyczkę. Nie trwała ona długo, bolszewicy bowiem zaatakowani z boku przez polskie oddziały idące od północy, cofnęli się szybko, podobno z dużymi stratami. Radzymin tego dnia dostał się w ręce wojska polskiego.

Kilkoma bateriami dział polskich w miejscowości zwanej Pu-stelnikiem dowodził w tej potyczce porucznik, Białorusin z pochodzenia. Odegrały one bardzo wielką rolę. Sam zaś ten oficer lekko ranny w głowę i w nogę, broczący krwią, nie schodził z posturunku przez całe dwie doby. Kiedyśmy do niego przyszli, był błądy i chwiały się na nogach, a mimo tego pełnił służbę z fanatyczną zaciętością. Rozmawiając ze mną ocierał rękawem krew z małej rany, jaką miał na prawej stronie głowy. O sobie nie chciał mówić i widziałem, że niechętnie odpowiadał na pytania mu zadane, natomiast wdzięcznością przyjął papierosy, których mu ze dwa

tuziny ofiarował Skulski. Żegnając się z nim poleciłem mu, ażeby się do mnie zgłosił, gdy się na froncie poprawi. Obiecał. Co się z nim stało, nie wiem, bo do mnie nie wcale przybył, a jego nazwiska nie zanotowałem, wobec czego robione poszukiwania za nim nie dały rezultatu.

Do Warszawy powracaliśmy w ciężkim nastroju już późnym wieczorem nie wiedząc, jak jest gdzie indziej i co jutro przyniesie. Oczekujący na mnie gen. Rozwadowski miał natomiast twarz rozpromienioną, dowodząc mi dość długo, że najgroźniejsze niebezpieczeństwo minęło, jeżeli ono w ogóle istniało, a pełne zwycięstwo nad bolszewikami jest co godzina bliższe.

Nadzieje

Nie mogłem pojąć, na czym opierał te swoje nadzieje, gdyż dopiero sam mi mówił, że Radzymin dostał się w ręce bolszewików w tych godzinach, a przeciwnatarcie dywizji litewsko-białoruskiej zostało złamane, wojska zaś bolszewickie zaczęły podchodzić pod Jabłonnę i Nieporęt. Kiedy go zapytałem, czy w związku z wytworzoną sytuacją nie należy poczynić potrzebnych zarządzeń, gdyż bolszewicy mogą nas wziąć jak do saka, odpowiedział mi lekko uśmiechnięty, że nie ma do tego żadnej potrzeby, bo gen. Haller da bolszewikom za to zuchwałstwo porządną naukę. Stosunek sił w okolicy Warszawy jest dla naszych wojsk bardzo korzystny, a można by bolszewików zupełnie połamać, gdyby Piłsudski był już uderzył znad Wieprza. Skutkiem jego zwlekania stan wytworzył się taki, że ofensywa Piłsudskiego ma zapewnione zupełne powodzenie, gdyż przed nią stoją bardzo słabe siły bolszewickie. Niesłusznie też jego zdaniem zaniepokoiło się Naczelne Dowództwo i gen. Weygand, gdyż do zajęcia Warszawy przez bolszewików on bezwarunkowo nie dopuści, mając do tego potrzebną siłę i ducha w narodzie. W wojsku następuje także bardzo korzystna zmiana. Jeżeli Piłsudski uderzy ze swoją armią na bolszewików dopiero 17 sierpnia, jak to zamierza, to przed sobą prawie nic mieć nie będzie, bo całe siły bolszewickie zwałą się na Warszawę, a wtenczas dopiero mogłoby być źle. Spodziewając się tego, tak on jak i gen. Weygand starają się nakłonić Piłsudskiego do wcześniejszego wystąpienia i mają nadzieję, że jego niezrozumiały upór uda się przełamać.

Kiedy mu powiedziałem, że w dniu jutrzejszym mam zamiar udać się z ministrem Ratajem do armii gen. Sikorskiego, oświadczył, że nie ma tak wielkiego niebezpieczeństwa, ale radzi postę-

pować ostrożnie. Według raportu, jaki świeżo otrzymał, gen. Sikorski usiłując atakować, natrafił zupełnie niespodziewanie na główne siły dwóch armii sowieckich, nie wiedząc, że inna armia i korpus Gaja wymijają go od strony północnej, wkraczając w jego obszar tyłowy. „Ma on tam do czynienia z ogromną przewagą wroga, ale jestem pewny, że da sobie radę, bo ma głowę na karku, a zresztą dziś mu posłałem potrzebne posiłki”. Jemu przypadło w tym czasie najtrudniejsze ale i najważniejsze zadanie do spełnienia.

Na drugi dzień o godzinie 9-tej rano rozpoczęła Rada Ministrów swoje posiedzenie. Gen. Rozwadowski złożył krótkie sprawozdanie o sytuacji wojskowej, nie tając, że jest ona bardzo ciężka, jednak nie ma powodu do obaw, bo zmieni się ona na lepsze, może nawet w najbliższych godzinach. Gorąco przemawiał w obronie Piłsudskiego, usprawiedliwiając spóźnienie jego ofensywy. Poszczególni ministrowie opowiedzieli o swoich spostrzeżeniach poczynionych na froncie stwierdzając zgodnie, że duch w wojsku znacznie się poprawił, mimo że cierpi ono często na zupełny brak bielizny, a nawet pożywienia, nie mówiąc już o innych potrzebach. Niektórych oficerów obwiniali o karygodną wprost niedbałość. W rezultacie tych narad postanowiono postarać się natychmiast o zaspokojenie choćby najpilniejszych potrzeb wojska tak z magazynów wojskowych jak sklepów i składów prywatnych. Posiedzenie zostało skończone przed południem, a każdy z ministrów udał się na front, nie czekając nawet na obiad.

Po załatwieniu koniecznych spraw zaraz po południu wyjechałem z ministrami Skulskim i Ratajem do armii gen. Sikorskiego, kierując się wskazówkami Rozwadowskiego. Jadąc w stronę Modlina, niemal zaraz od rogatek Warszawy spotykaliśmy coraz liczniejsze wozy i ambulanse, odwożące chorych i rannych do szpitali warszawskich. Może na połowie drogi pomiędzy Warszawą i Modlinem zatrzymaliśmy się, widząc sporą gromadę ludzi otaczających rannych żołnierzy na kilku chłopskich wozach ułożonych, spoczywających na garstce słomy rzuconej na deski. Widok był nadzwyczaj przykry. Ludzi rannych ociekających krwią umieszczono jak stare nieużyteczne sprzęty. Czuli to i oni też, narzekając głośno na porządku.

Z rozmowy prowadzonej z nimi dowiedzieliśmy się, że zostali ranni w okolicy Nasielska, gdzie dalej toczy się wielka bitwa z bolszewikami, ale nie wiedzą z jakim wynikiem. Jeden z rannych żołnierzy, może trzydziestoletni, niesłuchanie błady i wynędzniały, zwracając się do mnie powiedział: „Panie Prezydencie, ja jestem ochotnikiem, zostałem ranny i muszę się męczyć, nie żal mi wcale mojego zdrowia i ofiar, tylko pamiętajcie panowie, żeby one nie zostały zmarnowane, a chłopci nie dostali się znowu do

niewoli jak to było dawniej”. Zebrani koło niego chłopci przytakiwali mu głowami.

Żołnierza tego widziałem parę tygodni później w Pułtusku, gdzie przybył do mnie, opierając się na lasce. Dowiedziałem się tam, że był to bardzo świątły włościanin i wybitny działacz Wyzwolenia. Zobaczywszy go stojącego nieśmiało i z daleka, podszedłem, aby go umyślnie wyróżnić.

U generała Sikorskiego

Gen. Sikorskiego bardzo mało znałem. Widziałem go tylko raz osobiście jeszcze w biurze Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie i miałem do niego nawet duże uprzedzenie, jako do gorącego zwolennika austro-polskiego rozwiązanie sprawy polskiej. No, ale to stare i minione rzeczy. Natomiast w służbie dla państwa polskiego miał już wtedy dobre i zasłużone imię, a gen. Rozwadowski mówił, że w walkach i odwrocie zachował się on najlepiej ze wszystkich polskich dowódców w tej wojnie. Twierdził, że mimo iż wytrwał najdłużej, najmniejsze poniósł straty. On go uważa za prawdziwie mądrego i zdolnego oficera, z którym mało kto mógł się mierzyć.

Przybywszy do Modlina, zastaliśmy gen. Sikorskiego w małym, parterowym domku. Zajęty był przyjmowaniem meldunków z frontu i wydawaniem rozkazów. W pierwszej chwili go nie poznałem, gdyż był ogromnie zmęczony, wychudzony, widać, że trudy wojenne dały mu się silnie we znaki. On i cały jego sztab zajmował bardzo skromne i prymitywnie urządzone mieszkanie. W otoczeniu jego znajdowało się też kilku oficerów francuskich, do jego armii przydzielonych.

Obecni tam oficerowie zbiegli się na nasze przywitanie, racząc nas herbatą, a nawet winem. Szczególną uprzejmością odznaczał się kapelan o nieznanym mi nazwisku. Był on nawet zanadto wesoły, mimo że jak twierdził, w ciągu dwóch ostatnich dni odeśłał Panu Bogu znaczną paczkę nowych obywateli.

Gen. Sikorski omawiając sytuację swojej armii, zaznaczył, że od samego Brześcia Litewskiego pędził ją po prostu bardzo szybkimi codziennymi marszami, a kiedy tu przyprowadził mocno przeźrebioną i zmęczoną, musiał rozpocząć nowe walki, nie zdoławszy nawet szeregów uporządkować. Obecnie już widzi znaczną poprawę. W przeciągu paru dni zgłosiło się do jego armii ponad 8 tysięcy żołnierzy z różnych oddziałów. Stało się to częściowo wskutek różnych ostrych zarządzeń, ale także jest dowodem powrotu zdrowia moralnego.

Zgodnie z naszym życzeniem zgodził się na wyjazd i zwiedzenie linii bojowej, która w tym czasie znajdowała się koło Nasielska. Po drodze opowiadał, że miał i ma jeszcze bardzo ciężką przeprawę w dniach wczorajszym i dzisiejszym. Jakkolwiek bolszewicy cofnęli się od twierdzy modlińskiej, której mocno zagrażali, a nawet niektóre forty przejściowo zajęli, to jednak się obawia ich natarcia szczególnie z boku, gdyż posiadają oni w tej stronie znaczne siły dotąd nie użyte. Nie jest też wykluczone, że będzie zmuszony się cofnąć, gdyż niektóre oddziały zanadto posunęły się naprzód tak, że może im grozić nawet odcięcie. Twierdził, że silny nacisk rosyjski mógłby tu być zupełnie złamany, co by miało rozstrzygające znaczenie dla całej wojny, gdyby rozporządzał większymi siłami i gdyby jazda gen. Dreszera była spełniła poruczone jej zadanie. Ciężar walki, jego zdaniem, znajduje się na froncie północnym, szczególnie zaś na odcinku, który on zajmuje.

Na plac boju udało się z nami także dwóch wyższych oficerów francuskich. Mówiąc o oficerach francuskich do jego armii przydzielonych, gen. Sikorski wyrażał się o nich z największym uznaniem twierdząc, że oni okazują niesłychaną odwagę i pracują tak pilnie i gorliwie, że oficerowie polscy powinni z nich brać przykład.

Żołnierze

Jadąc w stronę Nasielska, spotykaliśmy po drodze całe masy wozów amunicyjnych i furazowych, a przed nimi liczne oddziały wojska zdążające na front.

Popatrzyłem się na nie. Mała tylko część żołnierzy miała na sobie kompletne, choć potargane mundury, co najmniej połowa była bez obuwia, idąc bosymi, pokaleczonymi nogami po ostrych żytnych ścierniskach. Wielka ich część nie posiadała zupełnie płaszczy, na niektórych wisały tylko resztki spodni i innego ubrania. Natomiast wszyscy posiadali karabiny i naboje, a w rozmowie okazywali wielką pewność siebie i wiarę w zwycięstwo. Jakaż to była różnica pomiędzy tymi żołnierzami, których widziałem pod Warszawą, a tymi obdartusami, świeżącymi nieraz gołym ciałem, zbiedzonymi, sponiewieranymi, ale silnymi na duchu.

Rozmawiałem z nimi na kilku postojach, stawiając im różne pytania i ośmielając do szczerości. Skarżyli się niektórzy, że idą boso od samego Kijowa, inni że jeszcze przed Kijowem spadło im obuwie. Nogi ich wyglądały jak kawały oparzonej skóry, pokaleczone a często i ropiace. Mimo to dotrzymywali placu

innym, przy wytężonym i bardzo szybkim pochodzie, nie skarżąc się wcale. Kiedy zapytywałem, dlaczego dawniej tak uciekali przed bolszewikami, a teraz ich biją, odpowiadali, że oni sami nie wiedzą, dlaczego się tak działo, bo właściwie nie było przed kim uciekać. Taką samą odpowiedź otrzymałem od wszystkich żołnierzy, których się o to pytałem. Wiem, że ich tego nikt nie uczył, ani nie nakazywał. Przywiezione przez nas papierosy przyjmowali z wielką wdzięcznością, gdyż, jak mówili, nie palili od dwóch tygodni.

Przeciskając się z trudnością pomiędzy wozami i ludźmi na wąziutkiej drodze, przybyliśmy do Nasielska nad samym wieczorem. Na rynku miasteczka pokazała się mała gromadka ludności cywilnej, trzymającej się z daleka jakoś bardzo nieśmiało. Jedna tylko z kobiet przybliżyła się do mnie z zapytaniem, czy pieniądze, pozostawione przez bolszewików będzie rząd polski przyjmował i jak będzie za nie płacił. Kiedy jej powiedziano, kim jestem, odeszła szybko zanim mogłem jej odpowiedzieć.

Miasto Nasielsk opuścili bolszewicy dopiero przed paru godzinami, a choć tam gospodarowali niedługo, zdołali założyć komitet rewolucyjny, któremu oddali rządy w mieście. Na czele tego komitetu stanął miejscowy cyrulik. Zaczął on od razu gospodarować po swojemu, będąc widocznie przekonany, że rządy bolszewickie pozostaną już na zawsze. Pewność ta ujawniła się między innymi w przemówieniach, wygłoszonych nad grobem wyższego oficera bolszewickiego — Polaka, którego pogrzebano w mieście. Mówcy obiecywali zebranej ludności, że już wkrótce z więzów uwolnią Warszawę i wolność przywrócą całemu ciemiężonemu ludowi polskiemu. Widocznie w to wierzono, bo znaczna część mieszkańców Nasielska przyłączyła się do nich, opornych zaś bolszewicy terroryzowali.

Między innymi wywieźli z Nasielska wszystkich księży, mimo próśb ludności, by zostawili choć jednego. Rozmawiający z nami delegaci ludności wyrażali radość z przybycia wojsk polskich, ale obok tej radości nie mogli ukryć troski co do losu pieniędzy papierowych, zostawionych masami przez bolszewików, nie tylko za zabranej dobytek ale i za różne usługi.

Mrok zaczął zapadać, gdy się rozpoczęła dość gęsta strzelanina ze strony rosyjskiej, a meldunki różnych placówek stwierdzały, że bolszewicy przygotowują się w nocy do ataku na miasto. Wojska nasze nadchodziły w dalszym ciągu.

Zwiedzając niektóre placówki, udaliśmy się najpierw do oddziałów artylerii. Obsługa złożona była z samych prawie Pomorzan, pod komendą krakowianina, płk. Junga. Większa ich część, to żołnierze dawnej armii austriackiej. Chłopy roste jak

dęby, dobrze stosunkowo odżywieni i odziani, choć jak opowiadano mi nie zawsze odważni. Bardzo się ucieszyli naszym przybyciem, a jeszcze więcej przywiezionymi papierosami.

Już wśród mroku udaliśmy się na rynek, na którym czekały na nas dwa pułki piechoty, ustawione w czworobok. Przeszedłem koło wszystkich oddziałów, żeby naocznie widzieć braki i porozmawiać z żołnierzami. Niektórzy z nich znali mnie z wieców i z wystąpień, a nawet pamiętali treść moich przemówień. Stwierdziłem, że duch wszędzie był dobry, animusz powracał, pewność siebie coraz więcej rosła. Niektórzy rozmawiali ze mną zupełnie swobodnie. Przyrzekłem im pomoc i wyrównanie braków, o ile się będą dalej mocno trzymać. Pożegnali mnie gromkimi okrzykami. Dotrzymałem im obietnicy, bo zaraz na drugi dzień minister Skulski wysłał autami parę tysięcy kompletów bielizny i znaczną ilość mundurów i obuwia. Jak mnie informowali oficerowie, te ministerialne odwiedziny miały bardzo dobrze wpływać na żołnierzy.

Przed odjazdem z Nasielska zagościliśmy u komendanta tej miejsciny, który nas uraczył żołnierską zupą. Byliśmy mu nie lada wdzięczni, bośmy się dobrze wygłodzili. Gdyśmy odjeżdżali, była jeszcze cisza na froncie, lecz za chwilę rozpoczęły się ciężkie zapasy.

Do Warszawy i w Warszawie

Do Warszawy powracaliśmy już późnym wieczorem. Jak daleko można było okiem sięgnąć, widziało się i słyszało odgłosy toczącej się bitwy. Czerwone ognie latające w powietrzu, donośny, rzadki huk armat, pracujące reflektory, turkot karabinów maszynowych, łuny pożarów w rozmaitych punktach świadczyły aż nadto wymownie o niej. Położenie to nie zachęcało też do rozmowy, jechaliśmy więc przeważnie w milczeniu.

Na ulicach Warszawy zwłaszcza w dzielnicach żydowskich gromadziły się wprost niezliczone tłumy ludności. Widać było u nich ogromne podniecenie i niepokój. Podniecenie wzrastało coraz to więcej, gdy aeroplany bolszewickie zaczęły rozrzucać po mieście odezwy i proklamacje. Już na Pradze napotkaliśmy chmary ludności żydowskiej, zalegającej całe ulice, rozmawiającej głośno i gestykującej bardzo żywo.

Przed każdym domem na chodnikach stały gromady ludzi, mimo późnej nocy. Nie mogąc jechać autem prędzej, gdyż Żydzi zatarasowali ulicę i usuwali się bardzo niechętnie, szliśmy piechotą między tłumami, ażeby zaobserwować ich nastroje. Aż nadto

dobrze było tam widać jakąś gorączkę i niecierpliwość, pozbawione zupełnie obawy i strachu. Nie miałem żadnej wątpliwości, że znaczna część tej ludności z utęsknieniem oczekiwała na zwycięstwo bolszewików i wejście ich do stolicy.

W tym przekonaniu utwierdził mnie główny komendant policji, który silnie zaniepokojony ruchami i zachowaniem się ludności żydowskiej, czekał na rozkazy ministra spraw wewnętrznych. Rozkazy te zostały natychmiast wydane, a zgodnie z nimi ulice zostały oczyszczone i spokój przywrócony. Kosztowało to trochę czasu, trudu, a nawet ofiar.

Po powrocie do prezydium wiceminister Studziński zakomunikował mi chodzącą po Warszawie pogłoskę, jakoby komuniści warszawscy a także przywódcy żydowscy zostali powiadomieni przez bolszewików, że ich wojska z wszelką pewnością tej nocy zajmą Warszawę, a tworzący się rząd komunistyczny natychmiast obejmie władzę. Wiadomości owe były bardzo szeroko kolportowane w Warszawie i one wywołały takie poruszenie.

Prezydium Rady Miejskiej w Warszawie zaniepokojone położeniem zwołało wielki wiec, zapraszając do wzięcia udziału wszystkich obywateli miasta bez różnicy wyznania i poglądów politycznych. Osobna delegacja przyszła do mnie z prośbą o uczestnictwo. Odmówiłem wiedząc, że znaczna część mieszkańców stolicy jest dość niechętnie do mnie usposobiona, a przy tym akcję podobną uważałem za mało poważną. Postanowienie swoje zmieniłem dopiero na usilne prośby prezydenta miasta Drzewieckiego.

Kiedy przybyłem na Plac Teatralny, zgromadzenie było w całej pełni. Do zgromadzonych kilku tysięcy ludzi przemawiał jakiś pułkownik z b. armii rosyjskiej bez wielkiego sensu, ale z bardzo dużą buńczucznością. Gdyby miały ważyć słowa, niezawodnie bolszewicy uciekliby natychmiast spod Warszawy. Poważniej znacznie przemówił radny miasta Jaworowski, wzywając przede wszystkim robotników do zgodnej pracy i wysiłków.

Marszałek Sejmu Trąpczyński mówił krótko i mocno, zapewniając zebranych, że Sejm i kraj zrobią wszystko co w ich mocy dla obrony stolicy i zapewnienia państwu zwycięstwa. Po nim ja zabrałem głos.

Zaraz na wstępie zaznaczyłem, że najwyższy czas skończyć z wiecami i gadaniem, bo one nie dają żadnego realnego pożytku. Siła może być odparta tylko siłą, a gwałt gwałtem. Wprawdzie ze słów mają się rodzić czyny, ale dotąd słów tych padło już bardzo wiele, a czynów urodziło się znacznie mniej. Nieprzyjaciel każdy przestanie być straszny, jeżeli naród nie tylko uwierzy w swoje siły, ale je wrogowi przeciwstawi. Zjednoczenie się całego narodu, wszystkich jego klas i stronnictw daje nam

pewność, że zwycięstwo musi być po naszej stronie. Stolica państwa powinna świecić najlepszym przykładem. Mimo że przemówienie moje było bardzo chłodne, spotkało się z długimi oklaskami.

Do mieszkańców Warszawy nie miałem nigdy przekonania. Zawsze mi się wydawali ludźmi powierzchownymi, lubującymi się w krzykliwym patriotyzmie, ubieranym obłudnie w uroczyste szaty stosownie do potrzeby. Wielu z nich cechowała rażąca buńczuczność, lekceważenie najważniejszych nawet spraw, położeń na każdym kroku widoczna, chęć łatwego zarobku, brak koniecznej solidności itp.

Nie brak też było żywiołów warcholskich, zanarchizowanych które wiecznie niezadowolone, same nie wiedziały czego mają chcieć. Ten typ ludzi poseł Barlicki określał mianem „nieokrzesanego pospólstwa”, albo „nienasyconej bandy”, a trzeba przyznać, że on znał ich dobrze.

Wszystko w jeden dzień

Z wiecu poszedłem prosto na posiedzenie Rady Ministrów. Przedmiotem stałym naszych obrad była sytuacja w kraju, a zwłaszcza w stolicy, wytworzona wskutek wzmoczonej działalności żywiołów wywrotowych, w pierwszym rządzie komunistów. Min. Skulski na podstawie sprawozdań i raportów jakie otrzymał, zobrazował położenie, przedstawiając je jako bardzo ciężkie a nawet groźne. Mimo że bolszewikom nie udało się wkroczyć do Warszawy w terminie oznaczonym przez ich dowództwo, tutejsi komuniści są przekonani, że się to stanie w najbliższym czasie. Mają oni wywiad doskonały i są stale informowani. Posiadają także w Warszawie sporo ludzi, będących na ich usługach za pieniądze albo z przekonania. Będąc pewni wygranej bolszewickiej, stali się w ostatnich czasach ogromnie ruchliwi, rozpoczęli też na dużą skalę akcję sabotażową, bardzo niebezpieczną.

Nie zostało dotąd stwierdzone, czy podpalenie szeregu obiektów rządowych miało być hasłem, czy tylko sabotażem dla szerzenia niepokoju i zamieszania. Podpalony został budynek wojskowy, w którym się znajdowała znaczna ilość prochu i naboju. Nieco później na dworcu brzeskim podpalono cysterny z naftą, usiłowano też podpalić warsztaty kolejowe w Warszawie. Podobna zbrodnicza akcja została rozpoczęta w różnych okolicach kraju, co stwierdza istnienie specjalnej organizacji szeroko rozgałęzionej. Okolice Warszawy są silnie zbolszewiczałe, a zacho-

wanie się znacznej części ludności żydowskiej budzi także wielki niepokój.

Z wiadomości zebranych przez policję można wnioskować z dużą pewnością, że w Warszawie mimo wszystko cośmy zrobili, został już sformowany rząd komunistyczny, który w dogodnym momencie ma zaaresztować w mieszkaniach członków obecnego rządu, a sam objąć władzę. Grozę położenia zwiększa jeszcze ponowne zajęcie Radzimina przez bolszewików i silne parcie w kierunku Warszawy. Wprawdzie gen. Rozwadowski mówi, że jest to tylko epizod, który będzie zlikwidowany w przeciągu kilku godzin, trudno jednak na tym budować wobec poczynionych wielu przykrych doświadczeń. Raczej wszystko zdaje się przemawiać za tym, że bolszewicy są przekonani, iż dla nich nadszedł czas zadania nam ostatecznego ciosu.

Przykrość i szkodę przynoszą też dalsze knowania niektórych endeków, którzy się jeszcze nie wyrzekli zmiany rządu, a co gorsza, środkami gwałtownymi. „Nie wiemy więc — mówił z uśmiechem Skulski, skończąc swoje sprawozdanie — czy nas wcześniej mogą zaaresztować endecy, czy bolszewicy”. Posiedzenie trwało bardzo niedługo, Rada Ministrów uchwaliła niemal bez dyskusji wszystkie wnioski min. Skulskiego, dając mu upoważnienie do stosowania wszelkich choćby najostrzejszych środków wobec komunistów i innych wywrotowych żywiołów. W porozumieniu zaś z innymi ministrami wydałem zarządzenie celem zabezpieczenia dróg, mostów, budynków i wszelkiego dobra państwowego w kraju.

Ks. Nuncjusz Ratti

Po południu tego dnia przybył do mnie Nuncjusz papieski eksceleńcja Ratti, panujący obecnie papież*). W rozmowie ze mną okazywał bardzo wiele życzliwości i sentymentu dla katolickiej Polski i rycerskiego polskiego narodu, ubolewając nad ciężkimi doświadczeniami, jakie on teraz przechodzi. Radził zdać się mimo wszystko na łaskę i Opatrzność Boską, która wierzących nigdy nie zawodzi. Czułem, że mówił zupełnie szczerze, nie siląc się na dobieranie słów i zwrotów.

Po dłuższej rozmowie zapytał mnie imieniem ciała dyplomatycznego bardzo delikatnie, czy dla Warszawy istnieje jeszcze niebezpieczeństwo bolszewickie, czy rząd polski zostaje w stolicy

*) Nuncjusz Achille Ratti, od 1922 r. papież Pius XI, zmarł w 1939 r. (przyp. wyd.).

i co radzi przedstawicielom państw obcych. Zdawałem sobie dokładnie sprawę z tego, co oznacza pytanie ks. Nuncjusza, postawione mi w tym czasie i w tej formie, ale siłą się na pewność siebie i na spokój, podziękowałem mu za życzliwość i oświadczyłem, że rząd wcale nie myśli opuszczać Warszawy, a gdyby przyszła ta ostateczna i smutna konieczność, to go o tym dostatecznie na czas powiadomi. Ks. Nuncjusz podziękował mi i wyszedł, obiecując się modlić za nasze zwycięstwo.

Wiadomości, narady, postanowienia

Za parę minut po wyjściu ks. Nuncjusza dostałem telefoniczną wiadomość od szefa sztabu, że Radzymin przejściowo dostał się znowu w ręce bolszewickie. Mimo że wiadomość tę miałem wcześniej od min. Skulskiego, uderzyła ona mnie jak kamieniem w głowę. Stało się to tym bardziej, że nie podawał jej gen. Rozwadowski sam, a telefonujący pułkownik mówił jakimś głosem niepewnym i połamany, na moje zaś pytania nie umiał nic odpowiedzieć.

Czy wobec tego co się stało, można było wierzyć we wszystkie dotychczasowe plany i zapewnienia? Czy zostały one dostatecznie przemyślane i przygotowane? Czy ci ludzie odpowiedzialni wciąż się nie mylą i nie łudzą, czy też wobec tego widmo bolszewickiego zwycięstwa i naszej sromoty nie jest coraz bliższe? Te wszystkie myśli cisnęły mi się gwałtownie do głowy, wypychając jedna drugą.

Nie mogłem się też pozbyć niepokoju wywołanego sprawozdaniem Skulskiego, zachowaniem się Nuncjusza, ks. Ratti'ego, złowrogim szmerem, jaki szedł po Warszawie, wzbierając coraz mocniej, aktami sabotażu nieznanymi dotąd u nas, gromadnymi aresztowaniami, zuchwałością coraz liczniejszych przestępców. Niepewne, a może straszne jutro, odpowiedzialność za przyszłość i losy narodu i państwa spadły mi w tej chwili tak wielkim ciężarem na głowę, że po raz pierwszy gorzko żałowałem, że się zgodziłem na objęcie kierownictwa rządów.

Dalsze moje rozmyślenia przerwał Studziński, który mnie zawiadomił, że kilku ministrów z Daszyńskim na czele przyszło przed kwadransiem i przypominają mi zaproszenie na konferencję. Ministrowie ci stanowili komitet polityczny Rady Ministrów, który zwoływałem w miarę potrzeby, albo też dla spraw poufnych i bardzo ważnych. Poprosiłem ich, usprawiedliwiając swoje pierwsze i ostatnie spóźnienie.

Min. Skulski informując o wydanych zarządzeniach zaznaczył

że położenie w samej Warszawie uległo zmianie na lepsze. Główny komendant policji zawiadomił go, że zna nie tylko zamiary komunistów, ale także lokale, w których oni odbywają narady i zebrania, udało się też policji spomiędzy ich ludzi uzyskać konfidentów, wobec czego może obecnie w każdej chwili ich wyłowić i poaresztować. Sądzi, że nie należy się z tym spieszyć, dopóki wszystkie wiadomości nie zostaną zebrane. Znamienne, że wzniecanie pożarów odbywa się równocześnie z obradami komunistów. W końcu zaznaczył, że nie jest wykluczone, iż może jeszcze tej nocy uda mu się gniazda i zamiary komunistów zlikwidować.

Daszyński proponował, żeby przed mieszkaniem członków rządu postawić silniejsze straża wojskowe, gdyż według jego wiadomości są zamierzone wobec nich akty terroru, a nawet zostali wyznaczeni ludzie, którzy mają zamachów dokonać. Zwłaszcza ma to dotyczyć Witosy, Daszyńskiego, Skulskiego, Sapichy i Sosnkowskiego.

Narady przeciągnęły się bardzo długo, a gdyśmy się rozchodzili, już grubo po północy, Skulski zauważył: „Przeżywamy noc straszną, nie wiedząc jak będzie wyglądała następna. Czuję, żeśmy się jeszcze nigdy nie rozchodzili w tak ciężkich okolicznościach, mimo to wierzę, że nas bolszewicy nie wezmą”. Zdanie Skulskiego podzielali wszyscy, wyrażając nadzieję, że jeżeli tę noc przebędziemy szczęśliwie, to na drugą możemy odetchnąć swobodniej. Może za godzinę Skulski zatelefonował mi, że policja ma już w rękę wszystkich wybitniejszych komunistów i zabrane im dokumenty, z których wynika, że byli oni w ścisłym porozumieniu z dowództwem armii bolszewickiej. Wobec tego, co się stało w w ostatnich godzinach, położenie w Warszawie uważa za zupełnie opanowane. Ministrowie żegnając się kilkakrotnie, w końcu się rozeszli.

Gdy za ostatnim z nich wyszedłem na dziedziniec Prezydium Rady Ministrów, zegary miejskie wydzwaniały godzinę trzecią po północy. Od wschodniej strony zaczął się różowić bardzo lekki świt. Dziedziniec był obstawiony gęsto policją i placówkami wojskowymi. Kiedy skierowałem się w stronę ulicy, zbliżył się do mnie komendant oświadczając, że nie może mnie samego puścić, gdyż minister uczynił go osobiście odpowiedzialnym za moje bezpieczeństwo. W końcu się zgodził, by za mną w odpowiednim oddaleniu postępowało dwóch żołnierzy.

Po mieście krążyły bardzo liczne i silne patrole wojskowe i policyjne. Przelatujące samochody z oficerami i urzędnikami stwierdzały, że władze nie tylko czuwają, ale są przygotowane na wszelki wypadek. Nie spała tej nocy także uważana za lekkomyślną Warszawa. Mówiły o tym oświetlone mieszkania prawie we wszy-

stkich domach na kilku ulicach, którymi przechodziłem. Na ulicy Koziej policjant zażądał ode mnie legitymacji, kiedy mu ją dałem, popatrzył na nią, oddał mi bez przeczytania i pozostał na swoim miejscu. Widocznie jednak ktoś mu zwrócił uwagę, bo przyszedł bliżej do mnie, stanął, ale nie miał widocznie odwagi nic powiedzieć. Podobno nazajutrz dostał od Skulskiego przykładną naukę. Resztę nocy spędziłem na balkonie domu i w ogrodzie starając się uporządkować cisnące się myśli we wielkim nieładzie. Noc była pogodna i spokojna, od czasu do czasu tylko słychać było oddalony i przygłuszony huk armat i gęsty, a jak mi się zdawało, i bliższy turkot karabinów maszynowych.

Drugi dzień

Bardzo wczesnym rankiem przybyli do mnie minister spraw wojskowych gen. Sosnkowski wraz z szefem sztabu generalnego, a za nimi gubernator wojskowy stolicy gen. Latinik celem odbycia narady w sprawach nader pilnych. Aczkolwiek konferencja ta dotyczyła spraw niezmiernie ważnych, zabrała bardzo niewiele czasu. Wszyscy wiedzieli, że nie miejsce na długie rozmowy, gdy trzeba pilnować swoich obowiązków, a nad głową się pali.

Przybyły nieco później gen. Rozwadowski przyniósł wiadomość, że w ciągu nocy w okolicy Radzymina położenie znacznie się poprawiło, a on jest pewny, że nowe siły, jakie z części armii gen. Hallera weszły już w akcję, dadzą sobie łatwo radę z przeciwnikiem. Zresztą ostatnie meldunki to mu już potwierdzają. Gorzej natomiast jest w okolicy Okuniewa, gdzie bolszewicy rozpoczęli bardzo silny atak. Siły nasze na tym odcinku są stosunkowo słabe, mogą więc wystarczyć do stawienia oporu i zatrzymania pochodu bolszewickiego, ale nie mogą przejść do działań ofensywnych, co jest ich zadaniem.

Prawdziwą karą bożą stały się różne delegacje, które mnie w tym czasie nachodziły stale, a w tym dniu szczególnie posypały się jak z rogu obfitości. Każda z nich przychodziła ze skargami, planami, projektami. Wszystkie niemal starały się przedstawić położenie w kraju i na froncie w jak najczarniejszych barwach. Każda z nich radziła po swojemu, oskarżała słusznie i niesłusznie, sama jednak nie chciała zwykle żadnej roboty się podjąć. Mając zamiar wyjechać na front, starałem się z tymi delegacjami załatwić jak najprędzej, tamując często niekończące się potoki wymowy, lub doradzając gadatliwym, by swoje wnioski, rady, oskarżenia sformułowali na piśmie. Wielu poszło za moją radą, ale jeszcze

więcej obraziło się na mnie śmiertelnie, narzekając na chamskie postępowanie, nawet wobec woźnych.

Pod Okuniewem

Po załatwieniu się z ostatnią, i to bardzo przyzwoitą delegacją, w towarzystwie ministrów Skulskiego i Rataja udałem się na front w stronę Okuniewa. Gdyśmy przybyli do Miłosny, napotkany oficer poinformował nas, że nieprzyjaciel znajduje się w okolicy Okuniewa, ale w tej chwili panuje na froncie zupełny spokój. W odległości paru set kroków spotkaliśmy się z dowódcą tego odcinka, pułkownikiem Jungiem. Nasze wojska rozłożyły się w małym gęstym lasku, w którym się znajdowały bardzo liczne letniska, zupełnie przez właścicieli opuszczone. Żołnierze byli przeważnie umieszczeni pod namiotami, gotowi w każdej chwili do wymarszu. Należeli wszyscy do pułków poznańskich. W przeciwieństwie do innych oddziałów naszych wojsk, byli dobrze odżywieni, doskonale wyekwipowani, nie skarżący się na żadne braki. Dolatywały nas od nich głośne rozmowy i śmiechy, widocznie nie brakowało im animuszu.

Pułkownik Jung, który po odebraniu meldunków od swoich podkomendnych dawał nam wyjaśnienia o sytuacji, przebiegu operacji i zamierzeniach, wyrażał się o tych pułkach jak najlepiej, twierdząc, że choćby miał do czynienia z kilkakrotną bolszewicką przewagą, z tym żołnierzem da sobie zupełnie radę. W raporcie, który otrzymał przy nas, donoszono mu, że bolszewicy zaczęli się okopywać i to w niewielkim oddaleniu, przewożą artylerię i gromadzą piechotę, z czego trzeba wnioskować, że się przygotowują do większego oporu, a może nawet uderzenia. Wysłani na zwiady oficerowie i żołnierze zostali przychwyceni przez silny patrol bolszewicki. Nie stało się jednak żadne nieszczęście, gdyż część zdołała umknąć zaraz, reszta powróciła później. Słuchając beztrudnej opowieści pułkownika wydawało mi się, że chce on nas raczej ubawić niż przedstawić właściwy stan sprawy, na co mu nawet zwróciłem delikatnie uwagę. Urażony nieco zastrzegł się, że mówi zupełnie serio i zaczął nam dowodzić, że bolszewicy to właściwie „kupa dziadów”, z którymi rozprawa będzie bardzo łatwa. W czasie naszej rozmowy aeroplany przyniosły wiadomość, że pierwotne plany bolszewickie uległy widocznie zmianom, gdyż ich wojska wykonują zupełnie nowe ruchy.

Ruchliwy i uprzejmy pułkownik obiecał nas po wydaniu rozkazów zawieźć na inne odcinki frontu, ażebyśmy się mogli z bliska przyjrzeć prowadzonym operacjom. Ponieważ na bliskiej stacji

kolejowej stał pociąg pancerny, mający jechać na plac boju, skierował nas w tamtą stronę.

Drogę, prowadzącą do stacji przez mały, rzadki laszek, a następnie rozrzuconą nędzną wioskę przeszliśmy z ostrożności piechotą. Mieszkańcy wsi zebrani w gromadki, niesłychanie przerażeni oczekiwali zbliżającej się bitwy. Wdałem się w rozmowę z lamentującymi kobietami, starając się im tłumaczyć, że to jest wojna o istnienie Polski i o ich wolność. Tę zaś wolność i Polskę chcą bolszewicy zniszczyć i ze wszystkich niewolników zrobić. Odpowiadały mi uparcie, że one nic nie wiedzą i tymi rzeczami się nie zajmują i pragną tylko, żeby już raz nastąpił spokój, „bo życie zaczyna się człowiekowi przykrzyć”.

Może w połowie drogi wsiedliśmy w przygotowane furmanki, którymi przejechaliśmy resztę ciężkiej piaszczystej drogi. Pociąg gotowy do odjazdu oczekiwał na nasze przybycie. Gdyśmy wsiedli, ruszył naprzód jadąc z wielką ostrożnością, widocznie tylko ze względu na nas stosowaną, gdyż żołnierze Poznańczycy jechali ze śmiechem i żartami jak na wesele.

Przed nami na jakie dwa kilometry odległości widniał domek kolejowy, w którym, jak twierdzili żołnierze, miał się znajdować obserwator dający znaki artylerii bolszewickiej. Że tak było, przekonaaliśmy się bardzo prędko, bo gdyśmy podjechali jeszcze kilkaset metrów bliżej, odezwały się starzały armatnie i zaczęły latać pociski, a jeden z nich padł o kilka kroków zaledwie od naszego wagonu. Za nim przyszły dalsze, nie trafiając jednak w nasz pociąg. Mimo to komendant rozkazał się cofnąć i pociąg ostrzeliwany bezustannie wyjechał poza linię strażów, które wyrывая kawały ziemi narobiły sporo huku i kurzu, a nam napędziły niemało strachu, mimo żeśmy tego nie chcieli wobec żołnierzy pokazać.

Opuściliśmy pociąg, żegnając się z dzielnymi żołnierzami, a płk. Jung, który wciąż biegał trzymając czapkę w ręku, co u niego miało być stałym zwyczajem, zawiózł nas do znacznie oddalonych stanowisk artylerii, rozmieszczonych na dużej, wąskiej polanie, pomiędzy lasy się wciskającej. Pułkownik twierdził, że miejsce zostało bardzo dobrze wybrane, gdyż bolszewicy nie zdołali go dotąd odkryć.

W tym czasie przybyła do nas Jadwiga Dziubińska, posłanka należąca do Wyzwolenia, a z nią przedstawiciele Czerwonego Krzyża i kilku innych instytucji, przywożąc żołnierzom białiznę, papierosy, a nawet różne łakocie, które zostały pomiędzy nich zaraz podzielone. W tym licznym towarzystwie udaliśmy się do kilku baterij. Obsługiwane były one przez żołnierzy z wszystkich zaborów, choć przeważali Poznaniacy. Obowiązki swoje spełniali

oni z niesłychaną odwagą, pracowali w bieliźnie i w spodniach, lekceważąc sobie tak przeciwnika jak i niebezpieczeństwo. Byli przy tym pewni, że nieprzyjacieli o nich nic nie wie.

Jakby na zaprzeczenie temu odezwała się artyleria bolszewicka. Z początku strzelała bardzo rzadko i słabo. Pociski jej padały daleko od naszych placówek, nie wyrządzając żadnej szkody. Wkrótce się zmieniło. Rozpoczęła się gęsta strzelanina, odezwały się także karabiny maszynowe. Nasza piechota zaczęła też prażyć bardzo silnym ogniem, robiło się coraz to goręcej. Pułkownik Jung zapewniając, że nam nic nie grozi, doradzał równocześnie, byśmy się oddalili w miejsce bezpieczniejsze. Widziałem, że szczególnie oficerowie zachowali zupełnie zimną krew, chodząc pomiędzy żołnierzami z takim spokojem, jakby się nic nie działo. Ponieważ robiło się coraz goręcej, pożegnaliśmy się z płk. Jungiem i jego żołnierzami, odjeżdżając do obozu w Rembertowie, co do którego były podnoszone bardzo liczne skargi i żale. Późnym wieczorem już w znacznie lepszym nastroju stanęliśmy w Warszawie.

Po powrocie

Zaraz po moim powrocie do Warszawy przybył gen. Rozwadowski. Obawiając się znowu nowych niepomyślnych wiadomości, patrzyłem na niego z dużym niepokojem, starając się to poznać po jego twarzy. Był jak zawsze pewny siebie, uśmiechnięty. Zaznaczył szybko, że dziś przynosi mi same dobre wiadomości. A to: Piłsudski, nalegany przez niego, gen. Weyganda i innych zdecydował się na rozpoczęcie ofensywy o jeden dzień wcześniej i już jest w pełni akcji, która postępuje nadzwyczaj szczęśliwie. Gen. Sikorski po bardzo ciężkich walkach z ogromną przewagą nieprzyjacielską nie tylko zdołał przerwać otaczającą go już obręcz sił bolszewickich, ale zmusił je do opuszczenia zajętych stanowisk i zupełnej zmiany pierwotnych planów. Wielkie odciążenie nastąpiło także na froncie gen. Hallera. Obecnie Rozwadowski ma tylko jedno zmartwienie, ażeby bolszewicy zbyt szybko nie uciekali. Ja tego zmartwienia nie miałem.

Do Poznania

W czasie tej rozmowy przybył min. Skulski zaznaczając, że ma do mnie dość pilną i ważną sprawę, o której zresztą może mówić w obecności gen. Rozwadowskiego. Według sprawozdań, jakie otrzymał z Poznańskiego, agitacja przeciw rządowi, a jeszcze wię-

cej przeciw Piłsudskiemu zaczyna przybierać niepokojące rozmiary. U niego w biurze jest jeden z posłów, człowiek poważny i bezstronny, który zaniepokojony tym co się dzieje, przybył umyślnie, ażeby rząd przestrzec. Tak on, jak i inni zupełnie wiarygodni ludzie twierdzą, że prowadzi się tam wyraźną agitację za obaleniem rządu i usunięciem Piłsudskiego. Nie brak i takich, co z dowodami w ręku stwierdzają, że grupa tamtejszych separatystów robi przygotowania do oderwania Poznańskiego od reszty Polski i utworzenia niezależnego państwa, czekając tylko na chwilę sposobną. Spodziewa się, że w tych wiadomościach jest wiele przesady, ale sam fakt przyłączenia się do tej akcji człowieka tej miary, co prałat ks. Adamski, musi budzić wielki niepokój.

Zupełnie rozmyślnie głoszone wieści o klęskach wojsk polskich na froncie, o zaprzedeniu się Piłsudskiego wrogom, wywoływać muszą ogromny niepokój. Niektórzy ludzie twierdzą, że całej tej robocie ma jakoby patronować Roman Dmowski. Zachowanie się ministra b. dzielnicy pruskiej, Kucharskiego, jest także bardzo niewyraźne. On zna dobrze endeków, ich taktykę i postępowanie i dlatego obawia się najgorszych następstw, zwłaszcza w tym czasie. Jako jedyny środek zaradczy uważa mój natychmiastowy wyjazd do Poznania, chociażby tylko na jeden dzień. Gen. Rozwadowski był tego samego zdania zaznaczając, że polepszone stosunki na froncie pozwalają mi na wyjazd i ułatwiają zadanie. Min. Skulskiemu obiecałem dać odpowiedź wieczorem. Do wyjazdu wcale nie miałem ochoty wiedząc, że tam wiele nie zrobię, a przy tym nie wierzyłem, żeby endecy byli do podobnej roboty zdolni. Wiedziałem poza tym, że minister Skulski do tego stronnictwa miał stale jakieś uprzedzenie. Moi bliźsi przyjaciele odradzali mi także wyjazd twierdząc, że mnie tam na pewno spotka jeżeli nie wyraźnie wrogie przyjęcie, to co najmniej bardzo niemile afront, gdyż niemal całe tamtejsze społeczeństwo jest usposobione wrogo nie tylko do Piłsudskiego, ale także do rządu i do mnie. Posłowie należący do Narodowej Partii Robotniczej potwierdzili tę opinię, ale uważali, że właśnie dlatego powinienem jechać. Nie namyślając się dłużej, zgodziłem się na wyjazd, zawiadamiając min. Skulskiego, ażeby mógł przygotować co należy, bo już niewiele zostawało czasu.

Przyjechałem wczesnym rankiem do Poznania w towarzystwie Studzińskiego i jednego sekretarza. Na dworcu była prawie zupełna pustka. Rozglądając się, zobaczyłem tylko małą grupkę obserwujących mnie kolejarzy i dwóch policjantów, pełniących jak zwyczajnie swoją służbę. Niecierpliwý szef Prezydium Rady Ministrów Studziński, widząc jak mnie potraktowano, dygotał z oburzenia.

Dopiero przy wyjściu z dworca powitała mnie liczna grupa włościan, a dziewczęta wiejskie wręczyły mi wieniec kwiatów. Druga grupa chłopów przybyła do mnie z chlebem i solą. Jeden z włościan wygłosił przy tym krótkie, mocne przemówienie i nawiązując do czasów zaborczych, przypomniał, jak to ziemiaństwo i wyższe sfery społeczne uniżenie odnosiły się do każdego marnego urzędnika, a jak teraz do swojego Prezydenta Ministrów.

W czasie tego przemówienia nadszedł min. Kucharski, tłumacząc swoje spóźnienie zupełnie błahymi powodami. Z nim razem przybyło też kilku jego urzędników. Z wojskowości widziałem jednego oficera, stojącego w dużym oddaleniu. Nieco później zjawiała się policja i trochę ciekawych, chcących pewnie zobaczyć, jak ten cham wygląda. Robiąc dobrą minę, byłem tym postępowaniem zaniepokojony i mocno przybity.

Prosto z dworca pojechałem z min. Kucharskim na zamek. Po drodze informował mnie, że miały się tam zgłosić bardzo liczne delegacje, ale uważa za swój obowiązek uprzedzić mnie, że mogą one być bardzo rozgoryczone. Na podwórzu zamkowym znany mi poseł z Nar. Partii Rob. szepnął mi po cichu, ażebym się miał na baczności, ponieważ tak ze strony Związku Ludowo-Narodowego jak i ks. Adamskiego jest przygotowany atak w celu skompromitowania mnie i rządu. Podziękowałem mu za ostrzeżenie nie przypuszczając, ażeby podobna rzecz była możliwa.

Wszedłszy do zamku spotkałem się najpierw z delegacją włościan liczącą blisko 200 osób. Przywitali mnie grzmiącymi oklaskami. Za nimi szli inni. Rozpoczęły się długie i nudne audjencje.

Wnet spostrzegłem, że zwolennicy Narodowej Demokracji rozbili się rzeczywiście na kilka grup, z których każda męczyła mnie różnymi zarzutami, na swój sposób przedstawionymi. Najbardziej nachalnym okazał się przedstawiciel stronnictwa mieszczańskiego, niejaki Głowacki. Wysypał on jednym tchem cały szereg ciężkich, niesprawdzonych zarzutów przeciw Piłsudskiemu, wojskowości i rządowi, pytając się mnie bardzo energicznie, co ja o tym myślę i co zamierzam zrobić. Odpowiedziałem, że tak Głowackiemu jak każdemu innemu obywatelowi przyznaję prawo krytyki, jednak jego zachowanie się uważać muszę za przekroczenie dozwolonej miary, a przy tym tak nieprzyzwoite, że w dyskusję z nim wcale się wdawać nie będę. Natomiast powiedziałem mu bez ogródek, że Polska, będąca obecnie w ciężkim położeniu, na swoje wielkie szczęście ma niewielu takich obywateli, co plują na wszystko i na wszystkich, nie dając w zamian nic lepszego. Rady Głowackiego byłyby może bardzo cenne i pożyteczne, gdyby z nimi wystąpił był wcześniej, rząd który by na nie czekał i

pytał się wszystkich Głowackich o radę wtenczas, kiedy trzeba działać, byłby zapewne uczynił Polsce największą szkodę. Ze swoich czynów i posunięć zda rząd rachunek na właściwym miejscu, a teraz nie czekając na spóźnione rady, stara się jak umie i może spełnić swój obowiązek. Do jego żądań ani nie chcę ani nie mogę się zastosować, podobną zaś robotę uważam za wielce szkodliwą i muszę ją bezwzględnie potępić. Głowacki, nie powiedziawszy więcej ani jednego słowa, ukłoniwszy się bardzo niedbale, wyszedł.

Ks. prałat Adamski, który przybył z bardzo liczną delegacją, zachował się zupełnie bez zarzutu, ponawiając swoje żądania, które przed paru tygodniami przesłał Radzie Obrony Państwa w osobnym memoriale. W odpowiedzi oświadczyłem mu, że aczkolwiek on i inni mają niezawodnie wiele słuszności, to co do sposobu postępowania, zwłaszcza w tym czasie, nie mogę się z nimi zgodzić, gdyż za naczelne zadanie swoje i rządu uważam obronę całości i niepodległości państwa, a wszystkie spory i dyskusje które wychodzą poza te ramy, muszę na bok usunąć. Moim prawem i obowiązkiem jest żądać, aby mimo obiekcji, jakie mają, uznali wszyscy obywatele Piłsudskiego Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, dopóki on te stanowiska zajmuje. Wszelkie zaś wystąpienia, podrywające jego powagę i autorytet, uważam za zbrodnię przeciw państwu. Kiedy skończyłem, ks. Adamski opuścił natychmiast salę zimny i sztywny zarazem.

Narodowej Partii Robotniczej, reprezentowanej przez kilku członków, złożyłem również podobne oświadczenie, które się zresztą pokrywało z jej przekonaniem. Bardzo liczna delegacja włościan, która przybyła później na obszerną salę, oświadczyła swoją bezwzględną solidarność z rządem i przyrzekła bronić państwa bez względu na ofiary. Po wyjściu chłopów zawiadomił mnie sekretarz, że kilku czupurnych z delegacji wycofało się na wieść o moim jakoby „nietaktownym” postępowaniu.

Zgromadzenia

Nie wiem, z jakimi intencjami zgłosili się zaraz przedstawiciele Związku Ludowo-Narodowego, Narodowej Partii Robotniczej i Chrześcijańskiej Demokracji prosząc, abym zechciał przemówić na ich zebraniach, które zostały na ten dzień zwołane. Ponieważ im powiedziałem, że nie zamierzam na żadne partyjne zgromadzenia chodzić, każde z tych stronnictw tłumaczyło, że zebrania te mają za swoje zadanie tylko cel ogólny.

Mimo że min. Kucharski wyrażał obawę co do mojego pu-

blicznego wystąpienia z powodu panującego rzekomo nieprzyjawnego nastroju wobec mojej osoby, postanowiłem pójść na wszystkie z tych zebrań. Pomimo tych zapowiedzi i ostrzeżeń, byłem przekonany, że ludność zachowa się zupełnie spokojnie, o ile on albo ktoś inny z przywódców nie wyda komendy. Tak się też stało. Miałem zresztą już próbę.

Po wyjściu z sali audiencyjnej spotkałem na podwórzu zamkowym olbrzymie tłumy ludności, które manifestowały na moją cześć, domagając się mojego przemówienia. Poinformowano mnie zaraz, że to mają być przeważnie zwolennicy Nar. Partii Robotniczej, którzy się gromadzili po odbywym wiecu. Ulegając naturalnym prośbom, zabrałem głos. W parominutowym przemówieniu napiętnowałem wszelkie dążności odśrodkowe i warcholskie wybryki oświadczając w końcu, że odniesiemy na pewno zwycięstwo nad bolszewikami, jeżeli tylko naród będzie tego prawdę chciał. Zazaczyłem z naciskiem, że z chwilą gdy Polska stała się wolna i zjednoczona, obowiązkiem każdego Polaka bez wyjątku jest obrona jej bytu, całości granic, bez względu na to, od kogo i skąd zagraża niebezpieczeństwo. Pod Warszawą broni się nie tylko stolica, ale także Poznań, Toruń, Kraków. Wódzów można, a nieraz nawet trzeba zmieniać, ale dopóki oni są, w interesie nie ich, ale państwa, należy się im poparcie i bezwzględny posłuch. To powinien każdy dobry obywatel państwa nie tylko zrozumieć, ale się i do tego ściśle zastosować. Przemówienie moje przerywano wielokrotnie grzmiącymi oklaskami gromadzących się coraz większych tłumów. Po skończeniu przemówienia z wielkim trudem wydostałem się spośród nich, gdyż chciały mnie jak najdłużej zatrzymać.

W Gnieźnie

Mając trochę wolnego czasu, udałem się do Gniezna i to w towarzystwie min. Kucharskiego, który stał się bardzo troskliwy o moją osobę i sam się do towarzystwa zaprosił. Po przyjęciu oczekujących mnie władz poszedłem zwiedzić starą katedrę. Powitał mnie tam biskup Kloske, a oprowadzał i informował ks. prałat Laubitz, ogromnie rozgniewany i rozumny człowiek. Po zwiedzeniu zaprosił nas na skromne przyjęcie, na którym w obecności licznie zebranych kanoników i kilku obywateli i urzędników, wygłosił dłuższe przemówienie, składając na moje ręce życzenia rządowi. Odpowiadając na jego przemówienie zazaczyłem, że polityka polska względem byłego zaboru pruskiego powinna iść w tym kierunku, by nie pozostało w nim śladu tego, co gwałty nie-

mieckie zrobiły. Można to zresztą osiągnąć bez stosowania brutalnych metod pruskich, choć ich postępowanie do tego by poniekąd uprawniało. Przemówienie moje wywołało burzę oklasków u Polaków i skwasilo miny kanoników Niemców, których sporo było na sali, a ja o tym nie wiedziałem, gdyż wszyscy mówili po polsku. Nie miałem zresztą powodu tego żałować.

Jeden ze starszych kanoników wyglądający trochę na wesołego kpiarza, poprosiwszy mnie na bok powiedział szeptem, że ks. Laubitz nie tylko że jest mądrym człowiekiem i zręcznym politykiem, ale także najlepszym znawcą wina ze wszystkich księży diecezji. Ażeby z kiepskim winem się nie zetknąć, ma zwyczaj posłać zawsze kilka flaszek wina proboszczowi, do którego zamierza wyjechać na wizytację. Raz się przydarzyło, że posłał wino młodemu administratorowi parafii nie spiesząc się z przyjazdem, a ten przekonany, że wizytacji nie będzie, zaprosił na to wino okolicznych proboszczów. Kiedy wino wypili, nadeszła depesza ks. Laubitza z wiadomością o przyjeździe. Administrator przeżony nie wiedząc co robić, napełnił innym winem flaszki i postawił gościowi na stole. Ks. Laubitz spróbowałszy jeden kieliszek odezwał się do gospodarza: „No mój kochany, widzę, że głos Jakuba ale ręka Ezawa”. Skruszony ks. administrator przyznał się do fałszerstwa. Jak z tego widać, jegomościom źle się nie powodziło.

W powrotnej drodze Studziński nie mógł wytrzymać, ażeby min. Kucharskiego nie zapytać, skąd to taka różnica między Gnieznem i Poznaniem i czyja w tym zasługa. Kucharski mocno zaczerwieniony tłumaczył się niewinnym nieporozumieniem.

Na wiecach

Przybywszy do Poznania, wstąpiłem po drodze na wiec Chrześcijańskiej Demokracji. Na dużej sali zgromadziło się kilkuset uczestników należących do różnych sfer społecznych. Zaproszony zabrałem głos. W parominutowym przemówieniu zgromiłem bardzo ostro wszelkie separatystyczne dążności i napiętnowałem oszczerczą kampanię, prowadzoną w Poznańskim zaznaczając, że każdy Polak, w którym tkwi bodaj isierka miłości ojczyzny, powinien zapomnieć o wszystkim innym, a jedynie obronę zagrożonego państwa mieć teraz na oku. Mimo że przemówienie moje przyjęto z wielkim entuzjazmem, wychodząc z sali słyszałem nieśmiałe głosy, domagające się usunięcia Piłsudskiego.

Wprost stamtąd udałem się na zgromadzenie Związku Ludo-

wo-Narodowego. Odbywało się ono w sali św. Jadwigi. Wszedłszy tam prowadzony przez delegację, zostałem przywitany gromkimi choć niezbyt licznymi oklaskami. Nie brakło też przyciszonych okrzyków: „Precz z Piłsudskim!”. Kiedy wstąpiłem na estradę a przewodniczący zawiadomił o moim przybyciu, proszono mnie chórem o zabranie głosu. Ponieważ byłem przez min. Kucharskiego poinformowany o nastrojach, uderzyłem od razu w ton właściwy. Wywołało to z jednej strony oklaski, a z drugiej konsternację, a nawet głosy nieśmiałego protestu. Widząc to oświadczyłem natychmiast, że gdyby chciano wdawać się ze mną w dyskusję, to nie stosując żadnych innych środków, zgromadzenie to opuszczę natychmiast. Wprowadziło to zaraz uspokojenie i dało mi sposobność mocnej repliki na przemówienia poprzednio wygłoszone.

Zaznaczyłem więc, że zgadzam się z tym, co twierdzą, że państwo polskie ma licznych wrogów, muszę jednak stwierdzić, że nimi nie są ani rząd, ani też Piłsudski, lecz ci, co w chwilach decydujących o wolności, a nawet istnieniu państwa, podkopują jego wpływy i znaczenie. Jest rzeczą niemożliwą w ogóle, a w czasie wojny przede wszystkim, ażeby każdy obywatel mógł zmieniać rządy czy wodzów. Prowadzimy obecnie ciężkie zapasy o istnienie Polski, a jeżeli wolność otrzymaliśmy prawie bez naszej zasługi, to utrzymanie jej zależy tylko wyłącznie od nas samych. Teraz nadeszła ta wielka próba, a jestem głęboko przekonany, że ją przejdziemy zwycięsko. Nie przeczę, że grube błędy popełnili ci, co robili wyprawę kijowską. Nie wiem, czy to było z pychy, czy też z politycznego wyrachowania, to jednak wiem na pewno, że ci sami co dziś rzucają na Piłsudskiego kamieniami potępiania, byliby śpiewali „Hosanna”, gdyby się wyprawa powiodła.

Ja także nie jestem ślepym zwolennikiem Piłsudskiego, ani jego politycznych koncepcji, ale muszę uznać, że utworzenie pomiędzy Polską a Rosją państw ukraińskiego i białoruskiego raz na zawsze odsunęłoby Rosję daleko od granic Polski, a równocześnie osłabiło do tego stopnia, że nie byłaby w stanie w przyszłości Polsce zagrazać. Rzecz naturalna, że do tych państw nie mogłaby być przyłączona jedna piędź ziemi polskiej. Nie wiem, czy to leżało w planach Piłsudskiego. Osobiście uważam, że powinniśmy przede wszystkim myśleć o sobie.

Przemówienie moje, trochę zresztą naciągnięte, wywołało duży i głośny entuzjazm na rozgorączkowanej sali. Przewodniczący podziękował mi krótkim przemówieniem, po czym zebranie opuściłem wśród bardzo przyjaznych okrzyków.

Lody topniały dość szybko, a w czasie urzędzonego na moją cześć przyjęcia w zamku widziałem już widoczną przychylność

i respekt, nawet u tych, którzy niedawno opowiadali o moim „chamstwie” i dla uczczenia mojego nazwiska nadawali je swemu inwentarzowi. Kiedy odjeżdżałem z Poznania, na dworcu znaleźli się wszyscy dygnitarze, tak cywilni jak i wojskowi, a Kucharski wcale się nie spóźnił. Bardzo licznie się stawili także chłopcy i robotnicy, wypowiadając głośno swoje uwagi.

Ponieważ podobna robota zaczęła się rozszerzać i na Pomorzu, postanowiłem tam w najbliższym czasie wyjechać. Na razie musiałem ten zamiar odłożyć ze względu na wypadki wojenne, jakie się na całym froncie, a zwłaszcza w okolicy Warszawy rozegrały. Z nich też było widoczne, że stolica nie przestała być przedmiotem pożądania dla bolszewików.

Po powrocie do Warszawy

Przybywszy do Warszawy, zastałem znacznie zmienione położenie. Gen. Rozwadowski zakomunikował mi, że według umówionego planu pomiędzy nim a Piłsudskim i gen. Weygandem, rano w dniu 17 sierpnia wyszło spod Warszawy uderzenie kilku batalionów zaopatrzonych w pociągi pancerne i czołgi w stronę Mińska Mazowieckiego, który też wieczorem został zajęty. Gen. Haller wszedł do Mińska z czołowymi oddziałami.

Wojska frontu środkowego już w pierwszym dniu walki pod komendą Piłsudskiego rozbiły grupę mozyrską, która im stanęła na drodze, a następnie znosząc liczne mniejsze oddziały bolszewickie, postępowały z niesłychaną szybkością tak, że już 17 sierpnia, w walce z 16 armią bolszewicką, prawie równocześnie z gen. Hallerem dotarły do Mińska. Opowiadając mi to wesołe i wielkie zdarzenie, gen. Rozwadowski z miną triumfującą nie omieszkał mi przypomnieć, że on przecież miał rację. Nie mogłem mu tego rzecz oczywista odmówić.

Wypadki postępowały z coraz większą szybkością. W nocy na 18 sierpnia armia bolszewicka rozpoczęła ogólny odwrót spod Warszawy, inne jej części cofały się już wcześniej pod naporem wojsk gen. Sikorskiego. Losy przeważały się w sposób już widoczny.

Do Siedlec

Wojska polskie w zwycięskim pochodzie posuwały się bardzo szybko naprzód, zajmując coraz to nowe miejscowości, biorąc mnóstwo jeńców i dość znaczne łupy. W przeciągu kilku dni

ogromna połać kraju została uwolniona od nieprzyjaciela. Naczelne dowództwo zawiadomiło mnie o postępach armii, zaznaczając równocześnie, że gdy zachowanie się ludności polskiej było prawie wszędzie bez zarzutu, to ludność żydowska w sposób mniej lub więcej wyraźny stanęła po stronie wrogów, czasem nawet z bronią w rękę. Do takich miejscowości między innymi należały Siedlce.

Ponieważ te wypadki interesowały mnie niezmiernie, a wiedząc, że Naczelny Wódz przeniósł tam swoją kwaterę, chcąc ponadto z nim jako Naczelnikiem Państwa omówić kilka spraw bieżących, postanowiłem tam wyjechać. Udałem się więc bezwzględnie, zapraszając z sobą min. Rataja. Za nami mieli przyjechać wszyscy posłowie tego okręgu wyborczego.

W Siedlcach zaraz na wstępie uderzyło mnie dziwnie, że obowiązki straży obywatelskiej spełniali prawie wyłącznie Żydzi. Nosili oni biało-czerwone opaski na rękach i kłaniali się do pasa każdemu, kogo spotkali na ulicy. Miasto przedstawiało dość przykry widok. Ulice były w najwyższym stopniu zaśmiecone, domy odrapane, sklepy pozamykane. Z mieszkań nieśmiało wyglądali Żydzi, zaczynając zbierać się w drobne gromadki. Wszystkie domy żydowskie były gęsto udekorowane flagami polskimi. To nie przeszkadzało, że przed paru dniami zaledwie na tych samych domach powiewały czerwone, bolszewickie sztandary.

Od prezydenta miasta Siedlec, Kościłacza, dowiedziałem się tej samej smutnej prawdy, że prawie cała ludność żydowska Siedlec nie tylko stanęła po stronie bolszewików, ale razem z nimi zaczęła nękać ludność polską. Wojska bolszewickie zaopatrywała we wszystko, przeważnie nie żądając żadnej zapłaty. Wielka zaś jej część wobec Polski ujawniła stanowisko wyraźnie wrogie.

Polskie władze wojskowe po wejściu do miasta uwięziły w Siedlcach znaczną ilość Żydów i oddały ich pod sąd. Kilka wyroków wydano i wykonano, ale bardzo wielu Żydów uniknęło wymiaru sprawiedliwości, gdyż sądy, podobno na życzenie Piłsudskiego, prowadziły przewlekłe dochodzenia, a zanim je ukończyły przybyła komisja międzynarodowa, z nią nastąpiło umorzenie sprawy. Winowajcy Żydzi wyszli więc wolno.

Co mówili i myśleli członkowie sejmiku?

Ponieważ zapobiegliwy gospodarz powiatu siedleckiego, jakim był starosta Kościłacz, zwołał na ten dzień posiedzenie sejmiku powiatowego, poszedłem na nie, aby się przekonać, jak się zachowują i co powiedzą wybrańcy chłopów w tym czasie. Wszedłszy

na salę, wezwałem ich, ażeby się nie krepowali moją obecnością, ale szczerze i otwarcie mówili co myślą, bo rządowi zależy także na rzetelnym i prawdziwym przedstawieniu sprawy. Przebieg spokojnych i poważnych obrad wykazał, że moja zachęta była raczej szkodliwa. Radycy powiatowi jakby zupełnie zapomnieli o wielkich wypadkach, które się dopiero rozgrywały przed ich oczami, a jeszcze nie wiadomo jaki wezmą koniec. Narzekali na straty, jakie ponieśli wskutek wojny i w swoim dobytku, zbiorach, wozach, koniach i wszelkich innych rzeczach, domagając się szybkiego wynagrodzenia od rządu. Z treści każdego, nieszczególnego zresztą przemówienia wyczuć można było rozumowanie: myśmy nie zaczęli, ani nie prowadzili wojny, a mamy wielkie szkody, rząd wojnę prowadzi, on więc winien, niech te szkody pokryje. My żadnego dobrodziejstwa nie żądamy.

Inne stanowisko zajął ostatni z mówców Szczepan Ciekot. Zwracając się do mnie i prosząc o możliwą pomoc dla powiatu, zwrócił uwagę kolegom, że zadaniem państwa w tej chwili nie jest tylko wynagradzanie szkód wojennych, chociażby one były nawet najbardziej bolesne, lecz skupienie wszystkich sił i środków, ażeby pobić wroga najeźdźcę i pozbyć się go z kraju raz na zawsze. Ponieważ mnie Ciekot prawie zupełnie wyręczył, ograniczyłem się do wypowiedzenia zaledwie kilku zdań. Sądząc po minach sejmikowiczów widziałem, że argumenty tak Ciekota jak i moje nie całkiem ich przekonały, mimo że mnie pożegnali rzęsykami oklaskami.

U Naczelnika Państwa

Piłsudski dowiedziawszy się o naszym pobycie w Siedlcach, uprzedził mnie zapraszając do siebie na rozmowę i na obiad. Uczynił nam tym dużą wygodę, gdyż w mieście nie można było nic dostać. Naczelnym Wódcą, omawiając przebieg operacji wojennych przez jego armię prowadzonych, zaznaczył, że postępują one bardzo szybko i rozwijają się zupełnie planowo. Wojsko trzyma się dzielnie, mimo forsownych marszów i niesłychanych trudów. Gdyby nie nadzwyczajne zmęczenie i braki, mógłby bolszewikom odciąć zupełnie drogę odwrotu tak, że całej ich armii zostałoby do wyboru albo się poddać, albo też przekroczyć granicę Prus Wschodnich. Gdyby wszystkie części armii polskiej były zdolne spełnić w całości swoje zadanie, ma nadzieję, że można by tego dokazać. Po ciężkich przeprawach, jakie miały niektóre oddziały, nieprzyjaciel cofa się tak pospiesznie, że nie zawsze można za nim nadążyć. Znaczne i liczne oddziały bolszewickie nie mając

łączności po przejściu naszych wojsk, pozostały po lasach nawet z artylerią i są dopiero teraz wyłapywane, a wskutek niedostatecznych naszych sił często się wymykają i uchodzą za Bug. Najczęściej jednak poddają się sami.

W czasie naszej rozmowy zameldował oficer Piłsudskiemu, że delegaci jednego z takich błakających się oddziałów zgłosili się z pismem od swojego komendanta, iż się poddaje, stawiając niektóre warunki. Zaraz wysłano tam duży i dobrze uzbrojony oddział z odpowiednimi instrukcjami. Piłsudski zaznaczył, że główne siły jego armii znajdują się już koło Sokołowa, w pełnym pościgu za nieprzyjacielem. Po omówieniu z nim kilku spraw, postanowiłem się tam udać. W usposobieniu Piłsudskiego zauważyłem dużą zmianę od czasu jego wyjazdu z Warszawy. Minęła widać depresja i przygnębienie, wróciła mu pewność siebie, która się ujawniła w traktowaniu nas z pewną wyniosłością.

Przez drogę

Przejeżdżając przez miasteczko Mordy i chcąc zebrać nieco wiadomości, wstąpiłem na probostwo, leżące przy samej drodze. Proboszcz miejscowy, starszy już jegomość, wiedział bardzo niewiele, pamiętając przede wszystkim o sobie. Opisując zaś okrutne postępowanie bolszewików skarżył się jeszcze więcej na swoich parafian, których znaczna część poszła na służbę do nich, nękając swoich współbraci. Bardzo był tym zmartwiony.

Przez całą drogę, którą jechaliśmy do Sokołowa, ciągnęły oddziały wojska i bardzo liczne wozy i tabory. Żydzi pędzili bydło, popychani dość niedelikatnie przez żołnierzy Poznańczyków. Po przybyciu do Sokołowa powiedziano nam, że gen. Galica, z którym mieliśmy się spotkać, przed godziną odjechał z częścią wojska, gdyż mu nakazano śpieszniejszy pościg za nieprzyjacielem. Jego oddziały, złożone w znacznej części z Podhalan, pozostały na krótki odpoczynek. Zastaliśmy je przy obiedzie, zresztą już dobrze spóźnionym. Siedzieli nie wiedząc kto przybył, gdyż komendantowi poleciłem, aby ich w czasie obiadu nie niepokoił.

Po drugiej stronie drogi od nich na trawniku rozłożyła się partia jeńców bolszewickich, kilkaset ludzi licząca. Pomiędzy jeńcami było kilku Polaków, komunistów z Warszawy, służących w szeregach bolszewickich. Znalazł się także jeden Chińczyk, którego żołnierze nie czekając sądu niespodziewanie zakatrupili. Jeńcy bolszewicy znużeni, obdarci, wynędzniali, zachowywali się zupełnie obojętnie, natomiast komuniści warszawscy okazywali

wielki niepokój, oświadczając nie pytani, że zostali oni do armii bolszewickiej wzięci przemocą.

Braki u żołnierzy polskich w umundurowaniu, bieliźnie, a zwłaszcza w obuwiu były bardzo wielkie. Nie brakło i takich, co chodzili boso już od paru tygodni. Nie skarżyli się nawet, uważając to widać za zupełnie naturalne. Braki te wyrównywali niektórzy w zetknięciu się z bolszewikami, którym odpłacili się pięknym za nadobne. Kiedy żołnierze ukończyli obiad, porozmawialiśmy z nimi dłużej, a obdzieliwszy ich papierosami i zachęciwszy do wytrwania, żegnani przez nich gromkimi okrzykami odjechalśmy w stronę Warszawy.

Spalona wieś

Po drodze zatrzymaliśmy się we wsi, która została świeżo spalona przez bolszewików. Większa część domów i budynków gospodarskich uległa już zniszczeniu, kilkanaście domów jeszcze się dopalało. Obrony nie było prawie żadnej, gdyż młodszy i starsi mężczyźni zostali albo zabrani przez bolszewików na podwozy, albo też uprowadzeni za wyraźne wrogie stanowisko wsi wobec nich. Kobiety zaś potraciły zupełnie głowy.

Na rozstajnej drodze koło krzyża napotkałem niebywałą wprost widok. Stała tam gromadka kobiet i młodzieży przy dwóch małych armatach bolszewickich, które przyciągnęły sobie z lasu, odpędzając pilnujących je dwóch żołnierzy bolszewickich. Gdyśmy się jeszcze rozglądali po wsi, powróciło kilkunastu mężczyzn, zabranych przed kilku dniami przez bolszewików. Byli zbiedzeni, sterani, oszołomieni tym wszystkim, co przeszli. Opowiadali, że korzystając z zamieszania, jakie powstało pomiędzy bolszewikami podczas przeprawy przez Bug, uciekli zostawiając w ich rękę swoje konie i wozy.

Wzdłuż drogi, którą powracaliśmy, widziałem znaczne ilości, nie zebranego jeszcze jęczmienia i owsa, a tu i ówdzie chwiejące się, poczerniałe i pochylone żyto. Sołtysi wsi, do których wstąpiłem twierdzili, że bolszewicy zabrali u nich cztery piąte koni, większą część bydła, poobdzierali ludność z ubrania, a nawet bielizny, zabrali wozy i pieniądze, które potrafili wszędzie wywachać. Ograbiona ze wszystkiego ludność jest w rozpacz, spodziewając się pomocy od rządu.

Tą samą drogą przejeżdżałem znowu, ale już późną jesienią, a widząc, że grunta wszystkich wsi zostały prawie w całości uprawione i obsiane, zapytałem przygodnie napotkanych gospodarzy, jak oni mogli to zrobić, nie mając koni, narzędzi, ani zboża na

zasiew. Odpowiadali, że robili co mogli, żeby ziemia nie leżała ugorzem. Sam będąc rolnikiem, nie umiałem dociec jak się to stało, bo przecież pomoc rządowa była bardzo drobna. Tę tajemnicę zna tylko chłop tamtejszy.

W dalszej drodze około miejscowości Przygody spotkaliśmy oddział ochotników, liczący około 150 ludzi. Byli to sami Poznaniacy. Zostawali pod komendą b. pruskiego wachmistrza, kiepsko mówiącego po polsku. Oddział ten składał się w znacznej części z młodzieży inteligenckiej, rzemieślniczej, choć nie brak było i synów chłopskich. Znaczna część tych ludzi już dawno przekroczyła czterdziestkę. Wszystko to było rosłe, silne, choć widocznie mocno strudzone. Żołnierze odpoczywali po dwudniowym, forsownym marszu, zabawiając się jakimś Żydem, niby to szpiegiem, którego spotkali na drodze. Byli mocno zdziwieni, gdy im to zgañem, polecając Żyda wypuścić. Rozgadałem się z nimi szerzej, dając im resztę papierosów, jakie jeszcze miałem ze sobą. Z dostojników wojskowych uznawali tylko gen. Hallera, Dowbora-Muśnickiego i Raszewskiego. Ze szczególnym szacunkiem odnosili się do gen. Hallera. O Piłsudskim nie chcieli nic mówić, o mnie bardzo mało słyszeli. Kiedy im sekretarz powiedział, kim jestem, byli tym mocno zaskoczeni, porywając się na równe nogi i krzycząc jak na zamówienie: „Niech żyje!”. Potem już nasza rozmowa nie mogła w żaden sposób się pokleić.

Pomorze

Ponieważ niebezpieczeństwo wojenne prawie minęło, a obecność moja w stolicy nie była bezwzględnie konieczna, postanowiłem spełnić dawne zamierzenie i wyjechałem na kilka dni na Pomorze. Powodem był nie tylko ruch separatystyczny, jaki się tam miał szerzyć, przeniesiony z Poznańskiego, ale także coraz liczniejsze skargi na postępowanie władz, a zwłaszcza władz wojskowych, codziennie prawie do mnie nadsyłane. Towarzyszyli mi min. Skulski i Kucharski, a przyłączył się jeszcze do nas wojewoda pomorski Jan Brejski.

Bardzo wczesnym rankiem przybyliśmy do Redy, gdzie nas powitała młodzież szkolna wraz z nauczycielstwem. W odpowiedzi na kilka przemówień zabrał głos min. Skulski. W mowie jego wiadać było duże rozrzewnienie, które się udzieliło wielu obecnym. Widziałem łzy w oczach ludzi starszych, którzy tymczasem przyszli z delegacjami. Uroczysty nastrój podniósł się jeszcze bardziej, gdy zebrana dziatwa szkolna dość łamaną polszczyzną zaśpiewała „Rotę” Konopnickiej.

W Pucku i Weyherowie zjawiły się bardzo liczne delegacje, przeważnie ze skargami na władze. Szczególnie rybacy wyrażali swoje żale na różne zarządzenia ministra b. dzielnicy pruskiej, które im wprost miały uniemożliwić egzystencję. Obecny przy tym min. Kucharski twierdził, że ogromna większość tych skarg jest zupełnie nieuzasadniona, a rybacy są elementem rozkapryszonym, który zawsze i ze wszystkiego jest niezadowolony. Poza tym wszyscy oni mają wielkie uprzedzenie do urzędników z innych dzielnic pochodzących.

W Weyherowie, gdzie starostą był rodowity Kaszub, kilkanaście delegacji z rządu wystąpiło z żądaniami natury lokalnej. Niemiły zgrzyt wywołało zachowanie się niejakiego Żrebowskiego, właściciela obszernych dóbr i Polaka, który przemawiając do mnie imieniem rolników, podnosił głos coraz bardziej i w sposób obraźliwy wyrażał się o wojsku i władzach polskich, nazywając oficerów rabusiami i bandydatami. Kiedy mu przerwałem pytając, na czym polega jego oskarżenie, odpowiedział, że otrzymał za małą zapłatę za dostarczone podwozy, a jeden z oficerów poprosił go niegrzecznie, żeby mu potrzywał konia. Dowodzi to jego zdaniem grubiaństwa i braku wychowania. Oficerowie niemieccy nigdy sobie na podobne rzeczy nie pozwalali.

Jakkolwiek było mi bardzo nieprzyjemnie, gdyż na sali było kilkunastu Niemców, musiałem mu zwrócić uwagę, że się nie znajduje w otoczeniu swoich parobków, niepotrzebnie też krzyczy, gdyż ja mam słuch zupełnie dobry. Dałem mu również lekcję patriotyzmu, zaznaczając, że wszelkie nadużycia władz zostaną ukrócone, ale jeśli on z władzami owymi postępuje tak jak dzisiaj tu, nic dziwnego, że cierpliwość musi się wyczerpać. Ponieważ usiłował mi przerwać jakimś wykrzyknikiem, wyproszono go z sali. Starosta przerażony tym zajściem, twierdził, że ten awanturujący się Żrebowski, choć jest Polakiem, odnosi się do rządów polskich z wyraźną niechęcią, rzadko bywa trzeźwy, a dziś podpisał sobie na ochotę jeszcze więcej. Po tym incydencie odbyła się dłuższa spokojna rozmowa z przedstawicielami rolników, tak Polaków jak i Niemców, a następnie z innymi delegacjami. Żrebowski, przyszedłszy do przytomności, usiłował mnie przeprosić.

W Kościerzynie przyjęły nas ogromne tłumy ludności z sztandarami, chorągwiami i duchowieństwem na czele. Mimo ulewne go deszczu tłumy czekały na nas na otwartym polu przeszło dwie godziny. Stawiane przez delegacje tego powiatu postulaty dowodziły, że ludzie ci są zupełnie inni. Nie podnoszono żadnych skarg osobistych, ani nie występowano z niewłaściwymi żądaniami. W przemówieniach delegacji wyrażali gotowość ludności do wszelkich ofiar na rzecz państwa, prosząc, by one zostały właściwie użyte i

wyrażając zdziwienie, że dotąd tak mało od nich żądano. Tam po raz pierwszy na Pomorzu podniosły się zarzuty przeciwko Piłsudskiemu. Uczynił to jakiś starszy obywatel, jednak bardzo rzeczowo i spokojnie. Żegnani owacyjnie przez ludność, odjechalśmy z bardzo dużym spóźnieniem do Starogardu.

W Starogardzie czekała nas prawie cała ludność miasta i powiatu ze starostą na czele. Starosta przedstawił nam delegację zebrane w ogromnej sali, a złożone z kilkuset osób. Po przemówieniu starosty i burmistrza zabrał głos imieniem robotników poseł Nader. Wygłosił on mowę agitacyjną, domagając się od rządu wyrąbania lasu państwowego i dostarczenia drzewa na opał każdemu z robotników. Rzekomy przedstawiciel Związku Ludowo-Narodowego, rzeźnik z zawodu, wypowiedział mocno bałamutne przemówienie, wyrażając obawę, że Naczelne Dowództwo i Piłsudski zniszczą i zaprzędadzą Polskę. „Nie na to — mówił — przelewaliśmy krew, ażeby teraz rządźli nami Żydzi i Niemcy. Powinniśmy w wolnej Polsce postąpić tak z nimi, jak oni postępowali z nami”. Przemówieniu jego towarzyszyły oklaski, a nastrój na sali zrobił się niepoważny, nawet nieprzyjemny. Przerażony starosta chciał to zgromadzenie przerwać, nie zgodziłem się na to, czekając aż się wypowiedzą wszyscy zapisani delegaci.

Kiedy się to stało, zabrałem głos odpowiadając zapalonym mówcom, że Naczelne Dowództwo i Piłsudski nie tylko Polski nie sprzedali nikomu, ale mam niezłomne przekonanie, że ją obronią od zalewu hord bolszewickich. Polsce w tym czasie najbardziej szkodzą ci, co wygadują na wszystko, sieją panikę i zniechęcenie, uniemożliwiając nieraz pracę ludziom powołanym. Odrodzona Polska przy swoich rządach nie może stosować metod pruskich, które się tak dały Polakom we znaki, zostały potępione przez świat cywilizowany i samych Prusaków też zawiodły. Polska musi się rządzić prawem i traktować jednako wszystkich obywateli, bez względu na to, jakiej narodowości należą, jeśli tylko wobec państwa wypełniają lojalnie swoje obowiązki.

Posłowi Naderowi odpowiedziałem, że generalne wyrąbywanie lasów byłoby może dla niektórych ludzi pożądane, ale ci ludzie nie myśleliby zupełnie o jutrze. Las nie jest własnością tylko tego pokolenia, lecz także i następnych, jego życie nie może być mierzone życiem człowieka, a jego dobro interesem jednej klasy ani okolicy. Ludzie nieprzezorni, lub nieodpowiedzialni mogą stawiać różne wnioski, albo je oklaskiwać, ale państwo nie może prowadzić gospodarki, która się kończy zniszczeniem i ruiną. Jego obowiązkiem jest nie tylko dzielić istniejące dobra, ale je mnożyć i przechowywać.

Przemówienie moje wypowiedziane w tonie bardzo stanow-

czym, zostało przyjęte niemilknącą burzą oklasków, a sam poseł Nader przyłączył się także do ogólnego aplauzu, choć z mojej odpowiedzi nie miał powodu do zadowolenia. Min. Skulski uśmieł się z tego głośno, a wojewoda Brejski miał minę nieco zafrasowaną, bo przecież poseł Nader był jego kolegą partyjnym.

Wśród nieustannie padającego deszczu udaliśmy się do Tczewa i przyjechaliśmy tam około godziny 11-tej w nocy. Mimo tak spóźnionej pory, oczekiwały nas bardzo liczne i zapewne zniecierpliwione delegacje. Nie stawiły one żadnych specjalnych żądań, ani postulatów. Przemawiający ich imieniem starosta i burmistrz miasta Tczewa wyrażali radość z odniesionego zwycięstwa nad bolszewikami, złożyli rządowi gorące podziękowanie za jego pracę dla dobra Ojczyzny, deklarując się z wszystkimi potrzebnymi ofiarami. Po dłuższej rozmowie z kilkunastu obywatelami udaliśmy się z nimi na obiad, tak bardzo spóźniony.

Kiedy wsiedliśmy do pociągu, zwróciłem uwagę Brejskiemu na robotę Nar. Partii Rob., przepojoną niesłychaną wprost demagogią. Dowodem chociażby żądania posła Nadera. Nie chcąc być wobec niego bardzo urzędowy, prosiłem, aby jako wpływowy członek tej partii zechciał użyć tych wpływów na pohamowanie niewłaściwych występów, które mogą mieć bardzo niepożądane następstwa. Wojewoda trochę kręcił, twierdząc że i inne partie nie są lepsze, ale przyrzekł zrobić wszystko, co będzie mógł.

Gęsi

Pośród licznych bolączek rolników pomorskich na pierwsze miejsce wybijała się sprawa gęsi, którą niektórzy politycy dość humorystycznie traktowali. Gęsi te wypasane przeważnie na ścier-niskach, prawie że nic nie kosztowały, dając rolnikom bardzo duże zyski. Obecnie zaś wskutek zarządzeń administracyjnych, monopol na zakupno gęsi dano jakiemuś kupcowi z Torunia, podobno Niemcowi, który nie mając żadnej konkurencji, płacił hodowcom ceny niezwykle niskie. To ich zniewoliło do wstrzymania się ze sprzedażą tej licznej gawiedzi, bo wynoszącej podobno parę milionów sztuk na samym Pomorzu.

Min. Kucharski na moje żądanie zmuszony został odebrać przywilej owemu kupcowi, w następstwie czego Warszawa i wiele innych miast rzuciło się na Pomorze i wykupiło gęsi, płacąc je kilkakrotnie od niego drożej. Interwencja moja, która spowodowała zarządzenie min. Kucharskiego, dała nie wiem już dlaczego powód ks. posłowi Lutosławskiemu do rozszerzenia po wiecach plotek, że „Witos paskuje pomorskimi gęsiami”. Niezrozumiałe to

kłamstwo znalazło także duży oddźwięk w pismach zostających pod wpływem Związku Ludowo-Narodowego. Na co im to było potrzebne, doprawdy nie wiem, choć powszechnie mówiono, że to była sprawa min. Kucharskiego, obrażonego krytyką jego zarządzeń.

W czasie swoich objazdów po b. dzielnicy pruskiej zauważyłem, że stosunki społeczne swoją nierównością mogą tam tworzyć duże niebezpieczeństwo. Po wsiach, które zwiedzałem znajdowało się zaledwie po kilku właścicieli dużych gospodarstw, ogromna zaś większość mieszkańców, to biedacy, dzierżawiący małe skrawki gruntów od większych właścicieli, księży i rozmaitych zakładów na dość ciężkich warunkach, albo zarabiający we dworach i u swoich bogatych sąsiadów. Mieszkania mieli też przeważnie liche, dusząc się wraz z rodzinami w maleńkich domkach, narzekając na wszystko i wszystkich bez końca i miary.

Przy sposobności pobytu w powiecie puckim zwiedziłem gospodarstwo jednego Kaszuba, prawie nad samym brzegiem morza położone. Było ono duże i bardzo zasobne, choć ziemia wcale nieszczególna. Sam gospodarz, mimo pięknie brzmiącego nazwiska polskiego, językiem polskim władał bardzo kiepsko, choć mówiono o nim, że myślał znacznie lepiej. Sprawował we wsi obowiązki sołtysa i był przełożonym zarządu kasy Reiffeisena. Ogromnie powściągliwy w słowach i bardzo pobożny, jak i cała jego rodzina. Kiedy mu powiedziałem, kim jestem, trochę był zdziwiony oświadczając, że „nie wie, kiedy mnie zwolono, choć on na wszystkie wolby chodzi”.

Wojewoda Brejski uważając te moje wizyty za bardzo pożyteczne prosił, abym dokonał objazdu reszty pomorskich powiatów, wyznaczając mniej wizyt na dzień, ażeby się można było ze stosunkami lepiej zapoznać. Obiecałem to zrobić trochę później.

W Królestwie

Po jednodniowej przerwie, w czasie której załatwiłem sprawy bieżące, na prośbę posłów Hajcy i Wasilewskiego postanowiłem wyjechać do kilku powiatów Królestwa. Zacząłem od Włocławka. Miasto to wytrzymało bardzo silne ataki bolszewików, poniosło bardzo duże straty, ale się obroniło od zajęcia. Na moje przyjęcie zeszyły się tłumy ludności, przybyły liczne delegacje z różnymi postulatami. Uderzające było dla mnie, że kładły one główny nacisk na budowę szkół i podniesienie poziomu nauki.

Delegaci organizacji rolniczych i włościan zwracali uwagę

na braki w rolnictwie, poczynione szkody i nadmierne ciężary, domagając się dość natarczywie pomocy państwowej. Na moje uwagi dotyczące stosunków obecnych i niewielkiej możliwości państwa, wzruszali ramionami, zaznaczając że innej pomocy nie widzą. Obiecałem im drobny zasiłek.

Odwiedziłem też miejscowego księdza biskupa, o którym mi wiele opowiadano. Mieszkał on w kilku małych pokoikach, gdyż pałac biskupi został od pocisków mocno uszkodzony, a następnie spalony. Uległy też zniszczeniu bardzo podobno cenne zbiory. Znaczną ich część strawił ogień i rozniosły pociski, a resztę zabrali różni amatorzy na wieczne przechowanie.

Most na Wiśle został spalony przez majora Moraczewskiego, kierującego obroną Włocławka. Wszyscy twierdzili, że zrobił on to niepotrzebnie, gdyż tym nic nie pomógł.

Ażeby się dostać do Lipna, przeprawiliśmy się łodzią motorową na drugi brzeg Wisły. Powiat lipnowski zgromadził się cały, oczekując na mnie. Widocznie postarali się o to posłowie, którzy usilnie zabiegali o moje przybycie.

Przez ulice miasta bogato ubrane kwiatami, wieńcami i zielenią wśród wielotysięcznych tłumów zajechałem do gmachu starostwa. Na ogólne żądanie wygłosiłem przemówienie z balkonu, przedstawiając grozę niebezpieczeństwa, jakie wisiało nad państwem i znaczenie zwycięstwa odniesionego nad Wisłą. Przemówienie moje przerywano wielokrotnie oklaskami. Następnie mówili posłowie Woźnicki i Wasilewski, podnosząc moje zasługi i wywołując niesłychany entuzjazm tłumów.

Po skończonych posłuchaniach i rozmowach, na które przybyli przedstawiciele wszystkich warstw ludności, urządzono w starostwie niemal królewskie przyjęcie, co tak mocno odbijało od nędzy, na którą się skarżyli niemal wszyscy delegaci. Zaproszono na nie przedstawicieli urzędów, wojska, dworów, najliczniej zaś włościan i robotników, no i wójtów wszystkich gmin w powiecie. Brać ludowa czuła się tam jak u siebie, ciesząc się że doczekała chwili, do której dawno daremnie wdychała. Dużą i miłą było dla mnie niespodzianką, że na wsi jęczącej pod rządami rosyjskimi znalazło się tak wielu ludzi świątłych, zdających sobie sprawę z obowiązków ciążących na nich wobec państwa.

W Rypinie, dokąd zajechałem już wieczorem, oczekiwały na mnie nie mniejsze tłumy, ustawivszy się na obszernym rynku. Powtórzyły się znowu te same ceremonie i przemówienia. Imieniem robotników rolnych dłuższe przemówienie wygłosił niejaki Olszewski, skarżąc się na postępowanie z robotnikami, niesłusznie o współdziałanie z bolszewikami posądzonymi. Obwiniając publicznie władze polityczne, sądowe i wojskowe, twierdził, że dzia-

łają wyłącznie w interesie obszarników. Pomylił się jednak, bo śledztwo wykazało, że jego zarzuty były co najmniej mocno przesadzone, natomiast stwierdziło, że znaczna część służby dworskiej zachowała się w sposób karygodny.

Na liczne przemówienia, przeważnie nacechowane troską o państwo i przyszłość odpowiedziałem: „Jeżeli wojna jest sama w sobie zbrodnią, niosącą wiele przykrości i nieszczęść, to najgorszym złem jest, jeżeli społeczeństwo o tym zapomina i niewłaściwym postępowaniem pogarsza jeszcze swoje położenie. Władza jest powołana do tego by pilnowała ustalonego porządku i strzegła interesu publicznego, a przestałaby nią być gdyby patrzyła obojętnie lub bezradnie na działalność złych lub lekkomyślnych ludzi, których nie brak w każdym społeczeństwie. Nie może się jednak posługiwać ona gwałtem i przemocą, lecz się musi kierować prawem. Dziwne się jednak musi wydawać, że ci co tak ochoczo garnęli się do służby bolszewickiej, posługując się przy tym gwałtem i zbrodnią, skarżą się teraz, gdy im powołana władza w sposób bardziej wyraźny przypomina obowiązki wobec ojczyzny i drugich obywateli”.

Po moim przemówieniu nastąpił długi korowód delegacji i rozmów. Przyszli też przedstawiciele służby dworskiej spod znaku Olszewskiego, usprawiedliwiając swoje postępowanie krzywdą i gwałtami, jakich się na nich przez długie lata dopuszczali ziemianie i ich urzędnicy. Bardzo korzystnie wyróżnił się młody mówca w imieniu związku ziemian, człowiek o bardzo szerokich horyzontach. Stanął wyraźnie na stanowisku reformy rolnej, uznając ją jako konieczność państwową, wyrażając tylko obawę, że państwo nie będzie mieć sił ani środków na jej rychłe przeprowadzenie. Domagał się, by w tej sprawie wypowiedziało ono swoje ostatnie słowo, nie pozostawiając żadnej wątpliwości. Mniej już bezinteresownym okazał się przemawiający imieniem włością-stwa jeden z wójtów, dość zresztą nierozgarnięte chłopisko. Doradzał on rządowi, by dopomógł do obsiania gruntów tylko tym gminom, które mają grunta lepsze, pominął zaś te, co mają gorsze i piaszczyste. Niefortunny mówca spotkał się zaraz z licznymi, choć przyciszonymi protestami, i to ze strony tych, których zastępował. Żale obywateli tego powiatu były mocno przesadzone, gdyż powiat rypiński należał do najbardziej urodzajnych i najmniej zniszczonych. I bolszewicy nie zrobili mu wielkiej krzywdy. Informacje zebrane przez Studzińskiego jakąś drogą poufną stwierdzały, że gdy inne władze były bez zarzutu, to starosta i jego żona starali się zarobkować w sposób kompromitujący.

Przybywszy do Sierpca, mimo że to był już piąty czy szósty dzień od ucieczki bolszewików, nie znalazłem tam zupełnie żad-

nej władzy. Starosta powiatu, który przezornie pojechał na urlop jeszcze na kilka dni przed przyjściem bolszewików, dotąd nie powrócił, będąc jakoby chory. Jego zaś zastępcy, mimo wszelkich wysiłków, nie zdołaliśmy odszukać. Znalaziono natomiast policjanta, który nie umiał nic powiedzieć, a nawet Sierpca dobrze nie znał. Czynności urzędowe i bardzo nikłe rozpoczęły się jedynie w magistracie. Pracujący tam personel składał się z woźnego, zajętego porządkowaniem papierów. Ludzie stali po mieście gromadkami, rozglądając się trwożliwie na wszystkie strony.

Jakiś nauczyciel, który przybył do miasta z okolicy, nie umiał też wiele o stosunkach powiedzieć, natomiast opowiadał szeroko o krzywdach, jakich miał rzekomo doznać od różnych władz, mimo jego wielkich zasług dla ojczyzny. W ciągu dalszej rozmowy okazało się, że całą jego zasługą, to przynależność przez kilka lat do P.O.W., wcale do tego nie czynna.

Kiedy zachowując zupełne incognito wyjeżdżałem z tej niefortunnej wyprawy, zjawił się min. Skulski, ażeby dokonać wizyty starostwa. Zebrawszy informacje od Studzińskiego, pojechaliliśmy razem do Płocka, gdzie on się wybrał dla zbadania skarg i zarzutów, administracji powiatowej stawianych.

Jak wszędzie tak i tam stawili się przedstawiciele wszystkich władz, duchowieństwa, ziemian, chłopów i robotników. Długie żale wywodził burmistrz miasta, socjalista. Miał pretensje do znajomości wszystkiego w powiecie i wszystkich też chciał reprezentować. Informowano nas, że ludność odnosiła się do bolszewików na ogół wrogo, choć większość służby dworskiej z nimi sympatyzowała. Tak samo zachowali się Żydzi. Władze wojskowe także się nie spisały najlepiej, a część wojska stchórzyła bez najmniejszej przyczyny.

Żydzi miejscowi byli mocno przygnębieni, gdyż upłynęło zaledwie kilka dni od wykonania wyroku śmierci na słynnym cadyku, nazwiskiem Szapira, który został skazany za zdradę państwa. Depresję widać było wszędzie.

Koło miasta stało jeszcze kilka rzędów okopów, umocnionych drutami kolczastymi. Nie zdały się one podobno na nic, gdyż nie prowadzono tam obrony, lecz przeniesiono ją do miasta. Na kilku ulicach były jeszcze barykady, spoza których tak wojsko jak i ludność cywilna broniły się przed bolszewikami.

Miasto Płock, położone na dużym wzniesieniu i nad samą Wisłą, wygląda niezwykle malowniczo. Posiada wiele starych budowli i osobliwości. Imponująco przedstawia się też kościół i zakłady należące do sekty mariawickiej, mającej tam swoją główną siedzibę.

Po załatwieniu wszystkiego w mieście, wyjechałem do kilku

wsi. Na pierwszy rzut oka widać, że grunta w powiecie są dobre, zamożność mimo wojny i zniszczenia jeszcze dość widoczna. Po moim powrocie starosta przedstawił prowizoryczne zestawienie szkód. Wynikało z tego, że bolszewicy zabrali z powiatu ponad 50% koni, znaczną ilość bydła i ziemiopłodów, uniemożliwiając przy tym dokonanie zbiorów.

Powiat płocki należał do tych w których większa własność posiadała przeważną część ziemi, a właściciele, ludzie przeważnie starej daty, nie chcieli się dostosować do nowych warunków. Poznać to można było na każdym kroku. Przejeżdżając przez powiat w stronę Płońska widziałem, że mimo ustaw i przepisów wiele tysięcy morgów doskonałej ziemi leżało odłogiem. Bujne i gęste trawy wyrosłe na nich świadczyły, że od lat kilku pługiem ich nie ruszono.

Na szerokich obszarach ziemi dworskiej widać było jeszcze nie zebrany owies, a nawet chwiało się tu i ówdzie szcerniałe, pochylone żyto. Jakkolwiek okolice te posiadają ziemie bardzo bogate, to zabudowania wyglądają nadzwyczaj marnie. Małe domki przeważnie z gliny zbudowane, nawet często niepobielone, przedstawiają się ponuro, odbijając od krasy i bogactwa gleby. Powód stanowi podobno brak lasów.

Płońsk

Mało co zmieniony obraz ciągnął się aż do samego Płońska. Na miejscu znowu tłumy ludności, przemówienia, rozmowy, specjalnie skonstruowane sprawozdanie starosty, oryginalne z niego wynikające wnioski. Ten starosta to typowy szlachcic, właściciel dóbr, znający bardzo dobrze powiat i okazujący wielkie o niego staranie. Ubrany na czarno, przepasany szarfą, wesoły i zadowolony, że ma u siebie takich dostojników, biegał i cieszył się jak mały dzieciak.

Opowiadał z oburzeniem o zachowaniu się służby dworskiej w czasie najazdu bolszewickiego i szeroko dowodził, że najlepszym i najbardziej przemawiającym argumentem do niej są kije, których żałować nie należy. Staremu szlachcicowi wytłumaczyłem przyjaźnie, że takie czasy już minęły, a teraz należy poszukać innych argumentów, tym bardziej, że każdy kij ma dwa końce i równie dobrze może być przez drugą stronę użyty.

Właściciele ziemscy, którzy przybyli w dużej liczbie, zachowali się godnie i po obywatelsku, zgadzając się zupełnie z nowymi stosunkami i odnosząc się bardzo dobrze do swoich sąsiadów chłopów. Natomiast wszyscy jednym chórem skarżyli się na

postępowanie wojska, które się miało zachowywać jak w kraju nieprzyjacielskim, zabierając wszystko, a przede wszystkim konie. Miało to robić nawet wtenczas, gdy ich wcale nie potrzebowało, używając do prywatnych przejazdów w czasie koniecznych prac na roli. Z jednego majątku większego, którego właściciel spełniając służbę wojskową jako ochotnik został ciężko ranny, żonie jego borykającej się z niesłychanymi trudnościami zabrano wszystkie konie, nie uznając żadnych argumentów i nie zważając na żadne prośby. Sąsiedzi jej stwierdzili, że konie te były wojsku zupełnie niepotrzebne.

Min. Skulski upoważnił starostę do wszelkich zarządzeń, umożliwiających dokończenie żniw i uprawę gruntu, obiecując możliwą pomoc ze strony rządu. Skulski mówił mi po pewnym czasie, że szlachcic-starosta polecenia jego jak najskrupulatniej wykonał. Przybywszy do Warszawy wieczór zaprosiłem zaraz ministra spraw wojskowych, gen. Sosnkowskiego, który na podstawie zebranych materiałów wydał odpowiednie zarządzenie. Za jakiś czas doniósł zadowolony starosta, że były one bardzo skuteczne.

Lwów

Mimo zwycięstw armii polskiej odniesionych na froncie północnym i środkowym nad bolszewikami, nie przestali oni atakować i posuwać się na froncie południowym. Szczególnie groźną okazała się armia konna Budiennego, która robiła bardzo duże postępy, a po zdobyciu Brodów, zaczęła poważnie zagrażać zajęciem samego Lwowa. Alarmowany stale przez prezydium miasta Lwowa i generalnego delegata rządu Gałęckiego, postanowiłem tam wyjechać. W sztabie generalnym dano mi informacje, że przejazd na Lublin jest niemożliwy, gdyż bolszewicy posuwają się jeszcze w tym kierunku. Postanowiłem więc pojechać przez Kraków, zebrawszy wszelkie możliwe wiadomości od gen. Rozwadowskiego. Nie taił on wcale, że niebezpieczeństwo dla Lwowa istnieje gdyż siły nasze na południu są niewystarczające, a przy tym przed armią Budiennego istnieje wielka, jego zdaniem, wcale nieuzasadniona obawa. Udzieliła się ona i gen. Iwaszkiewiczowi, który się zupełnie niepotrzebnie cofa.

Po przybyciu do Lwowa, jeszcze w pociągu poinformował mnie jeden z posłów, że Lwów żyje ciągle obawą najazdu, gdyż władze miejscowe nie chcą dać gwarancji, że odpowiednie siły zostaną przeciwstawione posuwającym się wojskom nieprzyjacielskim. Zaczyna się też wytwarzać nastrój paniki i zamieszania, któ-

rego dotąd we Lwowie nie było. Najwięcej przyczyniają się do tego urzędnicy cywilni i wojskowi, którzy zdają się o niczym więcej nie myśleć, jak tylko o własnym bezpieczeństwie. Wszystko mają przygotowane do ewakuacji i bezustannie domagają się pozwolenia wyjazdu. Opowiadając o tym prosił, ażebym zwrócił uwagę na Gałęckiego, który ma im ulegać.

Na dworcu kolejowym zgromadzili się przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych, francuska misja wojskowa, tymczasowy wydział samorządowy z Gałęckim na czele, liczni posłowie do Sejmu, delegacje włościan polskich i ukraińskich i wiele innych. Przed dworcem oczekiwały tłumy ludności, wznosząc głośno, entuzjastyczne okrzyki.

Wstąpiliśmy najpierw do kościoła św. Elżbiety na nabożeństwo, zamówione podobno przez Gałęckiego. Ludność wypełniła tę wielką świątynię do ostatniego miejsca. Po ukończeniu nabożeństwa udałem się na posiedzenie Rady Miejskiej. Przewodniczący jej Neuman wygłosił dłuższe przemówienie, podnosząc w nim także i moje zasługi przy obronie państwa przed najazdem bolszewickim. Wyrażając radość z postępów armii polskiej i nadzieję, że się jej powiedzie i Lwów obronić, zwrócił się w moją stronę z bardzo wyraźnie pytającym wzrokiem. Odpowiadając mu między innymi zaznaczyłem, iż mam całkowitą pewność, że nieprzyjaciół Lwowa nie zdobędzie, bo jakkolwiek siły mające go bronić zostały znacznie osłabione, to mimo to zupełnie wystarczą dla odparcia wroga. Losy wojny bywają zmienne, to też i miasto Lwów musi się z tym liczyć i być przygotowane do dalszych ofiar i wytrwałości, do czego go zresztą zachęcać nie trzeba. Rząd zdaje sobie sprawę z tego, jakie znaczenie przedstawia Lwów dla państwa zawsze, a zwłaszcza w tej chwili i jakie dla niego posiada zasługi, które go wyniosły na pierwsze miejsce w Polsce. Stąd też rząd uważa tak za wielki interes publiczny jak i za swój obowiązek, ażeby do zajęcia Lwowa nie dopuścić.

Przeżywamy ciężkie chwile, nie możemy liczyć na żadną pomoc obcą, musimy się opierać na własnych siłach, które się szczególnie teraz w całej pełni ujawniły. Kiedy jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że zrozumienie i uświadomienie ogarnęło mnogie miliony, kiedy nikt nie usuwa się od spełnienia obowiązków, a setki tysięcy ludzi niesie ofiarnie nawet swoje życie, możemy być pewni zupełnego zwycięstwa. Zadaniem tak moim jak i obecnego rządu jest skonsolidowanie wszystkich sił narodu dla obrony honoru i całości państwa. Wielka gra, jaka się obecnie toczy nie tylko o zwycięstwo w tej wojnie ale o nienaruszalność naszych granic w ogóle, zbliża się szerokimi krokami do szczęśliwego zakończenia. Okupionej krwią i ofiarami Małopolski Wschodniej

i Lwowa nikomu nigdy nie oddamy, uważając go nie tylko za integralną część państwa polskiego, ale za jeden z najmocniejszych jego filarów, bez którego nie mogłoby ono jako potęga po prostu istnieć.

Przemówienie moje, którego Rada Miejska wysłuchała stojąc, wywarło podobno wielkie wrażenie, co dobitnie podkreślił prezydent Neuman, dziękując mi imieniem Rady.

Następnie w gmachu dawnego namiestnictwa odbyły się zwykłe bardzo liczne posłuchania. Aczkolwiek niebezpieczeństwo bolszewickie zagrażało jeszcze, i to coraz bardziej, bo wojska ich nie tylko zajęły niezbyt oddalone Brody i przeciskały się na Tarnopol, a nawet na Buczacz, to jednak delegacja urzędników uważała za najpilniejsze zadanie podnieść z dużą natarczywością sprawę niedostatecznego wynagrodzenia, pomijając wszystko inne milczeniem. Byłem też niepomiernie zdziwiony, a równocześnie i zdumiony, że delegacji tej przewodniczył Dembowski, dawny wiceprezydent Rady Szkolnej Krajowej.

Z chłopami polskimi rozmowa była serdeczna i krótka. Oświadczyli, że mi nie chcą zabierać czasu w chwilach tak ważnych wiedząc, że ja znam ich przekonania i potrzeby. Proszą o ich uwzględnienie i opiekę, gdy państwo wyjdzie z opresji, w jakiej się teraz znajduje.

Znacznie dłużej trwała rozmowa z chłopami ukraińskimi. Jakkolwiek głośno wyrażali swoje zadowolenie, że na czele rządu widzą człowieka tak im bliskiego pochodzeniem, czułem, że nie było to szczere, a ich myśli ulatywały gdzie indziej. Niedawno przecież prowadzili z nami krwawą i zaciętą walkę o panowanie nad tym krajem i zapewne się jej na przyszłość nie wyrzekli. Żądań nie stawiali nadmiernych. Prosilili tylko o równe traktowanie ich z Polakami wszędzie, a zwłaszcza przy zakupnie ziemi oświadczając, że oni uznają państwo i władze polskie i starać się będą wypełniać wszelkie wobec niego obowiązki, zgodnie z istniejącym prawem.

Odpowiedziałem im, że Polska jak zresztą każde państwo musi się domagać od każdego swojego obywatela ścisłego stosowania się do ustaw i lojalnego postępowania. Obecne zaś zaostrożone zarządzenia wynikają ze stosunków wojennych. Gdy wojna minie, zostaną i one usunięte. Ziemia parcelowana jest własnością polską i znajduje się w polskim posiadaniu. To nie wyklucza, że część jej przypadnie także chłopom ukraińskim, zgodnie z postanowieniami ustawy o reformie rolnej. Zdawało mi się, że wyszli zadowoleni, żegnając się ze mną nie tylko bardzo unizenie, ale i nadzwyczaj przyjaźnie.

Ciężej znacznie było z ukraińską inteligencją. Przedstawi-

ciele jej byli widocznie niezadowoleni i zaniepokojeni moją bez niej rozmową z chłopami, czemu niedwuznacznie zaraz dali wyraz. Od siebie stawiali cały szereg postulatów, unikając rozmowy na tematy polityczne. Nie wytrzymali jednak do końca, gdyż poruszyli sprawę Małopolski Wschodniej, zaznaczając, że chcieliby o niej ze mną nieobowiązuco pomówić. Ponieważ ja nie chciałem tej sprawy dotykać, rozmowa zesłała na sprawy bieżące. Domagali się równouprawnienia języka ukraińskiego w szkołach, władzach i urzędach, przyjęcia z powrotem wszystkich wydalonych urzędników Ukraińców do służby państwowej, zwolnienia jeńców ukraińskich, przebywających w Tucholi i Dębnie, żądając zmiany postępowania władz z nimi, dopóki zwolnienie nie nastąpi. Po omówieniu kilku spraw wyszli. Osobiście odniosłem wrażenie, że ta wizyta obliczona była na wyciągnięcie mnie za język.

Za chwilę po ich odejściu przyszedł poseł Paweł Ławruk, kolega z parlamentu austriackiego i przewodniczący chłopskiej delegacji, pytając się mnie, co tam inteligenci na nich wygadali. Oczywiście, że nie miałem mu nic do powiedzenia.

Po ukończeniu wszystkich rozmów poleciłem delegatowi Gałęckiemu zaprosić kilku spośród chłopów na śniadanie. Przyszli bardzo chętnie, a przez cały czas byli bardzo wylani i rozmowni.

Co do niektórych spraw, przez owe delegacje poruszonych, poleciłem Gałęckiemu, ażeby bezzwłocznie wydał zarządzenia, starając się chłopom ukraińskim iść jak najbardziej na rękę. Spowodowałem też uchwałę Rady Ministrów co do stopniowego zwalniania jeńców ukraińskich, szczególnie tych, których pobyt na wolności nie groził państwu żadnym niebezpieczeństwem.

Z tych rozmów z chłopami i inteligencją ukraińską niektórzy narodowi demokraci uknuli zarzut, jakoby specjalnie forytował Ukraińców, a poseł Zamorski w *Wieńcu i Pszczółce* zawyrokował bez zajknięcia, że „Witos Małopolskę Wschodnią Rusinom sprzedaje”. Zarzut był tak śmieszny i bezpodstawny, że się dziwiłem, jak człowiek tej miary, co Zamorski mógł się na niego zdobyć. Przecież ani na chwilę w to nie wierzył.

Po rozmowie z profesorami uniwersytetu, przyjąłem jeszcze delegację robotników socjalistycznych. Przemawiający do mnie ich imieniem poseł Hausner podkreślił z dużym naciskiem, że oni obecny rząd uważają tylko za przejściowy, a Polskę uratować i utrzymać może rząd robotniczo-chłopski. Słuchając tych komunałów pana inżyniera, przypatrywałem się pilnie członkom bardzo licznej delegacji, ale wcale nie mogłem zauważyć, by się ona zbyt szybko przejmowała jego dogmatami.

Wówczas we Lwowie znajdowała się bardzo znaczna ilość ochotników, zebranych tam na kilkudniowe przeszkolenie. Pozo-

stawali oni pod komendą płk. Mączyńskiego. Mając jeszcze chwilę czasu, pojechałem do nich. Na skutek zarządzanego alarmu, za kilka minut wszyscy byli na nogach, przerywając dopiero co rozpoczęty obiad. Zauważyłem, że w tej gromadzie, liczącej paręset ludzi, znalazło się niemal wszystko, co było w Polsce: mieszczanie, chłopci, robotnicy, uczniowie różnych szkół, rzemieślnicy, wielcy właściciele ziemscy. Biła też w oczy ogromna różnorodność, ani dwóch podobnych do siebie wzrostem czy odzieniem. Wspólna była im jedna myśl i pragnienie, a to służba dla Ojczyzny. Nie potrzebowali na nią długo czekać, gdyż za kilka dni byli już na placu boju, w którym wielu z nich znalazło przedwczesny grób. Padli bowiem ofiarą rzezi, dokonanej na nich przez bolszewików wskutek niezwyklej lekkomyślności domorosłych dowódców.

Po przyjeździe do Warszawy przybył do mnie gen. Rozwadowski z wiadomością, że Lwów znajduje się znowu w dużym niebezpieczeństwie, choć on jest pewny, że się to w ciągu kilku godzin zmieni. Przedstawiając mi sytuację szczegółowo podkreślił, że skutki opóźnienia ofensywy przez Piłsudskiego mają już teraz fatalne następstwa, gdyż znaczna część pobitej armii bolszewickiej uratuje się w odwrocie. Gdyby jego rad posłuchano, byłoby zupełnie inaczej. Uporu niezrozumiałego nie dało się przełamać, a szkoda, niepowetowana szkoda. Powtarzając wielokrotnie te wyrazy, jakby dla utrwalenia w pamięci, gen. Rozwadowski wyszedł.

W Pułtusku, Ostrołęce i Łomży

Załatwiwszy się ze sprawami zaległymi i posiedzeniem Rady Ministrów, na prośby różnych delegacji wyjechałem znowu do kilku miejscowości. Objazd zacząłem od Pułtuska. Gdy przybyłem na dziedziniec starego zamku, zastałem kilka tysięcy ludzi, przeważnie ze wsi. Byłem zdziwiony, gdyż starosta dostał wiadomość o moim przyjeździe zaledwie przed paru godzinami. Skargi, prośby i żale takie same jak wszędzie. Brak koni, wozów, bydła, troska o uprawę gruntu i zasiewy. Przemówiłem do zebranych oświadczając, co rząd może zrobić i na co oni mogą liczyć.

Pomiędzy delegatami znajdują się także i członkowie rewkomów, potworzonych w czasie kilkudniowych rządów bolszewickich. Przysięgali się przede mną na wszystkie świętości, że wstępując tam tylko dobro państwa mieli na oku, a te kije, które dostali od wojska polskiego, należały się komu innemu a nie im. Imieniem włościan przemówił młody i bardzo rozumny wójt, wyrażając radość z odniesionego zwycięstwa i prosząc o pomoc.

Pomiędzy tłumem spotkałem też inwalidę, opierającego się na lasce, którego jako rannego widziałem pod Zakroczykiem. Był wynędzniały i blady, ale uradowany, a gdy mu uściśnąłem rękę przypominając jego słowa, rozplakał się jak małe dziecko.

Po krótkiej rozmowie ze starostą w sprawie pomocy dla powiatu odjechałem do Ostrołęki. Szeroka okolica tego miasta wyglądała smutno i ponuro. Grunta piaszczyste i podmokłe, zboża nad wyraz marne, jeszcze nie zebrane. Chłopi się skarżyli, że bolszewicy zabrali im większą część marnego dobytku, resztę zaś wzięły przechodzące za nimi wojska polskie. Położenie ludności stało się niemal beznadziejne. Żale i narzekania tych nieszczęśliwych ludzi, ciche łkania kobiet musiały poruszyć mnie do głębi.

Przyrzekając im pomoc rządu ostrzegłem, ażeby się w całości na nią nie spuszczali, a staroście poleciłem, by się natychmiast zwrócił, gdzie należy, a gdyby nie usunięto nadużyć, na które się ludność skarży, przybył natychmiast do mnie.

Był to wyjątkowy powiat, w którym na postępowanie wojska skarżyli się jednako chłopi, ziemianie, mieszczanie, Żydzi, urzędnicy jak i przedstawiciele różnych instytucji.

Do Łomży przyjechałem na godzinę wcześniej przed oznaczonym terminem i korzystając z tego poszedłem na zwiedzenie miasta. Przechodząc ulicą, spotkałem kapitana Bardla, syna b. min. rolnictwa. Zapytany odpowiedział mi o stosunkach w wojsku, wcale zresztą nie budujących. Szczególnie narzekał na gospodarkę oficerów legionowych, którzy żadnej wartości, ani człowieka nie umieją uszanować.

Omawiając stosunki w Łomży, zaznaczył, że to anarchia i walka wszystkich ze wszystkimi. Starosta jest człowiekiem słabym i niezdecydowanym, znaczna część ludności bolszewikom przychylna.

W czasie przyjęć w starostwie zgłosili się także przedstawiciele tamtejszej Narodowej Demokracji, byli członkowie rewkomu, utworzonego w Łomży przez bolszewików, twierdząc z uporem, że uważali to za nakaz patriotyzmu polskiego, żeby tam wstąpić. Osobliwym tym patriotom powiedziałem od razu gorzkie słowa prawdy. Zaraz po nich zgłosił się poseł Szymański z nauczycielką Jarnuszkiewiczówną i jednym z miejscowych obywateli ze skargą na władze, które miały szczególnie prześladować członków stronnictwa Wyzwolenia. Starosta z miejsca wyjaśnił, że owo prześladowanie było zwyczajnym dochodzeniem przeciw tym członkom Wyzwolenia skierowanym, którzy współdziałali z bolszewikami. A że tak było, dowód leży choćby w tym, że należeli do rewkomu, a Jarnuszkiewiczówna zajmowała nawet miejsce sekretarki. Delegaci owi, niezłomi z tropu, przez usta posła Szy-

mańskiego oświadczyli, że nie uważają wcale za przestępstwo, bo tam przecież nie można było zostawić samych endeków. Kiedy to zachowanie się ich nazwałem po imieniu, wyszli ogromnie niezadowoleni.

Od starosty dowiedziałem się bardzo niewiele, mimo że skargi ludności były niesłychanie liczne. Umywał ręce od wszystkiego, powtarzając kilkakrotnie: „Ja się do niczego nie chcę mieszać”. Kiedy Studziński, oburzony jego zachowaniem się, powiedział zwracając się do niego: „W takim razie pan tu jest w Łomży zupełnie zbyteczny”, zreflektowany odpowiedział, że on się nie chce mieszać do spraw wojskowych. Przez cały czas robił wrażenie człowieka przerażonego. Mimo że od odejścia bolszewików upłynęło sporo czasu, nie zebrał żadnego materiału, ani nie przygotował wniosków.

Po rozmowie z różnymi jeszcze ludźmi, wyjechaliśmy już późną nocą z Łomży. Podróż nasza nie obeszła się bez przygód.

Ponieważ droga z Łomży do Warszawy była błotnista i pełna wybojów, jechaliśmy niezwykle powoli, spóźniając się coraz bardziej. Przewrotny Studziński chciał się w Wyszku dowiedzieć o przejeździe przez rzekę Bug. Ponieważ mu się to nie udało, jechaliśmy dalej kierując się śladami. Było to niesłychanie trudne, gdyż ciemna noc uniemożliwiała orientację. Na szczęście zjawił się automobil ciężarowy, szukający także drogi. Wspólnym wysiłkiem błędząc dość długo, udało nam się wreszcie odszukać prowizoryczny most, rzucony na samej wodzie rzeki Bugu. Przeprowadziliśmy się po nim na drugą stronę.

Zaraz prawie za rzeką szofer pobłądził. Zorientowawszy się, musieliśmy wrócić i rozpocząć poszukiwania. Gdyśmy nareszcie trafili na właściwą drogę, pękło koło od samochodu. Nie mogąc się doczekać naprawienia, poszliśmy naprzód piechotą. Auto dopędziło nas około miasta Radzymina. Wsiadliśmy, ażeby po ujechaniu dwóch kilometrów stanąć, gdyż znowu pękła opona. Po naprawieniu jej dobiliśmy na godzinę trzecią po północy do rogatki. Nowy defekt zmusił nas do odbycia reszty drogi piechotą, gdyż szofer nie widział możliwości naprawienia koła. Równo z brzaskiem dnia dotarłem do mieszkania.

Objazdy, których dokonałem we wszystkich dzielnicach państwa nie tylko że dały mi możność zbadania choćby z grubsza szkód poczynionych przez bolszewików, ale stwierdzenia tuż po ich odejściu zachowania się poszczególnych grup ludności, wystawionej często na bardzo ciężką próbę. Uważałem to za rzecz bardzo ważną ze względów państwowych, tego państwa, które dopiero rozpoczęło swoje samodzielne bytowanie i nie mogło sobie jeszcze wytknąć jasnej i wyraźnej drogi. Sprawozdania

różnych urzędów, a zwłaszcza starostw bardzo często odbiegały od rzeczywistości, obracały się koło szablonów, nie sięgając istoty rzeczy. To było powodem, że nie tracąc chwili czasu wyjechałem na zwiedzenie reszty powiatów pomorskich.

Na Pomorzu

Objazdy rozpocząłem od powiatu tucholskiego. W mieście Tucholi jak zwykle witały mnie władze, duchowieństwo katolickie i ewangelickie, burmistrz, nauczyciele, młodzież szkolna i tłumy ludności polskiej i niemieckiej. Po załatwieniu się z delegacjami, zaprosiła nas pani starościna na śniadanie. Była to osoba wielce rezolutna i doskonale się orientująca. Opowiadano mi, że jako właścicielka dwóch folwarków w ciągu całej wojny sama nimi administrowała, dając sobie bardzo dobrą radę. Obecnie zaś rządzi nie tylko swoim majątkiem, ale także mężem i tucholskim powiatem. Patrząc na nią, można było zaraz w to uwierzyć bez szukania dalszych dowodów.

W okolicach Tucholi wśród ogromnych lasów był wielki, od początku wojny się znajdujący, obóz dla jeńców wojennych przez Niemców zbudowany. Część tego obozu tworzy jakby małe miasto, zbudowana w ziemi na równi z gruntem, druga część nad nią. W barakach tych, ogrodzonych drutem i otoczonych silną strażą, umieszczeni byli oficerowie, podoficerowie i żołnierze b. armii ukraińskiej w ilości dość niewielkiej, bo większa ich część została rozmieszczona po dworach i po wsiach.

Oglądając szczegółowo tak baraki jak i lazarety, spotkałem się z ich przymusowymi mieszkańcami. Natrafiłem prawie na porę obiadową. Oficerowie skarżyli się na pobyt i ciężkie warunki, prosząc o wzięcie ich w opiekę. Byli to przeważnie ludzie młodzi, akademicy, klerycy, studenci gimnazjalni. W osobnej celi był umieszczony Ukrainiec gen. Tarnawski, dawny oficer armii austriackiej. Do towarzystwa dodano mu oficera Ukraińca w randze majora. Opowiadano mi, że między nim a oficerami ukraińskimi istnieje duże napięcie, z powodu rzekomo pojednawczego stanowiska, jakie wobec rządu polskiego gen. Tarnawski miał zajmować.

W więzieniu brzeskim mówił mi b. poseł ukraiński Wisłocki, że gen. Tarnawski dostawszy się na wolność, zupełnie się zmienił, występując publicznie jako zacięty wróg wszystkiego co polskie. Swoim postępowaniem doprowadził do rozejścia się z żoną i z córką, które uważając się za Polki, nie mogły się z nim pogodzić. Osobno pod silną strażą trzymano grupę jeńców, którzy kilkakrotnie próbowali ucieczki. Pomiędzy nimi było kilku Niem-

ców i jeden Czech, który ogromnie głośno wykrzykiwał i rzucał jakieś groźby pod adresem dozorców. Widać, że rygor nie był zbyt ostry, jeśli sobie mógł na to pozwolić. W lazaretach leżało ciężko rannych i stłoczonych wielu żołnierzy armii bolszewickiej. Opiekowali się nimi dwaj lekarze, skarżący się na przeciążenie i niesłychane braki pod każdym względem. Mieli zupełną rację, bo ten lazaret wyglądał strasznie. Nawet wrogowi należało się co innego.

Mieszkańcy wsi okolicznych jako naoczni świadkowie opowiadali mi, że na ogromnym cmentarzu jaki był opodal, leżą całe masy zamęczonych wprost przez Niemców żołnierzy rumuńskich, włoskich i innych narodów, wojnę z Niemcami prowadzących. Dzikie i barbarzyńskie postępowanie z nimi budziło u ludności wstręt i grozę, z której bardzo długo nie mogła ona ochłonąć.

Nieliczni żołnierze Polacy, którzy tam byli zajęci, opowiadali, że Niemcy dobijali słabszych i chorych, a często wprost mordowali i zdrowych jeńców-żołnierzy, bez żadnych powodów.

Następnie udałem się do Chojnic. Prowadził tam wspaniały gościniec, wysadzony drzewami, prostą prześliczną aleją. Starosta chojnicki informował, że miasto Chojnice leżące o kilka kilometrów od granicy niemieckiej, jest silnie zniemczone. Nie inaczej także w powiecie. Ludność bardzo zamożna, kultura wysoka. Brak szkół polskich ludowych i średnich daje się bardzo ciężko odczuwać. W gimnazjum większość uczniów Niemców, język niemiecki pozostał jeszcze jako wykładowy. Rada miejska mianowana ma także znaczną ilość Niemców. Stosunki zmieniają się bardzo szybko na korzyść ludności polskiej, choć jeszcze większa część poważniejszych placówek znajduje się w rękach niemieckich. Za kilkanaście lat rządów niemieckich nie byłoby z Polaków ani śladu, gdyż ubywało ich coraz to więcej, broniąc się coraz słabiej.

Ludność przyjęła mnie niezwykle serdecznie. Na przywitaniu stawiało się duchowieństwo, urzędy, liczne delegacje polskie i niemieckie. Dużą część rozmowy zajęła sprawa szkolnictwa, szczególnie miejscowego gimnazjum. Grono nauczycielskie stało na stanowisku stopniowego polszczenia tej instytucji wychodząc z założenia, że nie można większości uczniów odbierać prawa pobierania nauki w języku ojczystym. Dyrektor gimnazjum informował, że postępy na korzyść polskości są tak poważne, iż za lat kilka można będzie cel swój osiągnąć, nie posuwając się do kroków, które musiałyby wywołać protesty Niemców i popchnąć ich do zakładania własnych szkół, co nie jest dla nas wcale pożądane.

Innego zdania był jeden z profesorów, który w krzykliwym przemówieniu rozpoczął nie tylko krytykę dyrekcji zakładu, ale

także polityki państwowej. Ponieważ rozgorączkowany daleko odbiegł od przedmiotu i zaczął się nawet stawać niegrzeczny, Studziński zwrócił mu na to uwagę. To tak go mocno dotknęło, że zapomniawszy o wszystkim odszedł, a za kilka dni w jednym z pism warszawskich umieścił kłamliwą korespondencję, w dużej mierze przeciwko mnie skierowaną.

Dłuższa rozmowa, jaką przeprowadziłem z samymi Polakami, dała mi możliwość zorientowania się, komu tam oddano w ręce przyszłość kraju. Widziałem, że ludzie, którzy objęli swoje obowiązki, mimo trudnych warunków spełniają je sumiennie i gorliwie, a licząc się ze stosunkami miejscowymi, prowadzą pracę spokojnie i rozumnie.

Skromnym śniadaniem przyjęła nas pani starościna, znana literatka kaszubska, w towarzystwie męża, starszego już człowieka i syna, bardzo rozsądnego młodzieńca. Ludzie ci, znający dobrze stosunki miejscowe jako dawno tam zasiedzieli, przedstawili prawdziwy stan powiatu, co dało podstawę do wydania koniecznych ale i celowych zarządzeń. Były one tym bardziej potrzebne, że Niemcy zaczęli coraz więcej i zuchwalej podnosić głowy. Pozostawali oni także w stałym kontakcie z Niemcami po tamtej stronie granicy. Stamtąd nawet przewozili broń, pod różnymi pozorami, korzystając z ulg i udogodnień, przysługujących właścicielom majątków rolnych. Zwłaszcza po niemieckich dworach miały być nagromadzone znaczne ilości broni i przebranych niemieckich żołnierzy, spełniających tam różne posługi.

Ponieważ gazety niemieckie podawały przesadzone, a często zupełnie zmyślane wiadomości o zwycięstwach wojsk bolszewickich nad armią polską, Niemcy byli przekonani, że dni istnienia Polski są policzone. Stąd pochodziła coraz większa buta i zupełnie prawie wyraźne knowania. Włościanie Polacy twierdzili, iż Niemcy mieli nawet oznaczony termin wybuchu rewolty, a przeszkodziły im tylko niespodziewane przez nich zwycięstwa wojska polskiego i straż obywatelska, stale tam czuwająca i bardzo dobrze uzbrojona.

W Grudziądzu przyjąłem liczne delegacje polskie i niemieckie, przedstawiciele władz, duchowieństwa, wojska, chłopów, robotników, mieszczan, kupców, rzemieślników itp. W przeciwieństwie do innych miejscowości przedstawiciel N.P.R. stanął na gruncie ogólnym, a jego rozumne przemówienie było nacechowane nie tylko troską o robotnika, ale w pierwszym rzędzie o państwo. Ze sprawozdania mi przedłożonego można było widzieć, jak Grudziądz, jedno z najbardziej zniemczonych miast, od czasu objęcia go przez władze polskie zupełnie się zmienił. Obecnie już znaczną większość

stanowi tam ludność polska, a proces odniemczania idzie coraz szybciej.

Niedawni jeszcze panowie Grudziądza, Niemcy, czując grunt usuwający się im spod nóg, starali się mącić i wywoływać niesnaski pomiędzy Polakami. W tej robocie według opinii Brejskiego, może bezwiednie pomagali im różni separatyści, robiąc niejednokrotnie niewłaściwe posunięcia, byle dokuczyć znieawidzonemu Piłsudskiemu. Wynikiem tej roboty był bunt wojskowy w garnizonie grudziądzkim, który się zakończył kilkoma ofiarami i ujawnieniem intryg dość licznych jednostek.

Silnie zniemczony także został powiat grudziądzki, a największą okolicą samego miasta. Najbliższe zaś wsi, które powstały na rozparcelowanej ziemi dworskiej, należącej do Polaków, były wyłącznie przez Niemców zamieszkałe. Miejscowi ludzie mówili, że na targach i jarmarkach nie słyszało się już w Grudziądzu polskiego języka. W czasie mojego tam pobytu znaczna część Niemców już się wyprowadziła a ich miejsce zajęli osadnicy z Królestwa i Małopolski. Umyślnie odwiedziłem kilka kolonii. Wszyscy osadnicy byli zadowoleni ze stosunków gospodarczych, choć się krzywili na uciążliwe przepisy i wysokie ich zdaniem opłaty.

Przy sposobności zwiedziłem zakład graficzny i drukarnię W. Kulerskiego, zaproszony przez niego. Przedstawiając mi potwierdzenie notarialne, objaśnił, że jego pismo *Gazeta Grudziądzka* założona i prowadzona wśród najcięższych warunków za rządów niemieckich i w zniemczonym Grudziądzu, doszła do nakładu około stu tysięcy egzemplarzy. Obecnie była zaledwie kilka tysięcy. Ludzie pracujący u Kulerskiego zdążyli mi powiedzieć, iż powodem tak wielkiego spadku nakładu tak bardzo popularnego i pożytecznego pisma są grzechy polityczne, jakich się Kulerski w czasie wojny światowej miał dopuścić. Był on przez dłuższy czas posłem do parlamentu niemieckiego i jakoby w czasie wojny skłaniał się ku Niemcom. O tę sprawę toczyło się też kilka procesów, już przed sądami polskimi, na skutek skarg wnoszonych przez Kulerskiego przeciw atakującym go endekom. Nigdy się naprawdę nie dowiedziałem, kto w tej sprawie miał słuszość. Jego oskarżyciele zarzucali mu służalstwo wobec Niemców, jeżeli nie zdradę narodu, on się przysięgał na wszystko, że swoją taktyką uczynił Polsce ogromną przysługę.

Do Bydgoszczy zjechałem nie zawiadomiwszy władz tamtejszych. Mimo tego dowiedziały się one o moim przybyciu i zebrały się w komplecie na dworcu kolejowym. Mając trochę wolnego czasu, udałem się na zwiedzenie tego wspaniale wyglądającego miasta. Bydgoszcz jak żadne inne z miast Poznańskiego posiada bardzo wiele dawniejszych i nowych gmachów publicznych,

z dużymi ogrodami owocowymi i ozdobnymi, ulice szerokie i czyste, domy przeważnie duże i ładne. W Bydgoszczy znajdowało się też wiele zakładów przemysłowych, pomiędzy nimi wielkie przedsiębiorstwo drzewne, należące jeszcze wtenczas do Niemców. Na kanale łączącym Wisłę z Notecią znajdowały się ogromne ilości drzewa, leżącego tam podobno od początku wojny światowej. Miasto do niedawna prawie czysto niemieckie, po ucieczce wielu Niemców i przyłączeniu do niego dużej wsi polskiej, stanowiło już wówczas znaczną większość polską.

Nad miastem panuje duży park ładnie położony i dobrze utrzymany. Opowiadano mi, że z niego miał Napoleon obserwować przebieg bitwy, jaka się toczyła między francuskimi i rosyjskimi wojskami.

Załatwiwszy się w mieście z różnymi ludźmi, pojechałem do dwóch wiosek, o parę kilometrów odległych, uchodzących za wzorowe. Rzeczywiście mogły one być wzorem postępu, porządku, zamożności, o których w innych dzielnicach nie można było i marzyć. A przecież Niemcy przez kilka lat wojny wyciągnęli z nich co tylko mogli. Cóż dopiero było przed tym!

Z Bydgoszczy pojechałem do Chełmna. Wojewoda Brejski twierdził, że w tym oraz w świeckim powiecie ruch separatystyczny jest najbardziej rozgałęziony, czemu stanowczo przeczył min. Kucharski. Miasto niezwykle czyste i schludne, położone na kilku pagórkach, wygląda malowniczo. Powiat chełmski należy do najbogatszych na Pomorzu. Ludność polska stanowi tam znaczną większość, ale Niemcy posiadali większość ziemi, stojąc majątkowo niesłychanie silnie. Przeprowadzenie reformy rolnej jest tam świętym nakazem polityki narodowej.

Całe miasto przybrało świąteczną szatę. Sztandary o barwach polskich powiewały na każdym domu. Na nasze powitanie wyszły liczne tysiące ludzi, duchowieństwo, urzędy, wojsko, mieszczanie, chłopci, robotnicy. Przyjęcie delegacji odbyło się wspólnie w ogromnej sali starostwa. Przemawiali starosta, burmistrz miasta Chełmna, przedstawiciele włościan polskich i niemieckich, nauczycielstwa i dwoje dzieci szkolnych. Wszyscy wyrażali radość ze zwycięstwa armii polskiej i mojego tam przybycia. Odpowiadając na przemówienia, wskazałem na konieczność zespolenia wszystkich sił w narodzie do walki z wrogiem w obronie bytu państwa i honoru narodu polskiego. Wszelkie porachunki partyjne czy dzielnicowe powinny ustać, gdyż w tym czasie są one nie tylko szkodłą, ale zbrodnią wobec państwa. W czasie mojego przemówienia panowała na sali uroczysta cisza. Na ogólną prośbę powtórzyłem przemówienie tłumom ludzi, oczekującym na mnie przed staro-

stwem. Zabrało mi to więcej czasu, gdyż tłumy oklaskiwały niemal każde moje słowo.

Po małym posiłku udałem się do Świecia. We wszystkich miejscowościach, przez które przejeżdżałem, stały bramy triumfalne, a przy nich rzesze ludności. W kilku miejscach byłem zmuszony się zatrzymać dla odebrania chleba i soli. Całe wsie tonęły w sztandarach o barwach polskich.

W Świeciu oczekiwały od samego rana tłumy ludności, liczące mnogie tysiące. Wszyscy byli nie tylko w odświętnym ubraniu, ale także w świątecznym nastroju.

Po kilku przemówieniach zabrał głos imieniem powiatu młody ksiądz, wygłaszając dłuższe przemówienie, lekko separatystyczne i silnie demagogią naszpikowane. Podnosił skargi na różne braki, zwłaszcza w ubraniu i aprowizacji, choć doskonały wygląd zgromadzonych kłam temu zadawał. Widziałem, że jego przemówieniu towarzyszyły dość liczne oklaski, co wywołało zaniepokojenie starosty i uwagę wojewody, do mnie po cichu wypowiedzianą, że ksiądz ów jest jednym z najruchliwszych separatystów. Po kilku jeszcze powitalnych przemówieniach zabrałem głos zaznaczając na wstępie, że nie jako kierownik rządu, ale jako zwyczajny obywatel, z poglądami przez księdza owego wygłoszonymi nie tylko nie mógłbym się zgodzić, ale musiałbym je bardzo stanowczo potępić. Poza potrzebami życia codziennego, a często i przed nimi każdy naród ma wyższe cele. Do nich on dąży i one dopiero czynią go naprawdę narodem. Potrzeby, wymienione przez mówcę, ma każde stworzenie, od którego człowiek musi się wyróżniać. Jeżeli zaś wierność tej dzielnicy do państwa chciałby ksiądz uzależnić od tego, czy i ile ono w tych ciężkich czasach potrafi dostarczyć odzienia i żywności, czy ono potrafi ogrzać i nakarmić dostatecznie wszystkich, to musiał zapomnieć o idealach, którymi żyły całe polskie pokolenia, przelewając krew nie za opał, jedzenie i ubranie, ale za wolność ojczyzny.

Należy przecież pamiętać, że naród nasz niszczonego był systematycznie przez zaborców przez półtora wieku, a państwo polskie powstało na gruzach, jakie przyniosła wojna światowa. Z trudem musi prowadzić swój żywot, a na domiar złego zostało zmuszone do ciężkich i długotrwałych wojen, które w obronie swojego bytu prowadzi. Gdyby obywatele polscy chcieli się kierować wskazaniem księdza mówcy, to dziś nie tylko że nie mielibyśmy wolnej ojczyzny, ale nawet i kawałka chleba, gdyż byłby go zabrał nieprzyjaciel.

Długotrwałe, gorące oklaski były potwierdzeniem, że ludność zebrana nie myślała inaczej. W czasie rozmowy ze mną ksiądz ten tłumacząc się z swojego przemówienia, mówił, że on tak nie my-

ślał, tylko go poniosło. Członkowie kilku delegacji ujmując się za nim przedstawiali go jako człowieka bardzo czynnego i ofiarnego, tylko przeczulonego i nienawidzącego Piłsudskiego do ostatnich granic.

Liczne delegacje przyniosły ze sobą taką mnogość spraw, że dla ich załatwienia musiałbym tam kilka dni zabawić. Zebrałem je więc, oddając min. Kucharskiemu i wojewodzie, którzy je załatwili w najkrótszym czasie, przysyłając mi odpowiednie sprawozdanie. Gdy wszystkie inne delegacje zachowały się przyzwoicie, to właściciele ziemscy rozpoczęli głośną kłótnię z robotnikami rolnymi, którą Studziński bardzo umiejętnie zlikwidował.

Po zwiedzeniu miasta udałem się na wieś, ażeby widzieć z bliska gospodarstwa tamtejszych chłopów. Pomiędzy innymi oglądałem gospodarstwo osadnika Zięby. Przybył on już dawniej na Pomorze, zagospodarował się i bardzo sobie chwalił tamtejsze stosunki.

Wojewoda Brejski zawzięty patriota pomorski, bardzo żałował, że nie mogliśmy już zwiedzić starożytnego zamku książąt pomorskich, z których Światopełk tak dzielnie i skutecznie bronił się przed Krzyżakami.

W drodze powrotnej zwiedziłem w Chełmnie przytulisko i wielkie zakłady dla sierot i starców, utrzymywane przez siostry Bernardynki. Dzieciarnia chowana była tam bardzo liczna, bardzo dobrze odżywiana i doskonale prowadzona. Pomiędzy starcami spotkałem powstańca z r. 1863, kalekę o jednej nodze nazwiskiem Mackensen. Mimo swojego podeszłego wieku i kalectwa trzymał się jeszcze bardzo dobrze. Opowiedział mi też krótko historię swojego życia i walk powstańczych, ciesząc się, że doczekał zmartwychwstania Ojczyzny. Wśród łkania i płaczu zaznaczył, że jakkolwiek jest krewnym Mackensena, znanego dowódcy wojsk niemieckich, to jednak czuje się dobrym Polakiem i takim do śmierci pozostanie.

W Toruniu zakończyłem swój forsowny i nużący objazd. Wojewoda Brejski zrobił co tylko mógł, ażeby miasto Toruń okazało w sposób widoczny przywiązanie do państwa i wdzięczność dla rządu i dla mnie. Imieniem miasta witał mnie prezydent Wolszleger, stary zasłużony działacz narodowy. Mówił ogromnie rozrzuwniony, łzy ciekły mu z oczu prawie za każdym słowem. Imieniem województwa przemówił w słowach niezmiernie gorących sam wojewoda Brejski, wynosząc mnie pod niebiosa i przypisując mej osobie wielką część zasługi odniesionego nad bolszewikami zwycięstwa przez skonsolidowanie wszystkich sił narodu.

Zebrany na sali gmachu województwa urzędnikom palnął wojewoda siarczyste kazanie, przypominając im ich zadania i obo-

wiązki. Ponieważ zwrócił się publicznie z prośbą do mnie o wypowiedzenie kilku słów, przemówiłem parę minut, wśród nie-milkających i nie pozwalających mi skończyć przemówienia okla-sków.

Jeżeli się zważy, jakie to dziś na wskroś polskie miasto przechodziło koleje przez całe wieki, a niedawno miało inwazję bolszewicką przed swoimi bramami, to się zrozumie serdeczny i radosny nastrój, jaki tam panował. Jakkolwiek Toruń znieść musiało długie panowanie krzyżackie, a potem ciężką niewolę pruską, to oprócz szczątków zamków krzyżackich, budynków i kościołów przez Krzyżaków budowanych, nic tam prawie po nich nie zostało.

Nieprzyjemnym incydentem w tym uroczystym nastroju była wiadomość, przyniesiona przez wojewodę, jakoby w tym czasie odbywały się narady spiskowców, rekrutujących się z Narodowej Demokracji, których zamiarem było obalenie piłsudczyków i Piłsudskiego przy pomocy buntu wojskowego. Wiadomość wywołała bardzo żywą dyskusję, szczególnie pomiędzy Brejskim i min. Kucharskim. Brejski upierał się stanowczo przy swoim twierdząc, że jest to ruch organizowany i kierowany przez endecję, mający za zadanie opanowania Pomorza i Poznańskiego, a następnie zagarnięcie władzy w całej Polsce. Oprócz polityków wmieszani tam są różni urzędnicy i oficerowie. Minister Kucharski zaprzeczał temu stanowczo, uważając rewelacje wojewody za rzecz zupełnie śmieszną. Chcąc udowodnić to z miejsca, w sposób dość niezręczny wezwał komendanta policji, polecając mu przeprowadzić śledztwo i złożyć sprawozdanie jeszcze przed moim odjazdem. Ponieważ miejsce, gdzie się odbywały narady, było dobrze policji znane, komisarz nie widział żadnych w tym trudności.

Jakoś po upływie może godziny czasu komendant policji zameldował, że rzeczywiście odbywa się tam narada, ale zupełnie innych ludzi i bez związku z poruszoną sprawą. Dla mnie było to wystarczające, jednak wojewoda upierał się przy swoim twierdząc, że zamierzenia były, a tylko mój przyjazd uniemożliwił dalszą robotę i unicestwił planowany zamach. Zresztą komendant policji to także endek, nie można więc polegać na jego sprawozdaniu. To mi się już wydawało chorobliwe.

Wbrew przekonaniu Brejskiego ludzie bezstronni twierdzili, że ten rzekomy spisek istniał, ale jako akcja skierowana przeciw gen. Roji, którego obwiniano o robotę destrukcyjną, a jak twierdzili niektórzy, nawet antypaństwową. Nie przeczył temu i Brejski, zaznaczając, że znane mu są pomysły Roji ewentualnego oderwania Pomorza od Polski i ogłoszenia osobnego państwa i to

podobno o ustroju sowieckim. Mimo wszystko wojewoda został nieprzekonany.

Koszary, szpitale

W czasie moich objazdów zwiedziłem także szereg koszar i szpitali wojskowych. Prawie wszędzie braki, żale, przepelnienie. Te braki dawały się bardzo przykro odczuć, bo nadmiernej ilości ludzi nie można było ani odziać ani też wyżywić. Skarżyli się oficerowie, że żołnierze chodzą boso całymi tygodniami, nie mają bieleziny, nie mówiąc już o mundurach. Nie mogli się też często doczekać wcielenia do szeregów. Twierdzili oni, że stan podobny jest niesłychanie demoralizujący, zwłaszcza dla młodego żołnierza, gdyż nabiera on lekceważenia dla państwa, które go w tym utrzymuje, i zniechęca się do służby.

Lekarzom chorzy przeważnie wystawiali dobre świadectwo, mówiąc że spełniają oni sumiennie swoje obowiązki, dbają o chorych i starają się dla nich robić co tylko możliwe, pomimo braków bardzo dotkliwych. Bardzo dodatnio wyrażali się także o pielęgniarzach. Najwięcej narzekali lekarze tych szpitali, które zostały ewakuowane ze wschodu z miejscowości zajętych przez bolszewików. Podnosili też żale na ludność miejscową, która jakoś nie bardzo chciała zrozumieć, w jak ciężkim położeniu znaleźli się ci, co u niej zmuszeni byli szukać gościny.

Ranni umieszczeni w szpitalach zachowywali się nadzwyczaj spokojnie. Prawie że nie było słycać żadnych jęków ani narzekań. Kiedy rozmawiając z nimi pytałem się kilku, czy im nie żal że zostaną kalekami na całe życie, odpowiadali mi zwykle: „No, trudno, myśmy i dla obcych cierpień”. Obserwowałem tę cierpliwość u żołnierza Rogoża, pochodzącego z Borzęcina w powiecie brzeskim. Kiedy mu z nogi pogruchotanej lekarze wyjmowali kawałki kości, on palił spokojnie papierosa jakby to nie o jego nogę chodziło. W szpitalu w Skierniewicach dokonywał operacji z ogromną zręcznością lekarz Bułgar z pochodzenia, ożeniony z Polką, która go skłoniła do służby w armii polskiej.

Dalsza walka i zwycięstwa

Z powodu zwycięstw przez wojska polskie odniesionych Rada Obrony Państwa wydała następującą odezwę w dniu 27 sierpnia 1920 r.:

„Żołnierze! Przed paru tygodniami Naczelnny Wódz imieniem Rady Obrony Państwa wezwał Was do wytężonej walki z bezczelnym najeźdźcą-bolszewikiem, który niszczącą falą zalewał nasze ziemie, zdążając do zajęcia stolicy państwa i zniszczenia naszej niepodległości. Posłuszni temu wezwaniu, pełni poczucia obowiązku i ogromu niebezpieczeństwa, nie bacząc na trudy i braki, zerwaliście się do walki, runęliście jak burza i zwyciężyliście!

Liczne zastępy najeźdźców zostały albo zniszczone, albo dostały się do niewoli, albo też rozbite błakają się jeszcze po naszym kraju lub poza nim. Potęga wroga została w znacznej mierze zniweczona.

Dzisiaj po tym czasie brzemiennym w wypadki pierwszej doniosłości, które zaważą na historii Polski, a pewnie i świata, zwracamy się do Was ze słowami najwyższego uznania i serdecznej podziękii.

Żołnierze! Waszym męstwem, Waszą krwią i znojem uratowaliście niepodległość i byt państwa, uratowaliście honor narodu, uratowaliście swoje rodziny w chwili, gdy obcy i swoi już zwątpili. Wyście płomieniem bohaterskiego zapału, Wyście porywem swego czynu wyryli na sztandarze polskim ogniste: „Jeszcze nie zginęła”. Historia Polski, historia Europy zapisze czyn Wasz złotymi głoskami, a ojczyzna w dalekie pokolenia wdzięczna Wam będzie. Przyjmijcie podziękę i do końca wytrwajcie!

Warszawa, dnia 27 sierpnia 1920 r.

Rada Obrony Państwa.

Przewodniczący, Naczelnik Państwa — Józef Piłsudski

Prezydent Ministrów — Wincenty Witos.

Marszałek Sejmu Ustawodawczego — Wojciech Trąmpczyński”.

W tej chwili już bez żadnego oporu znalazły się pod tym aktem podpisy wszystkich członków Rady Obrony Państwa, co nawet niektórym wytknięto.

Walki na froncie toczyły się jeszcze w dalszym ciągu. Spóźniony wielki manewr armii konnej Budiennego od Lwowa na Lublin zakończył się jej klęską pod Zamościem i Komorowem. Operacjami tymi kieruje gen. Sikorski. Główny ciężar walki dźwiga na sobie armia gen. Stanisława Hallera. Dalsze operacje prowadzone przez gen. Sikorskiego nad Bugiem i na Wołyniu kończą się zupełnym wyparciem tego groźnego przeciwnika.

Gen. Rozwadowski stale niezadowolony i zarazem zmartwiony, gdyż Piłsudski jakoby znowu przekreślił jego plany. Dążył on do zniszczenia sił bolszewickich, pobicia Litwinów i przez Wilno i Białystok wkroczenia na Litwę kowieńską, ażeby tą drogą dotrzeć do Bałtyku i tam pozostać. Byłby to zdobytą dla Polski naturalny dostęp do morza.

Wbrew temu Piłsudski poszedł nad Niemen z zamiarem rzucenia wojsk bolszewickich na błota pińskie. Gen. Rozwadowski zawsze był zdania, że to posunięcie chybiło celu, gdyż wojska bolszewickie nie zostały zniszczone, natomiast wojskom litewskim dało możliwość wycofania się prawie bez strat i zatrzymania w swoim ręku Wilna.

Jak już wspomniałem powyżej, w miesiącu wrześniu ofensywa gen. Stanisława Hallera w Galicji i Sikorskiego na Wołyniu rozbija południowe armie sowieckie, w końcu zaś tego miesiąca wielka bitwa prowadzona przez Piłsudskiego nad Niemnem doprowadza front bolszewicki do ostatecznego załamania, zmuszając wreszcie rząd bolszewicki do prośby o zawieszenie broni, co i rządowi polskiemu bardzo było na rękę.

Ludzie i zasługi

Wojną polsko-bolszewicką jak i jej przebiegiem zajmowałem się bardzo gorliwie. Nie tylko dlatego, że było to moim zadaniem i obowiązkiem jako szefa rządu, ale wypadki i niebezpieczeństwo zagładające nieraz w oczy kilka razy na dzień do tego zmuszały. Nie schodziła też z mojej pamięci świadomość, że jestem przedstawicielem stanu, który wyszedł po raz pierwszy na widownię, biorąc na siebie wielką odpowiedzialność przed narodem i historią.

Starając się w granicach możliwości robić wszystko, co się mogło przyczynić do szczęśliwego przebiegu walki i zapewnienia zwycięstwa, nie mieszałem się nigdy do tego, na czym się nie znałem i co było obowiązkiem i prawem fachowców, przed państwem i rządem odpowiedzialnych. Moja więc ocena większych czy mniejszych zasług poszczególnych osób, w tej wojnie wybitniejszy udział biorących może być podyktowana obiektywną oceną chłopskiego a sądzę i zdrowego rozumu. Nie przeczę, że w tych sprawach może on się okazać niewystarczający.

Wiem, że wielu opinię moją potraktuje wzruszeniem ramion, inni zapewne z świętym oburzeniem. To mnie jednak niewiele obchodzi wtenczas, gdy trzeba dać świadectwo prawdzie i uznać rzeczywiste zasługi ludzi, o których tak łatwo zapomniano, a którzy się nie chcieli, czy nie umieli reklamować.

Piłsudski

W czasie, kiedy to piszę, Piłsudski spoczywa już na Wawelu. Pochowano go pomiędzy największymi i najbardziej dla Polski zasłużonymi ludźmi. Wielbiciele jego uważają nawet, że to miejsce dla niego nie jest wystarczające, mimo że tak natarczywie domagali się tego u Arcybiskupa Śapiehy, nie cofając się przed groźbami.

Urządzony z wielką pompą i rozrzutnością grosza publiczne-

go, pogrzeb został pomyślany nie tylko jako wielka manifestacja zasług Piłsudskiego, ale przede wszystkim dla utwierdzenia rządów przewrotem majowym wprowadzonych. Pochlebcy poszli tak daleko, że nie tylko wywołali niesmak, ale uczynili szkodę temu, którego chcieli zamiast Boga wprowadzić na ołtarz. Odczuli to najmniejsi w narodzie i dlatego żal nie był powszechny. Liczne zaś aresztowania ludzi z różnych sfer za brak szacunku dla tej chwili i dla zmarłego, mówiły zupełnie o czym innym. Jak w tym momencie patrzeli ludzie niezależni i miłujący prawdę, mogą być świadkami niektórzy biskupi i księża, którzy się stali przedmiotem niesłychanej naganki i nieludzkiego prześladowania. Winą ich było, że nie dali sobie zakryć oczu na istotną prawdę.

Jako szef rządu w czasie zmagania się z bolszewikami czułem się w obowiązku solidarnej odpowiedzialności z tymi z którymi współpracowałem. Stąd też w czasie największej naganki na Piłsudskiego broniłem go z całą siłą, na jaką mogłem się zdobyć, mimo że ludzie znający go lepiej, radzili mi być ostrożniejszym tak ze względu na opinię, jak i na postępowanie Piłsudskiego. Tak gen. Rozwadowski jak Roja i inni, którzy go lepiej ode mnie znali, twierdzili, że Piłsudski prawie zawsze i wszystko zaczynał i robił z myślą o sobie, choć się to starał jak najbardziej ukrywać. Z bardzo dużą łatwością przerzucał też odpowiedzialność na innych, zapominając rychło, że on był autorem popełnionej winy. Zawsze też umiał znaleźć świadków powolnych jak i wielbicieli swojego talentu, których rozmachu nie tylko nie powstrzymywał, ale swoim postępowaniem zachęcał. Bez wszelkiego wahanja poświęcał tak życie ludzkie, jak i najbliższych przyjaciół, jeżeli tego wymagały jego plany, nie zawsze idące po drodze publicznego dobra. W takich razach umiał być nieugięty, bezwzględny, a nawet okrutny.

Bardzo wiele opowiadał mi na ten temat poseł dr Lieberman w więzieniu brzeskim, oburzając się na te straszne praktyki. Szkoda, że tak późno. Swoimi metodami musiał też górować nad wszystkimi, którzy tak postępować nie umieli, albo nie chcieli. Zostali też zepchnięci i wyrzuceni przez niego jak sprzęt nieużyteczny, odarci nie tylko z zasług i czci, ale jak gen. Rozwadowski nawet pozbawieni życia. Jest to tym bardziej znamienne i przykre zarazem, że niektórzy z nich byli nie tylko jego wiernymi towarzyszami broni, ratowali państwo i swoimi wysiłkami naprawiali błędy przezeń popełnione, ale — mogę to stwierdzić — byli mu szczerze oddani.

Do sporu, czyją zasługą były plany, na podstawie których osiągnięto zwycięstwo, „Cud nad Wisłą”, wiele nie umiem dorzucić, gdyż oprócz bardzo dyplomatycznej i dla mnie nie zrozumi-

miałej opinii ministra spraw wojskowych gen. Sosnkowskiego i wstrzeźliwego nadzwyczaj zachowania się gen. Rozwadowskiego, który to uważał za bardzo delikatną materię, od nikogo więcej nic miarodajnego nie starałem się dowiedzieć. Między urzędnikami moimi panowało przekonanie, że plan był dziełem gen. Weyganda, mimo że do tego nigdy nie przyznał, nie chcąc drażnić ambicji Piłsudskiego, a podobno także i gen. Rozwadowskiego. To jednak nie było miarodajne.

Generał Rozwadowski

Cokolwiek się będzie pisać i mówić, kogo się będzie chciało ubierać w laury i zasługi, to rok 1920, „Cud nad Wisłą” i zwycięstwo nad bolszewikami odniesione, pozostać muszą na zawsze z nazwiskiem gen. Rozwadowskiego związane. Ja osobiście nie znałem go zupełnie aż do czasu objęcia przez niego obowiązków szefa sztabu. Raz tylko słyszałem o nim na posiedzeniu krakowskiego Naczelnego Komitetu Narodowego, kiedy przy jakiejś sposobności z jednej strony przedstawiono go jako wykształconego i bardzo zdolnego oficera, a przy tym gorącego Polaka, z drugiej zwalczano zawzięcie jako zapalonego endeka i reakcjonistę o wstecznych niesłychanie poglądach. Na czym miała polegać ta jego reakcyjność, tego nie mówiono.

Na moim urzędzie prezydenta ministrów, zwłaszcza z początku, sprawił on mi parokrotnie przykry zawód, kiedy jego bardzo stanowcze zapowiedzi, dotyczące postępów naszego wojska, wręcz się nie spełniły, a niebezpieczeństwo zwiększało się gwałtownie z godziny na godzinę.

Według mojego niefachowego zdania nie rozwinął on wcale swojego talentu w czasie przewrotu majowego, a swoim optymizmem tam niczym nie usprawiedliwionym, umożliwił zwycięstwo Piłsudskiego. Każdemu jednak może się powinąć noga, a wojna domowa nie dla wszystkich jest walką z nieprzyjacielem, którego należy tępić wszelkimi środkami. Ponieważ dobrze wiedziałem, że od gen. Rozwadowskiego niemal wszystko zależało, a w jego ręku znalazły się losy walki i tego co z nią związane, patrzyłem na każdy jego ruch, obserwowałem jego zachowanie, słowem nie spuszczałem go z oka.

Zaraz też od pierwszej chwili zauważyłem, że z wielkim trudem przychodziło mu utrzymać spokój, biegał nerwowo, stawał nieraz zamyślony, z wyrazu zaś jego twarzy można było wyczytać cierpienie moralne.

Co innego r. 1920 i walka z bolszewikami. Tam miałem co

dzień możność i sposobność widzieć i podziwiać jego niczym nienaruszony spokój, nadludzką wytrwałość, rzadką obowiązkowość, optymizm nie opuszczający go nawet w najcięższych chwilach, bezgraniczne oddanie się sprawie i wiarę w zwycięstwo, którą umiał przenieść na swoje otoczenie.

Mnie się wydawał czasami trochę nieopatrzny, choć zawsze prostolinijny i zupełnie bezinteresowny. Toteż zarzuty natury moralnej, stawiane mu przez Piłsudskiego po przewrocie majowym, naruszające jego cześć osobistą, uważałem za rozmyślnie oszczerstwo, potrzebne wtenczas Piłsudskiemu do wykonania na gen. Rozwadowskim nieludzkiej zemsty i zdeptania go moralnie i fizycznie.

Jeśli byłyby bodaj nikłe podstawy dla stawianych zarzutów, wytoczono by mu proces. Tego Piłsudski nie zrobił, choć mógł być pewny uległości sądów, lecz zamęczał Rozwadowskiego więzieniem i wyszukаныmi torturami, które zniszczyły jego zdrowie i przybliżyły śmierć. Tej poniewierki byłby nie wytrzymał żaden człowiek, uległo jej też zdrowie gen. Rozwadowskiego, tym bardziej, gdy widział, że nikt nie stanął w jego obronie.

Ja opinię tę powtarzałem, gdzie należało, nie mogłem jednak nic zrobić, gdyż sam byłem ubezwładniony, ludzie zaś do których się zwracałem, oburzali się na bezecne postępowanie, ale się nie chcieli narażać. Toteż przeważnie zachowali milczenie nawet i wtenczas, gdy nastąpiła śmierć gen. Rozwadowskiego, otoczona dziwnym urokiem tajemniczości. Lewicowych polityków wypadki te nie poruszyły.

Niezwykła jego lojalność wobec Piłsudskiego ujawniła się w całej pełni szczególnie wtenczas, gdy w dniu 12 sierpnia 1920 r. Piłsudski niespodziewanie opuścił Warszawę, a jego funkcje wojskowe objął Rozwadowski. Miałem sposobność nieraz patrzeć na to, jak na każdym kroku i przy każdej sposobności z niezwykłą otwartością, poświęceniem się i odwagą bronił nie tylko zamierzeń, ale autorytetu i osobistej czci Piłsudskiego. A przecież nie było to rzeczą ani łatwą ani popularną, bo ciężkie zarzuty przeciw Piłsudskiemu sypały się jak z rogu obfitości.

Jego wielkie zasługi i charakter przecież sam Piłsudski uznał, dając temu mocny wyraz w publicznym rozkazie. No, ale było to w czasie walki, która nie pozwalała na przemyślane kombinacje. Od Piłsudskiego różnił się gen. Rozwadowski bardzo tym, że, pozostawiając swoją osobę na boku, wierzył w naród i armię i stale to powtarzał. Idąc niezachwianie z tą wiarą naprzód, w bardzo wielkiej mierze przyczynił się też do uchronienia narodu od hańby, nie zarobiwszy jak dotąd na jego wdzięczność, gdy inni niezasłużenie hołdy zbierają.

Generał Haller

Niepoślednia rola w tych decydujących o losie państwa momentach przypada gen. Józefowi Hallerowi. Opierała się oni u niego przede wszystkim na czynniku moralnym. W odwrocie znad Berezyny i Wieprza aż po Wisłę, wojska nasze szły niesłuchanie szybko, bo około 80 km. na dzień. Nastrój stale ponoszonych klęsk panował powszechnie. Tu główna rola Rządu Obrony Narodowej polegała na tym, że stał on się wyobrażeniem i niejako widocznym symbolem nieugiętej woli i solidarnego wysiłku, który został podjęty w obronie zagrożonej niepodległości państwa. Na niej miała się też oprzeć związana z narodem armia polską. Tę świeżą, nie nadwerżoną żadnymi zarazkami wolę przynieśli na front ochotnicy, stanowiący przeszło sto tysięcy ludzi. Stało się to w największej mierze dzięki niez mordowanej i wprost nadludzkiej pracy generała Józefa Hallera. On stał się też wyrazicielem owego ożywczego prądu w wyższym dowództwie i niejako gwarancją trwałej pod tym względem odmiany.

Mianowany dowódcą północnego frontu, od pierwszego momentu starał się cofając się w pośpiechu wojska opanować i ustabilizować rozbitą front. Tego nie można było dokonać bez zmiany nastrojów i powrotu wiary w zwycięstwo, która opuściła zdziśiatkowane i rozbite szeregi. Na to potrzeba było i trochę czasu. Cokolwiek bowiem mówił i pisał Piłsudski o swoich zamiarach odwrócenia losu wojny już nad Bugiem, to każdy wie o tym, że dla dokonania takiego przedsięwzięcia potrzeba było nowych sił i możliwości przygotowania i użycia. Naczelne Dowództwo nie rozporządzało wtenczas ani jednym pułkiem w rezerwie, a bolszewicy deptali coraz silniej po piętach. Chodziło również o to, ażeby żołnierz, dotychczas bity i ścigany, stanął raz twardo na miejscu, zatrzymał bolszewików i odrzucił od siebie. Sprawić to jeno mógł nowy duch, który z czasem wstąpił w osłabione zwątpieniem szeregi i to jest wielką, historyczną zasługą gen. Hallera. Niestrudzony w swej pracy, był on zawsze na podległym mu froncie, gdzie się tylko decydował jego los, nie ograniczając się do pracy sztabowej. W chwilach najcięższych stał obok żołnierza dręczonego głodem i pościgiem, dodając mu otuchy i starając się przelać w niego gorącą wiarę w zwycięstwo, do którego się sam w wielkiej mierze przyczynił, nie reklamując tego nigdy.

Front Północny

Wbrew urabianej tendencji i stale opinii, rozstrzygnię-

cie polskie w bolszewickiej wojnie r. 1920 zapadło nie na południu, lecz na północy, a więc nie na froncie, dowodzonym przez Piłsudskiego bezpośrednio, ale na froncie gen. Hallera. Szale zwycięstwa i klęski w naszej rozprawie z bolszewikami zdecydowały się w kilkudniowej, bardzo ciężkiej i krwawej bitwie, jaka się toczyła na północ od Modlina, od 14 sierpnia począwszy. Stwierdzały to zresztą komunikaty Naczelnego Dowództwa, przyznawali także bolszewicy.

Dostępne obecnie ich komunikaty i publikacje głoszą bez ogródek, że przesilenie wojny w r. 1920 nastąpiło na odcinku piątej armii prowadzonej przez gen. Sikorskiego i to jeszcze w ten czas, zanim ofensywa znad Wieprza dała się odczuć na polach bitew nad Wisłą i Wkrą. O ile wiem, Nacz. Dowództwo o ugrupowaniu wojsk bolszewickich miało zupełnie fałszywe wiadomości. Usiłował je też sprostować gen. Weygand, widać lepiej zorientowany w tym, że ogromna większość wojsk bolszewickich zgromadzona była na północ od Bugu i Narwi. Piłsudski jednak nie chciał się dać przekonać. Przecież jeszcze w swojej książce stwierdza, że dnia 17 sierpnia, a więc po przełomowej bitwie pod Nasielskiem, poszukiwał on większości wojsk bolszewickich na drodze swojego pochodu, a więc na północ od Wieprza.

Jak wynikało z relacji gen. Sikorskiego w czasie rozmowy ze mną, miał on przeciw sobie ogromną przewagę wojsk bolszewickich, gdy rozpoczął uderzenie na północ od Modlina. Nie należy zapominać przy tym, że przeciw niemu stały wojska bolszewickie, upojone zwycięskim pościgiem już od Dźwiny, gdy większość oddziałów gen. Sikorskiego miała za sobą wiele klęsk i ciężki, długi odwrót. Toteż w tych warunkach tym silniejszej trzeba było woli, energii i uporczywej konsekwencji, ażeby tak wyczerpane wojska rzucać do ataku i z nimi zwyciężać. Wola została narazona na bardzo ciężką próbę pomiędzy innymi, gdy bolszewicy wielkimi siłami, zebranymi pod Płockiem i Płońskiem rozpoczęli uderzenie na odsłonięte zupełnie tyły armii gen. Sikorskiego.

Na wyniki tej walki oczekiwaliśmy z niesłychanym niepokojem, mimo zaufania, żywnego do gen. Sikorskiego. Niemałą obawę miał także i gen. Rozwadowski widząc, że wojska stojące pod Radzyminem nie mogły obronić Warszawy. Mimo że sam uważał to za bardzo ryzykowne, gdyż oddziały tej armii były za mało skupione, a żołnierze pozbawieni środków walki i żywności, zwożonych dopiero pośpiesznie do rejonów Modlina, polecił on akcję armii Sikorskiego na gwałt przyspieszyć. Nie widział bowiem innego wyjścia, zwłaszcza gdy pod Radzyminem zaczął się front łamać daleko prędzej, niż się można było tego spodziewać.

Armia ta musiała rozpocząć nierówną walkę w czasie, kiedy znaczna część sił w skład jej wchodzących nie przybyła jeszcze na miejsce przeznaczenia. Toteż z początku było jej bardzo ciężko. Pomimo tego zdołała nie tylko ulżyć Warszawie, zatrzymać bolszewików, którzy pod Modlinem chcieli przekroczyć Wisłę, ale spowodowała dalszą i to znaczną ulgę pod Radzymi-
nem. Kiedy wraz z innymi ministrami składałem gen. Sikorskiemu gratulacje w zdobytym Nasielsku, mogliśmy być niemal pewni zwycięstwa, chociaż liczne dywizje bolszewickie w tym samym czasie szturmowały zawzięcie tak niedaleko położony Płock. W przekonaniu tym utwierdzały nas i pewność wodza i znakomite nastroje i postawa jego żołnierzy. Zasługi gen. Sikorskiego wszyscy uznawali i wszyscy też milczeli, gdy Piłsudski wywierając na nim, jak na wielu innych swoją zemstę, odsunął go nawet od służby w wojsku, do której ma lepsze od wielu kwalifikacje.

Generał Weygand

Gen. Weygand przebywał w Polsce od 25 lipca do 24 sierpnia 1920 r. Przybył on do Warszawy już po objęciu władzy przeze mnie. Wysłany został po konferencji w Spa, wraz z misją międzyaliantką wielkiego przyjaciela Polski, ambasadora Jusseranda i nieprzychylnie do nas usposobionego lorda d'Abernona. Pobyt gen. Weyganda w Polsce zbiegł się z okresem największej naszej klęski, a następnie decydującego w tej wojnie zwycięstwa. Przybył on do Warszawy w momencie, w którym wojska polskie cofały się po kilkadziesiąt kilometrów na dzień i w którym większość frontu była w zupełnej rozsypce. Warszawę zaś opuścił po rozgromieniu bolszewików nad Wisłą i wyrzuceniu ich za Niemen i Bug.

Nie dziw więc, że się w Polsce utarła opinia, iż do wygrania bitwy nad Wisłą on się niemało przyczynił, a świetny manewr armii polskiej znad Wieprza uważano powszechnie za jego pomysł.

Jaka istotnie była jego rola? Już od dnia 4 lipca rozpoczął się odwrót wojska polskiego z północnego frontu. Fałszywy obrachunek sił bolszewickich, dokonany przez Piłsudskiego na północy sprawił, że wojska gen. Szeptyckiego walcząc z olbrzymią przewagą poniosły w tym dniu bardzo ciężką, prawie że decydującą klęskę. O naprawieniu jej nie mogło być mowy, gdyż na południu po stracie Kijowa uwaga nasza była całkowicie zaprzęgnięta armią konną Budiennego. Wtenczas też wyszły jaskrawo na wierzch popełnione błędy. Wojsko ustawione jak naganka na polowaniu nigdzie nie było zdolne stawić prawie żadnego oporu.

Cofało się więc z linii na linię bez żadnego planu, a nierzadko ten odwrót zaczął się miejscami przemieniać w paniczną wprost ucieczkę.

Misja gen. Weyganda nie była określona. Pierwotnie miał on tylko zbadać sytuację i zdać sprawę konferencji międzysojuszniczej w Spa, a w pierwszym rzędzie marszałkowi Fochowi. Bezład, jaki panował wówczas w Nacz. Dowództwie i załamanie się widoczne Naczelnego Wodza, skłoniły rząd do zwrócenia się do gen. Weyganda z prośbą o pomoc. Sytuacja była drażliwa i delikatna zarazem. Gen. Weygand nie przybył bowiem z dywizjami francuskimi, czego się spodziewał i o co go interpelował Piłsudski, nie mógł też objąć faktycznego dowództwa. Stanowisko zaś jego jako doradcy technicznego było bardzo trudne, odpowiedzialne i delikatne zarazem. Mimo to gen. Weygand stanowisko to przyjął i oddał na nim ogromne usługi naszej ojczyźnie w tak ciężkich czasach.

Gruntowny, metodyczny, jasny w ocenie i postanowieniach, a przy tym nieugięty, od razu uczynił wszystko, ażeby do działań polskich wprowadzić ład i celowość. Zwrócił uwagę na brak rezerw i konieczność radykalnej zmiany dotychczasowych sposobów wojowania. Podkreślił bardzo silnie konieczność oderwania się od bolszewików, przegrupowania sił i dopiero przejścia wtedy do poważnej akcji. Wskazywał na każdy błąd, sprzeczności i niedokładności. Jego naprawdę mądre i fachowe wskazówki wydały pełny plon, szczególnie w bitwie nad Wisłą. Zaslugi tak gen. Weyganda jak i oficerów francuskich, których znaczna ilość znajdowała się w szeregach naszego wojska, są bardzo wielkie tak ze stanowiska moralnego jak i wojskowego. W czasach, w których Polska była całkowicie izolowana, a defetyzm w kraju panował niemal ogólny, stanęli oni obok naszych żołnierzy i oficerów ramię w ramię, porywając ich do walki nieugiętej, zawstydzając często swoją odwagą i niepospolitą męstwem.

Te usługi gen. Weyganda potraktowano u nas w sposób co najmniej małostkowy. Zrobili to szczególnie ci, którzy wcześniej i przezornie budowali sobie bożka i szukali dla niego jak najwięcej powodów do kadzidla. Z mojego stanowiska uważałem dociekanie tego, kto był autorem planu zwycięskiej bitwy pod Warszawą, za rzecz mniejszej wagi. Jeżeli to zrobili Piłsudski czy Rozwadowski, nie stało się nic nadzwyczajnego, bo to należało do ich praw i obowiązków, inaczej by się sprawa przedstawiała, gdyby gen. Weygand był jego autorem. Dla mnie ważniejsze od tych dociekań było zachowanie się tak gen. Weyganda jak i oficerów francuskich. Nie można zapomnieć nie tylko o ich męstwie i po-

święceni, ale także i o tym, że tak ofiarnie narażali się nie za swoją sprawę, a mimo to nie zgłaszali żadnych pretensji.

Jeżeli nie chce wiedzieć o tym nadęta i pijana obcymi zasługami piłsudczyzna, to powinna wiedzieć i pamiętać trzeźwa i przyzwoita opinia polska.

Jeszcze o Sikorskim

Nie mogę wiedzieć z dokumentami w ręku, czy się to stało rozmyślnie czy tylko dzięki przypadkowi, że konkurenci do zasług po zwycięstwie nad bolszewikami pod Warszawą zostali z widowni zupełnie usunięci. Z gen. Rozwadowskim skończono na wieki, starając się nakryć potwarzą jego imię, generałów Hallera i Sikorskiego odstawiono, nie pozwalając im pracować dalej w uratowanej przez nich ojczyźnie. Nie wymieniam już tej wielkiej i skrzywdzonej gromady ludzi.

Ponieważ Piłsudski nie mógł unicestwić gen. Weyganda, swoją niechęć do niego przeniósł na Francję. Znając jego niepohamowaną pychę, mogę śmiało wnioskować, że jego nieprzyjazny stosunek do niej był w dużej mierze także i tymi przesłankami podyktowany.

Generała Sikorskiego, może najzdolniejszego z wodzów polskich w czasie wojny 1920 r., jak wspominałem, osobiście nie znałem bardzo długo. Pamiętałem tylko dwie opinie Daszyńskiego o nim i to zupełnie ze sobą sprzeczne. Bardzo dodatnią opinię z czasów, gdy obaj współpracowali w N.K.N., i bardzo ujemną, gdy się politycznie ze sobą rozeszli. Przed tym według Daszyńskiego był on znakomitym organizatorem, świetnym, utalentowanym oficerem, po tym zaś tylko marnym karierowiczem, pozbawionym wszelkich zalet, nawet ambicji. Czy dla braku tych zalet, czy może właśnie dla nich ściga go wciąż zemsta Piłsudskiego, dobrego ongiś przyjaciela Daszyńskiego, nie umiem tego powiedzieć.

Ja spotkałem się z Sikorskim w czasie wojny polsko-bolszewickiej, jak już nadmieniałem, w okolicach Warszawy w okresie bardzo ciężkiego położenia. Z niedługiej rozmowy i stawiania przez niego sprawy wyniosłem przeświadczenie, że jest to człowiek naprawdę serio, który wie, czego chce i do czego dąży. W jego rachubach i zamierzeniach widać było trzeźwy, zimny sąd, oparty na rzeczywistości, a nie na fantazjach, lub przypuszczeniach. Zresztą okazał to czynem, który więcej mówi niż tomy książek. Wielka szkoda dla państwa, że go zawiść odsunęła od służby i zmarnuje ten naprawdę niecodzienny talent. Ja ze swej strony mam do niego tylko jedną pretensję, mianowicie, że kiedy

trzeba było być generałem, on był politykiem, a kiedy należało być politykiem, on się wtenczas koniecznie stawał generałem. Gdyby nie ta jego dla mnie niezrozumiała gra, byłoby w Polsce dzisiaj zupełnie inaczej!*) A może takie losy jej przeznaczone?

Nieco o wojnie polsko-bolszewickiej

Geneza wojny polskiej z Rosją sowiecką, jej cele, przebieg, kilkakrotne próby układów pokojowych, zmiana ról, manewrowanie stron prowadzących wojnę, zamiary Piłsudskiego i ulegających mu zupełnie niektórych polityków i stronnictw, były nie tylko dla szerokiej opinii polskiej, ale nawet bardzo wielu osobistościom o dużym znaczeniu politycznym prawie że niezbrane. Przyznam się, że i ja, mimo iż byłem prezesem poważnego co do liczby klubu, że uważano mnie za człowieka mającego pewne doświadczenie polityczne, a przy tym dość duże wpływy, dokładnie tych spraw nie znałem. Mniej jeszcze ode mnie wiedzieli poszczególni członkowie klubu.

Powód leżał w postępowaniu Piłsudskiego, który nigdy nie odkrywał swoich zamiarów i bardzo nierad się spowiadać z tego, co robił. Bardzo pomagały mu w tym niektóre ze stronnictw lewicowych, a szczególnie Wyzwolenie, dla którego wszystko co zrobił Piłsudski, stanowiło nieomylny i nienaruszalny wprost dogmat, sama zaś wojna stała się rzeczą konieczną, co nie znaczy jakoby musiała być w nieskończoność prowadzona. Wojska polskie zajmując ziemie Polski przedrozbiorowej, musiały się natknąć na bolszewików, przy czym nie obeszło się bez większych i mniejszych bitew i potyczek. W polskich sferach wojskowych, grupujących się koło Piłsudskiego, a częściowo także i politycznych, panowało ogólne przekonanie, że wojna z bolszewikami będzie sobie zwyczajnym spacerem, bowiem armia bolszewicka nie przedstawia żadnej prawie wartości bojowej, gdyż została zdemoralizowana przez samych bolszewików, rozbijających front rosyjski i wzywających żołnierzy do porzucenia broni, oraz głoszących pokój na zawsze i za wszelką cenę.

Poza tym miała ona być źle uzbrojona, głodna i niekarna, niezdolna więc do żadnego oporu, a na dobitkę złego zmuszona walczyć z armiami gen. Wrangla, Judenicza, Denikina, wspieranych przez państwa koalicyjne. Piłsudski, postępując wciąż naprzód za uciekającymi wojskami bolszewickimi nie tylko dogadzał swojej próżności i grał na ambicji wielu Polaków, ale torował

*) Aluzja do zachowania się gen. Sikorskiego w maju 1926 r. (przyp. wydawcy).

sobie drogę do wykonania swoich planów federacyjnych, dla których trzeba było zdobyć na bolszewikach ziemię białoruskie i ukraińskie. Przedsięwzięcie to mogło być dokonane tylko polską krwią i ofiarami, bo siły, jakie zgromadził ataman ukraiński Petlura, były niepomierne małe.

Piłsudski był tak pewny łatwego zwycięstwa i przeprowadzenia swoich planów, że niejednokrotnie oświadczał, że bolszewików może bić, kiedy zechce, ile zechce i gdzie zechce. Opowiadał mi w Brześciu dr Lieberman, że kiedy mu zwrócono uwagę na olbrzymie straty w ludziach w tej wojnie wskutek nieostrożnego postępowania odpowiedział: „A cóż to szkodzi, że trochę więcej Polaczyszków wyginie?”. Ginęli też masowo, i to często ginęli nie dla wielkiej sprawy, ale dla pychy jednego człowieka, która zresztą wnet została poskromiona.

Kiedy jako jedyną literaturę dostępną dla nas w Brześciu czytałem tak zwaną „Historię 146 pułków polskich”, uwagę moją zwróciły straty niektórych z nich, a szczególnie poznańskich, wynoszące nieraz na jeden pułk po parę tysięcy żołnierzy. Należały one przeważnie do tych oddziałów, które miały zdobywać ziemię dla tworzenia innych państw i które często, nie otrzymawszy rozkazu do odwrotu, znalazły masowy grób. Niełatwo byłoby ocenić, o ile krzywdzące dla Piłsudskiego jest podejrzenie, że robił on to rozmyślnie, nienawidząc Poznańczyków.

Pamiętam, jak mi raz jeden z poważnych ludzi opowiadał z przerażeniem, że gdy się Piłsudski zaczął zbyt lekkomyślnie zapuszczać z wojskiem coraz dalej na wschód, a nawet marzyć o wzięciu Moskwy i Petersburga, i wskazywano mu na losy wypraw Żółkiewskiego i Napoleona, którzy przecież byli wielkimi wodzami, on odrzekł: „Bo to byli durnie, nie mieli tego geniuszu wojennego, co ja!”*).

Wojna i pokój

W marcu 1919 r. za rządów Paderewskiego przybył do Moskwy delegat rządu, Więckowski, dla nawiązania stosunków. Miał on z sobą pismo P.P.S., w którym ona proponowała opróżnienie ziem litewsko-ruskich, tak przez wojska polskie jak i rosyjskie i zarządzanie plebiscytu. Kiedy w kwietniu tegoż roku wojska polskie zajęły Wilno, rząd sowiecki nakazał Więckow-

*) Chodzi tu o Ignacego Paderewskiego, który miał taką rozmowę z J. Piłsudskim i opowiadał o niej autorowi tych „Wspomnień”. Ze względów dyskrecjonalnych Witos, pisząc to, nie ujawnił źródła tej informacji, które jest wiadome. (Przyp. wyd.).

skiemu opuszczenie Moskwy, zaznaczając równocześnie podjęcie rokowań w razie wstrzymania polskiej ofensywy. To się jednak nie stało. Na niczym się również skończyły zabiegi Juliana Marchlewskiego, jednego z polskich komunistów, który z ramienia rządu sowieckiego usiłował nawiązać z Polską rokowania pokojowe w ciągu lata 1919 r.

Wreszcie za rządów Skulskiego w grudniu 1919 rząd sowiecki zwrócił się do rządu polskiego z oficjalną propozycją pokojową, prosząc o wyznaczenie przezeń terminu i miejsca rokowań. Rząd polski na tę propozycję nie dał żadnej odpowiedzi. Wobec takiego stanowiska bolszewicy postąpili po swojemu.

W styczniu 1920 r. Rada Komisarzy Ludowych wystąpiła publicznie z deklaracją do rządu i narodu polskiego, w której uznawała suwerenność i niepodległość Polski, wyraziła gotowość nieprzekroczenia przez wojska sowieckie linii Bar, Cudnow, Borysów, Połock, Drysa, stwierdzając, że nie ma żadnej kwestii, która by się nie dała załatwić drogą porozumienia. Na owej deklaracji były podpisy Lenina, Trockiego, Cziczierina.

Zajęła się dopiero tą sprawą komisja spraw zagranicznych, stwierdzając gotowość rozpoczęcia rokowań łącznie z mocarstwami zainteresowanymi. Proponowane wówczas przez bolszewików granice, byłyby dały Polsce blisko 60 tysięcy km. kw. obszaru i o pięć milionów ludności więcej, niż zdołała ona uzyskać po przeprowadzeniu ciężkiej, uciążliwej i niebezpiecznej wojny. Należało się tylko kierować interesem państwa, a nie mrzonkami i pychą.

Nareszcie 27 marca 1920 minister spraw zagranicznych, Patek, zaproponował Cziczierinowi rozpoczęcie rokowań pokojowych w Borysowie, stawiając za warunek wstrzymanie kroków nieprzyjacielskich na odcinku borysowskim. Rząd sowiecki na to się nie zgodził, żądając zawieszenia broni na całym froncie i wyboru miejscowości leżącej poza frontem, proponując Warszawę, Moskwę, Paryż, Londyn, lub też jakąś miejscowość, np. w Estonii. Rząd polski stale odmawiał, upierając się przy lokalnym zawieszeniu broni i Borysowie. Tą taktyką doprowadził do rozbięcia rokowań. Piłsudski tymczasem gotował się do ofensywy, którą też rozpoczął w kwietniu 1920 r. W końcu kwietnia tegoż roku wydał odezwę do mieszkańców Ukrainy, zapowiadając w niej, że „wojska polskie przysły tylko usunąć obcych najeźdźców, a pozostaną do czasu, kiedy władzę obejmie prawowity rząd ukraiński, a spełniwszy szczytne zadanie walki o wolność ludów wrócą do Polski”. Ataman ukraiński Petlura, współdziałający z Piłsudskim, wydał odezwę od siebie.

Postępując za cofającymi się prawie bez oporu wojskami

bolszewickimi, oddziały armii polskiej zajęły Kijów 7 maja 1920 r. Nastąpiły pewne akty polityczne, wynikające ze zwycięstwa i współdziałania. Piłsudski ogłosił włączenie części Wołynia do Polski, Petlura zrzekł się na rzecz Polski tego kraju i Małopolski Wschodniej. Na tym się skończyło jednak powodzenie armii polskiej, gdyż za kilka dni bolszewicy rozpoczęli ofensywę, której naporu wojska polskiego, wcale nie przygotowane, nie były zdolne wytrzymać. Rozpoczęły więc odwrót i to na całym froncie. Odwrót ten przemienił się w wielu wypadkach w paniczną ucieczkę, powodującą niesłychane wprost straty tak w ludziach jak i w materiale. Kiedy nieco później zapytałem o szczegóły tej nieszcześnie wyprawy jednego z generałów, odpowiedział mi, że nie wie, czy tam poniesiono większą hańbę, czy szkodę, woli zamilczeć, bo bez żalu i oburzenia nie może o tym mówić.

Powszechnie robiono Piłsudskiemu wyrzuty, że tę całą wyprawę przygotował i poprowadził niesłychanie lekkomyślnie, nie mając prawie żadnych rezerw, że ponadto dał się bolszewikom wciągnąć w zastawioną pułapkę, nie wiedząc o niczym, a idąc ślepo naprzód.

Rząd Skulskiego upadł, przyszło ogólne prawie załamanie. Rząd Obrony Narodowej zaproponował bolszewikom spotkanie 30 lipca w Baranowiczach. Zjechali się delegaci obu stron. Rozmowa skończyła się propozycją delegatów sowieckich władz wojskowych rozpoczęcia formalnych pertraktacji w Mińsku, od 5 sierpnia 1920 r. począwszy. Nad tą propozycją tak rząd jak Rada Obrony Państwa zastanawiały się dość długo i nareszcie w dniu 14 sierpnia zapadła decyzja wysłania delegacji pokojowej, która miała nazajutrz rano wyjechać samolotem do Mińska. Na posiedzeniu Rady Ministrów ustalono też odpowiednie instrukcje i wytyczne, którymi delegacja miała się kierować.

Sytuacja dla Polski była wówczas niesłychanie niekorzystna, gdyż front wojenny znajdował się kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy. Delegacji polskiej miał przewodniczyć wicemin. Władysław Wróblewski, który już wyjechał tam wcześniej. Kiedy skład delegacji uległ zmianie, gdyż weszli do niej przedstawiciele wszystkich klubów poselskich z wyjątkiem Wyzwolenia, zapadła decyzja, by przewodnictwo delegacji oddać parlamentarzystom. Wybór padł na Jana Dąbskiego, ówczesnego wiceprezesa klubu Piasta i wiceministra spraw zagranicznych. Szalę decyzji na rzecz Dąbskiego zdecydowała także ogłoszona wiadomość, że bolszewicy mieli się jakoby odnosić do Dąbskiego ze specjalną przychylnością. Oprócz urzędników i fachowców w skład delegacji wchodził także Wróblewski i gen. Listowski.

Tak się zdarzyło, że posiedzenia delegacji w Mińsku odby-

wały się w gmachu gimnazjum, w którym tak niedawno była siedziba sztabu generała Szeptyckiego, względnie komendy frontu północnego. W listach do mnie skarżył się Dąbski, że salę, w której się odbywały posiedzenia delegacji, bolszewicy prowokacyjnie przybrali czerwonymi sztandarami, portretami Marksa, Lenina, Trockiego itp. swoich patronów.

Warunki pokojowe

Na drugim z rzędu posiedzeniu delegacji przewodniczący bolszewików Daniszewski, Łotysz z pochodzenia, odczytał warunki pokojowe strony bolszewickiej. Zawierały one:

- 1) Uznanie niepodległości Polski, 2) Żadnych kontrybucji.
- 3) Granice proponowane przez Anglię, z drobną zmianą na korzyść Polski.
- 4) Ograniczenie armii polskiej do 50 tysięcy ludzi, zatrzymanie z obecnej armii 10 tysięcy i uzupełnienie jej milicją robotniczą.
- 5) Oddanie Sowiетom broni i ryszpunku wojennego, pochodzącego ze zmniejszenia armii, zaprzestanie produkcji wojennej i demobilizacja przemysłu wojennego.
- 6) Nietolerowanie w Polsce organizacji antysowieckich, nieprzepuszczenie przez Polskę żadnej pomocy dla państw wrogich Rosji i Ukrainie.
- 7) Polska ma zapłacić odszkodowanie miejscowościom, które ucierpiały przez wojnę.
- 8) Polska ma się zobowiązać przydzielić bezpłatnie ziemię rodzinom swoich obywateli, rannych, zabitych i tych, którzy stracili skutkiem wojny zdolność do pracy.
- 9) Polska ogłosi amnestię ogólną.
- 10) Odcinek kolei Wołkowysk-Białystok-Grajewo będzie używany przez Rosję sowiecką.

Zaraz po przyjeździe delegacji polskiej do Mińska komentant frontu wschodniego bolszewickiego Tuchaczewski polecił rozlepić w Mińsku afisze, szkalujące polską delegację jako szpiegów wojskowych. Równocześnie bolszewicy uszkodzili połączenie radiowe, żeby polskiej delegacji uniemożliwić porozumienie się z swoim rządem.

Polska delegacja spodziewając się korzystnej zmiany na froncie, wzięła to za pretekst i oświadczyła delegacji bolszewickiej, że tak dłużej nie da odpowiedzi na propozycję jej postawione, dopóki nie otrzyma należytej satysfakcji. Po kilku dniach bolszewicy zrobili to, mając wiadomości z frontu dla siebie niekorzystne. Tak też było w istocie. Ta zmiana dała polskiej delegacji możliwość udzielenia należytej odpowiedzi na tezy Daniszewskiego, a także przeniesienie rokowań na grunt neutralny, co i dla bolszewików stało się rzeczą pożądaną.

Rokowania w Rydze

Tak zakończyły się prace wstępne w Mińsku, a delegacje przeniosły się do Rygi, żeby tam w końcu sierpnia rozpocząć właściwe pertraktacje. W składzie delegacji sowieckiej nastąpiła też zmiana gruntowna. Na jej czele stanął Adolf Joffe, jak mówiono, bardzo mądry i wykształcony człowiek. W skład delegacji wchodził: Oboleński, Manuilski, Kirow, Leszczyński. Członkowie naszej delegacji donosili, że obawiają się wpływu Joffego na Dąbskiego, który pozostaje pod jego urokiem. W składzie delegacji polskiej nastąpiły także drobne zmiany i przegrupowania.

Praca przez dłuższy czas odbywała się przeważnie w komisjach, posiedzenia plenarne odbywały się rzadko. Przewodniczący Dąbski informował mnie kilkakrotnie w ciągu każdego tygodnia, wyrażając się z uznaniem o postępie prac i zasługach poszczególnych delegatów, a między nimi prof. Stanisława Grabskiego, dr. Kiernika i posła Barlickiego. Żalił się też kilkakrotnie na bardzo niewyraźną rolę majora Polakiewicza, który nie należąc do składu delegacji, kręcił się niemal przez cały czas jej obrad i różnymi środkami starał się pertraktującym udaremnić dojście do porozumienia. Działając tam jako mąż zaufania Piłsudskiego, używał gróźb, a nawet nosił się z zamiarami fizycznego ubezwładnienia delegacji.

Z listów, które dostałem od innych członków delegacji, można było wnosić, że Dąbski wiele spraw traktował pośpiesznie, albo też zbyt powierzchownie. Widać, że i tam nie przestał być dziennikarzem. Okazało się jednak, że co do Polakiewicza miał on zupełną rację. Nie mogło zresztą być inaczej, ponieważ Piłsudski chciał dalszej wojny, to i Polakiewicz musiał robić to samo. Zresztą nie tylko on sam.

Praca delegacji postępowała dość szybko naprzód. W dniu 12 października 1920 r. zawarto rozejm wojskowy na liniach przez oba dowództwa wytyczonych, i podpisano traktat preliminaryjnego pokoju. Traktat ten zawierający dalszą już decyzję co do granic, wytyczne co do spraw rewindykacji, likwidacji instytucji i odszkodowań, stał się podstawą pokoju z Rosją bolszewicką 18 marca 1921 r. zawartego w Rydze, który raczej zdawał się być już pewną formalną uroczystością.

Dość zręcznie zdołano ominąć czy usunąć piętrzące się trudności, których było wiele. Między innymi sprawę Litwy, dla Sowietów nader niewygodną, załatwiono formułą stwierdzającą, iż sprawa granic pomiędzy Polską a Litwą jest sprawą wyłącznie tych obu państw. Za linię graniczną na wschodzie uznano dawne okopy niemieckie. Polsce przyznano Małopolskę Wschodnią po

Zbrucz. Przez odcięcie Litwy od Sowieców została uzyskana bezpośrednia granica z Łotwą na linii Dźwiny. Bolszewicy zobowiązali się do zapłacenia 30 milionów rubli odszkodowania, rewindykowania funduszy kas, instytucji polskich, przekreślenia udziału w długach państwa rosyjskiego, udział we wspólnym majątku Rosji itp. Obie strony zobowiązały się nie popierać na swoim terytorium wrogich dla drugiego państwa organizacji. Było to raczej ustępstwo dla Sowieców zrobione, obawiały się one bowiem Petlury i agitacji ukraińskiej.

Wbrew optymistycznym wiadomościom, jakie dochodziły do mnie, układy pokojowe w Rydze musiały przełamywać rozmaite trudności. Szeroko i głośno zaczęto mówić, że delegacja bolszewicka stoi znacznie wyżej od polskiej i to pod wieloma względami. Ludzie, którzy byli w Rydze na ochotnika, potwierdzali, że Dąbski rzeczywiście ulegał Joffemu. Joffe miał stosować taktykę, która Dąbskiemu zarówno dogadzała jak i imponowała, a której się niektórzy członkowie delegacji niesłuchanie obawiali. Jeden z członków delegacji, który przybył dopiero do Warszawy po instrukcje, twierdził, że delegaci żyją tam nieraz śmiertelnym strachem, a zawsze dzieje się to wtedy, gdy się ma odbyć rozmowa sam na sam dwóch przewodniczących. Nieraz się zdarzało, że podsłuchiwali oni pod drzwiami pokoju, w którym się toczyła rozmowa, a nawet ją przerywali, gdy doszła do jakiegoś niebezpiecznego punktu, przy którym Dąbski albo był zbyt ustepliwy, albo niedostatecznie z przedmiotem obeznany.

Na odwrót Dąbski nie przestał się do końca skarżyć na paraliżowanie prac delegacji i podrywanie jej powagi wobec bolszewików przez nasyłanych tam wojskowych, poza Polakiewiczem, którzy swoim zachowaniem się parli wyraźnie do zerwania rokowań, obwiniając zarówno rząd jak i delegację o ustepliwość i niedołęstwo. Niektórzy z nich nie taili się z tym wcale, że ową akcję przeciwpokojową prowadzą na rozkaz Naczelnego Wodza.

W miarę przeciągania się rokowań stanowisko rządu i delegacji stawało się coraz trudniejsze, gdyż agitacja przeniosła się na kraj, a różni wysłannicy opowiadali na wszystkie strony o niepotrzebnej ustepliwości w Rydze i marnowaniu owoców zwycięstwa. Więści te rozchodziły się coraz szerzej, wprowadzając nawet duże zamieszanie w niektórych okolicach kraju i sferach społecznych, często w prowadzeniu dalszej wojny zainteresowanych. Z drugiej strony wywołały one pożądane zainteresowanie społeczeństwa i duży odruch.

Na moje ręce zaczęły wpływać pisma i memoriały z wszystkich stron kraju, od prostaczków, uczonych, wielkich i małych. Były one niezwykłą mieszaniną pojęć, zapatrywań, dążeń, ale zdaje

się także wiernym odbiciem tego, co nurtowało w społeczeństwie. A więc na przykład szły groźby pod adresem krwiożerczego rządu, któremu się zachciewa dalszego przelewania krwi ludu, a który rozmyślnie przewleka rokowania, kłóci się o szlacheckie dwory i lasy, dla których nikt w Polsce nie myśli żadnej ofiary ponosić. Niezwykle liczne i groźne listy przychodziły z frontu od żołnierzy. Zapowiadali oni w nich, że na wypadek dalszej wojny rzucą broń i pójdą do domu. Listy te były zawsze bez podpisów, ale za to zaopatrzone krzyżykami i trupimi główkami.

Na odwrót w setkach memoriałów, opatrzonych bardzo licznymi podpisami, żądano dalszego prowadzenia wojny i podyktowania pokoju bez wszelkich pertraktacji, ale takiego, który by nie tylko raz na zawsze przekreślił wszelkie aspiracje Rosjan, ale dał pełną satysfakcję za rozbiór Polski i wiekowe krzywdy. Dowodząco, że żołnierz rwie się do walki, a zawieszenie broni uważa za ciężką krzywdę, jaka mu została wyrządzona. Gdyby nie ten błąd rządu, to wojsko polskie mogło już być w Moskwie i w Petersburgu. Członków delegacji radzono odwołać i bez sądu powiesić, bowiem ich postępowanie jest oczywistą zdradą interesów państwa. Gwałtownie atakowano Dąbskiego jako ignoranta, a może nawet agenta bolszewickiego.

Równocześnie rozpoczęły się prawdziwe procesje różnych delegacji do mnie. Wiele z nich zachowało się spokojnie i poważnie, zaznaczając, że rozumiejają położenie rządu, iż wojny nie można prowadzić w nieskończoność, chcą więc tylko rządowi przyjść z pomocą przez wywołanie wrażenia, że kraj jest gotowy do dalszej walki, jeżeli zajdzie potrzeba. Nie brakło jednak i takich, co wyłączając mnie, oskarżały wszystkie władze łącznie z Sejmem o zdradę interesów polskich, ośmielając się w zapale robić porównania z sejmem grodzieńskim i Targowicą. Słuchałem tego wszystkiego cierpliwie, robiąc na końcu potrzebne uwagi.

Jednego dnia przybyło dwanaście delegacji z wszystkich dzielnic Polski, przynosząc z sobą grube pliki petycji z tysiącami podpisów. Widziałem w tym organizację, gdyż wszystkie petycje były równobrzmiące. Powołując się na niezłomną wolę ludności, żądano odebrania bolszewikom wszystkich historycznych ziem polskich, łącznie z Odessą, Kijowem, Mohilewem, Berdyczowem i takiego lania, żeby im się wszystkie babki i prababki przypomniały, no i inne nieprawdopodobne androny. Kiedy rozmawiając z nimi spokojnie zapytywałem, czy naprawdę ta ludność tak zniszczona i zmęczona długoletnią wojną wytrzyma dalszą walkę i będzie zdolna do ofiar na bardzo zresztą niepewne przedsięwzięcie, nie umiano przeważnie na to odpowiedzieć. Niektóre z tych delegacji po długich rozmowach zgadzały się na to, żeby teraz

zrobić pokój, wyciągając od bolszewików jak najwięcej, a po dziesięciu latach posunąć się dalej. Na miejscu nie chciał się nikt zatrzymać.

Najciężej i najprzykrzej zarazem było z delegacjami polskiej ludności, która miała pozostać po stronie rosyjskiej. Delegacje owe przychodziły z Kamieńca Podolskiego, Mińska, Berdyczowa, przekradając się z narażeniem życia i błagając z płaczem, żeby ich Polska nie dawała na pastwę katom bolszewickim, na pohańbienie ich żon i córek, zniszczenie olbrzymiego dorobku polskiej kultury. Na końcu nieco wstydliwie wspominali o wielkich obszarach ziemi, lasów i tego wszystkiego, co z nimi związane, a co przez długie wieki stanowiło polską własność.

Często też twierdzili naiwnie, że bolszewicy na pewno zrobiliby wielkie ustępstwa terytorialne, gdyby tylko polska delegacja pokojowa umiała tego należycie dopilnować. Przykro było patrzeć, jak ci ludzie, dojrzały mężczyźni zanosili się od płaczu i ślania z wycieńczenia, i nieprzyjemnie słuchać skarg na delegację, która dlatego jest ustępliwa wobec bolszewików, bo chodzi o dwory szlacheckie, na których jej nie zależy. Tak niezawodnie nie myślał nikt, ale nie mogliśmy o te dwory prowadzić wojny, narażając na szwank byt państwa. Dlatego też tym nieszczęśliwym ludziom musiałem powiedzieć gorzką prawdę bez żadnych osłonek, pocieszając ich, że w drugiej wojnie wzmocniona Polska powinna jak najdalej na wschód swoje granice posunąć. Odpowiedzią na to bywał bolesny uśmiech, albo wybuch gorzkiego płaczu. Żegnając tych ludzi, obiecałem robić, co będzie możliwe, bez narażania się na nowe walki.

Ponieważ i mnie się czasami wydawało, że Dąbski w ustępstwach idzie za daleko i większe robi wysiłki o spieszne zakończenie rokowań aniżeli o ich treść, zwróciłem mu na to uwagę. Był urażony, ale przyrzekł do instrukcji się zastosować. Trochę to pomogło, gdyż na bolszewikach zdołano wytargować pewne zmiany graniczne.

Do osób bardzo gorąco zajmujących się sprawą pokoju z bolszewikami należał szef sztabu generalnego, gen. Rozwadowski. Znając dobrze stosunki, z ogromnym nakładem pracy przygotował on memoriał, dotyczący przyłączenia do Polski dużej pości kraję niezwykle bogatej w wielkie i zdrowe lasy dębowe, wykazując korzyści, jakie państwo polskie może nawet doraźnie osiągnąć. Przekonywał też, że bolszewicy, którzy targują się zawzięcie o każdą kopiejkę, przy sprawie tych terenów żadnych trudności robić nie będą. Trochę się jednak łudził, bo bolszewicy później kilkakrotnie grozili zerwaniem rokowań. Myśmy znowu chcieli tego uniknąć, znając ciężkie położenie kraju i nie widząc nie tylko

możliwości dalszej walki, ale także i potrzeby. Mając to postanowienie, rząd wcale znowu nie myślał o pokoju za wszelką cenę, ale też nie chciał prowadzić walki dla koncepcji federacyjnej Piłsudskiego.

Po ciężkich walkach i zmaganiach, jakie musiała przed ukończeniem przejść delegacja, zawiadomił mnie Dąbski, że pokój właściwie jest gotowy, bo wszystkie punkty jego zostały sformułowane i uzgodnione, uporządkowanie zaś, zestawienie i przepisanie zabierze kilka dni czasu. Tak się też stało. Dnia 18 marca 1921 r. obie delegacje, polska i bolszewicka, dokonały formalnego podpisania warunków pokojowych. Wiadomość tę otrzymałem od Dąbskiego jeszcze tego samego dnia wieczorem tak, że mogłem ją zakomunikować licznie zebranej publiczności w Teatrze Narodowym. Wiadomość wywołała niebывały entuzjazm i długotrwałe owacje, tak dla rządu jak i dla mnie.

Karol Radek

Zaraz po przyjeździe z Rygi przybył do mnie jeden z członków delegacji pokojowej, dr Kiernik, aby mi złożyć sprawozdanie z przebiegu rokowań pokojowych i poczynić od siebie uwagi. W trakcie sprawozdania zaznaczył między innymi, że Radek-Sobelson, znany dawniej socjalista z Tarnowa, przy rokowaniach pokojowych odegrał bardzo wybitną i dodatnią rolę. Przedstawiciele stronnictw ludowych i robotniczych, zasiadający w delegacji, zaproszeni przez Radka odbyli z nim i ze Skrypnikiem konferencję, na której Radek okazał wiele życzliwości dla Polski i dla nich, dając im cenne wskazówki co do sposobu postępowania. Konferencje owe odbywały się w mieszkaniu Radka w Hotelu Centralnym, a uczestniczyli w nich oprócz dr. Kiernika poseł Barlicki i poseł Feliks Perl z Warszawy.

Sam Radek z ubogiej rodziny żydowskiej z Tarnowa, o którym z przekąsem wspominali jego koledzy z gimnazjum, był teraz wielką figurą u bolszewików, należąc do Rady Komisarzy Ludowych. Widać, że coś u niego sentymentu dla rodzinnego kraju pozostało. Dr Kiernik twierdził, że odnosząc się z dużą nawet sympatią do przedstawicieli warstw ludowych, pałał niesłychaną wprost nienawiścią do wielkiej własności i do Piłsudskiego. Z czasem widać Radek zmienił pod tym względem swoje upodobania, gdyż będąc w r. 1933 w Polsce, ominął zupełnie te warstwy ludowe, a Polskę objeżdżał w towarzystwie patentowanych piłsudczyków, czując się do nich na różnych występkach.

Po zawarciu pokoju

Pokój ryski, będący dla naszego narodu niesłychanie doniosłym zdarzeniem, miał swoje ujemne i dodatnie strony. Przede wszystkim zakończył długą, męczącą i niebezpieczną i to nie tylko militarnie wojnę, która wyczerpywała resztę sił narodu. Dał możliwość rozpoczęcia na nowo pracy i odbudowy życia na wszystkich polach i we wszystkich dziedzinach. Dał spokój konieczny do leczenia głębokich ran przez wojnę zadanych.

Wprawdzie jeszcze przez dłuższy czas nie brakło codziennych interwencji osobistości, które wskazywały na pozostawienie poza granicami ogromnej ilości bogactw i ludności polskiej, starały się udowodnić, że strata Mińska i Kamieńca Podolskiego wraz z odpowiednim obszarem jest tylko winą delegacji, gdyż oni wiedzą, że bolszewicy byli przygotowani na daleko większe ustępstwa itp. żale. Rozmowy te były o tyle przykrzejsze, że z żalami i skargami przychodzili przeważnie ludzie bardzo poważni, traktujący sprawę spokojnie i rozumowo, ale nieraz też wybuchający gniewem lub spazmatycznym płaczem. Sceny naprawdę rozpaczliwe robiły kobiety i uchodźcy z dalekich ziem, zabranych przez bolszewików, którzy nie tylko stracili wszystko, ale także nadzieję powrotu do swoich nieszczęśliwych rodzin. Wszyscy zaś razem domagali się nieratyfikowania przez Sejm zawartego w Rydze układu, spodziewając się, że im to coś pomoże. Tonący brzytwy się chwyta.

Trwające niezadowolenie znalazło też swój wyraz w posiedzeniu Sejmu w dn. 15 kwietnia 1921 r., obradującego nad sprawą ratyfikacji układu pokojowego w Rydze. W pierwszym momencie w czasie obrad rzucono z galerii kilka okrzyków, a ponicz sypnęła się na dół masa ulotek, których treść była zwrócona przeciw jednemu z delegatów, prof. Stanisławowi Grabskiemu, zarzucając mu wprost zdradę narodu i działanie na korzyść bolszewików. Była to duża omyłka, bo prof. Grabski raczej do imperialistów należał.

Ratyfikacji układów pokojowych w Rydze Sejm dokonał jednomyślną uchwałą. Przewodniczący delegacji Dąbski otrzymał w nagrodę order Orła Białego. Członkom delegacji Marszałek Sejmu i Prezydent Rządu wyrazili specjalne podziękowanie.

Po ratyfikacyjnejchwale Sejmu, wykluczającej wszelkie dyskusje na temat warunków pokojowych, zaczęło się w kraju uspokajać, rozumiano bowiem, że zawarcie pokoju pomiędzy dwoma sąsiadującymi państwami oznaczało nie tylko ukończenie wojny i wprowadzało normalne stosunki, dając możliwość spokojnej pracy, ale było wielkim i rzadkim aktem dla państwa i narodu.

W społeczeństwie polskim w ogóle, a w szerokich warstwach ludowych w szczególności, panowało do niedawna przekonanie, że Rosja jest potęgą nigdy niezwykniętą, Polska zaś przy niej karłem prawie bez znaczenia. Pamiętano o przegranych walkach z Rosją konfederatów barskich, o wszystkich powstaniach polskich, nieszczęśliwie zakończonych, o zgnieceniu powstania węgierskiego przez wojska rosyjskie, znano obszar i potęgę olbrzyma rosyjskiego.

Obecnie wygrana wojna, następnie zawarty stosunkowo korzystny pokój doprowadził do głębokiej zmiany w tych poglądach. Wzmogła się wiara we własne siły, a co za tym idzie, możliwość obrony swojej niepodległości bez oglądania się na pomoc obcą. Istotnie od czasu ostatniego wielkiego zwycięstwa nad Moskwą Władysława IV, poza drobnymi sukcesami Polska ponosiła później same klęski. Nie da się też zaprzeczyć, że od paru wieków Polacy zmuszeni byli cofać się pod naporem potęgi rosyjskiej, która okupując ziemie polskie na wschodzie, starała się posunąć swoje zagony coraz dalej na zachód, niekiedy nawet pod Przemysł i Sanok.

Zawarcie pokoju i ustalenie granic pomiędzy obydwojma państwami oddzieliło Polskę od bolszewizmu, stwarzając ochronną barierę przed tym niebezpieczeństwem. A że ono istniało w Polsce nie na żarty, dowodzi zachowanie się służby dworskiej, która w czasie najazdu bolszewickiego w bardzo znacznej części szła z nimi, niszczyła mienie dworskie, służyła za przewodników, a nawet mordowała właścicieli. To samo zaczęło się dziać w miastach i miasteczkach, w których mieszkańcy czynnie pomagali wojskom bolszewickim, tworząc zarządy im podległe, ale też i zupełnie uległe, usuwając przy tym prawowite władze. A przecież ci bolszewicy popasali bardzo krótko. Podnoszono, że w tej robocie przodowali Żydzi, ale przyznać trzeba, że nie brakowało w niej i Polaków.

Wieś trzymała się na ogół odpornie, choć nie brakło coraz częściej zdarzających się wypadków wyraźnej dla bolszewików sympatii. Okazywało się to wprawdzie przeważnie na kresach wschodnich i ziemiach dawnego Królestwa, ale i Pomorze i Poznańskie nie były zupełnie od tego wolne. Gniazda sympatii znalazły się także na terenie dawnej Galicji, najbardziej w powiatach tarnobrzeskim i kolbuszowskim, mniej w mieleckim i nizańskim. Poseł Dąbał, bardzo mierny człowiek, potrafił ludność tamtejszą tak otumanić, że ona się wyraźnie za bolszewikami opowiadała. Dla mnie szczególnie dziwną zagadką stanowił powiat tarnobrzeski, którego ludność była uważana zawsze za bardzo światłą i spokojną. Widocznie bieda i morgi hr. Tarnowskiego zawróciły jej w

głowie. Wiem, że jeszcze do dnia dzisiejszego jest tam sporo zwolenników Dąbala*) jawnych lub ukrytych, oczekujących jego przybycia i pożądanej przez nich zmiany. Znam tych ludzi i wiem, że jest to żywioł bardzo ruchliwy i niebezpieczny.

Przez zwycięskie przeprowadzenie wojny i zawarcie pokoju a zachowanie przy tym rozumnego umiaru, Polska udowodniła przed światem, że nie tylko potrafiła obronić swoją wolność i niepodległość, ale umiała stanąć na gruncie ogólnego dobra narodów, zapewniając im pokój.

Jakże inaczej musiano patrzeć na Polskę, gdy Wład. Grabski błagał o pomoc zagranicy i zmuszony był podpisywać upokarzające i szkodliwe umowy i zobowiązania.

Już w kilka lat po zawarciu pokoju jeden z wybitnych członków naszej delegacji pokojowej, niby to w wielkiej tajemnicy powiedział do mnie: „Bogiem a prawdą, mogliśmy od bolszewików wytargować bardzo obszerne tereny, które oni byliby z chęcią zamienili za gotówkę nam przyznaną. Na ten temat prowadziliśmy nawet kilkakrotnie poufne rozmowy, ale wiedząc, że społeczeństwo polskie samo jest rozbite i skłócone, obawialiśmy się, by Polska nie straciła swojego charakteru, mając większość mieszkańców złożoną z innych narodowości i dlatego nie nalegaliśmy zbyt mocno na bolszewików.

Gdyby atoli w przeciagu kilkudziesięciu lat Polska się potrafiła należycie na ziemiach wschodnich umocnić i ludność tamtejszą silnie z państwem związać, to można by o posunięciu się na wschód pomyśleć. Dziś po wielu przykrych doświadczeniach widzę, że się nie myliłem wcale”. Tymi słowy zakończył b. delegat swoje rozumowanie**). Zdaje mi się, że ten jego imperializm, pomysłany na raty byłby zupełnie chybiony, bo czas i bolszewicy zrobią tyle, że tego nikt nie będzie w stanie zmienić.

Niektórzy ludzie

Korespondencja, jawna i poufna Dąbskiego ze mną w czasie rokowań pokojowych prowadzona, została mi prawie w całości skradziona podczas włamania się do mojego mieszkania nieznanymi sprawców. W niej znajdowało się między innymi oświetlenie postępowania niektórych polityków, bardzo ciekawe, a jeszcze bardziej niewyraźne. Nie mogąc sobie odtworzyć dokładnie faktów zamil-

*) Tomasz Dąbał, poseł z KPP (1919-1922), zamordowany został w ZSSR w czasie czystek stalinowskich w 1938 r. (przyp. wyd.).

***) Tym rozmówcą był prof. Stanisław Grabski (przyp. wydawcy).

czę i nazwiska tych przekupniów, co nadużywając dobrej woli Dąbskiego, robili niezbyt uczciwe interesy i zbyt blisko kręcili się koło różnych bolszewików.

Patrząc na jednego z posłów sejmowych, zawsze przypominałem sobie, ile on poniósł pracy i trudów, jak nadużywał danych mu uprawnień, ażeby przewieźć znane agitatorce bolszewickie-Zydówki, a z nimi różne wartościowe przedmioty. Dziś uchodzi za powagę w jednym ze stronnictw polskich i za wiernego przyjaciela Dąbskiego, choć ten ostatni jest nieboszczykiem.

Wskazywano również jednego z ludzi zajmujących w delegacji dość wybitne stanowisko, który wnet po powrocie z Rygi poczynił u siebie bardzo poważne inwestycje, mimo że gotówki poprzednio nie posiadał i pożyczek nie zaciągał. Sprawą tą nie chciałem się zajmować, uważając ją za złośliwą plotkę, których wówczas obiegało tak wiele. Miała ona jeszcze i ten nieprzyjemny posmak, że przychodził do mnie z nią bardzo bliski do niedawna przyjaciel, a obecnie zawzięty wróg owego delegata, wiedząc, że on w walce przeciw mnie nie przebiera w środkach i spodziewając się, że i ja pójdę za jego przykładem. Z tej przysługi nie skorzystałem, mimo oszczerczej kampanii, prowadzonej przeciw mnie przez owego delegata, dawnego przyjaciela politycznego.

Specjalnej roli Polakiewicza zdaje się nikt bliżej nie dochodził, uważano go za zwyczajnego łązika, bez zasad i przekonania, który jedynie spełniał tam cudzą wolę. Dalsza historia jego życia politycznego, zawrotnej kariery i gwałtownego upadku mówi sama za siebie.

C z ę ś ć X I I

WYJAZD NA KRESY

Mając zastępstwo w osobach Daszyńskiego i Skulskiego, a uważając za konieczne zetknięcie się z ludnością wojną dotkniętą i zbadanie stosunków na miejscu, wnet po zawieszeniu broni postanowiłem wyjechać na kresy. Chodziło mi nie tylko o taktyczną wizytę tych stron, także wtenczas pożądaną, ale o cel głębszy.

Ściśle biorąc żaden rząd ludnością kresową naprawdę się dotąd nie zajął, bo mu czas ani stosunki na to nie pozwalały. Ogromna ta połać kraju od lat kilku była terenem ciągłych walk, zmagania i przechodu rozmaitych armii, niosących tam śmierć i zniszczenie. Sam czytałem o tym bardzo wiele, ale o rozmiarach zniszczenia i stosunkach tam wytworzonych nie mogłem mieć takich danych, ażeby na tej podstawie móc ustalić linię postępowania. Ślady wojny sięgały także i w głąb państwa, ale przecież nie w tych, co na kresach rozmiarach. Jadąc zabrałem z sobą wiceministra Studzińskiego i sekretarza Angermana, żeby zaraz na miejscu mogli zebrać i przygotować potrzebny materiał.

Brześć

Jeszcze daleko przed Brześciem widać było ogromne zniszczenie, które się potęgowało im bardziej zbliżaliśmy się ku wschodowi. Bardzo wiele osad zostało zupełnie zniesionych. Znaczna część ludności mieszkała w szałasach naprędce skleconych, albo przeniosła się do sąsiednich mniej zniszczonych osad, do krewnych i znajomych.

Bardzo wiele ludności spoza Bugu wyemigrowało już dawniej z cofającą się armią rosyjską i dotąd jeszcze nie wróciło. Dużo wyginęło od chorób i głodu, reszta mieściła się w szałasach i lepiankach, żyjąc w niesłychanej nędzy i głodzie. Ziemia prawie

wszędzie leżała odłogiem, zarośnięta gęsto chwastami, krzewami i kilkuletnimi drzewami. Tu i ówdzie próbowano je dopiero karczować. W kilku wsiach leżały trupy, których nie miał kto pochować. Z bardzo wielu wsi pozostały tylko resztki pieców i sterzące kominy. Świeżo postawione drogowskazy mówiły o nazwach miejscowości i bytności ludzi.

Straszne wprost odnieśliśmy wrażenie, gdy na odgłos trąbki sołtysa w jednej prawie chwili wyroliła się spod ziemi gromada zbiedzonych, chwiejących się na nogach postaci ludzkich, na pół nagich, rzucających mi się do nóg i proszących o ratunek. Ludzie ci według świadectwa miejscowego urzędu, żywili się rybami, a gdy tych zabrakło, jakimiś robakami łowionymi w błotach, suszonymi i mielonymi. Dodawano do tego po trosze mąki owsianej w małych ilościach i z wielkim trudem zdobytej. Stan podobny był na całym prawie Polesiu i Białorusi. Wołyn przedstawił się lepiej.

Rozmiary zniszczenia przechodziły nieraz najbardziej bujną wyobraźnię. Z bogatych i obszernych dworów, z magnackich fortun i pałaców, z ogromnych i licznych cukrowni, gorzelni, czy innych zakładów i fabryk, jakie były zwłaszcza na Wołyniu, pozostały tylko szczątki murów, kupy cegieł, zgliszcza i popioły. Resztki słupów murowanych i dębowych świadczyły o istnieniu niegdyś ogromnych gumien i stodół. Wiekowe dęby i lipy ogryzione przez głodne wojskowe konie nie wiadomo jakich armii przypominały grozę, jaka przeszła przez ten kraj. W kilku miejscowościach spotkałem porozrzucane i podarte masy książek, potłuczone różne wartościowe przedmioty bezmyślną barbarzyńską ręką. Wszystko, co tam było i co jeszcze zostało, świadczyło aż nadto wymownie o bogactwach i kulturze, jakie niedawno panowały na tych ziemiach.

Ludność tamtejsza witała mnie wszędzie z niesłychanym entuzjazmem. Szczególnie robiło to chłopstwo, ośmielone pokrewieństwem pochodzenia. Na moje przyjęcie w Brześciu Litewskim zorganizowali chłopci banderę kilkaset koni wynoszącą. Konie te były tak mizerne i słabe, że się wprost przewracały po drodze. Usłużni zdołali mi zaraz opowiedzieć, że tę paradę urządził raczej starosta, ponosząc niesłychanie wiele trudów, gdyż ze zniszczonego powiatu trudno było wyciągnąć taką gromadę koni i ludzi.

Władze wojskowe w Brześciu witały mnie i przyjmowały z niesłychaną okazałością i wyszukaną uprzejmością, oprowadzając po całej twierdzy. Między in. pokazano mi salę, w której w r. 1918 odbywały się pertraktacje pokojowe między Rosją sowiecką a delegatami państw centralnych. Widać tam było jeszcze niezatarty napis na ścianie, dokonany podobno ręką Trockiego — „ani pokój ani wojna”. Nie mogłem przypuszczać wówczas ani na moment,

że za parę lat przybędę znowu do tej twierdzy jako więzień, wrzucony do lochu bez cienia winy i przez to samo wojsko polskie będą traktowany jak zbrodniarz, któremu żadne prawa ludzkie nie przysługują.

Z ludnością wiejską bez względu na jej religię i narodowość rozmyślnie stykałem się bardzo wiele i śmiem twierdzić, że gdyby się z nią odpowiednio obchodzono, to można ją było do państwa przywiązać bez wielkich kosztów i zabiegów. Zwłaszcza można to powiedzieć o ludności białoruskiej wyznania katolickiego. Białorusini-schizmatycy wydawali mi się nieco nieufnie patrzący.

Kilkakrotnie zapytywałem się rozumniejszych Białorusinów, do jakiej oni narodowości się zaliczają. Zawsze była ta sama odpowiedź: „My tutejsi”. Polaków wszystkich uważali za panów, język polski także za pański, chociaż się nim posługiwał i parobek dworski i krążący żebrak.

Na dobro wielu tamtejszych właścicieli ziemskich zapisać należy, że zachowali się oni po obywatelsku i byli przygotowani do wszelkich ofiar na rzecz państwa. Czuli wprawdzie lęk przed reformą rolną, ale się w zasadzie z nią pogodzili. Ona ich też pobudzała do intensywniejszej pracy nad odbudową zniszczonych warsztatów rolnych. Niemal wszyscy młodszy odbywali służbę wojskową jako ochotnicy i świeżo powrócili z frontu, dla spraw gospodarczych. Zauważyłem też, że na Wołyniu chłopcy są więcej samodzielni, a może nawet zuchwali. Nienawidzą przy tym wielkiej własności, tak Polaków jak i Rosjan.

Wydawało mi się wprost niezrozumiałe, że ludność polska po wsiach i dworach na kresach zamieszkała, nie dawała prawie znaku życia, była ogromnie onieśmielona i niemrawa tak, że nie można jej było wyciągnąć na słowo. Wyjątek stanowiły zaścianki szlacheckie, w różnych okolicach Wołynia i Białorusi dość gęsto rozsiane. Wykazywały one nie tylko znaczną ruchliwość i pewność siebie, ale także bardzo dużą świadomość.

Ażeby dotrzeć do kogo należy, urządzałem się w ten sposób, że polecałem starostom wszystkich powiatów, by poza urzędami i władzami zbierali zupełnie osobno przedstawiciele ludności i wójtów, z którymi rozmawiałem bez obecności starosty. Narzekali na ucisk i nadużycia ze strony starostw i urzędników. Nieraz byli bardzo wstrzemięźliwi, oglądając się często na drzwi. Nie było zresztą w tym nic dziwnego. Z jednej strony ciążyły stosunki wojenne z wszystkimi następstwami, z drugiej zaś starostowie nie dorastający do swoich zadań i mściwi. Rekrutowali się oni przeważnie z uchodźców zza kordonu, skąd przynieśli z sobą wiele zalet, ale wszelkie wady i maniery szlacheckie, z praktykami urzędników carskich połączone. Bywali też nieraz nie tylko szkodli-

wi i dokuczliwi, ale także niesłychanie śmieszni. Nieliczni, ale naprawdę chlubny wyjątek pomiędzy nimi stanowił starosta stołpecki, hr. Czapski. Mimo młodego wieku orientował się na doskonale we wszystkim i bez zarzutu spełniał swoje tak naocześnie ciężkie obowiązki. W rozmowie z mną skarżył się na panujące stosunki w administracji i zapowiadał swoje ustąpienie. Co zrobił, nie wiem.

Gorzej natomiast było z innymi „waszmościami szlacheckimi”. Jeden z takich starostów, niejaki Głowacki, wyjechał po mnie na granicę powiatu w cztery konie obok siebie zaprzężone, obwieszane dzwoneczkami, sprawiającymi niesłychany hałas. Sam się ustroił w kontusz, a woźnicę w dziwaczny, nieznany mi ubiór. Kiedy się zapytałem, co to wszystko znaczy, odpowiedział mi zupełnie spokojnie, że w Rosji tak wyjeżdżano nawet po gubernatora. Po drodze tak gromił i wymyślał wszystkich przejeżdżających i przechodzących, co się spieszenie nie usuwali, albo należycie nie kłaniali, że nareszcie sekretarz zmuszony był zwrócić mu uwagę na niestosowność jego postępowania. Był tym mocno zdziwiony i dotknięty, a skarżąc się do mnie, nie rozumiał dlaczego sekretarz lekceważy jego dobrą wolę. Tak się tym zraził, że do końca już nie odzyskał humoru. Za kilka miesięcy został z urzędu usunięty za niedozwolony handel końmi, jaki na dużą skalę prowadził z Sowieciami. Było to tym dziwniejsze, że głosił się zawsze największym wrogiem bolszewików, a miał do tego zupełnie słuszne powody, gdyż nie tylko pozbawili go bardzo znacznego majątku, ale wymordowali jego rodzinę, a on sam zaledwie zdołał uciec z życiem.

Mając z sobą, choć nieznaczne kwoty z mojego małego funduszu dyspozycyjnego, zostawiałem w każdym powiecie coś starości dla najwięcej potrzebujących, a równocześnie wychodziło zarządzenie wysłania ziemniaków i mąki dla okolic najbardziej zniszczonych. Ponieważ posyłki te przychodziły szybko, robiły one bardzo dobre wrażenie pomiędzy chłopstwem.

W objazdach spotkałem się też z dawnymi jeszcze nielicznymi osadami i osadnikami. Pochodzili oni przeważnie z Królestwa, najwięcej z dawnej gubernii kieleckiej. Gospodarowali dobrze, choć czuli się niezupełnie pewnie, obawiając się, że pierwsza burza wojenna nie zostawi z nich śladu. Widzieli, że nie tylko nowi do nich nie przybędą, ale i tych dawnych ubywa i ubywać będzie. Jednostek wybitniejszych pomiędzy nimi nie mogłem się doszukać. Niewiele się też od nich dowiedziałem, gdyż sprawami publicznymi się nie zajmowali. Dziwni ludzie!

Jeżdżąc nadzwyczaj forsownie także i wieczorami, zdążyłem być niemal we wszystkich powiatach Wołynia i dzisiejszego wo-

jewództwa nowogrodzkiego i brzeskiego, starając się zebrać jak najwięcej danych.

Po powiatach

Z Brześcia Litewskiego pojechałem do Wołkowyska, Pruzany, Kobrynia, Drohiczyna, Pińska, wstępując wszędzie w każdym powiecie do najbardziej zniszczonych miejscowości. Na życzenie starosty pińskiego zetknąłem się w Błyszczowodach z tamtejszym proboszczem, jak mówił starosta, bardzo ruchliwym i wpływowym działaczem, jednak niepewnym pod względem narodowym i dlatego z Wileńszczyzny tu przeniesionym. Mimo że propozycja szlachcica-starosty trochę mnie zdziwiła, zgodziłem się na przyjęcie jegomości, który widocznie powiadomiony wcześniej przez starostę, zjawił się natychmiast. Młody, bardzo wymowny jegomość oświadczył mi zanim mogłem go zapytać, że zarzuty mu stawiane są zupełnie bezpodstawne. Jest Litwinem i nim pozostanie, ale godzi się z wytworzonym stanem i lojalność całkowitą wobec państwa zachowuje. Starostowie są niedołęgi albo tchórze, widzą też u niego to, czego nie ma. Z nowej parafii jest zupełnie zadowolony. Dziś w rozbitym kościele odprawia nabożeństwo za pomyślność państwa i prosi, bym je zaszczycił swoją obecnością. W końcu twierdził i to bez zajknięcia, że na kresach robią Polsce wiele szkody nie tacy jak on, tylko źle dobrani urzędnicy, nie wyłączając miejscowego starosty.

Na nabożeństwie nie mogłem być, ale odwiedziłem parafię i tego dziwnego księdza. Nie omieszkał on też wyzyskać mojego pobytu. Nie żądając nic dla siebie, prosił o zapomogę na odbudowanie zniszczonego od pocisków kościoła i głodujących parafian. Zostawiłem, co mogłem na ręce starosty, który był niepomiernie zdziwiony sprytem niepokąźnego proboszcza. Ten zaś proboszcz wszystkie swoje zarzuty przy staroście wyśpiewał. Starosta onie-miał, nie próbując się nawet bronić.

Mieszkańcy Błyszczowód, katolicy mówiący na poły po polsku, zniszczeni i przygłuszeni nic o Bożym świecie nie wiedzieli i mnie też nic nie powiedzieli, poza tym, że im źle, a dawniej mieli się lepiej. Przed odjazdem zwiedziłem cmentarz, leżący na małym wzgórku z trzech stron otoczonym jeziorem. Oprócz lasu pochyłych krzyży, spotkałem na nim kilkanaście kamiennych pomników Platerów, Osмоłowskich i innych rodzin, z których ślady pozostały tam tylko na cmentarzu.

Z Pińska pojechałem na Łuniniec, a następnie Nieśwież, gdzie się zatrzymałem nieco dłużej. Szeroka okolica Nieświeża

swoją wysoką kulturą rolną przypomina jakiś lepszy powiat zachodniej Małopolski. Zniszczenie wojenne jest też daleko mniejsze, niż w tych powiatach, przez które przed tym przejeżdżałem. Wszędzie zauważyłem dziewczęta wiejskie chodzące z twarzami owiniętymi chustkami po same oczy. Starosta tłumaczył, że robią to dla utrzymania odpowiedniej cery, którą pali słońce. U nas znowu odwrotnie, bo starają się być opalone.

W Baranowiczach zabawiłem trochę dłużej ze względu na ilość różnych interesantów, jacy się tam nagromadzili. Miasto samo robi bardzo nieprzyjemne wrażenie. Czuć tam było nie tylko wojnę, ale różne wyziewy i bolszewicką zarazę, bardzo silnie zakorzenioną. Starano się też ją wówczas izolować w kilku drewnianych budynkach, mocno okratowanych i strażą wojskową obstawionych. Mimo to ze środka dochodziły głośne wrzaski.

Stołpce, bardziej skupiona i starsza miłościna, została przez wojnę bardzo silnie dotknięta. Lepiej się trzymała część miasta, składająca się z domów drewnianych. Na rynku zarośniętym trawą zabawiało się kilkanaście świń, co u starosty Czapskiego wywołało bardzo kwaśny uśmiech. Ludzi przyszło tam niewiele i w żądaniach swoich byli bardzo skromni, zaznaczając że starosta dużo im robi.

Miasto Nowogródek, mimo tylu przejść wojennych, przedstawiało się jeszcze względnie dobrze. Ocalały też prawie w całości kościoły i różne historyczne budowle. Interesujące to miasto zwiedziłem dokładnie, oprowadzony przez jednego z urzędników, który mieszkał tam od urodzenia i przeszedł rosyjską służbę. Podczas rozmów z chłopami natrafiłem na kilku wcale rozumnych ludzi. Mimo że w rozmowie zachowywali bardzo dużą wstrzeźliwość, widziałem, że byli społecznie radykalnie nastawieni. Bardzo też ciekawie dopytywali się, czy najazd bolszewicki nie może się powtórzyć. Na bolszewików nie narzekali. Starosta, który z nimi był na bakier, twierdził, że pytania o bolszewików były podstępne, zdradzające ich ukryte pragnienia. Danych żadnych nie umiał przytoczyć.

Znacznie dłużej zatrzymałem się w Lidzie. Niewiele czasu mogłem poświęcić na zwiedzanie tak mnie interesujących pamiątek, choćby co najważniejszych, bo musiałem go zużyć na rozmowy z delegatami miasta i wsi. Po raz pierwszy w czasie moich objazdów po wschodzie przyszła tam spora gromada chłopów polskich. Wyróżniali się oni w sposób widoczny od chłopów białoruskich odwagą, jasnością wyrażania się, znajomością stosunków i świadomością ogólną. Wspólnie zaś wszyscy narzekali na władze cywilne i wojskowe, prosili o pomoc i obronę. Przywiązanie do

państwa okazywali bardzo duże i kilkakrotnie powoływali się na próby w czasie wojny bolszewickiej.

Do Wilna

W czasie mojego pobytu w Lidzie przybyli do mnie przedstawiciele miasta Wilna z prezydentem Bańkowskim na czele. Prosilili oni o odwiedzenie Wilna i przeprowadzenie konferencji z kilku wybitniejszymi obywatelami, którzy na mnie oczekują. Zgodziłem się na to, przyspieszyłem rozmowy, odmówiłem obiadu i wyjechałem natychmiast. Jechaliśmy przez Bieniakonie szerokim, piaszczystym gościńcem, obsadzonym czterema rzędami drzew, a zwanym przez ludność tamtejszą traktem carowej Katarzyny Druhej. Przez całą drogę Bańkowski informował mnie o stosunkach i wskazywał drogę postępowania, jego zdaniem najlepszą. O ile wiem, był z przekonania narodowym demokratą, a jak mi mówiono, człowiekiem nadzwyczaj godnym i gorącym patriotą. Należał do przeciwników wszelkich federacyjnych pomysłów Piłsudskiego uważając je za niepotrzebne, niewykonalne i w swoich następstwach dla Polski szkodliwe. Doradzał wcielenie Wileńszczyzny do Polski, twierdząc, że ogromna większość ludności tego kraju za tym się oświadcza. Potępiał odśrodkową robotę, jaką mieli prowadzić nieliczni wysłannicy Piłsudskiego i różni młodzieńcy z rad ludowych, jak i agitatorzy Wyzwolenia. W końcu poinformował mnie bliżej o ludziach, z którymi miałem w Wilnie rozmawiać.

Przybywszy do Wilna zupełnie incognito, zastałem kilkunastu owych najpoważniejszych obywateli, oczekujących na mnie od kilku godzin. Mówili bardzo rozsądnie, starając się przy tym zabierać jak najmniej czasu. W rozmowie wysunęli prawie te same sprawy, o których rozmawiałem z Bańkowskim i na które dałem już odpowiedź. Twierdzili tak samo jak i Bańkowski, że wybory na Wileńszczyźnie będą tylko formą potrzebną dla świata, bo cały kraj oświadcza się za przyłączeniem do Polski bez wszelkich formalności.

Mimo tej wstrzeźliwości, rozmowa ciągnęła się przez parę godzin, gdyż poruszono wiele spraw zasadniczych wymagających szerszego omówienia. Po daniu potrzebnych wyjaśnień i wypiciu kilku herbatek zamiast obiadu, odjechałem z Wilna już bardzo późną nocą, by stawić się na czas w Mołodecznie, gdzie mój przyjazd na godzinę ósmą rano był zapowiedziany. Tymczasem spotkała mnie nie bardzo przyjemna niespodzianka w drodze.

Do Mołodeczna

Nie znaliśmy drogi, wysłany zaś przez Bańkowskiego urzędnik policyjny na rozstajne drogi poza Wilno, wskazał szoferowi drogę która nam się skończyła po ujechaniu kilku kilometrów. Musieliśmy wracać i błądzić, przebijając się przez gęsty las, gdyż droga, na którą trafiliśmy, była zawałona kłodami drzewa, jak widać, od dawna tam leżącymi. Jadąc już potem na chybił trafił i kierując się słabą znajomością terenu i mapą sekretarza, po kilku godzinach tej jazdy znaleźliśmy się w miejscowości Świr. Miejscowość tę poznaliśmy po licznych stawach i młynach, upewniwszy się po przeczytaniu tabliczki umieszczonej na maleńkim słupie, stojącym przy drodze. Ponieważ sekretarz nie mógł nic wykałkulować na mapie, a spytać się nie było kogo, pojechaliliśmy wybierając najlepszą z dróg, jakie się w Świrze krzyżowały.

Zaczął się lekki świt, gdy dojechaliliśmy do jakiegoś miasteczka, przekonani, że to jest Mołodeczno. Ku naszemu wielkiemu zmartwieniu dowiedzieliśmy się od Żyda, którego sekretarz z nie-małym trudem odszukał, że są to Kobylniki, a do Mołodeczna stamtąd tak daleko, jak i do Wilna. Nie chcąc polegać na tych niemiłych informacjach, poszedł Angerman szukać policji. Znalazł wreszcie posterunek, a w nim tylko przestraszoną kucharkę, policjanta żadnego nie było. Zmuszeni byliśmy wrócić do Żyda. Doradził nam jechać lewą stroną jeziora Narocz, którejdy, jak twierdził, droga jest trochę dłuższa, ale znacznie lepsza, zaznaczając, że za trzy godziny będziemy w Mołodecznie.

Rzeczywiście przez kilka kilometrów droga była wcale niezła, wnet jednak przerodziła się w wąską, pełną drożynę, już nie tylko pełną wybojów z wojny jeszcze pozostałych, belek w przekrętych drogach poukładanych, ale i drutów kolczastych, gęsto poplątanych. Jakiś skulony chłopisko, pasący na brzegu konia, poinformował nas, że to jest linia okopów niemieckich, która się jeszcze ciągnie kilkadziesiąt wiorst co najmniej. Wobec takiej perspektywy poleciłem się zatrzymać dla zorientowania, czy nie będzie lepiej wrócić do Kobylnik, by znaleźć drogę, którą ten chłop uznawał za lepszą. Nie zrobiliśmy jednak tego, gdyż zapytany ponownie włościanin oświadczył, że się pomylił, bo tamtą drogą autami się nie jeździ. Nie ręczy także, czy i tą do głównej szosy dojeździemy.

Zziębnięci i zmęczeni chcieliśmy się napić bodaj ciepłego mleka, zwracając się do pierwszej napotkanej chałupy. Rozespana gospodyni odpowiedziała, że tu nikt nie ma mleka, bo wszystkie krowy zabrały wojska bolszewickie i polskie, a kupić nie mają za co. Nie było rady, musieliśmy dalej jechać. Wysiadając kilka-

dziesiąt razy dla torowania sobie drogi, usuwania drutów i innych przeszkód, bez żadnego wypadku wyjechaliśmy nareszcie na tę upragnioną szosę, równiutko ze wschodem słońca. Za pół godziny bardzo szybkiej jazdy byliśmy już w Mołodecznie nie spóźniając się ani minuty.

Zmęczony, głodny i niewyspany, przemówiłem do tłumu, który oklaskiwał każde moje słowo, często nie wiedząc co mówię. Zebranie tych mas i odpowiednie nastrojenie ich było widocznie zasługą gorliwego starosty, który się swoimi zachodami przed Studzińskim pochwalił, spodziewając się zapewne, że to do mnie dojdzie. Chciał widać tym sposobem chronić swą osobę, gdyż ludność podnosiła wiele skarg przeciw niemu. Odwaga skarżących się chłopów stanowiła dla mnie niespodziankę, bo wyglądali oni na bardzo potulnych i niesłuchanie załęcznionych. Po długiej rozmowie z nimi odwiedziłem kilka wsi najwięcej zniszczonych.

Do Wilejki dotarłem w godzinach południowych, natrafiając znowu na tłumy zgromadzone przez starostę i kilku działaczy politycznych. Po krótkim przemówieniu i długich rozmowach z delegacjami, udałem się na obiad przez starostę przygotowany. Na moje żądanie zaprosił on także sześciu chłopów, wyrażając obawę, czy się będą umieli zachować. Miał też z nimi kłopotu niemało, bo nie chcieli ani rusz do stołu się zbliżyć, a uczynili to dopiero wtenczas, kiedy im powiedział, że ja to nakazałem. Z początku rzeczywiście bardzo niezgrabnie wyglądali, ale potem dali sobie zupełnie radę, odkładając na bok widelce i pomagając sobie rękami. Obecny tam właścicielom ziemskim nie bardzo się podobała ta trochę śmieszna demokracja, za co od Studzińskiego usłyszeli odpowiednie na boku kazanie. Siedzący przy mnie pop miejscowy, także nie bardzo moimi gośćmi był zbudowany zaznaczając, że on zrobił na brataniu się z chłopami smutne doświadczenie, po którym ich trzyma z daleka od siebie.

Do Dżisny przybyłem już nad samym wieczorem. Tłumów tam nie było, gdyż starosta ograniczył się do zorganizowania delegacji, których liczba wynosiła czterdzieści kilka. Zabrały mi one tyle czasu, że zmuszony byłem przenocować na miejscu. Sprawilo to starości niemały kłopot, gdyż nie mógł znaleźć znośnego lokalu dla nas. Starym tamtejszym zwyczajem ulokował nas u Żyda, szukając po całym mieście wybredniejszej pościeli, bez żadnego zresztą wyniku.

Na drugi dzień bardzo wczesnym rankiem wyjechaliśmy do Grodna. Tyle wspomnień łączy się z tym miastem z dalszej i bliższej przeszłości, że niepodobna bez pewnego nabożeństwa tam wjeżdżać. Załatwiwszy się z licznymi i nieco natarczywymi delegacjami, pomiędzy którymi Żydzi i urzędnicy stanowili przewagę,

zwiedziłem ważniejsze budowle w mieście oprowadzony przez prof. Łaszkiwicza. Przed oczyma staje mi zawsze mimo tylu lat, sala, w której się odbywał „Sejm Niemy”, zatwierdzający rozbiór Polski z taką pochopnością, no i przewodnik, który umiał o tym z takim przejściem opowiadać, narzekać na brak charakterów i sam go także nie okazał, zmieniając przyjaciół i przekonania.

W mieście co krok to pamiątka, co ulica to jakaś rzecz, która mówi tak wiele.

Liczni chłopci polscy, którzy do mnie przybyli, zdradzali w rozmowie bardzo dużą znajomość stosunków i domagali się jedynie szybkiej parcelacji obszarów dworskich, będących w posiadaniu kilku magnatów Rosjan, a oszczędzenia polskiej wielkiej własności. Nie chcieli też w żaden sposób zrozumieć, że rząd nie może się kierować jedynie nienawiścią i nawet wobec Rosjan, będących obywatelami polskimi, musi zachować bezstronność. W końcu dali się przekonać, nie wiem, czy naprawdę.

Po załatwieniu spraw w mieście zwiedziłem kilka wsi, zarówno dotkniętych przez wojnę światową, jak i ostatnio polsko-bolszewicką. Zniszczenie było wprawdzie bardzo duże, ale chłopci dawali sobie jakoś radę. Rzecz godna uwagi, że ci zniszczeni pomagali sobie wzajemnie, a nawet szli z tą pomocą do odległych wsi. W rozmowach z nimi dowiedziałem się, że na wsi żyją bardzo silnie tradycje Napoleona i wyprawy jego w r. 1812. Ci sami jednak, co mi opowiadali o niej, nie wiedzieli czy rzeczka Łosośna jest tą samą, o której pisze Mickiewicz, czy może inną. Oczywiście i ja nie wiedziałem. Więcej od nas wiedział Studziński, który mnie i ich szeroko o tym objaśniał. Natomiast ani ja ani on nie umieliśmy chłopom odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wojska polskie uciekały spod Grodna, mając co najmniej kilkakrotną przewagę. Byłem zdziwiony tak pytaniem jak i rozważaniem takich spraw przez chłopów.

Przybyło także kilku właścicieli ziemskich, jak mówili, zupełnie przez wojnę zniszczonych. Twierdzili oni, że w tym samym położeniu znajdują się wszystkie dwory. Nie stawiali żadnych żądań, jedynie prosili o udzielenie pożyczki i jasne postawienie sprawy reformy rolnej, żeby wiedzieli, jak się mają zachować. Znajdujący się między nimi dwaj Rosjanie przez cały czas milczeli.

Pozostałe jeszcze na polach zboża wyglądały wcale dobrze, mimo że grunta kamieniste i dość zimne. Szczególnie dobrze przedstawiały się lny, których było bardzo wiele.

Już dobrze po południu wyjechałem z Grodna, zdążając do Augustowa i Suwałk. Idąc za radą Studzińskiego ominąłem Augustów, by zacząć wizytować od najdalej wysuniętego punktu, jaki

stanowiły Suwałki. To wprowadziło pewne zamieszanie, gdyż do Suwałk przybyłem za wcześnie. Czas zostający mi obróciłem na zwiedzenie kilku miejscowości, na które jako więcej interesujące wskazał mi starosta. Zniszczenie w nich było nieduże, ludzie skarżyli się więcej na niepewność położenia i domagali się uregulowania szybkiego stosunków z Litwinami. Obiecałem zrobić, co tylko możliwe, gdyż i rządowi musi na tym bardzo zależeć.

Z delegacjami załatwiłem się dość szybko, tak że Studziński mógł dać znać staroście w Augustowie, że wielkiego spóźnienia nie będzie. Z postulatów, z którymi przyszły delegacje, jeden był zgodnie niemal przez wszystkich podnoszony, a było nim usunięcie starosty i wytoczenie mu dochodzenia za różne nadużycia, na prawdę, czy rzekomo popełnione. Robotnicy, wytaczający te skargi zachowali się nawet w stosunku do niego w sposób tak nieprzyzwoity, że musiałem im zwrócić uwagę. Chłopi milczeli, przytaczając mi głowami, a wielcy właściciele próbowali go brać w obronę.

W Augustowie zastałem starostę mocno zdenerwowanego. Stojące tam tłumy ludzi dokuczały mu publicznie i głośno. On się znowu próbował bronić, w ten sam sposób odpowiadając na stawiane mu zarzuty. Studziński, stary i wytrawny urzędnik, był tą sceną do głębi zgorzony. Widać było bardzo wyraźnie, że ten starosta to człowiek chorowity i słaby, który sobie ze swoim urzędem, w tym czasie zwłaszcza nie dawał żadnej rady.

Chłopi z powiatu przyszli bardzo licznie, ale nie mieli żadnych sformułowanych żądań, chcieli mnie, jak twierdzili, zobaczyć. Starosta mówił, że należą oni do zwolenników Wyzwolenia i przyszli z jakimiś zamiarami, podsuwanymi im przez Wyzwoleńców nauczycieli. Ci zaś nauczyciele stawiali tylko własne i to nadmierne żądania w tonie, który w pewnym momencie musiałem bardzo ostro skarcić, co im zupełnie odebrało rezon. Służba dworska żądała dla siebie pierwszeństwa przy parcelacji obszarów dworskich i pomocy państwowej na urządzenie gospodarstw. Urzędnikom chodziło tylko o dodatki drożyzniane. Tak oni jak i nauczyciele wykazali małostkowość, z jaką się jadąc przez całe kresy wschodnie nie spotkałem.

Duchowieństwo i wielka własność nie stawiały żadnych żądań, zwracając tylko uwagę na szerzącą się anarchię, która toruje drogę bolszewizmowi.

Po uporaniu się z wszystkimi delegacjami udałem się na zwiedzenie jeziora i niezwykle pięknych, jodłowych i świerkowych lasów, nieco przez wojnę podniszczonych.

Mali szlachcice

Po drodze do Warszawy wstąpiłem jeszcze do kilku miejscowości w powiatach szczuczyńskim i przasnyskim, gdzie zniszczenie wojenne było wprost olbrzymie. Ludność tamtejsza wydawała mi się bardzo patriotyczna i religijnie nastrojona, choć okazywała trochę buty i dużą pewność siebie, czego przejeżdżając setki kilometrów nie zauważyłem. Nie wiedziałem przed zetknięciem się z nią, że to przeważnie szlachta zaściankowa, która jest wszędzie do siebie podobna. Trochę zdradzały ich nazwiska, a potem przyznali się sami. Jeden z nich, którego zabrałem do auta, opowiadał szeroko o stosunkach, nie omijając nawet drobnych i mało znaczących szczegółów, szczególnie z okresu panowania rosyjskiego i najazdu bolszewików. Nie miałem czasu na zajęcie się tą ciekawą z wielu względów okolicą, obiecując sobie zrobić to później.

Nauczyciele i szkoła

Chcąc się przyjrzeć przynajmniej pobieżnie szkolnictwu ludowemu na kresach, wstąpiłem do osady, noszącej nazwę „Stara Mysz”. Nieduża ta osada, przeważnie przez ludność białoruską i żydowską zamieszkała, posiadała szkołę siedmioklasową. Mieściła się w dużym budynku drewnianym, pozostałym po jakimś rosyjskim urzędzie. Poza mieszkaniem nauczyciela, miała tylko dwie dość duże i jasne sale naukowe. Personel składał się z kierownika szkoły i dwóch młodych nauczycielek, z których jedna była Żydówką. Żadna z nich nie mówiła dobrze po polsku, mimo że nauka odbywała się w tym języku.

Kierownika nie widziałem wcale, gdyż jak twierdziły nauczycielki od kilku dni przebywał w mieście powiatowym, co miało być jego stałym zwyczajem. Frekwencję stanowiło zaledwie 26 dzieci w wieku od lat 7 do 13. Na pytanie zadane przez min. Kucharskiego, który był tam ze mną, dzieci odpowiadały bardzo nieśmiało, łamanym polskim językiem. O postępach w nauce nie można się było od nauczycielek nic dowiedzieć, a wszelkie księgi miał kierownik zamknięte u siebie.

Pojechaliśmy do drugiej miejscowości odległej o 7 km. Znajdowała się w niej szkoła czteroklasowa, w dość przyzwoitym budynku murowanym pomieszczona. Mimo że nauka była w toku, kierownik szkoły zajęty był rąbaniem drzewa. W dwóch klasach mieściło się 25 dzieci, przeważnie białoruskich, polskich tylko siedmioro. Oprócz kierownika szkoły pracowało jeszcze dwóch

nauczycieli. Jeden z nich wzięty na spytki przez Kucharskiego, nie mógł sobie dać rady nie tylko z historią polską, ale nawet z kolejnością liter w abecadle. A ponieważ miał twarz podrapaną i potargane ubranie, nie budzące wielkiego zaufania, zapytałem kierownika, skąd taki osobnik znalazł się w szkole. Kierownik odpowiedział, że przed kilku dniami przysłały go władze na skutek protekcji jakiegoś posła, który tu czasem przyjeżdża.

Sam kierownik, wyglądający na poważnego i rozsądnego człowieka, opowiadał, że szkoła polska wywiera dodatni wpływ na ludność miejscową, a dzieci już w drugim roku nauki tak pomieędzy sobą jak i w domu mówią prawie wyłącznie po polsku. To się udziela także rodzinie i otoczeniu, wskutek czego niektóre wsie białoruskie zaczynają wyłącznie używać języka polskiego, choć do tej pory nazywają go „pańskim”. Jego szkoła stanowi jeden z szczęśliwych wyjątków, gdyż w okręgu znajduje się dwór i nieco chłopów polskich, przeniesionych tu w drodze karnej z dawnej gubernii kieleckiej. Teraz się tu bardzo przydają. Skarżył się natomiast na szkodliwą robotę agitatorów Wyzwolenia, którzy ludność białoruską bałamuca, namawiając do wnoszenia podań przeciw nauce języka polskiego w szkołach. Twierdził też, że wielka część nauczycielstwa nie nadaje się do spełnienia swego zadania.

Wizyty kilku jeszcze szkół nie przyniosły nic nowego. Przeważnie zaś mieściły się w budynkach znacznie gorszych.

Duchowieństwo

Ponieważ duchowieństwo prawosławne prawie wszędzie stawało się w komplecie, a w przemówieniach manifestowało swoją bezwzględną lojalność wobec państwa, chciałem mu się przyjrzeć bliżej, przekonać się o jego szczerości, a jeszcze więcej o wpływie na ludność miejscową. W tym celu skorzystałem z kilku zaproszeń, udając się do cerkwi i na probostwa prawosławne. Uradowanych popów poprosiłem, ażeby wszędzie postarali się o zaproszenie bodaj kilku poważniejszych chłopów z parafii. Widziałem, że niektórzy byli z tego niezadowoleni, choć się wszędzie zastosowali do mojego życzenia. Tu się zaraz okazało, jaki był stosunek chłopów do nich, a także odwrotnie.

W niektórych wsiach chłopci przyszli na plebanię bardzo zadowoleni z tych księży zaprosin, w innych stanęli z daleka, oświadczając, że plebańskiego progu nie przestąpią. Z jednymi i drugimi wdałem się w rozmowę, nie zdradzając niczym swojego urzędu. Z rozmowy tej można się było przekonać, że prawie wszy-

scy popów nienawidzą z powodu uprawianego zdzierstwa, a lekceważą ze względu na niezbyt budujące postępowanie pod względem moralnym. W dwóch tylko wypadkach wyrażali się o nich z wielkim uznaniem. Dało się też wyczuć z zachowania tych chłopów, że i do religii prawosławnej zbyt wielkiego nabożeństwa nie żywili. Doświadczenia te zrobiłem w powiatach nieświejskim, łuninieckim, krzemienieckim, nowogrodzkim i baranowickim z jednakim wynikiem.

Radziwiłł

Bardzo wielką, dziwną niechęć czuła znaczna część społeczeństwa kresowego do księcia Alberta Radziwiłła w Nieświeżu. Dotyczyło to tak Polaków, jak Białorusinów, chłopów jak też i mieszczań. Niechęć owa posuwała się tak daleko, że gdy dowiedziano się, iż mnie zaprosił do siebie, przyszły do mnie liczne delegacje Polaków i Białorusinów z prośbą, ażebym im nie robił tej przykrości. Kiedy zdziwiony zapytałem, na czym ta przykrość miałaby polegać, odpowiedzieli, że na krzywdach, jakie im Radziwiłłowie robili od wieków i jeszcze nie przestali dotąd.

Wobec ich tak bardzo stanowczej postawy i kilkakrotnie jeszcze powtórzonej prośby, księcia Radziwiłła przeprosiłem, udając się na przyjęcie, urządzone przez obywateli Nieświeża. Przybył też na nie i Radziwiłł, trzymając się rozmyślnie w dużej odległości ode mnie. Gdy siedzącego przy mnie starostę, wioskowego szlachcica, zapytałem, co jest powodem tak daleko posuniętej nienawiści do Radziwiłłów, odpowiedział, że dużo winna temu agitacja tu prowadzona na poły bolszewicka, ale z drugiej strony winni są i Radziwiłłowie, bo przez swoją zachłanność uniemożliwiają życie wielkiej części ludności. Obecny właściciel Nieświeża jest nawet bardzo przyzwoitym człowiekiem, lecz on nic nie wie, co się w jego olbrzymich dobrach dzieje, administracja zaś wyzyskuje ludność i jego samego. Nie chciało mi się wierzyć, by pan na Nieświeżu był takim pacholęciem. Zresztą nie o to chodziło.

Praktyki

Nierzadko zdarzały się na kresach dość dziwne rzeczy, gdzie indziej niepraktykowane i niemożliwe. W mieście powiatowym N. natrafiłem na taki wypadek. Starosta miejscowy uważając się za wszechwładnego pana w powiecie i wszechstronnego stróża moralności, urzędnika, który rzekomo zdefraudował znaczniejszą

sumę pieniędzy, kazał natychmiast aresztować i publicznie przez miasto prowadzić ku niesłychanej uciesze rozbawionej tym gawiedzi i pokrzywdzonych podatników. Nie wiadomo, na czym by się to skończyło, bo tłum napierał coraz bardziej na winowajcę, a policja nie wiedziała, jak się ma zachować, gdyby nie mój przyjazd. Wiceminister Studziński powiedział staroście, co należało, a urzędnika polecił odstawić do właściwego miejsca z ominięciem podobnych praktyk. Zawzięty Studziński pilnując tej sprawy do końca, zawiadomił mnie po pewnym czasie, że urzędnik ten wcale nic nie zawinił.

Major Jaworski

We Włodzimierzu wołyńskim przedstawił mi się oddział konny majora Jaworskiego. Jeden w drugiego ludzie młodzi, rośli, żywi, obrotni, wyglądający niesłychanie zuchwale. Wszyscy dość kiepsko odziani, niektórzy nawet wprost obdarci. Przypominali mi oni żywcem owych Lisowczyków, lub innych awanturników, o których nieraz czytałem. Odznaczali się podobno szaloną odwagą w czasie wojny bolszewickiej, wdzierając się wielokrotnie na tyły armii sowieckiej na setki kilometrów siejąc popłoch i niosąc zniszczenie. Wojna stała się dla nich rzemiosłem i żywiołem. Nie mogli się też w żaden sposób pogodzić z myślą, że ona się już kończy. Zawieszenie broni i zawarcie rozejmu uważali za zdradę i dziwna rzecz, że o to obwiniali Piłsudskiego, który najmniej chyba temu był winien. Z niesłychanym żalem i gorczyzą mówił o tym ich komendant major Jaworski podczas aż nadto skromnego obiadu, na który mnie zaprosili. Na Piłsudskim nie zostawił jednej suchej nitki, a przecież był zapalonym piłsudczykiem. Przy sposobności opowiadał prawdziwe cuda o wyprawach swojego oddziału, które często wydawały mi się nieprawdopodobne. Załował ogromnych polskich majątków na Ukrainie, które jego zdaniem można było w całości zagarnąć. Może to jego opowiadanie o wariackich wyczynach było podobne do prawdy, gdyż o ile wiem, major Jaworski zmarł w niedługim czasie na chorobę umysłową.

Spółeczeństwo żydowskie na Kresach

Żydzi, odgrywający pomiędzy nieporadną ludnością kresową bardzo wielką rolę, nie omieszkali też mojej obecności wyzyskać do ostatnich granic. Wszędzie pokazywali się i wszędzie chcieli być widziani. Jeżeli się znajdowali w większej ilości, występowali

gromadą, wynosząc torę i odprawiając nabożeństwa w synagogach. Przy każdej sposobności manifestowali swoją lojalność wobec państwa, a deklarując się z wszelkimi ofiarami, nie stawiali żadnych żądań od siebie.

We Włodzimierzu Wołyńskim zdarzył mi się zabawny wypadek. Zaraz przy stacji kolejowej młodzież żydowska wyprężyła konie od mojego bardzo ciężkiego powozu i ciągnęła go ze mną do samego miasta, oddalonego o dobre dwa kilometry. Mimo parokrotnej zmiany musiała się niezłe zmęczyć, gdyż droga z kocich łbów ułożona była mocno zniszczona i nieco pod górę prowadząca.

Ten krok demonstracyjny ze strony młodzieży żydowskiej, nieprzychylnie przeważnie do Polski nastrojonej, uważali obywatele polscy za próbę rehabilitowania się, tamtejsi Żydzi bowiem w czasie pobytu bolszewików mieli się nie najlepiej spisać. Sam nie będąc zbytnio zadowolony z takiego zaprzęgnięcia ludzi do powozu, powiedziałem staroście, co należało. On nie mógł się dopatrzeć nic w tym złego i zaznaczał, że za rządów rosyjskich było to nieraz praktykowane. Starosta ten był dawnym urzędnikiem carskim, który przeszedł do służby polskiej i należał do lepszych.

Insignia i proboszcz we Włodzimierzu

W czasie przyjęcia urządzonego przez miasto Włodzimierz siedzący koło mnie miejscowy proboszcz katolicki prosił, żebym się zechciał zetknąć z nim bez świadków. Kiedy w czasie przerwy dałem mu znak, wyszedł i powiedział, że pragnie mi zakomunikować ważną wiadomość, dotyczącą insygniów i koron królewskich, uważa jednak, że najlepiej byłoby to omówić na probostwie. Obiecałem mu tam przyjść rzekomo dla oglądnięcia kościoła.

Kiedy przybyłem w ogromnej tajemnicy opowiedział mi, że insygnia, które w swoim czasie narobiły tyle rozgłosu i oparły się aż o Sejm, znajdowały się w kościele, który pozostaje pod jego zarządem. Kiedy wyraziłem wątpliwość, zaznaczając że to chyba legenda, poprosił mnie do kościoła, ażeby mi pozostałe ślady pokazać. Twierdził stanowczo, oświadczając że każdej chwili gotów jest złożyć przysięgę, że to nie była żadna fantazja ani pogłoska, bo są na to dowody, że insygnia były rzeczywiście w jego kościele ukryte.

Niemcy i Austriacy kierując się jakąś nierozważnie, czy może tendencyjnie napisaną broszurą, przekopali głęboko całe podziemie świątyni, nic jednak nie znaleźli, gdyż skarby znajdowały się ukryte na boku, już poza terenem kościoła. Komisja, jaka tam

była z ramienia Sejmu, została wprowadzona w błąd fałszywymi informacjami. Insignia zaś zostały zabrane nieco później przez wojskowych, których nazwiska nie są mu znane. Widząc moją niewiarę w to nieprawdopodobne opowiadanie, zademonstrował mi wejście ukryte, przez które dorosły człowiek mógł się tylko z trudnością przecisnąć. Gdyśmy tam weszli obydwaj i przyświecający nam kościelny, wskazał mi miejsce, gdzie owe rzekome insignia miały być przechowane, oświadczając ponownie z naciskiem, że gotów jest potwierdzić pod przysięgą wobec każdego, kto będzie do tego powołany i podać także wiarogodnych świadków, gdy zajdzie potrzeba. Po powrocie do Warszawy pomówiłem o tej sprawie z kilku osobami i ponieważ prawie wszyscy uważali to za fantazję, zaniechałem dalszych kroków.

Chłopi z Wyzwolenia w Zamościu

Będąc w Zamościu odbyłem umyślnie dłuższą rozmowę z wójtami, przybyłymi z wszystkich gmin powiatu i z członkami sejmiku powiatowego, należącymi przeważnie do Wyzwolenia. Ponieważ powiedziałem im, by się nie krępowali moją osobą, ani urzędem, ale otwarcie powiedzieli co myślą, oni to wzięli zupełnie dosłownie i wykorzystali w całej rozciągłości. Zabierając kolejno głos, przedstawiali poglądy swojego stronnictwa na różne sprawy i zagadnienia, z bardzo dużą pewnością siebie. Widziałem, że nie brak też u nich było własnej inicjatywy i dużej samodzielności, choć niektórymi doktrynami zaciemniali sobie pogląd ogólny. Nie darowali sobie także, by nie skorzystać ze sposobności i prosić mnie, bym nie popierał księży i panów, ale zajął się chłopami, którzy mi za to będą bardzo wdzięczni. Kiedy ich zapytałem, na czym ta moja miłość do panów i księży polega, odpowiedzieli, że nie wiedzą, lecz tak piszą gazety i posłowie o tym mówili na wiecach. Bodaj to ci posłowie!

Ludność katolicka i zaścianki szlacheckie

Serdecznego przyjęcia nad wyraz doznawałem w tych miejscowościach szczególnie, w których mieszkała ludność katolicka, mająca za sobą historię długiej i ciężkiej z Moskalami walki prowadzonej o utrzymanie narodowości i wiary ojców. Proste, szczere przemówienia, jakie tam były wygłaszane, tchnęły takim szczęściem, a zarazem zadowoleniem, pewnością sobie i dziwnym szlachebnym uporem, że się ich musiało słuchać z zapartym odde-

chem. Miałem też jak największą satysfakcję. Rozmawiając ze mną cieszyli się jak dzieci, że Opatrzność pokarała nareszcie ich katów i nieraz płakali z radości, że ich długie i gorące modły zostały wysłuchane.

Kierując się radami Kraszewskiego udałem się do kilku zaścianków i wsi prawie wyłącznie przez drobną szlachtę zamieszkałych, a nad samą granicą bolszewicką położonych. „Panowie szlachta” gospodarują nieźle, kierując się bardzo ostrożnie i praktycznie stosowanym postępowaniem. Zatrzymała także i stare przywary. Aczkolwiek się prawie niczym nie różniła od chłopów, patrzyła jednak na nich z góry, traktując ich jako niższych od siebie i mniej wartościowych.

Swoje dyplomy szlacheckie, wystawione jeszcze przez królów polskich, a potwierdzone przez carów rosyjskich trzymali jak relikwie za obrazami lub w skrzyniach i bardzo się nimi chepili. Kiedy w zaścianku Kraszewice wstąpiłem do takiego szlachcica, sołtysa i pięciomorgowego gospodarza, stwierdziłem, że nie umiał czytać ani pisać, o stosunkach niewiele miał pojęcia, ale wiedział doskonale, że jest szlachcicem i dyplom szlachecki dał jego rodzinie król Jan Kazimierz, potwierdził zaś car Aleksander Trzeci. Trzymał go za obrazem Matki Boskiej, owinięty w kilka papierów i wyciągnął go stamtąd dopiero wtedy, gdy mu powiedziano kim jestem, bo, jak oświadczył, on go byle komu nie pokazuje.

Z rozmów wyczułem, że do bolszewików okazywali nieco słabości, nienawidzili też mocno ks. Radziwiłła.

Wszyscy chodzili luzem, nie mając żadnej organizacji i nie czując jej potrzeby, a z instytucji posiadali jedynie niedawno założoną jednoklasową szkołę ludową, do której uczęszczały dzieci z kilku zaścianków. Obecnie stała pusta, bo nauczyciel, który uszedł przed bolszewikami, jeszcze nie powrócił. Zresztą był to czas wakacji. Widząc tyle tam zaniedbania i marnujących się ogromnych wartości w te czasy niezwykle się nadające do pracy narodowej i społecznej, postanowiłem rozejrzeć się za miejscowymi ludźmi, którzy by się najbardziej do niej nadawali. Pomiędzy tymi na ogół przeciętnymi ludźmi, niezwykłymi, wprost w oczy się rzucającymi zdolnościami odznaczał się młody zaściankowy szlachcic z powiatu nieświeskiego, niejaki Kraszewski, wyżej wymieniony. Rozmówiłem się z nim. Za kilka minut sprawa była załatwiona. Zadania podjął się z wielką chęcią, do pracy zabrał się z niesłychanym zapałem. Nie trwało to jednak długo, gdyż po kilku miesiącach przyjechał do Warszawy i oświadczył, że robotę musi przerwać, bo go te „szlacheckie tumany” posądzają, że bierze za nią pieniądze. Od tego zamiaru nie udało się go odwieść, mimo wysiłków z mej strony. Przerwał dobrze zapo-

czątkowaną pracę, odjechał i więcej go nie widziałem, mimo poszukiwań, jakie poleciłem robić.

Drugi z nich, równie jak on zdolny działacz i także szlachcic kresowy, Wojno, okazał się w tej robocie jeszcze mniej wytrzymałym od Kraszewskiego, bo w dwa miesiące czuł się nią już bardzo zmęczony.

Duchowieństwo katolickie

Przywiązując niesłychanie wielką wagę do działalności polskiego duchowieństwa katolickiego na kresach wschodnich, jeszcze przed wyjazdem zebrałem o nim niektóre informacje od jednego z wybitnych działaczy narodowych w Warszawie. Nie były one ani zbyt obfite, ani też zachęcające. Duchowieństwo polskie tępięne długo i w sposób bezwzględny przez rządy rosyjskie, zwłaszcza na tych ziemiach, było bardzo nieliczne i przeważnie po miastach i miasteczkach rozsiedlone. Znaczną jego część wówczas stanowili księża, którzy przybyli już za rządów polskich z Galicji, Poznańskiego i Królestwa, a usuwając się przed zawieruchą bolszewicką, nie wszyscy już zdołali powrócić.

Praca i zadania duchowieństwa były bardzo ciężkie. Ludność polska nieliczna, rozrzucona na szerokich połaciach kraju, przeważnie uboga i obojętna, pozbawiona przez całe lata kościoła i księdza, narażona na obce wpływy i nieraz im ulegająca, dwory rozbite i zniszczone, oto obraz położenia tam w tych czasach.

Ci duchowni, z którymi na kresach rozmawiałem, wysuwając sprawy religijne i kościelne na pierwsze miejsce, domagali się zwrotu kościołów, katolikom przez rządy rosyjskie zabranych, i koniecznej pomocy dla ludności i dla nich, dopóki majątki należne nie zostaną im przywrócone.

Duchownym o prawdziwie szerokim horyzoncie i wielkich planach pracy był ks. kanonik Sznarbachowski z Kowla. W rozmowie ze mną dowodził nadzwyczaj przekonująco, że gdyby teraz przyszła naprawdę rozumna i celowa praca państwowa, to całe kresy w przeciągu niewielu lat mogłyby zmienić zupełnie swoje oblicze. Mówiąc to wyrażał wielką obawę, że czasy te miną, a my nic nie zrobimy, bo tak władze świeckie jak i duchowne od samego zarania powstania Polski nie okazały dostatecznego zrozumienia sprawy. W Kowlu zostawił po sobie ogromny kościół, dla którego budowy poniósł wiele kosztów i trudów. Zmarł niestety, przedwcześnie.

Urzednicy, nauczyciele, inteligencja

O urzednikach wszelkiej kategorii, niewiele, a zwlaszcza niewiele dobrego mozna by powiedziec. Stanowili oni nieslychanie roznorodna zbieranine co do pochodzenia, wyksztalcenia, zawodow, wieku, przekonania. Znaczna czesc urzednikow administracyjnych i skarbowych przyszla z Rosji, uciekajac przed rzadami bolszewickimi w poszukiwaniu oparcia i kawałka chleba. Niezadowolona byla ze wszystkiego i nie umiala, czy nie chciala sie pozbyc nabytych w sluzbie rosyjskiej przywar i zwyczajow, czesto bardzo dziwnych, a zawsze szkodliwych.

Nie braklo pomiedzy nimi ludzi zupelnie niekwalifikowanych, co dostali posady z milosierdzia dla zabezpieczenia chwilowego ich bytu i ich rodzin. Nie mogli oni spezniac swoich obowiazkow, zyjac bezustannie nadzieja zmiany i powrotu do swoich siedzib i majatkow, czesto bardzo znacznych i inne zycie umozliwiajacych.

Rodowici Rosjanie stanowili pomiedzy urzednikami kresowymi bardzo znaczny procent. Przewaznie byli oni fachowo wyksztaleni i zajmowali wiele powaznych stanowisk w roznych dziedzinach administracji i w sadzie, bedac przedmiotem nienawisci uposledzonych urzednikow-Polakow.

Wielki odsetek stanowili urzednicy pochodzacy z Malopolski. Nie zawsze i oni nalezeli do najlepszych. Trzeba przyznac, ze wielu z nich, zwlaszcza z wschodniej czesci kraju pochodzacych, poszlo na kresy z prawdziwego patriotyzmu, z chacia i wola sluzenia narodowi i panstwu i spezniaja ta sluzbe z prawdziwym poswieceniem. Nie braklo jednak licznych jednostek, szukajacych latwego zarobku i wygodnego zycia. Nie obeszo sie takze bez aferzystow, ktorzy chcieli probowac szczescia na kresach i niedolegow, chcacych sobie tam odpoczac. To samo mozna by powiedziec o przybyszach z innych dzielnic, z ta roznicza, ze ich bylo znacznie mniej od tamtych.

Nauczycielstwo w owczas tam bardzo nieliczne, pochodzilo takze z roznych stron Polski. Wielka jego czesc przyjechala tu, nie mogac sie na miejscu ostać ze wzgledu na brak naukowych kwalifikacji, a nierzadko i moralnych walorow. Poziomienie nauczycielstwa bylo znacznie gorsze niz urzednikow. Bardzo rzadko mialo ono jako tako przyzwoite mieszkание, prawie zawsze ludnosc niechcnie a nawet wrogo usposobiona, brak niemal kulturalnych urzadzen, a nawet osobistego bezpieczenstwa. Rzecz dosc dziwna, ze nauczycielki dawaly sobie lepiej rade niz nauczyciele męzczyzni i mogly sie pochwalic znacznie lepszymi wynikami w nauce.

Było mi dość nieprzyjemnie, że tak urzędnicy jak i nauczyciele, którzy do mnie przychodzili, nie zajmując się niczym innym, natarczywie domagali się podwyższenia swoich poborów. Nie chcieli wiedzieć, że nam się wszystko nad głową paliło, a setki tysięcy ludzi nie miało co włożyć do ust, ani gdzie skłonić głowy.

Z inteligencją polską, należącą do wolnych zawodów, prawie się tam nie spotkałem. Nie było jej wiele, a ta, co była, nie dała znaku życia.

Wielcy właściciele

Wielkich właścicieli ziemskich spotkałem na kresach bardzo niewiele, ponieważ albo nie zdołali jeszcze powrócić z ewakuacji albo też spełniali służbę wojskową, do której się bardzo licznie zgłosili. Poza Radziwiłłem i jednym Lubomirskim nie spotkałem też żadnego z tamtejszych magnatów. Siedzieli oni albo zagranicą, albo w Warszawie, zastępowali ich na spustoszonych majątkach rządcy, a czasem zwyczajni karbownicy, lub polowi, nie umiejący ani słowa po polsku. Musiała mi się przy tej sposobności przypomnieć ich rola, jaką byli powinni odegrać przez wieki. Bardzo długo posiadali nie tylko władzę, ale i olbrzymie majątki, mieli możność przeprowadzenia wszystkiego dla państwa i dla siebie. Nie zrobili nic, a gdy przyszła burza wojenna, musieli uciekać ratując życie, nie zawsze nawet skutecznie. Co gorsza, że i ta nauka nie potrafiła ich zmienić.

Ci, z którymi się zetknąłem, należeli przeważnie do młodszej generacji i majątki posiadali mniejsze. Zbudowany byłem młodym ziemianinem w Kobryniu, który przyszedł z wojska na parodniowy urlop dla spraw gospodarczych i wygłosił do mnie w obecności masy chłopów przemówienie bardzo rozumne, ale tak społecznie radykalne, że dalej nie mógłby się posunąć żaden Wyzwoleniec. Zaznaczył między innymi w nim, że na wschodzie powinno się wszystką ziemię dworską oddać chłopom, bo to byłoby jedyną zaporą przeciw bolszewizmowi. Kiedy go zapytałem potem, jakich chłopów miał na myśli, odpowiedział, że tylko polskich, nie mógł jednak tego publicznie powiedzieć. Nazwiska jego, niestety, nie zapamiętałem.

Mieszczanie i rzemieślnicy

Mieszczan polskich w naszym rozumieniu nigdzie na kresach nie spotkałem. W ich imieniu występowali tam adwokaci, nota-

riusze, urzędnicy a nawet Żydzi. To samo można powiedzieć i o rzemieślnikach. Ksiądz Sznarbachowski, biorąc to zagadnienie zupełnie poważnie, mówił że rzemiosło opanowali wyłącznie Żydzi, i radził z Poznańskiego sprowadzić rzemieślników i kupców, by tym sposobem żywił polski na kresach zwłaszcza w miastach wzmocnić. Wiem, że akcja taka została zapoczątkowana, ale bez wielkich wyników, gdyż Poznańczycy szli na kresy dość niechętnie, rządy zaś tymi sprawami zupełnie się nie zajmowały.

Służba dworska

Z delegacją służby dworskiej spotkałem się tylko jeden raz na kresach. Przybyła do mnie w sprawie podziału majątku dworskiego między siebie w czasie inwazji bolszewickiej i kijów, które za ten podział otrzymała od miejscowego starosty. Skruszeni delegaci twierdzili, że oni temu nic nie winni, gdyż komisarz bolszewicki mówił, że „pan hrabia już nigdy nie wróci”, bo „szlacheckie panowanie na zawsze się skończyło”. Oni usłuchali i ziemię rozebrali, ale gdyby był wrócił, to by mu oddali w całości, bo do niego nie mieli żadnych pretensji, gdyż się zawsze z nimi dobrze obchodził i nigdy ich nie skrzywdził. Teraz proszą, żeby się o to nie gniewał i ze służby ich nie wyrzucał. Obecny przy tej rozmowie wiceminister Studziński, zrobił głośną uwagę: „To już naprawdę strasznie głupi ludzie”. Rzeczywiście byli oni tacy, ale ten pan hrabia mógł być przecież coś z nich wykrzesać, bo w tej rodzinie służyli przez całe pokolenia i byli Polakami jak i on. Jakby się przy tym przydali nawet i jemu.

Dziwy wojny

Kiedy po dziesięciodniowej forsownej i męczącej tułaczce wracałem z kresów do Warszawy, spotkałem w powiecie chełmskim przypadkowo pośła Jana Dąbskiego. Namówił mnie do zwiedzenia jeszcze kilku miejscowości, zniszczonych w jego okręgu wyborczym. Trudno mu było tego odmówić, więc się zgodziłem. Nie było zresztą nic nowego do zobaczenia, oprócz zniszczenia takiego samego jak gdzie indziej.

Wojna jest wojną, wszędzie i zawsze niesie śmierć i zniszczenie, ja już tego wyżej uszu miałem, a barbarzyństwo i z niego płynąca nędza ludzka zaczęła nie na żarty moimi mocnymi nerwami potrząsać. Wnet się okazało, że jeszcze nie wszystko widziałem. Długimi rzędami po dwóch stronach bitej prostej drogi, sterczą nad

rzeką resztki szarniałych kominów, ruiny rozburzonych pieców, szkielety niedopalonych belek, na drodze i w ogrodach doły od pocisków, a we wsi ani jednego węgla chociażby na pokaz. Nigdzie też nie widać ani jednego żywego stworzenia, bo nawet przelatujący ptak nie miałby na czym usiąść. Patrząc na ogrom tych strasznych rumowisk, można się było domyślać ze zgrozą, że niedawno na tym miejscu stała wielka, a zapewne i ludna wieś, zmieciona z powierzchni ziemi potwornymi siłami. Myślę sobie, zapewne mieszkańcy ewakuowani, bo przecież było niepodobieństwem, by się tu mógł ostać jeden człowiek. W tym przekonaniu umacniały mnie także rupiecie, wyniesione widocznie w czasie pożaru poza wieś i pozostawione swojemu losowi.

Tymczasem, sam nie wiem, miła czy przykra niespodzianka! Na długiej niemal tak samo jak i wieś przestrzeni, w korycie nieuregulowanej rzeki, jak gniazda jaskółcze przyklepione do brzegu, ciągną się szalasy, sklecone z patyków, szuwarów i gliny, zamieszkałe przez półtora tysiąca ludzi, stanowiącach przed tym tę wielką i bogatą wieś. Zaczynam tak dla przyzwoitości oglądać te budy. Na jednej z nich wisi tablica dawnego urzędu gminnego. Zatrzymuję się nieco przed nią. Wychodzący z budy wójt, mężczyzna wysoki nieco szpakowaty, z miną wcale niezatroskaną, śmiejąc się wskazuje mi tablicę i mówi, że tyle z majątku całej wsi zostało uratowane. Ale poprawiając się za chwilę powiada: „Proszę pana, uratowaliśmy znacznie więcej, gdyż mimo wściekłego bombardowania bolszewików, a potem i naszych, nie zginął z naszych ludzi ani jeden, choć wieś roztrzaskana została do cna. Podpalili ją nareszcie i nie pozwolili gasić i dopilnowali, żeby pozostał sam popiół. Zrabowali nam wszystko do ostatniej kury, nie mogli zabrać tylko zboża, bośmy go zawczasu i dobrze pochowali w ziemi”. Kiedy ja patrzyłem na te spustoszenia ze zgrozą, niefrasobliwy wciąż naczelnik niestniejącej gminy poprosił mnie o gazetę, którą trzymałem w ręku zaznaczając, że już bardzo dawno papieru nie widział, a ciekawy wiedzieć, co się w świecie dzieje. Takiego przyjaciela gazet pomiędzy chłopami nigdzie nie widziałem, a na pewno nie w takich okolicznościach.

Idąc dalej już nad samym zachodem słońca, nad jakąś rzeczulką zobaczyłem gruzy i zwałiska olbrzymich dworskich budynków gospodarskich. Obok nich, tylko po drugiej stronie szosy, stał bardzo ładny pałacyk, zupełnie nietknięty, jakby na to miejsce świeżo skądś przeniesiony. Kazałem przystanąć szoferowi, ażeby się bliżej przypatrzeć; ścieżka do niego prowadziła przez niskie zarośla, kierując się koło dużego stawu, po którym najspokojniej w świecie pływały sobie dwa białe łabędzie. Przed dworkiem był ładny i dobrze utrzymany klomb i ogród z kwiatami, zupełnie

świeżo wyglądającymi. Zapukałem do drzwi. Kiedy się przez dłuższą chwilę nikt nie odezwał, wszedłem do środka, przechodząc przez kilka pokoi zupełnie dobrze urządzonych. W żadnym nie zastałem ani żywej duszy, choć dom i urządzenie wyglądały, jak by były przed godziną opuszczone.

Odjeżdżając już wobec zapadającego zmroku, można było dojrzeć ten niesłychany kontrast. O dwieście metrów nad rzeczką leżąca wieś została zniszczona do ostatniej lepianki, za drogą o kilkadziesiąt kroków wszystko leżało w gruzach, a tu stał jeden dom ani paznokciem nie draśnięty. To już trudno sobie było wytłumaczyć.

Na Wołyniu

Po tygodniowym pobycie w Warszawie wyjechałem na Wołyń. Teren to zupełnie inny i ludzie nie tacy. Ziemia grubo bogatsza i zniszczenie mniejsze. Chłopi ukraińscy bardziej pewni siebie, znacznie więcej świadomi. Żydzi i wódka stanowią dla nich nieodstępne towarzystwo. Trafiałem także na chłopów polskich, dawnych carskich osadników, do których przybyli w niewielkiej ilości osadnicy nowi. Stanowią oni żywioł ruchliwy i przedsiębiorczy, choć nie wszyscy nadają się na gospodarstwo i do roli. Nauczyciele należeli politycznie w dużej ilości do Wyzwolenia i prowadzili lewicową robotę.

Kilka dni bardzo forsownej pracy wystarczyło na zwiedzenie wszystkich powiatów Wołynia i całego szeregu wsi zniszczonych, lub też mających jakieś specjalne znaczenie. Tak się jakoś ułożyło, że starostowie na Wołyniu stanowili materiał znacznie lepszy, mniej też było skarg, mimo że ludność jest bardziej wymagająca. Mniej skarg także podnoszono przeciw urzędowi i władzom z wyjątkiem policji, na którą były żale ogólne i zarzuty nieraz bardzo poważne.

Objężdżając wsie, udałem się także do kilku miejscowości zamieszkałych przez kolonistów czeskich, przed kilkunastu laty tam osiedlonych. Mimo zniszczenia wojennego, które ich także nie ominęło, kolonie czeskie przedstawiają jakby wyspę postępu, kultury, zamożności, pomiędzy tym morzem nędzy, ciemnoty, zacołania i niedołęstwa, jakie ich otacza. Pomimo że bolszewicy opuścili ich niedawno, zrobili już bardzo wiele dla wyrównania szkód i braków, nie czekając na niczyją pomoc. Kiedy oni postąpili już z robotą znacznie naprzód, chłop ukraiński nie miał jeszcze czasu ani się obejrzeć. Żądania przez nich stawiane szły jedynie w kierunku czeskiego szkolnictwa, a zwłaszcza nauczycieli.

W Kowlu, Sarnach, Równem, Dubnie, Zdołbunowie, Horochowie itp. zwykłe przemówienia, delegacje, rozmowy, przyjęcia i toasty, niezawsze zapewne szczerze, ale głośne i więcej niż liczne. Dłużej nieco zatrzymałem się w Krzemieńcu, Łucku i Włodzimierzu. Liceum Czackiego, to instytucja, którą warto codziennie oglądać, gdyż daje ona pojęcie o ludziach z minionej epoki i może zmasać niektóre ich grzechy. W powiecie krzemienieckim są też bliskie ślady przeszłości Wiśniowieckich, w tak wielkich rozmiarach przez Sienkiewicza namalowanych.

Łuck, stolica Wołynia, posiada bardzo wiele z polskiej przeszłości magnackiej, którzy jak tam widać, umieli i na większe rzeczy czasem się zdobyć. W Łucku zostawili wspaniałe kościoły. Tam mi też wypadło zupełnie oficjalnie odwiedzić kościół katolicki, cerkiew prawosławną i synagogę żydowską, podobno przez jednego z królów polskich wybudowaną. Nie było tylko świątyni muzułmańskiej, którą odwiedziłem w Nowogródku, oprowadzany przez duchownego, wcale nie Tatara.

Księża katolicycy przypuścili gwałtowny szturm, domagając się zwrotu kościołów zabranych przez rządy carskie, prawosławni znów prosili, ażeby tego nie robić. Sprawa nie była wcale łatwa i przeszła przez ręce kilku rządów.

Szukając ludzi do pracy, natknąłem się we Włodzimierzu wołyńskim na chłopca, który mi się niesłychanie spodobał. Był on synem osadnika polskiego od Jędrzejowa, przeniesionego tam w drodze karnej za robotę rewolucyjną. Był on wyjątkowo rozumny, świadomy i gorąco po polsku nastrojony. Starosta miejscowy miał do niego duże uprzedzenie, uważając go za błagiera. Może się i nie mylił, gdyż ów patriota nie tylko ze przyjętych na siebie zobowiązań nie wypełnił, ale się nawet nie usprawiedliwił.

Na Wołyniu spotkałem się też z działalnością ukraińską, przeniesioną tam z Małopolski Wschodniej. Prowadzili ją znani mi działacze, występujący z tymi samymi postulatami. Robota ich dała się szczególnie odczuć w powiatach krzemienieckim i włodzimierskim, choć przeniosła się później na inne powiaty dalej położone. Starostowie starym zwyczajem patrzeli na nią przez palce, a niektórzy nawet ją uważali za zupełnie naturalną.

Spostrzeżenia i materiały

Te moje kilkunastodniowe objazdy, obejrzenie na miejscu wszystkiego, na co czas i stosunki pozwalały, zetknięcie się z tysiącami ludzi, osobiste z nimi rozmowy wysłuchanie ich skarg i żalów, poznanie żądań i dążeń, dało mi jako kierownikowi

rządu bardzo wiele cennego materiału, choć było nieskończenie dalekie od gruntownego poznania tych również ciekawych jak i obszernych ziem, tak wielkiego znaczenia dla przyszłości państwa, dających tyle możliwości, ale kryjących w sobie wielkie i nieprzewidziane niespodzianki.

Nieszczęście i kłęski wszędzie i zawsze zbliżają ludzi do siebie. Pomoc udzielana w takich wypadkach pozostaje długo niezapomniana, jeżeli jest należyście pomyślana, lub nie niweczy jej niewłaściwe postępowanie tych, co nią dysponują.

Władze polskie, pierwsze ich kroki, sposób postępowania, były bardzo różnorodne i zmiennie, bo takimi czyniły je czas i zmieniające się niejednokrotnie położenie i wypadki. Nie mogły one też skutecznie oddziaływać na ludność tamtejszą, pozostającą pod wiekowymi rosyjskimi rządami. Trwająca tam przez lata wojenne zawierucha, jak i zmiennie jej koleje wyrobiły u ludności przekonanie, że to wszystko jeszcze nie jest pewne, rządy się zmieniają a może i car powróci.

Zresztą z pierwszych posunięć władz polskich, które przysłyły po rosyjskich rządach, ludność niewiele miała powodów do zadowolenia. Porównanie ich z rządami carskimi nie zawsze wypadało na naszą korzyść. Przechodzący żołnierz zachowywał się wobec ludności szorstko i brutalnie, starosta czy komisarz, który po nim przyszedł, lekceważąco i wyniośle, szukając w sposób często jak najniewłaściwszy należnej mu powagi, jeśli nie zwyczajnej niewolniczej uległości. Co zaś było najgorsze, że każdy niemal z nich postępował i politykował inaczej. Wspólnej drogi się nie trzymano, bo jej zresztą nie było. A przecież to jeszcze nie wszystko.

Nie wiem, czy kto z nich zliczyć mógł dokładnie, ile przez te ziemie przesunęło się wojsk, ile tam było rządzących i rozkazujących, ile zapowiedzi, proklamacji, manifestów, których zresztą ludność nie rozumiała, a nawet nie czytała, ile eksperymentów różnych awanturniczo usposobionych lub niedowarzonych ludzi, uważających te ziemie za przedmiot eksperymentów dla siebie, a nierzadko za teren eksploatacyjny.

Zebrany przeze mnie materiał posłużył Radzie Ministrów do wydania potrzebnych zarządzeń, wysłania nadzwyczajnych komisji, mających za zadanie robienie porządku na miejscu. Poszczególni ministrowie starali się jak najspieszniej załatwić wszelkie sprawy im podlegające bez stosowania biurokratycznych formalności, co robiło bardzo dobre wrażenie. Stosy pism i listów, przysyłanych do mnie z podziękowaniami od poszczególnych gmin, ludzi i instytucji dowodziły, że wydane zarządzenia były skuteczne i z wdzięcznością przez ludność przyjmowane.

W ślad za nimi przyjeżdżały gromadne delegacje każdego powiatu, przywożąc ze sobą bardzo skromne zwykle żądania i postulaty. Tym sposobem kontakt rządu z ludnością stawał się coraz bliższy i coraz bardziej pożyteczny.

Rozmawiając z chłopami białoruskimi i ukraińskimi osobiście i w gromadzie, obserwując pilnie każdy ich ruch i zachowanie się, mogłem zauważyć, że zbyt im nie imponowałem, a w porównaniu choćby z rosyjskim gubernatorem wcale dobrze nie wychodziłem w ich oczach i opinii. Mundur, guziki i szpada, namarszczona twarz, mocny i głośny krzyk, wcale im nie przestały imponować. W kilku miejscowościach nie wytrzymali, ażeby się nie zapytać sekretarza, czy ja naprawdę jestem takim wielkim panem, bo na takiego nie wyglądam i chodzę ubrany jak inni. To ich więcej przekonywało, gdy widzieli starostę kłaniającego się nisko, a czasem nawet za nisko, co było w zwyczaju zakordonowanych przybyszów.

Małopolska Wschodnia

Ponieważ sprawa definitywnej przynależności Małopolski Wschodniej do państwa polskiego nie została jeszcze przez mocarstwa ententy zadecydowana, a zaczęły się pojawiać rozmaite wieści, pomiędzy ludnością polską panowała tam niepewność i bardzo duży niepokój. Wyrażał on się w pismach bezustannie do mnie przysyłanych i delegacjach co dnia niemal przyjeżdżających. Potwierdzały to także dość nerwowe sprawozdania delegata rządu, Gałęckiego.

Ażeby kres temu położyć i zadość uczynić usilnym żądaniom wszystkich politycznych obozów polskich, postanowiłem tam wyjechać, ażeby się z nimi zetknąć i dać ludności publicznie uspokajające oświadczenie. Nie było to rzeczą łatwą, gdyż rząd także nic pewnego nie wiedział, choć czekając na decyzję, a nie mając zupełnej pewności co do postanowienia mocarstw, postanowił decyzji nieprzychylniej się nie poddać. Poza tym nie udało się uniknąć zetknięcia z Ukraińcami, którzy po walkach polsko-ruskich nie wszędzie się jeszcze uspokoiili. Z drugiej strony występ publiczny mnie i rządowi był bardzo na rękę, bo dawał sposobność do wypowiedzenia jego niezłomnej woli i oświadczenia się tamtejszego społeczeństwa, co nie było rzeczą małej wagi.

Ażeby rzecz ta wypadła w sposób należyty, delegat Gałęcki przygotował opinię polską i rozmówił się także z niektórymi mniej zapalczywymi Ukraińcami, zabezpieczając sobie spokój i odpowiedzialnie do występu powodzenie. Podróż moja wypadła niesłycha-

nie manifestacyjnie. Mimo ostrzeżeń tak Gałęckiego jak i innych, przemawiałem w kilkunastu miejscach do tłumów zgromadzonych pod gołym niebem, nie spotkawszy się nigdzie z najmniejszym incydentem.

W zgromadzeniach owych brali udział dość licznie chłopci ukraińscy i wszędzie zachowali się zupełnie spokojnie. Wszędzie też niemal, gdzie się zatrzymałem, przychodzili w delegacjach, przedstawiając przeważnie tylko ekonomiczne postulaty. Pod tym względem zadanie moje z nimi było znacznie ułatwione, gdyż z niektórymi z nich znałem się dawniej, a nawet miałem dość dobre stosunki. Z zachowania się tych, co przychodzili, i z rozmów przeprowadzonych wnosić można było, że się pogodzili z wytworzonym stanem i że rwali się do współpracy, choć trudno było nie zauważyć, że robili to w ten sposób jakby popełniali jakieś przestępstwo.

Manifestacyjne zgromadzenia ludności polskiej we Wschodniej Małopolsce, z siłą żywiołową urządzone, mówiły nie tylko o jej przywiązaniu do państwa, chęci i decyzji obrony jego granic, ale o wielkiej pewności i woli, przed żadną przeszkodą się nie cofającej. Tak było w r. 1920. Mogłem też ten radosny objaw stwierdzić publicznie z dumą i radością tym większą, że się to działo po ciężkich, kilkoletnich walkach, zmaganiach, zniszczeniach. Jakże inaczej było tam w r. 1930, kiedy tam znowu na kilka dni przyjechałem! Obojętność, zwątpienie, rezygnacja. Ci sami prawie ludzie, ale przybyło kilka lat rządów pomajowych odsuwających społeczeństwo od pracy, odsuwających je od prawa. Zimno się robi na myśl, co byłoby, gdyby teraz przyszły tak ciężkie chwile próby!

Lwów

Punktem kulminacyjnym tych manifestacji stało się olbrzymie zgromadzenie we Lwowie. Przygotowano je rozmyślnie, ażeby mi dać możność wystąpienia. Jeden z mówców wystąpił też do mnie z zapytaniem jak się przedstawia sprawa, wyrażając ogromny niepokój, ale zaznaczając równocześnie, że Polacy na wschodzie nie dopuszczą nigdy do oderwania się Małopolski Wschodniej od państwa polskiego, choćby im przyszło krwią i życiem przypłacić.

Odpowiedziałem, że wola i zamiary mocarstw zwycięskich co do tej sprawy nie są polskiemu rządowi znane, natomiast rząd wie i ja mogę jego imieniem zapewnić obywateli miasta Lwowa, jak i całej tej części kraju, że nie ma na świecie takiej siły, która by potrafiła Małopolskę wschodnią od Polski oderwać. My wszyscy o

tym wiemy, że państwo polskie bez Małopolski Wschodniej stałoby się kaleką, niezdolną do życia i rozwoju, a państwo chce żyć i musi się rozwijać. O losie więc tego kraju zadecyduje nie tylko wola mocarstw zwycięskich, ale przede wszystkim wola narodu polskiego. Trzeba ją tylko pokazać i umieć utrzymać. Spokojne, niemal żelazne zebranie, burza oklasków wstrząsająca niemal murami starego ratusza, zdecydowana postawa uczestników stwierdzały bez żadnych wątpliwości gotowość wszystkich Polaków na wschodzie do wszelkich ofiar dla utrzymania każdej piędzi ziemi.

Manifestacje podobne, choć nieco mniejsze rozmiarami, odbywały się w Tarnopolu, Skałacie, Czortkowie, Podhajcach, Buczaczu, Horodence, Kamionce Strumiłowej, Brzeżanach, Kołomyi, Zaleszczykach, Trembowli, Drohobyczu i kilku jeszcze miastach na wschodzie. Zaznaczyć należy, że społeczeństwo polskie, bez różnicy zapatrywania politycznego było niesłychanie jednolite i solidarne.

W drodze powrotnej

W drodze powrotnej na Kraków wstąpiłem jeszcze do Sarnoka, Brzozowa, Jasła, Krosna, Grybowa, Nowego Sącza, Mielca, Dąbrowy, Brzeska, Jarosławia, Gorlic itd., kończąc na Tarnowie. Specjalnie tam oczekiwały mnie niewidziane nigdzie tłumy i niezwykle niespodzianki. To przecież powiat, w którym się urodziłem, wychowałem, w którym rozpocząłem swoją pracę polityczną, gdzie znało mnie niemal każde dziecko. Byli też wszyscy, tak przyjaciele jak i polityczni przeciwnicy, pełni radości i uniesienia, dumni, że w mojej osobie przypadła ich powiatowi taka w Polsce rola. Tego się spodziewałem i nie byłem też zdziwiony.

Natomiast musiałem się bardzo przykro zdziwić, że nie było tarnowskiego duchowieństwa, z wyjątkiem jednego księży, który się wcisnął pomiędzy tłum, żeby nie być widziany przez donosicieli. Ksiądz biskup Wałęga zabronił polskiemu duchowieństwu zbliżyć się do polskiego premiera rządu, załatwiając w ten sposób swoje porachunki i wybierając sobie to miejsce i tę porę. Nieprzyjemną także niespodzianką były okrzyki zgromadzonych pod jego adresem, w mojej obecności wznoszone, bardzo głośne i bardzo przykre. Widocznie nie chciano widzieć kopanej dalej, rozmyślnie, już i tak głębokiej przepaści.

C z ę ś ć X I I I

DYMISJA RZĄDU OBRONY NARODOWEJ

Tarcie w stronnictwach

Wyjazdy podobne, tak moje jak i innych członków rządu, stykanie się osobiste z ludnością, badanie skarg i stosunków na miejscu, przyjrzenie się działalności urzędów i urzędników, które tak wiele pozostawiały wciąż do życzenia, uznawałem zawsze, a zwłaszcza wówczas za niezwykle pożyteczne a nawet konieczne. Nie tylko więc sam to robiłem, ale i innych członków rządu do tego usilnie, często i natarczywie zachęcałem. Inaczej się jednak patrzyły na tę sprawę stronnictwa polityczne, należące do większości rządowej. Długie moje i wyczerpujące podróże zaczęły one traktować jako agitację na rzecz „Piasta” i rozpoczęły niezwykle demagogiczną kampanię przeciwko mnie, tak w prasie jak i na wiecach. Nawet posłowie uważani zawsze za ludzi poważnych jeździli po wiecach i dowodzili głośno z przekonaniem i oburzeniem, że narażam zubożałe państwo i społeczeństwo na niesłychane wydatki i straty, gdyż w swoich licznych rozjazdach używam salonki, kolei, samochodu, które państwo zmuszone jest opłacać. Nie brakło i takich, co się posuwali do wprost oszczerczych insynuacji i obelg i to nie tylko co do mnie, ale także do całego rządu. Niepotrzebnie byłoby wymieniać całe tuziny Ruzzińskich, Woźnickich i wielu do nich podobnych, gdy tak mądry człowiek, jakim bezsprzecznie był ks. poseł Lutosławski, na publicznym zgromadzeniu w Przemyślu, Rząd Obrony Narodowej ośmielił się nazwać rządem koniokraków. Obciążającą okoliczność stanowił fakt, że tych obelg i oskarżeń słuchało co najmniej kilkuset Ukraińców. To mówił ks. Lutosławski, do czego dopiero inni byli zdolni. Patrząc na to, człowieka musiała szarpać bezsilna wściekłość.

Kiedy artykułami atakującymi ze wszystkich stron mnie i ministrów zaczęło zapełniać codziennie całe szpalty pism stronnictw rządowych, przekraczając przy tym wszelką miarę, zwróciłem uwagę ministrom reprezentującym te stronnictwa na to nielojalne i niemądre postępowanie. Obiecali interweniować, ale po kilku dniach odpowiedzieli, że wobec stronnictw są zupełnie bezradni. Niektórzy nawet użyli argumentu, że stronnictwa te muszą tak postępować, bo w przeciwnym razie straciłyby wpływy w społeczeństwie. Wytrzeszczyłem oczy, słuchając tych argumentów od ludzi z akademickim wykształceniem i wcale nie miałą przeszłością polityczną.

Gdyby przynajmniej były do tego jakieś powody! Ale ja na tym urzędzie prowadziłem gospodarkę niemal zdziwaczałego skąpca. Auto, którym wyjeżdżałem, należało do Paderewskiego i do dziś nie wiem, dlaczego rząd go używał a nie właściciel. Dziś starosta na powiecie jeździ autem, i to swoim, i nikt się tym nie gorszy. Mój fundusz dyspozycyjny, którym sobie tak wycierano głowę, wynosił na rok, mniej niż dziś sanacyjnego premiera na miesiąc, a moje roczne pobory nie przekroczyły sumy, jaką pobiera obecnie premier za dwa miesiące. Najzabawniejsze było to, że ci najgłośniejsi krzyczeli co do mnie przychodzili po ten fundusz dyspozycyjny niemal każdego miesiąca i zabierali go.

Wobec wprost niepojętego stanowiska, zajętego przez niektórych ministrów, domagania szalała coraz bardziej, atmosfera stawała się coraz bardziej duszniejsza. Wszystko zaczęło się jakoś dziwnie kręcić i niecierpliwic. Byłem przekonany, że niejedno ze stronnictw ważyłoby się tak na rozbięcie rządu jak i większości, nie chce tylko tego robić pierwsze, by nie brać całego ciężaru odpowiedzialności. Zadanie to zostało ułatwione przez Władysława Grabskiego, który był ministrem skarbu i uchodził na tym urzędzie za przedstawiciela Związku Ludowo-Narodowego. Dziś już dobrze nie pamiętam, co było formalnym powodem jego ustąpienia, czy jego woła, czy nakaz stronnictwa. On więc zrobił w rządzie pierwszą wyrwę, ośmielając tym innych, którzy nie mieli odwagi rozpocząć.

Socjaliści i Wyzwolenie

Zgoda, współdziałanie i spokój w kraju nie dogadzały już od dawna socjalistom, szukali więc pretekstu, by się z rządu i z większości wycofać. Krok ministra Grabskiego zadanie to znakomicie im ułatwił. Rada Naczelna tego stronnictwa, obradująca w grudniu 1920 r., odwołała z gabinetu Daszyńskiego, motywując

swoje postanowienie tym, że rząd Jedności Narodowej jest dalej niepotrzebny, gdyż spełnił już zadanie, do którego został powołany. Bali się biedacy, ażeby nie zrobił za wiele. Sam zaś wicepremier Daszyński uważał to postanowienie za lekkomyślne i był z niego mocno niezadowolony, ale nie miał odwagi w sposób należyty mu się przeciwstawić i demagogii, która z członków rządu robiła zwyczajnych przestępców, nie stawiał czoła.

Zresztą i on sam granitowych przekonań wcale nie posiadał. Urząd go pociągnął, imponowały mu rozmowy z arystokratami, których do niego odsyłałem, akcentował konieczność współpracy, ale widok czerwonego sztandaru wytrącał go z równowagi, a dźwięczny ton międzynarodówki doprowadzał do zawrotu głowy, nie mówiąc już o frazesie chłopsko-robotniczym.

Jeżeli z rządu i większości sejmowej wystąpili socjaliści, to musieli to samo zrobić i Wyzwolenicy, którzy zawsze byli ich cieniem i echem. Z wielkim trudem przeczekali kilka tygodni ze względów taktycznych i dnia 17 lutego 1921 r. wycofali swojego przedstawiciela z rządu, ministra rolnictwa Juliusza Poniatowskiego.

Ustawa Konstytucyjna 1921 r.

Po ustąpieniu wymienionych ministrów i wycofaniu się socjalistów i Wyzwolenia z większości sejmowej, rząd ją jeszcze posiadał, ale zmieniła ona znacznie swój pierwotny charakter na bardziej zachowawczy. To mnie stawiało w ciężkiej i niewygodnej sytuacji, tym bardziej, że niedawni jeszcze sojusznicy rozpętali walkę w kraju, posługując się wszystkimi wcale niewybrednymi środkami. Błądły też nieraz przy nich występy ks. Lutosławskiego.

Trudności i przeszkody stawały przed rządem coraz to większe. Po naradzie z kilku bliższymi przyjaciółmi i wybitniejszymi przedstawicielami większości postanowiłem jakiś czas przeczekać, by niektóre sprawy przeprowadzić. Opozycja wzmogła jeszcze walkę.

Mimo wszystko co się działo, praca w rządzie postępowała naprzód. Braki spowodowane ustąpieniem kilku ministrów zostały z łatwością wyrównane, harmonia w Radzie Ministrów zupełnie utrzymana. Po załatwieniu różnych ustaw podjęta została praca nad ustawą konstytucyjną, którą przerwano z powodu bolszewickiej wojny. Przewodnictwem w komisji konstytucyjnej objął ks. Lutosławski, referentem został prof. Edward Dubanowicz. Punkt ciężkości polityki państwowej przeniósł się tam na pewien czas niemal w całości.

Ponieważ mimo długotrwałych obrad nie uzgodniono w komisji bardzo wielu punktów zasadniczych, rozprawy w Sejmie zapowiadały się bardzo gorąco. Rząd widząc daleko idące drażliwości i różnice pomiędzy stronnictwami, zachował dla siebie zupełnie wolną rękę, a starał się tylko wpływać łagodząco i co możliwe przyspieszać obrady. Mimo zaciętego oporu opozycji, za podstawę obrad wzięto projekt uchwalony przez komisję.

Podczas obszernej debaty wychodziły nieraz zasadnicze przeciwieństwa, wywołując gwałtowne starcia, a nawet duże awantury. Najcięższe starcia wywoływała sprawa senatu, gdyż stronnictwa robotnicze i ludowe były przeciwne dwuizbowości. W końcu zapadła uchwała za utrzymaniem senatu 195 głosami przeciw 183 głosom. Wynik głosowania wywołał niesłychaną burzę. Wskutek rozbicia i niejednorodności taktyki lewica przegrywała na każdym kroku, co wywoływało nowe burze i awantury. Było to specjalną zasługą Wyzwolenia, które bardzo często stawiało wnioski dla każdego człowieka nie tylko niemożliwe, ale nawet kompromitujące, chcąc w każdym artykule widzieć Piłsudskiego. Socjaliści okazywali dużo więcej rozsądku i umiarkowania.

Nareszcie 17 marca 1921 r. ukończono głosowanie nad całością ustawy konstytucyjnej. Większość sejmowa patrzyła na swoje dzieło z wielkim nabożeństwem, pragnąc nadać uchwałom jak najbardziej podniosły i uroczysty charakter, mimo że się to nie podobało sporej garści starszych i młodszych, zawsze warcholsko nastrojonych posłów. Raził ich zanadto jakoby pobożny wstęp, drażniła treść wielu artykułów, nie podobała się rota przysięgi. Losy sprawiły, że ludzie niemal z tego samego obozu, a nieraz nawet ci sami, trzymali się tej konstytucji oburącz, gdy inni, ich dawni przyjaciele, deptali ją brutalnie i rozdzielali na strzępy, dając w jej miejsce inną, będącą raczej zabezpieczeniem sobie władzy nad narodem.

Ten nie podobający się i z nowej konstytucji usunięty ustęp brzmiał:

„W imię Boga Wszechmogącego! My, Naród Polski, dziękując Opatrzności za wyzwolenie nas z półtorawiekowej niewoli, wspominając z wdzięcznością męstwo ofiarnej walki pokoleń, które najlepsze wysiłki swoje w sprawie niepodległości poświęcały bez przerwy, nawiązując do świetnej tradycji wiekopomnej Konstytucji 3 Maja, dobro całej Zjednoczonej Matki Ojczyzny mając na oku, a pragnąc jej być niepodległy, potęgę i bezpieczeństwo oraz ład społeczny utwierdzić na wiekiutych zasadach prawa i wolności, pragnąc zarazem zapewnić rozwój sił moralnych i materialnych dla dobra całej odradzającej się ludzkości, wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej równość a pracy poszanowanie, należne prawa i szczególną opiekę Państwa zabezpieczyć — tę oto ustawę konstytucyjną na Sejmie Ustawodawczym Rzeczypospolitej Polskiej uchwalamy i stanowimy”.

Konstytucję podzielono na siedem głównych rozdziałów. Pierwszy z nich mówiący o ustroju państwa postanawia:

Art. 1. Państwo polskie jest Rzeczpospolitą.

Art. 2. Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej należy do Narodu. Organami Narodu w zakresie ustawodawstwa są Sejm i Senat, w zakresie władzy wykonawczej: Prezydent Rzeczypospolitej łącznie z odpowiedzialnymi ministrami, w zakresie sprawiedliwości niezawisłe sądy.

Drugi rozdział dotyczący władzy wykonawczej postanawia między innymi: O prawach Izby ustawodawczej, budżecie, zamknięciach rachunkowych, kontroli wykonawczej nad rządem. Traktuje o prawie wybierania posłów, postanawia, że prawo to jest pięcioprzymiotnikowe, przysługujące wszystkim obywatelom, którzy ukończyli 21 rok życia, a prawo bierne po ukończeniu 30 lat. Do Senatu prawo czynne po ukończonych latach 30, prawo bierne po 40 roku życia.

Wprowadza zasady samorządu terytorialnego z określonym zakresem działania. Określa prawa i obowiązki posłów, ustalając dla nich rotę ślubowania. Normuje prawa Prezydenta Rzeczypospolitej, dotyczące zwoływania, odraczania i zamykania sesji sejmowych. Określa czas trwania kadencji sejmowej i sposób obradowania Sejmu. Ustala wszystkie podobne postanowienia dotyczące obradowania Senatu.

W rozdziale 3, dotyczącym władzy wykonawczej, postanawia w art. 39, że Prezydenta Rzeczypospolitej wybiera się na 7 lat, Sejm i Senat, połączone w Zgromadzenie Narodowe. Zgromadzenie to zwołuje Prezydent Rzeczypospolitej w ostatnim kwartale swojego urzędowania. Jeżeli zwołanie nie nastąpi na 30 dni przed upływem 7-lecia, Sejm i Senat łączą się z samego prawa w Zgromadzenie Narodowe na zaproszenie Marszałka Sejmu i pod jego przewodnictwem.

Prezydent Rzeczypospolitej podpisuje ustawy wraz z odpowiedzialnymi ministrami, ma prawo wydawać rozporządzenia wykonawcze, zarządzenia, nakazy i rozkazy. Każdy z jego akt dla swej ważności wymaga jednak podpisu Prezesa Rady Ministrów i właściwego ministra. Prezydent Rzeczypospolitej mianuje i odwołuje Prezesa Rady Ministrów, a na jego wniosek mianuje i odwołuje ministrów. Jest najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych państwa, ma prawo darowania i łagodzenia kar. Reprezentuje państwo na zewnątrz, zawiera umowy z innymi państwami, podając je do wiadomości Sejmu.

Prezydent Rzeczypospolitej może wypowiedzieć wojnę i zawrzeć pokój, ale tylko za zgodą Sejmu. Za czynności urzędowe

Prezydent nie jest odpowiedzialny ani parlamentarnie ani cywilnie. Za zdradę kraju, pogwałcenie konstytucji lub przestępstwa karne może być pociągnięty do odpowiedzialności tylko przez Sejm.

Ministrowie tworzą Radę Ministrów pod przewodnictwem Prezesa Rady Ministrów. Rada Ministrów ponosi solidarną odpowiedzialność konstytucyjną i parlamentarną za ogólny kierunek działalności rządu. Do odpowiedzialności parlamentarnej pociągają ministrów Sejm zwyczajną większością głosów. Tworzy Trybunał Stanu, który się będzie składał z pierwszego prezesa Sądu Najwyższego jako przewodniczącego, oraz dwunastu członków, których zespół sędziowski wybiera spoza swego grona. Ośmiu wybiera Sejm, a czterech Senat.

Rozdział 4, traktujący o sądownictwie, postanawia, iż sądy wymierzają sprawiedliwość w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej. Sędziów mianuje Prezydent. Sędziowie w prowadzeniu swojego zawodu sędziowskiego są niezawisli i podlegają tylko ustawom, orzeczenia sądowe nie mogą być zmienione, ani przez władzę ustawodawczą ani przez władzę wykonawczą. Sędzia nie może być złożony z urzędu, zawieszony w urzędowaniu, przeniesiony na inne miejsce urzędowania lub w stan spoczynku wbrew jego woli, jedynie mocą orzeczenia sądowego i tylko w wypadkach w ustawie przewidzianych. Sędziowie nie mogą być pociągani do odpowiedzialności karnej, ani pozbawieni wolności, bez uprzedniej zgody wskazanego przez ustawę sądu, o ile nie są schwytani na gorącym uczynku.

Ustanowiono Sąd Najwyższy do spraw sądowych cywilnych i karnych. Organizację sądów wojskowych i ich właściwość, tok postępowania oraz prawa i obowiązki członków tych sądów, określić miały osobne ustawy. Do rozstrzygnięcia sporów o właściwości pomiędzy władzami administracyjnymi a sądami będzie powołany na mocy ustawy osobny Trybunał kompetencyjny.

Rozdział 5 określa powszechne prawa i obowiązki obywatela, Ustala więc, kto może być obywatelem państwa, sposób nabycia tego prawa, zaznaczając w art. 89, że pierwszym obowiązkiem obywateli jest wierność dla Rzeczypospolitej Polskiej. Każdy obywatel ma obowiązek szanowania i przestrzegania konstytucji państwa i innych obowiązujących ustaw i rozporządzeń władz państwowych i samorządowych. Wszyscy obywatele obowiązani do służby państwowej, mają ponosić ciężary i świadczenia publiczne, wychowywać swoje dzieci na prawych obywateli ojczyzny.

Rzeczpospolita zapewnia na swoim obszarze zupełną ochronę życia, wolności i mienia wszystkich bez różnicy pochodzenia, na-

rodowości, języka, rasy lub religii. Poręcza równość wobec prawa, zapewnia dostęp do urzędów. Znosi przywileje rodowe, stanowe i tytuły, z wyjątkiem naukowych, urzędowych i zawodowych. Gwarantuje wolność osobistą, reguluje sprawy rewizji i aresztowań, zapewnia nietykalność mieszkania, tajemnicę listową, poręcza wolność prasy, swobodę wyrażania swoich myśli i przekonań, wolność poruszania się na całym obszarze państwa; prawo koalicji i zgromadzania się.

Poręcza wszystkim obywatelom wolność sumienia i wyznania. Wyznanie rzymsko-katolickie, będące religią przeważającą większości narodu, ma naczelne stanowisko w państwie wśród równoprawnionych wyznań. Nauka ma być bezpłatna w szkołach państwowych i samorządowych. Uznając własność prywatną tak poszczególnych obywateli, jak i zbiorową obywateli, instytucji, ciał samorządowych i państwa, postanawia, że ziemia nie może być przedmiotem nieograniczonego obrotu.

Rozdział 6 mieści postanowienia, na podstawie których zmiana konstytucji może być przeprowadzona tylko w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów, względnie członków Senatu, większością dwóch trzecich głosów. Drugi z rzędu na zasadzie tej konstytucji wybrany Sejm może dokonać rewizji ustawy konstytucyjnej własną uchwałą, powziętą większością trzech piątych głosujących w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów. Co lat 25 ma być ustawa konstytucyjna poddana rewizji zwyczajną większością Sejmu i Senatu, połączonych w tym celu.

Rozdział 7, dotyczący przejściowych postanowień, mówi: Konstytucja ma moc obowiązującą z dniem ogłoszenia, a wszelkie przepisy i zarządzenia prawne, niezgodne z jej postanowieniami będą najpóźniej do roku przedstawione ciału ustawodawczemu do uzgodnienia w drodze prawodawczej. Ażeby to prawo zasadnicze nie stało się martwą literą, lub nie zostało naruszone przez kogokolwiek, postawiono na czele państwa Prezydenta Rzeczypospolitej jako strażnika, który publicznie wobec Zgromadzenia Narodowego w sposób niezwykle uroczysty składa następującą przysięgę:

„Przysięgam Bogu Wszechmogącemu w Trójcy świętej Jedynemu i ślubuję Tobie, Narodzie Polski, na urzędzie Prezydenta Rzeczypospolitej, który obejmuje, praw Rzeczypospolitej, a przede wszystkim ustawy konstytucyjnej święcie przestrzegać i bronić, dobru powszechnemu Narodu ze wszystkich sił służyć, wszelkie zło i niebezpieczeństwo od państwa czujnie odwracać, godności imienia polskiego strzec niezachwianie, sprawiedliwość wobec wszystkich obywateli za pierwszą mieć sobie cnotę, obowiązkom urzędu i służby poświęcić się niepodzielnie. Tak mi dopomóż Bóg i święta Jego Syna Męka. Amen”.

Taką przysięgę złożył Ignacy Mościcki, wybrany Prezydentem po przewrocie majowym. Jak on się zachował i czy tej przysięgi dotrzymał? W czasie rozprawy przeciw więźniom brzeskim w dniu 1 grudnia 1931 r. stwierdził przed sądem były Prezes Sądu Najwyższego Aleksander Mogilnicki, że rząd Piłsudskiego złamał konstytucję w ośmiu wypadkach. Fakty łamania konstytucji przez rząd stwierdzili także pod przysięgą byli Marszałek Sejmu i Senatu Trąpczyński, prof. Głębiński, były prezes Sądu Najwyższego Władysław Seyda, b. Marszałek Sejmu Maciej Rataj i wielu innych mężów stanu, ludzi poważnych i do tej oceny powołanych. Prezydent Mościcki milczał. Milczał także, gdy Piłsudski obrażał publicznie naród polski, nazywając go narodem idiotów, milczał, gdy on i jego siepacze dokonywali gwałtów na prawie i na ludziach najbardziej zasłużonych. Milczy i teraz, kiedy nową konstytucję traktuje się tak samo, chociaż ona została przykrojona do interesu rządzącej partii, a jemu dała absolutną niemal władzę.

Inne prace i zagadnienia

Poza ustawą konstytucyjną mieliśmy już za sobą plebiscyt przeprowadzony na Górnym Śląsku dnia 20 marca 1921 r. Od jego wyniku miało zależeć, czy ta stara, bogata ziemia piastowska będzie przyłączona do Polski w całości, czy częściowo, czy też i w jakim obszarze pozostanie przy Niemczech. Rządy nad obszarem plebiscytowym na Górnym Śląsku sprawowała komisja koalicyjna, zainteresowane zaś państwa miały swoich przedstawicieli, tak zwanych komisarzy plebiscytowych. Z ramienia rządu polskiego kierował plebiscytem poseł Wojciech Korfanty, niesłuchanie zasłużony działacz dla polskiego Górnego Śląska i stamtąd pochodzący. Miał on też liczną i różnorodną gromadę przydanych mu pracowników.

Ponieważ wynik plebiscytu był rzeczą pierwszorzędną dla państwa doniosłości, zgłosiło się do pracy wielu ludzi prawdziwie tej sprawie oddanych, nie brak było jednak różnych włóczęgów, próżniaków, awanturników, a nierzadko nawet wprost kryminalnych typów, na złość Korfantemu tam nasyłanych.

Działalności Korfanteo w szczegółach dokładnie nie znam. Został on zamianowany na długo przed tym, niż ja przyszedłem do władzy i uważał się za jedynie miarodajny autorytet na tym terenie, starając się tam nie dopuścić do żadnej innej ingerencji, nawet Prezesa rządu, mimo że jemu podlegał. Współdziałający z nim od samego początku urzędnicy przydyum Rady Mi-

nistrów, a specjalnie Studziński wyrażał się o jego działalności jak najlepiej, choć także nie taił, że dyktatura jego staje się czasem przykra i nie bardzo pożyteczna.

Z czasem miałem też możność przekonać się, z jakimi on się musiał tam spotykać trudnościami, walczyć z przeciwnościami i z codziennym osobistym niebezpieczeństwem. Skarżono się na niego, że był często bezwzględny, trochę za porywczy, ale trzeba było wiedzieć, kim byli ci jego oskarżyciele. Ogromna ich większość to ludzie, co nigdzie miejsca nie mogli zagrzać, intryganci wiecznie niezadowoleni, nieroby, którzy się tylko kręcili, udając gorących, bezinteresownych patriotów, a zawsze mieli wielkie pretensje, żądając wyróżnień i wiele pieniędzy. Jeżeli nie osiągnęli swoich zamierzeń, starali się odbić to sobie na Korfantym, posługując się wszelkimi środkami, bardzo mało szlachetnymi.

Jednym z takich złych duchów był prof. Dubiel z Tarnowa, paszkwilant i warchoł, nienawidzący przy tym Korfante go w sposób nieludzki. Jego praca plebiscytowa polegała prawie że wyłącznie na walce z Korfantym, prowadzonej przy pomocy Dziadosza, Kormana i jemu podobnych. Echa tej roboty dochodziły do mnie, gdyż Dubiel przyjeżdżał do Warszawy sam ze skargami, albo też innych niezadowolonych przysyłał.

Plebiscyt ten pochłaniał bardzo duże sumy, a mimo składek, jakie płynęły z całego kraju, z pieniędzmi było dość krucho. Toteż rząd mimo oficjalnych zaprzeczeń musiał wydać wiele milionów marek niemieckich i to przeważnie w złocie, ażeby jako tako sprostać konkurencji rządu niemieckiego, wydającego niepomierne większe sumy.

Ponieważ rząd niemiecki sypał pieniędzmi niestęchanie hojnie, a myśmy się starali jakoś za nim nadążyć, toteż demoralizacja przechodziła wszelkie granice. Wielu obywateli brało od jednej i drugiej strony prosząc Boga, by ten stan trwał jak najdłużej. Niezwykle przykre wrażenie robiły delegacje, przywołane przez Dubiela do Warszawy, które po długich, zdaje się, wyuczonych deklamacjach na temat przywiązania i miłości do polskiej macierzy, dopominały się zawsze z wielką natarczywością o pieniądze narzekając, że muszą oprócz pracy i narażania się jeszcze swoje dokładać, bo „ten złodziej Korfanty wcale pieniędzy nie daje, choć oni wiedzą, ile milionów od rządu bierze”. Przeświadczenia tego zapewne nie nabrali sami z siebie, ale im ci opiekunowie to podsuwali, szkodząc samej sprawie, dokuczając Korfantemu, ale stawiając i rząd w nieprzyjemnym położeniu.

Oprócz tych zbiorowych żądań, niemal każdy z tych „patriotów” wywoływał mnie na bok, opowiadał szeroko o swoich spe-

cialnych zasługach i żądał przynajmniej zwrotu wydatków w gotówce, które zawsze wynosiły bardzo poważne sumy. Prof. Dubiel zaś zawsze na czas stawiał się w roli protektora i wszystko wiedzącego świadka. Rzecz oczywista, że tą drogą nikomu ani jednego feniga nie dałem, ale trzeba było niesłychanego samozaparcia się, żeby nie wybuchnąć, bo się nieraz w człowieku wszystko gotowało. A te delegacje przychodziły, niestety, tak często.

Nareszcie miało się to skończyć, gdy przyszedł termin głosowania. Oznaczono go na dzień 20 marca 1921 r. Niewiele mieliśmy nadziei na wielkie zwycięstwo, gdyż koalicja zgodziła się na dopuszczenie do głosowania 200 tysięcy emigrantów, po Niemczech rozsianych a z Górnego Śląska pochodzących. Tak się też stało. W głosowaniu tym za Niemcami padło 707 tysięcy głosów, gdy za Polską tylko 470 tysięcy, a więc znacznie mniej, mimo że ludność polska stanowiła tam bardzo znaczną większość.

Na podstawie tego wyniku głosowania mocarstwa koalicyjne przydzieliły Polsce mały skrawek kraju, niewiele ponad dwa powiaty i to wybitnie rolnicze, reszta miała pozostać przy Niemcach. Ta zaś reszta, to ogromna większość kraju z miastami, fabrykami, kopalniami.

Na Śląsku zawrzało z oburzenia na tak widoczną stronniczość i niesprawiedliwość. W Polsce całej, mimo obchodzonego zwycięstwa, zapanowało przygnębienie i rozgoryczenie. Z rozmowy przeprowadzonej z Korfantym można było wnioskować, że oburzona ludność temu się nie podda, ale się rzuci do rozpaczliwych kroków z bronią w rękę i to nie tylko przeciwko Niemcom, ale także i przeciw koalicji, którą posądza o wyraźne im sprzyjanie. Z dalszej rozmowy z Korfantym mogłem wywnioskować, że i on także jest za ruchem zbrojnym.

Zwołałem natychmiast posiedzenie Rady Ministrów. Zapadła uchwała, ażeby stanowczo odradzić Korfantemu tego ryzykownego kroku, obawiając się nieprzewidzianych, a może i groźnych następstw. Zastrzegł się też rząd stanowczo, by bez jego woli miał Korfanty cokolwiek w tej sprawie stanowić. Korfanty, któremu tę decyzję zakomunikowałem, zgodził się na porozumienie ze mną, aczkolwiek wyczułem że robi to niechętnie, gdyż wolałby mieć zupełnie wolną rękę. Tłumaczenie się jego, że nie będzie zdolny utrzymać w spokoju rozgoryczonych robotników, uważałem za przygotowanie sobie raczej pretekstu, gdyż u niego decyzja już wcześniej dojrzała. Pewne światło na tę sprawę rzucić może rozmowa z Korfantym, którą w skróceniu podaję. Odbyła ona 1 maja 1921 r. o godz. 7,50 wieczorem.

Rozmowa Witosa z Korfąntym
— 1 maja 1921 r. — przez Hughes'a

Korfąnty: Nadzwyczajne wydanie dzisiejszych dzienników przyniosły wiadomość o decyzji Międzynarodowej Komisji co do losów Górnego Śląska. Wiadomość ta wywołuje piorunujące wrażenie. Na samorzutnie odbytych licznych zebraniach robotniczych wszelkich odcieni uchwalono strajk generalny. Jego następstwem będzie na pewno ruch zbrojny, gdyż robotnicy decyzje Międzynarodowej Komisji uważają za prowokację. Chodzi mi o to, by zrobić wszystko celem ujęcia go w ramy organizacji. Wytworzoną sytuację omawiałem z gen. francuskim p. Le Rond. On jest zdania, że strajk powinien być. Zwróciłem mu uwagę, że strajk zapewne się zmieni w ruch zbrojny. Obiecał wcześniej ściągnąć wojsko do miast i obstawić silnie granicę niemiecką. Rozmowa nasza była zupełnie tajna. Był przy niej tylko obecny konsul Kęszycki. Nie można jej też komunikować gen. Niesslowi.

Wczoraj zwołałem przywódców robotników. Wszyscy są zdania, że wybuchu zbrojnego nie da się uniknąć. Ja się podaję do dymisji jako komisarz plebiscytowy, motywując mój krok uchwałami Komisji Międzynarodowej. Według zdania przywódców robotników, a także i mojego, w nocy z poniedziałku na wtorek rozpocznie się ruch zbrojny na całym terenie. Bliżej wszystko powie major Abraham, gdyż był obecny na zebraniu. Ja we środę ogłoszę proklamację, że jako Górnoślązak nie mogę w tej chwili opuścić rodaków i na ich prośbę zostaję. Dowódcą ruchu zbrojnego zamianuję p. Dolinę, który jest pseudonimem płk. Mielżyńskiego. Rząd może się mnie wyprzeć, a nawet mój krok potępić.

Zapytuję, czy telegram East Express o decyzji Komisji został ogłoszony w żądanej formie i czy poseł polski w Berlinie dostał odpowiednie wskazówki? Kładę Panu na serce wprost sprawę aprowizacji. W razie ruchu zbrojnego ustanie zupełnie dowóz z Niemiec. Potrzebne też są znaczne kwoty w markach niemieckich. Ja zostaję cały wieczór przy Hughes'ie w Sosnowcu. Będę czekał na odpowiedź po zastanowieniu się nad moim raportem.

Witos: Proszę zaczekać maksymalnie pół godziny przy aparacie. Po naradzie z przedstawicielami rządu i wojskowości będę mógł dać Panu definitywną odpowiedź. Powtarzam za pół godziny.

(Po upływie pół godziny dalszy ciąg rozmowy)

Witos: W tej chwili ukończyła się narada, w której udział brali członkowie rządu, Marszałek Sejmu i przedstawiciele wojskowości. Postanowiono na niej co następuje: Brak należytego przygotowania na Śląsku pod względem wojskowym, brak porozumienia z Francją co do współdziałania, ewentualnie neutralności wobec naszej akcji zbrojnej, zupełna gotowość Niemców, wykluczona możliwość pomocy polskich wojsk regularnych nakazuje moim zdaniem i rządu poprzestać na ostrej generalnej akcji strajkowej i uniknąć powstania. Przy tym chciałbym zapytać, jakich funduszy będzie potrzeba na wszelki wypadek. Równocześnie komunikuję, że depeza zostanie podana przez dzienniki tutejsze jako wiadomość zaczerpnięta z nadzwyczajnych wydań pism górnośląskich. Sposób ogłoszenia proponowany przez p. Komisarza uznaliśmy za niemożliwy. Braki w zapatrzaniu w materiał wojenny będą w miarę możliwości wyrównane. Jest rzeczą wskazaną, ażeby ilość potrzebną określić cyfrowo.

Korfąnty: Ruch zbrojny będzie, bo strajkujący są uzbrojeni i należą

do organizacji wojskowej, ogłoszenia proszę dokonać według moich wskazań. Formę trzeba zachować, ażeby nie skompromitować Francuzów. Pisma górnośląskie podały depezę jako wiadomość otrzymaną z Warszawy. Decyzji rządu więc nie rozumiem. Pułkownik Mielżyński potrzebuje na razie 4 miliony marek niemieckich. Proszę mi dać znać, jak mam ująć cały ruch, ażeby się nie zamienił w anarchię i rozbój.

Witos: Pan Komisarz sobie przypomina, iż sam mówił w Warszawie, że potrzebne są trzy dni czasu pomiędzy strajkiem, a ruchem zbrojnym. Moja wzmianka polega na tym, że jak już ruch wybuchnie, nie może być pozostawiony samemu sobie. Zdanie wypowiedziane przez wojskowych ulega zbyt prędkim zmianom. Mówiono nam przecież, że jest tam trzydzieści tysięcy ludzi, 600 karabinów maszynowych, tymczasem major Abraham stwierdził, że jest z tego zaledwie połowa. Ponadto przypominam, że płk Mielżyński uzależnia bezwarunkowo powodzenie powstania od pomocy a co najmniej neutralnego zachowania się Francuzów, a także przysłał mi co najmniej 20.000 mauzerów i to dnia dzisiejszego. Kiedy otrzymał odpowiedź negatywną, szybko się z tym pogodził. To osłabia zaufanie do niego i do jego akcji. Z jego meldunku też widzę, że powstrzymanie wybuchu jest możliwe. Podkreślam to tym bardziej, że uczynił on to z własnej woli, gdyż pod tym względem nie miał żadnego rozkazu. Ogłoszenie depezy w sposób przez Pana podany z równoczesnym zawiadaniem pośła Wysockiego jest niebezpieczne, gdyż Niemcy mogą to przyłapać, a przez to odkryć nasze zamiary.

Korfanty: Mielżyński mi komunikuje, że działał na mocy instrukcji danej mu przez gen. Sikorskiego, którą uważa za rozkaz. Wybuch odczęp na dwadzieścia cztery godziny. Będziemy się przypatrywać i w razie potrzeby ujmujemy ruch w ramy organizacyjne.

(W tym miejscu zgłosił się płk Mielżyński i powtórzył w streszczeniu sprawozdania Korfantego. W żądaniach był od tamtego znacznie wstrzeżliwszy).

Korfanty: Proszę się jeszcze namyśleć, by mi powiedzieć, jak mam postąpić, gdyż ruch na pewno wybuchnie i przyberze większe rozmiary. Depesze o strajku proszę zaraz posłać w świat.

Witos: Co do spraw ostatnio wymienionych zgoda. Czy Pan będzie przez cały dzień jutrzejszy w Sosnowcu, ażeby się można było porozumieć?

Korfanty: Będę, w każdej chwili można mówić. Do południa zdam raport o sytuacji w nocy wytworzonej.

(Na tym się skończył dzień 1 maja)

(Drugi maj)

Korfanty: Strajk się rozpoczął i zdaje się przybrał duże rozmiary. Strajkują liczne kopalnie. W przeciągu godziny otrzymam bliższe dane z Bytomia. Czekamy na powrót kuriera.

Witos: Proszę o oznaczenie ilości aprowizacji w wagonach. Jednocześnie zawiadamiam, że pieniądze żądane zostały natychmiast wysłane. Zawiezie je major Abraham, który będzie oficerem łącznikowym z mojej strony jak i ze strony wojskowości. Mimo bardzo szczupłych zapasów mobilizacyjnych, otrzymają panowie jutro 3 tysiące karabinów Mazuera i dwa miliony amunicji. Sześć samochodów pancernych oddano już do dyspozycji. Zaznaczam, że zarządzenia te nie stoją w sprzeczności z moją wczorajszą dyrektywą, a tylko mają stanowić konieczne zaopatrzenie na wszelki wypadek.

Korfanty: Za wysyłkę broni i amunicji dziękuję. Prosimy skierować do Sosnowca na razie jakie 100 wagonów mąki, którą tutaj zmagazynujemy.

Po południu szef wydziału aprowizacji poda dokładnie liczby w wagonach. Zdaniem moim ruch rozpocznie się nocy dzisiejszej, bo już są miejscami po wsiach utarczki. Telefonuję panu Prezydentowi wniosek o moją dymisję, którą proszę przyjąć. Przez PAT'a dziś wieczorem ogłosić następującą wiadomość (*tekst pisma dymisyjnego*).

Witos: Czy pan ma wiadomości o zachowaniu się rządu niemieckiego i ewentualnych jego zarządzeniach, a także co do nastrojów wśród ogółu ludności poza bojówkami?

Korfanty: Stanowiska rządu niemieckiego nie znam. W Opolu były wczoraj demonstracje niemieckie ze sztandarami. We wschodniej połaci kraju ludność niemiecka się boi i zachowuje się spokojnie. Na wypadek ruchu zbrojnego proszę ogłosić, że granica polsko-śląska została przez rząd niemiecki zamknięta. Po południu podam wiadomości o rozmiarach strajku i proszę je czym prędzej wysłać, aby jeszcze dziś dotarły do Ameryki, Londynu, Paryża itd.

(W piśmie dymisyjnym zaznaczył Korfanty, że czuwał nad tym, by w kraju panował ład i porządek. Dzięki nadludzkiej pracy plebiscyt w dniu 20 marca odbył się w zupełnym spokoju. Po plebiscycie wyteżył wszystkie siły, ażeby ład utrzymać. Wpajał w ludność przekonanie w sprawiedliwość Międzynarodowej Komisji w Opolu i w sprawiedliwy jej wyrok. Tymczasem oddała ona olbrzymią większość kraju pod panowanie niemieckie. Wobec tego stanu rzeczy i rozgoryczenia, jakie zapanowało pomiędzy ludnością, nie może on gwarantować ani utrzymać ładu i porządku i dlatego składa urząd komisarza).

Korfanty (o godzinie 6-ej wieczór, dnia 2 maja): Strajk ogarnął prawie cały teren przemysłowy. Proszę wiadomości wysłać do Londynu, Rzymu, Ameryki. Niemiecki Komisarz plebiscytowy, dr Urban, ogłasza dziś, że wiadomości podane przez Komisję Aliancką są nieprawdziwe: Konsul Siedlecki wrócił z Opola i raportuje, że w kołach Komisji Międzysojusznicej panuje popłoch. Spodziewają się wielu wydarzeń. Głównodowodzącego wojsk alianckich wtajemniczono w zamiary polskie. Przyjął to spokojnie. Podają zapotrzebowanie aprowizacyjne.

(Godzina 9-ta wieczór, 2 maja)

Korfanty: Zawiadamiam, że strajkuje 60-70% kopalni. Odbywają się na całym terenie plebiscytowym liczne wiece górników i robotników. Strajkujący przestali telegram z protestem przeciw decyzji do Rady Najwyższej na ręce Lloyd George'a.

Witos: Komunikuję Panu: „Rada Ministrów na tajnym posiedzeniu powzięła następującą uchwałę: Rząd kategorycznie oświadcza się przeciw wywoływaniu ruchu zbrojnego na Górnym Śląsku i poleca komisarzowi plebiscytowemu p. Korfantemu dołożyć wszelkich starań i środków, ażeby do tego nie dopuścić”.

Naczelnik Państwa jest także tego zdania. Rząd w największym zakresie wyzyska strajk generalny i w myśl tego prześle również nadesłane przez Pana odezwy. Zgłoszonej przez Pana Komisarza dymisji Rada Ministrów w tej chwili nie uważa za wskazane, wobec powyższej podanych okoliczności, ani rozpatrywać ani też załatwiać. Abraham poda instrukcje ustne.

Korfanty: Niemcy sami nie wierzą, by spokój mógł być utrzymany. Ja robiłem, co mogłem. Uchwała Komisji oburzyła ludność i spowodowała walkę na śmierć i życie. Ruch zbrojny rozpocznie się dziś po północy, jeżeli

mu Francuzi nie przeszkodzą. Powodzenie jego uważam za pewne. Dymisję ogłoszę i stanę na czele ruchu, ażeby on się nie zmienił w anarchię.

Witos: Instrukcje, które podałem, są oparte na formalnej uchwale Rady Ministrów. Pan zrozumie, że w razie nie stosowania się do nich, musiałyby Pan przyjąć całkowicie na siebie odpowiedzialność. Wszystkich powodów, które skłoniły Radę Ministrów do powzięcia tej uchwały, nie mógłbym komunikować. Są one tak wielkiej wagi, że rząd nie mógł zająć innego stanowiska. To samo dotyczy i sprawy dymisji Pana. Zawiadamiam dodatkowo, że od min. Sapiehy nadszedł telegram z Paryża, w którym on sytuację także i pod tym względem ocenia pesymistycznie. Między innymi zaznacza, że Sforza ma się skłaniać do projektu francuskiego.

Korfanty: W tej chwili jestem niewolnikiem wypadków. W tej sytuacji zmuszony jestem wziąć na siebie odpowiedzialność. Rząd uczynił wszystko, by do ruchu zbrojnego na Górnym Śląsku nie doszło. Ja ze swej strony szedłem w tym samym kierunku, lecz horrendalna propozycja Komisji stanowi taką prowokację ludności, że nikt jej pohamować nie jest zdolny.

Witos: Mimo wszystko liczyć się należy z tym, że w grę wchodzi interes ogólny i że mogą nastąpić nieprzewidziane w tej chwili niebezpieczne komplikacje, tak w walkach na Górnym Śląsku, jak też poza nim. Mogłyby one w wysokim stopniu państwu zagrozić.

Korfanty: W zupełności zdawałem sobie z tego sprawę, ale nie jestem już panem położenia. Uchwała Komisji poderwała w zupełności moje wpływy i mój autorytet. Najważniejszą jest rzeczą, by na Polskę nie padł ani ślad cienia, że tę ruchawkę popiera.

Witos: Ja jednak mimo wszystko nie mogę zmienić zapatrywania, wyrażonego w uchwale Rady Ministrów Panu zakomunikowanej, uważając poza tym, że to jest w danej chwili dla państwa konieczne.

Korfanty: Przyjmuję do wiadomości, jutro jak najrychlej podam raport o sytuacji, prawdopodobnie będzie to o 5-tej po południu.

Powstanie śląskie

Na drugi dzień rano wybrałem się do kilku powiatów bliżej Warszawy położonych, by im dotrzymać danej przed kilku dniami obietnicy. Urządziłem się przy tym tak, ażeby być z powrotem na miejscu przed 5-tą godziną po południu ze względu na rozmowę z Korfantym. Ażeby się zabezpieczyć przed jakąkolwiek niespodzianką ze strony porywczego Korfantego, upoważniłem ministrów Skulskiego i Sosnkowskiego, by czuwali nad tą sprawą.

Kiedy w drodze powrotnej jakoś koło godziny drugiej po południu zatrzymałem się w Pułtusku, ujrzałem na ulicy jadących samochodem w moją stronę Skulskiego i Sosnkowskiego, dających mi gwałtowne znaki, ażeby się zatrzymał. Kiedy się do nich zbliżyłem, zawiadomili mnie mocno zdenerwowani, że powstanie na Śląsku już wybuchło, a Korfanty żąda gwałtownie pomocy w ludziach, broni i pieniądzach. Była to bardzo nieprzyjemna niespodzianka tak dla mnie jak i dla rządu. Korfanty nie zastosował się do uchwał Rady Ministrów, ani do terminu, ułożonego

ze mną. Zmuszeni pogodzić się z dokonany­m faktem, mieliśmy wielką obawę, aby on swoim samowolnym postępowaniem nie przysporzyły rządowi nieprzewidzianych i nie wiadomo jakich trudności.

Wydelegowano mnie, min. Skulskiego i Rataja do Sosnowca do przeprowadzenia osobistej rozmowy tak z Korfantym jak i z innymi poważnymi ludźmi, a co najważniejsza, ustalenie linii postępowania, by nie być niewolnikiem nieprzemyślanych i niespodziewanych posunięć.

Ponieważ wyprawa nasza miała być zupełnie poufna, wybra­liśmy się bardzo rano i autem. Z powodu kilku defektów do Sosnowca dotarliśmy już późnym wieczorem. Tam przy zachowaniu jak najdalej idących ostrożności spotkaliśmy się tak z Korfantym jak i z hr. Maciejem Mielżyńskim, naonczas dowódcą śląskiego powstania.

Rozmowa nasza z Korfantym była nie bardzo przyjemna. Miałem wrażenie, że on z naszej wizyty był mocno niezadowolony, uważając się za jedynie miarodajnego w sprawie Śląska w ogóle, a powstania w szczególności. Upierał się przy swojej polityce i metodach postępowania i nie chciał ani na krok od tego odstąpić. Pułkownik Mielżyński wcale nam nie zaimponował. Nie wyglądał na wielkiego pogromcę Niemców i skromnie określał swoją rolę. Korfanty uważał go za niedołągę i domagał się usunie­cia go i zastąpienia kim innym. Wydawać się to musiało dość dziwne, bo przecież dopiero co spowodował jego nominację. W rezultacie podróż nasza bardzo niewiele przyniosła. Wypadki jednak dojrzewały i zbliżały się do rozstrzygnięcia.

Powstanie nie trwało długo, gdyż nawet tak wojowniczo nastrojony z początku Korfanty bardzo gorąco dążył do jego zlikwidowania, posądzony znowu o zbyt­nią i niepotrzebną ustepliwość. Walka prowadzona wykazała, że znaczna część ludności górnośląskiej naprawdę się poświęcała i że wolność tego kraju i pragnienie należenia do państwa polskiego okupiła dużymi ofiarami. Były to najlepsze żywioły, a poza nimi inne dzielnice dostarczyły dość poważnej pomocy.

Powstanie narobiło także i rządowi dość kłopotu, gdyż powstańcy próbowali walk z oddziałami koalicyjnymi, a w jednej z takich potyczek zabili kilkudziesięciu żołnierzy włoskich i wielu poranili. Na skutek interwencji rządu włoskiego musiałem to usprawiedliwić i przeproszać.

Znawcy stosunków twierdzili, że powstanie było całkiem niepotrzebne, gdyż strajk generalny wykazujący się żywiołu polskiego zupełnie by wystarczył. Jakkolwiek się stało, to koalicja po tych wydarzeniach zmuszona była zmienić swoją pierwotną decy-

zję, przydzielając Polsce znacznie większy obszar Górnego Śląska, aniżeli to było początkowo jej zamiarem. W tym kierunku Korfanty miał zupełną słuszność.

Z przyjemnością przychodzi mi tu zaznaczyć, że poza innymi ofiarnymi i wytrwałymi pracownikami bardzo dużo sumiennej pracy włożył w sprawę plebiscytu wiceminister Studziński. W czasach nawet najtrudniejszych nie stracił on nigdy zimnej krwi, pilnując tak ludzi, jak też i dobra państwowego, narażając się różnym dygnitarzom.

Sprawa Wilna

Mieliśmy też już poza sobą fakt tak wielkiej doniosłości jak sprawa wileńska. Zajęcie Wilna i Wileńszczyzny przez gen. Żeligowskiego 9 października 1920 r. było nieoficjalnym dziełem rządu polskiego, choć nawet nie wszyscy ministrowie zostali wcześniej o tym poinformowani. Czy pomysł takiego załatwienia sprawy wyszedł wyłącznie od Piłsudskiego, tego nie wiedziałem i o to się nie dowiadywałem, ale dobrze wiedziałem i z tym się godziłem.

Sprawa sama została w ten sposób pomyślana i przeprowadzona, że nosiła ona wszelkie znamiona wielkiego samodzielnego odruchu żołnierzy, pochodzących z tych ziem, którzy nie mogąc znieść krzywdzących zarządzeń, odrywających ziemię wileńską od Polski, zaprotestowali przeciwko temu zbrojnym wystąpieniem.

Wobec ogromnej przewagi wojsk polskich do tej wyprawy użytych, a prowadzonych przez rzekomo zbuntowanego gen. Żeligowskiego, sprawa zajęcia Wileńszczyzny i Wilna nie przedstawiała wielkich trudności. Znacznie gorzej było ze stroną polityczną. Każdy przecież w całej Europie wiedział, że cała sprawa powstała z polskiej inicjatywy oficjalnej, że wojsko polskie ją wykonało, mimo że rząd polski do tego się nie przyznawał. Wiedzieli też dokładnie i koalicja, oburzając się na ten krok rządu. Myśleliśmy się spodziewali, że koalicja w tej sprawie nie będzie bardzo groźna, choćby dlatego, że nie wystąpi zupełnie jednolicie. Francja może okazać swoje niezadowolenie raczej tylko ze względów taktycznych, a gdyby nawet było nieco inaczej, to koalicja na pewno wojny z nami prowadzić nie będzie.

Tak się też i stało. Za niedługi czas koalicja udobruchała się i zgodziła, żeby wola ludności rozstrzygnęła o przynależności państwowej tego kraju. Sprawę można było uważać za przesądzoną, gdyż nie można było mieć najmniejszej wątpliwości co do wyniku, zwłaszcza że rządy kraju nazwanego Litwą Środkową były właściwie w ręku polskim. Stojący na czele tego przejścio-

wego rządu gen. Żeligowski, kierował się zawsze instrukcjami z Warszawy. Zresztą powszechnie było wiadome, jakie są nastroje ogromnej większości ludności, która istotnie czuła się polską i ciągnęła do macierzy. Wybory przeprowadzone potwierdziły to przewidywanie w całej rozciągłości.

Niektóre ustawy

Zgodnie ze swoim zobowiązaniem, zaciągniętym publicznie w czasie wojny z bolszewikami, wniósł rząd do Sejmu projekt o bezpłatnym nadaniu ziemi, zwłaszcza zasłużonym żołnierzom. Na podstawie tej ustawy miało państwo obowiązek dostarczania tym żołnierzom również bezpłatnie drzewa na budowę. Ziemia miała im być nadana wyłącznie w powiatach wschodniej części kraju, w ustawie wymienionych. Osobne postanowienie dotyczyło żołnierzy mniej zasłużonych, którzy mieli dostać ziemię i drzewo po cenach niższych, na długie, dogodne spłaty. Przeprowadzenia tych ustaw domagał się także bardzo usilnie Naczelnik Państwa, Piłsudski, a w czasie kilkukrotnych rozmów, jakie z nim w tych sprawach przeprowadziłem, wyrażał wielokrotnie zdanie, że ściśle ich wykonanie stworzy na wschodzie najsilniejszą twierdzę i zabezpieczy tam nasze granice. Podzielałem jego zapatrywanie pod tym względem w zupełności i starałem się wszelkimi siłami tak o przeprowadzenie potrzebnych ustaw w Sejmie, jak i wprowadzenie ich w życie.

Ustawy owe przeszły przez Sejm, mimo oporu prawicy, przeszkód robionych przez mniejszości narodowe i popierające je Wyzwolenie. Pomiędzy żołnierzami wywołały one takie zainteresowanie, że liczba zgłaszających w krótkim czasie przekroczyła sto tysięcy. Mimo niedostatecznej organizacji, złej woli licznych jednostek, wyraźnie ujawnianej, przeszkód ze strony właścicieli ziemskich, starających się bronić wszelkimi siłami swoich majątków, obrony prowadzonej w Sejmie i poza nim przez Stronnictwo Ludowo-Narodowe, adwokatów i innych obrońców, udało się w dość krótkim czasie osiedlić około dziesięciu tysięcy żołnierzy-osadników. Dopóki byłem przy rządach, uznając tę sprawę za niezwykle ważną, pilnowałem jej z niesłychaną troskliwością.

Niezwykle słabą stroną tej całej tak poważnej akcji było i to, że owi naprawdę zasłużeni żołnierze bardzo często pochodzili z Warszawy, czy też z innego miasta, a zupełnie nieobeznani z gospodarstwem i ziemią, nie mogli sobie dać rady, porzucając ją po jakimś czasie, albo wydzierzawiając miejscowym chłopom. Nie brakło i takich, którzy ją, mimo zakazu, sprzedawali. Życie jed-

nak samo robiło porządek, pozbywając się jednostek, które nie-raz działały demoralizująco.

To wielkie przedsięwzięcie zostało później prawie zupełnie zniszczone, a co najmniej wstrzymane w pochodzie uchwałą sejmową. Poparły ją i przeprowadziły solidarnie dwa tak nienawidzące się obozy, jak endecy i Wyzwolenie. Każde z zupełnie innych powodów. Endecy radzi byli, utracając to dzieło z miłości do wielkiej własności, Wyzwolenie kierowało się doktryną obrony mniejszości narodowych. Tu już nawet powaga Piłsudskiego ani miłość do niego nie mogły poradzić.

Ustawa o nadaniu ziemi żołnierzom Wojska Polskiego z dnia 17 grudnia 1920 roku

Art. 1 Żołnierze Wojska Polskiego, którzy bronili granic Ojczyzny, mogą otrzymać ziemię na własność z zapasu utworzonego z mocy ustawy z dnia 17 grudnia 1920 r., o przejęciu ziemi na własność państwa w niektórych powiatach Rzeczypospolitej, na zasadach wyłożonych w następujących artykułach:

Art. 2. Do otrzymania ziemi darmo są uprawnieni:

- a) inwalidzi i żołnierze Wojska Polskiego, którzy szczególnie się odznaczyli.
- b) żołnierze, którzy dobrowolnie do Wojska Polskiego wstąpili i odbyli służbę frontową.

Art. 3. Wszyscy inni inwalidzi, oraz żołnierze uzdolnieni do pracy na roli mogą w miarę rozporządzalnego zapasu otrzymać ziemię opłatnie.

Art. 4. Od nabycia ziemi (art. 2 i 3) wyłączeni są żołnierze:

- a) karani za zbrodnie przeciw sile zbrojnej Państwa Polskiego.
- b) karani za zbrodnie dezereji.
- c) pociągani do odpowiedzialności karnej za roztrwonienie dobra państwowego do czasu uprawomocnienia wyroku uniewinniającego.
- d) którzy przekroczyli przepisy o demobilizacji.
- e) którzy z pogwałceniem prawa brali samowolnie czyjaś ziemię w posiadanie.

Art. 5. Rozmiar nadanej poszczególnemu żołnierzowi działki winien obejmować przestrzeń wystarczającą do prowadzenia samodzielnego gospodarstwa, nie może jednak przekroczyć 45 ha. łącznie z ziemią dotychczas posiadaną przez żołnierza.

Grupy żołnierzy zrzeszone w spółki ziemskie na zasadach, które ustali Główny Urząd Ziemski w porozumieniu z Min. Rolnictwa i Dóbr Państwowych, mogą otrzymać ziemię dla późniejszego jej podziału w ilości nie przekraczającej 45 ha na każdego członka spółki.

Art. 6. Żołnierz, któremu ziemia została nadana, a który lub którego rodzina nie osiedli się w terminie rocznym, lub osiedlwszy się nie zagospodaruje się w terminie trzyletnim, może być z danego gruntu w drodze administracyjnej, na podstawie uchwały Komitetu Nadawczego usunięty, przy czym własność gruntu powraca do państwa dla dyspozycji komitetów nadawczych względnie Głównego Urzędu Ziemskiego.

Art. 7. Wysokość opłaty za grunta nabyte przez żołnierzy na zasadzie art. 3, określona będzie w wartości 30-100 kg. żyta z ha. rocznie, a spłacana w gotówce na rzecz państwa przez okres 30-letni, począwszy od 5-go roku po nadaniu w ratach półrocznych z dołu; jednakże na wniosek nabywcy może być i w terminie krótszym spłacona.

Art. 8. Państwo polskie w miarę możliwości przyjdzie z niezbędną w naturze lub gotówce pomocą do zagospodarowania gruntów, otrzymanych przez poszczególnych żołnierzy, lub przez spółki.

Na ten cel przeznaczają się:

1) część pochodzącego z demobilizacji wojska inwentarza żywego i martwego, którą ustali minister Spraw Wojskowych w porozumieniu z Min. Rolnictwa i Dóbr Państwowych.

2) materiał budowlany w ilości nie przekraczającej 80 m³ na gospodarstwo na podstawie ustawy z dnia 28 lutego 1919 r. w przedmiocie zaopatrzenia ludności w drzewo budulcowe i opałowe.

3) dwa miliardy marek do dyspozycji Ministra Rolnictwa i Dóbr Państwowych na udzielenie kredytu żołnierzom w gotówce lub w narzędziach rolniczych, zboża do siewu itp. Z bezpłatnej pomocy państwa wymienionej w par. 1 i 2 niniejszego artykułu, mogą korzystać tylko te osoby, podpadające pod artykuł 2, a nie posiadające środków do opłatnego nabycia, z bezpłatnej zaś pomocy wymienionej w p. 2 niniejszego artykułu korzystać również mogą osoby, podpadające pod art. 3, a nie posiadające środków do nabycia opłatnego.

Art. 9. Kwalifikowanie żołnierzy, określenie ich uprawnień do opłatnego lub bezpłatnego otrzymania ziemi uskutecznią władze wojskowe.

Art. 10. Gospodarstwa utworzone na mocy niniejszej ustawy nie mogą być dzielone, ani sprzedawane bez zezwolenia Urzędów Ziemskich, przed upływem 25 lat od daty ich nabycia. Wszelkie umowy wbrew postanowieniu temu zawarte są nieważne. O nieważności orzekają sądy na skutek powództwa Okręgowych Urzędów Ziemskich, a do czasu ich utworzenia powiatowych komitetów nadawczych.

Art. 11. Do przeprowadzenia nadania ziemi żołnierzom powołuje się Powiatowe Komitety Nadawcze, utworzone na zasadzie art. 7 ustawy z dnia 17 grudnia 1920 r. o przejściu na własność państwa ziemi w niektórych powiatach w Rzeczypospolitej Polskiej. Od orzeczeń powiatowych komitetów nadawczych w sprawach wynikających z zastosowania niniejszej ustawy nie ma odwołania.

Art. 12. Ministerstwo Spraw Wojskowych i oddziały wojskowe (dywizje, brygady jazdy itp.) mają obowiązek współdziałania z Głównym Urzędem Ziemskim w technicznym rozdziale ziemi między poszczególnych żołnierzy w ramach przepisów wykonawczych do niniejszej ustawy i pod kierownictwem i kontrolą Powiatowych Komitetów Nadawczych względnie innych organów Głównego Urzędu Ziemskiego i Ministerstwa Rolnictwa.

Art. 13. Wykonanie ustawy powierza się Prezesowi Głównego Urzędu Ziemskiego, Ministrowi Rolnictwa i Dóbr Państwowych i Ministrowi Spraw Wojskowych w porozumieniu z interesowanymi ministrami.

Art. 14. Ustawa niniejsza uzyskuje moc obowiązującą z dniem ogłoszenia.

Prezydent Ministrów (—) *WITOS* Marszałek (—) *TRAMPCZYŃSKI*
Prezes Głównego Urzędu Ziemskiego (—) *T. WILKOŃSKI*
Min. Spraw Wojskowych (—) *SOSNKOWSKI*

Umowy międzynarodowe

Poza całym szeregiem umów i konwencji natury gospodarczej, społecznej czy kulturalnej z różnymi państwami zawartych, najważniejsze były umowy z Francją i z Rumunią, mające na celu zabezpieczenie państwa.

Umowa polsko-francuska, podpisana w Paryżu 19 lutego 1921 r. postanawia: gdyby wbrew przewidywaniom i szczerym zamiarom pokojowym obu kontrahentów, oba państwa lub jedno z nich zostało zaatakowane bez prowokacji z jego strony, oba rządy porozumieją się w celu obrony swych terytoriów i słusznych interesów. Oprócz tego umowa ta głosi: „Oba rządy uzgodnią swą politykę zagraniczną”. Umowa ta jest bezterminowa i nie zawiera wskutek tego przepisów o wypowiedzeniu.

Pakt Polski z Rumunią obowiązuje przez 5 lat od dnia podpisania. Po upływie dwóch lat każda ze stron może go wypowiedzieć z terminem najmniej sześciomiesięcznym. Później nastąpiły w nim zmiany.

W kraju

Mając tak ciężkie doświadczenie, jakie nam przyniosła wojna z bolszewikami i wiedząc, że przede wszystkim trzeba polegać na własnych siłach, rząd zrobił wszystko, by dać podstawy do zorganizowania i utrzymania silnej armii polskiej, tak pod względem materialnym jak i bojowym. W tym celu przeprowadził przez Sejm potrzebne ustawy. Duże usługi w tym oddała nam francuska misja wojskowa swoją pilnością w pracy, uzdolnieniem fachowym, nie zawsze docenianym i respektowanym.

Dziełem rządu było też uchwalenie przez Sejm szeregu ustaw podatkowych, zabezpieczających skarbowi państwa, będącemu dotąd na łasce losu, stałe dochody. Sprawą dużej wagi było unormowanie odbudowy zniszczonych przez wojnę licznych miejscowości. Oczywiście, że to nie wyczerpywało pracy ustawodawczej rządu, nie mówiąc już o sprawach bieżących, wynikających z codziennego życia kraju zniszczonego wojną.

Trudności i dymisja

Czym rząd pracował intensywniej, tym trudności jego się powiększały. Stwarzały je różnorodne powody. Po ustąpieniu z gabinetu Daszyńskiego, Grabskiego i Poniatowskiego, Narodowa

Partia Robotnicza odwołała ministra pracy Pełłowskiego. Ustąpił także minister spraw zagranicznych Eustachy Sapieha. To jeszcze dało się bez wielkiego trudu wyrównać. Wicepremier nie był koniecznością, ministra Pełłowskiego zastąpił Jankowski, bardziej swej partii dogadzający, miejsce ministra Sapiehy zajął Skirmunt, z dużym pożytkiem dla kraju i rządu.

Gorsze było, że stronnictwa opozycyjne walkę z rządem wzmagaly z dnia na dzień, doprowadzając ją do granic szaleństwa. Przodowały w niej Wyzwolenie i socjaliści, nie pozostała w tyle i endecja, prowadząc jakąś grę tajną, starając się judzić stronnictwa centrowe, które jeszcze w większości pozostały. Był to dłuższy okres walki już to podjazdowej, ukrytej, już wyraźnej i w środkach nie przebiegającej, a tym przykrzejszej, że współdziałali w niej ludzie o wysokim poziomie inteligencji i wcale nieprzejętnych zasługach, udając przy tym moich gorących przyjaciół.

Widziałem złą wolę na każdym niemal kroku, intrygi sięgające coraz dalej i głębiej, żądania wprost niewykonalne, a z każdym dniem większe, walkę w kraju i w Sejmie, przechodzącą w formy już wprost nieludzkie i ordynarne. Określenia: koniokradę, złodziejstwo, nazwanie psa Witosem, nie należy jeszcze do najgorszych. Czując się ponadto zmęczony długą i wyczerpującą pracą, postanowiłem ustąpić. Kroku swojego nie uważałem za lekkomyślny. Rząd miał za sobą olbrzymią pracę i zasługi, których mu nie mogli odmówić nawet jego wrogowie, a określony przez niego program został prawie w całości wykonany. O swoich zamiarach poinformowałem lojalnie tak wszystkich ministrów jak i prezydium klubów poselskich, popierających rząd. Odradzano mi przedstawiając, że nie ma żadnego powodu do ustąpienia, gdyż rząd posiada zaufanie znacznej większości Sejmu, a utworzenie nowego będzie następczo bardzo duże trudności. Tu mi się znowu nadarzała sposobność do poznania dwulicowości i perfidii ludzkiej. Najgorzej namawiali mnie do pozostania ci, co jeszcze wczoraj kopali dołki pode mną. Pozostałem też przy swoim postanowieniu i dymisję przedłożyłem Naczelnikowi Państwa w dniu 27 maja 1921 pismem następującym:

Do Pana Naczelnika Państwa w Belwederze.

Rząd, powołany przez wszystkie niemal stronnictwa sejmowe w chwili dla państwa niezwykle groźnej, miał przede wszystkim za zadanie odparcie najazdu nieprzyjacielskiego i zawarcie pokoju. Zadanie to zostało spełnione. W toku jednakże niezwykle ciężkiej dalszej pracy państwowej poszczególne stronnictwa usuwały się od współdziałania w rządzie, a w ostatnim czasie wskutek wypadków górnośląskich i zdarzeń zaszłych na terenie sejmowym zachwiała się poważnie podstawa polityczna i personalna, na której się rząd opierał.

Gdy ponadto niektóre stronnictwa, stojące poza rządem, utrudniają mi swym postępowaniem i tak już ciężkie stanowisko, rząd nie jest możliwości brania odpowiedzialności w tych warunkach za losy państwa.

Pragnąc przeto umożliwić utworzenie nowego, silnego rządu, który stojące przed państwem zadania mógłby spełnić, zgłaszam na podstawie jednomyślnej uchwały Rady Ministrów na ręce Pana Naczelnika Państwa dymisję całego gabinetu i proszę o jej przyjęcie.

Z wysokim poważaniem.

(—) *Wincenty WITOS*

Dnia 27 maja 1921.

Na moje pismo otrzymałem od Naczelnika Państwa odpowiedź następującą:

Do Pan Wincentego Witosa,
Prezydenta Ministrów.

Powołany przeze mnie w chwili groźnej dla państwa rząd, którego ster ujął Pan, Panie Prezydencie, w swe ręce, pozwolił przewyciężyć najniebezpieczniejszą sytuację, w jakiej się Polska znalazła. Zadania rządu tym trudniejsze są u nas do spełnienia, że warunki, mające źródło w stosunkach krajowych, utrudniają znacznie utrzymanie powagi rządowej, powagi koniecznej dla właściwego wypełniania najistotniejszych zadań państwowych. Mimo to rząd, któremu Pan przewodniczył, nie tylko wywiązał się z powierzonych mu obowiązków, ale zdołał także wzmocnić autorytet władzy, za co składam Panu, Panie Prezydencie, i wszystkim Panom Ministrom moje szczerze uznanie i podziękowanie.

Uważam przesilenie gabinetowe w chwili obecnej dla Państwa za niepożądane, odwołuję się więc do obywatelskiego poczucia obowiązku Pana, Panie Prezydencie, i Panów Ministrów, aby pozostali nadal przy urzędowaniu, gdyż to ze względów państwowych jest konieczne. Opierając się zaś na oświadczeniu Pana Marszałka Sejmu Ustawodawczego, że Pan, Panie Prezydencie, może liczyć na poparcie większości Sejmu, uważam dalsze pozostanie Pana u steru rządu wraz z całym gabinetem za możliwe.

Z tego względu do zgłoszonej w dniu 27 bm. przez Pana prośby o dymisję przychylić się nie mogę. Jednocześnie proszę Pana o przedłożenie mi wniosków co do obsadzenia tek wakujących.

Naczelnik Państwa (—) *J. PIŁSUDSKI*

Warszawa-Belweder, dnia 28 maja 1921 roku.

Wobec nieprzyjęcia mojej i rządu mojego dymisji, wyrażenia nam zaufania, a także apelu do naszego poczucia obywatelskiego obowiązków, postanowiłem jeszcze jakiś czas przy rządzie pozostać. Zebrawszy więc na nowo przedstawicieli stronnictw rządowych, omówiłem z nimi plan pracy zaznaczając, że pozostać mogę dalej na urzędzie pod warunkiem, jeżeli one nie tylko zgodzą się na ten plan, ale go będą szczerze i otwarcie popierać. Między innymi położyłem bardzo silny nacisk na konieczność przeprowadzenia reformy rolnej, uporządkowania stosunków we wszystkich działach administracji państwowej, zniesienie wielu niepotrzebnych urzędów, zredukowanie znacznej ilości urzędników, zajęcie się w

szczególności rolnictwem, zniszczonym przez wojnę, stopniowym przygotowaniem gruntu pod nową walutę i cały szereg innych spraw. Ponieważ nie było żadnych wyraźnych sprzeciwów, zrekonstruowany gabinet pozostał więc dalej.

Pragnąc sprawę reformy rolnej i z nią związanej kolonizacji postawić nareszcie na właściwym gruncie, zwołałem do Warszawy konferencję, składającą się z ludzi znających stosunki i chcących naprawdę sprawę tę poważnie traktować. Odbyła się ona w Prezydium Rady Ministrów w sierpniu 1921 r. a udział w niej oprócz mnie wzięli: minister robót publicznych Narutowicz, minister rolnictwa Józef Raczyński, świeżo mianowany prezes Głównego Urzędu Ziemskiego dr Kiernik, przedstawiciele Tymczasowego Wydziału Samorządowego we Lwowie Kędzior i Lasocki, a ponadto kilku znanych w tej dziedzinie fachowców.

Konferencja ta po długich obradach na podstawie materiału mozolnie zgromadzonego przez Tymczasowy Wydział Samorządowy we Lwowie, ustaliła program akcji parcelacyjnej i kolonizacyjnej na początek Małopolski Wschodniej z tym, że materiały dotyczące Wołynia i kresów wschodnio-północnych, jak i byłego zaboru pruskiego zostaną później zebrane. Plan przyjęty przez tą komisję przewidywał w niektórych połaciach kraju rozparcelowanie obszarów dworskich doszczętnie pomiędzy chłopów polskich, określając wysokość i rodzaj pomocy państwowej, jak też i obszar powstać mających gospodarstw.

Między innymi wzdłuż linii Sanu przewidywał plan rozparcelowanie obszarów dworskich na szerokości 20 km, ażeby tym sposobem uzyskać polską większość w kilku powiatach na tej linii położonych. To samo miało być zastosowane wzdłuż całej linii kolejowej od Przemyśla przez Lwów do Podwołoczysk, z odgałęzieniem ze Lwowa na Tarnopol. Była w tym widoczna myśl zabezpieczenia najważniejszej linii kolejowej, mającej stanowić połączenie na wypadek jakichś wstrząśnięć. Uczyły tego zresztą niedawne dzieje, bo czasy walk z Ukraińcami.

Dalsza część planu dotyczyła wszystkich ważniejszych szlaków i dróg kolejowych, wzmocnienie województwa tarnopolskiego, by ono się mogło stać wałem polskim, oddzielającym ludność ruską, mieszkającą szczególnie w woj. stanisławowskim, od Rosji. W końcu poprzecinanie podobnych pasów w kilku punktach woj. lwowskiego, mających rozdzielić zwarte masy ludności ukraińskiej.

Z dokonanych obliczeń wynikało, że dla osiągnięcia bodaj drobnej polskiej większości, w każdym niemal powiecie Małopolski wschodniej i środkowej, musiałoby się tworzyć gospodarstwa stosunkowo drobne.

Niestety planu tego nie mogłem wprowadzić w życie. Dawna intryka nie próżnowała, walki się wzmaczały, stronnictwa rządowe stawały się coraz mniej odporne na ataki, coraz bardziej wygodne i wymagające. Na niespodziewane trudności trafiłem nawet przy tak koniecznej i przy tym popularnej sprawie redukcji zbędnych urzędów i urzędników. Liczni posłowie wynajdywali jeżeli już nie swoich krewnych czy znajomych, to politycznych przyjaciół, a w najlepszym jeszcze razie koniecznie dla państwa potrzebnych, robiąc z tego kwestię zasadniczą. Nie była to zresztą jedyna dziecina, w której małostkowość i bezceremonialność stawały się tak ciężkie i powszechne, że znoszenie ich było prostym niepodobieństwem. Nie umiem powiedzieć, czy one były groźniejsze od praktyk opozycji względem rządu, ale tak dla mnie jak i dla innych ministrów stały się niemożliwe do wytrzymania.

Po rozbiciu się Zjednoczenia Ludowego i ustąpieniu z rządu ministrów Skulskiego i Nowodworskiego, można się było przy rządzie utrzymać i większość osiągnąć, kierując cały wysiłek na obronę opozycji rządu i szukanie kompromisu ze stronnictwami. Tego jednak nie chciałem i dlatego też zgłosiłem swą dymisję ponownie w dniu 19 września 1921 r. porozumiewszy się z niektórymi ministrami. Udałem się z nią osobiście do Naczelnika Państwa. Starał się mnie przekonać i odradzał gorąco. Nie cofnąłem się już tym razem. Dymisja została przyjęta.

Kapituła Białego Orła w uznaniu moich zasług odznaczyła mnie tym najwyższym orderem, jakie posiadało państwo. Od urzędu odszedłem tak przemęczony, że często przez dłuższy czas nie mogłem zebrać myśli. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Sam czułem, że stanowisko to przerastało moje zdolności i siły. Brak wykształcenia i wiadomości koniecznych do sprawowania tak trudnego urzędu i to jeszcze w podobnych czasach, musiałem zastępować niesłychanym wysiłkiem, starając się ile możności obchodzić bez obcej pomocy. Były to jednak twarde i cierpkie orzechy, które musiałem gryźć codziennie, choć nie próbowałem się skarżyć.

Prof. Bartel

Nie mało kłopotu, a często i przykrych niespodzianek sprawiał tak mnie jak rządowi minister Kolei prof. Bartel. Nie będąc formalnie przedstawicielem żadnego stronnictwa, zasiadał w Radzie Ministrów jako fachowiec. Kandydaturę jego na stanowisko ministra Kolei zgłosił poseł Bryl, przedstawiając go jako człowieka, który przeszedł niezwykle twardą szkołę życia, zawdzięczając wszystko co posiada, co umie, tylko swojej zdolności, energii i

wytrwałej pracy. Może on też być wyjątkowo pożytecznym ministrem na te czasy. Spodziewając się widocznie, że mu to pomoże oświadczył się wobec Bryła jako gorący zwolennik Stronnictwa Ludowego.

Na swoim urzędzie dawał sobie radę z wojskowością, która z natury rzeczy zgłaszała coraz to nowe żądania i pretensje, nie zawsze możliwe do spełnienia i nierzadko też nieuzasadnione. Lubił też często i głośno przechwalać się, że właściwie wojnę prowadzi on, a nie żadni generałowie. Niezwykle jego słabą stroną było gonienie za popularnością, bez względu na koszt. Dla niej ulegał też żądaniom kolejarzy coraz to nowym i większym, stając się w końcu ich niewolnikiem i stawiając rząd w sytuacji, z której nie można było wybrnąć. Wszyscy wiedzieli, że Bartel swoją taktyką nie tylko obciąża skarb państwa coraz to nowymi i większymi zobowiązaniami ale właściwie zarząd kolei oddaje w ręce czynników poza rządem stojących, a często do niego wrogo usposobionych.

Kiedy niektórzy z ministrów zaczęli mu na to zwracać uwagę, Bartel brał to zwykle osobiście, obrażając się śmiertelnie, groził ustąpieniem i mówił tak długo i tak głośno, że dla miłej zgody zwykle ustępowano tym bardziej, że w tym czasie dymisja jego była jak najmniej pożądana.

Ostatnie jednak jego układy z socjalistycznym związkiem kolejarzy, przy których przekroczył pełnomocnictwa, dane mu przez Radę Ministrów, poruszyć musiały nawet najcierpliwszych. Nie tylko bowiem wprowadziły one zamęt w stosunki kolejowe i rozprzężenie u wielkiej części personelu, ale dawały ogromne przywileje agitatorom partyjnym.

Na podstawie tych uprawnień mogli oni, używając bezpłatnie kolei, telefonu, telegrafu itp. urzędzeń państwowych, występować przeciw rządowi, który im tego nie mógł zabronić. Rząd się na to ani mógł ani chciał zgodzić, gdyby się zgodził, nie byłby mógł tego dotrzymać. Ponieważ ze względu na obecność Daszyńskiego niektórzy ministrowie się krępowali, sam zabrałem głos w tej sprawie.

Bartel ustąpił, ale jego praktyka i taktyka odbiła się niesłychanie na państwie i na kilku rządach ciężkimi następstwami. Sympatię swoją tak gorąco ludowcom wyznawaną przeniósł Bartel na kilka z rządu stronnictw. Wszystkie też zdołał przekonać o swoich zdolnościach, ale także o braku charakteru.

Gdybym sam nie widział postępowania Bartla, uważałbym to co mi o nim opowiadał sekretarz Wyzwolenia Bagiński za zwykłą złośliwość, jeśli nie za fantazję. Przed wyborami sejmowymi w r. 1922 Bartel przyszedł do przekonania, że Wyzwolenie

najlepiej broni interesów ludowych i dlatego zgłosił akces do tego stronnictwa.

Po jakimś czasie stał się tam jednym z jego luminarzy i dostał się na listę kandydatów Sejmu i został wybrany. Jako zaś lojalny członek klubu tego stronnictwa zawiadomił na czas zarząd o machinacjach rozłamowych, jakie miał przygotować poseł Kościółkowski, ale oświadczył przy tym ze zwyczajną pewnością siebie, że on to wszystko sparaliżował tak, że o rozłamie nie może być mowy.

Na drugi dzień po tym oświadczeniu prof. Bartel zupełnie niespodziewanie zgłosił swoje wystąpienie z klubu Wyzwolenia, pociągając za sobą kilkunastu innych posłów, żegnając klub swój pismem pełnym zarzutów i inwektyw, wcale z powagą profesorską nie licujących.

A w tym wszystkim najgorsze było nadużycie zaufania posła Kościółkowskiego i to akurat przez tego Bartla. Kościółkowski bowiem powiedział Bagińskiemu, że Bartla do żadnych oświadczeń nie upoważniał. Sam zaś Bartel, mimo deklaracji podpisanej i trzykrotnie przez niego pokreślonej, nie zważał na bardzo liczne i niemniej natarczywe urgensy Wyzwolenia i mandatu poselskiego nie złożył.

Minister Jasiński

Następca Bartla na ministerstwie kolei Zygmunt Jasiński, stary austriacki, rutynowany wyższy urzędnik kolejowy, był nie tylko rzeczywistym fachowcem, ale przede wszystkim człowiekiem zrównoważonym, odpowiedzialnym, spełniającym swoje obowiązki bez względu na trudności i przeszkody. Nie uznający w służbie żadnych skoków, nienawidzący demagogii, umiał powiedzieć każdemu prawdę w oczy.

Spuścizna po Bartlu, który tych zasad nie uznawał, stała się brzemieniem ciężaru, przyniatającym plecy Jasińskiego, starającego się naprawić bodaj część błędów swojego poprzednika, co mu się w dużej mierze udało.

Minister Nowodworski

Minister sprawiedliwości, Stanisław Nowodworski, warszawianin, poza bardzo rozumnym umiarem w polityce, pilnował jak

oka w głowie swojego resortu, zaznaczając nieraz w rozmowie ze mną, że sprawiedliwość uważa za jeden z najmocniejszych fundamentów państwa, a wymierzać ją mogą tylko te sądy, które nie tylko są niezależne, ale i pod każdym względem dobrze postawione. Osobiście uważałem go za człowieka bez skazy, z wielkim poczuciem honoru i przyzwoitości.

Wicepremier Daszyński

Wicepremierowi Daszyńskiemu niełatwo przychodziło pogodzić postulaty i żądania swoich kolegów i towarzyszy partyjnych z obowiązkami ministra i to jeszcze w czasach tak gorących i niebezpiecznych. Postulatów tych starał się bronić zawsze, choćby nawet na to nie zasługiwały. Miał przy tym tę dobrą cechę, że jak się nie dał przekonać, co mu się prawie nie zdarzało, to się pozwolił przegłosować. W stosunkach osobistych był zupełnie lojalny. W żadną sprawę zbyt nie zagłębiał i raczej dbał o efekt, aniżeli o rzeczowość. Bardzo czupurny wobec ministrów, którzy mieli odmienne zdanie, stawał się niesłychanie uległy wobec każdego robotnika socjalisty.

Miałem tego dosyć przykładów, ale jeden z nich najlepiej mi utkwiał w pamięci. Było to po warszawskich zwycięstwach nad bolszewikami. Jechałem ze Lwowa na Kraków, gdyż bolszewicy zagroździł drogę na Lublin. Na dworcu kolejowym spotkałem Daszyńskiego. Nie mógł nic mówić, zmęczony całodziennymi przemówieniami do tłumów. Szczęśliwy, że nareszcie może odpocząć, rozebrany ułożył się w salonce przyczepionej do pociągu pospiesznego idącego do Warszawy. Niedługo jednak było mu dane spoczynku tego zażywać, bo już w Częstochowie grupka kolejarzy socjalistów zatrzymała pociąg, weszła do niego do salonki, a wyrażając zdziwienie, że „towarzysz tak sobie używa”, gdy oni cierpią biedę, zażądała, by wyszedł na peron i powiedział oczekującym tam robotnikom, co myśli dla nich zrobić, a jeżeli tego nie zrobi, to oni salonkę odczepią, a „towarzysz minister na koszu osiadzie”. Po długich targach udało mu się z opresji wydostać. Skończyło się na gwizdach i krzykach, choć przyciszonych i niezbyt licznych. Ta sama historia powtórzyła się w Piotrkowie, gdzie już wicepremier ku niesłychanemu oburzeniu Studzińskiego na poły ubrany wyszedł na peron i pewne obietnice zebrany robotnikom poczynił, angażując także przy tym rząd. Gorzej jeszcze wypadło w Skierniewicach, gdzie robotnicy wtargnęli hurmą do wozu Daszyńskiego, nagadali mu, co wlaźło i zażądali, by natychmiast wyszedł, bo jeżeli tego nie zrobi, to cały pociąg

zatrzymają. Daszyński nie mogąc ust utworzyć, piszczącym głosem tłumaczył zebranemu tłumowi, że jest zmęczony i zachrypnięty, nie przekonał go widocznie, gdyż coraz więcej odzywało się nieprzyjaznych głosów. Ponieważ robotnicy zachowywali się coraz agresywniej i zaczęli się zbliżać ku Daszyńskiemu, policjant usiłował temu przeszkodzić. Tłum się rzucił na policjanta z pięściami a Daszyński z gębą. To już doprowadziło Studzińskiego do takiej pasji, w jakiej go nigdy nie widziałem. Gdyśmy ruszyli z miejsca z dużym opóźnieniem, Daszyński przyszedł do mojego wozu, wymyślając na brutalność policji, którą się trzeba specjalnie zająć. Tu mi już milczącemu dotąd trudno było wytrzymać, żeby mu nie powiedzieć, co o tym myślę. Przyznał mi rację, ale zaznaczył, że w demokracji inaczej nie można. Tak pojęta demokracja, niestety, narobiła wiele złego nie tylko Daszyńskiemu.

Minister Skulski i inni

Ze współpracowników moich na pierwsze miejsce obok Daszyńskiego wybijał się minister spraw wewnętrznych, Leopold Skulski. Pominąwszy jego już wrodzone zdolności i znajomość rzeczy, odznaczał się on zawsze trafnością sądu, niezależnością opinii, bezwzględną lojalnością we współpracy, braniem na siebie odpowiedzialności za każdy zrobiony krok, męskim stanowiskiem i zimną krwią, i to nawet w najcięższych czasach, mimo sercowej choroby. Ustąpienie jego gabinetu uważałem też za jeden z największych ciosów, jakie spadły na rząd. Stało się to z winy jego przyjaciół, którzy często więcej okazywali popędliwości, aniżeli rozwagi i rozumu. Inaczej to tłumaczyli jego przeciwnicy. Czy mieli słuszność, nie umiem powiedzieć.

Minister spraw wojskowych, Kazimierz Sosnkowski, który z początku wojny polsko-bolszewickiej zawinił sporo lekceważeniem przeciwnika, powtarzając nieraz buńczucznie, że bolszewicy to próchno, które się rozleci od uderzenia butem, a przez to nieco zaniedbał koniecznego przygotowania, później to wszystko odrobił, odznaczając się niesłychaną pracowitością, znajomością rzeczy i zrozumieniem położenia państwa. Umiał się też wznieść ponad mafie i koterie, których nie brakło w czasie wojny. Mimo bardzo bliskich stosunków z Piłsudskim, wobec rządu zachował zupełną lojalność nawet wtenczas, kiedy się ich drogi silnie rozchodziły. Pomiędzy innymi okazało się to w czasie rokowań pokojowych w Rydze. Poza małymi spóźnieniami na każde niemal posiedzenie trudno mu było cośkolwiek zarzucić.

Minister robót publicznych, Gabriel Narutowicz, miał wdzięczne, ale ciężkie zadanie związane ze swoim urzędem. O naprawę i utrzymanie dróg wołało wojsko, domagał się cały kraj. Niewiele robił, bo nie mógł, nie posiadając środków potrzebnych. Snuł wielkie plany na przyszłość w dziedzinie robót publicznych, przedstawiając, jak daleko jesteśmy za Szwajcarią, w której on kilkanaście lat mieszkał i pracował. Na tym się jednak skończyło, jak i z wielu innymi sprawami. Na posiedzeniach Rady Ministrów rzadko zabierał głos, mówił krótko i jasno, tłumacząc się nieznaną jomością stosunków w Polsce. Zdaje się, że już wtedy był chory, albo zbyt często przepracowany, bo często zasypiał na posiedzeniach.

Minister spraw zagranicznych Eustachy Sapieha, jedyny przedstawiciel arystokracji rodowej w naszym rządzie, nie przestał wcale ministerialnego gminu, a często niezupełnie do niego docigał. Spraw powierzonych mu stale pilnował, choć niezawsze może zbyt trafnie oceniał położenie. Trochę był krępowany na swoim stanowisku osobą i urzędem Daszyńskiego, który z ramienia Rady Ministrów miał z nim współdziałać, co uważał za pewnego rodzaju kuratelę, mimo że Daszyński zbyt uciążliwym dla niego nie był. Niemilo było niezawodnie ministrowi Sapieżu, że wpadając w zapał nieraz go po wiecowemu Daszyński potraktował, dając do poznania, że się rola takich panów już skończyła.

Edward Peplowski, minister pracy i opieki społecznej, był jako człowiek bez zarzutu, szczerzy i otwarty przyjaciel, słowem niezrównany nabytek. Nie bardzo się zagłębiał w arkana większej polityki, co powodowało niezbyt fortunne wystąpienia, wywołujące wzruszenie ramion albo i głośne śmiechy u ministerialnych kolegów. Natomiast bardzo pilnie strzegł wszelkich praw robotniczych, ustawą im zagwarantowanych, których jego zdaniem nie mogła naruszyć ani wojna, ani też braki nią spowodowane. Ludzie to widzieli i umieli ocenić, a jedno z pism humorystycznych w Warszawie dało jego podobiznę, gdy z wielką troskliwością spędzał muchy ze śpiącego wygodnie w cieniu drzew robotnika. Nie bardzo poznało się na nim własne stronnictwo, odwołując go za wcześniej z gabinetu.

Minister Poczty i Telegrafów, dr Władysław Stesłowicz, sekretarz Izby Przemysłowo-Handlowej we Lwowie, zajęty mocno swoim resortem, nie lubił nigdy mieszać się do spraw z nim nie związanych. Jeżeli zabierał głos, to zwykle mówił krótko, a jego zdanie i opinia były zawsze jasne i trzeźwe. Wydawało mi się nieraz, że mu dość trudno przychodziło pogodzić się z nowymi stosunkami, choć czynem a nawet słowem nie okazywał tego nigdy.

Niezwykle sympatyczne wrażenie robił minister przemysłu i handlu, Wiesław Chrzanowski, wierny przyjaciel i współpracownik posła Rosseta i zastępujący w gabinecie jego stronnictwo. Pilnując swego resortu i znając się na nim, w przeciwieństwie do min. Pełowskiego, umiał go zawsze podporządkować interesowi ogólnemu.

Koniec tomu 2-go

SPIS TREŚCI

- C z ę ś ć V I : WYBUCH WOJNY (1914-1918). —
Wieś wobec nadchodzącej wojny. — Mobilizacja. —
Wojna. — Naczelny Komitet Narodowy. — Zawody.
— Fikcyjne zwycięstwo. — Osłabienie zapału. — Po-
znańskie. — Praca Stronnictwa. — Trudności z Legio-
nami. — Podróż do Lwowa. — Przysięga i rozbitcie. —
Moje postępowanie wobec N.K.N. — Postępy i cofanie
się wojsk austriackich. — W Tarnowie i na wsi. —
Wojsko rosyjskie i jego rządy. — Generał Radko Dimi-
triew. — Odwrót. — Wojsko niemieckie. — Wyjście
z domu. — Ewakuacja. — W Brzesku. — Szersza akcja.
— Inwazja Rosjan i ewakuacja. — Bliżej Krakowa. —
Asenterunki. — Większa robota. — Zarzuty zdrady i
powody. — Koło Polskie

7

- C z ę ś ć V I I : WALKA O SPRAWĘ POLSKĄ. —
Wyjazd do Szwajcarii. U Henryka Sienkiewicza. —
Dalsza praca. — „Piast”. — Znad Nidy. — Na froncie.
— Wiosna 1915 r. — Ofensywa. — Co zastałem?. —
Odwrót Rosjan. — Chłopski zapał. — Powrót władz
austriackich. — Sekretarz i Marszałek. — Z innej strony.
— Reiner i order. — Następstwa odniesionych zwy-
cięstw. — Kontakt z innymi dzielnicami. — Zmiany.
— Królestwo. — Praktyczna obawa. — Czas i wypadki.
— Sprawa ziemi i zmiany ustroju rolnego. — Propa-
ganda Państw Centralnych. — Wyjazd do Królestwa.
— Akt z 5 listopada. — Śmierć Cesarza i nowy cesarz.
— Zatarg. — Zawsze tacy sami. — Stosunki w Kole i
przemiany. — Piast i N.K.N. — Historyczne dni Koła:
Uchwała o niepodległości Polski. — Poseł Tetmajer. —
Chłopi krakowscy. — Po uchwałach. — W Parlamen-

- cie. — Moje przemówienie. — Rząd i konserwatyści. — Gwałty. — Nowa era. — Dalsze trudności. — Traktat Brzeski i wzburzenie. — Następstwa. — Zmiany. — Żołnierze. — Czeskie uroczystości 74
- C z ę ś ć V I I I : UPADEK AUSTRII I POLSKA KOMISJA LIKWIDACYJNA. — Położenie. — Narady Klubu. — Bojko. — Narady stronnictw. — Polska Komisja Likwidacyjna. — Żydzi. — Do Lwowa. — Namiestnik Huyn. — W drodze powrotnej. — Walka o Lwów i Małopolskę Wschodnią. — P.K.L. i Komisja Rządząca. — Ludzie niektórzy 178
- C z ę ś ć I X : RZĄD LUBELSKI I CHAOS. — W Królestwie. — Droga do Warszawy. — Rząd Świerzyńskiego. — Do Lublina. — Odezwa Rządu Lubelskiego. — W hotelu i mieście. — Posiedzenie Rządu Lubelskiego. — Droga do Krakowa. — Nastroje. — Nowe kombinacje i narady. — Tetmajer i Roja. — Po powrocie Piłsudskiego. — U Piłsudskiego 200
- C z ę ś ć X : PIERWSZE RZĄDY. — Rząd Moraczewskiego. — Rząd Paderewskiego. — Wybory do pierwszego Sejmu. — Nabożeństwo w katedrze Św. Jana. — Otwarcie Sejmu. — Mała konstytucja. — Nasza deklaracja. — Rządy premiera Paderewskiego. — Rząd L. Skulskiego. — Propozycje. — Optymizm prem. Skulskiego. — Dalsza wojna. — W Sejmie. — Kandydatura posła Brejskiego. — Nowe zabiegi i narady. — Znowu moja kandydatura. — U Piłsudskiego. — Trudna sytuacja. — Rząd Władysława Grabskiego. — Rada Obrony Państwa 235
- C z ę ś ć X I : WOJNA Z ROSJĄ. — Rząd Obrony Narodowej. — Położenie. — Plany gen. Rozwadowskiego. — Przygotowania do rokowań i do walki. — Gen. Haller i ochotnicy. — Jeszcze wciąż ciężko. — Dalsze narady i plany. — Rząd. — Dymisja Piłsudskiego. — Generał Roja. — Pomysły min. J. Poniańskiego. — Przed wielką rozprawą. — Modły w

Warszawie. — Wyjazdy na front członków rządu. — Na froncie. — Nadzieje. — U gen. Sikorskiego. — Żołnierze. — Do Warszawy i w Warszawie. — Wszystko w jeden dzień. — Ks. Nuncjusz Achilles Ratti. — Wiadomości, narady i postanowienia. — Drugi dzień. — Pod Okuniewem. — Po powrocie. — Do Poznania. — Zgromadzenia. — W Gnieźnie. — Na wiecach. — Po powrocie do Warszawy. — Do Siedlec. — Kwestia żydowska. — Co mówili i myśleli członkowie sejmiku. — U Naczelnika Państwa. — Przez drogę. — Spalona wieś. — Pomorze. — Gęsi. — W Królestwie. — Płońsk. — Lwów. — W Pułtusk, Ostrołęce i Łomży. — Na Pomorzu. — Koszary i szpital. — Dalsza walka i zwycięstwa. — Ludzie i zasługi. — Piłsudski. — Generał Rozwadowski. — Generał J. Haller. — Front północny. — Generał Weygand. — Jeszcze o Sikorskim. — Nieco o wojnie polsko-bolszewickiej. — Wojna i pokój. — Warunki pokojowe. — Rokowania w Rydze. — Karol Radek. — Po zawarciu pokoju. — Niektórzy ludzie 276

C z ę ś ć X I I : WYJAZD NA KRESY. — Brześć. — Po powiatach. — Do Wilna. — Do Mołodeczna. — Mali szlachcice. — Nauczyciele i szkoła. — Duchowieństwo. — Radziwiłł. — Praktyki. — Major Jaworski. — Insygnia i proboszcz we Włodzimierzu. — Chłopi z Wyzwolenia w Zamościu. — Ludność katolicka i zaścianki szlacheckie. — Duchowieństwo katolickie. — Urzędnicy, nauczyciele, inteligencja. — Wielcy właściciele. — Mieszczanie i rzemieślnicy. — Służba dworska. — Dziwy wojny. — Na Wołyniu. — Spostrzeżenia i materiały. — Małopolska Wschodnia. — Lwów. — W drodze powrotnej 377

C z ę ś ć X I I I : DYMISJA RZĄDU OBRONY NARODOWEJ. — Tarcia w stronnictwach. — Socjaliści i Wyzwolenie. — Po ich ustąpieniu. — Inne prace i zagadnienia. — Powstanie Śląskie. — Sprawa Wilna. — Niektóre ustawy. — Umowy międzynarodowe. — W kraju. — Trudności i dymisja. — Prof. Bartel. — Minister Z. Jasiński. — Minister Nowodworski. — Wicepremier Daszyński. — Minister Skulski i inni 406



ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 22 JUILLET 1964
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 3^e trim. 1964

*P. Fiszman - Steinisławska
pour Unjed Celný Kolofony
-19. IV. 69r,*

I/III: F 87 (\$ 18.-; £ 6.10.00)